

Guy Sayer

Zapomniany żołnierz
(Le Soldat Oublié)
Skan Operator: AR

Wydanie oryginalne: Laffont, Paris 1967

Guy Sajerze, Guy Sajerze, kimże jesteś?

Gdy moi rodzice urodzili się na tej ziemi, dzielił ich dystans kilku tysięcy kilometrów — dystans powikłanych granic, złożonych problemów, wieloznacznych i nieprzetłumaczalnych uczuć.

Z tego związku powstałem ja, by istnieć w owej wielorakości, mając tylko jedno życie na zmaganie się z tyloma przeszkodami.

Byłem dzieckiem, nie ma to jednak większego znaczenia. Problemy istniały już wcześniej, a ja je dostrzegałem.

A potem była wojna. Związałem się z nią na dobre i na złe, ponieważ istniała właściwie tylko ona, — kiedy tak jak inni młodzi ludzie byłem w wieku zakochanych.

Doświadczyłem jej w pełni. I nagle miałem czcić dwa sztandary, być na dwóch liniach obrony: Zygryda i Maginota, wreszcie przeciwstawić się potężnemu wrogowi zewnętrznemu. Poznałem smak służby, marzeń i nadziei. Drżałem też z zimna i ze strachu przed bramą, gdzie nigdy nie pojawiła się Liii Marleen.

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy umarłem, i odtąd nic już nie miało większego znaczenia.

Mój żywot trwa nadal; niczego nie żałuję, choć zerwałem wszelkie więzy z normalnym ludzkim losem.

Guy S AYER

NOTA WYDAWCY

Jego ojciec był Francuzem pochodzącym z Masywu Centralnego, matka Niemką z Saksonii. Opowieści ojca, byłego uczestnika Wielkiej Wojny, sprawiły, że wyobrażał sobie Niemców jako monstra obcinające dzieciom piąstki. Pierwszy żołnierz niemiecki, którego zobaczył, mając czternaście lat, w czerwcu roku 1940 w departamencie Loiret, gdzie Wehrmacht zatrzymał falę uchodźców, wydawał mu się potężnym wojownikiem, wręcz gigantem. Był nim oczarowany. Podziwiał go, a zarazem drżał ze strachu: zaraz obetnie mi rękę... Nie odcięto mu jej jednak. Nakarmiono go i napojono. Wraz z bliskimi powrócił do Wissemburga na terenie Alzacji, gdzie przed kilku laty osiedliła się jego rodzina.

Alzacja przyłączona była do Wielkiej Rzeszy. Po obozie młodzieżowym w Strasburgu uczestniczył w kolejnym — w Kehl. Arbeitsdienst nie zaimponował mu jednak. Wraz z kolegami zazdrościł rówieśnikom, którzy w mundurach Hitlerjugend sposobili się do wojny o wielką stawkę. Oddałby wszystko, by móc robić to samo, by im dorównać.

Naturalnym biegiem rzeczy (niemiecka machina wojenna działała bez zarzutu) został konwojentem pociągu. Nie była to Luftwaffe ani też jednostka liniowa, o jakiej marzył i gdzie również on mógłby okryć się chwałą. Wreszcie jednak otrzymał przydział do Wehrmachtu.

Od jesieni 1942 roku brał udział w kampanii w Rosji, gdzie gra toczyła się o najwyższą stawkę, a w maju 1943 roku, w wieku siedemnastu lat zaciągnął się do elitarniej jednostki „Gross Deut-schland”, by służyć w niej aż do końca — do końca wojennego piekła.

Zdołał stamtąd powrócić, bogatszy w niezatarte doświadczenia: cierpienia i śmierci.

Przede wszystkim był przekonany, że walczy o jakąś sprawę, o wzniosłe cele, a tymczasem

stopniowo dawano mu do zrozumienia, że nie walczył o nic; że na próżno umierali jego towarzysze broni, co więcej — że walczył o cele, które potępiało zbiorowe sumienie. On sam tego nie rozumiał. I widział, że nikt nie potrafi go zrozumieć ani nawet wysłuchać. Był sam ze swoją wizją historii.

W 1952 roku, podczas choroby, zaczął w szkolnym zeszycie opisywać prawdziwą historię młodego chłopaka, relacjonując całą swą wędrówkę, przeżywając wszystko od nowa. Po pięciu latach powstało siedemnaście zeszytów zapisanych ołówkiem, z rysunkami precyzyjnymi niczym ilustracje anatomiczne — byle tylko nic nie uleciało z pamięci; siedemnaście zeszytów, które wszędzie zabierał ze sobą i które niekiedy w szalonym odruchu zamierzał zniszczyć. Czytali je przyjaciele; oni też opublikowali ich fragmenty w belgijskim czasopiśmie. Pewnego dnia zeszyty te dotarły do nas. Oto one.

Czytelnika może zaskoczyć ich styl. Nie jest to, co oczywiste, styl człowieka parającego się pisaniem zawodowo. Jest to po prostu styl kogoś, kto własnymi słowami, w sposób bardzo osobisty, czasem nieporadnie, często niezmiernie obrazowo, lecz zawsze z ogromną siłą ekspresji usiłuje opowiedzieć to, co jeszcze nigdy nie zostało opowiedziane.

W polskim wydaniu, podobnie jak w tekście francuskim, zachowano oryginalną pisownię nazw własnych, trudnych do wyjaśnienia. Nie poprawiono także oczywistych błędnych nazw typów czołgów, samolotów, kalibru dział. Niejednokrotnie autor wprowadza nie używane w armii niemieckiej nazwy typów broni.

Guy Sajer — szeregowy żołnierz piechoty — miał ograniczoną wiedzę wojskową. Znał dobrze jedynie typy i nazwy broni, używanej w pododdziałach liniowych (przyp. red.).

NOTA WYDAWCY POLSKIEGO

Guy Sajer, pochodzący z Alzacji syn Niemki i Francuza, wcielony do Wehrmachtu, jesienią 1942 wyruszył na wielką wojnę.

Siedemnastoletni chłopiec w szeregach niemieckiej armii walczył do wiosny 1945, w straszliwych mrozach rosyjskiej zimy i w spiekocie lata, na bitewnym szlaku od Rosji, poprzez Rumunię, Polskę, Prusy Wschodnie do Gdyni. Ewakuowany do Niemiec, zakończył swoją wojenną wyprawę jako jeńiec wojsk brytyjskich. Był synem Francuza, został więc zwolniony do domu.

Walczył tylko trzy lata i aż trzy lata. Wojna wycisnęła na jego psychice niezatarte piętno. Tak trwałe, że nie zdołał znaleźć dla siebie miejsca w normalnym życiu, ponieważ „nie opuszczał go dręczący, ponury lęk”. Tak mocne, że wyzwoliło w nim pragnienie przelania na papier wojennych przeżyć.

Mineło jednak wiele lat od zakończenia wojny, nim Sajer zaczął spisywać swoje wspomnienia. Wydany we Francji w 1967 roku pamiętnik pt. „Zapomniany żołnierz” przedstawiamy obecnie czytelnikowi polskiemu.

Jest to relacja szczególna, o niezwykłej wartości. Swego rodzaju reportaż z pola walki, pisany przez prostego żołnierza, który zakończył wojenną służbę jako starszy szeregowiec w dywizji „Gross Deutschland”.

„Postaram się możliwie jak najpełniej oddać absurdalność ludzkiego losu” — zapowiada Sajer. Spisuje to, czego był uczestnikiem i świadkiem. Dystans czasowy pozwala mu nie tylko opowiadać o wydarzeniach, ale i wyrazić swoje stanowisko wobec nich. Jego wspomnienia to opowieść o zwykłych żołnierzach, początkowo dumnych ze zwycięskiego marszu na wschód, a później odrętwiałych z przerażenia, pragnących tylko jednego — przetrwać. To zapis wydarzeń, jak stwierdza autor „oglądanych oczyma siedemnastoletniego młodzieńca, który przeżywać musi to, co wielu dojrzałym mężczyznom niełatwo byłoby znieść”. Wydarzeń oglądanych z poziomu okopu rozjeżdżanego jakże często tonami śmiercionośnej stali.

„Jestem za młody, aby być żołnierzem” — zapisuje na początku swojej relacji Sajer. Cóż, był

nim jednak, i to z własnego wyboru.

Pamiętnik ten jest inspirującym źródłem historycznym dotyczącym lat drugiej wojny światowej i zarazem wstrząsającym dokumentem osobistym. Opis działań wojennych prowadzonych przez kompanię, w składzie której walczył Sajer, jest rzetelny. Pewna przesada, wyolbrzymianie sukcesów wojsk niemieckich i powiększanie strat Armii Czerwonej — są zrozumiałe. Trudno oczekiwać obiektywnej oceny sytuacji od szeregowego żołnierza jednej z walczących stron. Nie zdobyli się przecież na to i generałowie. Ale codzienność żołnierska, udręka życia w okopach, więzy koleżeństwa i wojennej przyjaźni, dowodzenie pododdziałami, strach i rozpacz, głód i robactwo nękające żołnierzy, braterstwo i tchórzostwo, stosunek do jeńców — wszystko to przedstawione jest pełniej, wyraziściej, niż w wielu wspomnieniach dowódców czy w naukowych publikacjach poświęconych wschodniemu teatrowi działań wojennych.

Wielką zaletą pamiętnika Sajera jest unikanie ocen wartościujących. Autor nie stara się przekonywać o wyższości żołnierza niemieckiego. W boju różnie bywało.

Czytelnika polskiego szczególnie zainteresuje ostatnia część pamiętnika relacjonująca wydarzenia z przełomu 1944/1945; ostatni akt dramatu rozgrywający się w Prusach Wschodnich oraz w rejonie Zalewu Wiślanego i Zatoki Gdańskiej.

Przemieszczanie się ogromnej masy ludzi ze Wschodu na Zachód; wędrówkę żołnierzy, głodnych, obdartych, atakowanych bez przerwy z lądu i powietrza, pokonujących pieszo setki kilometrów i walczących do końca; do końca wykonujących obowiązek obrony i ochrony ludności cywilnej, przedstawia Sajer bez zbędnego patosu, ale w sposób poruszający autentyzmem opisu.

„Marsz śmierci” niemieckiej ludności cywilnej stał się tematem wielu publikacji. Wartość zapisu Sajera polega na tym, że autor opowiada o wydarzeniach, w których sam uczestniczył. Relacja o exodusie starców, kobiet, dzieci; jakże często bardzo małych dzieci, nie pojmujących co się wokół nich dzieje, zagubionych, przerażonych i głodnych, uciekających przed bombami rosyjskich samolotów jest wstrząsająca. „Nie ma zwycięstwa nad martwymi” — pisze Sajer.

Zainteresowani dziejami drugiej wojny światowej czytelnicy, ale i historycy wojskowości, znajdą w pamiętniku Sajera odpowiedzi na wiele pytań. Odpowiedzi, jakich nie zawierają naukowe rozprawy i uczone analizy oparte na dokumentacji archiwalnej. Sajer zdołał bowiem przekazać „z jak największą siłą wyrazu krzyki dochodzące z rzeźni”.

Jego wspomnienia mogą służyć historykowi jako dokument bardzo przydatny w rozpoznawaniu psychiki żołnierzy znajdujących się na polu walki, poznaniu przebiegu — nie wielkich operacji, lecz pojedynczych bitew na frontach wojny, rozciągających się na ogromnych obszarach Rosji.

Talent narracyjny Sajera jest niezrównany, a relacja tak plastyczna, tak sugestywna, że czytelnik ma wrażenie, iż ogląda wstrząsający realizmem film wojenny.

Trudno wymagać od autora, którego edukacja dokonywała się na polach bitwy, a nie w salach wykładowych, by lepiej władał piórem niż karabinem. Jego styl jest często nieporadny, a terminologia nierzadko odbiega od wymogów precyzyjnego języka wojskowego. Dla stylu Sajera charakterystyczne jest używanie, obok języka potocznego — z licznymi wtrąceniami fraz i wyrazów, równoważnikami zdań, wtrąceniami — języka podniosłego, pełnego metafor i epitetów, rozbudowanych okresów zdaniowych.

W przekładzie na język polski zachowano typowy dla autora język „mówiony”, nieporadności stylistyczne, a także wulgarne słownictwo, charakterystyczne dla gwary żołnierskiej.

Nazwy lokalne, których właściwego brzmienia nie udało się ustalić, pozostawiono w wersji oryginalnej. Większość nazw miejscowości podano albo we współczesnym brzmieniu, albo zachowano nazwy zgodne z oryginałem, podając w przypisach właściwą nazwę polską.

Bibliografia dotycząca drugiej wojny światowej liczy tysiące pozycji. Jednak „Zapomniane

żołnierz" jest głośno rozlegającym się krzykiem, tych co zginęli i to niezależnie od narodowości; jest wielkim wezwaniem do pojednania, ponieważ: „Wojna niszczy wszystko. Niszczy radość, co nadejdzie wraz ze zwycięstwem”.

PROLOG

18 lipca 1942 roku. Przybywam do znajdujących się w Chemnitz wspaniałych, bielutkich koszar o owalnym kształcie. Wywierają na mnie wielkie wrażenie, budząc strach i podziw zarazem. Na moją prośbę dostałem przydział do 26. plutonu eskadry Sturmkampflugzeug Kommandant Rudel. Niestety odrzucono mnie na testach Luftwaffe! Niemniej, chwile spędzone na pokładzie Ju-87 pozostaną cudownymi wspomnieniami. Prowadzimy tam tak intensywny tryb życia, że czegoś podobnego nigdy jeszcze nie znałem. Każdy dzień przynosi coś nowego. Otrzymuję nowiutki, dopasowany mundur, parę butów trochę używanych, ale w bardzo dobrym stanie. Jestem bardzo dumny ze swego umundurowania. Jedzenie jest dobre. Nauczyłem się też kilku piosenek wojskowych, które wykonuję z okropnym akcentem francuskim. Wywołuje to śmiech pozostałych żołnierzy, moich pierwszych kolegów w wojsku.

Ćwiczenia w piechocie, do której zostałem wcielony, są już mniej zabawne niż żywot pilota. Trasa, jaką żołnierz ma do przebycia, to najtrudniejsza rzecz z dotychczas poznanych. Jestem krańcowo wyczerpany; często zasypiam w kantynie. Jednak mam znakomite samopoczucie i pomimo tylu obaw i rozterek rozpiera mnie radość, co jest dla mnie rzeczą niepojętą.

15 września opuszczamy Chemnitz. Udajemy się pieszo do oddalonego o czterdzieści kilometrów Drezna, skąd wyruszamy pociągiem na Wschód.

Przejeżdżamy przez sporą część Polski. Na kilka godzin zatrzymujemy się w Warszawie. Wspólnie z moim pododdziałem zwiedzam miasto, przede wszystkim owo słynne getto lub raczej to, co z niego pozostało. Wracamy na dworzec bezładnymi grupami. Wszyscy z uśmiechem na twarzy. Polacy również się do nas uśmiechają - szczególnie dziewczyny. Niektórzy starsi żołnierze, odważniejsi ode mnie, wracają w ich miłym towarzystwie aż na dworzec. Ruszamy w dalszą drogę, by ostatecznie zatrzymać się w Brześciu Litewskim. Stamtąd docieramy piechotą do niewielkiej miejscowości odległej o mniej więcej piętnaście kilometrów. Czujemy chłód, lecz pogoda jest cudowna. Jesień na dobre zagościła w tej uroczej, leżącej na pagórkowatym terenie wiosce. Przechodzimy teraz przez wysoki las. Feldfelbel Raus donośnym głosem każe nam utworzyć szyk marszowy. Rytmicznym krokiem wchodzimy na polanę, w głębi której wznosi się zamek jak z bajki. Maszerujemy aleją, śpiewając na cztery głosy: „Erika, kochamy cię”. Na spotkanie z naszą kolumną wychodzi dziesiątka wojskowych. Wśród nich dostrzegam kapitana noszącego lśniące epolety oficerskie.

Spotkanie obu grup następuje w idealnym momencie — akurat gdy kończymy ostatnie słowa piosenki. Jeszcze raz rozlega się ryk feldfelbla, zatrzymujemy się, po czym pada kolejna komenda i po wykonaniu nienagannego zwrotu w miejscu trzysta par butów powoduje jednocześnie ogłuszający stukot. Następuje regulaminowe powitanie, a potem kontynuujemy marsz aż do murów tego wspaniałego zamku.

Na dziedzińcu dowództwo zarządza apel. Wywołani tworzą nowy szereg, który rośnie, w miarę jak nasz się kurczy. Dziedziniec zapchany jest najróżniejszymi pojazdami wojskowymi. Tłoczy się przy nich z pół tysiąca żołnierzy w pełnym oporządzeniu gotowych — jak się wydaje — do wymarszu. W trzydziestoosobowych grupach kierowani jesteśmy do pomieszczeń, które będziemy zajmować. Jakiś tutejszy żołnierz krzyczy do nas:

— Tędy! Zmiana warty!

Wnioskujemy z tego, że tłoczące się przy ciężarówkach chłopaki opuszczają tę królewską siedzibę, co wyjaśnia ich markotny wyraz twarzy.

Dwie godziny później dowiem się, że ich kolejną rezydencją będzie jakieś miejsce na niezmiernych obszarach Rosji. Rosja — a więc wojna! Wojna, której jeszcze nie znam. Ledwo zdążyłem położyć swój skromny ekwipunek na jednym z drewnianych łóżek, które sobie wybrałem, gdy padł rozkaz stawienia się na dziedzińcu. Jest około drugiej po południu. Nie licząc kilku sucharów, jakie udało nam się zdobyć w Warszawie, nie jedliśmy nic od ostatniego przydziału żywności. Wczoraj wieczorem, gdy jechaliśmy do Polski, otrzymaliśmy racje żywnościowe w postaci białego sera, marmolady i żytniego chleba. Tak czy inaczej, w grę może wchodzić tylko południowy posiłek — i to spóźniony o trzy godziny. Nic z tych rzeczy! Na dole spotykamy odzianego w sportowy strój feldfebla, który ironicznym głosem proponuje nam wspólną kąpiel — ot, mały aperitif. Sportowym truchtem ciągnie nas spory kawałek od nowych koszar, do oddalonego o dobry kilometr niewielkiego, leżącego na piaszczystym terenie stawu, do którego wpada mała rzeczka. Tam, przybierając marsowy wyraz twarzy, rozkazuje nam rozebrać się do naga. Sterczymy, jak idioci, tak jak nas Pan Bóg stworzył. Feldfebel zanurza się pierwszy i daje nam znak, byśmy poszli w jego ślady. Wszyscy wybuchamy śmiechem. Jeśli o mnie chodzi, muszę przyznać, że śmiałem się wbrew sobie. Kiedy wspomniałem uprzednio, że jest piękna pogoda, miałem oczywiście na myśli przechadzkę, a nie kąpiel. Nie sądzę, by temperatura powietrza przekraczała teraz siedem albo osiem stopni, toteż nieśmiało zanurzam prawą stopę w lodowatej wodzie. W tym momencie czuję, jak ktoś mnie gwałtownie popycha i słyszę równocześnie kpiący śmiech. W rezultacie wpadam do wody i aby nie zemdleć z emocji, zaczynam pływać jak opętany. Gdy po zakończonej kąpieli wychodzę ze stawu, trzęsąc się jak osika, przekonany, że wieczorem znajdę się w izbie chorych z zapaleniem płuc, gorączkowo szukam jakiegoś ręcznika niezbędnego po takim doświadczeniu... Niestety! Nikt nie ma czegoś takiego. Wycieramy się podkoszulkami. Prawie wszyscy koledzy noszą podkoszulki z długimi rękawami, zastępujące w Wehrmachcie koszulę, oraz bluzy mundurowe, które teraz wkładają na gołe ciało. Ja jestem uprzywilejowany, ponieważ mam cienki pulower, chroniący moją delikatną chłopięcą skórę od szorstkiej tkaniny.

Biegiem, by nie zostać z tyłu za przewodnikiem, który zdążył już pokonać połowę drogi powrotnej, docieramy wreszcie do naszej imponującej siedziby. Wszystkim chce się okropnie jeść. Na próżno wodzimy wzrokiem dookoła: nie ma ani śladu stołówki. Ponieważ prawdopodobnie nikt się nami nie zainteresuje, jakiś młody Alzaczek o posturze olbrzyma odważnie staje naprzeciw podoficera, mierząc go wzrokiem, jakby chciał go pożreć.

— Czy należy nam się talerz zupy? — pyta.

W odpowiedzi usłyszeliśmy grzmiące: „baczość!!!” Wszyscy znieruchomieliśmy, podobnie jak nasz orędownik.

— Zupę wydaje się o jedenastej! — ryczy podoficer. — Przyszliście z trzygodzinnym opóźnieniem! W kolumnie trójkowej zbiórka! Idziemy na strzelnicę.

Zgrzytając zębami, podążamy za naszą „matką żywicielką”.

Zagłębiając się w wąską ścieżkę biegnącą przez las. Nasz szyk deformuje się coraz bardziej, tak że w końcu idziemy gęsiego. W pewnej chwili, jakieś dziesięć metrów przede mną, rozlega się cichy gwar, który rychło przeradza się w coraz głośniejszą wrzawę. Spieszę do przodu, podobnie jak ci, co idą za mną. Wkrótce jest nas już około trzydziestu w pobliżu zagajnika, gdzie stoi trzech mężczyzn w cywilu. Są to Polacy. Każdy z nich trzyma koszyk z jajami. Słysząc wypowiedziane szeptem słowa:

— Masz pieniądze?

— Ja nie mam.

Nie rozumiem, co mówią Polacy, ale domyślam się, że proponują nam zakup jajek. Niestety, nie otrzymaliśmy żołdu, a tylko niewielu z nas posiada własne marki.

Widząc żywność przed sobą, przeżywamy prawdziwe katusze: jesteśmy bardzo głodni. Robi się ogólne zamieszanie, ręce chciwie nurkują do koszyków. Pękają skorupy jaj. Następuje

wymiana ciosów. Wszystko to odbywa się w ciszy, gdyż obie strony obawiają się represji. W sumie całkiem nieźle sobie poradziłem. Nie ucierpiałem zbytnio w tej szarpaninie. Jedyne deptano mi brutalnie po stopach, ale za to zdobyłem siedem jajek.

Dołączam biegiem do grupy i wręczam dwa jajka młodemu, grubemu Austriakowi, który patrzy na mnie jak osłupiały. Nie zdążyłem nawet przejść stu metrów, jak połknąłem niemal ze skorupami pięć pozostałych jaj. Docieramy na strzelnicę. Jest już tam chyba z tysiąc żołnierzy. Słysząc nieustanny huk wystrzałów. Kierujemy się ku idącej naprzeciw nam grupie żołnierzy z karabinami. Bierzemy od nich broń. Pobieram dwadzieścia cztery naboje, które wystrzeliwuję, gdy nadchodzi moja kolej. Uzyskuję kiepski wynik, ale mieszczę się w normie.

Zaczynam odczuwać dolegliwości żołądka po zjedzeniu jajek. Nadchodzi noc. Wszyscy jesteśmy wykończeni. Nasz anioł stróż wzywa nas na zbiórkę. Z bronią na ramieniu opuszczamy strzelnicę. Inne kompanie odchodzą w rozmaitych kierunkach. Wchodzimy na wąską, żwirową drogę. Wydaje mi się, że wracamy inną trasą.

I rzeczywiście. Musimy, śpiewając, pokonać krokiem marszowym aż sześć kilometrów, by wreszcie dotrzeć do tego cholernego zamku. Zdaje się, że marsz ze śpiewem to znakomite ćwiczenie oddechowe. Tego wieczoru, jako że nie padłem z wyczerpania, wyrobiłem chyba sobie płuca jak miechy kowalskie. Między jedną piosenką a drugą zerkam na kolegów zdzierających sobie gardła i momentalnie wyczytuję niepokój na ich twarzach. Ponieważ wyglądam na nieświadomego, Peter Deleige, który idzie tuż przede mną, prezentuje mi przegub z błyszczącym zegarkiem, szepcząc równocześnie:

— Godzina.

O Boże! Zrozumiałem. Jest już prawie noc, minęła piąta, no i przepadła nam zupa! Cały pluton zdaje się zaprzątnięty tą myślą. Może coś dla nas zostawią. Uczepiliśmy się tej nadziei, pokonując zmęczenie, które wręcz zwala nas z nóg. Feldfelbel pozostaje w tyle o krok, potem o dwa. Patrzy na nas jak osłupiały, po czym zaczyna wrzeszczeć, wreszcie opanowuje się, dodając:

— Ach, to tak?! Może myślicie, że zostawicie mnie w tyle! Naprzód!

Na jego rozkaz po raz siódmy intonujemy Die Wolken ziehn i przekraczamy, nie zwalniając kroku, masywny, kamienny most wiszący nad fosą. Omiatamy spojrzeniem mroczny dziedziniec, słabo oświetlony kilkoma lampami. Przed przyczepą motocyklową, na której widać trzy wielkie kotły, stoi w kolejce kolumna żołnierzy trzymających kociołki i menażki. Na rozkaz sierżanta zatrzymujemy się, czekając na komendę: „rozejść się!”, by popędzić po naczynia. Niestety, stosowna chwila jeszcze nie nadeszła. Ten sadysta każe nam przede wszystkim złożyć na stojakach w magazynie broń z uwzględnieniem jej numeracji. To zajmuje nam kolejne dziesięć minut. Jesteśmy zniecierpliwieni. W końcu odzywa się:

— Idźcie zobaczyć, czy coś tam zostało! Ale zachować mi porządek!

Idziemy grzecznie aż do drzwi magazynu, ale jak tylko wychodzimy na zewnątrz, nic już nas nie powstrzymuje: hurmem pędzimy do naszych kwater. Bruk dziedzińca rozbrzmiewa stukotem butów z metalowymi okuciami, spod których syją się iskry. Osiemdziesięciu rozjuszonych wojaków pokonuje monumentalne kamienne schody, roztrącając po drodze kilku żołnierzy, którzy akurat nimi schodzą. Zgiełk wzmaga się przed izbami sypialnymi, gdyż nikt z nas nie dopchał się jeszcze do swego łóżka. Jak szaleni wpadamy do środka, po czym wylatujemy stamtąd, gdyż pomyliliśmy pomieszczenia. Na domiar złego, gdy wybiegamy z izb, natykamy się na kolejnego wchodzącego. Kotłowanina, przekleństwa, wymiana ciosów. Inkasuję uderzenie w hełm, na skutek czego wbija mi się dokumentnie w głowę.

Niektórzy szczęściarze, którym od razu udaje się znaleźć menażki, pędzą z powrotem w kierunku schodów. Łajdaki! Wszystko nam zeżrą! Kiedy wreszcie znajduję swój sprzęt i

odpinam menażkę, jakaś świnia depcze mi brudnymi buciorami po łóżku, potrącając moje rzeczy. Ta kurewska menażka spada pod wyrko sąsiada. Nurkuję pod nie i gdy w końcu ją chwytam, ktoś inny nadeptuje mi na wolną rękę.

Wbiegam na dziedziniec, gdzie pod czujnym wzrokiem podoficera stoję karnie w kolejce. Jest jeszcze przynajmniej jeden pełny kocioł, co mnie trochę uspokaja.

Korzystając z chwili wytchnienia, obserwuję kolegów. Wszystkim błyszczą oczy ze zmęczenia. Faceci o szczupłej twarzy, tak jak ja, mają oczy strasznie podkrążone. Pyzaci są bladzi jak nieboszczyki.

Dostrzegani Brunona Lensena, który dostał już swoją porcję i oddała się teraz drobnym krokiem, połykając zawartość menażki. Farhestein, Olenheim, Lindberg i Halls czynią podobnie. Nadchodzi moja kolej. Otwieram menażkę, której nie zdążyłem umyć. Zostały w niej resztki jedzenia.

Garkotłuk napełnia wielką chochłą naczynie, po czym łyżką dodaje okazałą porcję jogurtu. Przysiadam nieco na uboczu, na jednej z ławek znajdujących się wzdłuż budynków gospodarczych. Powrotny bieg miał przynajmniej tę korzyść, że nie czuję już dolegliwości żołądka na skutek zbyt łapczywie tego popołudnia połkniętych jajek, toteż z wielkim apetytem pochłaniam w ciemnościach trzy czwarte porcji. Nie jest to złe. Wstaję z ławki i zbliżam się do nie zaciemnionego okna, by zerknąć do menażki. Chyba jest to kasza z suszonymi śliwkami i kawałkami mięsa. Całość pożarłem w pięć minut.

Ponieważ nie dano nam nic do picia, podobnie jak koledzy podchodzę do poidła dla zwierząt i wypijam ze trzy, cztery kubki lodowatej wody. Przy okazji płuczę naczynie.

Apel wieczorny, zbiórka w wielkiej sali, gdzie zwykły kapral opowiada nam o Rzeszy niemieckiej. Godzina ósma. Trębacz batalionowy daje sygnał: „gasić światła"! Wracamy do izb i momentalnie zasypiamy.

Tak minął pierwszy dzień pobytu w Polsce. Jest 18 września. Nazajutrz o piątej rano jesteśmy już na nogach. Podobnie będzie przez kolejne piętnaście dni. Cały czas odbywamy intensywne ćwiczenia. Codziennie zaliczamy ten cholerny staw, ale już nie jako kąpiący się, lecz w pełnym rynsztunku bojowym.

Przemoczeni, zmordowani, u kresu sił, co wieczór padamy na łóżka

i zasypiamy kamiennym snem. Nie mamy nawet sił na pisanie listów do rodzin.

Robię duże postępy w strzelaniu. Zużyłem chyba ponad pięćset naboju na manewrach i strzelniczy. Przez te dwa tygodnie wykonałem też około pięćdziesięciu rzutów granatem ćwiczebnym.

Zrobiła się brzydka pogoda; od czasu do czasu pada deszcz. Czyżby nadchodziła już zima? Jeszcze nie — mamy dopiero piąty dzień października. Dzisiejszy poranek jest pogodny i nieco mroźny. Zapowiada się ładny dzień. Gdy wstaje świt, oddajemy honory sztandarowi. Z bronią na ramieniu wyruszamy na codzienny „footing”.

Pluton przekracza wiszącą nad fosą most, który rozbrzmiewa stukotem sześćdziesięciu par butów. Laus nie wydaje komendy: „śpiew"! Przez pół godziny słyszę tylko miarowy stukot.

Uwielbiam ten dźwięk; nie odczuwam wtedy potrzeby rozmowy. Gdy wdycham głęboko świeże, leśne powietrze, czuję w sobie tę cudowną energię życia. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wszyscy tak wspaniale się czujemy pomimo ogromnego codziennego wysiłku.

Wszyscy, jak jeden mąż, mamy promienny wyraz twarzy. Mijamy kompanię stacjonującą dziesięć kilometrów od nas, we wsi o nazwie bodajże Kriemienstowsk.

Obie kolumny oddają honory: my na komendę — „na lewo”, oni na komendę — „na prawo patrz"! Nie deformując szyku, przechodzimy do biegu, następnie powracamy do kroku marszowego, potem znów bieg. Trwa to mniej więcej półtorej godziny. Gdy przybywamy do zamku, zauważamy mnóstwo nowych twarzy.

W czasie naszej nieobecności pojawili się nowi rekruci. Myślę, że stacjonuje już tutaj przynajmniej tysiąc pięćset żołnierzy. Cóż — miejsca wystarczy dla wszystkich.

Wszyscy sierżanci-instruktorzy zajmują się tymi żółtodziobami, toteż musimy czekać przy wejściu. Ponieważ w dalszym ciągu nikt się nami nie zajmuje, po upływie godziny składamy broń w kozły i siadamy na piętach na bruku dziedzińca.

Dyskutuję trochę po francusku, trochę po niemiecku z jakimś Lotaryń-czykiem. Tak upływa poranek. Pora na posiłek. Zostawiamy broń i idziemy do stołówki.

Jest już popołudnie. Nadal ani żadnej służby, ani ćwiczeń. To nie do wiary. Nie kwapimy się do zejścia na dziedziniec, bo w każdej chwili mogą nas zapędzić do jakiejś roboty. Pchamy się wszyscy na drugie piętro, również przeznaczone na kwatery dla żołnierzy. Bierzemy znajdującą się tam

drabinę i wspinamy się po niej na strych, a stamtąd na dach, którego masywną łupkową konstrukcję intensywnie grzeje słońce. Kładziemy się na dachu, opierając stopy o rynnę, by nie spaść na dziedziniec.

Jest wspaniała pogoda; na dachu upał coraz większy. Wkrótce wszyscy paradujemy z nagim torsem, jak na plaży. W końcu spiekota jest już nie do zniesienia i spora liczba kolegów wraz ze mną opuszcza tę kryjówkę. Mieliliśmy niezły ubaw, obserwując, jak gromada zdrowo opieprzonych fryców uganiała się po dziedzińcu.

Schodzę na dół w towarzystwie tego durnego Lotaryńczyka, który cały czas zawraca mi głowę swoimi studiami medycznymi. Ponieważ w przyszłości mam zamiar pomagać ojcu w jego fachu technicznym, tematyka ta nieco mnie deprymuje. A poza tym, po co snuć projekty zawodów cywilnych, skoro jesteśmy w wojsku!

Na dziedzińcu, na szczęście, nikt do nas nie woła, wobec tego przechadzam się swobodnie i po raz pierwszy z uwagą studiuje potężną bryłę zamku. Wszystko tu jest ogromne: najmniejsze schody mają co najmniej sześć metrów szerokości, najmniejszy element drewniany grubo ciosany, jak belka lub łuk przyporowy, mierzy nie mniej niż pół metra grubości. Zamkowy krużganek to konstrukcja łącząca cztery imponujące okrągłe wieże, mająca około piętnastu metrów szerokości, dwadzieścia metrów długości i osiem metrów wysokości. Rozmiary całego gmachu są tak imponujące, że człowiek zapomina o posępnym wyglądzie fortecy.

Za wejściem, które opisałem powyżej, ciągną się równoległe budynki stanowiące przedłużenie muru obronnego. Na ich krańcu cztery baszty podobne do wież krużganka wieńczą bryłę zamku.

Ta piękna architektura wywiera na mnie wielkie wrażenie. W istic wagnerowskiej scenerii ogarnia mnie poczucie niezmierzonej potęgi. W oddali, na horyzoncie, otaczają nas niekończące się lasy ciemnozielonej barwy.

Następne dni, choć upływały na ciężkiej pracy, dały mi prawdziwą satysfakcję. Uczę się jeździć ciężkim motocyklem, następnie volkswagenem, wreszcie steinerem. Czuję się tak pewny siebie, że prowadzenie tych pojazdów wydaje mi się dziecinnie proste. Mimo że nie jestem dobrym kierowcą, daję sobie radę w najróżniejszych warunkach. W sumie uczy się nas piętnastu. Zasiadamy po kolei za kierownicą, nie przestrzegając przy tym żadnej dyscypliny. Bawimy się jak chłopcy, bo w gruncie rzeczy jeszcze nimi jesteśmy.

10 października. Nadal utrzymuje się piękna pogoda, ale rano jest pięciostopniowy mróz. Cały dzień ćwiczymy jazdę transporterem, pokonując strome zbocza. Jedzie nas piętnastu. Wehikuł przewidziany na osiem osób okazuje się bardzo niewygodny. Musimy dokonywać cudów zręczności, by utrzymać równowagę. Śmiechu było co niemiara przez cały dzień. Wieczorem już każdy z nas jest w stanie prowadzić transporter. Czujemy się tak obolali, jakby ktoś nas okładał kijem.

Nazajutrz rano z zapalem oddajemy się ćwiczeniom fizycznym, między innymi po to, by się rozgrzać. W pewnej chwili Laus przerywa zaprawę.

— Sajer! — woła.

Robię krok do przodu, występując z szeregu.

— Porucznik Starfe potrzebuje kierowcy transportera, a ponieważ wczoraj szczególnie się wyróżniliście... Idźcie się przebrać w mundur.

Salutuję, po czym błyskawicznie wybiegam z szyku. To niemożliwe... Jestem najlepszym kierowcą w plutonie! Skaczę z radości. W mgnieniu oka przebieram się i wracam na dziedziniec. Biegnę w kierunku budynku dowództwa. Niepotrzebnie: Starfe czeka już na placu. Jest to chudy mężczyzna o ostrych rysach twarzy, lecz nie ponurak. Został ponoć ciężko ranny w Belgii i służy teraz w wojsku jako instruktor. Wypreżam się na baczność.

— Znacie drogę na Kriemienstowsk? — pyta. — Jawohl, Hen Leutnant.

Prawdę mówiąc, jedynie się domyślałem, że chodzi o drogę, na której czasami mijaliśmy w trakcie ćwiczeń kompanie idące prawdopodobnie z tej wioski. Jestem jednak zbyt szczęśliwy, by pozwolić sobie na jakiegokolwiek wahania. Chociaż raz wymaga się ode mnie czegoś innego niż ćwiczeń w ramach musztry.

— W porządku — mówi. — No to idziemy.

Starfe wskazuje mi wczorajszy transporter. Z tyłu pojazdu znajduje się czterokołowa przyczepa. Jest to właściwie działo dalekosiężne, osiemdziesiątka ósemka przykryta plandeką maskującą. Siadam na miejscu kierowcy. Wskaźnik paliwa pokazuje dziesięć litrów. To za mało. Proszę o pozwolenie uzupełnienia zbiornika. Dostaję zgodę, a także pochwałę, że pamiętałem o tej podstawowej czynności. Po kilku minutach ruszamy. Transporter dość niepewnie mija krążganek i most. Nie śmiem spojrzeć na Starfego, który na pewno widzi moją beznadziejną jazdę. Po przejechaniu około sześciuset metrów skręcam na drogę wiodącą prawdopodobnie do Kriemienstowska. Przez dziesięć minut jadę dość powoli, gdyż nie jestem pewny trasy. Mijamy dwa polskie wozy pełne siana. Czmychają czym prędzej przed moim Kleinpanzerem. Widząc to, Starfe spogląda na mnie z uśmiechem.

— Myśleli, że naumyślnie jechałeś prosto na nich. Do głowy by im nie przyszło, że nie panowałeś nad tym transporterem! — śmieje się szydyczko.

Nie wiem, czy mam się śmiać, czy też potraktować to jako ostrzeżenie. Jestem coraz bardziej spięty. Nieszczęsnemu porucznikowi lepiej już by się jechało na dromaderze. Dojeżdżamy w końcu do kilku obskurnych zabudowań. Na próżno szukam jakiejś tablicy z nazwą miejscowości. Kręcą się tu tylko dotknięte albinizmem dzieci, które wążą prawie pod gąsienice, by móc obserwować nasz przejazd.

Skręcając na plac, dostrzegam nagle ze sto parkujących pojazdów niemieckich.

Równocześnie Starfe wskazuje mi budynek z powiewającą flagą. To tu. Uff! Oddycham z ulgą. Rzeczywiście była to droga na Kriemienstowsk.

— Masz przeszło godzinę — odzywa się Starfe. — Idź do kantyny. Może uda ci się zjeść coś ciepłego.

Gdy wymawia te słowa, czuję na barku jego prawą rękę. Wzrusza mnie do głębi ten przejaw sympatii ze strony porucznika, którego przeklinałem w myślach przez całą drogę. Nigdy bym nie przypuszczał, że facet o tak surowej twarzy może zdobyć się na równie ojcowski gest pod moim adresem. Mimo że wzmaga się chłód, czuję ogarniającą mnie falę ciepła. Pewnym krokiem zmierzam w kierunku gmachu przypominającego siedzibę władz miejskich. Na dużej tablicy widnieje napis SOLDATENSCHENKE 27e KOMPANIE. Cały czas widać wchodzących i wychodzących żołnierzy. Nie dostrzegam żadnego ordynarna. Wchodzę bez wahania, po czym przemierzam pomieszczenie, w którym trzech frontowców zajętych jest rozpakowywaniem skrzyń z żywnością. W głębi następnej izby znajduje się bufet, przy którym rozmawia kilku żołnierzy.

— Czy mogę dostać coś ciepłego? Przywiozłem właśnie oficera, ale nie jestem z 27.

— Hmm — mruczy żołnierz za ladą bufetu. — Jeszcze jeden Alzatzczyk, co myśli, że zna niemiecki!

Rzeczywiście moja niemczyzna jest fatalna.

— Nie jestem Alzatzczykiem, lecz pół-Niemcem ze strony matki — oświadczyłem.

Żołnierze nie wtrącają się do naszej rozmowy. Ten zza bufetu odchodzi, udając się do kuchni. Stercę na środku sali, opatulony w wielki, zielony płaszcz. Po pięciu minutach facet wraca, przynosząc dymiącą menażkę wypełnioną do połowy kozim mlekiem. Dowcipniś dolewa do niej wypełniony po brzegi duży kieliszek alkoholu i podaje mi całość bez słowa.

Piję, mimo że pali mnie od tego gardło. Czuję na sobie wzrok wszystkich obecnych. Nigdy nie lubiłem alkoholu, ale choćby nie wiem co, wypiję ten litr płynu, aby nie uchościć w ich oczach za panienkę.

Bez pożegnania rozstaję się z tą grupą prostaków i wychodzę na zewnątrz. Tym razem rzeczywiście czuję polską zimę. Niebo jest zachmurzone, lecz termometr wskazuje sześć stopni poniżej zera.

Nie wiem za bardzo, dokąd mam teraz iść. Plac jest niemal pusty. W okolicznych domach Polacy zapewne grzeją się przy ciepłych piecach. Zmierzam w kierunku parku samochodowego, gdzie przy ciężarówkach krzątają się żołnierze. Zamieniam z nimi kilka zdań, lecz ci odpowiadają bez zbytniego entuzjazmu. Chyba jestem dla nich za młody; faceci mają co najmniej trzydziestkę. Kiedy tak chodzę od jednego do drugiego, spostrzegam trzech brodatych mężczyzn opatulonych w długie płaszcze wojskowe brunatnofioletowej barwy, tnących pień drzewa za pomocą dużej piły. Po raz pierwszy widzę takie mundury.

Podchodzę do nich z uśmiechem, zadając banalne pytanie: „jak leci”? Przerwywają pracę i prostują się bez słowa. Domyślam się, że ich gęste brody kryją uśmiech. Jeden z nich jest wysoki i krzepki, dwaj pozostali są niscy i krępej budowy. Zadaję ze dwa, trzy pytania, które pozostają bez odpowiedzi.

Faceci cały czas się uśmiechają. Słowo daję, kpią sobie ze mnie! Wtem słyszę z tyłu jakieś kroki, po czym ktoś się odzywa:

— Zostaw ich w spokoju! Przecież wiesz, że nie wolno z nimi rozmawiać. Wyjątek to oczywiście wydawanie rozkazów.

— Ale te dzikusy nie odezwały się do mnie ani słowem. Ciekaw jestem, co tacy robią w Wehrmachcie? — wypaliłem.

— Teufell — zazgrzytał zębami chłopak, który podszedł, by mnie zbesztać. — Widać, że jeszcze nie byłeś na froncie. Ci faceci to jeńcy! Rosyjscy jeńcy! Jak przypadkiem znajdziesz się na froncie i zobaczysz takiego, zanim on zobaczy ciebie, strzelaj! Strzelaj bez wahania, bo inaczej nie zobaczysz następnego.

Stoję jak osłupiały i po raz ostatni zerkam na Rosjan, którzy powrócili już do pracy. To są więc nasi wrogowie... ci, co strzelają do niemieckich żołnierzy! Do żołnierzy, których mundur noszę. A więc dlaczego uśmiechali się do mnie?

Jeszcze przez piętnaście dni przebywam w zamku z kolegami z 19. kompanii wyznaczonej do służby w wojskach transportowych. W ich towarzystwie zapominam o przykrym epizodzie w budynku 27. kompanii, złożonej wyłącznie z nieprzyjemnych typów. Muszę jednak dodać na ich obronę, że żołnierze ci służyli w armii od 1940 roku.

Tu w 19. są tylko bardzo młodzi ludzie, tacy jak ja. Śmiejemy się z najbardziej błahego powodu i pomimo beznadziejnej pogody z wielkim entuzjazmem zaliczamy codzienne ćwiczenia wojskowe.

Nadeszła zima. Obfite deszcze i śniegi przekształcają ziemię w lepiącą się maź. Z ćwiczeń wracamy późnym wieczorem, ubłoceni i wycieńczeni, lecz pełni radości tak typowej dla młodych, zdrowych ludzi.

Owo zmęczenie jest niczym w porównaniu z tym, co nas czeka. Wieczorem grzejemy się w wygodnych łóżkach, żartując, dopóki nie zaśniemy snem sprawiedliwego.

28 października. Jest paskudna pogoda, choć niezbyt mroźnie. Przez całą dobę gwałtowne podmuchy wiatru gnają po niebie ciemne chmury, przynoszące fale zacinającego deszczu. Przemoczeni i zmęczeni podoficerowie nie wyprowadzają nas na ćwiczenia. Przez większość czasu doskonalimy umiejętność jazdy i zgłębiany problemy techniczne. Jak na razie nie znam

podlejszej czynności niż grzebanie w silniku podczas zacinającego deszczu.

Temperatura cały czas utrzymuje się w granicach zera.

30 października. Pada deszcz i jest zimno.

Po oddaniu honorów sztandarowi otrzymujemy rozkaz udania się do magazynu gospodarczego. Nie dociekając zbyt powodu, idziemy w wyznaczone miejsce.

Przynajmniej tam nie pada. W magazynie mieszczącym się w dość okazałym budynku dwa pierwsze plutony naszej kompanii kończą właśnie pobieranie zaopatrzenia. Chłopaki wychodzą, obładowani najprzeróżniejszymi produktami żywnościowymi, kocami, skarpetami itd. Ja dostaję cztery puszki delikatesowych sardynek francuskich, dwie duże kiełbasy warzywne w celofanie, paczkę sucharów witaminizowanych, dwie tabliczki szwajcarskiej czekolady, wędzoną słoninę i ze ćwierć kilograma cukru w kostkach. Kilka kroków dalej magazynier rzuca mi na zajęte już ramiona nieprzemakalną pałatkę, parę skarpet i parę wełnianych rękawic. Przy wyjściu otrzymuję poza przydziałem płócienny pakunek z napisem „opatrunek indywidualny pierwszej potrzeby”. W strugach deszczu dołączam do grupy żołnierzy zgromadzonych wokół oficera, który wdrapał się na platformę ciężarówki. Opatulony w długi skórzany płaszcz szarozielonej barwy, porucznik zdawał się czekać, aż zbierze się cała kompania. Gdy uznał, że wszyscy już są, zaczął do nas przemawiać. Mówił zbyt szybko, bym wszystko zrozumiał, niemniej zapamiętałem te oto słowa:

— Wkrótce opuście te koszary, aby zapewnić ochronę kilku pociągów wojskowych mających dotrzeć w pobliże frontu. Otrzymaliście przydział żywności na osiem dni.

Dołączcie ją do swojego ekwipunku. Zbiórka za dwadzieścia minut. Rozejść się!

Pospiesznie, w pełnej niepokoju ciszy, wracamy do kwater i pakujemy skromny dobytek. Gdy zapinam plecak, mój sąsiad z pokoju zadaje mi pytanie:

— Kiedy wyjedziemy?

— Nie wiem.

— Napisałem przedwczoraj do rodziców, żeby przysłali mi kilka książek.

— Dostaniesz przesyłkę pocztą wojskową.

W tym momencie ten szatan Halls klepie mnie w ramię.

— Nareszcie zobaczymy Rosjan! — ryczy, śmiejąc się szyderczo.

Odnoszę wrażenie, że śmieje się, by dodać sobie odwagi. Wszyscy przecież są poruszeni tą wiadomością i pomimo błogiej nieświadomości, myśl o wojnie paraliżuje nas.

Jeszcze raz wychodzimy na dziedziniec w strugach tego cholernego deszczu. Każdemu z nas oficjalnie wydaje się mauzera i dwadzieścia pięć naboji. Nie wiem, czy to właśnie z tego powodu, ale zauważam, że wszyscy jesteśmy coraz bledsi. Myślę jednak, że jest to wybacalne. Przecież żaden z mych hardych towarzyszy nie ma jeszcze osiemnastu lat. Ja sam skończę dopiero siedemnastkę za dwa i pół miesiąca. Porucznik dostrzega nasz niepokój.

Aby podnieść nas na duchu, odczytuje nam najświeższy komunikat Wehrmachtu: von Paulus znajduje się nad Wołgą; von Richthofen jest już niedaleko Moskwy. Anglicy i Amerykanie ponieśli wielkie straty, usiłując zbombardować miasta Rzeszy. Słyszając nasze okrzyki: Sieg Heil, oficer uspokaja się. Cała 19. kompania przeży się na bacność przed sztandarem.

Wśród nas jest także Laus, nasz feldfebel, w hełmie i pełnym oporządzeniu. W długim futerale z czarnej, lśniącej w deszczu skóry trzyma karabin maszynowy. Wszyscy zachowujemy milczenie. Wreszcie rozlega się sygnał wymarszu, niczym przenikliwy gwizd ruszającego ekspresu.

—Achtung! Rechts um. Raus!

Maszerując kolumną trójkową, opuszczamy miejsce, w którym trzystu żołnierzy naszej kompanii zdążyło już żyć się ze sobą. Po raz ostatni przekraczamy kamienny most, po czym dochodzimy do drogi, którą przyszliśmy tu półtora miesiąca temu. Kilka razy oglądam się za siebie, zerkając na potężną, szarą bryłę starego polskiego zamku, którego już nigdy nie zobaczę. Nawet chętnie wpadłbym w melancholijny nastrój, gdyby nie moi koledzy, którzy starali

się podtrzymać mnie na duchu. Przestało padać. Przybywamy do Białegostoku, gdzie aż roi się od żołnierzy. Idziemy w kierunku dworca.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROSJA

Jesień 1942

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kierunek Stalingrad

Mińsk, Kijów. Chrząst bojowy Charków

Znajdujemy się na dworcu, obok stojącego pociągu. Pada komenda ustawienia broni w kozły na torowisku i złożenia sprzętu. Jest dwunasta lub pierwsza po południu. Laus wyjął z plecaka zapasy i coś przegryza. Jego twarz, choć niezbyt przyjazna, stała się nam bliska, a sama obecność feldfebla dodaje otuchy. Czynność tę odbieramy jak sygnał: wyjmujemy zapasy żywności. Niektórzy zjadają równowartość dwóch posiłków. Laus dostrzega to, stwierdzając jedynie:

— Wpieprzajcie, wpieprzajcie wszystko...! Ale przez osiem dni nie będzie przydziału żywności!

Mimo to wydaje nam się, że zjedliśmy zaledwie połowę ilości, która byłaby w stanie zaspokoić nasz wilczy apetyt. Zrobiło się nieco cieplej.

Jesteśmy tu od dwóch godzin i zimno staje się coraz dokuczliwsze. Przechadzamy się tu i tam, gawędząc żartobliwie. Tupiemy stopami dla rozgrzewki. Niektórym udaje się nawet coś pisać. Mam zbyt zgrabiące palce, by móc się tym zająć. Obserwuję, co się dzieje dookoła. Cały czas przejeżdżają pociągi z zaopatrzeniem dla wojska. Na dworcu zrobił się niezły korek, liczący mniej więcej sześćset metrów. Na tej stacji rozrządowej jest bardzo zła organizacja pracy. Pociągi posuwają się do przodu, po czym cofają się po torach, przy których inne kompanie, przybyłe nie wiadomo skąd, czekają tak jak my. Jacyś faceci biegają i przepuszczają pociągi, które za chwilę pojedą w przeciwnym kierunku. Co za burdel! Wydaje się, że pociąg, przy którym czekamy, będzie tu tkwił całą wieczność. Może w ogóle nie warto, by wyjechał?

W ramach ćwiczeń fizycznych podciągam się na wysokość otworów wagonowych, przez które było może zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Zamiast zwierzętami, pociąg ten załadowany jest po brzegi skrzyniami z amunicją!

Przebywamy tu już cztery godziny. Jesteśmy zziębnięci z powodu bezczynności. Jest mróz i powoli zapada noc. Dla zabicia czasu ponownie sięgamy do zapasów żywności. Mimo nocnej pory ruch na kolei trwa nadal w słabym świetle lamp. Nawet Laus zdaje się mieć już tego wszystkiego dość. Nacisnął głębiej furazerkę i podniósł kołnierz płaszcza. Przechadza się tam i z powrotem. Przeszedł tak chyba przynajmniej dwadzieścia kilometrów. Tworzymy już zgraną paczkę; rozstanie nastąpi dopiero dużo później. Są tu znajome twarze z Chemnitz: Lensen, Olensheim, Halls. Tych trzech Niemców mówi tak źle po francusku, jak ja w ich ojczystym języku. Jest też Morvan, Alzatczyk, i Uterbeick, Austriak, o ciemnych, kręconych włosach jak u tancerza włoskiego — później odłączy od nas. I wreszcie ja — pół Francuz, pół Niemiec. Wszyscy robimy postępy w nauce obu języków, oprócz tego cholernego Uterbeicka, który ustawicznie wyśpiewuje cichym głosem tkliwe włoskie piosenki. Te poetyckie lamenty są całkowicie nie na miejscu i jak najbardziej obce uszom przywykłym raczej do Wagnera niż do włoskich kompozytorów. Więcej powiem — to lamenty porzuconego nea-politańskiego kochanka!

Halls ma zegarek z fosforyzującą tarczą, na której odczytujemy ósmą trzydzieści. Nasz

wyjazd jest pewny. Przecież nie będziemy tu spali. Niestety tak...! Godzinę później niektórzy z nas wyciągają koce i padają na nie. Robią to na ogół na wyżej położonych partiach terenu, by uniknąć wilgoci. Niektórzy odważają się położyć pod wagonami. Oby tylko pociąg nie ruszył!

Nasz sierżant siada po prostu na stosie podkładów kolejowych. Pali papierosa i wygląda na śmiertelnie znużonego po ciągłym spacerowaniu tam i z powrotem. Nie możemy się pogodzić z myślą, że trzeba będzie spędzić noc na dworze. To niedopuszczalne, by pozwolono nam tu spać. Wkrótce rozlegnie się sygnał do wyjazdu. Widzę już, jak ci wszyscy durnie, którzy nie mieli cierpliwości czekać, będą się mieli z pyszna, musząc w pośpiechu związać koce.

Właściwie mogliśmy zrobić, to co oni — zyskalibyśmy chociaż dwie godziny snu. Minęły dwie godziny. Ciągłe siedzimy na kamieniach torowiska. Jest coraz zimniej; zaczyna się drobny deszcz. Nasz poczciwy feldfelbel kleci sobie budkę z podkładów. To wcale niegłupie! Narzuca jeszcze na to nieprzemakalną pałatkę, co całkowicie chroni go od deszczu. Szczwany lis z niego.

Czas już, abyśmy również znaleźli jakieś porządne schronienie. Nie możemy oddalić się od złożonej w kozły broni, ustawionej zresztą lufami do góry, i to podczas padającego deszczu. Ależ była później awantura z tego powodu! Najlepsze miejsca są już oczywiście zajęte i pozostaje nam szukać schronienia pod wagonami. Wcześniej wpadliśmy na pomysł, by wejść do ich wnętrza, lecz drzwi były mocno związane żelaznymi drutami. Klnąc, na czym świat stoi, sadowimy się w tym niebezpiecznym i prowizorycznym miejscu. Krople zacinającego deszczu dostają się pod wagony. I to ma być niemiecka armia! Jesteśmy wściekli. Wspomnienie tego błędnego epizodu wywoływać będzie później tylko uśmiech...

Mimo wszystko zdołaliśmy choć częściowo schronić się przed tym cholernym deszczem. Była to moja pierwsza noc pod gołym niebem. Nie muszę dodawać, że jeżeli od czasu do czasu udało mi się zasnąć, to co najwyżej na kwadrans. Pamiętam, jak przez długie chwile wpatrywałem się w ogromną oś, która była moim baldachimem. Na skutek zmęczenia miałem wrażenie, że się obraca, jak gdyby pociąg był w ruchu. Zrywałem się gwałtownie ze snu, stwierdzając, że nic się nie porusza, po czym znów zapadałem w półsen, by ponownie budzić się przerażony. O świcie wychodziliśmy z tego zaimprovizowanego hotelu kichający i skostniaли z zimna — wyglądaliśmy jak z krzyża zdjęci.

Około ósmej — zbiórka. Ruszyliśmy w kierunku peronu, gdzie nastąpić miał załadunek. Halls przez cały czas powtarzał, że mogliśmy zostać dzień dłużej w zamku i wyruszyć wczesnym rankiem, aby być tu na czas. Ten poczciwiec, podobnie jak my, nie miał jeszcze najmniejszego pojęcia o brutalnej bezwzględności wojskowego życia podczas wojny. Była to nasza pierwsza noc na dworze. I nie ostatnia. Wkrótce mieliśmy poznać kolejne, i to o wiele gorsze.

Zostaliśmy konwojentami pociągu. Naszą kompanię przydzielono do trzech długich składów z zaopatrzeniem wojskowym. Na wagon przypadało od dwóch do trzech żołnierzy. Mnie, wraz z Hallsem i Lensenem, skierowano na platformę załadowaną skrzydłami samolotowymi z czarnymi krzyżami i innymi częściami znajdującymi się pod plandeką. Był to pociąg ze sprzętem dla Luftwaffe. Po napisach wnioskowaliśmy, że jechał z Ratzbo-ny do Mińska. Mińsk, Rosja... Na myśl o tym wszyscy wpadaliśmy w zadumę.

Nadal nie opuszczał nas pech. Przydzielono nam odkryty wagon. Padający deszcz stopniowo zamieniał się w śnieg. Przeróżliwe zimno dawało się jeszcze bardziej we znaki podczas jazdy pociągiem. Nie namyślając się długo, wśliznęliśmy się pod grubą plandekę zakrywającą potężny silnik do Do-17. Przestał wiać zimny północny wiatr. Siedząc ciasno jeden przy drugim, mieliśmy choć odrobinę ciepła. Tkwieliśmy tam przez dobrą godzinę, śmiejąc się jak idioci. Jechaliśmy z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co też może dziać się na zewnątrz. Od czasu do czasu dochodziły do

nas odgłosy pociągów jadących w przeciwnym kierunku.

W pewnej chwili Lensenowi wydawało się, że prócz odgłosu pociągu słyszy jakieś wołanie. Ostrożnie wychylił głowę spod plandeki.

— To Laus — stwierdził spokojnie, po czym nakrył się ponownie.

Dziesięć sekund później plandeka została zerwana i nad naszymi roześmianymi gębami pojawił się kipiący z wściekłości feldfobel. Laus miał nałożony hełm i rękawice; widać było, że jest na służbie. Jego twarz i płaszcz

były ośnieżone, podobnie jak cały pociąg, który — widoczny za sylwetką sierżanta — kołysał się rytmicznie. Usłyszeliśmy wydaną grzmiącym głosem komendę „bacność"! Jednakże wstrząsy jadącego pociągu nie pozwoliły nam przyjąć postawy, jaka w takich okolicznościach na ogół jest wymagana. Była to groteskowa sytuacja. Ciągłe jeszcze mam przed oczyma tego wariata Hallsa: jego długa sylwetka kołysała się na prawo i lewo, gdyż facet bezskutecznie usiłował utrzymać pozycję pionową. Jeśli o mnie chodzi, mój długi płaszcz wplątał się w któryś z licznych elementów silnika lotniczego i ani przez chwilę nie mogłem całkowicie się wyprostować. Także Laus nie zdołał przyjąć godniejszej postawy od nas. Zirytowany, uklęknął jednym kolanem na podłodze wagonu. Poszliśmy w jego ślady. Patrząc z pewnej odległości na nasze głowy znajdujące się tuż obok siebie, można by odnieść wrażenie, że chodzi o czwórkę konspiratorów szepczących sobie do ucha jakiś sekret. W rzeczywistości słuchaliśmy, jak sierżant opieprzał nas zdrowo.

— Co wyście tu, kurwa, robili?! — ryczał Laus. — Gdzie wy w ogóle jesteście?! Myślicie, że po co znaleźliście się w tym pociągu?!

Halls, jako najbardziej spontaniczny w grupie, odważył się przerwać ten potok słów:

— Nie dało się pozostać na zewnątrz. Ziąb był nie do zniesienia, a poza tym niczego nie trzeba było pilnować...

Było oczywiste, że wypowiadając te słowa, Halls absolutnie nie wyczuł sytuacji.

Niczym ogarnięty szalem goryl, sierżant chwycił kolegę za kołnierz i zaczął nim potrząsać, wyrzucając z siebie stek przekleństw.

— Sporządzą raport! Na pierwszej stacji wyślę was do karnego batalionu! To jest opuszczenie posterunku! Za to grozi pluton egzekucyjny... A gdyby tak eksplodował wagon za wami, co? W tym kącie niczego, kurwa, byście nie zauważyli!

— O co chodzi? — zaryzykował Lensen — wagon wyleci w powietrze?

— Stul pysk, idioto! Działają partyzanci, którzy zapuszczają się aż pod tory. Jak ich nie wysadzają, to rzucają w przejeżdżające wolno pociągi materiały wybuchowe albo zapalające. Po to tu jesteście, aby temu zapobiec! Nakładać hełmy i jazda na przód wagonu albo zrzucić was z platformy!

Nie kazaliśmy sobie tego powtarzać dwa razy i pomimo przenikliwego, ścinającego twarz zimna, zajęliśmy wskazane miejsce. Laus miał kolejne partie sprzętu, skacząc jak akrobata z wagonu na wagon. Rzeczywiście nie był z niego dekownik. Facet miał poczucie ciężkiego na nim obowiązku. Nigdy nie widziałem, aby unikał powierzonego mu zadania. Chyba dlatego dostrzegłem w nim coś sympatycznego, mimo że nigdy się do niego nie odezwałem. Pozostali feldfobele z kompanii moim zdaniem mniej przykładali się do zwykłej służby, utrzymując, że są powołani do ambitniejszych zadań. Kiedy jednak trzeba było się wykazać w takiej sytuacji, Laus robił to równie dobrze jak oni, jeśli nie lepiej. Był najstarszy spośród nich. Nie wiedzieliśmy, czy był już na froncie. W gruncie rzeczy był taki jak wszyscy szefowie-dzierżymordy na całym świecie: obawiając się odpowiedzialności, z miejsca zatruwał nam życie.

Rugając nas zdrowo, dał nam słusznie do zrozumienia, że skoro nie jesteśmy w stanie znieść niezbyt dokuczliwego zimna i pełnić służby, kiedy ryzyko jest prawie żadne, to jak sobie poradzimy, gdy trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Jeśli o mnie chodzi, Laus rozwiązał wszelkie wątpliwości! Nagle zdałem sobie sprawę ze swej roli. Czyż nie byłoby

głupotą dać się zabić przez jakiegoś partyzanta, zanim jeszcze zobaczy się coś innego? Przejedźdźmy przez las złożony z niskich, zaśnieżonych świerków. Mogę teraz do woli roztrząsać dylemat moralny podsunięty przez feldfebla, jak również podziwiać krajobraz. Północna Polska rzeczywiście jest słabo zaludniona. Mijamy zaledwie kilka wiosek. Nagle daleko przed pociągiem dostrzegam biegnącą wzdłuż torów sylwetkę. Nie sędzę, bym tylko ją zauważył, ale dosłownie nikt w poprzedzających nas wagonach nie reaguje. Momentalnie szczęknął zamek mojego mauzera. Ustawiłem broń w odpowiedniej pozycji na leżącej przede mną skrzyni i wycelowałem w człowieka, który mógł być tylko partyzantem. Pociąg jechał powoli, toteż z łatwością można było rzucić materiał wybuchowy. Wkrótce mężczyzna znalazł się na mojej wysokości. Nie dostrzegłem nic osobliwego w jego zachowaniu. Był to zapewne polski drwał, który zbliżył się z ciekawości. Trzymając ręce na biodrach, obserwował spokojnie pociąg. Zbiło mnie to z tropu. Przygotowałem się do strzału, a tymczasem nic nie usprawiedliwiało takiego zachowania. Nie wytrzymałem. Wymierzyłem nieco ponad jego głowę i pociągnąłem za spust. Huk wystrzału wstrząsnął powietrzem, a kolba, którą nerwowo manipulowałem, przygotowując się do strzału, uderzyła mnie gwałtownie w ramię. Nieborak zmykał, ile sił w nogach, obawiając się najgorszego. Jestem przekonany, że z powodu mojego nierozważnego kroku przysporzyłem Rzeszy jeszcze jednego wroga. Pociąg nie zwolnił. Kilka chwil później pojawił się Laus, który pomimo zimna w dalszym ciągu odbywał swój niekończący się patrol. Spojrzał na mnie osobliwym wzrokiem. Wbrew rozkazowi postanowiliśmy pełnić służbę na przemian. Kiedy dwóch z nas czuwało, trzeci usiłował rozgrzać się pod plandeką. Jechaliśmy bez przerwy już mniej więcej od ośmiu godzin. Obawialiśmy się nocy, którą trzeba chyba będzie spędzić w tych warunkach. Zastępowałem Hallsa już od dwudziestu minut i przez cały czas nie mogłem opanować drżenia z powodu zimna. Zbliżała się noc; może byliśmy już niedaleko Mińska...? Pociąg jechał teraz trasą jednotorową. Zarówno z północy, jak i z południa otaczały nas ciemne bory. Od kwadransa jechaliśmy szybciej, przez co oczywiście zmarzliśmy na dobre, mimo że zdążyliśmy już pochłonąć znaczną część zapasów, by nie brakowało nam kalorii. Nagle pociąg zwolnił. Zazgrzytały hamulce, urządzenia sprzęgowe za-kołysały się gwałtownie. Wkrótce poruszaliśmy się z prędkością rowerzysty. Zauważyłem, że przód pociągu skręca w prawo. Wjeżdżaliśmy na trasę lokalną albo na bocznice. Jechaliśmy jeszcze około pięciu minut, po czym pociąg zatrzymał się. Z pierwszych wagonów wyskoczyło dwóch oficerów, którzy ruszyli w kierunku końca pociągu. Naprzeciw wyszedł Laus wraz z dwoma podoficerami. Obie grupy zaczęły dyskutować, jednak ani słowem nie zdradzono nam, o co chodzi. Wzmogliśmy czujność, spoglądając na prawo i lewo. Otaczający nas las sprzyjał zasadzkom. Staliśmy tam od kilku minut, gdy usłyszeliśmy dalekie odgłosy pociągu. Zdążyliśmy już opuścić wagony, by trochę pochodzić i rozgrzać się. Dźwięki gwizdka i energiczne gesty przełożonych zapędziły nas z powrotem na stanowiska. W oddali, na prawym torze, ukazał się dymiący parowóz jadący ze zgaszonymi światłami. To co zobaczyłem, napełniło mnie grozą. Chciałbym być utalentowanym pisarzem, by móc opisać obraz, jaki pojawił mi się przed oczyma. Najpierw ujrzałem wypełniony sprzętem kolejowym wagon, który lokomotywa pchała przed sobą, co zasłoniło mi ledwo widoczne jej światła, następnie przetoczył się dymiący i sapiący parowóz, potem tender i zamknięty wagon, na którego dachu widniała krótka rura od pieca, skąd wydobywał się słaby dym. Była to zapewne kuchnia. Do tego wagonu doczepiony był następny, o wysokich burtach, pełen niemieckich żołnierzy pod bronią. Podwójnie sprzężony karabin maszynowy wycelowano na pozostały skład pociągu. Reszta wagonów to platformy mniej więcej przypominające naszą, lecz załadunek ich był zgoła odmienny. W przedniej części toczącej się przed mymi osłupiałymi oczyma platformy dostrzegłem jakąś bezkształtną masę. Kiedy przyjrzałem się uważniej, zauważyłem stertę leżących mężczyzn. Tuż za nimi tłoczyli się inni — siedzieli w

kucki lub stali. Każdy wagon wypełniony był nimi do granic możliwości. Któryś z kolegów, bardziej zorientowany niż ja, wyszeptał tylko dwa słowa:

— Rosyjscy jeńcy.

Zdawało mi się, że rozpoznaję brunatne płaszcze, które widziałem kiedyś w okolicach zamku, ale była już prawie noc. Halls spojrział na mnie. Moja twarz, nie licząc czerwonych odmrożeń, była trupioblada.

— Widziałeś? — szepnął. — Kładą trupy z przodu, aby ochronić się przed zimnem.

— Uhm... — wyjąkałem osłupiały.

Rzeczywiście — każdy wagon miał z przodu tarczę z trupów. Sparaliżowany tym strasznym widokiem, nie mogłem oderwać oczu od defilującego przede mną powoli makabrycznego spektaklu. Widziałem wycieńczone twarze i nagie stopy zeszywniałe na skutek zimna i śmierci.

Gdy minął mnie dziesiąty wagon, stało się coś jeszcze okropniejszego. Z makabrycznego ładunku, leżącego nierówno w wagonie, zsunęło się wzdłuż torów kilka ciał. Złowieszczy pociąg nie zatrzymał się. Podeszła tyl-

ko grupa naszych oficerów i podoficerów. Skład, który zdawał się nie mieć końca, defilował w dalszym ciągu. Gnany jakąś niewytłumaczalną ciekawością, zeskoczyłem z wagonu i zbliżyłem się do oficerów. Nie wiedząc zbyt wiele, co się ze mną dzieje, zsalutowałem i bełkotliwym głosem zadałem pytanie, czy ci ludzie są martwi. Jeden z oficerów spojrział na mnie zdziwionym wzrokiem. Uświadomiłem sobie, że opuściłem posterunek. Musiał dostrzec mój niepokój, ale nie zwrócił mi z tego powodu najmniejszej uwagi.

— Myślę, że tak — odparł smutnym głosem. — Pomożesz kolegom pogrzebać te ciała.

Po czym odwrócił się i oddalił. Wróciłem z Hallsiem do naszego wagonu, by zabrać łopaty i zaczęliśmy kopać dół przy nasypie. Laus z innym żołnierzem przeszukiwał ciała, usiłując znaleźć jakieś dokumenty tożsamości. Dowiedziałem się później, że większość tych biedaków w ogóle nie była zarejestrowana w urzędzie stanu cywilnego. Halls i ja musieliśmy się przemóc, by dowlec dwa ciała do dołu. Nie patrzyliśmy zresztą na nie. Gdy zasypywaliśmy je ziemią, rozległ się gwizdek wzywający do odjazdu. Byliśmy oburzeni. Robiło się coraz zimniej. Ogarnęła mnie głęboka depresja...

Godzinę później jechaliśmy wzdłuż jakichś zabudowań ciągnących się po obu stronach torów. Nawet mimo braku oświetlenia widać było znaczne zniszczenia. Minęliśmy kolejny pociąg, co prawda mniej makabryczny niż ten ostatni, ale również nasuwający smętne skojarzenia. Składał się z dużych wagonów oznaczonych czerwonymi krzyżami. Przez okna wagonowe dostrzegliśmy nosze. Musieli tam być ciężko ranni, skoro w ten sposób ich transportowano. W innych oknach widzieliśmy obandażowanych żołnierzy, którzy machali nam przyjaźnie. Dotarliśmy wreszcie na dworzec w Mińsku. Pociąg zatrzymał się przy ogromnym peronie, na którym uwijały się tłumy: żołnierze pod bronią lub w ubiorach roboczych, cywile, a także rosyjscy jeńcy otoczeni innymi jeńcami mającymi na ramieniu czerwono-białe opaski. Ci ostatni uzbrojeni byli w solidne pałki lub kije. Byli to informatorzy denuncjujący owych słynnych komisarzy ludowych, a więc antykomuniści, którzy ubiegali się o prawo pilnowania kolegów. Leżało to w naszym interesie, gdyż nikt lepiej od nich nie potrafił wyegzekwować lepszej wydajności pracy.

Rozległy się rozkazy po niemiecku, następnie po rosyjsku. W kierunku naszego pociągu ruszył tłum, po czym w świetle reflektorów stojących na peronie ciężarówek rozpoczął się wyładunek. My również uczestniczyliśmy w tej trwającej około dwóch godzin pracy, co pozwoliło nam nieco się rozgrzać. Po raz kolejny sięgnęliśmy do zapasów żywności. Ten żarłok Halls w dwa dni pochłonął przeszło połowę swojej racji. Na resztę nocy zakwaterowano nas w jakimś wielkim gmaszysku, gdzie zastaliśmy dość znośne warunki. Nazajutrz skierowano nas do szpitala wojskowego, w którym otrzymaliśmy serię zastrzyków. Pozostaliśmy w mieście dwa dni. W Mińsku rzeczywiście

widać było ślady działań wojennych. Ucierpiało wiele domów, których fasady posiekane były pociskami artyleryjskimi. Niektóre ulice były kompletnie nieprzejezdne. Leje od pocisków i bomb były tak liczne, że niekiedy stykały się ze sobą. Nierzadko miały cztery do pięciu metrów głębokości. Oj, gorąco tu było! Na rumowisku tym widać było prowizoryczne przejścia z desek i innych materiałów. Od czasu do czasu ustępowaliśmy drogi Rosjankom niosącym wielkie torby. Każdej z nich towarzyszyła trójka lub czwórka dzieciaków. Malcy spoglądali na nas wytrzeszczonymi oczyma. Widzieliśmy też osobliwe sklepy, których wąskie, rozbite witryny zastąpiono deskami albo workami wypełnionymi słomą. Aby zobaczyć, co się tam sprzedaje, Halls, Lensen, Morvan i ja kilka razy zapuściliśmy się do ich wnętrza. Stały tam wielkie, pomalowane na rozmaite barwy, kamionkowe naczynia wypełnione płynem, w którym pływały różne rośliny (były to chyba jakieś napoje), a także różnorodnymi suszonymi warzywami. Inne naczynia zawierały substancję podobną do melasy — coś pomiędzy konfiturą a masłem.

Ponieważ nie potrafiliśmy nawet powiedzieć po rosyjsku „dzień dobry”, wchodziliśmy do tych sklepów, rozmawiając między sobą. Znajdujący się tam nieliczni Rosjanie milkli na nasz widok i zastygali w bezruchu, przybierając ni to bojaźliwy, ni to pogodny wyraz twarzy. Na ogół sprzedawca (lub sprzedawczyni) zbliżał się do nas z bladym uśmiechem i aby przypodobać się nieustraszonemu wojownikowi, za jakich nas uważano, zachęcał gestem, abyśmy nabywali okazałe porcje owych produktów.

Często proponowano nam wymieszaną z tą melasą delikatną mąkę żółtawej barwy. Nie było to złe i przypominało, oczywiście z grubsza, smak miodu. Jedyne co wzbudzało obrzydzenie to nadmiar tłuszczu. Ciągle mam w pamięci rosyjskich sprzedawców, którzy wyciągali do nas z uśmiechem owo osobliwe jadalno, mówiąc do nas urlka, czy coś w tym rodzaju. Nigdy się nie dowiedziałem, czy znaczy to „bierzcie, jedzcie”, czy też po prostu tak nazywa się ta papka. Bywało, że objadaliśmy się tą urlką, co bynajmniej nie przeszkadzało nam wracać do jednostki punktualnie o jedenastej, czyli w porze wydawania posiłku.

Hałs akceptował wszystko, co Rosjanie z taką uprzejmością mu oferowali. Czasami budziło to moje obrzydzenie. Podsuwał menażkę tym sowieckim sklepikarzom, którzy z szyderczą miną napełniali ją najprzeróżniejszą, kapiącą, lejącą się masą. W jego naczyniu wymieszane były gotowane ziarna zboża, kawałki solonych śledzi, sławetna urlka i różne inne rzeczy. Ten wieprz pożerał całą tę mieszaninę z widocznym zadowoleniem.

Oprócz tych nielicznych atrakcji nie mieliśmy wiele czasu na rozrywki, a to z racji ciężących na nas licznych obowiązków. Mińsk był wielkim centrum zaopatrzeniowym wojska. Bez przerwy odbywał się załadunek i wyładunek sprzętu.

Organizacja armii na tym odcinku była znakomita. Poczta dochodziła bez przeszkód.

Żołnierzom, którzy mieli czas wolny, wyświetlano filmy (nam ten przywilej nie przysługiwał), były do dyspozycji biblioteki, a także restauracje prowadzone przez rosyjskich cywili, ale przeznaczone jedynie dla żołnierzy niemieckich. Lokale te były stosunkowo drogie i jeśli o mnie chodzi, nigdy tam nie zachodziłem. Halls, który poświęciłby wszystko, aby tylko dobrze się nażreć, wydał w nich swoje nieliczne marki i część naszych. Umówiliśmy się, że opowie nam wszystko w szczegółach, czego nie omieszkał uczynić, koloryzując oczywiście swoją relację. Mieliśmy niezły ubaw, słuchając jego opowieści.

Jedzenie mieliśmy o wiele lepsze niż w Polsce. Mogliśmy też niemal za darmo załatwić sobie to, na co mieliśmy ochotę. A było to konieczne. Początek grudnia był bardzo zimny.

Temperatura spadła do trzynastu — czternastu stopni poniżej zera, padający obficie śnieg nie topniał. Miejscami osiągał metr wysokości. Oczywiście wszystko to w poważnym stopniu pogarszało zaopatrzenie frontu, a jeśli wierzyć relacjom żołnierzy wracających z bardziej na wschód wysuniętych odcinków, gdzie mróz był jeszcze dokuczliwszy niż w Mińsku, biedacy otrzymywali tam głodowe racje. Mróz i brak kalorii powodowały szereg chorób i

dolegliwości, jak zapalenie płuc, odmrożenie kończyn itp.

Rzesza niemiecka zdobyła się wówczas na ogromny wysiłek, aby uchronić wojska przed owym straszliwym wrogiem, jakim jest rosyjska zima. W Mińsku, Kownie i Kijowie widzieliśmy ogromne sterty koców, specjalnej odzieży z baraniej skóry, wysokich butów o grubych izolujących podszewkach, których cholewy przypominające filc wykonane były ponoć z włosia. Ogromne magazyny pełne były rękawic, różnego rodzaju nakryć głowy podbitych kocią skórą, piecyków na benzynę, mazut lub suchy spirytus; piętrzyły się kartony żywności przeznaczonej na walkę z mrozem i tysiące innych rzeczy. W Mińsku mieliśmy pod dostatkiem wszystkiego. Na nas, konwojentach wojskowych, ciążył obowiązek dostarczania sprzętu i żywności aż do najbardziej wysuniętych placówek, gdzie nieszczęśni żołnierze rozpaczliwie wyglądali zaopatrzenia.

Robiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy, a jednak okazało się to niewystarczające. Nie sposób wyrazić, cośmy musieli przeżyć, przy czym nie mam tu na myśli Armii Czerwonej, która praktycznie cały czas się cofała, lecz rosyjską zimę. Niemieckie wojska inżynieryjne działały jedynie w rejonie najważniejszych aglomeracji. Miały zbyt mało czasu, by móc naprawiać stare drogi, których sieć była rzadka, lub oddawać do użytku nowe. Podczas gdy my jesienią braliśmy udział w ćwiczeniach fizycznych, Wehrmacht, po początkowych sukcesach, wraz z całym sprzętem tkwił w oceanie błota. Potem nadeszły pierwsze mrozy, które ścięły gigantyczne koleiny wiodące na Wschód. Pojazdy dostawcze ogromnie ucierpiały na tych drogach. W takich warunkach tylko czołgi mogły poruszać się ze średnią prędkością. Niemniej, dzięki stwardniałej ziemi, momentalnie poprawiło się zaopatrzenie armii. Wreszcie ogromne przestrzenie Rosji pokryły masy śniegu, co po raz kolejny spowodowało paraliż transportu.

Również my w grudniu 1942 roku odgarnialiśmy łopatami padający śnieg, aby nasze ciężarówki mogły od rana do południa przebyć około dwudziestu — trzydziestu kilometrów. Śnieżna warstwa pokrywała twardą jak kamień ziemię pełną upiornych dziur i garbów, które musieliśmy zasypywać lub wysadzać, aby wyrównać nawierzchnię. Wieczorem pośpiesznie szukaliśmy jakiegoś schronienia na noc.

Czasem był to urządzony, przygotowany przez wojska inżynieryjne barak, czasem chata lub jakikolwiek dom. Nierzadko pięćdziesiąt chłopa gnieździło się w budynku przeznaczonym dla małżeństwa z dwojgiem dzieci. Nadal najlepszym rozwiązaniem okazywały się obszerne namioty przygotowane specjalnie na kampanię rosyjską. Były wysokie i spiczaste jak indiańskie wigwamy, a do tego nieprzemakalne. Każdy z nich przeznaczony był dla dziewięciu osób. Zazwyczaj mieściło się nas tam dwudziestu. W każdym razie mieliśmy ich zbyt mało. Na szczęście, kiedy było zimno, rzucaliśmy się na swoje racje żywnościowe, a dzięki wystarczającej ilości jedzenia jakoś udało nam się przetrwać. Myśliśmy się tylko wtedy, kiedy było to możliwe, czyli rzadko. Niektórych kolegów oblaźło robactwo i pierwszą rzeczą po powrocie do Mińska było przeprowadzenie dezynfekcji.

Zaczynałem już mieć powyżej uszu tej cholernej Rosji i funkcji konwojenta. Podobnie jak wszyscy koledzy obawiałem się pierwszej walki, ale pragnąłem sięgnąć w końcu po mauzera, którego wlokłem ze sobą w nieskończoność, a z którego jak na razie nie miałem żadnego pożytku. Wydawało mi się, że strzelanie do czegokolwiek pozwoliłoby mi zemścić się na dokuczającym mi mrozie i pęcherzach. Miałem ich pełno na dłoniach od szufłowania śniegu, a przez podarte od tego rodzaju ćwiczeń wełniane rękawice wychodziły przemarznięte koniuszki palców. Było mi tak zimno w ręce i stopy, że momentami czułem, jak przejmujący ból dochodzi aż do serca. Termometr wskazywał dwadzieścia — dwadzieścia jeden stopni poniżej zera.

Stacjonowaliśmy teraz około dwudziestu kilometrów na północ od Mińska, ochraniając ogromny park samochodowy. Zajmowaliśmy siedem lub osiem domów we wsi. W największym z nich mieszkała rodzina Khorskich z dwiema córkami. Rosjanie ci

utrzymywali, że pochodzą z Krymu, „przepięknego kraju” — jak powiadali. Mężczyzna mówił po niemiecku lepiej ode mnie. Prowadzili coś w rodzaju kantyny. Mogliśmy tam spożywać posiłki i czegoś się napić, naturalnie na nasz koszt. Spotykaliśmy tam, oczywiście w innych warunkach niż na naszej kwaterze, kilku kolegów, z którymi można było pożartować.

Śnieg przestał padać, lecz mróz był coraz silniejszy. Nasza kompania przebywała tam już mniej więcej od tygodnia. Tamtego wieczoru miałem objąć dwugodzinną wartę. Przeszedłem przez park samochodowy, gdzie pół tysiąca różnego rodzaju pojazdów tkwiło na wpół zakopane w śniegu. Poprzedniego dnia bałem się, że trzeba w środku nocy przechodzić przez ten teren. Między pojazdami mógł z powodzeniem czaić się jakiś partyzant, który łatwo mógłby nas kropnąć. Stopniowo jednak oswajałem się z wojenną rzeczywistością. Jeżeli istniała prawdziwa wojna, musiała być gdzie indziej. Jedyńi Rosjanie, jakich spotkałem, to jeńcy lub sklepikarze. I pewnie nigdy nie zobaczę innych. Tak oto pokrzepiony na duchu, zbliżałem się do posterunku wartowniczego, idąc ścieżką, jaką wydeptaliśmy w śniegu. Moje stanowisko znajdowało się jakieś piętnaście metrów od pierwszych pojazdów. Prowadziła tam transeja metrowej głębokości, co w wypadku ataku pozwalało na przesuwanie się do przodu lub wycofywanie się aż do pojazdów, bez wystawiania się na ogień nieprzyjaciela. Brzegi tranzei pokrywała siedemdziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. Po każdym opadach musieliśmy ten śnieg odgarniać. Wspiąłem się na skrzynię, dzięki której wartownik miał nieco szersze pole widzenia. Byłem opatulony w koc zarzucony na płaszcz, co krępowało mi ruchy.

Nie miałem zwyczaju picia alkoholu. Jego smak wzbudzał we mnie wstręt, toteż po raz kolejny przygotowałem się na to, że będę trząsł się z zimna. Noc była jasna; zdawało mi się, że sto metrów ode mnie dostrzegam siadającego kruka. W oddali majaczył horyzont tworzący linię karłowatych drzew. Trzy spośród czterech przecinających nasz obóz linii telefonicznych rozwidlały się w różnych kierunkach. Ustawione w nieregularnych odstępach słupy podtrzymywały niestarannie umocowane przewody, zwisające niekiedy aż do ziemi. Mój nos zaczynał reagować na piekący mróz. Była to jedyna część ciała wystawiona na chłód. Nasunąłem głęboko na głowę furazerkę, której opuszczone brzegi zachodziły poniżej uszów. Na nią nałożyłem hełm. Podniesiony kołnierz puloweru, który otrzymałem w paczce od rodziców, dochodził aż do brzegów czapki.

Od czasu do czasu zerkałem na to, czego pilnowałem, zastanawiając się, w jaki sposób zdołamy w razie potrzeby błyskawicznie uruchomić te wszystkie pojazdy. Przecież silniki musiały być kompletnie zamrożone.

Tkwiłem tak już od dobrej godziny, kiedy na skraju parku pojawiła się jakaś sylwetka. Momentalnie znalazłem się na dnie tranzei. Nim wyciągnąłem ręce tkwiące wygodnie w kieszeniach, odważyłem się wysunąć oko ponad nasyp śnieżny. Postać zbliżała się w moim kierunku. Musiał to być któryś z naszych żołnierzy obchodzący posterunki. A jeśli był to bolszewik?!

Mrucząc pod nosem, wyciągnąłem ręce z kieszeni i chwyciłem za broń. Pokryty szronem zamek zmroził mi palce. Na wszelki wypadek szczęknąłem nim, wołając: Wer da?

Usłyszałem regulaminową odpowiedź, wobec tego nabój pozostał w lufie. Dobrze, że zachowałem elementarne środki ostrożności: był to oficer obchodzący posterunki.

Zasalutowałem mu.

— Wszystko w porządku?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Dobra. No to Gute Weihnacht!

— Co takiego? Mamy Boże Narodzenie?

— Tak. Popatrz tam.

Wskazał na dom Khorskich. Zawalony śniegiem dach prawie dotykał ziemi. Wąskie okna

oświetlone były bardziej, niż pozwalał na to regulamin zaciemnienia. W ich blasku dostrzegłem sylwetki kolegów. Nagle wysoko w górę wystrzelił płomień z ogromnego polana, które zapewne podpalono benzyną.

W ciszy tej mroźnej nocy unosił się z wolna pod niebiosa wydobywający się z trzystu piersi śpiew: O Weihnacht! O stille Nacht...! Czyż to możliwe? To co mogło się dzieć poza naszym obozem, straciło nagle jakiegokolwiek znaczenie. Nie mogłem oderwać wzroku od potężnego płomienia buchającego z rozżarzonego polana. Blask ognia padał na najbliższe twarze, pozostałe niktęły w cieniu. Śpiew potężniał, wykonywany teraz na kilka głosów. Nie wiem, czy to z powodu niecodziennych okoliczności, w jakich słyszałem ten śpiew, lecz chyba nigdy później nie słyszałem czegoś równie pięknego.

Po raz pierwszy, od kiedy byłem żołnierzem, zaczęły nachodzić mnie wspomnienia wczesnej, jakże niedalekiej młodości. Jak spędzano ten wieczór w moim domu? Co działo się we Francji? Komunikaty wojenne głosiły, że liczne oddziały francuskie walczą teraz u boku naszej armii. To podtrzymywało mnie na duchu. Niemcy i Francuzi biją się ramię w ramię. Jakież to wspaniałe! Już niedługo nie będę drżał z zimna. Wojna się skończy. Ile rzeczy będzie do opowiadania! Święta te nie przyniosły mi wprawdzie żadnego konkretnego prezentu, lecz nadeszło tyle dobrych wieści

O współpracy moich dwóch krajów, że czułem się całkowicie usatysfakcjonowany.

W tej chwili byłem mężczyzną i jak najdalej odrzucałem od siebie obrzydliwe marzenie — marzenie, którego się wstydziłem: pragnąłem mianowicie dostać jakąś cudowną zabawkę mechaniczną.

Koledzy kontynuowali śpiew. Na całym froncie śpiewały tak chyba miliony żołnierzy. Nie wiedziałem, że w tej właśnie chwili sowieckie czołgi T-34, korzystając z zawieszenia broni, jakie powinno obowiązywać przez okres świąt, wdzierają się na nasze wysunięte pozycje w rejonie Armotow-ska. Nie wiedziałem, że żołnierze z 6. Armii, w której służył jeden z moich wujków, giną tysiącami w stalingradzkim piekle. Nie wiedziałem, że niemieckie miasta zasypywane są gradem bomb przez lotnictwo brytyjskie

I amerykańskie.

I nigdy bym nie przypuszczał, że Francuzi odrzucają porozumienie francusko-niemieckie, co pociągnie za sobą dramat partyzantów i okrutne represje.

Były to dla mnie najpiękniejsze święta Bożego Narodzenia, święta bezinteresownej życzliwości, bez cienia złego gustu. Byłem sam pod nieskończonym gwiezdnyim sklepieniem i zdawało mi się, że czuję spływającą po lodowatym policzku łzę. Wzruszenie to nie było przejawem ani smutku, ani radości. Po prostu tak właśnie przeżywałem tamtą chwilę.

Oficerowie kazali zakończyć uroczystości i zagasić polano, nim powróciłem na kwaterę.

Halls zostawił dla mnie pół butelki wódki. Wypiłem kilka łyków, aby mu nie było przykro.

Minęły cztery kolejne dni. Nadal był silny mróz, a do tego zrywały się zawieje śnieżne.

Wychodziliśmy tylko wtedy, gdy nagliła służba. Spalaliśmy tony drewna. Domy zbudowano tak, by zachować jak najwięcej ciepła. Czasami nawet było w nich zbyt gorąco. Nie mogliśmy narzekać na los i jak to zwykle w takich okolicznościach bywa, pojawiły się problemy.

Sielanka zakończyła się około trzeciej w nocy. Drzwi naszej chaty gwałtownie pchnął jeden z wartowników. Do izby wtargnęło lodowate powietrze tudzież dwóch wojskowych. Obaj mieli zeszytniałe i zsiniałe od mrozu twarze. Rzucili się w kierunku źródła ciepła i przez jakiś czas zachowywali milczenie. Wraz z kolegami darłem się na tych idiotów, aby zamknęli za sobą drzwi. Nagle jeden z nich zaklął siarczyście, po czym rzucił komendę: „bacność”!

Ponieważ patrzyliśmy na siebie zaskoczeni, nie wiedząc o co chodzi, ten który wrzeszczał, potężnym kopniakiem przewrócił stojącą w pobliżu ławkę, po czym, powtarzając rozkaz, rzucił się w kierunku skleconego przez któregoś z żołnierzy legowiska. Rozpirzył stertę koców, płaszczy, bluz itp., którymi nasz kolega się okrył. W słabym świetle piecyka dostrzegaliśmy dystynkcje sierżanta.

— Banda świń! Wyłazić mi z tej nory! — ryczał, rozrzucając wszystko dookoła. — Kto tu jest starszym izby?! Nie wstyd wam?! Myślicie, że w taki sposób powstrzymamy rosyjską ofensywę?! Macie dziesięć minut na spakowanie maneli albo wypieprzę was wszystkich na dwór na golasa!

Zerwani ze snu, oszołomieni tą nagłą pobudką, zbieraliśmy w pośpiechu nasze rzeczy. Szalony facet wraz z drugim skostniałym z zimna żołnierzem opuścił izbę, zostawiając otwarte drzwi. Siał teraz panikę w chacie naprzeciwko nas. Nie mogliśmy pojąć, jaka była przyczyna owego wtargnięcia. Strażnik z niewyraźną miną powiedział nam tylko, że przyjechali aż z Mińska w przyczepie motocyklowej. Przebycie około dwudziestokilometrowej odległości musiało im zabrać trochę czasu, z tego też powodu byli wściekli.

Na próżno sierżant wrzeszczał jak opętany, na próżno dostało się kilku kolegom; minęło co najmniej dwadzieścia minut, nim staliśmy w szeregu na śniegu, wyprężeni na baczność. Również Laus, zerwany z głębokiego snu, aby pobudzić nas do działania, usiłował nas przekonać, że zgadza się ze swym porywczym kolegą. Sierżant, w dalszym ciągu wściekły, zwrócił się do nas tymi słowami:

— Macie przed świtem dotrzeć do Mińska i zameldować się w jednostce dowodzonej przez Utranera.

Następnie odezwał się do Lausa:

— Weźcie piętnaście ciężarówek z parku i jedźcie tam, gdzie wam kazałem.

Dlaczego nie przekazał tego rozkazu telefonicznie, zamiast żołądkować się tutaj?

Dowiedzieliśmy się później, że kiedy smacznie spaliśmy, linia telefoniczna w czterech miejscach została przerwana.

Mieliśmy ogromne trudności, aby uruchomić silniki i wyjechać z parku. Musieliśmy przetaczać beczki benzyny i alkoholu, napełniać zbiorniki i chłodnice, uruchamiać baterie, mordować się, usiłując uruchomić silniki za pomocą korby, odgarniać zwały śniegu, aby samochody mogły przejechać. A wszystko to trzeba było robić prawie w zupełnych ciemnościach. Gdy wreszcie przygotowaliśmy do drogi te piętnaście pojazdów, wyruszyliśmy w kierunku Mińska tą samą wyboistą i zaśnieżoną trasą, jaką sierżant przyjechał do nas. Jedna z ciężarówek skręciła gwałtownie na śliskiej nawierzchni i co najmniej pół godziny męczyliśmy się, by ściągnąć ją z pobocza. Trzeba było zaczepić ją do innej, która zaczęła ślizgać się w miejscu. Prawie cała kompania przybiegła na pomoc. Musieliśmy dosłownie wytaszczyć tę cholerną ciężarówkę na drogę. Około ósmej rano, zanim jeszcze zrobiło się widno, dotarliśmy do pułku Utranera. Nawet ta harówka nie zdołała nas rozgrzać i trzęśliśmy się z zimna, jak zwykle. Na obszernym placu w Mińsku zebrało nas się ze dwa lub trzy tysiące. W mieście odczuwało się gorączkę mobilizacyjną.

Z porozmieszczanych gdzieniegdzie głośników usłyszeliśmy przemówienie naczelnego dowództwa. Dano nam do zrozumienia, że nawet zwycięska armia ma zabitych i rannych, że pomimo trudności, których dowództwo jest w pełni świadome, obowiązkiem konwojentów jest dostarczanie żywności, amunicji i wszelkiego rodzaju sprzętu niezbędnego dla walczących wojsk. Nasz transport powinien za wszelką cenę dotrzeć aż do Wołgi, by umożliwić von Paulusowi prowadzenie zwycięskich walk. Tysiąc osiemset kilometrów dzieli nas od celu. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Dokonywano cudów, by pociągi z wszystkich zakątków Rosji mogły dotrzeć w rejon Stalingradu. 6. Armia nie została porzucona na pastwę losu — miałem podstawy tak twierdzić. Konwoje kolejowe wydały bezlitosną walkę czerwonym bandytom usiłującym przerwać transport zaopatrzenia, na które czekał von Paulus. Bandy te, stanowiące potężną siłę, napotykały na szybko przemieszczające się, silnie uzbrojone oddziały niemieckie, które zadawały im ogromne straty. Jednak prawdziwym wrogiem, wobec którego Wehrmacht był bezsilny, okazała się rosyjska zima, całkowicie paraliżująca nasz transport. Dopóki pozwalała

pogoda, nieszczęsne oddziały walczące pod Stalingradem zaopatrywała Luftwaffe. Nawet po opuszczeniu lotnisk polowych, znajdujących się na północny zachód od bohaterskiego miasta, piloci zrzucali na spadochronach wszystko, co tylko mogli, rezygnując dopiero wtedy, gdy lot równał się samobójstwu.

Po posiłku podanym o godzinie jedenastej wyruszyliśmy w drogę. Oddzielono mnie od kolegów, z którymi najbardziej się zaprzyjaźniłem. Wraz z dwoma facetami znalazłem się na pięcio- i półtonowym DKW załadowanym ciężką bronią maszynową. Jechaliśmy w przyzwoitym tempie dobrze odśnieżoną drogą. Nieźle musiano tu machać łopatami. Po obu stronach drogi odgarnięty śnieg tworzył nasyp o wysokości dwóch i pół — trzech metrów. Dotarliśmy do drogowskazu, na którym znajdowało się z pół tuzina tablic rozmieszczonych na wzór róży wiatrów. Na tablicy oznaczającej kierunek, w którym jechaliśmy, mogłem odczytać: NACH PRIPET, KIEV, DNIIEPR, KHARKOV, DNIIEPROPETROVSK.

Nasze wojska zaangażowały wszystkie osoby zdolne do machania łopatą, toteż w znośnych warunkach pokonaliśmy prawie sto kilometrów. Wjechaliśmy na wzgórze, skąd w szarozółtawym świetle dnia ukazały się naszym oczom niezmierzone przestrzenie Ukrainy. Jadąca przed nami grupa pojazdów wyraźnie zwolniła. Z przodu uwijała się kompania żołnierzy odgarniających śnieg. Wielka ciężarówka pchała sanie, do których przymocowane było urządzenie przypominające wentylator, rozrzucające śnieg we wszystkich kierunkach. Rozciągający się na ogromnej przestrzeni bieluteń-ki puch miał grubość około czterdziestu — sześćdziesięciu centymetrów. Na skutek obfitych opadów wszystkie trasy były niewidoczne, toteż trzeba było wytyczać drogę kompasem. Nasz oficer i kilku podoficerów nieco zapuścili się poza odśnieżoną drogę i brodząc po kolana w białym puchu, spoglądali pytającym wzrokiem na horyzont, zastanawiając się, w jaki sposób posuwać się naprzód w takich warunkach. Siedząc w szoferce, której wszystkie okna były starannie zamknięte, wraz z kolegą upajałem się ciepłem pracującego silnika.

Obaj zachowywaliśmy milczenie: okoliczności niezbyt sprzyjały beztróskim pogwarkom. Mimo to wszyscy staraliśmy się, by choć przez chwilę towarzyszył nam pogodny nastrój. Dzisiaj ta odrobina dobrego samopoczucia może wydawać się rzeczą najzupełniej normalną, ale w tamtych latach ci, którym udało się nią cieszyć, mieli wrażenie, że tkwią w jakimś zakazanym wręcz błogostanie. Jak już wspomniałem, nie mogłem uwolnić się od najprzeróżniejszych myśli... Wtem, po raz kolejny kazano nam zejść z samochodów i chwycić za łopaty. Nie starczyło ich dla wszystkich. Podoficerowie zarządzili odgarnianie śniegu, czym się da, byle tylko samochody mogły ruszyć w dalszą drogę. Niektórzy posługiwali się deską, inni hełmem, jeszcze inni dużymi tacami...

Wraz z dwoma facetami starałem się oderwać tylną klapę ciężarówki, mając nadzieję, że ta ciężka decha posłuży nam za pług śnieżny. Pomimo najlepszych chęci i wielkiego wysiłku nie udało nam się jej odczepić. Gwizdek sierżanta przerwał tę chaotyczną robotę.

— Hmm — warknął. — Co wy tu kombinujecie? Chodźcie ze mną, poszukamy jakiejś siły roboczej. Weźcie broń.

Ucieszyłem się, choć nie dałem tego poznać po sobie. Wolałem już robić obojętnie co, byle tylko nie machać łopatą. W głębi duszy dziękowałem tym dwu idiotom, dzięki którym poznałem, na czym polega zaimprovizowana technika pługu śnieżnego. Ruszyliśmy za feldfeblem. Nie miałem pojęcia, gdzie ten cwaniak chciał znaleźć ludzi do roboty. Odkąd wyjechaliśmy z Mińska, mineliśmy tylko dwie wioski bez śladu życia. Z bronią na ramieniu, zeszliliśmy z trasy wytyczonej przez ciężarówkę i skręciliśmy na północ. Nie przesadzę, jeśli powiem, że brnęliśmy w śniegu po kolana, co bardzo utrudniało marsz.

Już od dziesięciu minut usiłowałem nadażyć za sierżantem, który szedł jakieś pięć metrów przede mną. Brakowało mi tchu i czułem, jak pod grubymi warstwami odzieży pot spływa mi

po plecach. Wydychałem długie kłęby pary, które momentalnie ginęły w lodowatym powietrzu. Posuwałem się naprzód, patrząc tylko na głębokie ślady, jakie pozostawiał za sobą feldfelbel. Usiłowałem stąpać dokładnie tam gdzie on, ale facet był wyższy ode mnie, co zmuszało mnie do stawiania nienaturalnie dużych kroków. Starąłem się nie patrzeć na horyzont, który wydawał mi się bezkresny. Wkrótce niewielki brzozy lasek przysłonił nam konwój.

Jakże śmiesznie mali wydawali się, przemierzając tę niezmierną białą przestrzeń. Zastanawiałem się, gdzie też nasz przewodnik ma zamiar zdobyć rzeczoną siłę roboczą. Męczyliśmy się już tak niemal od godziny, gdy nagle w absolutnej ciszy śnieżnego pejzażu usłyszeliśmy daleki, narastający pomruk. Zatrzymaliśmy się.

— To już niedaleko — rzucił lakonicznie sierżant. — Trudno, na ten nie zdążymy.

Nie rozumiałem zbyt, co chciał przez to powiedzieć. Odgłos jednak stał się wyraźniej szy i z lewej strony zauważyłem czarną sylwetkę ciągnącego się w śniegu pociągu. Pociąg...! A więc w pobliżu znajdowała się linia kolejowa. Ponieważ nie było wzdłuż niej tradycyjnych słupów elektrycznych, niczego nie zauważyłem. Nie mogłem pojąć, do czego mógł nam przydać się ten pociąg. Może do przeladowania zaopatrzenia?

Pociąg przejeżdżał bardzo wolno pięćset metrów przed nami. Był długi. Co jakiś czas jedna z pięciu lokomotyw wypluwała potężny obłok pary, która zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Skład ten miał chyba specjalne urządzenie do odgarniania śniegu. Po kwadransie dotarliśmy do torów.

— Przejeżdża tędy dużo pociągów z zaopatrzeniem dla naszych wojsk — rzekł sierżant. — Składają się z wagonów towarowych, a także kilku osobowych, które przewożą rosyjskich cywili. Zatrzymamy następny pociąg i weźmiemy ludzi do roboty spośród Rosjan.

W końcu zrozumiałem, o co chodzi.

Pozostało tylko czekać. Zaczęliśmy się przechadzać, aby nie przemarznąć. W każdym razie temperatura zelała. Mróz nie przekraczał chyba dziesięciu stopni. To niesamowite, jak człowiek może przyzwyczać się do dwu-dziesięciostopniowych mrozów. Temperatura wydawała nam się całkiem do zniesienia. Żołnierze odgarniali śnieg w samych swetrach i mimo to się pocili. Nie znam nikogo, kto lepiej niż Niemcy potrafi znieść chłody, upały czy jakiegokolwiek inne niedogodności. Wszyscy Rosjanie byli mniej lub bardziej wrażliwi na mróz. Ja w każdym razie nie miałem prawa ich krytykować, gdyż prawie cały czas trzęsłem się z zimna.

Pierwszy pociąg się nie zatrzymał, mimo że sierżant machał jak opętany. Feldfelbel był wściekły. Żołnierze wołali do nas z pociągu, że otrzymali rozkaz, by nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem.

Zirytowani, ruszyliśmy w kierunku, skąd nadjeżdżały pociągi. Posuwaliśmy się równolegle do torów. Wystarczyło pójść w kierunku prostopadłym do linii kolejowej, aby dotrzeć do naszej kompanii. Byliśmy niestety daleko od kuchni polowej i pora posiłku już chyba minęła. W kieszeni płaszcza miałem dwa kawałki żytniego chleba, ale nie śmiałem go wyjąć, z obawy, że będę musiał się nim podzielić. Dwaj żołnierze, z którymi odgarniałem śnieg, musieli się znać od jakiegoś czasu, gdyż rozmawiali z sobą i cały czas trzymali się razem. Podoficer szedł samotnie na czele daleko przed nami, ja zamykałem orszak. Szliśmy tak już dobrą chwilę. Droga prowadziła teraz między dwiema skarpami porośniętymi drobnymi krzakami. Tory biegiły prosto aż po horyzont. Gdyby pojawił się pociąg, dostrzegliśmy go z odległości dziesięciu kilometrów. Roślinność stawała się coraz gęstsza; pojawiły się niewysokie drzewa.

Minęły mniej więcej trzy godziny od rozstania się z kompanią. Na śniegu wszystko jest doskonale widoczne. Od pewnego czasu obserwowałem jakiś ciemny kształt widoczny po drugiej stronie torów w odległości około pięćset metrów. Po dziesięciu minutach wyraźnie już było widać kształty baraku. Sierżant momentalnie skręcił w jego kierunku. Była to chyba

chata kolejarska lub coś w tym rodzaju. Usłyszeliśmy głos dowódcy.

— Pośpieszcie się! Mamy schronienie, poczekamy w środku.

Nie był to zły pomysł. Szliśmy teraz zwartą grupą. Piegowaty młodzian, z którym bawiłem się w pług śnieżny, żartował ze swym kolegą. Skierowaliśmy się prosto na barak, kiedy nagle usłyszeliśmy gwałtowny huk. W tej samej chwili dostrzegłem niewielki obłok białego dymu na lewo od chaty.

Spojrzałem, osłupiały, na towarzyszy. Feldfebel wykonał efektowną ro-binsonadę w śnieg i odbezpieczył pistolet maszynowy. Piegowaty młodzieniec chwiejnym krokiem zaczął iść w moim kierunku. Oczy miał wytrzeszczone, a na jego twarzy malowało się nieopisane zdumienie. Gdy znalazł się dwa metry ode mnie, padł na kolana, otworzył usta, jakby chciał wydać jakiś okrzyk, po czym upadł do tyłu. Rozległ się ponowny wystrzał, a zaraz potem usłyszeliśmy charakterystyczny świst.

Rzuciłem się instynktownie w śnieg. Słyszałem, jak dudni pistolet maszynowy sierżanta, a na dachu chaty dostrzegłem śnieżny obłok. Nie mogłem oderwać oczu od młodego żołnierza, który leżał bezwładnie kilka metrów ode mnie.

— Ubezpieczajcie mnie, durnie! — ryknął feldfebel, rzucając się na-Przód.

Spojrzałem na kolegę rudzielca. Chłopak wyglądał bardziej na zdziwionego niż przestraszonego. Spokojnie wymierzaliśmy w kierunku zagajnika, skąd dochodziły ciągle strzały, i otworzyliśmy ogień.

Odgłos mojego mauzera dodał mi trochę odwagi, bo nie miałem bynajmniej tęgiej miny. Jeszcze dwie kule zaświsnęły mi koło uszu. Nasz sierżant poderwał się zuchwale ze śniegu, rzucając granat ręczny. Rozległ się potężny huk i jedna ze stoczonych przez robaki płyt baru rozleciała się w drzazgi.

Ze stoickim spokojem cały czas obserwowałem chatę. Pistolet maszynowy sierżanta w dalszym ciągu pluł ogniem. Spokojnie wprowadziłem do zamka następną kulę. Kiedy miałem już strzelać, dwie ciemne sylwetki wyskoczyły z rozwalonego baru i zaczęły uciekać w kierunku lasu. Okazja była dobra. Muszka mej broni wyraźnie odcinała się na tle białego pejzażu i wkrótce zlała się z jedną z biegnących sylwetek. Nacisnąłem na spust. Paaaffff...! Pudło!

Nasz dowódca podbiegł aż pod barak, bezskutecznie strzelając do uciekających. Po chwili dał nam znak, abyśmy podeszli. Wygramoliliśmy się ze śnieżnych dołów i ruszyliśmy w jego kierunku. W zdemolowanym baraku sierżant wpatrywał się w coś. Podeszliśmy bliżej.

Plecami o przepierzenie opierał się jakiś mężczyzna. Twarz z potarganą brodą zwróconą miał w naszym kierunku; jego oczy wydawały się wilgotne. Patrzył na nas w milczeniu. Jego ubiór ze skóry i futer nie był bynajmniej wojskowy. Kiedy tak przyglądałem mu się uważnie, wzrok mój zatrzymał się na jego lewej ręce, która była cała pokrwawiona. Krew ciekła mu także po kołnierzu. Poczulem współczucie dla tego człowieka. Głos feldfebela wyrwał mnie z zadumy.

— Partyzant, co?! — krzyknął. — Wiesz, co cię czeka!

Wycelował broń w Rosjanina, który zdjęty strachem cofnął się jeszcze bardziej w głąb izby. Ja również cofnąłem się instynktownie. Tymczasem wysoki sierżant schował pistolet do futerału.

— Zajmijcie się nim! — rzekł, podchodząc do rannego. Wynieśliśmy partyzanta na zewnątrz. Facet jęczał i mówił coś do nas niezrozumiałymi słowami.

Usłyszeliśmy odgłos zbliżającego się pociągu, który jednak nadjeżdżał z przeciwnego kierunku. Udało nam się go zatrzymać. Z pierwszego wagonu wyskoczyło trzech żołnierzy opatulonych w wielkie oponcze ze skóry renifera. Jeden z nich był porucznikiem. Stanęliśmy przed nim na baczność.

— Co tu, do diabła, robicie?! — warknął. — Dlaczego, do cholery, nas zatrzymaliście?!

Feldfebel wyjaśnił kwestię siły roboczej.

— W pociągu tym jadą tylko ranni i umierający — rzekł porucznik. — Gdyby jechali żołnierze na przepustce, dałbym wam kilku. Niestety, nic nie mogę dla was zrobić.

— Mamy dwóch rannych — zaryzykował sierżant.

Porucznik zbliżył się do niskiego rudzielca, który leżał nieruchomo.

— Widzicie, że nie żyje.

__Nie, panie poruczniku, on lekko oddycha.

__No tak... Może go weźmiemy. Ale za kwadrans (facet wykonał nieokreślony gest ręką)...

Dobra, zabieramy go.

Gwizdkiem przywołał wychudzonych jak szkielety dwóch sanitariuszy, którzy zabrali naszego kolegę. Kiedy go podnosili, wydawało mi się, że pośrodku jego pleców dostrzegam brunatną plamę, nie byłem jednak pewny, czy jest to krew na zielonej tkaninie płaszcza, czy też coś innego.

__Gdzie ten drugi? — spytał niecierpliwie oficer.

— Tam, koło baraku, panie poruczniku.

Gdy oficer zbliżył się do umierającego, wykrzyknął:

— A to co?! Kto to jest?!

— Rosjanin. Partyzant, panie poruczniku.

— Ach tak! — wrzasnął. — Myślicie, że wezmę sobie jeszcze na kark jednego z tych łajdaków, co strzelają wam w plecy! Wojna twarzą w twarz to wam jeszcze za mało?

Rzucił rozkaz dwóm towarzyszącym żołnierzom, którzy podeszli do leżącego na śniegu nieboraka. Rozległy się dwa wystrzały...

Kwadrans później byliśmy już w drodze powrotnej. Sierżant zrezygnował ze swego pomysłu szukania ludzi do odgarniania śniegu. Staraliśmy się teraz odnaleźć kompanię, która chyba nie odjechała zbyt daleko.

Był to mój chrzest bojowy. Nie potrafię w pełni wyrazić dziś uczuć, jakich wtedy doznałem. Nie byłem w stanie uporządkować myśli; wydarzenia tamtego dnia miały w sobie coś absurdalnego. Ślady, jakie feldfebel zostawiał na śniegu, miały wręcz monstrualne rozmiary. Oszołomiony, szukałem młodego rudzielca, który powinien nam towarzyszyć. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie byłem w stanie tego należycie ocenić, a przecież dwa istnienia ludzkie odeszły niepotrzebnie. Nasz towarzysz nie ukończył jeszcze osiemnastu lat.

Gdy dołączyliśmy do kompanii, dawno już zapadła noc. Była to noc jasna i mroźna — słupek rtęci na termometrze opadał w błyskawicznym tempie.

Mimo forsownego, czterogodzinnego marszu byliśmy przemarznięci i wygłodzeni. Na skutek zmęczenia i głodu byłem tak wycieńczony, że miałem zawroty głowy. Wydechana z ust para zamieniała się momentalnie w szron osiadający na szaliku, który zakrywał mi niemal oczy.

Wyraźnie odcinający się na śnieżnej bieli konwój dostrzegliśmy ze sporej odległości.

Rzeczywiście, nie posunął się zbyt daleko do przodu, odkąd się rozdzieliliśmy. Ciężarówki tkwiły po same podwozia w grubej, lodowej skorupie przylegającej do kół i błotników. Prawie wszyscy żołnierze schronili się do kabin i po skubnięciu trochę jedzenia szczelnie owinęli się we wszystko, co tylko wpadło im pod rękę. Wyczerpani, starali się zasnąć pomimo niskiej temperatury. W oddali dwóch nieboraków na warcie postukiwało butami, aby rozgrzać sobie stopy.

We wnętrzu kabin, których szyby były kompletnie oszronione, dostrzegałem tu i ówdzie czerwony odbłask palącej się fajki lub papierosa. Przeskoczyłem przez klapę swojej ciężarówki i zacząłem szukać w ciemnościach plecaka i menażki. Trzymając naczynie w zgrabiących palcach, łapczywie połknąłem coś obrzydliwego, a na dodatek jeszcze lodowatego, co przypominało puree z soi. Było to tak ohydne, że wyrzuciłem resztę na śnieg.

W zamian odpakowałem jedną rację żywnościową, którą pochłonałem w oka mgnieniu.

Na zewnątrz usłyszałem czyjś głos. Wychyliłem się, żeby zobaczyć, co się dzieje. W wykopanej w śniegu dziurze rozniecono niewielki ogień, który migotał wesoło. Wskoczyłem

czym prędzej z ciężarówki, dołączając do tego źródła światła, ciepła i radości. Było tam trzech facetów, w tym feldfelbel, z którym odbyliśmy popołudniowy wypad. Ten ostatni łamał o lewe kolano deszczułki, zrzedząc przy tym okrutnie.

— Mam już dość tych mrozów. Zeszłej zimy przechodziłem zapalenie płuc. Jak jeszcze raz mnie to złapie, to zdechnę. Jeśli już nas mają zauważyć, to nie z powodu tych płonących gałązek. Nasze ciężarowy widoczne są na dwa kilometry.

— Ma pan rację — podchwycił facet, który miał przynajmniej czterdzieści pięć lat. — Rosjanie, wszystko jedno czy partyzanci, czy też nie, śpią sobie w ciepłych łóżkach.

— Chciałbym być w domu — rzekł drugi żołnierz, podsycając płomień. Wszyscy weszliśmy prawie w ogień, aby tylko wchłonać jak najwięcej ciepła, oprócz wysokiego feldfelbla, który zawzięcie rozwalał na kawałki jakąś skrzynię. Nagle ktoś do nas zawołał:

— Hej, wy tam!

Między ciężarówkami pojawiła się jakaś sylwetka. W cieniu dostrześliśmy na czapce błyszczący srebrny emblemat. Feldfelbel ze starym gasił w pośpiechu ogień. Kapitan był już przy nas. Wyprężyliśmy się na baczność.

— Co was opętało?! Czyście powariowali?! Nie znacie instrukcji? Skoro już zorganizowaliście sobie nocne pogwarki przy ognisku, brać broń i spa-trolować mi okolicę! Przez waszą głupotę pewnie jacyś nieproszeni goście zainteresowali się tą imprezą. Postarajcie się ich odnaleźć. Patrolować aż do odjazdu! Zrozumiano?

Jeszcze tylko tego brakowało! Zrozpaczony, po raz kolejny polazłem po tę pieprzoną giwerę. Byłem zdechły, zmordowany, przemarznięty i Bóg wie, co jeszcze! Nie, nie zbiore już sił, by znowu brnąć w tym cholernym śniegu. Jego twarda powierzchnia kryła trzydziesto — czterdziestocentymetrową warstwę białego puchu, w którym zapadały się moje buty. Ogarnęła mnie wściekłość. Nie mogłem się nawet w żaden sposób wyładować. Zmęczenie nie pozwalało mi na jakąkolwiek reakcję. Z trudem dołączyłem do towarzyszy niedoli. Feldfelbel zdecydował, że czterdziestopięciolatek i ja odbędziemy pierwszy patrol.

— Zastąpimy was za dwie godziny, tak będzie dla was lepiej.

Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego, ale miałem przeczucie, że ten łajdak naumyślnie wysłał mnie ze starym. Pewnie wołał pójść na patrol z tym drugim, który miał z dwadzieścia pięć lat i wyglądał na krzepkiego faceta, niż z siedemnastoletnim chłopakiem czy też ze starym, który mi towarzyszył. Wyszedłem więc na patrol ze współtowarzyszem, przekonany, że stanowimy bardzo kiepską parę. Już po pierwszych krokach potknąłem się i padłem jak długi na śnieg. Okaleczyłem sobie ręce na twardej, lodowej skorupie. Kiedy wstałem, z wielkim trudem udało mi się powstrzymać łzy.

Stary okazał się wielkim pocziwcem. Również on wydawał się mieć wszystkiego dość.

— Nie zrobiłeś sobie krzywdy? — spytał ojcowskim tonem.

— Cholera! — odparłem.

Nic na to nie odpowiedział. Jeszcze bardziej wtulił głowę w płaszcz i puścił mnie przodem. Właściwie nie wiedziałem, gdzie iść. Nie miało to zresztą większego znaczenia. W każdym razie obiecałem sobie, że na pewno zrobię w tył zwrot, jak tylko ciemna sylwetka konwoju przestanie być widoczna. Mimo zmęczenia znacznie wyprzedziłem starego. Szedłem nerwowo, starając się oddychać jak najekonomiczniej. Powietrze było lodowate; czułem piekący nos. Po chwili nie wytrzymałem: zadrżały mi kolana i zalałem się łzami. Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. Nagle przed oczyma ujrzałem, jak na jawie, obrazy z dzieciństwa: rodzinę, Francję, zabawy z kolegami w konstruktorów. Co ja tu właściwie robię? Pamiętam, jak pochlipując, powiedziałem głośno:

— Jestem za mały, aby być żołnierzem.

Nie wiem, czy partner zrozumiał mój stan ducha, ale podchodząc do mnie, uznał za stosowne powiedzieć:

— Za szybko idziesz, mały. Wybacz, że nie mogę za tobą nadażyć. Właściwie nie powinienem być żołnierzem. Przed wojną uznali mnie za niezdolnego do służby, ale sześć miesięcy temu wcielili do wojska. Wiesz, że wszyscy są potrzebni. Cóż, miejmy nadzieję, że stąd powrócimy.

Ponieważ nie rozumiałem zbyt wiele ówczesnych wydarzeń, a musiałem się jakoś wyładować, zacząłem pomstować na Rosjan:

— Wszystko przez tych cholernych Ruskich! Podłe dranie! Rozwalę pierwszego, jakiego znajdę!

Powiedziałem tak, choć ciągle jeszcze nie mogłem zapomnieć tamtego popołudnia. Miałem przed oczyma partyzanta i egzekucję, która wstrząsnęła mną do głębi. Stary patrzył na mnie osłupiały, zastanawiając się, czy ma do czynienia z członkiem Partii, czy też ze srogim wojakiem.

— Tak — odpowiedział dwuznacznym tonem. — Trzeba przyznać, że dają nam wycisk. Lepiej byłoby zostawić ich w spokoju, aby sami rozwiązali swoje problemy. Nie będą wiecznie pod jarzmem bolszewików. Nas to w gruncie rzeczy nie obchodzi.

— A Stalingrad! Przecież trzeba dostarczyć zaopatrzenie chłopakom z 6. Armii! Tam jest mój wujek. Mają tam chyba nielekkko.

— Jasne, że mają nielekkko. Wszystkiego nie wiemy. Ciężko im będzie uporać się z Żukowem.

— Żuków się wycofa, tak jak pod Charkowem i Żytomierzem. Już nie raz generai von Paulus zmusił go do odwrotu.

Stary zamilkł. Ponieważ nie mieliśmy dokładnych wiadomości z pierwszej linii frontu, rozmowa na ten temat się skończyła. Oczywiście nawet nie podejrzewałem, że los Stalingradu był już prawie przesądzony i że żołnierze 6. Armii walczyli w beznadziejnej sytuacji, stawiając w straszliwych warunkach bohaterски opór.

Niebo pokryte było gwiazdami. Dzięki blaskowi księżycy mogłem w każdej chwili zerknąć na mały zegarek, który nosiłem na ręce. Otrzymałem go w prezencie z okazji ukończenia szkoły we Francji. Czas włókł się niemiłosiernie. Te dwie godziny wydawały mi się wiecznością. Szliśmy powoli, patrząc na czubki butów zagłębiających się w śniegu. Nie było wiatru, lecz coraz większy mróz przenikał mnie do szpiku kości.

Przez cały czas naszych patroli trzęśliśmy się z zimna tej cholernej nocy. Przed każdym kolejnym wyjściem spożywałem bardzo skromny posiłek. Brzask zaskoczył mnie przy odgarnianiu śniegu i oświetlił moją twarz zapadniętą ze zmęczenia.

Świt przyniósł jeszcze większy mróz. Wełniane rękawice, które pobraliśmy przed wyjazdem, były już do niczego. Zawijaliśmy piekące od mrozu ręce w jakieś gałgany albo zapasowe skarpety. Pomimo machania łopata zęb był nie do wytrzymania. Uderzaliśmy dłońmi o biodra i tupaliśmy nogami, by pobudzić krążenie. Kapitan, litując się nad nami, polecił podgrzać lurowatą kawę. Gorący płyn podawano nam natychmiast do picia. Spotkało się to z pozytywną reakcją, gdyż na śniadanie mieliśmy tylko zamrożony biały ser. Kapral z kantyny ogłosił właśnie, że zawieszony na zewnątrz jego ciężarówka termometr wskazuje trzydzieści jeden stopni mrozu.

Następne dni, a nie pamiętam już, ile ich było, wspominam jako zimowy koszmar.

Temperatura wahała się od dwudziestu pięciu do trzydziestu dwóch stopni poniżej zera.

Pamiętam jeden upiorny dzień, kiedy zerwał się wiatr i mimo rozkazów i gróźb oficerów porzuciliśmy łopaty i ruszyliśmy w kierunku ciężarówek, poszukując schronienia. Tamtego dnia temperatura spadła do minus trzydziestu siedmiu stopni. Myślałem już, że umrę. Nic nie było w stanie nas rozgrzać. Oddawaliśmy mocz w zgrabiące ręce, aby chociaż w ten sposób ulżyć dłoniom i — jak sądziliśmy — wypalić liczne pęknięcia skóry na palcach.

Mieliśmy czterech poważnie chorych, cierpiących między innymi na zapalenie płuc.

Nieboracy jęczeli na prowizorycznych łózkach zainstalowanych w jednym z pojazdów. Nasza

kompania miała tylko dwóch pielęgniarzy, którzy nie byli w stanie wiele zdziałać. Prócz tego, czterdziestu kolegów miało odmrożenia. Żołnierze mieli odmrożone nosy, powieki, uszy, a szcze-

gólnie ręce. Mnie nic groźnego się nie przytrafiło, lecz przy każdym poruszeniu palcami otwierały się głębokie, krwawe pęknięcia. Było to niezmiernie bolesne i czasami ból dochodził aż do serca. Ileż razy w przyływie rozpaczyny zdarzało mi się płakać... Każdy miał swoje zmartwienia, toteż nie zwracał uwagi na lamentsy innych.

Dwukrotnie udawałem się do ciężarówki kantyniarza, gdzie mieściła się również izba chorych, aby przemyć ręce w dziewięćdziesięcioprocentowym spirytusie. Ból był wówczas tak przenikliwy, że krzyczałem. Po tym zabiegu przez kilka chwil ręce wydawały się ciepłe. Sytuację pogarszał stan żywności. Jedzenie było ubogie w kalorie. Z Mińska, skąd wyruszyliśmy, aż do Kijowa, pierwszego etapu naszej trasy, było około czterystu kilometrów. Ze względu na rozmaite przeszkody, na jakie mogliśmy natrafić w podróży, wydano nam żywność na pięć dni. Dystans ten pokonaliśmy w przeciągu ośmiu dni, czyli byliśmy zmuszeni naruszyć zapasy żywności, jaką wieźliśmy dla walczących żołnierzy. W międzyczasie na trzydzieści osiem pojazdów naszej Rollbahnguppe 126 trzy miały awarie i musieliśmy z nich zrezygnować. Zniszczyliśmy je wraz z ładunkiem, aby nie wpadły w ręce partyzantów. Dwóch żołnierzy spośród poważnie chorych (mieliśmy ich teraz siedmiu) już nie żyło. Zanotowano kolejne ofiary odmrożeń: niektórym nieborakom trzeba było amputować kończyny.

Trzy dni przed dotarciem do pierwszego etapu trasy przejeżdżaliśmy przez tereny, które stanowiły prawdopodobnie rosyjską linię obrony na przedpolach Kijowa. Całymi godzinami mijaliśmy wypalone szczątki czołgów, ciężarówek, samolotów i dział ciągnących się aż po horyzont. Tu i ówdzie krzyż lub palik z ukośnie przymocowanym kijem oznaczał miejsce, gdzie pośpiesznie grzebano tysiące niemieckich i rosyjskich żołnierzy poległych na tej równinie.

Prawdę mówiąc, o wie.le więcej leżało tu Rosjan niż Niemców, z tym że żołnierze Rzeszy pochowani zostali w miarę przyzwoicie, natomiast każdy symbol prawosławny oznaczał dół z dziesięciu lub dwunastu ciałami rosyjskich żołnierzy.

Przejazd przez to cmentarzysko naturalnie nie rozgrał nas, był za to szczególnie uciążliwy, ponieważ śnieg krył ogromne leje po bombach i pociskach. Musieliśmy zasypywać te, które znajdowały się na naszej drodze.

Wreszcie dotarliśmy do Kijowa. To przepiękne miasto ucierpiało niewiele. Armia Czerwona usiłowała zatrzymać Wehrmacht na linii obrony, którą przekraczaliśmy. Po załamaniu się defensywy wołała wycofać się za miasto, by oszczędzić mu losu zniszczonego Mińska. Kijów był pierwszym etapem naszej podróży. Znajdował się w połowie drogi między Mińskiem a Charkowem. Nasz cel, Stalingrad, był jeszcze odległy o ponad tysiąc kilometrów.

Kijów był ośrodkiem o strategicznym znaczeniu. Następową tam koncentracja i przegrupowanie jednostek przybywających z Rumunii czy też,

podobnie jak my, z Polski, przed ofensywą w kierunku Kaukazu i Morza Kaspijskiego. W mieście tym znajdowało się jeszcze więcej żołnierzy i pojazdów wojskowych niż w Mińsku. Panowała tu atmosfera wojennej gorączki, jakiej nigdy przedtem nie widziałem.

Dotarliśmy do przedmieścia, gdzie musieliśmy się zatrzymać w oczekiwaniu na mające nadejść z Komendantury rozkazy odnośnie przegrupowania.

Po raz kolejny dreptaliśmy po drodze pokrytej warstwą zbitego, twardego śniegu, niczym na trasie narciarskiej. Goniliśmy już resztkami sił i każdy czekał niecierpliwie, kiedy Kommanderguppe przydzieli nam kwatery.

Doprowadzono nas do służb sanitarnych. Było to dla nas prawdziwym wybawieniem. Z powodu mrozu nie mogliśmy codziennie się myć. Byliśmy odrażająco brudni i zarobaczeni. Ciężko rannych umieszczono w szpitalu. Za takich uznano tylko siedmiu żołnierzy. Pozostali

musieli kontynuować podróż. W Kijowie spędziliśmy zaledwie siedem godzin. Po opuszczeniu punktu sanitarnego, który był znakomicie zorganizowany, naszej grupie polecono stawić się na zaśnieżonym placu przed budynkiem. Na plac wjechał pośpiesznie volkswagen, a znajdujący się w nim kapitan, nie wysiadając z auta, wygłosił do nas krótkie przemówienie.

— Niemieccy żołnierze, konwojenci! W chwili, gdy podboje Rzeszy obejmują swym zasięgiem niezmiernie przestrzenie, musicie zapewnić zwycięstwo naszych armii, dzięki waszemu poświęceniu. Od was zależy przyspieszenie dostaw zaopatrzenia niezbędnego dla walczących wojsk. Nadeszła chwila, byście spełnili swój obowiązek na tym znanym wam doskonale froncie. To droga o tysiącu przeszkód, na której straciliście już mnóstwo sił. Począwszy od naszych fabryk, gdzie robotnicy w pocie czoła konstruują tak potrzebną nam broń, aż po wasz wyczerpujący wyścig z czasem, aby dotrzeć do naszych bohaterskich żołnierzy, nikt z nas nie może sobie pozwolić na najmniejszy moment przestoju, dopóki niemiecki żołnierz cierpi na niedostatek broni, żywności czy odzieży. Naród niemiecki uczynił wszystko, co w jego mocy, aby zapewnić, to co niezbędne żołnierzom na froncie. Pozwala im to zachować entuzjazm i wiarę w nasze wspólne działanie. Nikt z nas nie ma prawa nawet na chwilę załamania i na przejściowe zniechęcenie. Nikt z nas nie ma prawa wątpić w naszą waleczność, która codziennie znajduje potwierdzenie w kolejnych zwycięstwach. Nasze cierpienia są jednakowe dla wszystkich, a wspólne ich doświadczanie to najlepszy sposób na ich przezwyciężenie. Nigdy nie zapominajcie, że wszystko zawdzięczacie narodowi niemieckiemu, który w zamian oczekuje od was wszystkiego, aż do absolutnego poświęcenia. Uczcie się cierpieć, nie skarżąc się, bo jesteście Niemcami. Heil Hitler!

— Heil Hitler! — wykrzyknął nasz podoficer.

— Heil Hitler! — podjęła nasza grupa.

Kapitan odkaszlnął i kontynuował już mniej teatralnym tonem.

— Stanowicie samodzielne ugrupowanie. Za miastem, na trasie zaopatrzeniowej do Charkowa, połączycie się ze 124. i 125. Grupą. Wasza formacja otrzyma wsparcie bojowe w postaci plutonu zmotoryzowanego wchodzącego w skład „Panzerdivision Stiilpnagel”! Zadaniem plutonu jest ochrona transportu przed partyzantami, którzy mogą próbować opóźnić wasz marsz. Sami się przekonacie, że Rzesza niemiecka czyni wszystko, co w jej mocy, aby ułatwić wam zadanie.

Kapitan zasalutował, po czym adiutant momentalnie nacisnął na pedał sprzęgła.

W wyznaczonym punkcie połączyliśmy się z pozostałymi dwoma członkami naszej kompanii, tworząc tym samym 19. Kompanię Transportową. Pierwszą myślą, jaka przemknęła mi przez głowę, było to, że na pewno spotkam się z kumplami z Białegostoku, o ile nie zostali przeniesieni gdzie indziej. Nie wiedziałem, czy opuścili Mińsk przed nami czy po nas, ale faktem jest, że 19. kompania została przegrupowana. Nasz ogromny konwój miał teraz kuchnię polową, gdzie wydawano gorące dania.

Było to dla nas niezmiernie ważne. Tuż przed wyjazdem zjedliśmy obfity posiłek, co było dla nas wybawieniem i rzeczywiście podniosło nas na duchu. Ponadto wzięliśmy prysznic i zmieniliśmy bieliznę. Temperatura ustabilizowała się w granicach dwudziestu stopni poniżej zera, co uważaliśmy za poprawę warunków. Z łatwością odnalazłem Hallsa; momentalnie rozpoznałem go po żywiołowej gestykulacji.

— No i co powiesz, młodzik (w ten sposób do mnie się zwracał), o pogodzie i żarciu? Od dziesięciu dni nie miałem w gębie nic ciepłego. Już myśleliśmy, że zdechniemy z mrozu w tym cholernym pociągu.

— O, szczęściarze! Toście jechali koleją?!

— Szczęściarze! A tak! Szkoda, że nie widziałeś, jak lokomotywa eksplodowała! Ogromna

chmura pary uniosła się gdzieś na sto metrów. Zginęło czterech facetów, a siedmiu odniosło rany. Morvan został ranny w idiotycznych okolicznościach, podczas uprzątanego rumowiska z torów. Pięć dni to trwało. Ja byłem na patrolu w poszukiwaniu partyzantów. Znaleźliśmy dwóch, co ukrywali się w kołchozie. Doprowadził nas do nich chłop, którego okradli. Facet zaprosił nas potem do siebie i wydał prawdziwą ucztę.

Ja również nie omieszkalem opowiedzieć mu o swych przygodach. Obu nam dobrze to zrobiło. W tym czasie dołączyliśmy do Lensena i Olenshei-ma. Byliśmy tacy szczęśliwi ze spotkania, że chwytaliśmy się spontanicznie za ramiona i wykonywaliśmy coś w rodzaju polskiego tańca ludowego, śmiejąc się w niebogłose. Starsi żołnierze patrzyli na nas zdumieni, nie rozumiejąc tego gwałtownego wybuchu radości. To prawda — w tej ponurej i mroźnej atmosferze nic nie usprawiedliwiało takiej żywiołowości.

— A gdzie Fahrstein? — zapytałem.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się hałaśliwie Lensen. — Siedzi sobie spokojnie w ciepłutkiej ciężarówce. Zwichnął kostkę. Jest tak opuchnięta, że nie może zdjąć buta. Czeka, aż minie opuchlizna.

— Spryciarz wykorzystuje sytuację — rzucił Halls. — Gdybym za każdym razem, jak skręcam sobie stopę, miał być chory...

Rozkaz do wymarszu przerwał rozmowę. Każdy z nas udał się na swoje stanowisko. Czułem, że jestem w zdecydowanie lepszej formie. Świadomość, że koledzy są kilka samochodów dalej, dodawała mi otuchy; nie myślałem o tym, że każdy obrót kół zbliża nas do frontu. Przecież był on jeszcze tak daleko! Jechaliśmy kiepskimi, ośnieżonymi i śliskimi drogami. Po obu stronach zwały uprzątniętego śniegu uniemożliwiały nam obserwację krajobrazu. Od czasu do czasu poprzez prześwit w śnieżnym murze dostrzegaliśmy ślady straszliwych walk, jakie w ubiegłym roku toczyły się w tym rejonie. Ciągająca się setki kilometrów zniszczona i pośpiesznie naprawiana droga prowadziła nas poprzez ten wojenny pejzaż.

Armie Wehrmachtu, dowodzone przez von Weichsa, Guderiana, von Reichenaua i von Stiilpnagela, w wyniku krwawych walk zdołały wyrwać te tereny z rąk Rosjan. Między Kijowem a Charkowem dostało się do niewoli prawdopodobnie kilkaset tysięcy rosyjskich żołnierzy. W każdym razie rosyjski sprzęt wojskowy porzucony w śniegu dawał mi do zrozumienia, że nieprzyjaciel dysponuje już tylko skromnymi środkami obrony.

Mróz nieco zelżał, lecz zaczęły się zawieje śnieżne i musieliśmy ponownie sięgnąć po łopaty. Na szczęście po dwóch dniach dołączyła część kolumny pancerniej przydzielonej nam do ochrony. Czołgi ciągnęły kilka ciężarówek, które za pomocą silników zdołały jakoś posuwać się do przodu, ślizgając się niemilosiernie.

Wkrótce jednak niskie chmury znikły i konwój oświetliło bladoniebieskie niebo.

Równocześnie termometr spadł gwałtownie w dół i trzaskający mróz ponownie zaskoczył nas na tej przeklętej rosyjskiej równinie. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawiała się grupa niemieckich samolotów, przelatując z rykiem silników nad naszą kolumną. Gestykulowaliśmy co sił w kierunku pilotów, którzy pozdrawiali nas machaniem skrzydeł.

Wyżej przelatywały wolno eskadry Junkersów-52, kierując się na wschód. Ciepłe posiłki już nas nie rozgrzewały. I znów rany na skutek odmrożeń piekły nas okropnie w ręce. Na szczęście tym razem mieliśmy w konwoju lekarza. Za każdym razem, gdy zatrzymywaliśmy się na posiłek, staliśmy w kolejce przy jego samochodzie w oczekiwaniu na pomoc medyczną. Namaścił mi ręce jakąś tłustą i kojącą maścią, którą miałem utrzymać na dłoniach możliwie jak najdłużej. Mikstura ta uśmierzała ból na rękach wywołany odmrozeniami, a równocześnie chroniła od zimna. Kiedy tylko to było możliwe, trzymałem ręce głęboko w ogromnych kieszeniach płaszcza, uważając, aby maść nie przylepiła się do szorstkiego materiału.

Długie godziny spędzałem w kabinie trzy- i półtonowego renaulta, podskakującego na koleinach. Naturalnie, trzeba było od czasu do czasu usu-

wać śnieg gromadzący się między kołami a błotnikami. Niekiedy musieliśmy też pomagać w wypychaniu na drogę samochodu, który zboczył z trasy i zarył głęboko w śnieg. Nie licząc tych kłopotów, prawie nigdy nie opuszczaliśmy kabin. Jak na razie udało mi się uniknąć warty na nocnej zmianie. Kiedy nadchodzące ciemności nie pozwalały na kontynuowanie jazdy, zatrzymywaliśmy się na nocleg tam, gdzie aktualnie byliśmy. Kierowcy przysługiwało miejsce na siedzeniu. Ja zasypiałem na podłodze ciężarówki. Nogi miałem niemal zaklinowane między pedałami, a nos spoczywał na silniku, skąd wydobywał się obrzydliwy zapach ciepłego oleju. O świcie byliśmy przemarznięci i obolali.

Nim nastał dzień, traciliśmy już siły przy uruchamianiu zamarzniętych silników. Kilkakrotnie przychodził do mnie Halls, lecz za każdym razem kierowca protestował, mówiąc, że w kabinie jest za ciasno na trzy osoby. Radził mi, bym ja udał się do kolegi, co kończyło się tym samym. Nie było mowy, by ucinać sobie pogawędki na zewnątrz: panował trzydziestostopniowy mróz.

Któregoś dnia, tuż po minięciu jakiejś dużej wioski, obok której znajdowało się lotnisko polowe Luftwaffe, podleciał do nas samolot rozpoznawczy typu Fkseler, który skontaktował się przez radio z dowódcą osłaniającego nas plutonu. Wkrótce potem pluton oderwał się od konwoju, kierując się w trzech kolumnach na północ. W tumanach śniegu wznoszonych przez gąsienice czołgi wkrótce stały się niewidoczne. Dwie godziny później doszły do nas odgłosy dalekich eksplozji. Po chwili nastąpiła cisza, a po dziesięciu minutach usłyszeliśmy ponownie wybuchy. Kolejna chwila ciszy, a potem znów to samo. O jedenastej konwój zatrzymał się w jakiejś zaśnieżonej wiosce. W blasku iskrzącego się od słońca śniegu mrużyliśmy oczy. Mróz, chociaż dość silny, nie był zbyt dokuczliwy.

Skierowaliśmy się do kuchni polowej, której dwa paleniska wyrzucały kłęby dymu. Pierwszych chętnych na menażkę zupy kucharz zatrudnił przy garach. Facetowi nic nie można było zarzucić. Jego umiejętności kulinarne były na tyle wystarczające, że nie mogliśmy się skarżyć na kuchnię. Jedynym osobliwym zjawiskiem było to, że zawsze do każdego dania dodawał ten sam rodzaj sosu na bazie mąki. Dołączyłem do Hallsa i Lensena. Sięgając raz po raz do dymiących menażek, wracaliśmy powoli do ciężarówek. Nagle mroźnym powietrzem wstrząsnęła seria dalekich detonacji. Zatrzymaliśmy się na chwilę, nadstawiając ucha. Chyba wszyscy żołnierze zachowali się podobnie. Wybuchy usłyszeliśmy ponownie; niektóre były bardzo dalekie. Instynktownie ruszyliśmy pośpiesznie w kierunku ciężarówek.

— Co się dzieje? — zwrócił się Lensen do jakiegoś starszego faceta wchodzącego do swego pojazdu.

— To artyleria, chłopaki. Zbliżamy się — odpowiedział. Oczywiście wszyscy domyśliliśmy się, że są to wystrzały artyleryjskie, ale musieliśmy uzyskać potwierdzenie od kogoś innego.

— Ha, ha! — zaśmiał się Halls. — Idę po broń.

Osobiście daleki bytem od panikarskiego nastroju. Rozległy się kolejne wystrzały, tym razem liczniejsze i wyraźniejsze.

Usłyszeliśmy gwizdek do wymarszu. Wróciliśmy do kabin.

Konwój ruszył z miejsca. Godzinę później, gdy wjeżdżaliśmy na jakieś wzniesienie, kanonada stała się tak gwałtowna, że zatrzymaliśmy się momentalnie. Potężne eksplozje wstrząsały powietrzem, sprawiając osobliwe wrażenie. Niektórzy kierowcy dali się ponieść nerwom i hamowali zbyt gwałtownie. Jeden pojazd wpadł w poślizg na oblodzonej nawierzchni i zatrzymał się w poprzek drogi. Kierowca, przegazowując silnik, usiłował z miernym skutkiem wyprostować maszynę. Otworzyłem drzwi ciężarówki i rozejrzałem się dookoła. Od tyłu zbliżał się z pełną prędkością jakiś volkswagen. Wychylając się przez otwarte drzwiczki niewielkiego pojazdu, znajdujący się w nim porucznik krzychał:

— Dalej! Kontynuować jazdę! Pomóżcie temu durniowi wydostać się z kolein. No szybciej! W drogę!

Zeskoczyłem z mojej renówki i dołączyłem do kilku żołnierzy usiłujących wydostać opla blitza na środek drogi. Kanonada rozległa się ponownie, równie blisko jak minutę temu. Konwój z trudem ruszył do przodu. Ponieważ nasz kierowca zahamował na stromym podejździe, ciężko mu teraz było ruszyć z miejsca. Zjeżdżaliśmy powoli w pagórkowaty, zalesiony teren. Nadal rozlegały się głuchoe odgłosy wystrzałów. Wtem jadące na czele pojazdy zatrzymały się raptownie. Rozległy się gwizdki. Wskoczyliśmy pośpiesznie z samochodów. Żołnierze biegli w kierunku czoła konwoju. Co się stało?

Pędził tam również porucznik z volkswagena, pociągając za sobą żołnierzy, których przywoływał w biegu. Dołączyłem do tej grupy. Z mauzerami w dłoni dobiegliśmy do czoła konwoju. Duży samochód terenowy dowódcy ugrupowania ostro skręcił na pobocze drogi, po czym zarył w gęsty śnieg.

— Partyzanci przed nami! — ryknął feldfel. — Rozwinąć się i bronić konwoju! — rzucił, wskazując palcem na lewo.

Nie rozumiejąc zbyt, o co chodzi, podążyłem za starszym szeregowcem, który stanął na czele naszej niewielkiej piętnastoosobowej grupy, po czym wpadliśmy w potężną zaspę śnieżną. Gdy wydostawałem się z niej, wyraźnie widziałem na skraju skarłowaciałego lasu liczne, ciemne sylwetki, poruszające się prostopadle do trasy konwoju. Wydawało się, że Rosjanom nie było bardziej spieszo niż nam. Mróz i grube warstwy ubioru tak jednych jak i drugich nie pozwalały, by rozwijający się przed naszymi oczyma spektakl odbywał się w tempie godnym westernów czy też amerykańskich filmów rzekomo ukazujących wojenną rzeczywistość. Mróz sprawia, że wszystko ulega spowolnieniu: radość i smutek, odwaga i strach.

Posuwałem się do przodu, lekko pochylony jak inni, zwracając większą uwagę na to, gdzie stąpałem, niż na ruchy nieprzyjaciela. Partyzanci byli zbyt daleko, abym mógł dostrzec, w jaki sposób się poruszają. Sądzę, że podobnie jak my, musieli przemieszczać się dużymi krokami, by nie zniknąć w śnieżnej rozpadlinie.

— Okopywać się! — rozkazał cichym głosem dowodzący nami żołnierz, jakby tamci mogli nas usłyszeć z tak wielkiej odległości.

Nie miałem łopaty. Aby wykopać dół, zacząłem ryć w śniegu kolbą karabinu. Kiedy zdołałem już przykucnąć w tej prowizorycznej kryjówce, mogłem spokojnie obserwować, co się dzieje. Do diabła! Było ich bardzo wielu! Wyraźnie widziałem tych, co posuwali się brzegiem lasu, ale dostrzegłem również liczne sylwetki pomiędzy drzewami rzadkiego zagajnika. Wydawało się, że to mrówki pełzną powoli wśród wysokich traw. Rosjanie przemieszczali się z północy w kierunku południowym. Ponieważ my posuwaliśmy się z zachodu na wschód, nie bardzo rozumiałem, na czym ich manewr ma polegać. Może usiłowali okrążyć nasz konwój.

Na najbliższym zbocz, dwadzieścia metrów ode mnie, nasi zorganizowali stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego. Nie mogłem pojąć, dlaczego ciągle nie ma wymiany ognia. Nieprzyjaciel nadal defilował dwieście metrów przed nami i zaczął przekraczać naszą drogę. Z północy ponownie dochodzić zaczęły odgłosy kanonady, intensywniejsze niż poprzednio. Wydawało mi się, że również z bliższej odległości rozległy się jakieś strzały. Było mi zimno w ręce i nogi. Kompletnie nie orientowałem się w sytuacji, lecz zachowywałem całkowity spokój.

Gromada Rosjan przechodziła przez drogę, nie interesując się nami zbyt. Było ich trzy albo cztery razy więcej. W skład naszego konwoju wchodziła setka ciężarówek. Było więc stu uzbrojonych kierowców, z sześćdziesięciu konwojentów, do których ja również się zaliczałem, a których zadaniem była jedynie ochrona konwoju, ośmiu czy dziesięciu

podoficerów i oficerów, wreszcie lekarz i dwóch pielęgniarzy.

Wybuchom towarzyszyły gejzery śnieżnego pyłu. Na zalesionym wzgórzu, mniej więcej trzysta metrów od nas, wznosiły się w górę smugi dymu w rytm coraz częstszych detonacji. W tej właśnie chwili rozległ się ogłuszający terkot znajdującego się po mojej prawej stronie ciężkiego karabinu maszynowego. Po kilku sekundach karabin zamilkł.

Zamiast schronić się do swego okopu, wychyliłem głowę, jak idiota, z czystej ciekawości. Na tle licznych sylwetek partyzantów dostrzegłem białe obłoczki dymu. Rozległy się suche odgłosy wystrzałów. Nastąpiła riposta Rosjan.

Karabin maszynowy ponownie wystawił moje bębniaki na ciężką próbę. Po chwili zaterkotał drugi, ustawiony na przeciwległym zboczu. Z prawa i z lewa zabrzmiały mauzery. Od strony rosyjskiej sylwetki zaczęły się poruszać coraz szybciej we wszystkich kierunkach. Nadal towarzyszyły im białe obłoczki dymu. Niektóre sylwetki leżały nieruchomo na śniegu. Słońce świeciło w dalszym ciągu. Nie czułem jakiegokolwiek zagrożenia. Tu i ówdzie rosyjskie kule świstały w powietrzu. Hałas był ogłuszający. Na skutek

mojego nienadzwyczajnego refleksu nie zdążyłem jeszcze oddać ani jednego strzału.

Po mojej prawej stronie usłyszałem krzyk. Detonacje rozlegały się jedna po drugiej.

Naprzeciwko nas na drogę gwałtownie wjechały dwa czołgi. Bolszewicy uciekali w najlepsze, czmychając w ośnieżone zarośla. Czołgi skierowały się ku nim, plując krótkimi seriami broni maszynowej.

Usłyszałem trzy lub cztery: „frrrrr!, frrrrr!” To rosyjskie kule zaryły się w śniegu przede mną. Zacząłem strzelać na oślep, podobnie jak wszyscy. Pojawiło się siedem lub osiem kolejnych czołgów, które zaczęły nękać partyzantów. Trwało to wszystko około dwudziestu minut. Ja zużyłem mniej więcej dwanaście naboju.

Wkrótce czołgi i transportery zaczęły powracać. Przed jednym z nich szła grupa piętnastu jeńców. Podobne grupy eskortowane były przez dwa kolejne pojazdy. Na twarzach Rosjan malowało się upokorzenie. Z któregoś z pojazdów zeszło trzech niemieckich żołnierzy podtrzymywanych przez kolegów. Jeden z nich wydawał się nieprzytomny, dwaj pozostali krzywili się z bólu. Na tylnej części jednego z czołgów leżało bezwładnie trzech rannych Rosjan i dwóch Niemców. Jeden z nich krzychał z bólu. Nieco dalej, leżąc na śnieżnej pochyłości, wił się z bólu człowiek z naszego konwoju, trzymając się za głowę całą we krwi. — Droga wolna — oznajmił dowódca najbliższego Mark-4. — Możecie jechać.

Rannych pomogliśmy przenieść do szpitala polowego. Powróciłem do ciężarówki. Lensen, mijając mnie, poruszył bezradnie głową.

— Widziałeś? — zapytał.

— Tak. Nie wiesz, czy są zabici?

— Na pewno.

Konwój ruszył w dalszą drogę. Myśl o śmierci nie dawała mi spokoju. Nagle zacząłem się bać. Świejące jeszcze przed chwilą słońce stało się nagle blade, a mróz dokuczał jeszcze bardziej. Przy drodze leżały bezwładnie ciała w długich, brunatnych płaszczach. Jeden z leżących skinął do nas.

— Hej! — zwróciłem się do kierowcy. — Jakiś ranny do nas woła.

— Taaak... biedaczysko. Miejmy nadzieję, że zajmą się nim Rosjanie. Wojna to smutna rzecz. Jutro, być może, spotka nas to samo.

— Hmm... ale my mamy lekarza, mógłby się nim zająć.

— Akurat! Dwie ciężarówki są pełne rannych. Jest co robić. Nie rozczulaj się, mały, zaraz zobaczysz następnych.

— O, już widziałem — rzekłem.

— Ja też — odparł, nie wierząc moim słowom. — A szczególnie moje kolano. W Polsce odłamek pocisku rozerwał mi rzepekę. Myślałem, że odeślą mnie do domu, a dołączyli mnie do konwojentów, razem ze starcami, wyrostkami i na wpół kalekami. Nieciekawe

perspektywy. A wiesz, jak taka rana dolega? Szczególnie gdy trzeba czekać godzinami, zanim ci cholerni chirurdzy dadzą ci morfinę.

Facet zaczął relacjonować mi całą kampanię polską. Służył w 6. Armii, tej która obecnie jest pod Stalingradem.

Nadchodziła noc. Nasz długi konwój, wraz z towarzyszącą mu kolumną pancerną, zatrzymał się w jakiejś małej miejscowości. Kapitan zarządził postój, aby ułatwić opiekę nad rannymi, gdyż ciężarówka szpitalna nieustannie podskakiwała na śnieżnej skorupie pokrywającej kiepską drogę. W takich warunkach chirurg nie mógł wykonywać operacji. Od upływu krwi zmarło już dwóch Rosjan.

Trzeba było wykorzystać zapadające ciemności i postój, aby zająć się rannymi, jak należy. Biedacy czekali cierpliwie już kilka godzin od popołudniowej potyczki.

Nasza ciężarówka zatrzymała się przy dużym budynku, gdzie latem chłopci magazynowali zboże. Już miałem otworzyć drzwiczki, by pobiec na kolację, gdy kierowca powstrzymał mnie, mówiąc:

— Nie śpiesz się tak, chyba że zależy ci na nocnej warcie.

— Ach tak... — rzekłem.

— Oczywiście. Zauważ: feldfebel nie prowadzi dziennika warty, tak jak w koszarach.

Natknę się na pierwszych lepszych, wyznacza ich i ma spokój.

Była to prawda. Wkrótce potem minął mnie, zrzędząc, ten głodomór Halls.

— Scheisse! Znów dopieprzyli mi nocną wartę. Co to będzie?! Nie da się wytrzymać. Mróz coraz większy.

Po raz kolejny podczas jasnej nocy temperatura przekroczyła minus trzydzieści stopni.

Podziękowałem kierowcy, że oszczędził mi nocy pod gołym niebem. Jednakże, to co przeżyłem później, sprawiło, że wolałbym już raczej znaleźć się na warcie.

Wraz z szoferem udałem się dość późno do kuchni polowej, obawiając się nieco, czy będzie jeszcze można wypełnić czymś nasze menażki. Gdy kucharz dostrzegł nas, nie omieszkał zapytać:

— Nie wygłodnieliście aby czasem?

Zdażył już wystawić dwa kotły z podgrzewanego benzyną paleniska, zastępując je wielkimi tacami, w których bulgotała woda.

— Wpieprzajcie szybko! — rzekł, zanurzając do jednego z kotłów odzianą w rękawicę rękę uzbrojoną w wielką warzachew. — Muszę ugotować wodę dla chirurga. Akurat kroi rannych. Nie zdejmując dziurawych rękawic, połykaliśmy niezbyt ciepły posiłek, gdy przy kuchni polowej pojawił się jakiś porucznik.

— Gotuje się ta woda? — spytał kucharza.

— Jest już wrząca, panie poruczniku.

— W porządku — odparł oficer, rozglądając się dokoła, po czym zatrzymał wzrok na nas. —

Wy dwaj, zanieście wodę do lekarza — rzekł, wskazując nam drzwi oświetlonego budynku.

Zamknęliśmy wypełnione jeszcze do połowy menażki i przytroczyliśmy je do pasów.

Chwyciłem parujące naczynie i uważając, by nie wylać wrzątku na stopy, skierowałem się ku polowej sali operacyjnej.

Jedyną korzyścią — jedyną, powiadam — że wszedłem do tego domu, była odpowiednia temperatura. Od wielu dni nie mieliśmy okazji, by móc rozkoszować się temperaturą wnętrza. Nasz lekarz zarekwirował od sowieckiego chłopca wielką izbę i grzebał teraz w nodze jakiegoś nieszczęśnika leżącego na wielkim stole pośrodku izby. Dwóch żołnierzy przytrzymało pacjenta, który od czasu do czasu podrywał się z miejsca, jęcząc z bólu. Wszędzie dokoła: na ławkach, na podłodze, na skrzyniach czekali, pojękując, leżący lub siedzący ranni. Uwijała się przy nich dwójka pielęgniarzy. Na podłodze walały się zbroczone krwią szmaty.

Dwie kobiety, Rosjanki, myły narzędzia chirurgiczne w miednicach pełnych ciepłej wody.

Izba była słabo oświetlona. Lekarz ustawił przy stole, na którym operował rannych, większą

część oświetlenia naftowego, jakim dysponował wieśniak. Ten ostatni trzymał zresztą dużą lampę nad operującym; jakiś porucznik z sierżantem trzymali dwie kolejne.

W kącie, przy dużym kominku, płakał młody Rosjanin, który podobnie jak ja mógł mieć siedemnaście lat. Naczynie z wodą postawiłem obok lekarza, który zamoczył w niej pokaźny kłęb waty. Nie ruszałem się z miejsca, wzburzony tym widokiem. Wpatrywałem się w obnażone udo, którym zajęty był chirurg. Ciało rannego wydawało się zmiażdżone. Wszystko czerwone było od krwi. Od czasu do czasu po ogromnej ranie spływała jasna krwawa struga. Wówczas ręka lekarza manipulowała czymś w rodzaju nożyc o płaskim końcu. Zakręciło mi się w głowie. Zrobiło mi się niedobrze, lecz mimo to nie mogłem oderwać oczu od tego okropnego widoku. Nieborak, którego trzymali teraz mocno dwaj żołnierze, potrząsał energicznie głową. Miał bladą i spoconą twarz. Włożono mu kawałek tkaniny w usta, być może, aby nie krzyczał. Był to żołnierz z ochraniającego nas plutonu czołgów. Stałem, skamieniały, patrząc na to, co się dzieje.

— Przytrzymaj nogę — poprosił mnie lekarz cichym głosem. Ponieważ zawahałem się, spojrział na mnie raz jeszcze. Gdy trzęsącymi się rękoma ująłem rozerwaną kończynę, poczułem, jak uginają mi się nogi.

— Ostrożnie — wyszeptał lekarz.

Zobaczyłem, jak skalpel zagłębia się jeszcze bardziej w wielką, otwartą ranę. Pod moimi rękami czułem drżenie mięśni rannej kończyny. Nie mogłem dłużej na to patrzeć i zamknąłem oczy. Jeszcze przez dłuższą chwilę słyszałem odgłosy narzędzi chirurgicznych i ciężki oddech pacjenta, który w dalszym ciągu szamotał się na stole pomimo częściowego znieczulenia.

Po chwili nie wierzyłem własnym uszom: usłyszałem odgłos piły, a niebawem poczułem, jak noga jest o wiele cięższa, nieprawdopodobnie ciężka. Podtrzymywana była dziesięć centymetrów od stołu jedynie moimi drżącymi rękami. Chirurg oddzielił ją od tułowia. Stałem tak w śmiesznej i zarazem tragicznej pozycji, trzymając ten koszmarny ciężar. Myślałem, że stracę przytomność. Wreszcie położyłem kończynę na stercie leżących obok stołu szmat. Nawet gdybym miał żyć trzysta lat, nigdy nie zapomnę tej nogi.

Kierowcy ciężarówki udało się uciec. Ja czekałem na chwilę ogólnego zamieszania, by postąpić podobnie. Niestety, owa chwila nadeszła dopiero późno w nocy. Musiałem pomagać jeszcze w wielu innych czynnościach, przy czym niektóre z nich okazały się dla mnie prawie tak przykre jak sama amputacja. Gdy wreszcie około pierwszej w nocy otworzyłem dwuskrzydłowe drzwi rosyjskiego domu, poczułem tak gwałtowny mróz, jak jeszcze nigdy dotąd. Zawahałem się przez chwilę, lecz kiedy pomyślałem, że miałbym ponownie znaleźć się wśród wszystkich tych konających w kałużach krwi, momentalnie ruszyłem w mroźną noc. Gdy wyszedłem z ogrzanej sali, mróz wydawał się jeszcze dokuczliwszy. Niebo było bezchmurne, bardzo jasne, powietrze wydawało się nieruchome. Na twardym, błyszczącym śniegu widoczne były wyraźnie cienie domów i ciężarówek. Na zewnątrz nie było żywej duszy.

Zacząłem szukać swojej ciężarówki. Można by zniszczyć cały konwój, zanim ktokolwiek wszcząłby alarm. Wtem otworzyły się drzwi jakiejś chaty. Opatulona kilkoma warstwami odzieży sylwetka z przewieszonym mau-zerem zrobiła parę kroków po śniegu. Kiedy facet mnie dostrzegł, wymamrotał kilka słów.

— No dalej. Chodź. Teraz moja kolej.

— Gdzie mam iść? — spytałem.

— No przecież ogrzać się! Chyba że chcesz zrobić jeszcze jeden obchód.

— Ale ja nie jestem na warcie. Wyszedłem od chirurga, któremu pomagałem. Teraz idę spać. Ach tak. Wziąłem cię za... (tu wymienił nazwisko).

— Powiedziałeś, że można się ogrzać?

— Tak. Wejdz do środka. Zrobiliśmy tu wartownię. Zmieniamy się co piętnaście —

dwadzieścia minut. Nie sposób oczywiście zmrużyć oka, ale lepsze to niż marznąć regulaminowe dwie godziny.

— Tak, tak, w porządku. Idę.

Pchnąłem ciężkie drzwi wartowni i wszedłem do środka. W kominku palił się intensywny ogień. Czterech żołnierzy, w tym Halls, piekło w popiele ziemniaki i jakieś warzywa. Prócz płomieni ogniska nie było innego oświetlenia. Zaraz po mnie wszedł jakiś facet, zapewne wartownik, z którym mnie pomyłono. Podgrzałem resztę kolacji z menażki i zjadłem bez apetytu. Jakoś udało mi się zasnąć. Leżałem plackiem na podłodze przed dużym kominkiem. Co piętnaście — dwadzieścia minut wartownik zrywał ze snu kolejnego nieboraka, który miał go zastąpić. Od czasu do czasu budziły mnie głosy protestu. Była jeszcze noc, gdy usłyszałem gwizdek wzywający na zbiórkę.

Podnieśliśmy się wolno z podłogi, służącej nam za łóżko. Byliśmy nieco obolali, ale od bardzo dawna nie spaliśmy w ciepło. Z ciemnego kąta izby podeszła do nas młoda Rosjanka, niosąc dymiący garnek. Uśmiechając się, wyciągnęła go w naszym kierunku: było to gorące mleko. Przez chwilę przebiegła mi przez głowę myśl, że jest zatrute. Halls, który wołał umrzeć z pełnym żołądkiem niż pustym, czym prędzej chwycił naczynie i wychleptał zawartość dobrej szklanki. Garnek krążył między naszą czwórką. W końcu Halls oddał go Rosjance, śmiejąc się szeroko. Oboje nie rozumieli słów, jakie wymienili między sobą, wobec tego Halls zbliżył się do niej i pocałował ją w oba policzki. Kobieta zaczerwieniła się. Opuściliśmy izbę, salutując.

Momentalnie zaatakowało nas zimne powietrze niczym lodowaty prysznic. Była to pora apelu, po którym rozdawano letnią, lurowatą kawę. Jak każdego ranka pół godziny zajęło nam przygotowanie i rozgrzanie silników. I znów ciężarówka 19. Kompanii Transportowej podskakiwały na lśniącej, lodowej nawierzchni tej cholernej rosyjskiej drogi, „drogi międzynarodowej nr 3”, jak ochrzcili ją bolszewicy.

Kilkakrotnie musieliśmy ustąpić miejsca konwojom jadącym z naprzeciwka. Nadeszła pora posiłku. Zatrzymaliśmy się w jakiejś biednej wioszczynie, gdzie stały już czołgi, które zdołały nas wcześniej wyprzedzić. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy zaledwie siedemdziesiąt kilometrów od Charkowa.

Wszyscy się ucieszyli. Zbliżał się kres naszej podróży. Za dwie lub trzy godziny konwój przybędzie do celu. Oczyma wyobraźni widzieliśmy już kwatery w mieście.

— Jakie to miasto, twoim zdaniem, ten Charków? — spytał Lensen. Chłopak, z którym odbyłem tę niekończącą się podróż, ten sam, co stracił rzepkę, nie skakał z radości jak inni.

— Mam nadzieję — rzekł — że długo tam nie zostaniemy. Oni są zdolni wysłać nas nad Wołgę. Wołgę jechać w przeciwnym kierunku niż dalej na wschód.

— Skoro nikt nie chce iść na wschód, nigdy nie pokonamy Ruskich — rzucił któryś z kolegów.

— To prawda — dodał ktoś inny.

— Niektórzy mogliby w końcu nie okazywać, jakiego mają pietra.

Po około trzydziestu minutach ruszyliśmy w drogę. Słońce zniknęło za mgłą, która zasłaniała horyzont. Mróz zelżał, ale czuć było wilgoć i przenikliwie zimno. Byliśmy w drodze już od godziny. Z przymkniętymi oczyma zapadałem w półsen, wpatrując się w świecący punkt na tablicy rozdzielczej. Głowa kiwała mi się na boki w rytm wstrząsów jadącej ciężarówka.

Pragnąc zdrzemnąć się nieco, skuliłem się w kącie szoferki. Zanim zamknąłem powieki, raz jeszcze zerknąłem na zaśnieżony wiejski krajobraz. Niebo było szare i wydawało się cięższe niż ziemia. Nad najbliższym wzniesieniem

zbliżały się dwa małe, czarne punkty. Prawdopodobnie samoloty patrolowe. Zamknąłem oczy.

Po kilku sekundach otworzyłem je szeroko. Nad nami rozległo się narastające wycie silnika, a po chwili usłyszałem serię detonacji.

Jakaś nieprawdopodobna siła rzuciła mnie o przednią szybę samochodu. Wydawało mi się, że popękają mi bębniaki i rozerwie mi pierś. Towarzyszył temu wszystkiemu tak niesamowity hałas, że niemal uwierzyłem w sądny dzień. Zwała się na nas lawina kamieni, skrzynek, odłamków lodu, a także jeden hełm i menażka. Nasza ciężarówka o mało nie stuknęła w tył jadącego przed nami samochodu, który zahamował gwałtownie.

Oszołomiony i zaskoczony otworzyłem drzwi samochodu i wyskoczyłem na śnieg.

Spojrzałem do tyłu, skąd zdawała się dochodzić ta nawałnica. Jadąca za nami ciężarówka również o mało nie uderzyła. Podążający za nią pojazd wywrócił się. Sterczące wysoko koła obracały się jeszcze. Dalszy widok zasłaniały płomienie i dym.

— Pędem na zbocze! — krzyknął jakiś żołnierz.

Na ile mogłem dostrzec, wszyscy rozpierzchli się po śniegu.

— Celują w ciężarówkę! — wykrzyknął ktoś.

Ja również, pragnąc dobiec do zbocza, rzuciłem się w sześćdziesięcio-centymetrowy śnieg.

— Zając pozycje do obrony przeciwlotniczej! — ryknął feldfelbel, biegnąc pochylony poboczem drogi.

Kilku chłopaków, brnących koło mnie w śniegu, uniosło karabiny ku niebu.

O Boże! Moja broń została w samochodzie. Natychmiast popędziłem w kierunku ciężarówki.

Wtem rozległ się warkot nadlatującego samolotu. Rzuciłem się głową w śnieg. Huragan przeleciał nade mną, po czym rozległy się bliskie i dalsze detonacje. Usłyszałem również inne odgłosy, lecz nie tak gwałtowne jak tamte eksplozje.

Uniosłem zaśnieżoną twarz i dostrzegłem dwa samoloty dwusilnikowe nurkujące w oddali za brzoźowym lasem. Volkswagen kapitana podskakiwał po koleinach, jadąc na koniec konwoju. Żołnierze biegali bezładnie.

Wstałem i również pobiegłem w kierunku, skąd unosił się czarny dym. Sowieccy lotnicy trafili serią z karabinu maszynowego ciężarówkę z materiałami wybuchowymi. Po samochodzie nie pozostało ani śladu. Siła wybuchu zniszczyła dwa sąsiadujące z nim pojazdy. Dymiące resztki rozrzucone były w promieniu sześćdziesięciu metrów. Wszystko, co zostało, płonęło, wydzielając czarny i gryzący dym. Zobaczyłem, jak zza gęstego dymu wychodzi feldfelbel, niosący wraz z innym żołnierzem zakrwawione i osmalone ciało.

Wraz z kilkoma facetami rzuciłem się instynktownie na pomoc, zanurzając się w czarnym тумanie. W piekącym dymie usiłowałem dostrzec cokolwiek, co przypominałoby ludzkie kształty. Minęła mnie jakaś sylwetka, kaszląc.

— Wiejmy stąd! Pałają się skrzynie z amunicją. To zbyt niebezpieczne.

Przez dymną zasłonę przebił się blask reflektorów i odgłos silnika. Poboczem pełzła powoli ciężarówka, za nią następna, za nią jeszcze jedna... Konwój ruszał w dalszą podróż.

Pomimo pożaru byłem przemarznięty. Postanowiłem więc powrócić na swój posterunek, czyli do szoferki, gdzie było względnie ciepło. Gdy w przeredzającym się dymie można już było dostrzec śliską drogę, zauważyłem na niej stojących w szeregu przed oficerem kilku żołnierzy opatulonych w długie płaszcze.

— Chodźcie no, wy dwaj! — ryknął porucznik. Biegiem dołączyliśmy do szeregu.

— Wy tam! — rzekł, wskazując na mnie okutanym w rękawicę palcem. — Gdzie macie broń?

— Eee..., tam, panie poruczniku, za panem, w ciężarówce. Odpowiadałem drżącym i niespokojnym głosem. Porucznik wyglądał

na wściekłego. Sądził chyba, że zgubiłem broń i że moje słowa miały jedynie na celu uspokoić go. Rzucił się w moim kierunku, niczym rozjuszony brytan.

— Wystąp! — ryknął. — Baczość!

Wykonałem komendę. Jak tylko stanąłem w postawie zasadniczej, otrzymałem tak siarczysty policzek, że aż się zachwiałem. Moja furażerka, mimo że naciśnięta solidnie na głowę, potoczyła się po śniegu, ukazując brudne i rozczochrane włosy. Myślałem, że spadnie na

mnie grad ciosów.

— Warta aż do odwołania! — wycedził przez zęby, a jego wściekły wzrok zatrzymał się teraz na salutującym sierżancie.

— Zuriick bleiben... — dodał, paralizując mnie swymi szarymi oczami. Automatycznym krokiem dołączyłem do szeregu. Z nosa spływała ciepła i mdła ciecz, którą czułem na wargach.

— Banda wszarzy! — kontynuował porucznik. — Kiedy wasi towarzysze giną, byście mogli zachować dobre samopoczucie, nie jesteście nawet w stanie dostrzec dwóch kurewskich bolszewickich samolotów, które do nas strzelają. Powinniście je zauważyć! Tylko byście spali! Postaram się, aby wysłano was na pierwszą linię ognia, do batalionu karnego. Trzy pojazdy zniszczone, siedmiu zabitych, dwóch rannych. Oni chyba też spali. Oto rezultat! Nie jesteście godni nosić broni. Zamelduję o waszej postawie.

Odszedł, nie oddając honorów.

— Na stanowiska! — ryknął sierżant, starając się przybrać ten sam ton co jego przełożony. Wszyscy się rozbiegli. Właśnie miałem pobiec po leżącą furazerkę, gdy sierżant chwycił mnie za ramię.

— Na stanowisko! — warknął.

— Moja furazerka... panie sierżancie.

Usłyszał mnie żołnierz przechodzący akurat koło mego nakrycia głowy. Podniósł furazerkę i wręczył mi ją. Oszołomiony, doskoczyłem do ciężarówki, która ruszała już z miejsca.

— Wytrzymaj nos! — rzucił kierowca.

— Tak... Zdaje mi się, że oberwałem za całą kompanię.

— Och, nie przejmuj się. Dziś wieczór będziemy w Charkowie. Nic tam chyba nie trzeba będzie pilnować.

Po tym zimnym prysznicu ogarnęła mnie złość.

— Równie dobrze on mógł zauważyć te samoloty. Ostatecznie też był w konwoju.

— He, he! — zaśmiał się kierowca. — Idź mu to powiedz!

Ciągle widziałem w myślach dwa małe, czarne punkty, jakie dostrzegłem w północy.

Porucznik powiedział prawdę, ale nie spodziewaliśmy się tego. Nie zetknęliśmy się jeszcze z prawdziwym niebezpieczeństwem na wojnie. Poza tym wszyscy byliśmy zmęczeni na skutek niewyspania, wycieńczeni z zimna, zmordowani tą niekończącą się podróżą, a przede wszystkim, co jest wręcz niewyobrażalne, potwornie brudni. Zbyt przemarznięci, by w przeciągu kilku minut umyć się w czasie postojów. Ponadto trudno było o wodę w temperaturze dwudziestu pięciu stopni poniżej zera. Musieliśmy chodzić do chłopów, prosząc o nią, a ci nic nie rozumieli. Wobec tego działaliśmy bez ich przyzwolenia, a oni wybałuszali na nas oczy. Wszystko to zajmowało sporo czasu, a mogliśmy to robić tylko wieczorem, kiedy było już całkiem ciemno. W praktyce, gdy konwój się zatrzymywał, wyczerpani myśleliśmy tylko o spaniu.

Właściwie nie miało sensu szukanie usprawiedliwienia. Nie przywróci to życia kolegom poległym w wyniku ataku sowieckich samolotów. Ogarnęło mnie przerażenie, kiedy pomyślałem, że przecież nasza ciężarówka również mogła wylecieć w powietrze. Tylko trzy wozy dalej... Choć nie zostałem ranny, miałem już świadomość, jakie to bolesne. Przełknąłem ślinę...

— Mój Boże! — rzekłem, przylegając do szyby. — Niech no tylko nadlecą następne. Już ja je dostrzegę!

Facet bez rzepki popatrzył na mnie drwiącym wzrokiem.

— Zerkaj też w lusterko wsteczne. Mogą nadlecieć od tyłu!

— Myśli pan, że drewniany łeb ze mnie! (wyrażenie to, używane często w języku niemieckim, oznacza, w przybliżeniu, tępaka). A co według pana trzeba robić?

Nie zmieniając tonu, wzruszył ramionami.

— No wiesz... nic specjalnego nie trzeba robić. Kiedy rozbiłem sobie kolano, zacząłem uważać na głowę. Najlepiej byłoby pojechać w przeciwnym kierunku...

— No tak! I zostawić kumpli, którzy zdychają z głodu i zimna na pierwszej linii.

Kierowca popatrzył na mnie. Przestał się na chwilę uśmiechać, lecz po chwili twarz jego odprężyla się znowu, po czym dodał z tą samą beztroską co na początku rozmowy.

— Muszą tylko zrobić, jak powiedziałem, „w tył zwrot!” — rzucił, naśladując głos feldfebla.

— Pan się nie zastanawia nad tym, co mówi — odrzekłem, marszcząc brwi. — Bolszewicy wykorzystaliby to. To niemożliwe. Wojna się jeszcze nie skończyła. Nie ma pan prawa nawet tak myśleć.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Za młody jesteś. Myślisz, że mówiłem poważnie? Ależ skąd! Trzeba iść naprzód i to szybko, jeszcze szybciej.

Dodał gazu, by uwiarygodnić swoje słowa.

— Ja jestem za młody! Wkurwiacie mnie wszyscy, kiedy tak mówicie! Nie tylko faceci w pańskim wieku mogą być żołnierzami. Dowodem jest to, że noszę taki sam mundur jak pan. Byłem tak wściekły, że nie kontrolowałem tego, co mówię. W gruncie rzeczy nie mogłem uwierzyć, że jestem tu, wśród tych żołnierzy.

— Jak ci się coś nie podoba, zmień samochód — rzucił kierowca, wybuchając niepohamowanym śmiechem.

Było oczywiste, że nie traktował mnie na serio. Cóż miałem robić... Umilkłem. Byłem wściekły i przygnębiony. Dostaiem w gębę za brak czujności, a teraz facet na mnie wsiada, bo chce odkupić swoje winy. Sznur samochodów posuwał się do przodu, podskakując na śniegu i lodzie. Zapadała noc; było coraz zimniej. Myśl, że zbliżamy się do celu, dodawała nam nieco otuchy. Za niecałe pół godziny będziemy na przedmieściach Charkowa. Co zastaniemy w tym mieście? To ostatnie wielkie miasto przed frontem, który znajdował się na linii Donu, a nawet dalej, nad Wołgą, czyli pod Stalingradem. Stalingrad dzieliło od Charkowa jeszcze co najmniej sześćset kilometrów. Pomimo obrzydzenia, jakie budziła we mnie kampania rosyjska, w głębi duszy czułem niemal zawód, że nie zbliżam się do linii ognia. Później byłem już całkowicie usatysfakcjonowany...

Pamiętam, że zjeżdżaliśmy ze wznesienia. Jadące przed nami ciężarówki zaczęły zwalniać, a następnie zatrzymały się.

— Co jest? — spytałem niecierpliwie, otwierając momentalnie drzwi szoferki.

— Zamknij! Jest zimno! — rzucił towarzysz podróży.

Trzasnąłem mu drzwiczkami przed nosem, po czym ruszyłem po lodowej skorupie pokrywającej wąską „szosę międzynarodową nr 3”. Z przodu zatrzymywał się akurat motocykl z przyczepą, tańcząc na szklanej nawierzchni. To łącznik z Charkowa przywoził jakiś rozkaz. W zapadającej szarówce widziałem oficerów, którzy rozmawiali nerwowo. Widać było, że nad czymś radzą i omawiają jakąś ważną wiadomość. Jeden z nich, nasz kapitan, czytał jakiś papier.

Po chwili jeden z sierżantów zaczął biec wzdłuż konwoju, gwizdząc na zbiórkę. Podczas gdy wszyscy się schodzili, motocykl z przyczepą wiozący dwóch żołnierzy, ubranych jak nurkowie, ruszył z miejsca i przejechał przede mną. Podeszedł do nas kapitan w towarzystwie dwóch poruczników i trzech sierżantów. Zbliżał się, patrząc na czubki butów — wyglądał na przybitego.

Przez nasze zmęczone i niegolone twarze przebiegł dreszcz niepokoju.

— Achtung! Stillgestanden! — wykrzyknął któryś z sierżantów.

Zastygliśmy w postawie zasadniczej. Kapitan spoglądał na nas długo, po czym jego odziane w rękawice dłonie uniosły powoli papier na wysokość oczu.

— Żołnierze! — zaczął. — Mam wam bardzo ważną wiadomość do zakomunikowania. Jest to ważna wiadomość dla was, dla wszystkich żołnierzy Osi, dla naszego narodu, dla podtrzymania naszej wiary i męstwa w walce. Wszędzie, gdzie ta nowina dociera w dzisiejszy wieczór, sieje trwogę i wzbudza głęboki smutek. Wszędzie, zarówno na ogromnym froncie, jak i w samym sercu naszej ojczyzny, niełatwo nam będzie powstrzymać wzruszenie.

— Stillgestanden! — krzyknął z naciskiem sierżant.

— Stalingrad padł! — rzekł nasz kapitan. — Marszałek von Paulus i jego 6. Armia, walcząc z bezprzykładnym bohaterstwem, zostali zmuszeni do bezwarunkowej kapitulacji.

Z początku zaniemówiliśmy, po czym ogarnęło nas ogromne przygnębienie. Po chwili ciszy kapitan ciągnął dalej:

— W swym przedostatnim meldunku marszałek von Paulus poinformował Fuhrera, że każdemu z żołnierzy w uznaniu za szczególne męstwo przyznaje Krzyż Walecznych. Marszałek dodał, że nikt bardziej niż ci nieszczęśnicy, którzy w trakcie wielomiesięcznych walk przeszli przez prawdziwe piekło, zaznając niewyobrażalnych cierpień, nie zasłużył na aureolę chwały. Mam tu ostatni meldunek z ruin fabryki traktorów „Czerwony Październik” przechwycony na krótkich falach. Naczelne dowództwo prosi mnie, abym go wam przeczytał. Meldunek wysiany został przez jednego z ostatnich walczących żołnierzy 6. Armii, sierżanta Heinricha Stodę. Heinrich donosił, że w południo-wo-zachodniej dzielnicy Stalingradu słychać było jeszcze odgłosy innych walk. Oto jego meldunek:

„Zostało nas przy życiu tylko siedmiu, w tym czterech rannych. Od czterech dni jesteśmy zabarykadowani za stosem belek w fabryce traktorów. Od czterech dni nie mamy już żywności. Właśnie założyłem ostatni magazynek do karabinu maszynowego. Za dziesięć minut zaleje nas fala bolszewików. Nie jesteśmy w stanie dłużej się bronić. Powiedzcie ojcu, że spełniłem swój obowiązek i że potrafię umrzeć. Niech żyją Niemcy! Niech żyje Hitler"! Heinrich Stoda był synem lekarza medycyny Adolpha Stody z Monachium. Nastąpiła przejmująca cisza zakłócana jedynie podmuchami wiatru. Pomyślałem o wujku, który tam był; o wujku, którego zresztą nigdy nie widziałem z powodu waśni rodzinnych. Znałem tylko jego fotografię; przedstawiano mi go jako poetę. Czułem, że straciłem przyjaciela. Nagle rozległ się szloch jakiegoś żołnierza w podeszłym wieku lub przynajmniej wyglądającego na takiego z powodu białych skroni. Opuścił wyprężony na baczność szereg i zbliżył się do oficerów. Płakał i krzyczał równocześnie.

— Moi dwaj synowie nie żyją! To musiało się stać! To jest wasza wina, panowie oficerowie! To tragiczne! Nie przetrwamy rosyjskiej zimy! (żołnierz pochylił się, zalewając się łzami).

Moi biedni synkowie, zginęli tam! Moi biedni...

— Zuruck, bleiben! — rozkazał feldfebel.

— Nie!!! — ryknął zrozpaczony ojciec. — Możecie mnie zabić. Wszystko mi jedno. Wszystko mi jedno...

Z szeregu wyszło dwóch żołnierzy, którzy chwycili nieboraka za ramiona, by pomóc mu powrócić na miejsce. Chodziło o to, aby stary uniknął najgorszego. Czyż nie obraził oficerów?! Na nieszczęście wrywał się jak opętany-

— Do izby chorych! — rzekł tylko kapitan. — Dać mu coś na uspokojenie.

Zdawało mi się, że doda coś jeszcze. Nie zmienił kamiennego wyrazu twarzy. Może on też miał kogoś z rodziny pod Stalingradem...?

— Rozejść się! — rzekł po prostu.

Wracaliśmy do samochodów w milczeniu niewielkimi grupami. Była już noc. Biel falistego horyzontu spowiła szaro-błękitna barwa. Zacząłem się trząść.

— Jest coraz zimniej — bąknąłem do idącego koło mnie chłopaka.

— Tak, coraz zimniej — odpowiedział, patrząc w dal.

Po raz pierwszy Rosja wydała mi się ogromna i pępna. Miałem wrażenie, że ten olbrzymi, szary horyzont nas przytłaczał. Trzęsłem się coraz bardziej. Trzy kwadransy później

docieraliśmy już do zniszczonych przedmieść Charkowa. W słabym świetle reflektorów naszych ciężarówek widzieliśmy niewiele, lecz wszystko to, na co padało światło, było jedną wielką ruiną.

Nazajutrz, w świetle dnia, po kolejnej nocy spędzonej na podłodze samochodu, mogłem przekonać się na własne oczy, co pozostało z wielkiego miasta. W wyniku czterech krwawych kampanii Charków zmieciony został z powierzchni ziemi.

W latach 1941 - 43 miasto zdobyte zostało najpierw przez naszą armię, potem odbite przez Rosjan, następnie przez Niemców, wreszcie ostatecznie odbite przez bolszewików. Kiedy tam wjeżdżaliśmy, nasze wojska zdobyły Charków po raz pierwszy i nie zdążyły go jeszcze utracić. Mimo to miasto przypominało jedno wielkie rumowisko. Na przestrzeni wielu hektarów

ciągnęły się zburzone domy niczym cmentarzysko, na którym wały się ogromne ilości zniszczonego sprzętu wojskowego. Stacjonujące w Charkowie niemieckie oddziały gromadziły niekiedy te bezużyteczne wraki w olbrzymie stosy, aby odblokować drogi. Sterty powyginanego, poharatanego żelastwa świadczyły, jak straszliwe toczyły się tu walki. Z łatwością można sobie wyobrazić, jaki los czekał walczących tu żołnierzy. Stalowe wraki — niemy świadek jednego z epizodów tej wojny, walk o Charków — spoczywają teraz w pokrywającym je częściowo śnieżnym całunie.

W kilku ocalałych dzielnicach Wehrmacht założył kwatery. Znakomicie zorganizowane w obszernym budynku służby sanitarne okazały się dla nas prawdziwym wybawieniem. Po południu zaprowadzono nas do piwnic stanowiących długi, podziemny kompleks, gdzie ustawiono różnego rodzaju łóżka. Zalecono nam wypoczynek. Mimo nietypowej pory prawie wszyscy zasnęliśmy kamiennym snem. Obudził nas sierżant, który zabrał nas do kantyny. Tam odnalazłem Hallsa, Lensena i Olensheima. Rozmawialiśmy na różne tematy, a szczególnie o upadku Stalingradu.

— To niemożliwe — mówił Halls. — Na Boga! 6. Armia nie mogła ulec Sowietom!

— Ale komunikat podawał, że są otoczeni, że już nic nie mają, no więc musieli się poddać.

— No to trzeba ich uwolnić — rzucił ktoś inny.

— Za późno... rzekł jakiś starszy żołnierz. — Zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy...

— Kurwa! kurwa! kurwa! — klął Halls, zaciskając pięści. — Nie mogę w to uwierzyć.

Kłęska pod Stalingradem podziałała na niektórych jak uderzenie obuchem, natomiast u innych wzbudziła poczucie zemsty, co podniosło mocno już nadwątlone morale. W naszej grupie, zważywszy na różnice wieku, zdania były podzielone. U starszych żołnierzy można było zaobserwować coraz bardziej pesymistyczne nastroje, natomiast my, młodzi, przysięgaliśmy, że uwolnimy towarzyszy z 6. Armii. Gdy wracaliśmy do naszych podziemnych sypialni, wybuchła kłótnia wywołana właściwie przeze mnie.

Facet bez rzepki, który towarzyszył mi w tej cholernej renówie, szedł tuż za mną.

— No i co? Zadowolony jesteś? — zwrócił się do mnie. — Pewnie jutro zaczniemy odwrót. Zdawało mi się, że spogląda na mnie ironicznym wzrokiem. Poczułem, jak czerwienieję ze złości.

— W porządku! — ryknąłem. — Jest pan zadowolony. Wracamy! Częściowo to pańska wina, jeśli mój wujek zginął pod Stalingradem!

Facet zbladł.

— Kto ci powiedział, że zginął? — zamruczał.

— Jak nie zginął, to jeszcze gorzej! — ciągnąłem. — Jest pan tchórzem! To pan mi powiedział, że trzeba ich pozostawić własnemu losowi.

Facet oniemiał, rozejrzał się na boki. Chciałem mówić dalej, lecz jego dłoń zacisnęła się na

kołnierzu mojego płaszcza.

— Spokój! — rzekł rozkazującym tonem, unosząc pięść. Potrafiłem go stopą w nogę. Już gotował się do zadania mi ciosu, gdy

Halls chwycił go za ramię.

— W porządku — rzekł stary cwaniak spokojnym głosem. — Przestańcie, bo pójdziecie do mamra.

— Z ciebie też taki zapaleniec, jak te młokosy? — ryknął kolejny żołnierz w porywie złości.

— Zaraz dostaniecie, wy...

— Puść go — rzekł z naciskiem Halls.

— Kurwa! — warknął mój przeciwnik.

Nie zdążył jednak nic dodać. Mój kolega potężnym ciosem uderzył go w podbródek. Facet zakręcił się wokół własnej osi i upadł tyłkiem w śnieg. Lensen nadbiegał już na pomoc.

— Banda nieopierzonych gnojków! — mruknął kierowca „drogi międzynarodowej nr 3”.

Usiłował wstać, by rzucić się do ataku, lecz zanim zdążył się podnieść, Lensen, mały, przysadzisty facet, kopnął go w twarz okutym butem. Krzycząc z bólu, padł na kolana, ukrywając w dłoniach zakrwawioną twarz.

— Dzikus! — rzucił któryś z żołnierzy.

Daliśmy spokój. Mruczając pod nosem, dołączyliśmy do kolegów, którzy patrzyli na nas, marszcząc brwi. Dwóch facetów podeszło do jęczącego kierowcy, by pomóc mu wstać.

— Trzeba będzie uważać na tego padalca — rzekł Halls. — Facet z zemsty gotów jest strzelać do nas przy najbliższej walce.

Nazajutrz pobudka była dość późno. Wyszliśmy na apel kompanii. Na zewnątrz powitała nas zawieja śnieżna. Tuląc głowy w podniesionych kołnierzach, aby uchronić się przed szczypiącym w twarz śniegiem, tym razem słuchaliśmy dobrej wiadomości. Pojawił się wśród nas feldfelbel Laus, którego nie widzieliśmy całą wieczność. W zaciśniętych pięściach trzymał rozkaz na piśmie. On także walczył ze śnieżną zawieruchą.

— Żołnierze! — odczytywał w przerwie pomiędzy gwałtownymi podmuchami wiatru. — Naczelne dowództwo, w uznaniu waszych zasług, przyznaje wam dwudziestoczterogodzinny wypoczynek. Jednakże ze względu na obecną sytuację, a także możliwość nadejścia nowych rozkazów, macie meldować się na kwaterze co dwie godziny. Wobec tego nie ma co marzyć o odwiedzeniu waszych dziewczyn czy rodzin — dodał z uśmiechem — ale możecie skorzystać z wolnego czasu, by do nich napisać.

Laus wysłał dwóch ludzi po odbiór poczty. Po powrocie chłopaki rozdały przesyłki. Ja otrzymałem cztery listy i paczkę. Chcieliśmy zwiedzić Charków, ale fatalna pogoda zmusiła nas do pozostania w kwaterach. Był to miły, rekreacyjny dzień. Zważywszy na okoliczności, sposobiliśmy się

Ho wymarszu w kierunku przeciwnym. Jakież było nasze zdziwienie, gdy nazajutrz dowiedzieliśmy się, że mamy dostarczyć żywność i broń jednostce znajdującej się w rejonie walk. Podano nam nawet z grubsza trasę podróży. Mieliśmy dotrzeć do sektora, którego numeru już nie pamiętam, gdzieś na południe od Woroneża. Przyjęliśmy wiadomość bez specjalnego entuzjazmu.

— Cóż — rzekł Halls. — Na jedno wychodzi, czy bniemy w śniegu na Kijów, czy na Woroneż.

— Tak, ale pod Woroneżem jest front — wypalił Olensheim.

— Tak, wiem — odparł Halls. — W końcu trzeba to kiedyś zobaczyć. Nie wiem, o czym wtedy myślałem. Co tak naprawdę działo się na polu bitwy? Miotaly mną ciekawość i strach...

ROZDZIAŁ DRUGI

Front

Na południe od Woroneża Don

Końca zimy nie było widać. Prawie cały czas padał śnieg. Nie pamiętam już, czy był to koniec lutego, czy też początek marca. Przewieziono nas wtedy koleją około sześćdziesiąt — osiemdziesiąt kilometrów od Charkowa, do wioski, gdzie znajdował się punkt zaopatrzeniowy. Wielkie magazyny pełne były żywności, koców, lekarstw itp. We wszystkich piwnicach, w najmniejszych nawet zakamarkach podziemnych, leżały stopy amunicji wszelkiego kalibru. Były tam również warsztaty naprawcze zainstalowane w pomieszczeniach lub pod gołym niebem. Znajdujący się na czołgach żołnierze chuchali w zgrabięte dłonie, niezdolne utrzymać nawet narzędzia.

W okolicach wioski rozciągały się transeje i stanowiska obronne. Rejon ten dość często atakowali partyzanci. Wszyscy mechanicy i magazynierzy porzucali wówczas narzędzia, księgi inwentarzowe i pędzili do karabinów maszynowych, by bronić zarówno siebie, jak i powierzonego mienia.

— Jedyne pożytki z pobytu tutaj — opowiadał mi miejscowy żołnierz — to bardzo dobre wyżywienie. — Mamy dużo pracy. Sami musieliśmy zorganizować obronę. Kolejno pełnimy wartę. Kiedy robi się gorąco, nawet wszystkimi siłami niełatwo nam odeprzeć ataki partyzantów. Zniszczyli nam już sporo zaopatrzenia. Nasz dowódca kilkakrotnie domagał się przysłania na pomoc piechoty — nigdy się jej nie doczekaliśmy. A tak! Raz Przybyła kompania SS. Po trzech dniach wysłano ją na pomoc 6. Armii. Mamy już czterdziestu zabitych. To sporo jak na kompanię.

Wczesnym popołudniem utworzyliśmy osobliwy konwój. Składał się z małych czterokołowych rosyjskich wozów, do których z łatwością można było doczepić deski w kształcie nart, przekształcając je w rodzaj sani. Mieliśmy też prawdziwe rosyjskie sanie, a nawet dwie lub trzy bogato dekorowane trojki. Wszystko to było oczywiście zarekwirowane Rosjanom.

Zastanawiałem się, co takiego mamy robić i dokąd poprowadzić ten orszak świętego Mikołaja, którego worek nie zawierał bynajmniej pajacy-ków czy innych błyszczących zabawek. Naszym załadunkiem były przede wszystkim granaty i inny groźnie wyglądający sprzęt.

Ruszyliśmy w drogę w kierunku północno-wschodnim. Mieliśmy dotrzeć do sektora gdzieś w okolicach Woroneża. Otrzymaliśmy specjalne racje żywnościowe, jakie żołnierze dostają w czasie mrozów, pakiet opatrunkowy i na dwa dni jedzenie z kuchni. Poruszaliśmy się pokrytymi śniegiem śladami — trudno to było nazwać drogą. Przecinały one pozycje obronne otaczające wioskę. Jakiś gruby, zakapturzony żołnierz, chyba jedyny wartownik na służbie, machnął nam przyjaźnie ręką. Spoglądał na nas długo, tkwiąc tak w śniegu i kurząc ogromną fajkę z wieczkiem. Jego bezbronna sylwetka wyglądała jak pękata butla.

Po godzinie droga stała się jeszcze bardziej ośnieżona, toteż musieliśmy umocować pod kołami narty. Nasze skórzane buty, mimo że były bardzo szczelne, niezbyt się nadawały do marszu w kilkudziesięciocentymetrowym śniegu.

Byliśmy wyczerpani, choć przecież nie ujechaliśmy jeszcze daleko. Oto dumni żołnierze 19 Rollbahn Kompanie pilnowali sań niczym kulawy swej laski. Ścisnąłem pięściami sierść tych poczwarnych, małych koni, kudłatych jak owce. W ten sposób rozgrzewałem sobie palce, a zarazem łatwiej mi się szło, gdyż te cholerne zwierzaki były bardzo szybkie, co zmuszało nas do wyczerpującego marszu. Pomimo mrozu wszyscy spociliśmy się. Od czasu do czasu idący na czele żołnierze przystawali i pod pretekstem sprawdzenia szyku spoglądali na ciągnący się powoli orszak. Tak naprawdę chodziło im o chwilę odpoczynku i zaczerpnięcie oddechu.

Ruszali w drogę, kiedy zrównywały się z nimi ostatnie sanie, a nie zauważyłem, by

ktokolwiek z nich wracał biegiem na swój posterunek na czele konwoju.

Z drugiej strony karłowatego konia szedł Halls, który stał się moim prawdziwym przyjacielem. Mimo że był o wiele wyższy i silniejszy ode mnie, chyba miał już tego wszystkiego serdecznie dość. Twarz do połowy zasłonił podniesionym kołnierzem, furażerkę maksymalnie nacisnął na głowę. Zaczerwienionym nosem wydychał, jak wszyscy, obłoki pary.

Posuwaliśmy się naprzód, prawie nie rozmawiając. Ja sam nauczyłem się milczeć, co na ogół jest niemiecką cechą (są oczywiście okazje, kiedy się tego nie przestrzega). Niemniej faktem jest, że uważałem Hallsa za wielkiego przyjaciela i myślę, że chociaż nigdy nie zadałem mu tego pytania, to samo uczucie żywił do mnie. Co jakiś czas uśmiechaliśmy się do siebie, by dodać sobie otuchy. Wiedziałem, że znaczy to: „jakoś to będzie” albo: „dobrze jest; wytrzymamy”!

Wieczorem zarządzono postój. Skrajnie wyczerpany, usiadłem na dyszlu. Moje uda i łydki ścięły i sprawiały dotkliwy ból. Czułem, jak od zmęczenia tężeje mi twarz. Ten marsz rzeczywiście był bardzo wyczerpujący.

Halls powalił się dosłownie na śniegu.

— Ojoj, moje biedne nogi — zamruczał, wykrzywiając twarz. Żołnierze siadali lub kładli się na śniegu dookoła.

— Przecież nie zostaniemy tu na noc! — rzucił młodziak, który przysiadł Icoło mnie.

Popatrzyliśmy na siebie niespokojnie.

— Ja tam pierdołę — rzekł Halls, otwierając menażkę. — Nie ruszam się stąd ani o krok.

— Tak mówisz, bo jesteś jeszcze spocony — odparłem. — Ale zaczeka), jak się ochłodzisz. Będziesz musiał iść, abyś nie zamarzł.

— Kurwa! — rzucił w odpowiedzi Halls. — To mięso cuchnie.

Otworzyłem menażkę. Minęło już sporo czasu, kiedy dwudniowy posiłek jaki rozdano nam wczesnym popołudniem, ostygł, a potem zamarzł w metalowym naczyniu. Przypominało to flaczki.

— Tak, pachnie nieszczególnie — rzekłem.

Siedzący obok żołnierze stwierdzili to samo.

— No ładnie! — rzekł Halls. — Ale przecież nie wyrzucimy tego.

— Co pan na to? — zwrócił się jakiś żołnierz do feldfebla, który zauważył to samo.

— No jasne! Ci łajdacy dali nam zepsute mięso!

— Albo resztki sprzed kilku dni! To niesamowite. Mieli tam żarcia dla całej dywizji!

— Tego się nie da zjeść. To cuchnie!

— No to trzeba wyjąć konserwy.

— Nie ma mowy! — zaprotestował feldfebel. — Czekają nas wielodniowy marsz, a żywności nie mamy zbyt wiele. Wyrzucicie mięso, jak wam nie odpowiada, i wpieprzajcie papkę.

Halls, który nie zaliczał się do delikatnych, wbił zęby w coś, co przypominało kotlet barani.

Po dwóch sekundach wypluł wszystko na śnieg.

— Fuj! To ohydne! Gnoje, chyba upichcili bolszewika!

Mimo niewesołej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu: potężnej postury facet, złakniony posiłku, który oddalał się coraz bardziej, spoglądał straszonym wzrokiem do wnętrza menażki. Znając Hallsa, czułem, że zaraz wybuchnie niepohamowanym gniewem. A że był on słusznej postawy, jego wybuchy wywoływały wrażenie. Rzucił wiązką przekleństw i z całej siły kopnął menażkę, która zatrzymała się piętnaście metrów dalej. Nastąpiła cisza, po czym rozległy się jakieś śmiechy, by rozładować atmosferę.

— I co z tego masz? — rzucił siedzący obok mnie młody żołnierz.

Halls obrócił się, lecz nic nie odpowiedział. Potem powoli ruszył po menażkę. Zacząłem

przełykać papkę, która przeszła zepsutym mięsem. Przygnębiony Halls podniósł powyginane naczynie, którego zawartość rozprysnęła się po śniegu. Kilka minut później w podłym nastroju wspólnie spożywaliśmy moją rację.

Podoficerowie wyznaczyli wartowników. Teraz zaabsorbowała nas kwestia noclegu. Skuleni z zimna, zastanawialiśmy się, gdzie i w jaki sposób rozłożyć brezenty. Niektórzy zaczęli ryć w śniegu, inni zbudowali coś w rodzaju budy, posługując się workami z sianem wiszącymi po obu stronach końskich chomąt, jeszcze inni usiłowali wykorzystać w tym celu konie, zmuszając je do położenia się, i Bóg wie, co jeszcze wymyślano. Spędziliśmy już wiele ciężkich nocy, ale zawsze mieliśmy gorsze lub lepsze schronienie. Ogarniało nas przerażenie na myśl, że trzeba będzie spać pod gołym niebem, i to na takim mrozie. Żołnierze dyskutowali na ten temat.

Niektórzy proponowali iść dalej, aby dojść do jakiejś wioski czy choćby budynku. „Lepiej już zdechnąć z wyczerpania niż z zimna — utrzymywali — bo jutro rano co najmniej połowa z nas będzie martwa”.

— Co najmniej przez trzy dni marszu nie zobaczycie żadnej wioski — twierdzili nasi podoficerowie. — Musicie sobie jakoś radzić.

— Gdyby tak można było chociaż rozpaść ogień! — wykrzyknął, bliski płaczu, jakiś nieborak, szcękając zębami. Przygnębieni perspektywą spędzenia nocy na śniegu, sposobiliśmy się do przetrwania jakoś tych męczarni. Wraz z Hallsem całkowicie opróżniłem jedno sanie, po czym ułożyłem w nich wyjętą zawartość w taki sposób, by powstała wnęka, w której można by się położyć między skrzyniami z materiałami wybuchowymi. Wiedzieliśmy, jak wiele ryzykowaliśmy, woleliśmy jednak rozpląnąć się raczej w gorącym podmuchu eksplozji niż wykitować na mrozie.

Halls opowiedział nawet kilka sprośnych kawałów, które rozśmieszyły mnie pomimo niewesołej sytuacji. Leżeliśmy skuleni ciasno jeden obok drugiego. Co jakiś czas udawało nam się zasnąć. Przerazała nas myśl, że możemy zamarznąć we śnie.

W takich warunkach spędziliśmy dwa tygodnie. Kiedy w końcu przybyliśmy do miejsca, które miało okazać się dla nas najbardziej wysuniętym na wschód punktem na terenie sowieckim, byliśmy fizycznie i psychicznie tak wyczerpani, że żołnierze, którzy nas pierwsi dostrzegli, rzucili się w naszym kierunku, jakbyśmy to my potrzebowali pomocy.

Epopėja ta (nie sądzę, by termin ten był zbyt pretensjonalny) dla wielu z nas okazała się tragiczna. Już trzeciego dnia stwierdzono dwa wypadki zapalenia płuc. W następnych dniach zanotowano odmrożenia kończyn i tzw. „herzegogener Brand”. Jest to rodzaj gangreny spowodowanej mrozem, atakującej najpierw twarz, najbardziej narażoną na mróz, a następnie osłonięte części ciała. Nieboracy cierpiący na tę chorobę skóry musieli nasmarować się tłustą, żółtą maścią, co sprawiało komiczny a zarazem żałosny widok. Dwóch żołnierzy w przypływie rozpaczyny odłączyło się nocą od konwoju. Obaj zaginęli w śnieżnej pustyni. Jakiś młodziutki żołnierz, płacząc, godzinami wzywał matkę. Każdy z nas starał się po kolei go pocieszyć albo opieprzał go za jęki zakłócające nam wypoczynek. Nad ranem, gdy od dłuższego już czasu zachowywał się spokojnie, poderwał nas na nogi odgłos wystrzału. Znaleźliśmy go w pewnej odległości. Chłopak usiłował zakończyć swój ko-

—
marny żywot, posługując się nieporadnie bronią. Nie zginął na miejscu od kuli- Nieborak umarł po południu, a my nie byliśmy w stanie udzielić mu skutecznej pomocy.

Kiedy przywołuję dziś te wspomnienia, obraz tamtych dni pojawia się niewyraźnie, niczym we śnie. Gdy osiągnąłem już granice wytrzymałości, wydawało mi się, że jestem gdzieś w głębi siebie samego; miałem osobliwe uczucie, że moje ciało oddzieliło się od ducha.

Początkowo nogi, umęczone od marszu i zimna, sprawiały niemiłosierny ból; później już ich prawie nie czułem. Kiedy badał nas lekarz wojskowy zauważyłem, że trzy palce mojej prawej stopy są szare jak popiół. Paznokcie przywierały do podwójnej pary cuchnących skarpet,

które zdjąłem w obecności lekarza. Otrzymałem bolesny zastrzyk; uratował mi palce od niechybnej amputacji. Ciągle zadaję sobie pytanie, jak mogliśmy to wszystko wytrzymać, zwłaszcza ja, nie mający imponującej postury.

„Wreszcie” poznam wojnę i linię frontu. Wkrótce miałem się przekonać, że może być jeszcze gorzej!

W barakach i umocnieniach ziemnych na terenie lotniska polowego Luftwaffe czekał na nas zasłużony odpoczynek. Zostało już tam niewiele samolotów, które musiały ostatnio wycofać się bardziej na zachód. Było też kilka oblodzonych myśliwców, zapewne niesprawnych. Obsługa naziemna kończyła właśnie wyładunek sprzętu z kilku wielkich sań przyczepionych do traktorów gaśnicowych wypożyczonych od artylerzystów, których baterie stuipięćdziesięcimilimetrowych dział znajdowały się na skraju obozu.

Kilka dni odpoczywaliśmy w warunkach w miarę znośnych. Gdy tylko odzyskaliśmy siły, zagnano nas do roboty. Dla stacjonujących w tym sektorze żołnierzy nasza kompania okazała się niespodziewaną i cenną pomocą. Podzielono nas na grupy do wykonywania różnego rodzaju prac. Trzy czwarte naszych ludzi przygotowywało stanowiska artyleryjskie do siedemdziesiątek siódemek, a nawet do dział o krótszym zasięgu. W tym celu koledzy musieli odgarnąć mnóstwo śniegu, a następnie rozrywać kilofami i minami twardą jak beton ziemię. Moja grupa, w której znaleźli się Halls i Lensen (zrobiliśmy wszystko, aby być razem), miała za zadanie dostarczyć amunicję i konserwy odległemu o około piętnaście kilometrów plutonowi piechoty.

Dostaliśmy dwoje sani. Każde zaprzęgnięte do trzech kosmatych stepowych koni. Odległość nie była zbyt wielka, a poza tym mieliśmy zaprzęg solidniejszy niż podczas naszej poprzedniej tragicznej podróży. Powinniśmy wrócić jeszcze tego samego dnia. Mimo wymarłego krajobrazu nie mieliśmy ponurego nastroju, uznając naszą misję za łatwe zadanie. Było nas ośmiu, plus jeden sierżant. Jechałem na drugich saniach, wypełnionych granatami obronnymi i magazynkami do karabinu maszynowego typu spandau. Siedząc w tyle sunących rażno sań, mogłem do woli obserwować ponury i wymarły krajobraz. Na nieskalanie białej powierzchni rysowały się niekiedy ciemne zagajniki karłowatych drzew. Wydawały się toczyć nierówną walkę z atakującym śniegiem, który pochłaniał je stopniowo. Była to chyba tylko kraina wilków, kraina szaro-żółtego, nieprzeniknionego nieba. Zdawało mi się, że dotarłem na koniec świata, tam, gdzie kończy się wszelka cywilizacja. Dziś jeszcze muszę pochylić się nad mapą, by uwierzyć, że istnieje coś jeszcze za tamtą nicością.

Po pewnym czasie natknęliśmy się na nierówność terenu kryjącą zapewne jakąś drogę pod półmetrową warstwą śniegu. Wkrótce dotarliśmy na skraj gęstego lasu. Zza sterty drewna wyłonił się żołnierz. Jadące na czele sanie zatrzymały się gwałtownie.

Nastąpiła wymiana zdań z sierżantem, po czym zanurzyliśmy się w gęstwinę. Dostrzegliśmy tam stanowisko karabinu maszynowego z dwoma ludźmi obsługi, mnóstwo żołnierzy w pogotowiu bojowym, a także niezliczone szare namioty służące za schronienie. Widzieliśmy mnóstwo rozmaitego sprzętu, lekkie czołgi typu Alpenberg, jak również zainstalowane na saniach działa przeciwpancerne typu pak i moździerz kalibru 50 mm. Wiszący na drzewie zabity koń przekształcał się stopniowo w befsztyki. Zajmowali się tym żołnierze w płaszczach poplamionych krwią zwierzęcia. Natychmiast otoczono nas, pytając, czy przywieźliśmy pocztę. Ponieważ jej nie mieliśmy, niektórzy ubliżali nam niewybrednymi słowami.

Oficer sprawdził nasze pisemne dyspozycje. Kompania, do której mieliśmy dotrzeć, znajdowała się bardziej na wschód. Przydzielił nam łącznika na koniu jako przewodnika. Przez jakiś czas posuwaliśmy się lasem. Kryło się w nim co najmniej trzy — cztery tysiące żołnierzy. Następnie przejeżdżaliśmy przez niewysokie, częściowo zadrzewione wzgórza; doskonale je pamiętam. Od czasu do czasu spod śniegu wyłaniały się trzy kable telefoniczne. — Popatrzcie — rzekł konny przewodnik. — Za tamtym wzgórzem znajdziecie się w zasięgu ognia nieprzyjaciela. Nie traćcie czasu. Jedźcie wzdłuż linii telefonicznej. Kompania, do

której macie dotrzeć, jest mniej więcej dwa kilometry stąd.

Zasalutował regulaminowo, po czym oddalił się drobnym kłusem. Popatrzyliśmy na siebie. — No tak. Znów się to zacznie — mruknął sierżant, zapewne były frontowiec przydzielony do służby w wojskach transportowych.

Dał nam znak, by jechać dalej, po czym kazał nam się zatrzymać.

— Postaramy się jak najszybciej dotrzeć do celu. Nie wahajcie się popędzać koni. Gdy Rosjanie nas zauważą, otworzą ogień. Na ogół jednak zajmuje im to sporo czasu. Jak będzie źle, opuścimy sanie z materiałami wybuchowymi, bo kiedy to wszystko pierdyknie, a nie zdążymy oddalić się co najmniej o dwadzieścia metrów, żaden z nas nie zobaczy własnej matki.

Przypomniał mi się atak na nasz konwój w okolicach Charkowa.

— W drogę! — krzyknął któryś z żołnierzy, by pokazać, że się nie boi. Sierżant wskoczył na brzeg sani załadowanych żywnością i wykonał gest ręką oznaczający „naprzód”. Szybko zbliżyliśmy się do wzgórza. Prawie równocześnie dwoje san znalazło się na szczycie wzniesienia. Konie, wyczer-wspinaczką, zawahały się chwilę, nim pomknęły w dół dość stromym zboczem.

— Pędem! — ryknął sierżant. — Nie stać tutaj!

— Popędź je! — krzyknął Halls do chłopaka, który trzymał lejce. Nasze sanie pomknęły pierwsze. Jeszcze dziś widzę, jak trzy poczciwe konie pokonywały, niczym zające, nierówności terenu, wznosząc białe tumany, które na pewno było widać z daleka. Wszyscy trzej siedzieliśmy za woźnicą na ciemnozielonych skrzyniach ze złowieszczymi napisami wykonanymi białą farbą za pomocą szablonu. Byliśmy zbyt podnieceni, by zwracać uwagę na zimno.

Pomimo wstrząsów usiłowałem poprzez tumany śniegu, jakie wznosił nasz konwój, obserwować horyzont. Wydawało mi się, że na wprost przed nami dostrzegam niewyraźne zarysy kilku chat. Widoczne dookoła leje o zadziwiająco symetrycznych kształtach szpecily nieskalaną biel zbocza. Mimo szybkiej jazdy widziałem, jak zostawialiśmy za sobą fantazyjne bruzdy okalające owe jamy, przyprószone żółtawą ziemią na skutek eksplozji. Dziury te miały wygląd osobliwych kwiatów brunatnych w środku, bielszych na skraju. Inne, starsze już leje, wypełnione prawie całkowicie świeżym śniegiem, tworzyły odmienne, równie dekoracyjne motywy.

Zjechaliśmy ze wzgórza bez przeszkód. U jego stóp stało kilka prymitywnych chat. Na śniegu dostrześliśmy liczne ślady. Przejechaliśmy obok działła niemal całkowicie zasypanego śniegiem. W pobliżu dostrześliśmy kolejne.

Zatrzymaliśmy się przy chacie, której nienaturalnie wielki dach dotykał niemal ziemi. Poprzez prześwity w ścianie, naprzeciw której stanęliśmy, dostrześliśmy pracujących, szczerze opatulonych żołnierzy z oddziałów inżynieryjnych. Nie ulegało wątpliwości, że rozbierają chatę. Kilku z nich wyszło na zewnątrz, niosąc drewniane elementy. Naprzeciw nas wyszedł tęgi sierżant w białym kombinezonie.

— Połóżcie to tutaj! — krzyknął. — Żołnierze przygotowują schronienie. Za godzinę będzie gotowe.

Nagle usłyszeliśmy potężny wybuch. Po prawej stronie na wysokość dziesięciu metrów wzbil się żółty płomień i gejzer kamieni.

Spasiony sierżant spokojnie obrócił głowę w tamtym kierunku.

— Kurewska ziemia — warknął. — Twardsze to niż skała! Wywnioskowaliśmy z tego, że chłopaki z wojsk inżynieryjnych bawią

się dynamitem. Opasły podoficer czytał teraz nasze dyspozycje.

— A, to nie dla nas — rzekł, bębniąc odzianymi w wełnianą rękawicę palcami w skrzynię pełną konserw. — Trzy dni temu mieliśmy dostać zaopatrzenie. Żywimy się zapasami,

których nie powinniśmy naruszać. Jak tak będzie dalej... Warn, kierowcom, nie śpieszy się zbytnio! No i dlatego na najdalej wysuniętych sektorach spotyka się czasem facetów zamarzniętych na śmierć. Kiedy pusto jest tu — dodał, klepiąc się po brzuchu — nie sposób przetrwać.

Wpatrywałem się uporczywie w jego imponujących rozmiarów pas. Patrząc na tuszę faceta, trudno było uwierzyć, żeby od dawna pościł. Był z niego chyba niezły cwaniak. Musiał mieć jakieś zapasy, bo przecież zaopatrzenie wojsk walczących na pierwszej linii pomimo naszych wysiłków było nie lada problemem.

— To dla (nie pamiętam już numeru) plutonu piechoty. Jedźcie w tamtym kierunku — rzekł niedożywiony. — Utrzymują przyczółek na Donie. Leźcie tam na czworakach, tak jest bezpieczniej!

Skierowaliśmy sanie na widoczne w śnieżnej bieli ślady, zostawione przez zasypane śniegiem ciężarówki. Z drugiej strony zbocza, za zwałami śniegu, kryły się armaty i przysadziste haubice. Gdy tylko je minęliśmy, zniknęły naszym oczom, tak doskonały był ich kamuflaż. Dotarliśmy w pobliże wielkiej transzei. W głębi, po stwardniałej ziemi dreptały drżące, wychudzone konie. W rozerwanych workach znajdowało się coś, co przypominało siano. Był to niemal pył, który biedne zwierzaki bez większego entuzjazmu wdychały pokrytymi szronem nozdrzami.

Pomiędzy żywymi zwierzętami leżały gdzieniegdzie wielkie, zeszywniałe końskie trupy. Obok zwierząt zauważyliśmy kilka nieruchomych sylwetek żołnierzy opatulonych w ogromne płaszcze. Minęliśmy ciąg prowizorycznych umocnień ziemnych.

Obserwację przerwało nam gwałtowne: „ter-ter-ter-ter” z dość bliskiej odległości.

— To karabin maszynowy — rzekł nasz woźnica. — Jesteśmy na miejscu.

Uśmiechał się dziwnie. Jak okiem sięgnąć, wokół rozciągały się transze-je, okopy i umocnienia ziemne. Zatrzymał nas patrol.

— 9. pułk piechoty,... kompania. To dla nas? — spytał porucznik. Nasz sierżant zerknął okiem na instrukcje.

— Nie, panie poruczniku! Szukamy ... plutonu.

— Ach tak! — odparł oficer. — Tutaj musicie zejść z sani. Pluton, którego szukacie, jest tam! Zajmuje brzeg rzeki i wysepkę. Musicie iść transzeja-mi. Jesteście w zasięgu ognia wysuniętych posterunków rosyjskich. Zachowajcie ostrożność. Od czasu do czasu się budzą.

— Dziękuję, panie poruczniku — odrzekł nasz podoficer trochę drżącym głosem.

Porucznik przywołał jednego z towarzyszących mu żołnierzy.

— Pokaż im drogę i wracaj do nas.

Żołnierz zsalutował i dołączył do naszej grupy.

'Chwyciłem, tak jak wszyscy, skrzynię, cięższą ode mnie, sposobiąc się do jej niesienia, kiedy znów rozległo się: „ter-ter-ter-ter”, tym razem intensywniejsze. Facet z patrolu, który również wziął jedną skrzynię, krzyknął:

— O, znów zaczynają! Może już teraz na serio! „Ter-ter-ter-ter” wzmagało się, milkło, po czym gwałtownie odzywało się znowu.

— To nasi — odezwał się tonem eksperta. — Zaczekajmy trochę. Nigdy nie wiadomo, czy robią to dla żartu, czy też celują w lód na Donie.

Słuchaliśmy faceta w ciszy. W tej niewyraźnej przecież sytuacji czuł się niemal swobodnie. Faktycznie były z nas żóltodzioby, a nasze potyczki na drodze międzynarodowej nr 3" wydawały mi się teraz niewinną igraszką w porównaniu z tym, co może nas spotkać tutaj.

Karabiny maszynowe milkły na moment, by odezwać się ponownie, niekiedy z bardzo bliskiej odległości. Równocześnie słyhać było inne, bardzo dalekie serie.

Halls wpadł na pomysł, by nasze dwie skrzynie ustawić na mauzerach, posługując się nimi jak lektyką. Jak tylko się z tym uporaliśmy, usłyszeliśmy głuchoe odgłosy następujące szybko

jeden po drugim.

— To Ruscy — rzucił idący przed nami weteran.

Powietrze drżało od wybuchów, które rozlegały się trzysta — czterysta metrów przed nami z lewej strony.

— To ich artyleria polowa. To może być atak...

Nagle trzydzieści metrów na prawo rozległ się gwałtowny wybuch, a po nim coś w rodzaju osobliwego miauczenia. Zaraz potem nastąpiło z dziesięć kolejnych eksplozji. Halls, ja i pozostali konwojenci rzuciliśmy skrzynie na ziemię. Pochyleni lub przykucnięci na jedno kolano spoglądaliśmy niespokojnie dokoła. Powietrze na chwilę przestało drżeć.

— Bez paniki, dzieci — rzekł nasz przewodnik, ale też się pochylił. — Za tamtym wzniesieniem mamy baterię sto siódemek. Odszczekuje się So-wietom.

Piekielny huk rozległ się ponownie. Chociaż przewodnik wyjaśnił już nam, o co chodzi, przyglęliśmy do dna okopu.

— Nałożyć hełmy — rozkazał sierżant. — Jak Rosjanie zlokalizują baterię, będą ją ostrzeliwać.

— No i idźmy dalej — dodał przewodnik. — W promieniu stu kilometrów nie ma ani jednego spokojnego miejsca. Nie jest tu bezpieczniej niż gdzie indziej.

Ruszyliśmy, pochyleni, w dalszą drogę. Po raz trzeci powietrze zadrżało od wybuchów. Tym razem huk wystrzałów dochodził ze wszystkich stron. Niemiecka bateria w dalszym ciągu pluła ogniem. Przed nami rozlegał się coraz groźniejszy terkot niemieckich karabinów maszynowych. Minęliśmy trzech żołnierzy, którzy w biegnącej prostopadle do naszej trasy tranzei rozwijali kabel telefoniczny. Eksplozje następowały teraz w regularnych odstępach czasu.

— To może być atak — mruknął żołnierz, który nas doprowadził aż dotąd. — Opuśćcie was teraz. Muszę dołączyć do plutonu.

— No to gdzie mamy iść? — zapytał sierżant; najwyraźniej czuł się nieswojo.

— Idźcie wzdłuż tranzei aż do baterii geschnauza 1. To tam na prawo. Powiedzą wam.

Karabin maszynowy przeciwpancerne i przeciwlotniczy.

Przeszedł kilka kroków w przeciwnym kierunku, cały czas pochylony. To tak trzeba się przemieszczać na polu bitwy! Po dwóch dniach przyzwyczailem się i nie zwracałem już na to uwagi. W takich warunkach człowiek żyje pochylony, czasem nawet w pozycji leżącej, ale tu nie dało się żyć.

— Na waszym miejscu otworzyłbym menażki. Pora coś zjeść — rzucił na odchodnym.

Za radą przewodnika otworzyliśmy naczynia i z tyłkami w śniegu degustowaliśmy nasze piknikowe specjały. Nie byłem specjalnie głodny, gdyż moją uwagę przyciągały detonacje, huczące w głowie osłoniętej stalowym, przeraźliwie zimnym hełmem.

Halls, który nigdy nie zaznał uczucia sytości, łypnął oczami osaczonego zwierzęcia i spojrzał na mnie, potrząsając głową.

— A co, może nie mamy prawa przerwać pracy na posiłek? — rzekł. — Gdyby przywłókł się tu jakiś oficer...

Dalej usłyszałem już tylko świst przelatujących nad nami pocisków. Odruchowo wtuliliśmy głowy w ramiona i zmrużyliśmy powieki, lecz raczej by nie słyszeć, niż nie widzieć. Kiedy paraliżuje strach, człowiek zawsze wykonuje irracjonalne gesty. Halls miał zamiar kontynuować swój wywód, kiedy ziemię wstrząsnęła kolejna eksplozja, odmienna akustycznie, lecz nie mniej gwałtowna. W naszej grupie nastąpiła chaotyczna wymiana zdań. Przenikliwy gwizd poprzedził o ułamek sekundy kolejną eksplozję. Tym razem zdawało nam się, że jakaś siła odrywa nas od ziemi. Wstrząsnęła nami fala powietrza o niesłychanej sile. Runęła na nas lawina kamieni i lodu.

Skuleni, nie śmieliśmy się poruszyć ani odezwać. Porzuciliśmy menażki i broń.

— Zabiją mnie! — krzyknął chłopak, który spanikowany przyłgnał do moich stóp. — Zabiją mnie — powtórzył zatrwożony.

Nastąpiło kolejne, równie gwałtowne: „brauumm!!!”, po czym z ogłuszającym hukiem przetoczyła się salwa niemiecka.

— Naprzód! Nie siedźmy tutaj! — ryknął sierżant, przytrzymując ręką hełm.

Bez zastanowienia chwyciliśmy za sprzęt. Transzeja była stosunkowo szeroka. Mogło posuwać się w niej czterech ludzi w szeregu, lecz my dreptaliśmy pochyleni, gęsiego, trzymając się jednej ze ścian. Szedłem z Hallsem tuż za sierżantem.

— Dalej! Naprzód! — powtarzał co chwila ten ostatni. — Trzeba stąd wiać. Celują w naszą baterię, to oczywiste, a my jesteśmy w bezpośredniej bliskości. Szybciej! Zasuwać! Cholerna transzeja! Jest akurat na linii strzału. Szybciej! Tam jest poprzeczna transzeja!

Co chwila skręcaliśmy sobie kostki na wyboistym dnie. Ciężkie skrzynie ześlizgiwały się na ziemię. Na próżno ścisakałem rogi skrzyni zmarzniętymi i obolałymi palcami. Od czasu do czasu wylatywała mi z rąk. Dziś jeszcze się zastanawiam, jakim cudem te cholerne skrzynie nie eksplodowały.

— Szybciej! — wrzeszczał cały czas sierżant, nie zważając na przeszko-
dy. — Szybciej! To tam!

— I pomyśleć — rzekł Halls — że na saniach jest jeszcze dwa razy tyle krzyń. Trzeba je będzie też przenieść, prawda, sierżancie?

— Tak, oczywiście... Nie wiem... Szybciej, na Boga!

Rosjanie długo ładowali działa. Nasza bateria miała czas wystrzelić dwukrotnie. Ich pierwsza salwa spadła co najmniej czterdzieści metrów z tyłu, na pewno bliżej naszych dział. Dwie kolejne eksplozje rozległy się w bliżej nieokreślonej odległości, lecz wystarczającej, byśmy skulili się jeszcze bardziej. Nagle rozległ się głuchy huk, który poruszył niebo i ziemię. Jedna ściana transzei zawałiła się na drugą. Nie zdążyłem schylić głowy. Wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. W pamięci został mi zwłaszcza widok rozczapierzonej niczym strach na wróble sylwetki, która w słupie ognia wraz z gradem kamieni wyleciała w powietrze, po czym spadła zniekształcona na skraj zbocza i stoczyła się w dół. Oszołomieni, nie śmieliśmy się podnieść z ziemi.

— Wstawać! Szybciej! Trzeba znaleźć się w drugiej transzei! — ryknął sierżant. Jego twarz zdradzała najwyższy niepokój. — Jak pocisk wpadnie tutaj, będzie istne piekło!

Nastąpiły dwa kolejne wybuchy. Nasza artyleria strzelała w dalszym ciągu. W największym pośpiechu, wlekąc resztki sprzętu, mineliśmy rumowisko i strzepy nieszczęsnego żołnierza, którego wyrzuciło w powietrze. Zerknąłem na niego, przechodząc w pobliżu. Był to straszny widok. Na skutek uderzenia hełm nasunął mu się głęboko na głowę, a jego przednia część wbiła się w brodę lub szyję. Ciężkie, zimowe odzienie, niczym wór, zawierało coś, co zupełnie nie przypominało ludzkich kształtów. Zdawało mi się, że żołnierzowi urwało nogę. A może znajdowała się, skręcona, pod nim...

W leju po rosyjskim pocisku zdążyłem również dostrzec tkwiące w rumowisku ludzkie szczątki. Zapewne nieprzyjacielski pocisk wpadł do okopu, gdzie kilku nieszczęśników czekało, aż nawałnica ognia ucichnie.

Doskonale pamiętam pierwsze ofiary śmiertelne, które widziałem w początkowym okresie swojej kampanii. Następne, a były ich tysiące, nie mają już twarzy. Jest to nieprawdopodobny, przerażający koszmar, nawiedzający mnie jeszcze czasem, koszmar śmierci. Widzę tam odrażające ludzkie szczątki albo też postacie jak gdyby śpiące; widzę twarze spokojne, zrezygnowane lub z nienaturalnie otwartymi oczyma, w których śmierć wypisała niewyobrażalny strach. Myślałem wtedy, że poznałem granice okrucieństwa i wytrzymałości, że jestem odważnym żołnierzem i że czas już powrócić do domu, by opowiedzieć, jak dzielnie zniosłem to wszystko, co z lepszym lub gorszym skutkiem udało mi się tutaj opisać. Używałem słów i wyrażeń ma-lących oddać dramat wydarzeń przeżytych na

szlaku od Mińska poprzez Charków aż do Donu. Tymi samymi słowami musiałem się posłużyć, by opisać to, czego byłem świadkiem potem, choć nie były one w stanie oddać tego wszystkiego, co przeżyłem.

Na próżno człowiek używa najbardziej ekspresywnych wyrażeń, jakie zna język, jeśli się ich odpowiednio nie dawkuje. Później już zaczyna ich brakować, a wtedy nie sposób wyrazić, co się widzi i czuje. Na próżno używa się terminu „okropność” w odniesieniu do towarzyszy broni, których eksplozja wymieszała z ziemią. Daremne są wszystkie te stylistyczne wysiłki, ale przecież nic ekspresywniejszego nie da się wymyślić.

W tym miejscu powinienem przerwać opowieść, gdyż czuję, że nie jestem w stanie wiernie wszystkiego oddać. Ci, którzy nie przeżyli takich chwil jak ja, przeczytają te strony, tak jak czyta się jakiś dramat, czyli będą oczywiście współczuć, lecz bez większego zrozumienia. Nie sposób zrozumieć to, czego się nie da do końca wyjaśnić. A zatem ten niezborny język nie ma większego znaczenia dla tych, wśród których się teraz znajduję. Postaram się mimo wszystko odtworzyć możliwie jak najdokładniej obrazy z przeszłości. Relację, która teraz nastąpi, dedykuję swym przyjaciółom Ma-riusowi i Jean-Marie Kaiserowi. Oni są w stanie ją zrozumieć, gdyż przeżyli podobny koszmar mniej więcej w tych samych miejscach co ja. Postaram się możliwie jak najpełniej oddać całą absurdalność ludzkiego losu; wszystko to, czego nigdy nie byłbym w stanie sobie wyobrazić, wszystko to, co wydawałoby mi się niemożliwe, gdybym sam tego nie doświadczył...

Dotarliśmy do biegnącej prostopadle tranzei; według sierżanta mogła być ratunkiem.

Daliśmy dosłownie nura na dno, gdy wtem gwałtowny wybuch wstrząsnął ziemią, która wytrysnęła w górę nad umocnieniami. Do wąskiej tranzei wypełnionej śniegiem i ziemią prowadziły dwa ciągnące się od zewnątrz kable. Przeskoczyliśmy przez nie. Prowadziły prosto do ges-chnauza, znajdującego się nieco z tyłu. Rzuciliśmy się tam jak owce uciekające przed rzeźnikiem. Dwóch żołnierzy w białych kombinezonach poderwało się niemal z miejsca na nasz widok.

Jeden z nich, znajdujący się obok masywnego statywu karabinu maszynowego, patrzył przez lornetkę; drugi, schowany na dnie okopu, manipulował przyciskami radiostacji.

— Czy to... drugi... pluton? — zapytał nasz sierżant, nie mogąc złapać tchu. — Mamy dla nich zaopatrzenie.

— To niedaleko stąd — odrzekł żołnierz z lornetką — ale teraz nie możecie tam iść.

Roznieście was na strzępy. Połóżcie ten dynamit trochę dalej i schowajcie się w umocnieniach — dodał z uśmiechem.

Nie kazaliśmy sobie dwa razy powtarzać. Wskoczyliśmy do przypominającej grobowiec słabo oświetlonej jamy zbudowanej z ziemi i desek. Wewnątrz znajdowało się czterech żołnierzy również w białych ubiorach. Jednemu z nich udało się nawet zasnąć, trzej pozostali pisali przy blasku świecy.

Oczywiście, nie sposób było w tym dole przyjąć pozycji stojącej. Żołnierze ścisnęli się, by zrobić nam trochę miejsca. Ostatecznie było nas tam dziewięciu.

— Mocne to? — spytał Halls, wskazując wystającym z rozerwanej rękawicy palcem na tę myśią norę.

— Eee..., jak pierdyknie trochę dalej, da się wytrzymać — zaśmiał się jeden z facetów.

— A jak pierdyknie dokładnie nad nami, kumplom łatwo będzie nas pochować — dodał drugi. Jak oni mogli tak żartować? Być może nawykli do tej sytuacji. Śpiący żołnierz odwrócił się i wybełkotał, ziewając:

— Myślałem, że sprowadzono dla nas kobiety.

— Nie, to panienki — odpowiedział jego kolega. — Sierzancie, skąd wytrzasnął pan takie stadko?

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Jak gdyby jeszcze tego było za mało, ziemia zatrzęsała się po raz kolejny, jednak odgłosy kanonady nie brzmiały tu tak donośnie.

— To nowi rekruci. Są z transportu kolejowego. Przejechali całą Rosję, by dowieść wam żarcie.

— I co z tego? — kontynuował żołnierz, który się obudził. — Bieduje-my tu od trzech miesięcy. Nie spieszno wam było, dzieci. Wiem, że na Ukrainie są ładne dziewczyny, ale nie powinniście się tak guzdrać. My tutaj zdychamy z głodu.

Odważyłem się wypowiedzieć kilka słów swoją słabą niemiecką.

— Dziewczyny! Nie widzieliśmy żadnych dziewczyn! Widzieliśmy tylko śnieg!

— Alzacyjnyk? — zapytał momentalnie.

— Nie, to Francuz — odparł żartobliwie Halls.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Chłopak, zbity z tropu, nie wiedział, co powiedzieć.

— Merci — rzekł poprawną francuszczyzną, wyciągając do mnie rękę.

— Ma merę est allemande! — dodałem w tym samym języku.

— Ach, gut! — wykrzyknął. — Deine Mutter ist Deutsche? Sehr gut. Ziemia zatrzęsała się ponownie. Fragment sufitu posypał się nam na hełmy.

— Coś kiepsko w tym waszym sektorze — przerwał sierżant. Kompletnie mu zwisało, czy moja matka jest Niemką czy też Chinką, ale najwyraźniej dbał o własną skórę.

— O! Zabawiają się — rzekł chłopak. — Po laniu, jakie dostali trzy dni temu, trochę się uspokoili.

— He? — mruknął sierżant pytającym tonem.

— Tak. Te gnoje już miesiąc temu zmusiły nas do cofnięcia się za Don. Musieliśmy cofnąć się o co najmniej sześćdziesiąt kilometrów. Ale teraz trzymamy się na zachodnim brzegu. Cztery razy próbowali przejść PO lodzie. Ostatnio pięć dni temu. Gdybyście mogli to zobaczyć! Nie to

co dzisiaj. Atakowali przez dwie doby, szczególnie w nocy. Było cholernie ciężko. Ciągłe nie mogę dojść do siebie. Ostatnio mało spaliśmy, tym bardziej że mieliśmy przejść do kontrataku, ale nic z tego nie wyszło. Zobaczycie zaraz przez lornetkę, ile ruskich trupów pokrywa lód na rzece. Te gnoje nie zabrały nawet rannych. Założę się, że sporo ich tam jeszcze jęczy.

— Musimy dostarczyć zaopatrzenie dla... drugiego... plutonu — rzekł niespokojnym głosem nasz biedny sierżant.

— A, to będziecie mogli wszystko lepiej widzieć. Musicie dojść nad samą rzekę. Utrzymują brzeg — zuchy chłopaki. Zdaje się, że trzymają się też na wysepce na środku rzeki. Tak myślę, bo wiem, że raz ją stracili. To było w nocy. Walczyli na bagnety i rankiem ją odbili. Oj, chyba jest tam nieciekawie. Na Boga, wolę już siedzieć tutaj!

— Myślicie, że ten ostrzał poprzedza atak?

— Hmm... Z Rosjanami nigdy nic nie wiadomo. Ale zdziwiłoby mnie to. Po tamtej masakrze trochę jeszcze zaczekają.

Od pewnego czasu nasza bateria milczała, natomiast rosyjskie pociski spadały w wolnym, choć regularnym tempie. Do naszej kryjówki zszedł żołnierz z lornetką, pochylając się i chuchając w palce.

— Twoja kolej (odezwał się do kogoś po imieniu); szczękam zębami z zimna.

Wezwany uniósł się, mrużąc coś pod nosem, i opierając się o kolegów, skierował się do wyjścia.

— Nasi nie strzelają. Czyżby baterie zostały zniszczone? — zapytał nasz sierżant nowo przybyłego.

— Dziwne ma pan pomysły — odparł tamten, ciągle chuchając w zgrabiące palce. — Miejmy nadzieję, że nie. Ładnie byśmy wyglądali. Gdybyśmy kilka dni temu nie dostali tych dział, nie by tu po nas nie było. Myślę, że dzielne chłopaki ze sto siódemek jeszcze żyją.

— Też tak myślę — rzucił sierżant, zdając sobie sprawę z głupstwa, jakie palnął. — Ale dlaczego przestali strzelać?

— Tacy jak pan powinni wiedzieć, że na skutek trudności w zaopatrzeniu frontowcy nie mają łatwego życia. Strzelamy albo bardzo rzadko, albo wtedy, kiedy jesteśmy pewni celu. Piechota, tak jak artyleria, musi w maksymalnym stopniu oszczędzać amunicji. Trzeba działać tak, aby Sowieci nie domyślili się, że cienko przedziemy, a więc od czasu do czasu odpowiadamy im, jak możemy. Rozumie pan?

— Tak, oczywiście. Nastąpiła cisza.

— Zdaje się, że przestali strzelać — odezwał się po chwili ktoś z naszej grupy.

— Tak. Uspokoilo się. Możecie to wykorzystać — zasugerował ktoś z obsługi geschnauza.

— Dalej, dzieci! — rzekł sierżant, który chyba uspokoił się nieco.

Dzieci...! Niewiele się mylił. W porównaniu z żołnierzami walczącymi nad Donem wyglądaliśmy rzeczywiście jak dzieci. Wystarczyło kilka wystrzałów artyleryjskich, a już myśleliśmy, że to koniec świata. Istniała zasadnicza różnica między dumnymi wojakami, jakimi byliśmy w Polsce, kiedy to maszerowaliśmy rytmicznym krokiem przez wioski z bronią na ramieniu, a żołnierzami, jakimi byliśmy teraz. Ileż to razy czułem się niezwykczony! Ileż razy ogarniało mnie uczucie dumy, które zresztą nie było obce nikomu z nas! Jakże radowały się oczy, widząc opięte mundurem barki moich towarzyszy w hełmach szarozielonej barwy!

Takie wspaniałe były nasze mundury doskonale harmonizujące z otoczeniem! A odgłos naszych kroków! Słyszę to jeszcze... Uwielbiałem ten dźwięk... Sądzę, że mimo wszystko nadal go uwielbiam. Tutaj nie jesteśmy podobni do niczego. Przypominamy kłęby gałganów, a wewnątrz jest coś trzęsącego się. Jesteśmy skonani, niedożywieni i niewyobrażalnie brudni. Ogromna Rosja jak gdyby nas pochłoneła, a poza tym konwojent nie ma żadnej charyzmy. Jesteśmy parobkami na usługach armii. Zdechymy z zimna tak jak inni, ale o nas nigdy się nie mówi. Stanowimy część służb pomocniczych, a doświadczamy niemal tego samego co jednostki liniowe.

Teraz, w porównaniu z żołnierzami walczącymi nad Donem, przypominamy młodziutkich praktykantów przechodzących przez ogromną fabrykę pełną gigantów drwiących z naszego strachu, ponieważ — trzeba to przyznać — morale żołnierzy wystawionych na niebezpieczeństwo wydaje się wyższe niż nasze, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Tamci wyglądają jak prawdziwi mężczyźni. Taki Halls natomiast, choć zbudowany jak Herkules, ma twarz młodzieniaszka. Później okazało się, że młody wiek prawdopodobnie oszczędził nam rozterek dotyczących przyszłości. Starsi, bardziej doświadczeni żołnierze popadać będą w przygnębienie, które nawet najbardziej tchórzliwi niekiedy pokonają, natomiast my w swej chłopięcej naiwności poznamy całkowicie skrajne uczucia — od nieoczekiwanej radości aż po strach wyciskający łzy.

Nieśmiało wychodziliśmy z kryjówek. Omiataliśmy wzrokiem wał pobliskich umocnień, za którymi czaiła się wojna. Zabraliśmy niebezpieczny ładunek. Wydawało się, że nastał spokój. Nie było słyhać żadnych odgłosów. Na zewnątrz pociemniało. Tym razem szliśmy ciągnącymi się zygzakowato transzejami, posuwając się równolegle do strefy, którą mieliśmy osiągnąć. Dookoła znajdowały się schrony pełne przemarzniętych żołnierzy szukających choćby odrobiny ciepła przy cudownych niewielkich lampach-grzejnikach na benzynę. Wszędzie zadawano nam to samo pytanie: „Czy macie dla nas pocztę”? Na bezchmurnym niebie pojawiły się trzy Messerschmitty, na których widok z tysiąca piersi rozległy się huralne okrzyki. Luftwaffe cieszyła się bezgranicznym zaufaniem naszej piechoty. Ileż to razy samoloty z czarnymi krzyżami przynosiły ostatnią nadzieję walczącym, udaremniając zaciekle ataki sowieckich żołnierzy...

Musieliśmy przylgnąć do ścian transzei, by ustąpić miejsca kilku sanitariuszom niosącym rannych. Były to zapewne ofiary ostatniego ostrzału artyleryjskiego.

Stopniowo zbliżaliśmy się do najbardziej wysuniętego odcinka niemieckiego frontu. Transzeja stawała się coraz węższa i płytsza. Tworzyliśmy teraz coś w rodzaju łańcucha, posuwając się niemal w kucki, by nie dostrzegli nas obserwatorzy nieprzyjaciela. Kilkakrotnie odważyłem się wyjrzeć ponad nasyp. W odległości sześćdziesięciu metrów wysokie, pokryte szronem trawy porastały brzeg rzeki. Na tym właśnie terenie znajdował się pluton, któremu mieliśmy dostarczyć zaopatrzenie.

Szliśmy teraz prawie całkowicie odkryci, posuwając się skokami z okopu do okopu, pokonując zwały ziemi i lodu zalegające w mizernej transzei, której staraliśmy się nie opuścić. W pewnej chwili wpadliśmy do dużego leja, gdzie sanitariusz w zimowym kombinezonie opatrywał dwóch facetów zaciskających szczęki, aby nie krzyczeć z bólu. Od niego dowiedzieliśmy się, że wreszcie dotarliśmy do celu. Nie traciliśmy czasu, by dokładnie zlokalizować pozycję tego cholernego plutonu. Szybko położyliśmy skrzynie we wskazanym okopie, po czym zrobiliśmy w tył zwrot, udając się w drogę powrotną.

Zapadała już noc, kiedy dostarczyliśmy wreszcie zaopatrzenie („mające absolutny priorytet”, jak dowiedzieliśmy się później) żołnierzom na pierwszej linii. Od popołudniowej kanonady nic szczególnego się nie wydarzyło. Nieszczęśni żołnierze nad Donem szykowali się do spędzenia kolejnej mroźnej nocy. Powiadano, że termometr skoczył w górę, niemniej jednak ciągle był bardzo silny mróz.

Czekaliśmy na dwóch kolegów, którzy poszli zebrać nieliczne listy, jakie kilku żołnierzom z tego wysuniętego sektora udało się napisać pomimo mrozu. Wraz z Hallsem i jeszcze jednym kolegą siedziałem na stwardniałym od mrozu nasypie ziemnym niewidocznym dla nieprzyjaciela.

— Gdzie teraz przyjdzie nam spędzić noc? — wyszeptał Halls, spoglądając na czubki butów.

— Na pewno pod gołym niebem — rzekł kompan. — Nie widzę żadnego hotelu w okolicy!

— Chodźcie tu! — zawołał ktoś z naszej grupy. — Bardzo dobrze widać rzekę.

Podnieśliśmy tyłki z chropowatej ziemi, by dojrzeć coś przez stertę oszronionych gałęzi kryjących zamaskowany spandau skierowany na wschód i gotowy do strzału.

— Popatrz — rzekł do mnie Halls. — Tam na lodzie leżą chyba jacyś faceci.

Rzeczywiście — wielu żołnierzy, ofiar potyczki sprzed kilku dni, ciągle leżało tam, gdzie zastała ich śmierć. Obsługa geschtauza w niczym nie przesadzała: byli to prawdopodobnie Rosjanie, których koledzy nie zabrali z lodu.

Starłem się dostrzec coś dalej, tam gdzie miała znajdować się wysepka, której nam mówiono; było to jednak niemożliwe z powodu zapadającej nocy. Nic nie widziałem prócz ośnieżonego lasu, który ją porastał. Może czuwali tam żołnierze kryjący się w jakichś koleinach. Jeszcze dalej, w gęstej mgle, zasnuwającej ponury krajobraz, widoczne były zarysy przeciwległego brzegu. Tam zatrzymało się niemieckie natarcie. Tamtego brzegu pilnowali Rosjanie.

Dotarłem wreszcie do samego frontu. Do frontu, którego tak bardzo się obawiałem, a który w głębi duszy bardzo chciałem poznać. Jak na razie nic się nie działo. Zupełną ciszę zakłócały od czasu do czasu rozmowy żołnierzy. Wydawało mi się, że dostrzegam poprzez mgłę po rosyjskiej stronie wąskie smugi dymu unoszące się powoli ku niebu. Koledzy zaczęli mnie poszturchiwać, pragnąc również zobaczyć, co się dzieje.

— Skoro tak bardzo was to interesuje — rzekł któryś z żołnierzy czuwających przy karabinie maszynowym — to chętnie ustąpię wam miejsca. Dość już wymarzęm.

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć, gdyż stanowisko miał raczej nie do pozazdroszczenia.

Właśnie dzieliłem się z Hallsem uwagami, gdy nagle do naszego okopu wskoczył jakiś porucznik w kapturze. Nie zdążyliśmy nawet zaszalutować. Natychmiast przyłożył lornetkę do oczu i zaczął obserwować teren. Po kilku sekundach usłyszeliśmy dochodzący od tyłu głuchy huk.

Niemal równocześnie, na pokrytej lodem powierzchni rzeki, pojawiły się gejzery wybuchów.

Huk eksplozji roznosił się nieustającym echem. Świst przelatujących pocisków był wyraźny i bardzo bliski. W jednej chwili cała niemiecka linia rozpoczęła ostrzał. Huk dział mieszał się z odgłosami wybuchów. Padliśmy na dno okopu. Poczuliśmy się całkowicie zagubieni. Patrzyliśmy na siebie, przerażeni, jakbyśmy sobie zadawali pytania, na które żaden z nas nie potrafił udzielić odpowiedzi.

— Zaczęło się, atakują! — zauważył mimo wszystko któryś z kolegów. Dwaj żołnierze obsługujący spandau nie otworzyli natychmiast ognia.

Znajdowali się tuż przy poruczniku i podobnie jak on wydawali się obserwować rzekę. Całkiem blisko rozległy się głośnie eksplozje, a także głuchoe wybuchy dochodzące jakby spod ziemi. Wreszcie żołnierz, który tak łaskawie ofiarował nam swoje miejsce, zdecydował się zabrać głos.

— Dzisiaj lód kruszy się łatwiej. Mróz wyraźnie zelżał. Wkrótce będą musieli pokonywać rzekę wpraw.

Wszystkie głowy obróciły się w jego kierunku. Nie rozumieliśmy zbytnio, o co mu chodzi.

— Wyślemy najbliższego spośród nas — rzekł. — Jak lód się pod nim nie zarwie, trzeba będzie jeszcze bardziej go pokruszyć.

— On jest najbliższy — Halls, śmiejąc się z pewnym zażenowaniem, wskazał na jakiegoś młodego chłopaka, skurczonego ze strachu.

— Co mam robić? — zapytał nieborak blady z przerażenia.

— Na razie jeszcze nic — zażartował ten z obsługi karabinu.

Ostrzał artyleryjski umilkł równie gwałtownie, jak się rozpoczął. Jeszcze przez kilka minut porucznik obserwował teren, po czym przeskoczył przez nasyp i zniknął. W dalszym ciągu tkwieliśmy w okopie, milczący i nieruchomi. Aby przerwać niemiłą ciszę, sierżant polecił otworzyć menażki i zjeść kolację, zanim nadejdą chłopaki z pocztą.

Bez większego apetytu przełknęliśmy lodowate jedzenie, którego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Degustując zamrożone produkty, zbliżyłem się do celownika karabinu maszynowego i jeszcze raz zerknąłem na Don.

To co zobaczyłem, pozwoliło mi zrozumieć cel niedawnego ostrzału niemieckiego. Z rzeki wystawały bloki lodu o grubości około sześćdziesięciu centymetrów. Całe zwały tych bloków, tworząc coś na kształt gór lodowych, poruszały się z prądem rzeki. Jak dowiedziałem się później, niemieckie haubice kruszyły co wieczór lód na Donie, aby utrudnić doń dostęp, gdyż sowieckie patrole, nie zważając na niebezpieczeństwo, bezustannie zapuszczały się na rzekę. Teraz bloki te unosiły się do góry i zderzały się, powodując głuchoe, osobliwe łoskot. Już w kompletnych ciemnościach ciągle dochodził z oddali trzask pękającego lodu tworzącego pomiędzy białymi blokami kolejne szczeliny.

Długo miałem przed oczyma tę zupełnie nierealną wizję, której nie jestem w stanie opisać; wystarczająco długo, by wkrótce zauważyć setki świetlistych punktów na wschodnim brzegu. Oniemiały ze zdziwienia, przywarłem do celownika, obserwując owe światła, coraz intensywniejsze.

— Hej! — krzyknąłem do żołnierzy z obsługi karabinu. — Coś się dzieje! Rzucili się w moim kierunku, usiłując mnie odepchnąć. Nie ruszyłem

się z miejsca, toteż przywarli głowami do mojej, aby zobaczyć, o co chodzi.

— Do diabła, ale nas przestraszyłeś — mruknął jeden z nich. — Nic specjalnego się nie dzieje. Ruski sygnalizują nam, że się grzeją. Robią to samo co wieczór. To niegłupie.

Zauważ! Te światła przeszkadzają nam. Popatrz! Trudno teraz dostrzec rzekę. Nawet jak wystrzeli się rakiety oświetlające, widoczność będzie niewiele lepsza.

Nie mogłem oderwać oczu od tego złowrogiego widoku. Jak okiem sięgnąć, na całej linii horyzontu Rosjanie rozpalili setki ognisk, nie żeby się ogrzać, lecz by oślepić naszych obserwatorów. Rzeczywiście, kiedy spoglądało się na wschodni brzeg rzeki, widziało się głównie ognie, reszta ukryta była w ciemnościach. Dzięki temu nieprzyjaciel mógł

dokonywać licznych przegrupowań, co trudno było zaobserwować. Rakiety i pociski oświetlające polepszały oczywiście widoczność, lecz ich światło, mimo że intensywne, było dwukrotnie mniejsze na skutek owego efektu ciemności i światła stosowanego przez nieprzyjaciela.

Tkwiłbym tam jeszcze długo, zafascynowany tą osobliwą formą obecności wroga, gdyby nie wyrwał mnie stamtąd sygnał do odwrotu. Bez większych trudności dotarliśmy na nasze tyły. Noc, której nie mącił żaden dźwięk, doskonale maskowała nasz marsz.

W okopach leżeli, skuleni, żołnierze. Ci, którzy spali, przykryli się tym, co nawinęło im się pod rękę. Żadna część ciała nie wystawała na zewnątrz, ani nosy ani uszy. Trzeba było naprawdę przyzwyczać się do takiego życia, by uwierzyć, że pod tymi stosami szmat ciągle jeszcze żyje wrażliwy organizm ludzki, starający się odzyskać siły.

Inni żołnierze, ukryci na dnie swych kryjówek, grali w karty albo pisali nikłym światłem świec lub cudownego migotającego piecyka. Powiadają "cudownego", gdyż było to naprawdę fantastyczne urządzenie. Ten „lam-”o-piecyk”, o wysokości około dwudziestu pięciu centymetrów, działał na benzynę, naftę, a nawet olej. Wystarczyło tylko odpowiednio nastawić dyszę i uregulować wlot powietrza. Dzięki palnikowi otrzymywało się źródło światła wysyłane przez odbłyśnik. Wśród żołnierzy krążył dowcip, że armia opracowuje jeszcze doskonalszą wersję tej lampy. Nowa superlampa miała, jak powiadano, rozlewać piwo.

Ci co nie spali, a nie pełnili warty, zajęci kartami albo pisaniem, żłopali alkohol, hojnie rozdawany na równi z amunicją. „Butelki niemieckiej, rosyjskiej wódki i alkoholu z Kaukazu są tak liczne jak pociski do działa przeciwpancernego pak” — powie mi kilka dni później stary żołnierz piechoty, który czekał na odwiezienie go najbliższym pociągiem szpitalnym. „To najlepszy sposób, by zgrywać bohatera — rzekł. — Wódka odświeża umysł i zwiększa siły. Ja od dwóch dni piję bez ustanku. Dzięki temu nie pamiętam, że mam siedem odłamków w brzuchu, o ile wierzyć lekarzowi”.

Bez trudu udało nam się dotrzeć do obu sani.

— Psiakrew! — zaklął Halls. — Albo śnieg, albo zrobiło się cieplej. Pocę się jak wół w tych łachmanach. Może mam gorączkę. Jeszcze by tego brakowało, abym zachorował!

— W takim razie ja też jestem chory — odparłem. — Czuję się, jakbym wpadł do wody.

— To przez ten strach, jakiego pan się najadł — ośmielił się zauważyć chłopak, który ubiegłego popołudnia krzyczał: „zabijają mnie”!

— Jasna cholera! Jesteś jeszcze zielony jak twój mundur, a pozwalasz sobie nas krytykować! — rzekł Halls.

Prócz nas sanie wiozły sześciu rannych. Chociaż mieliśmy mniejsze obciążenie, posuwaliśmy się wolniej. Niewielkie koniki wydawały się zmęczone. Widać było wyraźnie, że śnieg jest bardziej miękki. Wiatr nanosił płatki niemal stopionego śniegu, który zamieniał się w krople deszczu. Po tej strasznej zimie obecna temperatura kojarzyła nam się z Lazurowym Wybrzeżem.

Po dwóch godzinach dotarliśmy do baraków na tyłach frontu. Z miejsca rzuciliśmy się na nędzne wyrka, jakie nam przydzielono. Pomimo zmęczenia i emocji nie mogłem od razu zasnąć. Cały czas widziałem przed oczyma Brzegi Donu. Ciągłe słyssałem świst niemieckich i nieprzyjacielskich pocisków, odgłosy eksplozji o niewyobrażalnej sile. A ja sądziłem, że mój mauzer

robi hałas, od którego pękają bębunki! Ćwiczenia w Polsce były śmiechu warte w porównaniu z tym, co przeżyłem tamtego popołudnia.

Nie mogłem zapomnieć wszystkich tych facetów w żołnierskich strojach, żyjących niczym trzęsące się z zimna krety. Oczywiście, nie było nam cieplej w ciężarówkach, kiedy pokonywaliśmy „drogę międzynarodową nr 3”. Było jeszcze zimniej, gdy transportowaliśmy zaopatrzenie na saniach. Ale pomijając mróz, od którego kilku z nas zmarło, nie ryzyko-

waliśmy, że mogą nas posiekać rosyjskie pociski. Ponadto żołnierze na zachodnim brzegu Donu musieli walczyć z nieprzyjacielem. Na tym właśnie polegała różnica w porównaniu z nami, żołnierzami służącymi w wojskach transportowych. Obiecano nam, że podobnie jak tamci chłopcy będziemy żołnierzami frontowymi, jeżeli odznaczymy się w służbach zaopatrzeniowych. Obietnica ta, złożona przez nasze dowództwo, kiedy przebywaliśmy w parku samochodowym w okolicach Mińska, dotyczyła oczywiście młodych rekrutów takich jak Halls, Lensen, Ole-nshheim lub ja. Był to dla nas zaszczyt. Byliśmy bardzo dumni, że już niedługo zostaniemy obdarzeni tak wielkim zaufaniem. Weterani, to znaczy żołnierze, którzy walczyli w Polsce i we Francji, ci których z powodu ciężkich ran przydzielono do służb pomocniczych w wojskach transportowych, kpili sobie z naszego entuzjazmu. Usiłowali nawet przekonać nas, byśmy udawali, że nie jesteśmy zdolni do służby liniowej. My jednak byliśmy głusi na ich rady. Zresztą zabrali się do tego jak idioci, dając nam na każdym kroku do zrozumienia, że nasze miejsce jest w szkole. Nic nie mogło urazić nas bardziej niż ta uwaga. Znow zaczęliśmy zazdrościć młodym Niemcom z Hitlerjugend, którzy cieszyli się powszechnym szacunkiem, defilując na paradach wojskowych w akompaniamencie gromkich braw i okrzyków: Sieg Heil!

A zatem wszelkie cierpienia, jakich doznaliśmy w trakcie tej długiej wędrówki aż po Woroneż, winniśmy traktować jako drobne niedogodności, na które nie mieliśmy prawa się skarżyć. W porównaniu z krainą grozy i śmierci, w jakiej żyli żołnierze frontowi, nasze „straszne trudności” absolutnie nie mogły być traktowane na serio. Naszej sytuacji — gdziekolwiek się znajdowaliśmy, cokolwiek robiliśmy — w żadnym wypadku nie godziło się nazwać tragiczną. Czyż nie obwiniano nas o to, że traciliśmy czas i baraszkowaliśmy z Ukrainkami? Komunikaty z gazety frontowej oskarżały nas wprost, zrzucając na nas odpowiedzialność za odwrót wojsk niemieckich z Kaukazu, zmuszonych do wycofania się za Rostów celem utworzenia nowego frontu. Z powodu braków w zaopatrzeniu oddziały te musiały opuścić z tak wielkim trudem zdobyte tereny, by nie zaznać losu żołnierzy walczących pod Stalingradem. Nasi oficerowie w przemówieniach zwracali się często do nas, byśmy działali pomimo takich czy innych trudności, byśmy szli naprzód za wszelką cenę, aby osiągnąć więcej, niż jest to możliwe, byśmy liczyli się z możliwością najgorszego, z koniecznością absolutnego poświęcenia. Świadomi swych obowiązków wierzyliśmy, że zrobiliśmy

niż było to konieczne. W praktyce, mimo naszych niezliczonych wysiłków, mimo ciężkich chwil, jakie przeżyliśmy, wykonaliśmy zaledwie łowę tego, czego od nas oczekiwano. Należało więc dojść aż do granic absolutnego poświęcenia! Słowa te były jak najbardziej aktualne. Tak więc byliśmy jedynie nic nie znaczącymi żołnierzami, nie mogącymi sprostać odpowiedzialnym zadaniom, jakie na nas czekały. Nie mogliśmy stać się żołnierzami frontowymi — byliśmy zbyt mało czujnymi pomocnikami Wehrmachtu. Nie wiedziałem już, czego sobie bardziej życzyć. Jako żołnierz piechoty miałbym oczywiście więcej okazji, by życie swe oddać w ofierze.

„Absolutne poświęcenie” — jak powiadało naczelne dowództwo. Hasło to dźwięczało mi w uszach i oszałamiało mnie. W nieprzeniknionych ciemnościach baraku, z szeroko otwartymi oczyma zapadałem powoli w sen, niczym w głęboką, czarną przepaść.

ROZDZIAŁ TRZECI

Defensywa

Od Donu do Charkowa

Pierwsza wiosna. Pierwszy odwrót

Walki nad Dońcem

Trzy lub cztery dni minęły nam mniej więcej na tych samych zajęciach. Śnieg wszędzie topniał, a mróz zelżał równie gwałtownie, jak się pojawił. Tak zmieniają się pory roku w tej cholernej Rosji. Po srogiej zimie przychodzi upalne lato, a wiosny prawie nie ma, toteż odwilż absolutnie nie ma wpływu na polepszenie sytuacji militarnej. Wręcz przeciwnie — może ją nawet pogorszyć. Skoki temperatury z piętnastu — dwudziestu stopni poniżej zera do plus pięciu lub sześciu stopni powodowały topnienie ogromnych ilości śniegu nagromadzonego zimą, kiedy nie ma ani jednego dnia odwilży. Ogromne kałuże wody, niemal jeziora, zalewały nie stopiony całkowicie śnieg. Dla niemieckich żołnierzy, którzy przeżyli koszmar pięciu długich zimowych miesięcy, owo ocieplenie było prawdziwym darem niebios. Na rozkaz lub bez rozkazu zrzucaliśmy lepiący się od brudu wierzchni przyodziewek i przystępowaliśmy do ogólnej kąpieli. Kompletnie nadzy faceci nie wahali się wchodzić do tych lodowatych jezior, aby się umyć. Tej sielankowej niekiedy atmosfery nie zakłócały żadne detonacje.

Mimo wszystko czuliśmy obecność wojny. Jednak teraz wydawała się jakby mniej groźna. Poznałem sympatycznego faceta, podoficera wojsk inżynierskich. Jego pluton mieścił się tymczasowo w baraku naprzeciw naszego. Pochodził z Kehl, miejscowości leżącej tuż koło Strasburga po drugiej stronie Renu. Znał Francję lepiej niż swój rodzinny kraj, a francuskim władał bezbłędnie. Rozmawiałem z nim wyłącznie w tym języku, co dawało mi chwile wytchnienia po niezrozumiałym szwargocie z innymi kolegami, gdy tylko było to możliwe, spędzaliśmy razem wolne chwile, gawędząc wesoło i swobodnie. Wkrótce dołączył do nas Halls i doskonalił francuski w tym samym stopniu, w jakim ja pracowałem nad niemieckim. Ernst Neubach, bo tak się ten chłopak nazywał, był w swojej specjalności niezrównany. Nikt tak jak on nie potrafił z kilku starych desek zbudować schronu równie szczelnego, jak zrobiłby to wykwalifikowany murarz mający do dyspozycji odpowiednie materiały. Skonstruowany ze zbiornika traktorowego prysznic funkcjonował bez zarzutu. Lampa grzejnikowa podgrzewała sto pięćdziesiąt litrów wody, która cały czas miała jednakową temperaturę. Pierwsi, którzy wypróbowali to urządzenie, myli się letnią wodą z domieszką oleju napędowego. Pomimo systematycznego płukania instalacji, wodę długo jeszcze zanieczyszczały resztki rozmaitych substancji, jakie poprzednio zawierało to urządzenie. Wieczorami ustawiały się długie kolejki do kąpieli. W gwałtownym tłumie często można było zauważyć naszych przełożonych. Pierwszeństwo mieli ci, którzy oddawali najwięcej papierosów albo część żołnierskiego chleba. Feldfelbel Laus za jeden prysznic dał trzysta fajek. Kąpiel zaczynała się zawsze po zupie, którą rozdawano o piątej, i trwała aż do późna w nocy. Śmiechu było przy tym, co niemiara. By móc korzystać z dobrodziejstw wynalazku Neubacha wcześniej niż inni koledzy, niektórzy nurzali tyłki w kałużach, których pełno było w pobliżu.

Tutaj nie obowiązywało ani zaciemnienie, ani inne ograniczenia koszarowe. Kiedy tylko odwaliliśmy codzienną robotę, całą noc mogliśmy śmiać się, pić i rzygać, ile dusza zapagnie. Tak minęło z osiem spokojnych dni. Przy każdej pracy grzęźliśmy w coraz większym błocie. Jeszcze trzykrotnie wracaliśmy na linię frontu, gdzie panował nieprawdopodobny spokój. Na grzbiecie koni albo na wozach przewoziliśmy do okopów zaopatrzenie chłopakom, suszącym odzież na nasypach. Na drugim brzegu Donu Ruscy zdawali się robić to samo.

Jakiś kompletnie zarośnięty żołnierz, zapytany, czy wszystko w porządku, odpowiedział ze śmiechem:

— To już na pewno koniec wojny. Hitler i Stalin pogodzili się już chyba. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej ciszy. Ruscy chleją od rana do wieczora. Wczoraj wieczorem zdzierali gardła, śpiewając do upojenia. Ich bezczelność nie zna granic. Niektórzy normalnie spacerują poza okopami. Werk widział, jak trzech poszło do rzeki po wodę, jakby nigdy nic, a nasi mieli ich na muszce. Co, Werk? Powiedz, że tak było! — zwrócił się do niepozornego żołnierza myjącego stopy w kałuży.

— Tak — odparł zapytany. — Nie odważyliśmy się strzelać. Chociaż raz jedni i drudzy mogą wystawić ryj bez obawy, że dostaną kulę w łeb!

Ogarnęło nas nieśmiałe uczucie radości. Czyżby wojna naprawdę się skończyła?

— To całkiem możliwe — rzekł Halls. — Słyszałem, że w takich sytuacjach żołnierze zawsze dowiadują się o tym na końcu. Jeżeli to prawda, zawiadomią nas jutro albo pojutrze.

Rozumiesz, Sajer, może już niedługo pojedziemy do domu! Ale sobie pohulamy! —

kontynuował z entuzjazmem. — To nie do wiary!

— Nie skacz tak, zanim ci nie powiedzą — mruknął jakiś starszy żołnierz z wojsk transportowych. — Nie obiecuj sobie za wiele.

Ta obiektywna uwaga ostudziła nasz entuzjazm.

Jak co dzień skręciliśmy na prowadzącą do baraków drogę, która wyglądała teraz jak kanał. Zatrzymaliśmy się chwile, by pogawędzić z Ernstem. Wraz ze swym plutonem pracował nad przywróceniem tej trasy do użytku.

— Jak tak będzie dalej — ocenił — trzeba będzie poruszać się statkiem.

przejechały dwie ciężarówki, a kamienie, które z takim trudem ubijaliśmy na drodze, już całkiem zniknęły w błocie. W transejach, tam dopiero jest ładnie!

— Oj, nielekkko mają! — stwierdził Halls. — Ich morale jest gówniane.

Myślę, że nie połamali karabinów na podpałkę. Nasze chłopaki i Ruski mają tam niezłą zabawę.

— Niech się bawią — szepnął Ernst. — Dzieje się coś dziwnego. Widzicie tamtą pływającą po wodzie ciężarówkę z radiostacją? Cały czas odbiera komunikaty. Bezustannie krążą kurierzy. Ostatni zeskoczył z motocykla, gdy ugrzązł w błocie, i pobiegł z wiadomością do dowódcy.

— Może to gratulacje dla ciebie za prysznic — rzucił żartobliwie Halls.

— Nie miałbym nic przeciwko takiemu dowcipowi, ale zdziwiłoby mnie to. Gdy te chłopaki zaczynają biec, wszyscy idą w ich ślady.

— Panikarz! — powiedział Halls żartobliwym tonem, po czym oddalił się.

Gdy przyszedliśmy na kwaterę, wydawało się, że wszystko jest po staremu. Zjedliśmy przygotowane przez kucharza jarzyny na gorąco i jak co dzień o tej porze sposobiliśmy się do wieczornych wygłupów. Nagle Laus zagwizdał na zbiórkę.

— Do licha! — pomyślałem. — Neubach miał rację. Znów się zaczyna.

— Nie mam zamiaru komentować waszych uświnionych mundurów — warknął nasz ukochany feldfebel. — Zbierać łachy! Lada godzina możemy dostać rozkaz do wymarszu. Zrozumiano? Rozejść się!

— Cholera! Za spokojnie tu było — mruknął któryś z żołnierzy.

— A co, myślałeś, że resztę czasu spędzisz tu na pierdołach? To wojna, stary — odparł jego kumpel.

„Zbierać łachy” oznaczało gotowość do zbiórki w nienagannym umundurowaniu z przypasanym regulaminowo oporządzeniem. Tak przynajmniej nas uczono w Chemnitz i Białymstoku. Oczywiście tutaj dyscyplina nieco się rozluźniła. Niemniej nasi oficerowie przeprowadzali, w zależności od ich widzimisie, drobiazgowo kontrole. Sprawdzać mogli zarówno czystość lufy karabinowej, jak i palców u stóp, a w wypadku jakichkolwiek nieprawidłowości wyznaczali szereg niezmiernie uciążliwych prac albo wysyłali na niekończącą się wartę.

Doskonale pamiętam czterogodzinną karę, jaką odbyłem kilka dni po Przybyciu do jednostki w Chemnitz. Na cementowym, zalanym słońcem dziedzińcu porucznik wyrysował kredą koło. Musiałem wziąć na plecy

L._

karny ekwipunek, czyli wyładowany piaskiem niemal czterdziestokilogramowy plecak. Sam

ważyłem pięćdziesiąt dziewięć kilogramów. Po dwóch godzinach czułem rozpalony od sierpniowego słońca hełm.

Pod koniec kary musiałem szczególnie uważać na kolana, które zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Kilkakrotnie myślałem już, że zemdleję — tak wiele wysiłku kosztowało mnie utrzymanie pozycji pionowej. W ten oto sposób nauczono mnie, że dobry żołnierz nie przechodzi przez plac koszarowy, trzymając rękę w kieszeni spodni.

Niełatwo nam też było utrzymać w należytym stanie otrzymany sprzęt. Ileż trudu kosztowało nas pucowanie na wysoki połysk wilgotnych butów!

— Przecież po dziesięciu metrach marszu cała ta robota pójdzie na marne! — skarżył się jakiś chłopak, mordując się nad buciorami.

Potrzebowaliśmy dobrej godziny, aby jako tako doprowadzić do porządku cały ekwipunek.

Minęła jeszcze doba i zakończyły się nasze wczasy nad Donem, a nastąpiło piekło.

Nazajutrz po ogólnych porządkach wyznaczono mnie na wartę. Miałem objąć służbę o północy, a zakończyć o drugiej trzydzieści. Starałem się zachować spokój. Kilka skrzyń po amunicji stanowiło coś w rodzaju platformy, dzięki czemu wartownik nie musiał taplać się w błocie. W odległości dwóch metrów znajdował się zalany do połowy wodą okop, gdzie w razie niebezpieczeństwa mógł schronić się wartownik pilnujący składu benzyny.

Noc nie była zimna. Dżdżysty wiatr gonił po niebie wielkie, niskie chmury. Spoza nich wychodził od czasu do czasu ogromny, biały księżyc. Po prawej stronie wyraźnie rysowały się sylwetki baraków i pojazdów. Przede mną rozciągał się nieskończony, ponury, zlewający się z niebem falisty horyzont. W dali, w odległości około dziesięciu kilometrów od najbardziej wysuniętych punktów zaopatrzeniowych, których strzegliśmy, znajdował się Don.

Między nami a rzeką w skrajnie trudnych warunkach czuwało albo spało tysiące żołnierzy.

Wiatr przynosił odgłosy pracujących silników, gdyż pod osłoną nocy zarówno Niemcy jak i Rosjanie dokonywali licznych przegrupowań. Zauważyłem dwóch patrolujących żołnierzy.

Po dokonaniu rutynowych formalności obaj podeszli do mnie, żartując. Miałem właśnie im odpowiedzieć, gdy nagle cały horyzont od północy aż po południe rozświetlił nieregularnym światłem.

Błyski trwały jeszcze jakąś chwilę, po czym zdawało mi się, że ziemia się zatrzęsała, a w następnej sekundzie rozległ się przeszywający powietrze niekończący się grzmot.

— O Boże, to atak! — krzyknął jeden z patrolujących żołnierzy. — Coś mi się wydaje, że to ich artyleria wali w naszych chłopaków.

W całym obozie momentalnie rozległy się gwizdki. Odgłos dalekich jeszcze eksplozji zagłuszał wydawane rozkazy, wokół uwijały się grupy żołnierzy. Artylerzyści pędzili do ciężkich dział kalibru 155 mm znajdujących się na skraju dawnego lotniska polowego. Nie dostałem rozkazu opuszczenia posterunku i zastanawiałem się, jakie polecenia otrzymają koledzy.

Dostarczanie zaopatrzenia pod taką nawałnicą ognia to coś zupełnie innego niż nasza poprzednia wyprawa. Ostrzał artyleryjski trwał nadal, lecz teraz słychać było również detonacje niemieckie. W blasku coraz intensywniejszego i precyzyjniejszego ognia artyleryjskiego rozświetlającego nocne ciemności, niczym chińskie cienie pojawiały się grupy żołnierzy biegnących przez kałuże.

Rzec by można, że to ogarnięty nieprawdopodobną furją gigant wstrząsnął posadami wszechświata, tego samego wszechświata, w którym człowiek zdaje się stanowić nic nie znaczącą cząstkę. Wojenny kolos może ją zmiażdżyć, nie zauważając jej nawet.

Niebezpieczeństwo było jeszcze stosunkowo dalekie, lecz uwagę miałem napiętą do ostatnich granic. Pochylony do przodu gotów byłem w każdej chwili skoczyć do wypełnionego wodą okopu, gdyby nawałnica przybliżyła się. Ze zgaszonymi światłami nadjeżdżały w moim kierunku dwa potężne ciągniki gaśnicowe. Oblepione błotem koła i gaśnice wrzynały się w błotnistą maź. Dwóch żołnierzy przeskoczyło przez żelazną barierkę ciągnika i niemalże

zniknęło w wielkiej kałuży.

— Wartowniku, pomóż nam! — krzyknęli artylerzyści ubłoceni aż po hełmy.

Zbliżająca się apokalipsa zdawała się ogarniać niebo i ziemię. Pośpieszyłem chłopakom z pomocą, by załadować na pojazdy stu pięćdziesięciolitrowe beczki z paliwem.

— Przynajmniej to ci nie pierdyknie w dziób — zwrócił się do mnie jeden z nich.

— Powodzenia! — odpowiedziałem po prostu.

Nieco dalej żołnierze z mojej jednostki starali się uspokoić konie, które wierzgały i przewracały się w błocie, rżąc wniebogłosey. Kilkakrotnie na rozmaite pojazdy ładowano beczki z benzyną, toteż kiedy o świcie nie pojawił się mój zmiennik, zastanawiałem się, czego też jeszcze muszę pilnować. Ostrzał artyleryjski trwał nadal. Gdy skrajnie wyczerpany nie kojarzyłem już, gdzie jestem, minęła mnie grupa chłopaków z mojej kompanii. Dowodzący nią sierżant dał mi znak, bym do niej dołączył. W chwili, kiedy dochodziłem do kolegów, sto metrów za nami eksplodował jeden z pierwszych pocisków sowieckiej artylerii dalekiego zasięgu. Grupa rozpięzchła się na wszystkie strony. Nie zadawałem żadnych pytań, tylko szukałem, niestety na próżno, szerokich ramion Hallsa.

Na obóz spadały kolejne pociski. Cała ziemia pojaśniała od eksplozji. Koledzy padali na oślep na ziemię i podnosili się, uwalani błotem.

— Nie nurzajcie się bez sensu w tym gównie! — warknął sierżant. — Róbcie to co ja.

Patrzcie na mnie! Zrozumiano?

Usłyszeliśmy charakterystyczny świst. Nasza dwunastka włącznie z sierżantem dała efektownego nura w błotnistą maź. Gigantyczna eksplozja zatamowała nam dech w piersiach, a fala błota pochłonęła nas całkowicie.

Niemilosie ubłoceni, z wymuszonym uśmiechem na twarzy, unosiliśmy się powoli z ziemi niczym pasażerowie, którzy wyszli bez szwanku

z poważnego wypadku samochodowego. Kolejne trzy lub cztery pociski eksplodowały w pobliżu, zmuszając nas ponownie do przyjęcia poprzedniej pozycji. Za nami coś się paliło. W końcu mogliśmy ruszyć z miejsca i pośpieszyliśmy w kierunku dużego składu amunicji. Na widok piramidy skrzyń pokrytych plandeką włosy zjeżyły nam się na głowie. Gdyby uderzył w to pocisk, w promieniu stu metrów nie zostałoby żywej duszy.

— Psiakrew! — mruknął sierżant. — Nikt tego nie pilnuje. To nie do wiary.

W błogiej niefrasobliwości wspiał się na stos dynamitu. Zdaje się, że szukał numerów skrzyń. Miały być przetransportowane w wyznaczone punkty na wypadek przegrupowania piechoty.

Czekając na rozkazy, staliśmy w błocie, z kompletną pustką w głowie. Skamienieliśmy ze strachu jak skazańcy przed krzesłem elektrycznym. Nagle przybiegło dwóch facetów ubłoconych jak my. Sierżant, stojąc na skrzyniach, grzmiącym głosem ryknął do nowo przybyłych, którzy pomimo huku eksplozji stali wyprężeni na baczność.

— Wy tu jesteście na warcie!?

— Tak jest, panie sierżancie! — wykrzyknęli równocześnie regulaminowym tonem.

— Gdzie wyście byli?! — wrzasnął podoficer.

— Musieliśmy się na chwilę oddalić. Za potrzebą... — odpowiedział jeden z nich.

— Gałgany! Musieliście iść razem się wysrać? (mieliśmy zbytniego cykora, by wybuchnąć śmiechem). Nazwiska i przydział! — rzucił sierżant, cały czas stojąc na piekielnej piramidzie. Przeklinałem w duchu tego bydlaka, który w trosce o dyscyplinę nie myślał, co może nam się stać, lecz sposobiał się do sporządzenia raportu. Bliskie eksplozje rzuciły nas na ziemię, a mimo to ten idiota nadal igrał z losem, cały czas stojąc na skrzyniach.

— Wałą w nasze tyły — stwierdził. — Na pewno rzucili już do ataku swoją kurewską piechotę. No dalej, gówniarze, ruszać się!

Niemal sparaliżowani ze strachu, zaczęliśmy się wspinać na wulkan. Błyski eksplozji rzucały złowrogie refleksy na nasze sylwetki. Po kilku chwilach pędziliśmy już w innym kierunku, a

myśl, by jak najszybciej oddalić się od tej przeklętej góry, do tego stopnia dodawała nam siłę, że w ogóle nie czuliśmy ciężaru skrzyń ani broni.

Gdy obudził się dzień, spektakl nie był już tak efektowny. Błyski eksplozji stały się mniej widoczne. Cały horyzont pokrywał gęsty dym. W niebo wzbijały się niekiedy ciemne gejzery wybuchów. Około południa, kiedy skrajnie wyczerpani cały czas ganialiśmy od jednej roboty do drugiej, rozszalała się nasza artyleria. Siedząc w obszernym leju po wybuchu, obserwowałem długą lufę 155-ki ziejącą ogniem w regularnych odstępach czasu.

Wreszcie odnalazłem Hallsa i Lensena. Zakrywając pięściami uszy, patrzyliśmy na ryczące działo. Uśmiechnięty Halls odliczał wystrzały nieznacznymi skinieniami głowy.

Przez dwie doby nie mieliśmy praktycznie odpoczynku. Śmiertelny korowód trwał nadal. Teraz przenosiliśmy rannych. Upychano ich w pomieszczeniach mniej lub bardziej zalanych wodą. Tam nieboraków kładziono na maty ze ściętych gałęzi, a pielęgniarze udzielali im pierwszej pomocy. Jęki rannych żołnierzy roznosiły się po całej tej naprędce zorganizowanej izbie chorych. Ponieważ wkrótce pomieszczenia były przepełnione, trzeba było ich zostawiać pod gołym niebem w samym błocie. Chirurdzy opuszczali je, by na zewnątrz operować konających. Widziałem przerażające rzeczy, jak na przykład bezkształtne masy stanowiące mieszaninę błota i krwi, ledwo przypominające ludzkie ciała.

Rankiem trzeciego dnia walki przybrały na sile. Byliśmy trupio bladzi z wyczerpania. Trwało to aż do wieczora, po czym w ciągu godziny wszystko się wreszcie uspokoiło. Nad umęczonym Donem unosiły się dymy. Wokół czuło się zapach śmierci. Powiadają, że śmierć ma woń, kiedy zbiera tak obfite żniwo. Ci, którzy poznali atmosferę walki, zrozumieją mnie. Nie mam na myśli odoru rozkładających się ciał. Jest to coś innego, coś nieokreślonego, czego nie da się dokładniej wyrazić.

Dwa z ośmiu baraków obozowych zamieniły się w kupę popiołu. Pozostałe zajęte były przez rannych. Widząc, że możemy zemdleć z wyczerpania, Laus, w gruncie rzeczy poczciwy facet, wyznaczał nam od czasu do czasu jedno- lub dwugodzinny odpoczynek, a wtedy momentalnie kładliśmy się, gdzie popadło, powaleni kamiennym snem. Gdy po dwóch godzinach budzono nas, unosiliśmy się, nieprzytomni, sądząc, że spaliśmy zaledwie kilka minut.

I znów ogarniało nas zmęczenie. Powracaliśmy do koszarnej pracy polegającej na transportowaniu rannych lub układaniu spalonych ciał, które musieliśmy obszukiwać w celu wysłania części tabliczki identyfikacyjnej rodzinom zmarłych z dopiskiem: „Poległ śmiercią bohaterską na polu chwały za Niemcy i Fiihrera”.

Dzień po ostatniej bitwie, jaką niemiecka armia stoczyła nad Donem, pomimo tysięcy rannych i poległych, miały miejsce uroczystości. Umierającym otwierano usta, wlewając w nie wódkę, aby uczcić ciężko wywalczone zwycięstwo. Na odcinku około sześćdziesięciu pięciu kilometrów generał Żuków dowodzący tą przeklętą Armią „Syberia”, tą samą, która przyczyniła się do klęski 6. Armii pod Stalingradem, przez trzy doby usiłował przełamać front nad Donem na południe od Woroneża. Zaciekle ataki sowieckie straciły impet na naszej silnej linii obrony. W walkach tych, które zakończyły się dla przeciwnika niepowodzeniem, straciło życie tysiące Rosjan, ale i my ponieśliśmy wielkie straty.

Jeszcze tego samego wieczoru wyruszyło w drogę trzy czwarte mojej Kompanii, wywożąc na ciężarówkach stosy rannych. Oddzielono mnie od

Hallsa i Lensena. Nie lubiłem być zbyt daleko od tych dwóch wspaniałych kolegów. Podczas wojny przyjaźń jest bardzo ważna. Jest to zresztą osobliwe zjawisko. Gdy panuje ogólna nienawiść, ludzi z tego samego obozu wiąże często prawdziwa przyjaźń, natomiast w czasie pokoju zamykają przed sobą drzwi.

Znalazłem się zatem wśród mniej lub bardziej interesujących facetów. Wcześniej nie miałem zbyt wielu okazji do rozmów z nimi, toteż czym prędzej opuściłem ich towarzystwo, by spędzić noc w ciężarówce i odzyskać nieco sił.

Wczesnym rankiem rozległy się gwizdki na zbiórkę. Uchyliłem powieki. Kabina ciężarówki, w której się znajdowałem, stanowiła doskonałe łóżko i pasowała mniej więcej do mojego wzrostu. Wreszcie spałem, jak Pan Bóg przykazał. Jednak na skutek zmęczenia czułem się jak z krzyża zdjęty i było mi cholernie ciężko opuścić swoje łóżko. Niemiłosiernie rozczochrani i wymiętoszeni koledzy, pokasiując, schodzili się, by ustawić się w szeregu.

Laus, który podobnie jak my, spał w całym swoim ekwipunku, nie wyglądał na zbyt wypoczętego. Oświadczył nam, że niebawem opuścimy to miejsce, by udać się w kierunku zachodnim. Najpierw jednak będziemy musieli towarzyszyć plutonowi inżyniersko-saperskiemu, by pomóc w zabrananiu lub zniszczeniu pozostałego sprzętu. Podchodziliśmy do kotła, z którego wlewano nam gorącą, lurowatą kawę, po czym dołączyliśmy do saperów.

Wyruszyliśmy w daleką drogę, unosząc na grzbietach osłów całą amunicję, aby nie wpadła w ręce wroga. Był to generalny odwrót. Długie szeregi niemiłosiernie utyłanych żołnierzy opuszczały ocean błota, kierując się na zachód. Pomyślałem przez chwilę, że jest to tylko przegrupowanie, ale tak nie było. Cała armia niemiecka znajdująca się na zachodnim brzegu Donu otrzymała rozkaz odwrotu. Nie rozumieliśmy, w jakim celu przez trzy dni musieliśmy stawiać bohaterski opór, skoro po zażegnaniu niebezpieczeństwa zarządzono odwrót.

Otóż większość z nas jeszcze nie wiedziała, że od stycznia sytuacja na froncie wschodnim radykalnie się zmieniła. Po klęsce stalingradzkiej nastąpiło potężne uderzenie wojsk rosyjskich, które dotarły pod Charków, przekroczyły Doniec i doszły aż do Rostowa, prawie całkowicie odcinając odwrót armii niemieckiej z Kaukazu. Ta ostatnia przez Morze Azowskie dotarła na Krym, ponosząc ciężkie straty. Jak donosiła nasza prasa frontowa, „Ost Front” i „Panzer Wolfram”, w okolicach Charkowa, Kubania, a nawet Anapy toczyły się ciężkie walki.

Nigdy otwarcie nie wspomniano o odwrocie, a ponieważ my, skromni szeregowi żołnierze, nie mieliśmy okazji zagłębiać się w geografii Rosji, tak naprawdę nie wiedzieliśmy, gdzie właściwie się znajdujemy. Niemniej, wystarczył rzut oka na mapę regionu, by przekonać się, że nasze pozycje na zachodnim brzegu Donu stanowią najdalej wysunięty sektor niemiecki na te-

rytorium sowieckim. Na szczęście naczelne dowództwo zarządziło odwrót, byśmy w wyniku następującego od północy i południa okrążenia nie zostali całkowicie odcięci od naszych baz w Charkowie i Biełgorodzie. Don nie stanowił już dla nas linii obrony. Nieprzyjaciel przekroczył rzekę zarówno na północy, jak i na południu.

Dziś jeszcze drzę na samą myśl, że mogliśmy podzielić los żołnierzy walczących pod Stalingradem! Choć na szczęście nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy z powagi sytuacji, słowo „odwrót” przywodziło na myśl złowróżbne skojarzenia.

W tamtych dniach jedynie błyskawiczne tempo wycofywania się pozwalało nam przypuszczać, że sytuacja jest poważna. Już od dwóch dni trwała gorączkowa ewakuacja, od dwóch dni trwało pożegnanie z kolegami, którzy odchodzili pieszo, bądź wyjeżdżali wypełnionymi do granic możliwości pojazdami. Wkrótce na opustoszałym terenie pozostał tylko niewielki pluton Grupy Pancerniej. Na skutek przemarszu wycofujących się wojsk tereny Luftwaffe przekształciły się w ogromne bajoro. Wyobraźcie sobie tysiące ciężarówek, czołgów, transporterów, koni, piechurów przez dwie doby przesuwających się po nierównym, rozoranym, błotnistym terenie!

Byłem więc w samym środku tego chaosu, pomagając w gromadzeniu sprzętu, którego nie mogliśmy zabrać. Wspólnie z nami pracowali saperzy, przygotowując do wysadzenia w powietrze znaczną ilość amunicji, zgromadzonej przy barakach na wrakach ośmiu ciężarówek. Około południa rozpoczął się pokaz fajerwerków. Każde miasto mogłoby nam tego pozazdrościć. Sanie, wozy, budynki — wszystko to wysadzaliśmy w powietrze. Był to niesamowity widok. Dwie duże haubice, których ciągniki nie zdołały wydobyć z błota, załadowano nie odpowiadającymi ich kalibrom pociskami. Ich lufy wypełniono także różnego

rodzaju materiałami wybuchowymi, po czym z wielkim trudem zaryglowano zamki. Eksplozja przepołowiła oba działa, a śmiertelny deszcz odłamków rozprysł się dookoła. Nie mogę pojąć, jakim cudem w trakcie tej ewakuacji udało nam się pozostać przy życiu. Byliśmy ogarnięci jakąś diaboliczną radością. Wieczorem nasze karabiny maszynowe powstrzymały kilka sowieckich patroli, które zapuściły się chyba na zwiady. Godzinę przed ostatecznym opuszczeniem miejsca znaleźliśmy się pod słabym ostrzałem artyleryjskim, co napędziło nam trochę strachu.

W trakcie odwrotu po raz pierwszy śmierć zabrała mi jednego z moich prawdziwych przyjaciół, a mianowicie Ernsta Neubacha. Nastąpiło to w absurdalnych okolicznościach.

Po niegroźnym ostrzale artyleryjskim pancerna grupa ubezpieczająca zasygnalizowała obecność nieprzyjaciela na naszych dawnych pozycjach. ospiesznie dano więc hasło do wymarszu. Nie byliśmy już w stanie dłużej powstrzymać Rosjan. Kiedy tak kręciłem się bezradnie dookoła, ciągnąc PO kałużach swój mizerny ekwipunek i zastanawiając się, czym mógłbym lechać, feldfelbel naszej grupy wskazał na szoferkę zdobyczej ciężarówki. — Wskakuj za kółko! — wrzasnął. — Spieprzamy stąd!

Uważano, że wszyscy żołnierze wojsk transportowych byli kierowcami. Jeśli o mnie chodzi, byłem najprawdziwszym nowicjuszem w tej dziedzinie. Owszem, zdobyłem podstawowe umiejętności kierowcy podczas kursu w Polsce, ale ćwiczyłem na całkiem innych pojazdach. Niemniej była to nieodpowiednia chwila, by kwestionować rozkazy przełożonych, wskoczyłem więc do szoferki tatry. Na szarej tablicy rozdzielczej widniały jakieś niewielkie tarcze. Miały wskazówki obrócone smętnie ku dołowi, jakieś przyciski i napisy w nieznanym mi alfabecie. Saperzy kończyli właśnie przymocowywanie dużego wozu konnego do czołgu. Lada moment mieliśmy ruszyć. Musiałem za wszelką cenę uruchomić te cholerne mechanizmy. Przemknęło mi przez głowę, że opuszczę pojazd, tłumacząc, że nie jestem w stanie ruszyć z miejsca. Opanowałem się jednak, gdyż pomyślałem, że mogą wlepić mi trudniejszą robotę, każą czmychać piechotą, czy wręcz pozostawią mnie własnemu losowi. Zostać tu, oznaczało wpaść w ręce bolszewików. Myśl ta zmroziła mnie od stóp do głów, toteż zacząłem gorączkowo dotykać na chybił trafił różnych przycisków na tablicy rozdzielczej. No i stał się cud. Gdy wyglądałem rozpaczliwie na zewnątrz, zauważyłem Ernsta, który najwyraźniej szukał jakiegoś miejsca w wypełnionych pojazdach. Byłem uratowany.

— Ernst! — wykrzyknąłem. — Chodź tu! Jest miejsce! Nieborak rażno wskoczył do samochodu.

— Chciałem już z kumplami wdrapać się na czołg — rzekł. — Dzięki za miejsce.

— Ernst, czy znasz się na tych pojazdach? — spytałem błagalnym tonem.

— Cwaniak z ciebie. Władowałeś się tu, a nie masz pojęcia, jak to działa — odparł z uśmiechem.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdyż rozległo się wycie potężnego silnika czołgu, do którego byliśmy przyczepieni. Zaczęliśmy w pośpiechu manipulować dźwigniami. Czołgista z wieżyczki dawał mi znak, bym ruszył z miejsca równocześnie z jego pojazdem, tak żeby przewożeni przez nas ranni nie odczuli zbytnio wstrząsów.

Wyobrażałem już sobie, jak po nieudanych próbach jazdy opuszczani ciężarówkę, jak policzkuje mnie stojący obok i obserwujący moje manewry podoficer, który mi ją powierzył. Gdy Neubach pociągnął jakąś rączkę pod tablicą rozdzielczą, zdawało mi się, że coś zawarowało pod maską silnika. Dałem gaz do dechy i silnik wreszcie zawył.

— Powoli! — krzyknął do mnie feldfelbel. Uśmiechając się, skinąłem głową i zwolniłem pedał gazu. Łańcuch się napiął. Włączyłem bieg. Który? Nie mam pojęcia, w każdym razie nie był to bieg wsteczny.

Wielka ciężarówka drgnęła gwałtownie i natychmiast doszedł do mnie z tyłu grad

przekleństw i skarg. Tak oto wypadł mój debiut kierowcy samochodowego. Jeszcze dziś pamiętam, jak później we Francji jakiś zarozumiały dupek uczył mnie jazdy nędzną renową, strojąc przy tym miny co najmniej do-wódcy transportowca typu Liberty. Musiałem pokornie wysłuchiwać jego głośnych wywodów, by wejść w posiadanie różowego papierka upoważniającego mnie do prowadzenia pojazdów samochodowych. Nawet nie miałem zamiaru tłumaczyć temu, pożałuj Boże, instruktorowi, że na trasie przypominającej rzekę musiałem ciągnąć się za gąsienicowym monstrum, którego gwałtowne zrywy mogły w każdej chwili oderwać cały przód tetry.

Zresztą i tak by mi nie uwierzył. Był przecież z obozu zwycięskich aliantów. Wszyscy żołnierze z armii francuskiej, których spotkałem po wojnie, mienili się bohaterami! Tylko zwycięzcy mają historię, a my, pokonane bydłaki, byliśmy jedynie tchórzliwymi debilami. Nasze wspomnienia, obawy, entuzjazm — wszystko to nie miało prawa być opowiedziane. Kiedy wycofywaliśmy się pierwszej nocy, padał drobny deszcz. Ernsto-wi i mnie cudem udawało się utrzymać kierunek jazdy czołgu, bez którego pomocy nigdy nie wydostalibyśmy się z tego błota. Czasami zirytowany kierowca Mark-4 przyśpieszał gwałtownie, pociągając za sobą tatrę, która była niemal rozrywana. Spod gąsienic czołgu bryzgała na nas błotnista maź, rozmywająca się w deszczu, a wówczas przez przednią szybę nie można było nic dostrzec. Ernst opuszczał kabinę i trzymając się kurczowo samochodu, garściami odgarniał zgromadzone na szybie błoto.

Zamaskowane reflektory miały tylko wąską szczelinę, przez którą przedostawało się światło. Oczywiście szczeliny te dokładnie oblepiało błoto, na skutek czego nie było praktycznie oświetlenia. Niedostateczna widoczność nie pozwalała mi nawet dostrzec tyłu czołgu jadącego zaledwie pięć metrów przed nami, toteż ciężarówka posuwała się często ukośnie w stosunku do holującego nas pojazdu. Gwałtowne szarpnięcia łańcucha sprowadzały nas na właściwy kurs. Przez cały czas wydawało mi się, że straciłem przednie koła.

Znajdujący się z tyłu pod brezentem zmordowani jazdą ranni przestali nawet wrzeszczeć. Może już nie żyli... Nie miało to większego znaczenia. Posuwający się po błotnistej trasie konwój był prawie niewidoczny. W świetle budzącego się dnia zamajaczyły nasze żebracze gęby wycieńczone od niewyspania. W ciągu nocy konwój się rozciągnął. Znajdowaliśmy się z przodu czy z tyłu? Nie było to ważne. Kierowca czołgu skręcił na prawo, objeżdżając odcinek drogi nieprzejezdny nawet dla pojazdów pancernych, racet się nie patyczkował i skierował Mark[^] na stromy, zadrzewiony podjazd. Pod ciężarem czołgu, którego silnik pracował na najwyższych obrotach, zginały się bezbronne brzozy.

Nasza ciężarówka, której koła zamieniły się w błotniste kule, poderwała się z wyciem silnika za czołgiem. Wreszcie wszystko ucichło. Był to już nasz drugi postój od chwili wymarszu. Poprzednio zatrzymaliśmy się w nocy w celu uzupełnienia paliwa. Biedne chłopaki po nocy spędzonej na czołgu, kiedy to od płyty pancernej ochraniającej silnik piekły ich tyłki, a reszta ciała skostniała od zimna i deszczu, zeskoczyły z pojazdu wprost w powyginane gałęzie. Rozpoczęła się pyskówka między podoficerem wojsk inżynieryjnych a kierowcą, który wprowadził nas w te chaszczki. Wszyscy skorzystali z okazji, aby pójść się wysrać, po czym łąpczywie rzuciliśmy się na resztki żywności.

— Godzina postoju! — ogłosił podoficer, mieniący się dowódcą grupy. — Skorzystajcie z tego!

— A wała! — rzucił kierowca czołgu. Nie miał zamiaru podporządkować się jakiemuś strażakowi. — Pojedziemy dopiero, jak się wyśpię.

— Mieliliśmy dojechać do Biełgorodu dziś rano — warknął podoficer, któremu marzyło się zapewne zostać oficerem, po czym dodał, kładąc dłoń na futerale zwisającego mu na ramieniu pistoletu maszynowego: — Wyruszymy, jak dam rozkaz. Jestem tu najstarszy stopniem i macie mnie słuchać.

— Możesz kazać mnie natychmiast rozstrzelać — rzucił kierowca — ale wtedy ty

poprowadzisz czołg. Dwie noce już nie spałem. Odpierdol się ode mnie. Podoficer poczerwieniał z gniewu, ale nic nie dodał.

— Wy dwaj! Nie spać mi na stojąco! Na ciężarówkę! Pomóc rannym udać się za potrzebą!

— No właśnie — kontynuował czołgista, który najwyraźniej miał zamiar znaleźć się w karnym batalionie. — A potem pan podoficer podetrze im dupę.

— Do raportu! — zasyczał tamten. — Do raportu! Był teraz błąd ze złości.

Poupychani w samochodzie ranni nie umarli pomimo trudów podróży. Biedacy siedzieli cicho jak trusie. Na brudnych opatrunkach widoczne były ślady kolejnych krwawień. Mimo zmęczenia powodującego kołatanie serca, udało nam się z niemałym trudem ściągnąć rannych z ciężarówki i dowlec ich do niej ponownie, z wyjątkiem jednego rannego w obie nogi. Żołnierze chcieli tylko pić. Nie bardzo się orientując, czy jest to niebezpieczne, daliśmy im tyle wody i alkoholu, ile tylko pragnęli. Postąpiliśmy oczywiście niesłusznie, gdyż później dwóch z nich umarło.

Pochowaliśmy nieboraków w błocie, ustawiając jedynie kije, na których zawiesiliśmy ich hełmy symbolizujące żołnierską mogiłę. Wraz z Ernstem postanowiłem odrobinę się zdrzemnąć. Leżeliśmy skuleni w kabinie ciężarówki, nie mogąc zasnąć. Skronie nam pulsowały ze zmęczenia. Przez dwie długie godziny wspominaliśmy przedwojenne czasy. Kierowca czołgu zdecydował, kiedy ruszyć w dalszą drogę. Słońce stało już wysoko na niebie. Była piękna pogoda; zwisające na gałęziach wielkie płaty śniegu topniały powoli. — Che, che! — mruknął czołgista. — Nasz dowódca dał dyla, kiedy spaliśmy. Chyba pan podoficer chce dalej zasuwać piechotą!

Rzeczywiście podoficer zniknął. Może wskoczył do jednego z pojazdów, mijających nas podczas odpoczynku.

— Gnój poszedł sporządzić raport! — wykrzyknął kierowca. — Jak mi się nawinie po drodze, zmiążdżę go gąsienicami — normalnie jak bolszewika! Wyjazd z miejsca, gdzie utkwiliśmy, zajął nam trochę czasu. Niemniej, po dwóch godzinach, dojechaliśmy do jakiejś dziury, której nazwy już nie pomnę, odległej o dziesięć kilometrów od Biełgorodu. W miejscowości peł-o było żołnierzy różnych formacji. Znajdowało się tam kilka prostopadłych ulic z niskimi domami przypominającymi pozbawioną czoła głowę, z włosami zachodzącymi aż po brwi. Wśród hałaśliwie zachowujących się żołnierzy, z których większość szukała swych pododdziałów, krążyła cała masa zabłoconych pojazdów wojskowych. Dzięki jako takiej nawierzchni droga stała się bardziej przejezdna. Odczepiono nas od czołgu i nasza tatra musiała zabrać około dziesięciu żołnierzy z wojsk inżynierskich, którzy dotychczas na nim jechali. Zagubiony w tłumie, zatrzymałem ciężarówkę, błądząc wzrokiem w poszukiwaniu swojej kompanii. Dowiedziałem się od dwóch żandarmów, że wyruszyła już w kierunku Charkowa. Sami jednak nie byli tego pewni, toteż skierowali mnie do dowództwa zgrupowania mieszczącego się na naczepie. Miotano się tam rozpaczliwie trzech oficerów. Udało mi się przedrzeć do nich i zadać im pytanie pośród tysiąca innych.

W odpowiedzi opieprzyli mnie zdrowo, mówiąc, że jestem maruderem. Jestem przekonany, że gdyby ci faceci mieli więcej czasu, oddaliby mnie pod sąd polowy za odłączenie od oddziału. W wiosce panował nieopisany harmider. Żołnierze, to śmiejąc się, to wściekając, włązili hurmem do ruskich chat.

— Chodźmy spać. Niech to wszystko się uspokoi — mówili do siebie. Domagali się tylko suchego kąta, by móc się położyć. Niestety, w każdej chacie było nas tak wielu, że Rosjanie musieli niemal wychodzić na zewnątrz, aby z setka żołnierzy mogła rozłożyć się na podłodze.

Nie wiedząc już, co mam robić, dołączyłem do Ernsta, który również był na zwiadach. Udało mu się tylko znaleźć szpital polowy, po czym wrócił do samochodu z jakimś pielęgniarzem. Ten ostatni zaczął oglądać rannych.

— Mogą jechać dalej — rzucił.

— Jak to! — oburzył się Ernst. — Przecież już dwóch pochowaliśmy! Trzeba zmienić opatrunki.

— Nie upierajcie się tak! — rzekł pielęgniarz. — Jeśli ocenię ich stan jako wymagający pilnej interwencji, będą czekali w kolejce, siedząc na ulicy. A tak szybciej dojedziecie do Białgorodu i unikniecie rosyjskiego okrażenia.

— Ale niektórzy z nich chyba umrą — rzekł Ernst cichym głosem, aby nie dosłyszeli go ranni.

— Ba! Któż to wie, gdzie wszystkich nas czeka ten los? Uwierzcie mi. Nabierajcie rannych i zmykajcie. W ten sposób łatwiej się przedostaniecie.

— Sytuacja jest aż tak poważna? — spytał Ernst.

— Tak. Jest poważna — odpowiedział jedynie pielęgniarz, oddalając się.

Zostałem sam z Ernstem. Staliśmy zdezorientowani, czując się odpowiedzialni za los około dwudziestu rannych, którzy od kilku dni oczekiwali skutecznej pomocy lekarskiej. Krzywiąc się z bólu, nieboracy pytali nas czy zawieziemy ich wkrótce do szpitala. Nie potrafiliśmy udzielić im odpowiedzi.

— W drogę! — rzekł ponuro Ernst. — Może facet ma rację. Gdybym przypuszczał, że tak się to wszystko potoczy...

Prowadziłem ciężarówkę od dwóch minut, gdy Ernst klepnął mnie w ramię.

— Zatrzymaj się, mały. Jak tak dalej pójdzie, jeszcze w kogoś wjedziesz. Przesiadźmy się.

— Ale to ja mam prowadzić, Ernst. Należę do grupy transportowej.

— Mniejsza z tym. Daj kierownicę. Nie jesteś w stanie lepiej prowadzić. Była to prawda. Na próżno starałem się, jak tylko mogłem. Ta cholerna ciężarówka posuwała się skokami i wężykiem.

Dotarliśmy do końca wioski. W kolejce po paliwo czekał niekończący się rząd najprzeróżniejszych pojazdów. Tysiące żołnierzy niecierpliwie dreptało dokoła. Wtem jak spod ziemi pojawił się żandarm, który zatrzymał naszą ciężarówkę.

— Dlaczego nie dołączacie do kolejki jak inni? — spytał rozkazującym tonem.

— Mamy pierwszeństwo, Hen Gendarm, przewozimy rannych. Tak powiedziano nam w izbie chorych.

— Ranni... ciężko ranni? — zapytał policjant podejrzliwym tonem, jak zresztą wszystkie gliny na świecie.

— Oczywiście — odpowiedział Ernst, który nigdy nie przesadzał. Kretyn rzucił jednak okiem pod brezent.

— Nie wyglądają na bardzo cierpiących — zamruczał.

Spod brezentu doszedł do naszych uszu nieprawdopodobny wrzask i stek przekleństw.

Jedynie ranni mogli pozwolić sobie niekiedy na obrazę policjantów, którzy — jak powszechnie wiadomo — istnieją tylko po to, by uprzykrzać życie nieszczęsnemu obywatelowi — cywilowi bądź wojskowemu.

— Skurwysyn! — ryknął facet, który stracił część ramienia. — Takich gnojów jak ty cały czas powinno wysyłać się na pierwszą linię! Przepuść nas albo zaduszę cię jedyną zdrową ręką, jaka mi pozostała!

Wściekły, uniósł się z miejsca, pomimo przejmującego bólu ograniczającego ruchy i wywołującego przeraźliwą błądź na twarzy. Wyglądało na to, że gotów jest wcielić w czyn wypowiedziane przed chwilą słowa.

Stojąc przed tą dwudziestką rannych, kretyn poczerwieniał i poczuł, że opuszcza go odwaga.

Istnieje zasadnicza różnica między zarozumiałym kretynem — paryskim, londyńskim czy belgijskim gliną, co wlepią mandat mieszczuchowi, gdy nie zatrzymał się na czerwonym świetle — a najzwyczajszym kretynem, nawet na tyłach frontu, mającym do czynienia z faceta-

i którzy podtrzymują garściami własne flaki albo wyjmują czyjeś inne, Bacznie z kawałkiem żelastwa zwanego bagnetem. Jego gniew zniknął, a na twarzy pojawił się wymuszony uśmiezek.

- Spierdalać mi stąd! — rzucił obojętnym tonem (glinom nigdy nie jest nic obojętne, chyba że mają cykora, tak jak to było w jego przypadku). Kiedy koła ciężarówki obróciły się o trzysta sześćdziesiąt stopni, wylał na nas całą swą żółć.

— Zdychajcie sobie gdzie indziej! — rzucił na pożegnanie.

Z wielkim trudem udało nam się zdobyć trzydzieści litrów benzyny. Taką ilość nasz samochód z łatwością spalał na godzinę. Niemniej, byliśmy szczęśliwi, że dostaliśmy choć tyle i możemy uciekać od tych tłumów. Błotnista droga miała nie najgorszą nawierzchnię, chociaż gdzieś na kilkumetrowych odcinkach brakowało jej, a wtedy trzeba było uważać, by nie wpaść w dziury, których głębokości nie sposób było przewidzieć. Jechaliśmy więc ową słynną sowiecką trasą, czasem poboczem albo nawet zjeżdżaliśmy na ciągnącą się wzdłuż drogi łąkę.

W oddali, z prawej strony, równoległą drogą posuwał się wolno jakiś konwój.

Po dziesięciu kilometrach natknęliśmy się na oddziały piechoty zmotoryzowanej. Żołnierze w pełnym pogotowiu bojowym zdawali się oczekiwać raczej Rosjan niż towarzyszy broni.

Ponownie zatrzymał nas policyjny patrol. Idioci przeszukiwali całą ciężarówkę, sprawdzali dokumenty, wypytywali o cel podróży, jakbyśmy popełnili jakieś wykroczenie. Udało nam się jednak zdobyć pewne informacje. Jeden z tych służbistów zerknął do zawieszzonego na szyi rejestru, po czym skrzeczącym tonem poinformował nas, że po stu metrach musimy skręcić, kierując się na Charków. Zrobiliśmy to niechętnie, gdyż prowadząca w tamtym kierunku droga okazała się prawdziwym bagnetem.

Posuwając się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, błyskawicznie zużylibyśmy nędzne resztki benzyny. Cały czas mijaliśmy stojące w błocie pojazdy opuszczone z powodu awarii lub braku paliwa. W pewnej chwili zatrzymało nas z pięćdziesięciu niemiłosiernie ubłoconych piechurów, którzy rzucili się hurmem na ciężarówkę. Wśród nich znajdowali się ranni. Niektórzy zdążyli już pozbyć się cuchnących opatrunków.

— Miejsce, chłopaki! — wrzeszczeli jak jeden mąż, gramoląc się siłą na ciężarówkę.

— Widzicie, że samochód jest przepełniony. No już, schodzić! — nalegał Ernst.

Nie mogliśmy się ich pozbyć. Żołnierze tłoczyli się od tyłu, pchając się na rannych, by zdobyć więcej miejsca. Zacząłem z Ernstem wydzierać się wniebogłoso. Nic nie pomagało. Wpychali się, gdzie tylko się dało.

— Zabierz mnie! — łkał jakiś nieborak. Zakrwawionymi rękami ucze-Pił się gorączkowo drzwi szoferki. Inny wymachiwał przepustką, której

ważność prawie już się skończyła. Porządek przywróciło dopiero pojawienie się steinera i dwóch ciężarówek. Ze steinera wyskoczył kapitan SS.

— Co to za burdel?! Zatarasowaliście sam środek drogi! Fatalna sprawa! Wlazło was tam chyba ze stu!

Żołnierze momentalnie się rozproszyli. Ernst wysunął się naprzód, prężąc się na bacność, po czym wyjaśnił kapitanowi sytuację.

— W porządku — odparł esesman. — Zabierzcie pięciu rannych. My też weźmiemy pięciu. Pozostali pójdą pieszo. Zabiorą ich konwoje, jadące za nami. W drogę!

— Hen Hauptmann — kontynuował Ernst. — Za kilka minut skończy nam się paliwo...

Kapitan dał znak któremuś z siedzących w steinerze żołnierzy, aby przyniósł nam dwudziestopięciolitrowy kanister z benzyną. Właliśmy paliwo do zbiornika i ruszyliśmy w dalszą drogę w ślad za uczynnym oficerem.

Wielokrotnie mijaliśmy grupy chłopaków brnących w błocie. Mimo błagalnych prośb nie zatrzymywaliśmy się. Około południa dojechaliśmy na resztkach benzyny do jakiejś wioski,

gdzie przegrupowywano jednostkę udającą się na front. Niewiele brakowało, bym został przedwcześnie frontowcem. Tkwieliśmy tam aż do następnego ranka, kiedy to dzięki jakimś kombinacjom Neubachowi udało się wreszcie zdobyć dwadzieścia litrów paliwa. Właśnie mieliśmy ruszyć w dalszą drogę, gdy w oddali rozległa się kanonada. Ponieważ sądziliśmy, że znacznie oddaliliśmy się od linii frontu, bardzo nas to zdziwiło i zaniepokoiło. Nie wiedzieliśmy, że posuwamy się równoległe do frontu ciągnącego się wzdłuż linii Biełgorod — Charków. Dowiedziałem się o tym znacznie później.

Nie zwlekając, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przed wyjazdem musieliśmy zostawić dwóch umierających żołnierzy. Zamiast nich zabraliśmy trzech rannych facetów. Była chyba godzina piętnasta czy szesnasta, kiedy znowu wszystko się popieprzyło.

Posuwaliśmy się w niewielkiej kolumnie złożonej z dziesięciu pojazdów. Ciężarówka, w której się znajdowałem, jechała mniej więcej w środku. Minęliśmy pluton czołgów przypominających pogażone w mule potwory, gdy wyłaniają się podczas odpływu morza. Udawały się one na spotkanie ze znajdującym się zapewne w pobliżu nieprzyjacielem.

Pomimo ogłuszającego warkotu ciężarówek, z lewej strony dochodził odgłos artylerii. Ernst i ja popatrzyliśmy na siebie niespokojnie. Zatrzymali nas żołnierze przygotowujący stanowisko dla dział przeciwpancernego.

— Wiejcie, chłopaki! — krzyknął oficer, kiedy zwolniliśmy. — Ruscy są tuż, tuż!

To nam wystarczyło. Zastanawiałem się, jakim cudem Rosjanie, od których odskoczyliśmy co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów, mogli pojawić się tutaj. Ernst, który cały czas prowadził tatrę, dodał gazu. To samo zrobiło kilka jadących przed nami pojazdów. Nagle na niebie pojawiło się pięć sa-

molotów lecących na średniej wysokości. Momentalnie zasygnalizowałem to przyjacielowi.

— To Jaki! — krzyknął Ernst. — Musimy się schronić!

Wszędzie dokoła było morze błota, tylko gdzieniegdzie widniały grupki niewysokich drzew. W powietrzu rozległo się donośne: „ter-ter-ter-ter”! Kolumna przyśpieszyła, usiłując wjechać w trochę bardziej pofałdowany teren by w ten sposób uchronić się przed sowieckimi samolotami. Pomimo wstrząsów jadącej ciężarówki i bryzgającego błota wychyliłem się na zewnątrz, aby lepiej widzieć. Nad nami trwała już walka powietrzna. Pojawiły się dwa Focke-Wulfy, strącając na swojej trasie dwa Jaki, które eksplodowały, hen za horyzontem na zachodzie.

Niemal aż do końca wojny rosyjskie lotnictwo nie było w stanie stawić czoła Luftwaffe. Nawet na terenie Prus, gdzie wykazywało największą aktywność, wystarczyła obecność jednego Messerschmitta-109 albo Focke--Wulfa, by zmusić do ucieczki dziesięć opancerzonych Iliuszynów. W okresie, gdy niemieckie lotnictwo stanowiło jeszcze znaczną siłę, ruscy wieśniacy za sterami nie mieli łatwego życia.

Nasi ścigali dwa lub trzy pozostałe Jaki, lecz ostatni z nich zaczął ostro pikować na nasz konwój. Za nim rzucił się w pogoń jeden z Focke-Wulfów, usiłując najwyraźniej wziąć Ruska na celownik.

Ledwie dotarliśmy do falistego terenu, gdy Rosjanin zaczął lecieć tuż nad ziemią, by móc otworzyć ogień z broni maszynowej. Jadące przed nami ciężarówki zatrzymywały się gwałtownie. Ci, którzy mieli dość sił, wyskakiwali z nich, jak tylko się dało, rzucając się w błoto. Ponieważ od kilku sekund miałem uchylone drzwiczki, bez najmniejszych trudności udało mi się zeskoczyć z auta stopami w błoto. Kiedy lądowałem w kałuży, nad nami rozległo się złowrogie: „ter-ter-ter-ter”!

Leżąc twarzą w błocie, z zamkniętymi oczyma i rękami na głowie, słyszałem piekielny warkot obu przelatujących samolotów i odgłos broni maszynowej. W chwilę po tym doszedł do mych uszu głuchy odgłos eksplozji. Kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem nabierający wysokości samolot z czarnymi krzyżami, a trzysta czy czterysta metrów dalej ciemną smugę dymu ze strąconego Jaka. Wokół wszyscy podnosili się z ziemi. Uff! Byliśmy w niezłych

opałach!

— Ten już się nam nie dobierze do skóry — rzucił jakiś tęgi kapral, szczęśliwy, że zdołał przeżyć.

— Niech żyje Luftwaffe! — wykrzyknęło kilku żołnierzy.

— Nikt nie jest ranny? — wrzasnął feldfelbel. — No to w drogę! Skierowałem się w stronę taty, starając się choć z grubsza strząsnąć

z siebie błoto, oblepiające mnie całego. Podchodząc do samochodu, zauważyłem dwa otwory w drzwiach, które pośpiesznie otworzyłem, wyskakując z ciężarówki w błoto, a które zamknęły się za mną same. Dwa okrągłe otwory o metalicznych obwódkach po odpryskach farby. Bez słowa otworzyłem nerwowo szoferkę. Tam dostrzegłem człowieka, którego widoku nigdy nie

zapomnę, człowieka na j normalniej w świecie opartego o ławkę, człowieka, którego połowa twarzy była jedną, krwawą masą...

— Ernst! — odezwałem się zduszonym głosem — Ernst! (rzuciłem się w jego kierunku). — Ernst! Ernst! Co jest...? Odpowiedz! Ernst! (nieprzytomnym wzrokiem starałem się dojrzeć rysy twarzy mojego nieszczęsnego przyjaciela). — Ernst! — wrzasnąłem płaczliwym tonem. Kolumna samochodów ruszała już w drogę. Zeskoczyłem z ciężarówki.

— Stać! Stać! Zatrzymać się!

Jadące na czele pojazdy oddalały się powoli. Dwie ostatnie ciężarówki, znajdujące się za nami, trąbiły niecierpliwie.

— Hej! Wy tam! — krzychałem, biegnąc w ich kierunku. — Zatrzymajcie się! Chodźcie... Mam rannego!

Byłem oszołomiony. Uchyliły się drzwiczki jadącej bezpośrednio za mną ciężarówki. Z kabiny wychyliło się dwóch żołnierzy.

— No, co jest, młodzieńcze?! Jedziesz, do cholery, czy nie?!

— Zaczekajcie! — wrzeszczałem jak opętany. — Mam rannego...

— A my mamy trzydziestu! — ryknęli obaj. — Zasuwasz! Niedaleko jest szpital!

— Ale to jest Ernst Neubach! Chodźcie, na miłość boską! Zachowywałem się jak obłąkany.

— No jedź już! — darli się — albo będziesz musiał pochować w błocie tego twojego rannego!

Wrzeszczeli tak głośno, że prawie siebie nie słyszałem. Warkot mijających mnie ciężarówek zagłuszył moje rozpaczliwe wołania. Pozostałem sam z rosyjską ciężarówką pełną rannych żołnierzy i z rannym lub umierającym Neubachem.

— Gnoje! Zaczekajcie na mnie! Zaczekajcie na mnie...! Nie odjeżdżajcie!

Wybuchnąłem rozpaczliwym płaczem, po czym przyszedł mi do głowy szalony pomysł.

Chwyciłem mauzera, który został w kabinie. Zalane łzami oczy nie pozwalały mi normalnie widzieć. Po omacku znalazłem rączkę zamka i skierowałem broń lufą ku niebu. Wystrzeliłem pięć nabojów z magazynka, mając nadzieję, że odjeżdżający odbiorą to jako wołanie o pomoc. Ciężarówki oddalały się, pozostawiając błotniste bruzdy. Zrozpaczony powróciłem do kabiny. Zacząłem gorączkowo szperać w swoich rzeczach, szukając opatrunków.

— Ernst — wyszeptalem. — Zaraz cię opatrę. Tylko nie płacz. Postradałem chyba zmysły.

Ernst nie płakał, tylko rzeził w agonii. To ja

płakałem. Cały jego płaszcz zalany był krwią. Trzymając opatrunek w ręce, uważnie przypatrywałem się koledze. Pocisk przeszył mu chyba dolną szczękę, gdyż pozostała z niej krwawa miazga. Rana nadała jego twarzy okropny wygląd: zęby wymieszane były z odłamkami kości, mięśnie twarzy napinały się, ożywiając nieco tę krwawą papkę.

Przygnębiony, na próżno próbowałem założyć opatrunek na tak rozległą ranę. Nie mogąc sobie poradzić, zanurzyłem gorączkowo igłę w małej fiolce z morfiną, po czym za jednym razem wstrzyknąłem mu ją przez spodnie. Płacząc jak dzieciak, przesunąłem nieboraka na drugi koniec ławki. Aby to zrobić, musiałem go niemal objąć wpół, przez co poplamiałem

sobie odzież krwią. Na zniekształconej twarzy Neubacha odróżnić można było jedynie dwoje błyszczących z bólu oczu, które właśnie otworzył.

— Ernst! — wykrzyknąłem, śmiejąc się przez łzy. — Ernst!

Jego ręka uniosła się powoli i spoczęła na moim przedramieniu.

Dusząc się niemal z emocji, zacząłem jechać, przy czym udało mi się ruszyć bez większych wstrząsów.

Przez kwadrans prowadziłem samochód w głębokich koleinach, zerkając co jakiś czas na przyjaciela.

W zależności od natężenia bólu jego ręka ścisnęła raz mocniej, raz słabiej moje przedramię. Charczenia Ernsta, których w końcu nie byłem w stanie już zrozumieć, zagłuszały chwilami odgłos pracującego silnika.

Pociągając nosem z płaczu, zacząłem modlić się bez sensu, mówiąc wszystko, co przychodziło mi do głowy.

— Ratuj go, ratuj go! — powtarzałem nieustannie. — Jeśli Bóg istnieje, niech coś uczyni. Boże, ratuj Ernsta! Okaż swe istnienie! On w Ciebie wierzył. Ratuj go! — krzyczałem jak oszalały.

Lecz Bóg, nieczuły na moje błagania, nie wysłuchał tych prośb. Znajdujący się w kabynie szarej ciężarówki zagubionej gdzieś w głębi Rosji mężczyzna i młodzieniec toczyli rozpaczliwą walkę. Mężczyzna walczył ze śmiercią, a młodzieniec z rozpaczą, jakże bliską śmierci. Byli teraz sam na sam z nieubłaganym wrogiem, a Bóg, czuwający nad wszystkim, nie wykonał najmniejszego gestu. Na skutek straszliwej rany umierający oddychał z trudnością. Z ust wydobywały mu się okropne, krwawe płaty zmieszane ze śliną.

Przez głowę przelatywały mi tysiące myśli. Rozważałem różne możliwości: zawrócić, szukać tam pomocy, za wszelką cenę, nawet pod groźbą użycia broni; zmusić chłopaków, których wiozłem, aby udzielili Ernstowi pomocy. Rozważałem nawet możliwość zabicia Neubacha, ażeby oszczędzić mu cierpienie. Doskonale wiedziałem, że jestem do tego niezdolny. Jeszcze nigdy nie strzelałem do człowieka z bezpośredniej odległości.

Łzy wyschły mi na policzkach. Spływając po zabrudzonej twarzy, zostawiły na niej dwie jasne smugi, zdradzające moją niedawną słabość. Nie płakałem już. Nieruchomym wzrokiem patrzyłem na znajdujący się dwa metry przede mną korek chłodnicy, zdający się stopniowo wnikać w niekończący się horyzont. Od czasu do czasu ręka Ernsta wyprężała się na moim przedramieniu, a wtedy znów ogarniała mnie panika. Nie byłem już w stanie spoglądać na jego twarz. Napawała mnie przerażeniem. Na tle pochmurnego nieba pojawiło się kilka niemieckich samolotów. Uniosłem się na siedzeniu, by do nich zawołać. Kiedy panika nie pozwala myśleć racjonalnie,

człowiek zaczyna liczyć na telepatię. „Przecież to mogą być rosyjskie samoloty” — pomyślałem. — „To nic. Nie mam ani chwili do stracenia”. Zdanie to było jak najbardziej aktualne. Tak oto w czasie wojny wyrażenia nabierają właściwego, dosłownego znaczenia. Ręka Ernsta ścisnęła mi kurczowo ramię. Ucisk trwał... trwał... trwał tak długo, że aż zwolniłem pedał gazu. Zatrzymałem się, tknięty najgorszymi przeczuciami. Odważyłem się spojrzeć na jego okaleczoną twarz. Mętny wzrok przyjaciela zdawał się patrzeć na coś, co żywym istotom nie jest dane dostrzec. Wydawało się, że oczy Ernsta zaszyły jakąś osobliwą powłoką. Czując ból serca, które kołatało jak szalone, nie mogłem pogodzić się z tym, czego z łatwością się domyślałem.

— Ernst! — wrzasnąłem ponownie.

Z tyłu ciężarówki odezwały się jakieś głosy.

Szarpałem ciałem kolegi. Błagałem niebios o jakąkolwiek reakcję. Oparty o przeciwległe drzwiczki tułów przyjaciela kołysał się rytmicznie...

— Nie żyje! ERNST! NIE ŻYJE! Nie żyje! Nie żyje! Ernst! Mamo! Na pomoc! On nie żyje... Opanowały mnie jakieś nerwowe drgawki. Zaniepokojony własnym stanem, oparłem się o

drzwi kabiny. Straciłem poczucie rzeczywistości. Chwiejnym krokiem zszedłem z samochodu i usiadłem ciężko na stopniu. Trzymając głowę w dłoniach, całą siłą woli wmawiałem sobie, że wszystko to nie ma sensu, że przeżywam jakiś koszmarny sen i że za chwilę obudzę się, a wokół siebie ujrzę inny horyzont, zniknie już to ciężkie i ogromne niebo, błoto będzie jedynie kałużą przed moim domem, a nie niezmiernym oceanem, nadejdzie wreszcie ktoś, kto mi pomoże, wokół mnie pojawią się rówieśnicy, którzy nie będą w mundurach, a z twarzy ich wyczytam coś innego niż tylko cierpienie i strach. Widziałem w myślach uśmiechniętych, uczciwych ludzi, niemal idealne istoty, oglądane oczyma siedemnastoletniego młodzieńca, który przeżywać musi to, co wielu dojrzałym mężczyznom niełatwo byłoby znieść. Nie mając okazji poznać, co to jest zgoda między ludźmi, wychodząc z wieku dziecięcego bez sprecyzowanych poglądów, ciągle jeszcze żyłem w świecie iluzji.

Wiedziałem, że musimy przetrwać te ciężkie chwile, by móc w końcu zaznać szczęśliwego życia. Tak przynajmniej mówił nam nasz Fuhrer, Adolf Hitler. Nic z tego się nie spełniło. Niech spoczywa w pokoju. Nie żywię do niego większej urazy niż do wszystkich innych przywódców tego świata. On przynajmniej ma ten przywilej niepewności, ponieważ nie dane mu było stworzyć nowego porządku po zwycięstwie. Natomiast ci, którzy budowali jakże kruchy pokój na wszystkich kontynentach; ci, co podszyci niczym nie usprawiedliwionym strachem, szermując hasłami postępu, umożliwili głupcom tego świata wywoływanie niemal wszędzie konfliktów zbrojnych, ci właśnie mogą być sądzeni.

Handlarze godni stryczka! Nie mogą już sprzedawać czarnuchów, wynaleźli prawie tak samo dochodowy interes, sprzedając teraz białych czar-
nuchom! A wszystko to w otoczce obłudnej polityki starej kutwy, polityki bez własnego zdania.

Może to kiedyś obróci się przeciw nim? Nigdy nic nie wiadomo. Hitler i Mussolini mieli inny styl. Potrafili przeciwstawić się dawnym konwenansom i potentatom wszelkiej maści: przemysłowcom, masonom, Żydom, klechom. W tamtych czasach wszystkie te płaszczące się, gnuśne indywidua umierały ze strachu, patrząc na swoją kiesę, z której dyrygent Hitler czerpał pełnymi garściami. Oczywiście skręcało ich ze złości, kiedy widzieli, jak wszystkie te pieniądze trwonione są na budowę wielkiej opery. Dlatego też strachliwi i tchórzliwi widzowie wspięli się na scenę i uciszili reżyse-ra-marnotrawcę. Ale nie dane im było zaznać spokoju. Cały czas mają pietra. Są zdani na łaskę pierwszego lepszego dyrygenta, czarnego albo żółtego, który może z nimi zatańczyć inaczej. Lecz taniec ten nie będzie europejski, a oni nie będą tego w stanie pojąć.

Trzymając głowę w dłoniach, nie myślałem jeszcze wtedy o wszystkich tych nieszczęściach, którym nie będzie można zapobiec. Wyobrażałem sobie, jak będzie wyglądało moje przebudzenie, kiedy nie będę już świadkiem tej koszarnej sytuacji, w jakiej zginął mój nieszczęsny przyjaciel. Niestety! Szeroko otwartymi oczami patrzyłem na wstrętą kałużę, gdzie niknęły moje zabłocone buty. Ta mętna powierzchnia marszczyła się czasem od podmuchu wiatru. Owe zmarszczki na wodzie były niczym grymas na twarzy i po raz pierwszy skojarzyły mi się z ludzkim śmiechem, śmiechem jakże często idiotycznym i bez sensu, fałszywym śmiechem. Całkowicie się już przebudziłem...

Mój koszmar okazał się rzeczywistością.

Z tyłu ciężarówki wychyliły się dwie głowy. Padło jakieś pytanie, którego nie dosłyszałem. Wstałem z miejsca i obróciłem się. Zrobiłem kilka kroków. Znów chciałem poczuć ciężar wojskowych butów, szorstkość tkaniny na skórze, a nade wszystko pragnąłem otrząsnąć się z letargu, w jakim się znajdowałem.

Te kilka ruchów pobudziło we mnie trochę wiary w sens dalszego istnienia. Pomyślałem, że wszystko to nie jest aż tak ważne, że jest to po prostu ciężka chwila, że trzeba się uśmiechnąć i zapomnieć. Uczepiłem się kurczowo tej myśli. Uczyniłem wysiłek, by na mej wycieńczonej od zmęczenia i rozgoryczenia twarzy pojawił się choć cień uśmiechu. Z ciężarówki wysko-

czyło dwóch rannych, aby udać się za potrzebą. Patrzyłem na nich martwym wzrokiem. Wojenna rzeczywistość oddalała ode mnie ciemne chmury przesłaniające mi świat. Uczępiłem się kurczowo myśli, że wszyscy niemieccy żołnierze walczący na froncie rosyjskim popędzą nam na pomoc, że coś musi wreszcie zmienić bieg wypadków. Nagle zacząłem myśleć o Francji i Francuzach...! Tak, Francuzi szli nam na pomoc. Pisała o tym frontowa prasa. Pierwsi legionieści francuscy śpieszyli nam na odsiecz. Byłem tego pewien! Widziałem ich przecież na zdjęciach.

Poczułem przebiegającą przez ciało falę ciepła. Ernst zostanie pomszczony. Przecież ten nieborak nie był nawet zdolny zabić muchy! Cały czas starał się zbudować jak najsuchsze pomieszczenia dla drżących z zimna chłopaków. A ta jego instalacja prysznicowa! Francuzi już nadchodzili... Skoczę im z radości na szyję. Ernst, przecież kochałeś Francuzów jak rodaków! Na szczęście dla mnie tego entuzjazmu nie była w stanie osłabić smutna rzeczywistość, której wtedy nie byłem świadom. Otóż nie wiedziałem, że Francuzi prowadzili całkiem inną grę.

— Co się dzieje? — spytał facet w szarym opatrunku zsuwającym mu się na oczy. — Nie mamy paliwa?

— Nie — odparłem. — Zabili mojego towarzysza. Podeszli obaj do szoferki.

— Cholera, to niedobrze. Ale za to długo nie cierpiał. Wiedziałem, że agonia Ernsta trwała dwadzieścia minut. — Trzeba go pochować — dodał drugi.

We trójkę znieśliśmy zeszywniałe już niemal ciało. Zachowywałem się jak automat; moja twarz nie wyrażała jakichkolwiek uczuć. Dostrzegłem niewielki wzgórek, gdzie ziemia wydawała mi się mniej twarda. Tam też poprowadziłem orszak żałobny.

— Co jest? Dokąd nas prowadzisz?

— Tam! — odpowiedziałem nerwowym głosem.

Nie zdołaliśmy w tej cholerycznej ciężarówce znaleźć żadnej łopaty. Odrzucaliśmy miękką ziemię hełmami, kolbami, rękoma... Dół nie był głęboki — miał zaledwie czterdzieści centymetrów. Osobiście zabrałem dokumenty i przedmioty, jakie Ernst Neubach miał przy sobie. Faceci zaczęli wrzucać ziemię do dołu, ugniatając ją butami. Po raz ostatni rzuciłem okiem na straszliwie poharataną twarz przyjaciela.

Od tamtego dnia uodporniłem się psychicznie i tak już zostało. Już nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Podobnie jak na innych grobach, na mogile Ernsta pojawił się zwykły kij z zawieszonym hełmem. Udało mi się bagnietem wykonać w drewnie nacięcie, w które włożyłem kartkę wyrwaną z notatnika przyjaciela. Kawalkiem ołówka napisałem na niej po francusku to oto naiwne zdanie:

Icij'ai enterre mon ami Ernst Neubach!

Po czym, aby znów nie ogarnęło mnie wzruszenie, odwróciłem się gwałtownie i pobiegłem do samochodu.

Ruszyliśmy w drogę. Któryś z rannych zajął miejsce Ernsta. Facet o nieciekawej twarzy prawie natychmiast zasnął za kierownicą. Po dziesięciu minutach silnik zaczął przerywać, po czym zgasł na dobre. Nagły wstrząs obudził przygłupa.

„Tu pochowałem mojego przyjaciela Ernsta Neubacha” (franc. - przyp. tłum.)

— Silnik kaputt? — spytał.

— Nie — odpowiedziałem drwiącym tonem. — Nie ma benzyny. — Kurwa! No to co teraz zrobimy?!

— Pójdziemy piechotą. Przy tak pięknej pogodzie będziemy mieli wspaniały spacer.

Najzdrowsi pomogą najciężej rannym.

Po śmierci przyjaciela stałem się cyniczny. Byłem niemal szczęśliwy, że również inni doświadczają cierpień. Facet zaprezentował swoje ryło, mierząc mnie spojrzeniem od stóp do głów.

— Nawet o tym nie myśl. Wszyscy trzęsiemy się od gorączki!

Szczególnie nie mogłem znieść widoku jego gęby. Ten wieprz chyba nigdy nie zadawał sobie żadnych pytań. Wysłano go na wojnę i musiał ją zaliczyć, nie zastanawiając się, jaki to wszystko ma sens. Później dostał ruskim pociskiem prawie w sam nochał i został oszpecony odłamkami. Jestem pewien, że tylko to zdołało do niego dotrzeć podczas całej tej wojennej pozozi. Od tego czasu przysypiał i żarł sulfamidy, którymi go leczono.

— No to zostanie pan tutaj, czekając na pomoc albo na Ruskich. Ja stąd spieprzam.

Podbiegłem do tylnej klapy ciężarówki i otworzyłem ją natychmiast. W dwóch słowach wyjaśniłem sytuację. Z samochodu dochodził nieprzyjemny zapach. Nieboracy byli w oplakany stanie. Niektórzy nie słyszeli nawet, co mówię. Przez chwilę było mi wstyd, że potraktowałem ich tak obcesowo. Ale cóż można było innego zrobić? Uniosło się siedmiu lub ośmiu wynędzniałych żołnierzy. Mieli nieprawdopodobnie zmęczone twarze. Zapadnięte policzki pokrywał gęsty zarost. Oczy błyszczały od wysokiej gorączki. Stropiony po raz kolejny, nie śmiałem już nalegać, aby szli piechotą. Gdy zeszli z ciężarówki, zaczęli wymieniać uwagi na temat pozostałych.

— Nie ma sensu ich zabierać — mruknął jeden z nich. — Idźmy, nie uprzedzając ich. Tak będzie lepiej. Może nadejdzie jakaś pomoc. Za nami jest jeszcze wojsko.

Nasza, pożałuj Boże, karawana wyruszyła w drogę. Nie mogłem jednak zapomnieć o umierających, zostawionych w samochodzie. Mój Boże, cóż mogliśmy innego zrobić?

Miałem jednego zdrowego i uzbrojonego żołnierza. Zaproponowałem karabin Neubacha, lecz nikt nie chciał brać takiego obciążenia. Po jakimś czasie nadjechał uwalany błotem motocykl z przyczepą. Byli to dwaj żołnierze z oddziałów pancernych. Zatrzymali się, mimo że wcale do nich nie wołaliśmy. Poczciwi chłopaki. Jeden z nich ustąpił miejsca utykającemu żołnierzowi, wziął swój sprzęt i postanowił, że dalej pójdzie z nami. Motocykl zabrał ostatecznie aż trzech rannych.

Rzutki i sympatyczny chłopak (czyż nie przez swój wspaniałomyślny gest?) maszerował koło mnie. Nie poznałem nawet jego imienia. Podjęliśmy oczywiście długą rozmowę.

Dowiedziałem się, że ofensywa rosyjska przybrała na sile i na tych rozległych obszarach w każdej chwili grozi nam okrążenie ze strony sowieckich jednostek zmotoryzowanych. Po raz kolejny

przełknąłem ślinę... Ten wysoki chłopak sprawiał wrażenie pewnego siebie i zdawał się wierzyć w naszą armię.

— Niedługo przejdziemy do nieustającej ofensywy. Jest już wiosna. Odeprzemy bolszewików za Wołgę i Don.

Jakże miło jest usłyszeć tak entuzjastyczne i pełne wiary słowa, kiedy samemu myśli się, że już wszystko stracone. Niebiosy zesłały mi tego żołnierza, by podnieść mnie na duchu.

Wolałbym, oczywiście, by Neubach żył nadal, trzeba jednak w pokorze okazywać wdzięczność Opatrzności za to, co jest. A poza tym, to ja miałem prowadzić samochód, a nie Ernst!

Pod wieczór doszliśmy do jakiegoś gospodarstwa stojącego w szczerym polu.

Zastanawialiśmy się, czy w ogóle tam wchodzić, ponieważ tego rodzaju budynki stanowiły często schronienie dla partyzantów. Mogli zresztą wybierać tylko te same miejsca co my, gdyż dla każdego walczącego widok dachu zawsze jest jakimś azylem.

Wysoki Niemiec wysunął się na czoło, trzymając w dłoni pistolet maszynowy, po czym zniknął w czeluściach budynku. Przez chwilę staliśmy niespokojni. Po chwili pojawiła się jego sylwetka. Chłopak skinął, byśmy poszli za nim. W gospodarstwie mieszkała grupa Rosjan. Ludzie ci przygotowali jak najwygodniejsze miejsca, by mogli tam położyć się ranni, już skrajnie wyczerpani. Kobiety podały nam nawet ciepły posiłek. Wszyscy ci Rosjanie mówili, że są przeciwnikami komunizmu. Zostali deportowani z okolic Witebska, gdzie mieli niewielkie gospodarstwo. Teraz, zgodnie z gospodarką planową, wspólnie z „towarzyszami” z

sąsiedztwa zarządzali wielkim kołchozem, gdzie właśnie się znajdowaliśmy. Bardzo często — jak powiadali — udzielali schronienia niemieckim żołnierzom. Trzymali zresztą w ukryciu pozostawioną przez jakiś pluton amfibię, oficjalnie niesprawną. Ponoć partyzanci nigdy nie ośmielili się do nich zaglądać. Wiedzieli, że bardzo często przebywali tam żołnierze Wehrmachtu. Towarzyszący mi chłopak nieufnym wzrokiem skwitował temat amfibii. Może Rosjanie kłamali? Przecież z powodzeniem mogli ją ukraść Niemcom. Wyprowadziliśmy pojazd na drogę. Udało się włączyć silnik, lecz nie działał żaden bieg.

— Jutro rano naprawimy — rzucił młodzieniec. — Musimy odpocząć. Pierwszy trzymam wartę. Zastąpisz mnie przed północą.

— Wystawiamy wartę? — spytałem zdziwiony.

— Oczywiście. Nie można im ufać. Wszyscy Rosjanie to kłamcy.

Nieźle się zapowiadało! Mieliśmy spędzić kolejną niespokojną noc.

Wszedłem w głąb ciemnej szopy. Wałały się tam worki, wielkie pęki słonecznikowych łodyg, liny, deski. Wymościłem sobie z tego wszystkiego poślanie. Miałem właśnie zdjąć buty, gdy mój towarzysz powstrzymał mnie.

— Nie rób tego. Jutro rano nie będziesz mógł w nich chodzić. Muszą wyschnąć na nogach. Chciałem odpowiedzieć, że od wilgotnych butów mam mokre stopy, nie odezwałem się jednak. Jaka różnica czy wilgotne są moje nogi, czy buty. Jaka różnica... Ja sam byłem przemoczony, brudny i tak bardzo zmęczony...

— Możesz umyć nogi. Dobrze ci radzę. Jutro poczujesz się świeży i wypoczęty.

Cóż to był za facet! Oczywiście on też był brudny i zabłocony, ale z całej jego postaci emanowała energia i silna wola. Wydawało się, że nic nie jest w stanie tak na serio go załamać.

— Jestem zbyt zmęczony — odpowiedziałem.

Mój towarzysz zaśmiał się tylko.

Zwalilem się od razu na poślanie. Byłem tak zmordowany, że czułem ból ramion i szyi. Przez pewien czas leżałem z otwartymi oczami. Coś nie dawało mi spokoju. Ogarnął mnie jakiś dziwny strach. Znajdujące się nade mną zakurzone belki niknęły w ciemnościach. Sękaty świat zawirował przed oczyma i momentalnie rozpląnął się w kamiennym śnie. Wyczerpany, spałem tak chyba bardzo długo, leżąc jak kamień i nie mając koszmarnych snów. Jedynie zbyt szczęśliwi ludzie miewają koszmary, kiedy za bardzo się najedzą. Ludziom, dla których sama rzeczywistość jest koszmarem, sen jawi się jako czarna, nieprzenikniona otchłań, zagubiona w czasie niczym śmierć.

Moją otepiałą głowę musnął powiew powietrza. Uniosłem ją powoli. Boże święty! Było już jasno! Przez wielkie wrota wpadało światło dnia, oświetlając wnętrze. Przy wejściu do szopy, u stóp wielkiego kufra mój towarzysz spał jak suseł. Zerwałem się, jak oparzony, myśląc, że może nie żyje. Nauczyłem się, że między życiem a śmiercią nie ma ścisłych granic, że trzeba tak niewiele, by człowiek przeszedł z jednego stanu do drugiego i niemal nikt tego nie dostrzeże.

W świeżym powietrzu poranka rozległy się odgłosy eksplozji. Podeszedłem do kolegi i potrząsnąłem nim energicznie.

— Hm — zamruczał jak pijany, któremu zadaje się jakieś pytanie.

— Obudź się! — krzyknąłem.

Chłopak zerwał się na równe nogi. Sen uszedł w jednej chwili. Wykonując nieskoordynowane ruchy, usiłował znaleźć swój pistolet maszynowy. Przestraszyłem się niemal.

— Tak... Co jest? — zapytał. — Teuffell To już jasny dzień! Usnąłem na warcie. Boże!

Miał tak wściekłą minę, że nie odważyłem się śmiać. Niemniej, przez brak czujności, mogliśmy obaj wyspać się do woli. Chłopak momentalnie skierował broń na wrota. Zanim jeszcze zdołałem się obrócić, usłyszałem głośnie: Kamaradl W bramie pojawiła się sylwetka

jednego z goszczących nas Rosjan.

Kamaradl — powtórzył po niemiecku. — Dziś rano niedobrze. „Bum— bum” niedaleko! Wyszliśmy z szopy. Na znajdującym się przed nami niewielkim płaskim budynku zgromadzili się wszyscy Rosjanie z kołchozu i obserwowali horyzont. „Brauummmmm”! Rozległy się kolejne, długotrwałe wybuchy.

— Bolszewicy niedaleko — rzucił kolejny Ukrainiec, zwracając się do nas. — My pójsć z kamarad soldat German.

— Gdzie nasi ranni? — mruknął mój towarzysz, zmieszany, że zaspał.

— To samo miejsce mieć co wieczorem — odpowiedział z uśmiechem towarzyszący nam Rosjanin. — Dwa kamarad soldat German nie żyć.

Spojrzeliliśmy na niego, zmieszani.

— Chodźcie nam pomóc — rzekł chłopak.

Rzeczywiście umarło dwóch kolejnych rannych. Pozostało ich czterech, w bardzo kiepskiej formie. Jeden z nich, jęcząc, potrząsał prawym ramieniem bez ręki. Jego ropiejący opatrunek przeciekał, zdradzając gangrenę, atakującą już ranę.

— Wykopcie dwa doły — rozkazał wysoki Niemiec. — Musimy pochować tych biedaków.

— My nie wojskowi — odparł stojący przy nas Rosjanin, cały czas się uśmiechając.

— Wy! Kopać grób... Kopać dwa doły! — rzekł z naciskiem chłopak, kierując nagle broń w Rosjanina. — Kopcie dwa doły i to szybko!

Na widok czarnego otworu lufy oczy Rosjanina błysnęły złowrogo. Rzucił kilka słów w ojczystym języku, po czym wszyscy zabrali się do roboty.

Przystąpiliśmy właśnie do zmiany opatrunków, gdy na podwórzu rozległ się huk silników.

Natychmiast wyskoczyliśmy na zewnątrz, by zobaczyć, co się dzieje. Pojawiło się kilka transporterów opancerzonych. Zaczęły z nich wyskakiwać grupy niemieckich żołnierzy.

Wszyscy popędzili do wielkiego wodopoju dla bydła. Niebawem nadjechało kilka czołgów Mark-4. Ze steinera wyskoczył oficer, po czym skierował się do miejsca, gdzie zajmowaliśmy się rannymi. Wybiegliśmy naprzeciw, by się przedstawić.

— Alles gut — odpowiedział kapitan. — Pomóżcie w załadunku. Pojedziecie z nami.

Usiłowaliśmy uruchomić cholerną amfibię. Nic z tego. Chyba spieprzone było sprzęgło.

Wypchnęliśmy ją z szopy. Jakiś żołnierz wrzucił granat do silnika, który eksplodował.

Nadjechały kolejne pojazdy, a inne odjeżdżały w kierunku, skąd tamte się pojawiły.

Niezrozumiałe było to wszystko. Z południowego wschodu cały czas dochodziły odgłosy niezbyt odległej kanonady. Po chwili drogą w pobliżu kołchozu przetoczyła się cała masa ciężarówek i innych pojazdów. Niektóre z nich zatrzymały się. Wypytywałem o swoją jednostkę, jednak nikt o niej nie słyszał. W każdym razie moi koledzy z 19. Kompanii Transportowej musieli odjechać jeszcze bardziej na zachód, oddalając się od frontu, na którym miałem się znaleźć.

Niebawem również jechałem w tym kierunku w towarzystwie żołnierzy z różnych jednostek piechoty. To, że znalazłem się w takiej grupie, trzydzie-

ści godzin później miało przysporzyć mi niemało kłopotów. Posuwaliśmy się równolegle do linii frontu, a rosyjska ofensywa rozwijała się prostopadle do naszej trasy. Na dalekiej północy ruszyło kolejne natarcie w kierunku południowym, mające na celu okrążenie niemieckich wojsk znajdujących się jeszcze w trójkącie Woroneż — Kursk — Charków.

Przez półtorej doby posuwaliśmy się błotnistą drogą, a jedynym utrudnieniem były przeszkody natury technicznej. Mieliśmy ten sam sprzęt, który pamiętał niemiecką ofensywę w Rosji 1941 roku, toteż był już mocno wyeksploatowany. Musieliśmy porzucić w drodze sporo ciężarówek, traktorów

i czołgów.

Szczególne straty ponieśliśmy w czołgach, a to z powodu najrozmaitszych zadań, do jakich zasadniczo nie były przeznaczone. Przez całą zimę jedynie one były w stanie przemieszczać

się w miarę normalnie. Nierzadko zdarzało się, że holowały nawet do pięciu ciężarówek po drogach, którymi mogły co najwyżej poruszać się muły. Dlatego też, kiedy musiały stawić czoła rosyjskiej kontrofensywie, ich szybkość i zwrotność, jakże przydatne dotychczas, na skutek zbytnej eksploatacji tych pojazdów, okazały się niewystarczające w porównaniu ze słynnymi T-34, zdecydowanie górującymi nad czołgami Mark-2 i Mark-3. W okresie późniejszym pojawiły się Tygrysy i Pantery, które stawiały czoła sowieckim czołgom T-34 i KW 85, bawiąc się z nimi w kotka i myszkę.

Niestety, z powodu ich niedostatecznej ilości (podobnie zresztą było w przypadku lotnictwa) musiały ulec nieprzyjacielskiej nawałnicy obejmującej dwa fronty. Ta ruchoma forteca rozpościerała się na szerokości trzech i pół tysiąca kilometrów. Wystarczy tylko jeden przykład: podczas walk nad Wisłą na północ od Krakowa dwadzieścia osiem tysięcy niemieckich żołnierzy, wspomaganych przez trzydzieści sześć Tygrysów i około dwadzieścia Panter, stawiało czoła dwóm armiom sowieckim w sile sześćset tysięcy ludzi i siedmiu pułków pancernych liczących tysiąc sto czołgów różnych typów.

Następnego dnia około południa zbliżyliśmy się do niewielkiej miejscowości leżącej mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Charkowa. Nazywała się Ubtenni albo Uczeni. Jeszcze długo pamiętałem kształt rosyjskich liter składających się na tę nazwę, dziś jednak rozmywa mi się ona w pamięci i nic na to nie poradzę. W każdym razie miejscowość ta kojarzy mi się z dymami i pożarami. Wnioskując z dochodzącej kanonady, toczyły się tam zacięte walki i trwały nadal, kiedy zbliżaliśmy się do niej.

Na czoło kolumny wysunął się oficerski steiner, który dołączył do nas w kołchozie, natomiast żołnierze zeskoczyli z pojazdów. Widoczne na południu, w odległości około dwóch kilometrów, pasmo nieregularnych błysków oznaczało linię ognia. Wydawało nam się, że za nami, czyli na południowym wschodzie, trwały też inne walki. Towarzyszący mi żołnierze albo sikali w pobliskim zagajniku, albo coś przegrzali ze zrezygnowaną i znudzoną miną. Przez wszystkie lata wojny obserwowałem zachowanie walczących, lecz nigdy nie spotkałem się z taką obojętnością w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Ale również ja usiłowałem zachowywać się tak samo, by ukryć zdenerwowanie. Może z innymi było podobnie? Steiner powrócił, po czym dwóch podoficerów zapisało na kartkach nasze nazwiska. Następnie podzielono nas na piętnastoosobowe grupy. Każdą z nich dowodził podoficer lub obergefrajter. Wreszcie kapitan stanął na siedzeniu stei-nera i wygłosił krótkie przemówienie zagłuszane pobliskimi detonacjami. Facet nie owijał niczego w bawełnę.

— Nieprzyjaciel odciął nam drogę odwrotu. Aby go ominąć, musielibyśmy skierować się na północ, podążając grząską równiną, gdzie nie ma żadnych dróg. Manewr ten mógłby dla nas okazać się tragiczny. Musimy więc przebić się przez blokadę i dotrzeć do naszych nowych pozycji, znajdujących się niedaleko stąd.

W miarę jak przybywać będą kolejni żołnierze naszej Armii „Don”, kierować ich się będzie do utrzymania tego przejścia, co pozwoli wszystkim żołnierzom uniknąć bolszewickiego okrążenia. W należyтым porządku dotrzecie do pozycji, które się wam wskaże i które będziecie utrzymywać aż do nowych rozkazów. Powodzenia! Heil Hitler!

Tyle mniej więcej zdołałem zrozumieć. Chciałem oczywiście oświadczyć, że przydzielony jestem do służb transportowych, lecz nagle zrobiło mi się wstyd. Otworzono skrzynie z amunicją i każdy z nas został w nią zaopatrzony, jak należy. Miałem pełne kieszenie i ładownice. Poza tym dostałem dwa granaty obronne, z którymi jednak nie umiałem się obchodzić. Posuwając się gęsiego, zbliżyliśmy się do wioski, gdzie nieprzyjacielskie pociski wzniecały kolejne pożary.

Wśród ruin uwijały się grupy żołnierzy; inne zajmowały się licznymi rannymi. Ze zniszczonych pojazdów niemieckich wydobywał się dym. Nie widać było ani jednego cywila. Dowództwo nad nami objął jakiś porucznik. Za oficerem podążyło pięć lub sześć grup

żołnierzy. Szliśmy długą ulicą, która prawie w ogóle nie ucierpiała od walk. Rozległ się gwizd przelatujących pocisków. Rzuciliśmy się na ziemię. Salwa uderzyła w sam środek wioski, jakieś siedemset — osiemset metrów za nami. Nieprzyjacielskie pociski wyłobowały liczne leje na pozbawionej chodników, bitej drodze przylegającej bezpośrednio do budynków. Gdzieś leżały na niej poharatane ciała zabitych Niemców.

Mniej więcej przez kwadrans poruszaliśmy się wzdłuż murów, aż usłyszeliśmy wyraźny odgłos broni maszynowej. Sto pięćdziesiąt metrów przed nami uderzyła w jezdnię salwa moździerzowa. Zawahaliśmy się przez chwilę. W obłokach kurzawy wzniesionej przez ogień nieprzyjaciela pojawiły się biegnące sylwetki.

— Achtung! — ryknął porucznik.

Padliśmy momentalnie na ziemię albo przykucnęliśmy wśród gruzów, gotowi do otwarcia ognia. Kiedy zauważyliśmy żołnierzy w niemieckich mundurach, unieśliśmy się nieco z miejsca. Chłopaki podbiegali, chcąc do nas dołączyć. W wirującym kurzu pojawiali się kolejni żołnierze. Niektórzy wrzeszczeli do utraty tchu. Krzyki te były nie do opisania: wyrażały strach, wściekłość i ból.

Śledziłem wzrokiem jakiegoś faceta bez broni; usiłował biec, kurczowo ściskając rękami prawe udo. Upadł na ziemię, wstał, po czym przewrócił się ponownie. Pojawiło się dwóch kolejnych żołnierzy idących wolno chwiejnym krokiem. Usłyszałem, jak ktoś krzyknął po francusku: „do mnie”!

Wytrzeszczyłem oczy, by dostrzec w tym tumultie osobę mówiącą tym samym językiem co ja. W uciekinierów trafiła kolejna salwa, powalając z dziesięciu żołnierzy.

Dwóch z nich w dalszym ciągu usiłowało dobiec do nas, mimo że przemieszczanie się groziło wielkim niebezpieczeństwem. Rzucili się na jakieś drzwi, które ustąpiły momentalnie. Stojąc w nich, klęli po francusku na całe gardło.

Oślupiały ze zdumienia, zapominając o grożącym mi niebezpieczeństwie, rzuciłem się w poprzek ulicy w ich kierunku. Wpadłem na nich jak burza, roztrzając ich niemal, nim jeszcze zdążyli mnie zauważyć.

— Hej! — zwróciłem się do jednego z nich, szarpiąc jego oporządzeniem. — Jesteście Francuzami?

Odwrócili się równocześnie, omiatając mnie krótkim spojrzeniem. Obaj uporczywie wpatrywali się w głąb ulicy, gdzie kłęby kurzawy mieszały się z dymem palącego się domu.

— Nie! Dywizja „Walonia” — odpowiedział stojący bliżej mnie, nie odwracając wzroku od zasnutego dymem horyzontu.

Eksplodje, które teraz nastąpiły, były tak silne, że zmrużyliśmy oczy i wtuliliśmy głowy w kołnierze.

— Te gnoje strzelają do nas jak do zajęcy. Nie biorą żadnych jeńców. Gnoje! — rzucił.

— Jestem Francuzem — rzekłem, uśmiechając się niepewnie.

— No to uważaj na siebie. Nie biorą jeńców spośród ochotników.

— Ale ja nie jestem ochotnikiem!

Przez ulicę przetoczyła się w naszym kierunku kolejna salwa z moździerzy. Dwadzieścia metrów przed nami rozwaliło dach. Moją rozmowę z dwoma Belgami przerwał gwizdek wzywający do odwrotu. W największym pośpiechu wycofywaliśmy się tą samą drogą, którą przybyliśmy. Za nami rozległa się seria z karabinu maszynowego. Dwóch lub trzech niemieckich żołnierzy zatoczyło się dookoła własnej osi, wydzierając się jak zarzynane zwierzęta. Niemal zdeptaliśmy w biegu dwóch ludzi z obsługi spandau; nie byli w stanie prowadzić ognia, gdyż zasłaniał im widok.

Gromadki naszych żołnierzy dotarły do biegnącej prostopadle ulicy, po czym rozproszyły się w ruinach. Porucznik zagwizdał na zbiórkę. Wtem ukazały się dwie szare sylwetki Mark-3.

Czołgi zbliżyły się do porucznika, który stojąc pośrodku ulicy, gestykułował zawzięcie w ich kierunku. Po krótkiej konsultacji czołgi skrzyły w ulicę, opuszczoną przez nas przed chwilą,

i ruszyły w kierunku bolszewików. Porucznik, gestykulując co siłą, usiłował nas przegrupować. Udało mu się to w końcu, po czym ruszyliśmy w ślad za pancernymi kolosami, sunącymi w ulicznym chaosie z ogłuszającym hałasem. Ich działa i karabiny maszynowe ziały nieustannym ogniem. Nie potrafię opisać strachu, jaki mnie ogarnął. Przemierzając się skokami to do rogu budynku, to do kupy gruzów, posuwałem się do przodu przez całe to piekło, nie pojmując, jak ja się tam mogłem znaleźć. Popadłem w jakiś obłąd — nie byłem w stanie ocenić, gdzie powinienem strzelać. Nasze czołgi niknęły niekiedy w wulkanie kurzawy, dymu i ognia, po czym wyłaniały się, cały czas ziejąc ogniem. Wkrótce minęliśmy miejsce, gdzie dotarliśmy poprzednio. Wbiegliśmy na teren otoczony drewnianymi chatami. Pośrodku znajdował się staw. Czołgi otoczyły wodę, miażdżąc wszystko po drodze. Po przeciwnej stronie wyraźnie widać było sylwetki biegnące we wszystkich kierunkach. Błyskawicznie zajęliśmy pozycje nad stawem i otworzyliśmy huraganowy ogień do uciekającego nieprzyjaciela. Z prawej strony pojawiła się kolejna niemiecka kompania, atakując granatnikami budynek, w którym prawdopodobnie umocnił się nieprzyjaciel. Czołgi przemieściły się na przeciwległą stronę stawu, siejąc spustoszenie na zdobytym terenie. Wreszcie i mnie nadarzyła się okazja i z odległości trzydziestu metrów, nie większej, otworzyłem ogień do grupy Rosjan, umykających z budynku atakowanego granatnikami. Do akcji włączyło się z dziesięć mauzerów. Ani jeden Rosjanin nie uszedł z życiem. Fakt, że zdobyliśmy posunąć się naprzód i nagle staliśmy się panami sytuacji, bardzo nas podniósł na duchu. Odrzuciliśmy górującego nad nami liczebnie, jak zresztą wszędzie na terenie Rosji, nieprzyjaciela, co dodało nam skrzydeł. Odgłosy eksplozji, jęki rannych pobudzały nas do masakry Ruskich, sprawców tak wielu cierpień. Atakująca armia zawsze działa z większym entuzjazmem, który potrafi zdziałać cuda. Tak miała się rzecz z armią niemiecką, tworzoną z myślą o działaniach ofensywnych, a system obrony polegał na zahamowaniu nieprzyjacielskiego natarcia poprzez działania kontrofensywne. Kilku żołnierzy przemieszczało zdobyte na nieprzyjacielu półtoracalowe działo, usiłując jak najszybciej wprowadzić je do akcji. Błyskawicznie zorganizowano łączność między naszymi dwoma czołgami a kolegami, którzy po zdobyciu dział skierowali je na nieprzyjaciela, prowadząc precyzyjny ogień. Po odjeździe czołgów broniliśmy już sami zdobytych pozycji nad stawem. Na rozkaz porucznika obsadziliśmy niepewne punkty, by zapobiec wszelkim niespodziankom. Kanonada trwała nadal. Nasz zapał ostudziła nieco przyroda, sprowadzając drobny deszcz; przyjemnił nam pobyt w prowizorycznych kryjówkach. Nadeszła noc. Nadal trwała wymiana ognia. Pod osłoną ciemności nieprzyjaciel zbliżył się do stawu. Nocą ogarnął nas ponownie strach. Strzelanina umilkła. Porucznik wysłał kogoś po rakiety oświetlające. Od czasu do czasu na horyzoncie od południowego zachodu widoczne były błyski i sły-

chać było głuchy odgłos artylerii Trwała w najlepsze trzecia bitwa o Charków, a my, nie wiedząc o tym, znajdowaliśmy się w centrum walk, toczonych w promieniu trzystu kilometrów od miasta. Kiedy nastały zupełne ciemności i zaczął padać deszcz, nasza grupa praktycznie zaprzestała walk. Za nami słychać było odgłosy broni maszynowej. Równocześnie dochodził do nas odgłos niemieckich pojazdów. Pod osłoną ciemności usiłowały pośpiesznie przedrzeć się przez rosyjską blokadę. Nocny odpoczynek nie wchodził w rachubę. W każdej chwili z ciemności mogli wyłonić się Rosjanie. Za nami pojawił się volkswagen z wygaszonymi światłami. Po krótkiej wymianie zdań z dowódcą grupy czterem naszym żołnierzom wydano jakieś płaskie przedmioty. Były to miny. Trupioblade z przerażenia chłopaki otrzymali rozkaz zaminowania brzegów stawu, co miało zapobiec otoczeniu nas przez nieprzyjaciela. Koledzy zanurzyli się w ciemnościach, po czym całkowicie straciliśmy ich z oczu.

Po pięciu minutach rozległ się z lewej strony chrapliwy krzyk. Dopiero po dłuższej chwili dostrzeżliśmy dwóch powracających żołnierzy, wysłanych na prawą stronę. Po upływie pół godziny doszliśmy do wniosku, że dwóch minerów, którzy poszli na lewo, zadźgali Rosjanie. W późnych godzinach nocnych, kiedy morzył nas sen, byłem świadkiem sceny mrozącej krew w żyłach. Właśnie rzuciliśmy z tuzin granatów, ot tak na wszelki wypadek, by zapobiec ewentualnemu niebezpieczeństwu, gdy nagle z okopu po mojej lewej stronie doszedł nas długi, przeraźliwy krzyk. Był to krzyk kogoś, kto rozpaczliwie się broni. Gdy usłyszeliśmy wołanie o pomoc, wyskoczyliśmy z kryjówek. Dziesiątka chłopaków rzuciła się w kierunku, skąd dochodziły krzyki. Ciemności nocy rozświetliły jasne błyski wystrzałów. Na szczęście wszyscy zdołaliśmy dobiec do okopu.

Dostrzeżliśmy przy nim Rosjanina. Na nasz widok rzucił przed siebie rewolwer i „robił kamrata”. Na dnie okopu dwóch mężczyzn toczyło bezlitosną walkę, całkiem jak w filmie. Jeden z nich, Rosjanin, wymachiwał wielkim kordelasem, przytrzymując pod sobą chłopaka z naszej grupy, broniącego się rozpaczliwie. Dwóch naszych zajęło się tym pierwszym Rosjaninem. Zdążył podnieść ręce do góry, natomiast młody obergefrajter wskoczył do dołu i zaczął walić łopatką w kark Rosjanina; ten momentalnie zwolnił ucisk. Zakrwawiony żołnierz, który o mało co nie został zadźgany, jak szalony wyskoczył z okopu. W jednej ręce trzymał zabrany Iwanowi nóż i wymachiwał nim jak opętany, drugą starał się zatamować tryskającą mu z szyi krew.

— Gdzie on jest? — warczał wściekle. — Gdzie jest ten drugi? Kilkoma susami dopadł dwóch naszych kolegów prowadzących jeńca.

Nim żołnierze zdążyli interweniować, zatopił lśniące ostrze w piersi zdumionego Rosjanina.

— Morderca! Ty nożowniku! — wydierał się, rozglądając się dookoła wytrzeszczonymi oczami, w jaki by jeszcze kałdun zadać cios.

Musieliśmy go powstrzymać, by nie wywołał jakiejś awantury poza naszymi stanowiskami.

— Puśćcie mnie! — wrzeszczał, wściekając się coraz bardziej. — Pokażę tym dzikusom, jak się używa noża!

— Zamknijcie się! — krzyknął porucznik, zirytowany, że dowodzi tak niezdyscyplinowanymi żołnierzami. — Włazić mi do okopów, zanim Ruscy was tu nie sprzątną. Banda osłów!

Orszak zamykali dwaj koledzy. Wlekli tego szaleńca, gdyż stracił sporo krwi. Dotarłem do okopu, który zajmowaliśmy w pięciu. Chętnie bym sobie pospał, ale nerwy i zmęczenie nie pozwalały mi zmrzyć oka. Jeszcze całkiem nie opadły emocje dzisiejszego dnia, a poza tym ciągle paraliżował mnie strach.

Od czasu do czasu siąpił deszcz, więc zaczęły przemakać nam mundury. Od znajdującego się przed nami stawu dochodził stęchły zapach. Dwóch chłopaków zaczęło chrapać. Podczas tej niekończącej się nocy ucinałem sobie pogawędki z towarzyszami niedoli, aby nie popaść w nerwicę. Z oddali dobiegał ciągle warkot naszych ciężarówek. Przed świtem nieprzyjaciel wznowił aktywność. Nad naszymi pozycjami rozbłysły rakiety oświetlające, oślepiając nas jasnym i niespodziewanym światłem. Zdumieni, patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Posępne blaski padały na nasze upiorne twarze, a diabelskie światło niedyskretnie omiatało dno naszych szcurzych kryjówek.

O świcie odezwała się nieprzyjacielska artyleria, gradem pocisków najróżniejszego kalibru zasypując w odległości ośmiuset metrów za nami drogę, którą wycofywały się niemieckie kolumny. Odważyłem się wyrzeć za okop i dostrzegłem wychylające się gdzieś tam hełmy zlewające się z otoczeniem. Błyszczące ze zmęczenia oczy uporczywie wpatrywały się w przeciwną stronę, niewyraźnie rysujący się brzeg stawu. Co przyniosą nam najbliższe chwile... ?

Wyskrobałem resztę okruszyn z paczki po witaminizowanych sucharach. Były to moje ostatnie zapasy żywności. Na skutek zmęczenia i niewyspania nie byliśmy w stanie należycie

ocenić sytuacji. Tkwiłiśmy tam przemarznięci i jestem przekonany, że gdyby pojawiła się większa grupa Rosjan, nie bylibyśmy w stanie ich powstrzymać.

Na szczęście nie atakował ani jeden Sowiet. Byliśmy tylko pod ostrzałem mózdzierzowym, który okazał się w końcu skuteczny: rannych zostało dziewięciu kolegów. Wreszcie wzeszło słońce, a jego życiodajne promienie nieco nas ożywiły. Było południe, a my ciągle tkwiłiśmy w kryjówkach. Wiosenne ciepło nie było w stanie ich osuszyć. Nie rozdano nam żadnej żywności. Cóż znaczyły wszystkie nasze cierpienia...? Żołnierz Rzeszy musiał znosić mróz, upał, deszcz; musiał pokonywać ból, głód i strach. Nasze żołądki buntowały się, krew burzyła się w skroniach i najdrobniejszych nawet naczyniach. Cóż znaczyło to wszystko? Również powietrze huczało złowrogo, a także ziemia i cały wszechświat. W miarę, jak skarżyliśmy się na to

wszystko, dochodziliśmy niemal do przekonania, że możemy tak żyć. Najbardziej niesamowitą rzeczą jest to, że wielu z nas tak istotnie żyło. Znam na ten temat tysiąc i jedną historię, jaką mógłbym opowiedzieć. Ja sam uważam je za tak nieprawdopodobne, że waham się o tym pisać. Nikt by mi nie uwierzył.

Około szóstej wieczorem otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia zajmowanych pozycji. Musieliśmy to robić z zachowaniem maksymalnych środków ostrożności. Trzeba było czołgać się z całym ekwipunkiem, pokonując bardzo długi dystans. Za nami dwóch minerów ukradkiem przygotowywało teren na przyjęcie nieprzyjaciela. Kiedy dotarliśmy do najbliższych ruin, mogliśmy wreszcie unieść się z ziemi. Dalsza droga nie była bynajmniej spacerkiem. Niemniej, kiedy tylko było to możliwe, nie wahaliśmy się wchodzić do na wpół zniszczonego domu, aby zdobyć cokolwiek do jedzenia. Pamiętam, jak w mgnieniu oka pożarłem trzy surowe ziemniaki, delektując się ich smakiem.

Doszliśmy do skrzyżowania, skąd dwadzieścia cztery godziny temu odjeżdżały nasze kolumny. Zamiast obu przecinających się dróg, uszkodzonych już poprzedniego dnia, rozciągało się jedno ogromne rumowisko. Jak okiem sięgnąć, pośród resztek domów wałały się dymiące wraki niemieckich pojazdów. Leżały tam liczne, przywalone ziemią, ciała niemieckich żołnierzy zastygłe w bezruchu w oczekiwaniu na kompanię grzebiącą zmarłych. Saperzy niszczyli pojazdy blokujące drogę, która z obu stron nie nadawała się do przejścia. Przez pewien czas dreptaliśmy powoli, niosąc rannych, w tym niewyobrażalnym chaosie. W odległości stu metrów wycofywała się inna grupa, liczniejsza od naszej, również dźwigając broń i ekwipunek.

Posuwaliśmy się za porucznikiem, dochodząc aż do centrum przegrupowania. Oficerowie odeszli stąd, jak się wydaje, dwie godziny wcześniej niż opuściliśmy nasze pozycje. W posiekanych odłamkami budynku, gdzie wcześniej mieściło się dowództwo obrony Uczeni, nie było żywej duszy. Jedyne znajdujący się przed barakiem sierżant na motocyklu zdawał się czekać niecierpliwie na maruderów, by wydać im odpowiednie instrukcje. Odniosłem wrażenie, że otrzymane rozkazy wprawiły porucznika w wściekłość. Tak czy inaczej skierowaliśmy się na zachód.

Pokonaliśmy pieszo około dwudziestu kilometrów. Ciągłe zagrożenie stanowili obserwatorzy rosyjscy, dzięki którym Sowietci prowadzili nieskoordynowany ogień artyleryjski nawet do pojedynczego, wygłodniałego żołnierza. Po wykonaniu kilkudziesięciu szczupaków na wilgotną ziemię, aby uniknąć tysięcy odłamków świszczącego w powietrzu żelastwa, dotarliśmy na teren lotniska połowego opuszczonego już przez „ukrawaconych” facetów z Luftwaffe. Ponieważ nie był nam w głowie chrzest powietrzny, nie mieliśmy najmniejszych pretensji do pilotów. Oni w pełni zasługiwali na szacunek ze strony wielkiego narodu niemieckiego.

Naszym celem były wyłącznie drewniane baraki — takie same, w jakich mieszkaliśmy nad Donem — w których moglibyśmy znaleźć resztki żywności. Dźwigając czterech rannych na prowizorycznych noszach, nasza dzielna grupa skierowała się chwiejnym krokiem (byliśmy

tak wycieńczeni, że nie mieliśmy sił biec) ku obiektowi marzeń. Nie udało nam się tam jednak dojść, gdyż w wyniku sowieckiego ataku straciliśmy sześciu lub siedmiu kolegów. Mijając jakiś bunkier wraz z towarzyszącym mi chłopakiem, zauważyłem leżącego na dnie martwego żołnierza z obsługi naziemnej. Dwa wynędzniałe koty dobierały mu się do ręki. Na ten widok zrobiło nam się niedobrze.

— Wstrętne kociska! — warknął mój towarzysz.

Podeszła cała grupa. Porucznik również nie mógł na to patrzeć, więc odbezpieczył granat i rzucił go do bunkra. Upiorne koty wyskoczyły z dziury i uciekły hen na pole, a siła eksplozji wyrzuciła w górę szczątki nieboszczyka.

— Skoro koty wsuwają trupy — zauważył któryś z żołnierzy — niewiele chyba zostało w spiżarni Luftwaffe!

Pośrodku tej pustyni widoczne były sylwetki dwóch, zapewne niesprawnych, samolotów dwusilnikowych z czarnymi krzyżami. Wysoko na niebie rozległ się warkot i narastał niepokojąco. Nasze wybidzone gęby jak na komendę odwróciły się w tamtym kierunku. Nagle uzmysłowiliśmy sobie, że stoimy pośrodku długiego pasa startowego obok dwóch nieruchomych samolotów, które bez wątpienia przyciągały uwagę.

Nim padł jakikolwiek rozkaz, wszyscy rzuciliśmy się plackiem na ziemię, resztkami sił starając się uniknąć ataku sześciu czarnych punktów spadających na nas jak piorun.

Momentalnie pomyślałem o ziemnym bunkrze, gdzie ucztowały koty. Na ten sam pomysł wpadło sześciu kolegów. W młodości nie powinno się nie doceniać biegów: okazuje się to czasem przydatne w życiu. Ponieważ nigdy nie trenowałem sprintu, dopiero na przedostatniej pozycji dobiegłem do bunkra, gdzie czterech żołnierzy deptało już po resztkach trupa.

Zatrwożony, patrzyłem błagalnym wzrokiem na kotłujących się w betonowej dziurze żołnierzy, mając nadzieję, że jakimś cudem stanie się ona większa. Dwóch kolejnych przerażonych facetów było w tej samej sytuacji co ja. Łudziłem się, żeśmy się pomylili i że były to nasze samoloty... Nie, to było niemożliwe. Miały tak charakterystyczny warkot...

Odgłos potężniał, potężniał... Rzuciliśmy się na ziemię, doskonale wiedząc, czym ryzykujemy na tym kompletnie płaskim terenie. Zamknąłem oczy, trzymając głowę w zeszywniałych dłoniach. Równocześnie z rykiem silników dotarła do mych uszu, które na darmo usiłowałem skutecznie przysłonić, cała seria detonacji. Nad moją głową przetoczyło się istne piekło.

Rozrywające się na ziemi bomby poczułem w głębi całej swej istoty. Wydawało mi się, że umieram. Huragan oddalił się równie szybko, jak się poja-

wił. Niemal nieprzytomny, uniosłem głowę i zobaczyłem, jak grupa nieprzyjacielskich samolotów, łamiąc szyk, wzbija się w jasnoblękitne niebo. Tu i ówdzie koledzy zrywali się z ziemi, pędząc w poszukiwaniu jakiegokolwiek schronienia. Rosyjskie samoloty powracały, utrzymując teraz możliwie jak najściślejszy szyk. Z całą pewnością miały zamiar zaatakować nas od tyłu. Okropne przecucie ścięło mi krew w żyłach. Zacząłem biec jak szalony, czując ostry ból bioder. Starąłem się jeszcze bardziej przyśpieszyć, lecz nie pozwoliło mi na to zmęczenie ostatnich dni. Wydawało mi się, że za nic w świecie nie uda mi się dotrzeć do drogi, którą przybyliśmy. Były chyba na niej koleiny mogące dać jakieś takie schronienie. W ciężkich butach wielokrotnie potykałem się podczas biegu.

Zrozpaczony, przewróciłem się na wilgotną trawę pasa startowego. Czułem instynktownie, że samoloty znów są nad nami. Ziemią wstrząsnęły kolejne detonacje. Ogarnął mnie nieprawdopodobny strach. Brudnymi paznokciami zacząłem drapać ziemię jak ścigany zając, którego jedynym ratunkiem jest schronienie się pod nią. Usłyszałem osobliwy świst. Do mych uszu dotarły odgłosy rozrywającej się dookoła ziemi. Rozległy się przeraźliwe krzyki.

Pomiędzy palcami, którymi zasłaniałem oczy, zamigotały jasne błyski. W tej pełnej napięcia pozycji tkwiłem może dwie, trzy minuty. Wydawały mi się wiecznością.

Gdy wreszcie odważyłem się zerknąć dookoła, zauważyłem oba zniszczone samoloty płonące jak pochodnie. Rosyjskie samoloty zawracały w oddali, by znowu zaatakować. Nadlatywały

teraz z czterech stron. I znów resztkami sił rzuciłem się do panicznej ucieczki — tym razem w przeciwnym kierunku niż poprzednio. Nie potrafię sobie tego dzisiaj wytłumaczyć, ale wtedy drewniane budynki wydały mi się nagle bezpiecznym schronieniem. Nie przebiegłem nawet jednej trzeciej trasy, gdy Rosjanie zaatakowali baraki pociskami. Nim po raz kolejny dałem nura w wilgotną trawę, zobaczyłem, jak wylatują w powietrze. Minęło jeszcze kilka pełnych napięcia chwil, po czym warkot samolotów ostatecznie zamilkł. Ci, którzy mogli, wstawali oszołomieni. Nikt nie był w stanie się odezwać. Patrzyliśmy to na pożary, to na niebo, na którym pojawili się agresorzy.

Obojętnym krokiem minąłem czerwonawe ludzkie szczątki co najmniej dwóch żołnierzy. Porucznikowi nic się nie stało i teraz miotał się, jak wściekły, między leżącymi ciałami. Powoli dochodziliśmy do siebie.

— Kurwa mać — rzucił któryś z żołnierzy. — Jeszcze jeden taki atak, a nic nie zostanie z naszego nędznego plutonu. Ładnie się zaczyna. Zostawili nas tutaj na pastwę losu. Nigdy nie uda nam się powrócić...

— Spokój! — krzyknął porucznik, podtrzymując rannego. — Wojna to nie piknik. Komu on to mówił?! Podeszliśmy do dowódcy trzymającego w ramionach jakiegoś nieboraka, całego we krwi i błocie. Najdziwniejsze było to, że umierający żołnierz śmiał się do utraty tchu. Był to gwałtowny śmiech, dziwny i straszny zarazem. Przez chwilę pomyślałem, że śmieje się z bólu. Nie. Był to demoniczny śmiech wstrząsający jego nabrzmiałą twarzą.

— Das ist der Philosoph — ktoś mruknął.

Nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi na tego faceta. Jego koledzy dodali, że zawsze był przekonany, iż cały i zdrowy wróci do domu. Miał kiepskie szanse, by to się sprawdziło. Próbowaliśmy unieść go we trzech, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Jego śmiech przerywany był słowami; doskonale je rozumiałem i dały mi wiele do myślenia. Jeszcze dziś jestem nimi poruszony. Jego śmiech, o ile dobrze pamiętam, nie był śmiechem szaleńca, śmiechem obłąkanego. Przypominał śmiech osoby, której zrobiono niesamowity kawał i która początkowo dała się nabrać, by w końcu zdać sobie sprawę, że jest to nieprawda. Nikt filozofowi nie zadał żadnego pytania. On sam, w porywach śmiechu i w agonii, kilkakrotnie wyraził się w ten sposób:

— Teraz wiem, dlaczego... Wiem, dlaczego... To idiotyczne... To zbyt proste...

Może udałoby nam się zrozumieć sens tych słów, gdyby nagle nie chlusnęła mu krew ustami. Tak oto odszedł filozof, uleciała jego dusza, a może i źródło mądrości... Długo jeszcze zastanawiałem się nad tymi słowami. Wykopaliśmy sześć lub siedem dołów, by pochować kolejne ofiary nieprzyjacielskich nalotów, po czym padliśmy wyczerpani na ciepły jeszcze popiół, tam gdzie niedawno stały baraki Luftwaffe.

Zapadała już noc, gdy zbudziły nas odgłosy kanonady. Zdawała się towarzyszyć nam uparcie. Byliśmy bardzo głodni i spragnieni. Mimo odpoczynku nie odzyskaliśmy sił; przedstawialiśmy opłakany widok.

Spoglądaliśmy na siebie podejrzliwie. Każdy z nas myślał, że sąsiad trzyma w zanadrzu jeden albo dwa zapasowe suchary i gryzie je potajemnie, zapominając o zasadach koleżeństwa, których uczono nas w Polsce.

Niestety! Wszyscy byliśmy tak samo goli, a gdyby przypadkiem któryś z nas przegryzał coś ukradkiem, nikt nie miałby prawa mieć o to pretensji. Każdy z nas mógł się tak zachować. W nocy, kiedy jak zwykle, odkąd rozpoczęliśmy odwrót znad Donu, horyzont jaśniał od ostrzału artyleryjskiego, doszedł do nas odgłos przemieszczającej się kolumny, siejąc panikę wśród zmordowanych kolegów. Panowały nieprzeniknione ciemności. Cały czas siąpił drobny, nieprzyjemny deszcz. Szliśmy za dowódcą prowadzącym nas Bóg wie dokąd. Nikt się nie odzywał. Musieliśmy jakoś brnąć po tej miękkiej ziemi, toteż resztki energii zużywaliśmy jedynie na to, by poruszać oblepionymi błotem nogami, na skutek zmęczenia odmawiającymi

posłuszeństwa.

Coraz wyraźniej słyszeliśmy odgłos silników, lecz nic nie było widać. Cała grupa zatrzymała się, nasłuchując uważnie. Perspektywa spotkania nocą, w wilgotnym stepie, nieprzyjacielskiej kolumny zmotoryzowanej sprawiła, że jeden z rannych, który szedł za nami, kulejąc, stracił panowanie nad sobą. Wycieńczony nieborak zaczął się trząść i popłakiwać. Wyrzeczając oczy aż do bólu, każdy starał się dojrzeć w ciemnościach czające się niebezpieczeństwo. W końcu porucznik, nie wiedząc już, co robić, odezwał się:

— Możliwe, że przejadą, nie widząc nas. Czy jest wśród was Panzerjager? Sądząc, że to już nasza ostatnia próba obrony, błyskawicznie przygotowaliśmy do akcji jedyny spandau, jaki posiadała nasza niewielka grupa. Na skutek zmęczenia skronie pulsowały mi jak szalone pod ciężkim jak ołów hełmem. Tylko dlatego nie zdawałem sobie na szczęście sprawy z powagi sytuacji. To, że się zatrzymaliśmy, było dla mego zmordowanego i wygłodzonego organizmu jedyną okazją, by choć przez chwilę odpocząć. Wiedziałem, że gdy nabiorę nieco sił, powróci strach, a wtedy nic już nie stracę z mającego nastąpić widowiska...

Pierwsza ciemna sylwetka ze zgaszonymi światłami wydawała się lekkim samochodem. Pomimo wysiłków nie udało nam jej się zidentyfikować. Następnie usłyszeliśmy chrzęst gąsienic. Był to wyraźny, charakterystyczny odgłos, groźniejszy niż cokolwiek innego. Tylko ci, co słyszeli warkot czołgu paraliżujący nieszczęsnego żołnierza frontowego, potrafią wczuć się w atmosferę nie mającą nic wspólnego z defiladą z okazji 14 lipca!

Słyszając te odgłosy, poczuliśmy strach. Niektórzy usiłowali dojrzeć, skąd wyłonią się stalowe monstra, inni, do których i ja się zaliczałem, padli twarzą na wilgotną ziemię, trzęsąc się nerwowo. Trzydzieści metrów przed nami pojawiły się dwie potężne, kołyszące się sylwetki. Gdy w odległości dziesięciu metrów pojawiła się kolejna, ziemia zadudniła, a nam zjeżyły się włosy na głowie. Rozległ się krzyk:

— Die Maltakreuze, mein Gott...! Kamaraden...! Hilfe! Hilfe!

Dla mnie, mówiącego słabo po niemiecku, a rozumiejącego jeszcze mniej, były to okrzyki paniki, wzywające do ucieczki. Zerwałem się na równe nogi i jak nieprzytomny zacząłem uciekać w ciemną noc.

Była to oczywiście jedyna rzecz, jakiej nie należy robić, wszystko jedno w jakiej sytuacji. Ogłuszający warkot czołgów mieszał się teraz z przekleństwami i złorzeczeniami. Niechcący dałem całej grupie sygnał do ucieczki. W końcu jednak wszyscy poderwali się z ziemi i pobiegli w kierunku czołgów, wydzierając się wniebogłosy. Niemniej, kilku ostrożnych nie ruszało się z miejsca, a wśród nich dowodzący nami porucznik. Nieco później zrozumiałem, że nawet przejeżdżające tuż koło nas niemieckie czołgi mogły otworzyć ogień z broni maszynowej, biorąc nas za bolszewików, nie mówiąc oczywiście o czołgach rosyjskich. Kolegom jednak udało się rozpoznać swoich i stalowy kolos zatrzymał się. Tak oto zostaliśmy przygarnięci przez kolumnę czołgów wchodzącą w skład 25. Dywizji Pancерnej generała Guderiana.

Żołnierze ci byli znakomicie wyposażeni i zapewne nie zaznali, jak my, goryczy odwrotu.

Posadzono nas pośpiesznie na czołgi, tam gdzie silnik

Święto narodowe Francji (przyp. tłum.)

wydziela takie ciepło, że nie wiadomo, jak ułożyć tyłek. Nikt z naszych wybawców nie zainteresował się, czy jedliśmy już „kolację”. Dopiero po kilku godzinach, pod ostrzałem rosyjskiej artylerii prowadzącej nieskoordynowany ogień na przedmieścia Charkowa, dostaliśmy tustą, ale za to gorącą zupę, co zostało przyjęte z należyтым nabożeństwem. Po raz pierwszy zobaczyłem potężnego Tygrysa, jak również dwie albo trzy Pantery. Kilka godzin później widziałem też straszliwą nawałę ognia ze słynnych „Organów Stalina”¹, całymi godzinami ostrzeliwujących niemiecką piechotę, która nadludzkim wysiłkiem parła naprzód w rejonie Sławiań-ska i Kiniskowa. Czołgi Guderiana doprowadziły nas aż pod

Charków. Był to rejon toczących się już od tygodnia walk nad Dońcem. Po raz kolejny armia niemiecka zdobyła zniszczony Charków, by ostatecznie wycofać się z niego we wrześniu, tuż po nieudanej kontrofensywie na Biełgorod.

Świt zastał nas na piaszczystych terenach ciągnących się na północny zachód od miasta. Odpowiednie służby miały nas wysłać do macierzystej jednostki. Nie było to łatwe. Mimo najlepszych chęci na ogół nie wiedziały, gdzie te jednostki się znajdują, toteż tworzyły nowe pododdziały składające się z zabłąkanych żołnierzy. Lepiej, żeby się w nich człowiek nie znalazł. Te nie mające żadnego oficjalnego przydziału grupy zasilają lub po prostu uzupełniały figurujące w rejestrach wojskowych jednostki, których rozmieszczenie podawały mapy sztabowe. Żołnierze, pośpiesznie przydzielani do tworzonych prowizorycznie pododdziałów o rozmaitej liczebności, wprowadzali zamęt w administracji wojskowej. Ponieważ w macierzystych jednostkach figurowali jako zaginieni lub polegli, uważano ich za zmarłych. Jednak los chciał, że żyli nadal. Można więc było wykorzystywać te nieoczekiwane posiłki, przy czym żołnierzy tych nie trzeba było organizować, jak należy, gdyż oficjalnie nie istnieli.

I tak oto chłopcy czekali w niekończących się kolejkach, stojąc, leżąc, śpiąc, aż skierowani zostaną do walk w ramach ofensywy charkowskiej.

Dziś jeszcze widzę doniecką dolinę. Jej piaszczyste tereny porośnięte brzozaami rozciągały się dwanaście — piętnaście kilometrów od koryta rzeki. Odgłosy gigantycznej bitwy, której centrum znajdowało się około trzydziestu kilometrów na południe, dochodziły do nas niczym nieustanny grzmot. Ofensywa niemiecka szła od północy i zachodu. Mając zabezpieczone lewe skrzydło na linii Dońca, atakujące oddziały pancerne zrobiły wyłom w opierającej się na artylerii obronie nieprzyjaciela, który przekroczył pośpiesznie Doniec z zamiarem kontynuowania kontrofensywy. Teraz artyleria ta została przyparta do rzeki bez możliwości wycofania się za nią, gdyż po raz kolejny zniszczono mosty. Rosjanie popełnili ten sam błąd, co Niemcy pod Stalingradem. Pragnąc jak najszybciej odeprzeć przeciwnika, bolszewicy zbytnio rozciągnęli swe wojska, nie doceniając sił nieprzyjaciela, gdyż ich zdaniem został już ostatecznie odparty za Charków. Porażka

1 Chodzi o katusze (przyp. dum.)

Rosjan nie mogła oczywiście równać się z naszą klęską pod Stalingradem, niemniej jednak sto tysięcy Rosjan zagnało piekła toczących się przez cały tydzień walk w rejonie Sławiańska i Kiniskowa, z czego pięćdziesiąt tysięcy poniosło śmierć.

Oczywiście, wówczas nie byłem jeszcze w stanie przeprowadzić podobnej analizy. Żołnierz dowiaduje się o wszystkim dopiero kilka miesięcy później. Dla mnie walki nad Dońcem, podobnie jak nad Donem i w rejonie Uczeni, to kłębiące się dymy, nieustanny strach, nagłe ataki i ogłuszający huk tysięcy eksplozji.

Otrzymałem w końcu przydział i wraz z garstką obdartusów czekałem na dalsze rozkazy. Po pewnym czasie jakiś żandarm (ci durnie byli także w służbach specjalnych, gotowi każdego wysłać na śmierć) wręczył mi, jak również trzem innym chłopakom, o znajomych mi twarzach, kawałek brudnego papieru z jakimś nabazgranym tekstem, dodając doń krótki i niezrozumiały komentarz. Chodziło o trasę, jaką miałem pokonać, by dołączyć do naszej kompanii działającej prawdopodobnie w tym rejonie. Pozostała trójka wchodziła w skład tego samego pododdziału.

Po otrzymaniu bezcennego dokumentu pośpiesznie opuściliśmy „centrum recepcyjne”. Zmykaliśmy czym prędzej, obawiając się, że zostaniemy przydzieleni do jakiegoś naprędce skleconego pododdziału. Nigdy zbyt dobrze nie orientowałem się w terenie, lecz tu, w tym oceanie błota i ruin, nawet wędrowny ptak nie wiedziałby, gdzie jest północ. Gryzmoły oznaczały tylko najważniejsze punkty, znane oddziałom, które już tam były. Orientuj się tu, człowieku, w jakimś zadupiu, gdzie z trudem odróżnisz punkt A od punktu Z i gdzie przy

zniszczonych drogach i ulicach nieliczne ocalałe tablice poobracane były we wszystkich kierunkach w wyniku niedawnych walk.

Po drodze zaganiano nas do różnych drobnych prac, musieliśmy też tysiąc razy zasięgać informacji, nim w końcu pokazano nam skrzyżowanie, przy którym były ruiny ponoć jakichś ważnych budowli. Nasza kompania powinna znajdować się w pobliżu. Odnaleźliśmy ją przypadkiem dopiero po dwóch dniach, kiedy musieliśmy rozwijać kabel telefoniczny na potrzeby pododdziału SS idącego do szturm w rytm gwizdka. Jeszcze dziś pamiętam, jak młodzi esesmani pod ogniem broni maszynowej pokonywali nasyp kolejowy.

Schronieni w odkrytym na skutek bombardowań kanale ściekowym, czekaliśmy, skuleni, aż esesmani zdobędą teren za cenę znacznych strat. Ponad cementowymi ścianami świstały rozgrzane do czerwoności odłamki pocisków mózdzierzowych, tak ostre, że ciąć mogły letnią trawę. Po walce esesmani zapędzili nas do zaopatrywania w amunicję baterii haubic. Od kilku dni prowadziła ona pojedynkę ogniowy z artylerią sowiecką znajdującą się na wschodnim brzegu Dońca. Przenoszenie ciężkich pocisków kalibru 105 mm ze znajdującego się w dość znacznej odległości magazynu okazało

się dla nas niełatwym zadaniem. Właśnie wtedy spotkaliśmy chłopaków z naszej kompanii, zatrudnionych przy naprawie umocnień ziemnych. Pierwsza pojawiła się głowa Olenkseima. — To nasi! — wrzasnąłem, rzucając się w kierunku kolegi.

Za mną pobiegło trzech pozostałych chłopaków. Olenkseim popatrzył na mnie, zdumiony. — Bóg ma nas w opiece! — wykrzyknął. — Czterech następnych powraca. Laus chyba już dawno skreślił was z listy. Brakuje jeszcze trzydziestu do pełnego składu kompanii.

Myśleliśmy, że zostaliście może przydzieleni do tych nowych oddziałów.

— Nie kuś złego losu — odrzekłem. — Gdzie Halls?

— Ten to ma szczęście. Jest teraz w Trewdzie. Leczy się. A my musimy ryc w tej cholernej ziemi.

— Został ranny?

— O! Tylko jakiś odłamek w szyję. Głupstwo. Miał szczęście, bo umieścili go wśród ciężko rannych. Powiedział, że przez dwie godziny był nieprzytomny. Na pewno przesadza.

— A Lensen?

— W jak najlepszej formie. Zmienia gąsienicę, o tam! Pojawił się Laus. Instynktownie wyprężyliśmy się na baczność.

— Cieszę się, dzieci, że was widzę. Tak, naprawdę się cieszę! Szefunio ścisnął nam rękę.

Twarz starego wojaka wyrażała autentyczne zadowolenie. Feldfebel cofnął się o trzy kroki.

— Zameldować mi się głośno i wyraźnie, tak jak was nauczyłem!

W pogodnym nastroju poddaliśmy się tej komendzie. Było to możliwe jedynie dzięki istniejącym między nami więzom koleżeństwa, bo poza tym wszystko inne zapowiadało się nieszczerólnie. Napływały ciemne, deszczowe chmury, a dokoła widać było białe błyski; towarzyszyły im gejzery ziemi i gruzów.

Nieco później Lensen, o wiele ode mnie silniejszy, uniósł mnie do góry, wrzeszcząc z radości, żeśmy się odnaleźli. Pomimo służby, która zajęła nam resztę dnia, chwile te spędziliśmy w radosnym nastroju, opowiadając sobie tysiące anegdot. Po dwóch dniach udało mi się pojechać do Trewdy odległej od frontu o około czterdzieści kilometrów. Jeden z kolegów ustąpił mi miejsce w ciężarówce, którą miał się tam udać. Po tylu dniach rozłąki dostrzegłem wreszcie swego potężnego kamrata, jak pośród tłumu rannych żołnierzy do utraty tchu wyśpiewywał piosenki wojskowe. Była już wiosna i ci ciężko chorzy paradowali między dwiema alejami dzikich grusz.

Halls ostentacyjnie okazywał swą radość. Triumfalnie niesiony byłem przez jednorękich facetów nafaszerowanych sulfamidami i wysmarowanych szarą maścią. Ten wielki pyskacz zmusił mnie, bym wysączył wszystkie resztki z butelek, które ostatnio krążyły między

żołnierzami. Krzykom i wiwatom nie było końca, toteż nie zdążyłem stawić się na godzinę, jaką wyznaczył mi uczynny chłopak z ciężarówki. Po nadaremnych czekaniu wyjechał beze mnie. Późną nocą, gdy brnąłem przez błota gdzieś w okolicach Charkowa, zabrał mnie do jednostki jakiś motocyklista na służbie. Halls kazał mi przysiąc, że go jeszcze odwiedzę, jednak kolejna okazja już się nie nadarzyła, gdyż po kilku dniach on dołączył do nas. Lekarz wojskowy orzekł nagle, że jest zdolny do służby i odesłał go do oddziału, by miał okazję uczestniczyć w ostatniej fazie trzeciej batalii o Charków.

Hallsowi zbytnio nie podobała się ponura piwnica, gdzie kwaterowaliśmy. Dlatego też, idąc za jego przykładem, zaciągnąłem się na ochotnika do piechoty zmotoryzowanej. Mieliśmy już serdecznie dość wymachiwania łopata i roli chłopców na posługi na rzecz najróżniejszych oddziałów, toteż perspektywa ta wydawała nam się wielką szansą. W wyniku tej decyzji ocieraliśmy się tak często o śmierć, że nie będę w stanie wszystkiego opowiedzieć! Dziś w każdym razie, kiedy służba w jednostce liniowej jest już za mną, mogę powiedzieć, że nie żałuję czasu spędzonego w tym oddziale, gdzie pomimo ciężkich chwil doświadczyłem tak głębokiej przyjaźni jak nigdy przedtem i potem. Tamta przyjaźń to coś, czego nie sposób wyrazić, coś co uzewnętrznia się w każdym geście, w każdym momencie.

CZĘŚĆ DRUGA

„GROSS DEUTSCHLAND” Wiosna 1943 — lato 1943

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na przepustce Berlin Paula

Któregoś pięknego wiosennego poranka przybyliśmy do Trewdy, gdzie Halls spędził jakże szczęśliwe dni. Na wzgórzu porośniętym krótką, omszałą trawą dołączyły do nas dwie inne kompanie. Trawa ta, tak gęsta, że każde źdźbło zdaje się odpychać sąsiednie, rośnie tak szybko, że po miesiącu zamienia się w step. Było nas tam około dziewięciuset. Na szczycie wzniesienia, stojąc na platformie zniszczonego pojazdu, kilku oficerów piechoty wygłaszało do nas krótkie przemówienia. Wokół nich stała dwudziestka żołnierzy, dzierżąc sztandary lub proporce swych oddziałów. Przemowy utrzymane były w bardzo kurtuazyjnym tonie. Panowie ci wyrażali uznanie także za naszą wcześniejszą działalność, krytykowaną codziennie nawet w najkrótszych doniesieniach z frontu. Otwieraliśmy oczy ze zdziwienia. Oto dzięki naszej wzorowej postawie ci, którzy sobie tego życzyli, mogli tamtego dnia dostąpić wyjątkowego zaszczytu, a mianowicie zgłosić się do służby w oddziałach frontowych. Od razu wystąpiło około dwudziestu ochotników. Oficerowie, zdając sobie sprawę z naszej „nieśmiałości”, starali się jeszcze bardziej nas zachęcić, toteż przemowy w dalszym ciągu utrzymane były w tym samym tonie. Niektóre nasze czyny relacjonowane były nawet w szczegółach. Z szeregów wystąpiło kolejnych piętnastu ochotników, między innymi Lensen, ponieważ jego powołaniem była walka.

Następnie nasi dobroczyńcy wspomnieli o piętnastodniowych przepustkach. Zgłosiło się co najmniej trzystu kolejnych ochotników. Wówczas porucznicy zeszli z platformy i zaczęli chodzić wzdłuż szeregów. Jakiś kapitan ciągle przemawiał do żołnierzy służb transportowych, a porucznicy zachęcali lub wyznaczali wielu z nas, byśmy zrobili te trzy nieodwracalne kroki naprzód.

Wybierali przede wszystkim najwyższych i najsilniejszych chłopaków, tych co wyglądali najzdrowiej. Nagle obciągnięty czarną, skórzaną rękawicą, wyprężony niczym lufa mauzera

palec pojawił się na wprost czoła mojego najlepszego przyjaciela, mojego brata w czasie całej tej wojny. Jak zahipnotyzowany, Halls zrobił trzy wielkie kroki do przodu, a stukot obcasów, kiedy się zatrzymał, przypominał trzaśnięcie zamykanych drzwi — drzwi złowieszczych, być może oddzielających mnie na zawsze od najlepszego kolegi, jakiego kiedykolwiek miałem, i na dobre odbierających mi w całej tej beznadziejności istnienia jedyny sens życia.

Po krótkiej chwili wahania, z własnej woli, znalazłem się w szeregu ochotników. Zmieszany, spojrzałem na Hallsa. Jego policzki zaróżowiły się jak u małego chłopca, któremu sprawiono przyjemność, lecz który nie potrafi wyrazić, co czuje.

W przyszłości moje dane identyfikacyjne miały być następujące:

Gefreiter Sajer. G.

100/1010 G4. Siebzehntes Bataillon Leichtinfanterie Gross Deutschland Division S UD. G. Pod koniec dnia wróciliśmy do obskurnych pomieszczeń, jakie zajmowaliśmy poprzednio. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Dowiedzieliśmy się tylko, że nasze nazwiska umieszczono na listach rekrutacyjnych piechoty. Jak na razie była to jedyna różnica w porównaniu z okresem ubiegłym, kiedy byliśmy konwojentami. Czuliśmy się trochę niepewnie w nowej roli, lecz podoficerowie nie pozwolili nam zbyt długo analizować obecnej sytuacji. Przez kilka dni musieliśmy czyścić i doprowadzić do stanu używalności sprzęt, który mocno ucierpiał podczas ostatnich walk. Wydawało się, że nastał spokój, choć od czasu do czasu Sowieci przeprowadzali gwałtowne kontrataki na północny wschód od Charkowa, w okolicach Sławiańska. Zagnano nas również do ohydnej roboty polegającej na grzebaniu tysięcy poległych w walkach o Charków.

Któregoś ranka lub raczej w środku nocy, gdyż o świcie było jeszcze ciemno, uformowano z nas „pluton pochówkowy”. Ową radosną wiadomość zakomunikował nam oczywiście Laus. Zamiast więc udać się na obiecany i tak bardzo oczekiwany piętnastodniowy urlop, mieliśmy zbierać tru-poszy. Zajmowali się tym w pierwszym rzędzie jeńcy rosyjscy. Niestety, jak się wydaje, ograbiali oni martwych żołnierzy, zabierając obrączki i inne drobiazgi.

Sądzę raczej, że ci biedacy, z których wielu było rannych, lecz uznanych za zdolnych do pracy, mieli nadzieję znaleźć przy ciałach swych towarzyszy lub żołnierzy niemieckich trochę jedzenia. Racje żywnościowe, jakie od nas otrzymywali, były naprawdę śmieszne. Na przykład na czterech jeńców

Sławiańsk znajduje się na południowy wschód od Charkowa (przyp. ttum.).

przypadała na dobę menażka podłej zupy, czyli równowartość około trzech litrów. Niekiedy dostawali tylko wodę.

Jeśli jeńca przyłapano na grabieży poległych Niemców, był z miejsca rozstrzeliwany. Nie utworzono jednak w tym celu żadnego plutonu egzekucyjnego. Pierwszy lepszy oficer zabijał winnego dwoma lub trzema strzałami z rewolweru, a czasem — czego miałem okazję być świadkiem — oddawano jeńca dwom lub trzem żołnierzom, którzy się tym zajmowali.

Kiedyś, ku mojemu zgorszeniu, zboczeńcy ci przywiązali trzem jeńcom ręce do prętów bramy, po czym włożyli granat do kieszeni płaszcza jednego z nich, a może przywiesili go przy dziurce od guzika, przez którą przewlekli dźwignię zapalnika. Nędznicy odbezpieczyli granat, po czym czmychnęli, aby się ukryć. Siła eksplozji dosłownie rozerwała na strzępy Rosjan, którzy do ostatniej chwili krzyczeli, błagając o litość.

Mimo że byliśmy świadkami najprzeróżniejszych egzekucji, za każdym razem praktyki te budziły w nas wstręt, do tego stopnia, że dochodziło nawet do kłótni między nami a tymi bandytami. Tamci wpadali wówczas w taką wściekłość, że obrzucali nas najbardziej wulgarnymi wyzwiskami. Mówili, że uciekli z obozu w Tomwos, gdzie Rosjanie przetrzymywali wielu jeńców niemieckich. Uciekinierzy ci opowiadali nam, w jaki sposób Sowieci likwidowali naszych rodaków. Ich zdaniem słynny obóz w Tomwos, znajdujący się dziewięćdziesiąt pięć kilometrów na wschód od Moskwy, był obozem zagłady. Racje żywnościowe, równie małe jak te, dawane w Charkowie rosyjskim jeńcom, przydzielano

jedynie Niemcom, których zaganiano do jakichś robót. Na czterech więźniów przypadała czarka prosa. Nigdy nie starczało żywności, nawet dla pracujących jeńców. W każdym razie jedna czarka prosa miała wyżywić czterech ludzi, a nie na przykład pięciu. Taki był regulamin. Nadprogramowych żołnierzy zabijano, wbijając im młotkiem w kark łuskę od naboju. Ponoć Rosjanie z wielkim upodobaniem wykonywali tego rodzaju zajęcie. Sądzę, że Rosjanie zdolni byli do takich okrucieństw, gdyż ja sam widziałem ich w akcji pośród kolumn nieszczęsnych uciekinierów w Prusach Wschodnich. Nie usprawiedliwiało to jednak naszych towarzyszy broni, dopuszczających się wszystkich tych barbarzyństw, by pomścić swoich. Tak oto wojna osiąga szczyt okrucieństwa, a wszystko to przez głupców; działając z chęci zemsty, utrwalają wojenny obraz grozy z pokolenia na pokolenie...

Przez wiele godzin musieliśmy sprzątać długi korytarz podziemny, podczas walk przekształcony w szpital pierwszej pomocy. Chirurdzy mieli tyle roboty, że ta ogromna piwnica została w końcu zapełniona. Wzdłuż niekończącego się korytarza ciągnęły się na przestrzeni stu metrów prowizoryczne, trzypiętrowe łóżka. Na każdym z nich leżały okaleczone, szerniałe, sztywne ciała. Gdzieniedzie w tym cuchnącym padole majaczyły puste miejsca na łóżu, które konający zdołał opuścić, zanim wyzionął tam ducha. W tej kostnicy, do której wypadało tylko zamurować wejście, nie było żadnego oświetlenia. Jedynie nieliczni z nas mieli zawieszony na bluzach latarki rzucające ponury blask na wycieńczone i nabrzmiałe twarze nieboszczyków, których z trudem wyciągaliśmy z boksów. Wreszcie pewnego pięknego poranka, kiedy cudowna wiosna nieśmiało ukazała swe oblicze na tle posępnego pejzażu będącej w ruinie Dieptroi, czyli południowo-zachodnich przedmieść Charkowa, na piaszczystej drodze prowadzącej do nowych baraków, które zajmowaliśmy od poprzedniego dnia, pojawiła się harmonizująca z otoczeniem ciężarówka.

Samochód skręcił gwałtownie, po czym podjechał tyłem, zatrzymując się dziesięć metrów przed pierwszym budynkiem, gdzie wraz z grupą żołnierzy usuwałem stosy gruzów i kamieni tarasujących drogę do naszej kwatery. Otworzono tylną klapę i z ciężarówki wyskoczył niski, pulchny kapral, trzaskając obcasami. Facet ani nie zasalutował, ani też nie odezwał się do nas słowem, lecz zaczął szperać w prawej górnej kieszeni bluzy, tam gdzie regulaminowo należy chować instrukcje wojskowe. Wreszcie wyciągnął jakiś papier starannie złożony czterokrotnie. Następnie przystąpił do odczytywania dość długiej listy nazwisk.

Wywołując regulaminowym tonem poszczególnych żołnierzy, gestem ręki wskazywał równocześnie, że mamy przechodzić na prawo. Wyczytał z setkę nazwisk, między innymi padło nazwisko Olensheima, Lensena, Hallsa, Sajera... Nieco zdenerwowany, dołączyłem do wywołanych. Następnie kapral dał nam trzy minuty na zajęcie miejsca w ciężarówce z bronią i kompletnym ekwipunkiem. Znów trzasnął obcasami, lecz tym razem zasalutował. Bez słowa zrobił w tył zwrot i oddalił się, jakby miał zamiar udać się na przechadzkę. Nie omieszkał jednak, kiedy dawał nam trzy minuty czasu, wykonać zamaszystego gestu ramieniem, tak aby widać było zegarek z bransoletą.

Rzuciliśmy się na złamanie karku, by przygotować wszystkie nasze rzeczy. Nie było czasu na wymianę jakiegokolwiek uwagi. Po trzech minutach setka zdyszanych szeregowców szturmowała ciężarówkę. Jej klapy lada chwila mogły nie wytrzymać z przeładowania. Również kapral pojawił się na czas. Zdegustowany, rzucił okiem na osobliwy ekwipunek, jaki niektórzy taszczyli, lecz nie pisnął ani słowa. Potem się schylił, by zerknąć na coś pod ciężarówką.

— Tylko czterdziestu pięciu ludzi do samochodu! — rzucił krótko. — Odjazd za trzydzieści sekund!

Po czym znów zaczął spacerować w tę i we w tę.

W ciężarówce rozległ się pomruk. Nikt nie chciał wysiadać. Każdy z nas miał jakiś argument, by nie wychodzić. Dwóch albo trzech chłopaków przewrócono na podłogę. Ponieważ znajdowałem się w samym środku, ściśnięty jak śledź w beczce, nie miałem możliwości

ruchu. Sytuację opanował Laus. Połowie z nas kazał opuścić ciężarówkę. Ci, co zostali w samochodzie, zadbali, by było ich dokładnie czterdziestu pięciu. Kapral zasiadł obok kierowcy i dał znak do odjazdu. Laus machnął nam ręką na pożegnanie. W tym dniu po raz ostatni feldfelbel z Białegostoku wydawał nam rozkazy. Jego pożegnalny uśmiech pod naszym adresem sprawił, że puściliśmy w niepamięć wszystkie drobne uciążliwości, jakie przez niego musieliśmy znosić. Stojąca obok niego połowa grupy patrzyła w osłupieniu, jak oddaliśmy się w tumanach kurzu.

Żołnierze ci dołączyli do nas po czterech dniach, przybywając do znajdującej się sto pięćdziesiąt kilometrów za frontem kwatery słynnej dywizji „Gross Deutschland”. Część dywizji zajmowała obóz w Achtyrce, zwłaszcza powracający do zdrowia ranni. Sama dywizja zajmowała zmienne sektory obejmujące rozległy obszar między Kurskiem a Biełgorodem. Panowała tu czystość, porządek i znakomita organizacja, podobnie jak u skautów, lecz dywizja dysponowała nieporównywalnie bogatszymi środkami. Achtyrka przypominała oazę pośrodku ogromnego stepu rozciągającego się dookoła.

Na komendę kaprała zeskoczyliśmy z ciężarówki i ustawiliśmy się w kolumnie dwójkowej. Podeszła do nas grupa oficerów złożona z kapitana, porucznika i feldfelbla. Tuściutki kapral wydał komendę: „baczość”. Panowie oficerowie byli bardzo starannie ubrani. Kapitan w paradnym stroju składającym się z marynarki z jasnego, delikatnego materiału szarozielonej barwy z czerwonymi naszywkami jednostek bojowych, ciemnozielonych bryczesów obszytych miękką skórą, tudzież wypolerowanych na błysk oficerek, skinął do nas dyskretnie ręką, po czym cichym głosem zwrócił się do feldfelbla wystrojonego podobnie jak on. Po krótkiej wymianie zdań feldfelbel stanął przed nami, trzasnął obcasami i w imieniu kapitana zaczął do nas przemawiać, czyniąc to mniej oficjalnym tonem niż kapral, który po nas przyjechał.

— Witam wszystkich w dywizji „Gross Deutschland” — zaczął doniosłym głosem. — Poznacie tu prawdziwe żołnierskie życie, a tylko ono poprzez prawdziwą przyjaźń zacieśnia więzy między ludźmi. Tu więzy koleżeństwa istnieją pomiędzy nami wszystkimi. Więzy ta w każdej chwili może być wystawiona na próbę. Żli koledzy, parszywe owce, nie mają miejsca w naszej dywizji. Tutaj każdy zawsze może liczyć na towarzysza walki. Najdrobniejsze uchybienie pociąga za sobą odpowiedzialność co najmniej plutonu. Tu nie ma leni ani maruderów, wszyscy ślepo wykonują rozkazy i swoje obowiązki. Wasi oficerowie myślą za was. Okażcie się godni swoich przełożonych. Przejdziecie teraz do magazynu gospodarczego i zrzucicie z siebie te cuchnące łachmany. Dobre samopoczucie wymaga bezwzględnej higieny. Niechlujny mundur nie będzie tolerowany (feldfelbel nabrał tchu, po czym ciągnął dalej). Po spełnieniu tych ostatnich warunków obecni tu ochotnicy otrzymają piętnastodniowe przepustki. Przepustki te uzyskają ważność za pięć dni, z chwilą wyjazdu konwoju do Niedrygajłowa, chyba że nadejdą nowe rozkazy. Rozejść się! Heil Hitler!

Była wspaniała pogoda. W dywizji panowała znakomita organizacja. Z tego co słyszeliśmy, z rozkazami nie było żartów, ale jakież panował tu komfort w porównaniu z wszechobecnym błotem, strachem i cierpieniem... A poza tym mieliśmy otrzymać przepustki! Halls skakał z radości jak dziecko. Wszyscy bez wyjątku nie posiadali się z radości.

Mały kapral wykręcił nam wstrętny numer, byliśmy jednak w tak świetnym humorze, że skwitowaliśmy to śmiechem. Ten dziwak wydał rozkaz, abyśmy wyprali nasze zafajdane ciuchy, zanim oddamy je do magazynu, gdzie mieliśmy otrzymać nowe. No i paradowaliśmy wszyscy na golasa, uwijając się jak praczki przed wielkimi korytami. Nasza bielizna była w takim stanie, że nikomu nie przyszło do głowy, aby ją wyprać. Z dziką rozkoszą wyrzuciłem zaświnione spodnie i cuchnący podkoszulek. Wywaliłem też ostatnią parę podziurawionych do granicy możliwości skarpet, jakie miałem na nogach od początku naszego odwrotu. Po przepierce, parując nago po trawie, starannie złożyliśmy stare ubrania, po czym zanieśliśmy

je mokre do magazynu, aby otrzymać czyste. Dwie kobiety pracujące w интен-дентурze śmiały się do rozpuku, widząc nas na golasa koło magazynów z odzieżą.

— Buty zatrzymać! — rzucił sierżant, którego nie bawił widok rozebranych facetów. — Nowych buciorów nie będzie.

Dostaliśmy wszystko nowe, począwszy od furazerki, poprzez nieprzemakalny koc, a skończywszy na zestawie pierwszej pomocy. Jednak kilku niezbędnych rzeczy brakowało w magazynie. Nie było na przykład spodenek i skarpet. Później odczuliśmy dotkliwie ich brak. Teraz jednak byliśmy zbyt uradowani, by czymkolwiek się martwić. W nowym przyodziewku udaliśmy się do długiego, drewnianego budynku koszarowego. Doskonale widoczny napis nad drzwiami przypominał o obowiązującej każdego z nas higienie: Eine Laus, der Tod! — „Jedna wesz i śmierć”! Pulchniutki kapral, który nie opuszczał nas od Charkowa, dał znak, byśmy weszli do środka. Z miejsca doceniliśmy nowe pomieszczenia, skromne, lecz znakomicie utrzymane.

— Ruhe, Mensch! — wrzasnął kapral. Natychmiast nastąpiła cisza. — Ponieważ nie ma wśród was obergefrajtera, wybiorę starszego izby.

Po czym zaczął chodzić między nami z przymkniętymi oczami, jak gdyby chciał zaskoczyć tego, któremu nie zależało na tej funkcji, albo jakby chodziło o podjęcie jakiejś ważnej decyzji. Wreszcie krzyknął tonem, ostrym niczym strzał z rewolweru, wskazując na chłopaka co najmniej tak wątpliwej jak ja:

— Ty!!

Wywołany wystąpił krok naprzód.

— Nazwisko?!

— Wiederbeck!

— Wiederbeck! Odpowiadasz za izbę aż do odwołania. Pójdiesz teraz do magazynu po naszywki dywizji, które każdy ma sobie przyszyć na lewym rękawie bluzy. Następnie masz... hm... — i tak dalej, i tak dalej.

W miarę, jak facet wymieniał długą listę obowiązków, biedny Wiederbeck coraz bardziej wtulał głowę w ramiona.

Po kilku chwilach otrzymaliśmy słynne naszywki z gotyckim srebrnym napisem na czarnym tle: „Division Gross Deutschland”. Nosilem swoją na ramieniu aż do roku 1945, kiedy to — jak rozpowiadano w naszych zdziesiątkowanych szeregach — Amerykanie rozstrzelali wszystkich żołnierzy służących w dywizjach posiadających nazwy zamiast numerów. Zapaleńcy ci tak samo gotowi byli postawić pod ścianą nędznego żołnierza z dywizji „Gross Deutschland” lub „Brandenburg”, jak i bohatera z dywizji „Leib-standarte” czy „Totenkopf”. Te ponure chwile były jeszcze jednak daleko przed nami. Mieliśmy wiosnę 1943 roku i znajdowaliśmy się w podbitym kraju. Była, jak już wspomniałem, cudowna pogoda, a ponadto mieliśmy w kieszeni przepustki! Po tym wszystkim, cośmy przeżyli, życie teraz wydawało się snem.

Nie licząc porannego i wieczornego apelu, mieliśmy wolne, mogliśmy więc poszaleć w tej osobliwej miejscowości, jaką była Achtyrka. Wokół każdego domu lub raczej między grupami domów w rosyjskim, wiejskim, bardzo ciekawym i bardzo ładnym stylu, bujny o tej porze roku step tworzył gęstą murawę osiemdziesięciocentymetrowej wysokości. W trawie tej, przybierającej pod koniec lata brązową barwę, rosły olbrzymie margerytki. Tamtejsza flora zawiera mnóstwo roślin aromatycznych używanych przez Rosjan w kuchni jako przyprawy i składniki licznych napojów.

Wokół rozciągały się pola dorodnych słoneczników i ziarnistych ogórków jasnozielonej barwy. W każdym skupisku domów mieszkała rodzina albo jej znajomi, którzy woleli zbudować swe domostwo obok druga (przyjaciela), co oszczędzało im drogi, kiedy chcieli odwiedzić znajomych.

Rosjanie, a szczególnie Ukraińcy, są bardzo weseli i gościnni. Podobnie jak mieszkańcy

Wschodu, w każdej chwili gotowi są coś świętować. Mile wspominam kilka przyjęć u tych pełnych entuzjazmu ludzi, kiedy to obie strony kompletnie zapomniały o wojnie. Przypominam sobie także dziewczęta śmiejące się serdecznie, choć miały powody, by nas nienawidzić. Jakże ci ludzie różnili się na przykład od napuszonych paryskich damulek, które aby się podobać, na ogół pacykują się tłuszczem zwanym kosmetykami. Każde sioło miało też niewielki cmentarz. Nie były to cmentarze smutne czy też okazałe. Były pełne zieleni, z drewnianymi stołami, przy których gromadzono się często, aby raczyć się napitkami. Wioski te miały tablice informacyjne z nazwą miejscowości w zdrobniającej formie, na przykład: „Przepiękna Achtyrka”, „Ukochana Achtyrka”, „Nasze miasto Achtyrka” lub też „Słodka Achtyrka”.

Po czterech dniach dołączyli do nas pozostali ochotnicy. Zdaje się, że droga kosztowała ich niemało trudu, gdyż całą trasę pokonali pieszo.

Wreszcie następnego dnia konwój nasz wyruszył do Niedrygajłowa. Przepustki miały być ważne dopiero od Poznania, czyli po przebyciu tysiąca ośmiuset kilometrów. A potem trzeba będzie przebyć jeszcze kolejnych tysiąc aż do Wissemburga, gdzie mieszkali moi rodzice. Czekala mnie więc kilkudniowa podróż. Przejeżdżaliśmy przez ogromne, całkowicie płaskie tereny bez jakichkolwiek wzniesień. Tu i ówdzie wojskowe pojazdy gąsienicowe pomagały w uprawie roli. Posuwaliśmy się w niezłym tempie aż do Niedrygajłowa, drogą naprawioną przez niemieckie oddziały inżynieryjne. Co pięć — sześć kilometrów mijaliśmy porzucone pośpiesznie przez Rosjan wielkie ilości zniszczonego sprzętu wojskowego. Przebyliśmy z dwieście kilometrów, gdy nagle daleko na przedzie dostrzegliśmy maleńkie sylwetki. Od czasu do czasu otaczały je niewielkie, białe obłoki, którym towarzyszyły odgłosy wystrzałów.

Dwie jadące przed nami ciężarówki zwolniły momentalnie. Po chwili zatrzymały się. Jak zawsze w takiej sytuacji, odpowiedzialny za konwój feldfebel zeskoczył z pierwszego pojazdu i skierował lornetkę tam, gdzie mogło czaić się niebezpieczeństwo. Czekaliśmy karnie, aż padnie rozkaz opuszczenia ciężarówek. Gadulscy umilkli. Staraliśmy się wychwycić jakieś komentarze ze strony dowódcy konwoju. Nic z tego. Ciszę zakłócał jedynie odgłos silników pracujących na zwolnionych obrotach. Powoli z naszych twarzy zniknęła obecna od kilku dni radość.

Odczuwaliśmy pewien niepokój. Żołnierze zaczęli złorzeczyć.

— Myślałem, że jesteśmy już daleko od tych pieprzonych walk!

— No właśnie, do kurwy nędzy!

— Co to może być?

— Partyzanci — warknął Halls uczestniczący już wcześniej w polowaniu na ludzi.

Koledzy wysuwali cały szereg hipotez:

— W każdym razie nie stracimy urlopu przez tych łajdaków!

— Czekają, nie wiadomo na co, zamiast kazać nam skuć im mordę. Każdy z nas trzymał w gotowości mauzera, z którym żołnierze udający się na przepustkę nigdy nie rozstawali się na terenie podbitego kraju. Myśl, że ktoś albo coś mogło nam przeszkodzić w podróży do domu, doprowadzała do szału. Wszyscy byliśmy gotowi do walki w ten słoneczny dzień. Musieliśmy jechać na zachód za wszelką cenę. Ostatecznie, nie doczekaliśmy się rozkazu. Feldfebel wsiadł do samochodu i konwój ruszył z miejsca. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni.

Kiedy po przejechaniu pół kilometra minęliśmy grupę dwudziestu niemieckich oficerów z myśliwskimi fuzjami na ramieniu, byliśmy tak zaskoczeni pomyłką, a zarazem tak szczęśliwi, że zaczęliśmy do nich wiwatować, jakby byli Führerem.

Wreszcie dojechaliśmy do Niedrygajłowa. Opuściliśmy samochody, które udały się w kierunku południowym. Teraz mieliśmy odbyć podróż do Romnego (kolonia Cyganów). Tam miał nas zabrać inny konwój jadący na zachód. W Niedrygajłowie, gdzie z różnych

kierunków dołączali udający się na przepustki żołnierze, nasza grupa była już pokaźnych rozmiarów. Liczyła około tysiąca żołnierzy. Służby transportowe miały jednak inne zadania niż przewóz facetów udających się na urlop. Nieliczne samochody jadące do Romnego zabrały około dwudziestu szczęśliwców, a pozostali nadal tłoczyli się przy kuchni polowej. W kotłach jedzenia starczało zaledwie dla jednej czwartej żołnierzy. Postanowiliśmy pokonać pieszo niemal o pustym żołądku ostatnie pięćdziesiąt kilometrów dzielące nas od Romnego. Mimo późnej pory ruszyliśmy w drogę. Radosny nastrój nas nie opuszczał. Dołączyło do nas około dwudziestu żołnierzy z dywizji „Gross Deutschland” starszych niż my, w tym siedmiu lub ośmiu esesmanów, którzy śpiewali na całe gardło. Opróżniali oni butelczynę alkoholu krążącą z rąk do rąk. Nasi towarzysze — weterani musieli chyba ogołocić kilka okolicznych piwnic, gdyż w ich bagażach było sporo butelek.

Instynktownie utworzyliśmy kolumnę trójkową, jakbyśmy szli do walki, i maszerując rytmicznym krokiem, zmniejszaliśmy stopniowo odległość dzielącą nas od Romnego. Nad zielonymi, niekończącymi się łąkami z wolna zapadał zmierzch. Nasze mundury, znakomicie harmonizujące z otoczeniem, niczym kameleon przybierały barwy otaczającego nas pejzażu. Ponieważ po przejściu pierwszych piętnastu kilometrów odechciało nam się żartować, byliśmy bardziej skłonni kontemplować ogromne przestrzenie Ukrainy. Ziemia, porośnięta bujną wiosenną roślinnością, wydzielala subtelny, a jednocześnie niesamowity zapach, a horyzont rozplýwał się w ciemniejącej, niezmiarzonej przestrzeni nieba. Ziemia stała się bardziej brunatna, a mundury nadal w cudowny sposób zlewały się z barwami zmroku.

Jedynie rytmiczny odgłos kroków wydawał się zakłócać spokój niezmiarzonej tajemnicy wszechświata. Za nami noc okrywała już całunem świat. W tej niezmiarzonej przestrzeni, która prostemu człowiekowi nakazuje pokorę, zamilkliśmy. Pół tysiąca znieawidzonych przez świat żołnierzy ogarnęło nie dające się opisać uczucie. Tak jak czasem człowiek żartuje, by ukryć smutek, tak teraz zaczęliśmy śpiewać, by odgonić własne myśli. Rozlegały się coraz głośniejsze tony ulubionej piosenki esesmanów. Wzbijała się w niebo jak hymn ku czci ofiarowanej ludzom ziemi:

So weit die braune Heide geht „Gdzie tylko rozciąga się ciemne wrzosowisko”
Gehört das alles mir „Wszystko to do mnie należy...”

Wreszcie otoczyła nas noc — noc, która po raz pierwszy od wielu miesięcy miała nad nami czuwać. Choć ogarniało nas zmęczenie, nikt nie dopuszczał myśli, by się zatrzymać. Droga do ojczystego kraju była bardzo daleka, toteż strata czasu nie wchodziła w rachubę. Dla mnie, wracającego do swej drugiej ojczyzny, droga ta była jeszcze dłuższa. Nasze przepustki uzyskiwały ważność dopiero od Poznania, lecz sama myśl o powrocie do domu eliminowała wszelkie formalności i przeszkody. Dzięki temu łatwiej znosiłem ból gołych stóp w butach.

Halls miał ten sam problem, więc ciągle złorzeczył na magazyniera z Achtyrki, który nie wydał nam skarpet. Po przebyciu trzydziestu kilometrów, z powodu krwawiących stóp musieliśmy zwolnić tempo forsownego marszu. Oczywiście weterani, którzy do nas dołączyli i mieli zapewne zahartowane stopy, potraktowali nas jak mazgajów. Mimo to oddali nam własne skarpety, abyśmy mogli kontynuować marsz. Nie pomogło to jednak żadnemu spośród nas. Mieliśmy zbyt poranione stopy i mimo tej niespodziewanej ochrony, pięciokilometrowy marsz, na który nas jeszcze było stać, sprawiał nam zbyt wielki ból. Mnie ból szczególnie dokuczał z powodu odmrożenia stóp tej zimy. Ponieważ kolumna kontynuowała marsz, mimo że część jęczała i domagała się postoju, postanowiliśmy maszerować na bosaka. Szliśmy więc boso po zroszonej trawie i z początku wydawało się, że kryzys został opanowany. Niektórzy wpadli na pomysł, aby owinać stopy w nową bieliznę, ale obawiając się kontroli, nie zrobili tego. Ostatnie kilometry, które pokonywaliśmy, kulejąc, już za dnia, były prawdziwą katorgą. Ponadto na pierwszym posterunku żandarmerii polowej

przed Romnym, kazano nam założyć buty, gdyż w przeciwnym razie nasze przepustki miały być podarte. Zdaniem żandarmów było rzeczą niedopuszczalną, abyśmy wkraczali do miasta boso, jak kloszardzi. Mieliśmy ochotę ich załuc. Nieco dalej, na terenie kolonii cygańskiej poprosiliśmy, by najsłabszych przetransportowano do komendantury w Romnym. Cyganie nie śmieli odmówić.

W tym samym budynku co komendantura mieściła się izba chorych. Mieliśmy nawet do czynienia z samym komendantem, oburzonym, że żołnierzy służących w dywizji „Gross Deutschland” wypuszczono bez skarpet. Sporządził raport do obozu w Achtyrce, wyrażając ubolewanie, że należycie się tam nie przygotowano do formowania nowych oddziałów. Każdy, kto sobie tego życzył, otrzymał pomoc pielęgniarzy, którzy przynieśli nam wa-nienki z ciepłą wodą zmieszaną z chloroformem.

Kąpiel ta dała znakomite rezultaty. Ból stóp momentalnie ustał. Rozdano nam również niewielkie metalowe pudełka czerwonej barwy. Nie pamiętam już, jaki napis figurował na wieczku, w każdym razie była to maść. Należało nią przed marszem posmarować stopy. Najgorsze było to, że ciągle nie mieliśmy skarpet. Kto nie skorzystał z pomocy medycznej, niepokoił się, jak to będzie podczas dalszej trasy. Połączenie kolejowe z Charkowem i Kijowem umożliwiała różne warianty podróży. W obu kierunkach codziennie kursowały pociągi, problem transportu był więc rozwiązany. Jakież było nasze rozczarowanie, kiedy nasi dwaj sierżanci oświadczyli, że w ciągu najbliższych dwóch dni wyjazd jest wykluczony. Kolej zarezerwowano całkowicie do transportu zaopatrzenia na potrzeby frontu, a powracające pociągi przewoziły w pierwszym rzędzie rannych, a nie żołnierzy na przepustce.

Pięciuset żołnierzy, dla których liczyła się każda godzina, dało wyraz swemu niezadowoleniu. Rozważano możliwość oddzielenia się i wyjazdu do Kijowa na własną rękę. Wykorzysta się w tym celu transport drogowy, poprosi się konwojentów, wskoczy się na waleta do odjeżdżającego pociągu... Musi, do diabła, znaleźć się jakiś sposób! Niektórzy nosili się z zamiarem kradzieży Rosjanom koni. Rozważano nawet możliwość dotarcia do Kijowa pieszo: dwieście pięćdziesiąt kilometrów! Zakładając forsowny marsz, podróż ta zajęłaby nam pięć dni. To nie wchodziło w rachubę. Już lepiej czekać dwie doby. Starsi żołnierze warczeli:

— Mówię wam, że w końcu unieważnią nam te przepustki. Trzeba stąd spieprzać. Kto nam zagwarantuje, że za dwa dni wyjedziemy? Może będziemy tu tkwić cały tydzień? Kurwa mać! Spierdalam stąd!

Ciągle jeszcze zbytnio dokuczały mi stopy, bym brał pod uwagę możliwość marszu, nawet na pięciokrotnie krótszym dystansie. Podobnie było z Hallsem i Lensenem. Chcąc nie chcąc, musieliśmy wytrwać te dwa dni. Nie bardzo wiedzieliśmy, co robić w Romnym ani też gdzie spędzić noc. Cholerni żandarmi przeganiali nas nieustannie, nie pozwalając przebywać dłużej w jednym miejscu. Na próżno tłumaczyliśmy im, w jakiej jesteśmy sytuacji. Nic nie docierało do tych chamów. Ukraina była dla tych łajdaków istnym rajem, gdyż mogli demonstrować w stosunku do urlopowanych żołnierzy swoją upierdliwą władzę z czasów pokoju. Jeśli ktoś stawiał im opór, ryzykował, że z miejsca mogą mu podrzeć przepustkę, co przydarzyło się pewnemu czterdziestoletniemu żołnierzowi. Jego ekwipunkiem panowie żandarmi zabawiali się jak piłką nożną. Rozwścieczony żołnierz oświadczył, że przez pół roku walczył na Kaukazie i zasługuje na jakiś szacunek.

— Sprzedawczyki! — ryknęli chórem nieludscy żandarmi. — Sprzedawczyki z was! Uciekliście przed Rosjanami i straciliście Rostów! Zobacz, co się robi z takimi jak ty! — wrzeszczeli. — Zawraca ich się na front, którego nie powinni nigdy opuścić!

I na oczach osłupiałego żołnierza podarli mu przepustkę. Myśleliśmy, że nieborak będzie płakał z rozpaczy, lecz ten rzucił się na żandarmów, powalając obu na ziemię. Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażenia, jak rzucił się do ucieczki. Żandarmi podnieśli się, wściekli, zaklinając się, że każą go rozstrzelać.

Nie namyślając się długo, uciekliśmy czym prędzej, zanim nie zaczęli do nas strzelać z pistoletów maszynowych.

Dwa dni później wyruszyliśmy jednak do Kijowa. Jechaliśmy z bydłem zarekwirowanym na potrzeby armii. Nie liczyły się warunki, w jakich przyszło nam podróżować. Po pięciu godzinach podróży byliśmy już w Kijowie, cudownym mieście na kilka miesięcy przed zniszczeniem. Tu czuliśmy się bezpiecznie. Wydawało się, że wojna się zakończyła. Było to piękne i kwitnące miasto. Mieszkańcy udawali się spokojnie do swych zajęć. Białe tramwaje z wąskimi czerwonymi pasami przewoziły po sympatycznym mieście tłumy ludzi ubranych w różnokolorowe stroje. Wszędzie widać było żołnierzy w czystych i schludnych mundurach, paradujących z młodymi Ukrainkami.

Również poprzednio, gdy przejeżdżałem przez Kijów w środku zimy, miasto to wydawało mi się sympatyczne. Dziś odniosłem to samo wrażenie. Chciałbym, by wojna skończyła się tutaj. Z Kijowa był już tylko skok do Polski. Podróż pociągiem okazała się nader barwna.

Jechaliśmy pociągiem cywilnym, wmieszani w tłum pasażerów, toteż lepiej poznaliśmy Rosjan niż podczas całej wojny. Zdekompletowany pociąg mozolnie pokonywał jednotorową trasę, przemierzając wymarłe i bagniste dorzecze Prypeci. Rosjanie pili i śpiewali bez ustanku, częstując napitkiem wszystkich obecnych wojskowych. Przez całą podróż panowała niesamowita wrzawa. Pociąg zatrzymywał się na nielicznych stacjach, na których wsiadali i wysiadali pasażerowie. Niestosowne żarty zagłuszane były salwami śmiechu. Kobiety robiły jeszcze większy harmider niż mężczyźni. Halls zdjął na chwilę mundur, by przywdziać gurbaryczkę. I tak nie wiadomo kiedy, upłynęła podróż z Ukrainy do Polski. Po dwóch dniach dotarliśmy do końcowej stacji — do Lublina. Po drobiazgowej kontroli policyjnej czekała nas przesiadka. Policjanci wysłali nas do sztabu przegrupowania. Kazali nam też pójść do fryzjera wojskowego. Bojąc się, że nie zdążymy na pociąg do Poznania, odważyliśmy się na duże ryzyko: Hallsowi, Lensenowi i mnie udało się uciec żandarmom sprzed nosa i uniknąć balwierza. I całe szczęście, bo inaczej nie zdążylibyśmy na pociąg. Do Poznania przyjechaliśmy w środku nocy. W sztabie przegrupowania zajęto się nami, jak należy. Każdy z nas dostał dwa kwity: do kantyny i noclegowni. Przepustki miały uzyskać ważność nazajutrz, ponieważ biuro czynne było codziennie od siódmej do jedenastej.

Doradzono nam, abyśmy tam byli już o szóstej rano, gdyż czasem są kolejki.

Naszym zdaniem było to dziwne. Facet, który na przykład przyjechał do Poznania pięć po jedenastej, musiał czekać aż do następnego rana, by móc kontynuować podróż. Myślę, że chodziło o to, aby nawet na urloпах żołnierze byli dyspozycyjni.

Podczas gdy biedny szeregowiec obgryzał z niecierpliwości paznokcie, czekając na swoją kolej, mógł nadejść rozkaz anulujący przepustkę i wzywający go do powrotu na front wschodni. Natomiast co się tyczy podróży powrotnej, biuro było czynne całą dobę. Resztę nocy spędziliśmy więc w wygodnej noclegowni przypominającej nieco koszary w Chemnitz, a o szóstej rano staliśmy już przed biurem przepustek, gdzie czekało około dwudziestu facetów, którzy prawdopodobnie tam spali. O siódmej było już nas trzystu. Ci cholerni umundurowani biurokraci bez pośpiechu sprawdzali dokumenty, książeczki wojskowe itp. Kolejka niecierpliwiła się, lecz zachowywała milczenie. Dwóch żandarmów przy drzwiach wejściowych stało w gotowości, by wybić z głowy urlop tym, którzy ośmieliliby się protestować. Następnie przeszliśmy przez dziedziniec. Za nim znajdował się punkt kontroli Suknia ukraińska (przyp. tłum.).

odzieżowej. Umożliwiono nam wypastowanie obuwia i wyszczotkowanie mundurów. Można by powątpiewać, czy błoto rosyjskich nizin istniało w rzeczywistości! Na koniec czekała na nas miła niespodzianka. Służące w armii kobiety wręczyły każdemu zawierającą markowe produkty paczkę. Na jej opakowaniu, całkowicie pokrytym emblematami w postaci orła ze swastyką, widniał napis: „Życzymy udanego urlopu”. — O słodka niemiecka ojczyzno! Halls, który dałby się zabić za talerz tłustego rosółu, wytrzeszczył oczy

ze zdumienia.

— O kurwa! Gdybyśmy to mieli w Charkowie! — krzyknął. — Ale byśmy byli szczęśliwi! Dziś, oczywiście, opowiadał to z pewną ironią, wtedy jednak naprawdę nas to wzruszyło. Ta skromna paczka zawierająca wędlinę, konfitury i papierosy wynagrodziła nam niezliczone noce spędzone na trzaskającym mrozie i miliony kroków w nieprawdopodobnym błocie nad Donem. Zaopatrzeni w wiktuały, Halls i ja wyruszyliśmy w dalszą drogę do Berlina. Lensen rozstał się z nami, by udać się do rodzinnych Prus. Dopiero w stolicy ponownie uświadomiliśmy sobie, że jest wojna. Już na Dworcu Śląskim, a także w dzielnicach Weissensee i Pankow liczne zburzone domy sygnalizowały pierwsze zniszczenia. Niemniej Berlin żył intensywnym rytmem, jak każda wielka stolica.

W Berlinie, gdzie byłem po raz pierwszy, przypominałem sobie o obietnicy złożonej Ernstowi Neubachowi. Ernst zobowiązał mnie do złożenia wizyty jego żonie, mieszkającej u teściów w południowej części miasta. Opowiedziałem o swoich zamiarach Hallsowi, który poradził mi, bym udał się tam raczej przed powrotem do Rosji. Zdawałem sobie jednak sprawę, że absolutnie nie będę mógł opuścić domu dzień wcześniej, bo przecież rodzina zatrzyma mnie do ostatniej minuty. Dlatego też lepiej wywiązać się od razu z obietnicy danej nieżyjącemu przyjacielowi. Halls zrozumiał to, jednak utrzymywał, że nie mam racji. On sam nie zamierzał tracić w Berlinie ani chwili — chciał od razu pędzić do rodzinnego Dortmundu. Musiałem mu obiecać, że pojadę go odwiedzić, skoro nie zdecydowałem się z nim jechać od razu.

Na dobre mi to nie wyszło. Trzeba było dostosować się do rady Hallsa. Nazajutrz moja przepustka okazała się ważna tylko do płonącego Magdeburga. Zostałem więc sam w Berlinie. Kompletnie nie znałem miasta, a ponadto miałem trudności językowe.

Z plecakiem i z ciężącą mi już na ramieniu bronią, wyruszyłem na poszukiwanie domu Neubacha. Na szczęście dało się jeszcze odczytać adres nagryzmołony przez nieboraka na skrawku papieru. Skorzystać z autobusów czy kolei podziemnej? Ponieważ nie wiedziałem właściwie, w jakim udać się kierunku, postanowiłem w końcu iść przez miasto pieszo. Przy okazji mogłem trochę poznać Berlin. Wówczas nie obawiałem się marszu przez całe miasto piechotą. Mało tego: wydawało mi się to normalne.

Chodziło jednak o to, by nie zboczyć zbyt daleko z trasy, idąc na przykład w kierunku zachodnim zamiast na południe. Zauważyłem tablicę z napisem BERLIN-SUD, utrzymywałem więc w przybliżeniu właściwy kierunek. Minąłem dwóch policjantów. Kiedy zauważyli moją rzucającą się w oczy paczkę żołnierza na przepustce, spoglądali na mnie podejrzliwie. Zsalutowałem im przepisowo (trzeba było oddawać honory również tym durniom jak oficerom armii), po czym ruszyłem w dalszą trasę, jak się okazało, nie tak znów spokojną.

Miasto było piękne, czyste i funkcjonalne. Na ulicach panował spokój. Bombardowania dopiero się zaczynały i praktycznie ucierpiały tylko dzielnice dworcowe, przynajmniej w Berlinie. W tym wielkim, reprezentacyjnym mieście, o surowych architektonicznie rezydencjach chronionych przez wspaniałe bramy mające niezmiernie ozdobny, lecz bardzo piękny styl, życie zdawało się toczyć w planowym, precyzyjnym rytmie. Nigdzie nie było widać gawędzących grupki czy też osób wyprowadzających na ulicę psy. Kobiety, mężczyźni, dzieci, rowery, pojazdy, w jednostajnym tempie wydawały się zdążać w ściśle określonym celu. Jakże różniło się to na przykład od paryskiego zgiełku. Rytm miasta wydawał się świadomy, planowy i w żadnym wypadku nie kojarzył się z trwonieniem energii. W Berlinie bieganie lub spacerowanie bez celu byłoby co najmniej dziwne. Miałem wrażenie, że i ja dostosowałem się do rytmu tego miasta. Wtopiłem się w ten charakterystyczny, stłumiony zgiełk. Zatrzymanie się bez celu byłoby czymś nienormalnym. Skomplikowany mechanizm będący dziełem rządu w walce o słuszną sprawę działał bez zarzutu, co widoczne było nawet, gdy obserwowałem drepczącą przede mną staruszkę, którą odważyłem się poprosić o informację. Kobieta o siwych, starannie uczesanych włosach, podobnie jak starannie

utrzymane były ulice, bramy i chodniki, ocknęła się z zadumy, gdy usłyszała skierowane do niej słowa.

— Przepraszam panią — odezwałem się nieśmiało, jak ktoś, kto musi zadać pytanie na widowni po rozpoczęciu spektaklu. — Czy mogłaby mi pani wskazać drogę? Szukam tego adresu.

Pokazałem jej papier, który wyglądał jak wyciągnięty ze śmietnika. Starowina uśmiechnęła się, jakby ujrzała anioła.

— To bardzo daleko, mój chłopcze. — Rzekła tak łagodnym głosem, że nagle odżyły we mnie wszystkie wspomnienia z dzieciństwa. — To bardzo daleko. Musisz dojść do autostrady na Tempelhof. To bardzo daleko.

— Nic nie szkodzi, proszę pani — zdobyłem się na jedyną inteligentną odpowiedź.

— Powinieneś czymś dojechać. Tak będzie o wiele prościej.

— Nic nie szkodzi — powtórzyłem ogłupiały.

Nie byłem w stanie powiedzieć po niemiecku nic bardziej sensownego. Łagodność tej poczciwej staruszki, po tylu pyskówkach i dniach niedoli, poruszyła mnie bardziej niż wszystkie truposze z Uczni.

— Nic nie szkodzi, proszę pani. Służę w piechocie — udało mi się powiedzieć z uśmiechem.

— Tak, wiem — rzekła wyjątkowo łagodnie. — Musisz być przyzwyczajony do marszu.

Chodź ze mną. Dojdziemy do Schloss von Kaiser Wilhelm. Tam ci pokażę dalszą drogę.

Staruszka dreptała obok mnie. Ponieważ nic nie przychodziło mi do głowy, ona nawiązała rozmowę.

— Skąd przybywasz, mój chłopcze?

— Z Rosji, proszę pani.

— Rosja jest wielka. Z jakiego rejonu?

— Rosja jest ogromna, proszę pani. Przyjechałem z sektora południowego, z Charkowa.

— Z Charkowa! — powtórzyła, wymawiając nazwę miasta na sposób niemiecki. — Tak... rozumiem. To wielkie miasto?

Dla tej poczciwej kobieciny Charków był jedynie abstrakcyjną nazwą, której człowiek nie stara się nawet zapamiętać.

— Tak, proszę pani. To wielkie miasto.

Ponieważ widziałem Charków na własne oczy, dla mnie wyraz „miasto” tracił w tym kontekście sens. Charków, jeśli był wielkim miastem, to jednym wielkim rumowiskiem, nad którym unosiły się chmury pyłu, dymu i ognia. Charków kojarzył się z krzykami, jakich nie słyszy się w normalnym mieście, z niekończącym się ciągiem zeszywniałych ciał, które musieliśmy usuwać, z trzema przywiązanymi do kraty bolszewikami z rozwalonymi bebechami.

— W Briańsku jest mój syn — odezwała się staruszka. Najwyraźniej interesowała ją nowiny z frontu.

— Briańsk... — rzekłem w zamyśleniu. — Myślę, że to sektor centralny. Nie znam.

— Donosi mi, że jak na razie nie może specjalnie narzekać. Jest porucznikiem wojsk pancernych.

Porucznikiem! Cholera! — pomyślałem — oficer! Ja, prosty żołnierz, nie miałem zbyt inteligentnej miny.

— Ciężko tam mieliście?

— Było ciężko, proszę pani, ale jest już lepiej. Jestem na przepustce — dodałem z uśmiechem.

— Bardzo się cieszę, drogi chłopcze — rzekła, a z głosu jej przebijała szczerłość. — Spotkasz się z rodziną w Berlinie?

— Nie, proszę pani. Spotkam się z rodzicami przyjaciela. Przyjaciel. Ernst! Nie żyje... Dla jakiego przyjaciela ja tak szedłem? Staruszka zaczynała mnie już wkurzać.

— Kolega z jednostki... — ciągnęła, szczęśliwa, że jestem na urlopie. Miałem ochotę ją pchnąć na kratę najeżoną śrubami. Ponieważ nic nie odpowiedziałem, zmieniła temat.

— Skąd pochodzą twoi rodzice? — zagadnęła ciekawskim tonem.

— Z Wissemburga, w Alzacji. Popatrzyła na mnie zaskoczona.

— Jesteś Alzatzczykiem, chłopcze. Dobrze znam ten kraj. Miałem ochotę jej odpowiedzieć, że zna go lepiej niż ja.

— Tak, jestem Alzatzczykiem — rzekłem dla świętego spokoju.

Staruszka zaczęła opowiadać o swojej podróży do Strasburga. Nie słuchałem jej. Przywołując wspomnienie o Neubachu, zdążyłem już się zirytować. Miałem co innego do roboty niż wysłuchiwanie opowieści o jej podróżach. Była piękna pogoda, miałem urlop, powinienem oglądać miłe oku widoki. Kiedy pomyślałem, jak mam się zachować, gdy przyjdę do Neubachów, ogarnął mnie niepokój. Ci ludzie stracili syna i byli zapewne zrozpaczeni. A poza tym... Cholera! Może jeszcze nic nie wiedzieli? Jezus Maria! Jeżeli tak, jak mam im to powiedzieć?

Nie. Odwiedzę rodzinę Ernsta przed powrotem do Rosji. Do tego czasu prawdopodobnie zostanie powiadomiona. Halls miał rację. Powinienem z nim jechać. Boże drogi!

Przynajmniej on był żywy!

Dochodzimy do wielkiego skrzyżowania naprzeciw mostu na jakiejś rzece. Wiadomo mi, że przez Paryż przepływa Sekwana, lecz nie wiem, czy w Berlinie jest Łaba czy może Odra. Z prawej strony widzę ogromny kompleks gmachów. To Schloss von Kaiser Wilhelm. Przed nami, po drugiej stronie alei, wznosi się imponująca ściana bohaterów wojny 1914-1918. Niesamowity widok! Tysiąc dwieście hełmów z poprzedniej wojny wbitych w nawierzchnię placu daje wyobrażenie męczeństwa. U stóp pomnika, po cementowej nawierzchni, dwóch strażników z gwardii Hitlera cały czas maszeruje wolnym, miarowym krokiem, co symbolizować ma marsz ku wieczności. Z precyzją, mogącą wprawić w osłupienie szwajcarskiego zegarmistrza, dwaj żołnierze oddaleni od siebie o trzydzieści metrów wykonują równocześnie w tył zwrot, odwracając się ku sobie, po czym znów rozpoczynają ten wspaniały marsz, mijają się i zwracają ponownie. Spektakl ten wywarł na mnie wielkie wrażenie.

— Jesteśmy na miejscu, mój chłopcze — rzekła staruszka. — Przejdziesz przez most, a potem pójdziesz tamtą aleją.

Wskazała mi palcem ogromną, kamienną przestrzeń miasta, gdzie miałem szukać adresu. Nie słuchałem jej dłużej. Wiedziałem już, że nie pójde do Neubachów i że jej wyjaśnienia są zbędne. Niemniej jednak rozpływałem się w podziękowaniach i radośnie ścisnąłem staruszcze dłoń. Poszła w swoją stronę, jeszcze raz życząc mi szczęścia. Mogłem się tylko uśmiechnąć. Jak tylko zniknęła, ruszyłem wściekły, z kopyta, by nadrobić stracony czas i szybko znaleźć Dworzec Zachodni.

Szedłem jak opętany bulwarem wzdłuż rzeki. Nagle rozległa się muzyka wojskowa. Z monumentalnej bramy wyszła żołnierska orkiestra w strojach tak lśniących, że mogło to przyprawić o mdłości wszystkie służby sanitarne, skręciła w ulicę i skierowała się ku mostowi. Na szczęście nie zapomniałem białostockiej lekcji. Zastygłem w postawie zasadniczej i zaprezentowałem broń przed mijającą mnie obojętnie kolumną. Dzięki licznym informacjom udało mi się po upływie półtorej godziny dotrzeć na dworzec, gdzie miałem zamiar znaleźć pociąg jadący do Francji. Na peronie, wśród kłębiących się żołnierzy, zacząłem gorączkowo szukać Hallsa. Mógł jechać tylko tym pociągiem. Miałem zaledwie kilka minut i nie udało mi się odszukać kolegi. Trudno. Wszedłem do wagonu. Podczas gdy dochodziłem do siebie po tej gorączkowej bieganinie, stolica Niemiec oddalała się w powolnym rytmie przepelnionego pociągu. Wszystko tu było inne niż w pociągach rosyjskich. Nawet żołnierze wyglądali poważnie,

zdając się stapiać ze zorganizowanym i cywilizowanym stylem życia wszystkich wielkich krajów europejskich. Kontrast był tak wielki, że zacząłem się zastanawiać, czy to co widziałem w Rosji, nie było przypadkowo złym snem.

Zapadła noc. Jechaliśmy już od trzech godzin, a ja cały czas miałem wrażenie, że przejeżdżamy przez miasto. Nie widziałem wiejskiego krajobrazu, tylko domy i domy. Nagle pociąg zatrzymał się. Nie było jednak żadnego dworca. Wszyscy wyjrżeli na zewnątrz, by zobaczyć, co się dzieje. Była noc, lecz w oddali niebo jaśniało czerwoną łuną. Słysząc było głuchy warkot przerywany odgłosami eksplozji. Od przelatujących nad nami samolotów zadrżały szyby wagonu.

— Zdaje się, że grzeją na Magdeburg — odezwał się jakiś żołnierz, który przywarł do mojego okna.

— Kto? — spytałem zaskoczony.

— Te jankeskie gnoje, do cholery — rzekł, spoglądając na mnie. — Nie jest tu bezpieczniej niż na froncie.

Nie mogłem oderwać wzroku od płonącego Magdeburga. Myślałem, że wojna jest daleko za nami. Po kwadransie powolnej jazdy pociąg znów się zatrzymał. Wzdłuż nasypu kolejowego biegali wojskowi, każąc wszystkim opuścić wagony. Zaczęto przebąkiwać, że to już koniec jazdy. Żołnierze na służbie i na przepustce musieli oddać się do dyspozycji ekip odgruzowujących miasto. I tak oto wystrojony w nowiutki mundur, z paczką „Życzymy udanego urlopu” pod pachą, musiałem dołączyć do setki zrezygnowanych chłopaków. Po półgodzinnym marszu, oślepieni gryzącym dymem na skutek licznych pożarów, przystępujemy do usuwania belek i kamieni. Bomby o opóźnionym zapłonie sięją spustoszenie wśród pozostałej w mieście ludności cywilnej. Grupy popłakujących cywili wrzaskami zapędzane są do pomocy przy odgruzowywaniu. Wszyscy uwijają się jak w ukropie. Jest noc; światło dają jedynie łuny pożarów. Pośród stosów kamieni, drewna, szkła, mebli, ramion, nóg, płoną rozerwane przewody gazowe, hucząc jak palniki.

Ekipa obrony terytorialnej rozdaje nam kilofy. Dla większej swobody ruchów zdejmujemy oporządzenie i gromadzimy je obok wozu strażackiego. Trzeba jak najszybciej odgruzować teren. Słyszymy jęki ludzi zablokowanych w piwnicach. Zatrwożone, płaczące kobiety i dzieci wynoszą cegły

i kamienie, dzięki czemu łatwiej można dostać się do wnętrza. Padają okrzyki: „Tutaj, tutaj!”, „Dalej! Tam są ludzie!”, „Szybciej! Przerwane wodociągi zatapiają piwnice! Szybciej!” Nas, jako żołnierzy, wysłała się w najniebezpieczniejsze miejsca, grożące zawaleniem. Przez szyby wentylacyjne dostajemy się do piwnic. Usiłujemy jak najszybciej rozwalić ceglana ścianę, za którą prawdopodobnie znajduje się przejście podziemne, skąd dochodzą krzyki. Oświetlając sobie drogę jedną lub dwiema latarkami, przedostajemy się przez gruzowisko. Mój kilof zagłębia się w jakąś miękką masę, prawdopodobnie w brzuch jakiegoś nieboraka zmiążdżonego pod tonami ruin. Jasna cholera! I to ma być przepustka?! Urlop upływa! Boże święty... Nagle podziemia, w których się znajdujemy, zatrzęsły się od eksplozji. To jeszcze jedna z owych zmyślnych amerykańskich bomb o opóźnionym zapłonie. Mimo wszystko nasze wysiłki zostają uwieńczone sukcesem. Pod ciosami kilofów pada ostatni mur z cegły. Z czarnej, rozległej dziury, skąd wydobywa się ogromna chmura pyłu, wychodzi gromada nieprzytomnych ze strachu, usmolonych ludzi. Niektórzy ściskają nas, płacząc z wdzięczności, inni uciekają jak szaleni. Wszyscy odnieśli jakieś rany lub obrażenia. Kaszląc, przedostajemy się do otworu, aby wyciągnąć skamieniałe z przerażenia kobiety ściskające z całych sił w ramionach swe pociechy.

Zabieram pierwsze napotkane dziecko. Pięć albo sześćoletni malec tak kurczowo wczepia się w moje spodnie, że wyszarpuje mi nogawkę z buta. Znosi się tak przenikliwym płaczem, że sekundy ciszy dla nabrania od-, dechu wydają się czymś nienaturalnym. Chłopiec ciągnie mnie do kąta, gdzie zmiążdżony regał na butelki ledwo podtrzymuje sklepienie grożące

zawaleniem. U stóp regału majaczy coś na kształt ludzkiej sylwetki zmieszanej z kupą gruzów. Malec cały czas zanosi się od płaczu, w którym pobrzmiwa beznadziejna rozpacz. Zaczynam krzyczeć:

— Licht aus! Schnell!

Ktoś podchodzi z kawałkiem świecy. Zauważam ciało kobiety przygniecionej przez metalowy regał zmiądzony pod ciężarem trzydziestu albo czterdziestu ton obsuniętych murów. Pod nią widać zaklinowane do połowy ciało dziecka. Ciągnąc za mokre i zakurzone odzienie martwej kobiety, gwałtownie wyszarpuje, jakbym chciał wyciągnąć kamień spośród wielu innych, bezwładne ciało dziecka. Chłopiec daje znaki życia. Z dwójką dzieci szybko dostaję się do wyjścia. Malca przekazuję w ramiona ratowników, natomiast zalanego łzami chłopca wynoszę trochę dalej, gdzie pozostawiam go własnemu losowi. Niech, do diaska, radzi sobie sam! W Niemczech człowiek musi uczyć się samodzielności od najmłodszych lat. Już czekają na nas kolejne prace.

I znów wyją syreny. Zapobiegliwi alianci serwują kolejną porcję bomb, aby mieć pewność, że nie zdążymy udzielić pomocy ofiarom pierwszego nalotu. Rozlegają się gwizdki. To kierownicy ekip wzywają do wycofania się.

— Wszyscy do schronów! — padają dokoła komendy.

Do jakich schronów? W promieniu czterystu metrów w zwałach zwęglonych gruzów nie sposób dostrzec ani jednego budynku. Okoliczni mieszkańcy biegną na chybił trafił w różnych kierunkach. Zagubione dzieci krzyczą wniebogłosy. Wysoko na niebie potężnieje złowrogi warkot cztero-silnikowych samolotów. Ja również zaczynam biec, ale wiem, czego szukam. To tu. Auto strażackie zniknęło, lecz nasz sprzęt leży tam nadal. Żołnierze wygrzebują ze stosu swoje oporządzenie i uciekają. Widzę już swoje. Rozpoznaję je po małej metalowej szarotce, którą przyszyłem na kawałku cielejącej skóry służącej za poduszkę. Zabieram wszystko, włącznie z karabinem... Cholera, moja paczka!

— Hej! Wy tam! Moja paczka!

W ogólnym zamięcie ktoś podrzuca mi jakąś paczkę. Wszyscy zmykają czym prędzej.

— Hej, hej! To nie ta! Zaczekajcie... Kurwa mać!

W drugim końcu miasta spada już deszcz bomb. Kurwa mać! Kurwa mać!

Przebiegam przez wolną przestrzeń, gdzie o mało co nie potraça mnie pędzący samochód. Czuję już drgania jezdni. Jakże delikatnie brzmi krystaliczny odgłos tysięcy rozpryskujących się szyb na tle potężnego huku eksplodujących cztero- lub pięciotonowych bomb.

Na zewnątrz jest coraz mniej ludzi. Jedyne kilka osób, bezradnych tak jak ja, biegną w poszukiwaniu schronienia. Na tle nieregularnych, jasnych błysków eksplozji moje obolałe od wirującego pyłu oczy dostrzegają zarysy okolicznych budynków.

Tutaj! Tak... Biała tablica z czarnym napisem „Schron trzydziestoosobowy”. Mniejsza z tym, czy jest ich tam sto, czy więcej. Schodzę kręconymi schodami znajdującymi się między dwiema ocalałymi ścianami budynku.

Pierwszy obrót, drugi obrót; zawieszona przez jakąś litościwą rękę w tym labiryncie lampa daje słabe światło. Nagle coś zagradza mi drogę! Jakiś szary przedmiot cylindrycznego kształtu, większy ode mnie! Tarasuje przejście. Jezus Maria! Usiłuję prześliznąć się między nim a ścianą. Spoglądając uważniej, dokonuję makabrycznego odkrycia. To bomba! Ogromna bomba! Jej poszarpane lotki dowodzą, że przebiła się przez cały budynek. Co najmniej czterotonowa bomba. Chyba lada moment wybuchnie! Zuriick bleiben! Robię w tył zwrot i pędem pokonuję stopnie, ogarnięty panicznym strachem. Wyskakuję szczupakiem na zewnątrz i zanurzam się w ciemną noc, którą rozświetlają, niczym olbrzymie neony, nieregularne, gwałtowne błyski. Wreszcie, krańcowo wyczerpany, padam koło jakiejś ławki na skwerze, gdzie czekam co najmniej dwadzieścia minut, aż syreny oznajmią koniec alarmu. Ponownie biorę udział w odgruzowywaniu, które kończy się — przynajmniej dla mnie — późnym rankiem. Wtedy właśnie dociera do mnie najbardziej przygnębiająca wiadomość.

Po tej strasznej nocy sposobielem się do dalszej podróży. Straciłem już dwa dni urlopu i nie mogłem sobie pozwolić na chwilę zwłoki. Zapytałem więc napotkanego faceta z obrony terytorialnej, jak mogę dojechać do Kas-sel i Frankfurtu. Facio poprosił mnie o przepustkę, przebiegł oczyma dokument, po czym kazał mi iść za sobą. Doprowadził mnie do posterunku żandarmerii wojskowej, gdzie moja przepustka zaczęła krążyć z rąk do rąk. Dzięki oszklonym okienkom ani na chwilę nie spuściłem jej z oka. Widziałem, jak na wystawionym w Achtyrce dokumencie stawiano szereg pieczętek. Wreszcie przepustka powróciła do mnie. Żandarm oświadczył urzędowym tonem, że nie mogę przekroczyć sektora magdeburgskiego. Zważywszy na dyslokację mojej jednostki, osiągnąłem już granicę ważności dokumentu.

Byłem kompletnie oszołomiony. Błądziłem oczyma po żandarmach. Nie mogłem wykrztusić ani słowa. W pierwszej chwili byłem tak zdumiony, że nie odczuwałem nawet ogromnego zawodu.

— Tak; rozumiemy pańskie rozczarowanie — odezwał się jeden z żandarmów, widząc moje oszołomienie. — Bez problemu może się pan zgłosić w miejscowym punkcie przyjęć. Bliski płaczu, wziąłem bez słowa leżący na ladzie dokument, gdyż żandarm nie śmiał mi go wręczyć, po czym skierowałem się do wyjścia.

Na zalanej słońcem ulicy nie mogłem otrząsnąć się z szoku. Czułem, że mijający mnie ludzie spoglądają na mnie jak na pijanego. Nagle zrobiło mi się wstyd. Roztrzęsiony, zacząłem szukać jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym ukryć swój smutek. Schronienie zapewniły mi ruiny pobliskiego budynku. Zaszyłem się w najbardziej ustronne miejsce. Opadłem na kamień. Gdy błędnym wzrokiem spojrzałem na biały kwadrat papieru upstrzony pieczęciami, zalałem się łzami jak dziecko. Nagle usłyszałem jakiś szmer i uniosłem głowę. Ktoś zauważył, jak wchodzę między ruiny, i szedł za mną, myśląc chyba, że jestem rabusiem. Kiedy mężczyzna zobaczył, że płaczę, poszedł swoją drogą. Na szczęście w tamtych czasach mniej uwagi zwracano na ludzkie łzy niż na kilka kartek żywnościowych. Mogłem więc chociaż rozpamiętywać swój ból w samotności.

Wieczorem wsiadłem do pociągu jadącego do Berlina, zdecydowany ostatecznie skontaktować się z Neubachami. Nie znałem adresu moich niemieckich krewnych, którzy mieszkali wtedy niedaleko stolicy. Pozostał mi więc punkt przyjęć albo Neubachowie. Jeszcze przez całą podróż przeżywałem swój dramat. Tak się cieszyłem z tej przepustki. Przecież zasługiwałem na nią. Z tego właśnie powodu zapisałem się do piechoty! A teraz tkwiłem w świecie pełnym trosk z tym bezwartościowym świstkiem papieru. Nie miałem już nawet mojej paczki — niespodzianki, którą mi podwędzono w tym cholernym Magdeburgu. Pakunek, który dostałem w zamian, zawierał jedynie brudną bieliznę jakiegoś szeregowca. Pojawię się więc z pustymi rękami u ludzi, których nie znam. Nędzna suma pieniędzy, jaką dysponowałem, nie pozwalała mi na zakup nawet najskromniejszego prezentu.

Jeszcze tego samego wieczoru dotarłem do berlińskiego punktu przyjęć, gdzie czekała na mnie racja żywności i łóżko. Za poradą jakiegoś starszego żołnierza zdałem relację z tego, co mi się przydarzyło, podoficerowi z recepcji. Ten dość sympatycznie wyglądający facet zanotował mój przypadek i polecił mi stawić się po dwudziestu czterech godzinach.

Nazajutrz z samego rana udałem się na poszukiwanie domu Neubachów. Pytając często przechodniów, po długich poszukiwaniach znalazłem się wreszcie naprzeciw domu numer 112 przy Killeringstrasse. Był to trzypiętrowy budynek, o bardzo prostej architekturze, z niewielką żwirową alejką, na której końcu znajdowała się niska metalowa furтка. U wejścia do domu stała dziewczyna mniej więcej w moim wieku, oparta o skrzydło drzwi. Po krótkiej chwili wahania podszedłem do niej, prosząc o kolejną informację.

— To tu, proszę pana — odparła, uśmiechając się szeroko. — Na pierwszym piętrze. Ale o tej porze oboje są w pracy.

—Dziękuję pani. Czy wie pani, kiedy mogę ich zastać?

— Chyba wieczorem. Od siódmej.

— Ach tak — rzekłem, myśląc już o całym dniu oczekiwania. Podziękowałem, po czym ruszyłem powoli w drogę.

Boże drogi! Co miałem robić przez tyle czasu? Zamykając furtkę, jeszcze raz posłałem słowa podziękowania dziewczynie, która skinęła nieznacznie. Na co ona właściwie czekała?

Przecież nie na Neubachów.

Kiedy przeszedłem już kilka kroków ulicą, przyszło mi do głowy, że mogłem przynajmniej trochę z nią porozmawiać. Po dłuższej chwili wahania zawróciłem, mając nadzieję jeszcze ją tam zastać. Warto było zaryzykować. Może zyska się chociaż kilka minut w tym niekończącym się dniu, jaki był przede mną. Gotów nawet byłem znieść jej drwiny, byleby tylko nie zaśmiała mi się prosto w nos. Szybko doszedłem pod numer 112. Dziewczyna ciągle tam stała!

— Myśli pan, że już wrócili? — spytała, śmiejąc się. Urządzało mnie, że odezwała się pierwsza.

— Oczywiście że nie, ale czuję się tak zagubiony w tym mieście, że wolę już raczej czekać tu na schodach niż znów poszukiwać całymi godzinami.

— Będzie pan czekał tutaj cały czas? — odezwała się najwyraźniej zdziwiona.

— Obawiam się, że tak.

— Ale przecież powinien pan zwiedzić Berlin. To bardzo interesujące miasto.

— Jestem tego samego zdania, ale już się zgubiłem i obawiam się, że mógłbym błądzić i niewiele zobaczyć.

Poza tym miałem wczoraj tak ciężki dzień, że nie były mi w głowie rozrywki.

— Jest pan na przepustce?

— Tak. Pozostało mi dwanaście dni. Nie wolno mi przekroczyć sektora berlińskiego.

— Jest pan na froncie wschodnim?

— Tak!

— Musiało być tam panu niełatwo. To widać.

Popatrzyłem na nią, zmieszany. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że przedstawiam smętny widok, ale że też musiała to zauważyć dziewczyna, w stosunku do której człowiek się kokieteryjnie zachowuje!

Zacząła mi opowiadać o osobach mieszkających na trzecim piętrze, lecz nie słuchałem jej. Myślałem uporczywie, że jeżeli jej zdaniem wyglądam jak łazarz, ta krótka rozmowa, która przypomniła mi posmak normalnego życia, lada moment się skończy. Napawało mnie to przerażeniem. Zrobiłbym wszystko, by ta chwila trwała jak najdłużej...

Próbowałem, jak idiota, zmienić nieco sylwetkę i twarz poprzez różne pozy, gesty i uśmiechy. Usiłowałem naiwnie zaprezentować siebie korzystniej. Wreszcie zapytałem ją niezręcznie, czy zna Berlin.

— O tak! — odpowiedziała, nieświadoma pułapki, jaką na nią zastawiałem. — Byłam już w Berlinie przed wybuchem wojny.

Zacząła mi opowiadać o wielu rzeczach. Dowiedziałem się, że przez część dnia studiowała, a osiem godzin pracowała w oddziałach ratowników. Po studiach chciała zostać nauczycielką. Nadal słuchałem jednym uchem. Upajałem się jedynie przyjemnością słuchania dziewczęcego szczebiotu. Chłonąc jej słowa, cały czas starałem się jej podobać. Kiedy już wyczerpała temat, zadałem jej jednoznaczne pytanie, podobnie jak feldfebel.

— Ponieważ zaczyna pani pracę dopiero o piątej, czy mogłaby pani oprowadzić mnie trochę po mieście? Oczywiście jeśli nie ma pani nic do roboty...

Dziewczyna zaczerwieniła się trochę.

— Chciałabym — odpowiedziała, spuszcżając wzrok — ale najpierw muszę porozmawiać z panią... (nie pamiętam już jej nazwiska).

— O!, mam czas. To znaczy mam dwanaście dni.

Rozśmieszyło ją to. „To dobry znak” — pomyślałam.

Rozmawialiśmy jeszcze co najmniej przez godzinę, nim wróciła rzeczona dama. Dziewczyna chciała, bym opowiadał o wojnie, mimo że zrobiłbym wszystko, byle tylko o niej nie myśleć. Oczywiście koloryzowałem. Opowiadałem o bohaterskich czynach, które nigdy nie były moim udziałem. W każdym razie opowieści o zabłoconym stepie na pewno by jej nie zainteresowały. A poza tym nie chciałem zbyt dokładnie opisywać naszej niedoli. Bałem się, że słuchając tych opowiadań, dziewczyna poczuje mdły zapach krwi i błota, że zobaczy ów niezmierny, szary horyzont, który ciągle jeszcze miałem przed oczyma, że przestraszy się i zniechęci, wreszcie, że obrazi się na mnie. Na poczekaniu zmyślałem i wyolbrzymiałem sceny i epizody, jakie znaleźć można w filmach amerykańskich. W ten sposób udało mi się podtrzymać jej wesoły nastrój. Zachwycona dziewczyna wykrzykiwała „och” i „ach”, a od czasu do czasu wybuchała śmiechem. Tak oto nasz duet, na którym mi bardzo zależało, miał szansę przetrwania.

Wreszcie przysłała pani X. Najpierw popatrzyła na nas groźnie. Paula — bo tak brzmiało imię dziewczyny — przedstawiła mnie jako przyjaciela Neubachów.

— Właściwie, proszę pani, byłem kolegą Ernsta. Prosił mnie, bym odwiedził jego rodziców.

— Rozumiem, młody człowieku. Niech pan wstąpi do mnie. Wygodniej będzie czekać. Ci nieszczęśni Neubachowie to bardzo dzielni ludzie. Strata dwóch synów w przeciągu dziesięciu dni to najprawdziwszy koszmar. Mój Boże! Oby ta wojna skończyła się, zanim coś nie przytrafi się moim!

A więc Neubachowie wiedzieli! Nie dość, że zginął Ernst, to jeszcze stracili drugiego syna...

Nie wiedziałem, że Ernst miał brata. Momentalnie powróciły tamte wspomnienia. Ernst...

Don... Tatra... „Ernst, uratuję cię! Nie płacz! Ernst!”! Jedyne widok Pauli sprawił, że te okropne obrazy rozplynęły się. Nie powinienem do tego wracać. Nie. Obok mnie Paula uśmiechała się łagodnie. Nie! Teraz jest tylko Paula. Zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć... Jakież to ciężkie!

— Drogi panie! Zostanie pan u mnie albo u Neubachów. Wybór należy do pana — odezwała się poczciwa kobieta do siedemnastolatka będącego w jej mniemaniu „drogim panem”.

— Jak zginął Ernst? — zapytała.

— Proszę mi pozwolić o tym nie mówić — odpowiedziałem, opuszczając głowę.

Ale pochylona głowa nie na wiele się zdała. Kontemplowałem oczami czubki butów, tych samych butów, co ugniatały ziemię na grobie Ernsta Neubacha. Wszystko kojarzyć mi się będzie z tym dramatem; wszystko, prócz Pauli i jej uśmiechu.

— Niech pan wymyśli coś innego na temat śmierci pańskiego nieszczęsnego kolegi — rzekła kobiecina. — Proszę nie wspominać jego biednym rodzicom o całym tym koszmarze, jakiego się domyślam po pańskim milczeniu.

— Proszę na mnie liczyć. Nauczyłem się już zmyślać.

Pani X w samą porę zmieniła temat rozmowy, zdecydowanie zbyt przykry, po czym poczęstowała Paulę i mnie dużym kubkiem kakao z mlekiem. Następnie zaczęła rozmawiać z dziewczyną. Paula pomagała pani X w szyciu.

— Mam nadzieję, Paulo, że dotrzymasz towarzystwa naszemu przyjacielowi, panu Sajerowi, i pokażesz mu Unter den Linden i Siegesallee. Młody człowiek musi się trochę rozerwać. To będzie, Paulo, twoja praca.

Gdybym mógł, rzuciłbym się tej poczciwinie na szyję!

— Ale, proszę pani, musimy to skończyć, a poza tym...

— Bła bła bła! Pokażesz panu naszą stolicę. Nie ma pilniejszej rzeczy. Gorąco podziękowałam pani X. Czy aby Paula była zadowolona, że ma wolne...? Mniejsza z tym. Byłem zbyt szczęśliwy, by roztrząsać ten problem.

Tak więc udaliśmy się na spacer, obiecując, że powrócimy na obiad. Szedłem u boku Pauli,

niemy z zachwytu. Od czasu do czasu dziewczyna starała się iść tym samym rytmem co ja, to znaczy krokiem wojskowym.

Naśladowała krok defiladowy, zapewne, by pośmiać się ze mnie. Nic jednak nie było w stanie przyćmić mego szczęścia. Potrafiłem się tylko śmiać, nic nie mówiąc. W niewielkim, pomalowanym na czerwono sklepiku sprzedawano smażone ryby. Przyszło mi do głowy, by poczęstować Paulę. Więcej uwagi przykładałem do rzeczy ważnych, jak na przykład jedzenie, niż powiedzmy do eleganckich bukietów ofiarowanych z należytyym ceremoniałem. Paula weszła za mną, cały czas urocza i uśmiechnięta. Sklepikarz, przygotowując dwie porcje ryby na razowym chlebie posmarowanym jakimś ersatzem przypominającym masło, poprosił nas o kartki na chleb.

— Kartki? Ja nie mam kartek... Jestem na przepustce.

— Wszystkie rodziny żołnierzy na przepustce mogą dostać kartki u burmistrza na okres urlopu. Znam te kombinacje. Niektórzy pobierają kartki nawet za tych, co nie żyją — rzekł gburowaty facet. Nasza radość najwyraźniej mu się nie udzieliła.

Gdybym był sam, zeżarłbym samą rybę bez tej cholernej kromki, ale w obecności dziewczyny...

— Jestem przejazdem — dodałem, uśmiechając się, by zyskać sympatię sklepikarza.

Nic nie dało się zrobić. Tym razem Paula śmiała się na całe gardło. Czułem się ośmieszony.

— J'aurai ta peau, vermine! — rzuciłem po francusku.

Facet oczywiście nic nie zrozumiał i w dalszym ciągu grzebał w swoich piecach.

Włóczyliśmy się dalej, obywając się bez posiłku. Obiad u pani X sprawił, że moje szczęście stało się zupełne. Pomimo dotkliwych braków w zaopatrzeniu pocziwa kobieta zdołała przygotować naprawdę apetyczne dania. Nie wiem, czy to na skutek braku obycia czy też może degustacji zbytnej ilości całkiem niezłych likierów, jakimi uraczyła mnie gospodyni, w każdym razie, kiedy wstałem od stołu, czułem się nienaturalnie podekscytowany. Zacząłem na całe gardło śpiewać piosenki wojskowe, jakich moje dwie towarzyszki w żadnym wypadku nie powinny śpiewać ze mną. Zdając sobie sprawę z moich porykiwań, przeproszałem pośpiesznie, po czym intonowałem kolejną, równie donośnym tonem.

Pocziwa niewiasta wydawała się rozbawiona, lecz zdradzała pewne zażenowanie. Paula wierciła się na miejscu i patrzyła na mnie jak na błazna. Pani X zorientowała się, że jestem spity, i w trosce o naczynia stołowe zasugerowała Pauli, by wyprowadziła mnie na świeże powietrze. Dziewczyna pociągnęła mnie za sobą, niezbyt zadowolona, że musi wyjść z żołnierzem, któremu mogą przyjść do głowy nie wiadomo jakie idiotyzmy.

Na schodach moja nieśmiałość ustąpiła miejsca nieprawdopodobnemu tupetowi. Objąłem dziewczynę w talii i zacząłem naśladować taniec, stuka-

Zatłukę cię, gadzino! (przyp. tłum.).

jąc ciężkimi, podkutymi butami. Paula zmarszczyła brwi i wyrwała się tak gwałtownie, że spojony alkoholem omał nie straciłem równowagi.

— Albo pan się uspokoi, albo nie wyjdę z panem! — wypaliła dziewczyna. Słyszając to, momentalnie wytrzeźwiałem. Wystarczyło, że zniknął z jej

twary uśmiech, by wprawiło mnie to w popłoch. Między patrzącą ostro Paulą, a mną, zadowolonym po dobrym posiłku, pojawiło się coś na kształt mgły; mgły, podobnej do tej, jaka unosiła się któregoś dnia nad Donem. Poczułem nagle, że jestem w okopie i widzę w urojeniach to, co przez kilka godzin było światłem mej młodości. Zadrzałem cały. Przez moją głupotę może straciłem Paulę.

— Paula! — krzyknąłem rozpaczliwie.

Stałem na schodach. Dziewczyna zeszła już na dół i zatrzymała się w otwartych drzwiach zalanych słońcem.

— W porządku. Proszę zejść — rzekła gniewnym tonem. — Ale niech pan się zachowuje jak należy.

Otepiały, stałem się na powrót szczęśliwy.

— Co pan chce zobaczyć?

— Nie wiem, Paulo. To co pani będzie chciała.

— Ale ja nie wiem, co pan chce zobaczyć.

Ogarnęło mnie przerażenie. Dziewczyna była najwyraźniej zirytowana, że musi ciągnąć za sobą podpitego wojaka. „Muszę zostać oficerem” — przebiegło mi przez skołataną głowę. Paula zmuszała mnie do decydowania o tym, na czym się nie znałem. Słyszałem równocześnie poirytowany głos Pauli i rozkazy podoficerów nakazujących mi wykonać to, co było dla mnie absolutnie niemożliwe. „Szeregowiec! Siadajcie za kierownicę tatry! No dalej! Gdzie chcecie jechać? Kontakt! Uwaga na łańcuch! Popatrzcie! Ubrudziliście mundur. Musicie uważać. Kontakt! Ruszacie? Tak jest! Herr Leut-nant,jawohl! Tak jest, Paulo! zrozumiano”!

Nagle potrząsnęła mną, chwytając za ramię i wyrывая mnie z letargu. Spojrzałem chyba na nią tak smutnymi oczyma, że usta jej zaokrągliły się ze zdziwienia.

— Idźmy aż do placu — rzekła. — Potem zobaczymy, co dalej. No, idziemy.

Wzięła mnie pod rękę. Wiedziałem, że jeśli spotka nas jakiś oficer albo żandarm, skończy się to wszystko na obozie pracy, gdyż dałem się prowadzić pod rękę na ulicy. Po chwili podzieliłem się tą uwagą z Paula.

— O! Proszę się nie przejmować — rzekła. — Ja nie jestem pijana i zauważę ich z daleka. Ponieważ prawie się nie odzywałem, Paula przejęła inicjatywę i pociągnęła mnie za sobą w tysiące miejsc. Jednak prawie niczego nie oglądałem, gdyż nie mogłem uwolnić się od smętnych myśli. Byłem przekonany, że dziewczyna spełnia tylko polecenie, oprowadzając mnie po mieście, i nic poza tym. Jakże bym chciał, by była tak szczęśliwa jak ja. Było to niemożliwe. Paula nie miała żadnego powodu, by spełnić moje pragnienia. Nie było powodu, bym

zachowywał się jak idiota, wykonując nieskoordynowane ruchy na zadbanej i funkcjonalnej ulicy. Nie było powodu, by Paula musiała cierpliwie znosić wygłupy durnego szeregowca, który miesiącami brnął w śniegu i żył w ciągłym strachu. Nie było powodu — tym bardziej że ludzie zrównoważeni nie wiedzą, że ci, którym obce jest szczęście, wrzeszczą do utraty tchu, kiedy spotyka ich radość, gdyż nie są w stanie nad tym uczuciem zapanować. To ja powinienem zrozumieć. To ja powinienem dostosować się do spokojnych ludzi. To ja powinienem nikogo gorszyć, słodko się uśmiechać, ani za szeroko, ani za sztucznie. Jeżeli nie chcę, by traktowano mnie jak jakiegoś zapaleńca albo osobę wyjątkowo antypatyczną — co często odczuwałem na własnej skórze we Francji po wojnie — to powinienem zrobić wysiłek, improwizować, nie wkurzać ludzi bezwartościowymi opowiastkami o wojnie. Nierzadko miałem ochotę ukatrupić tych, co oskarżali mnie również o fałsz. Jak łatwo jest zabić, szczególnie kiedy człowiekowi nie zależy zbyt na życiu. To ja, durny szeregowiec, co pomylił armię; to ja, durny szeregowiec, powinienem uczyć się żyć, ponieważ nie potrafiłem umrzeć. A ty, Paulo, dlaczego zwracasz mi uwagę na plamę na bluzie? Dlaczego? Dlaczego zwykła plama może zgasić twój uśmiech? Dlaczego? Dlaczego ja, co widziałem nieskończoną ilość obrzydliwych plam, ciągle jeszcze lubię się uśmiechać? Może dziś wieczór, Paulo, Neubachowie będą się śmiać, a ja, Paulo, spróbuję się śmiać tak jak ty.

O piątej godzinie w okolicach Oder Briicke Paula musiała mnie opuścić. Otrzymałem szereg wskazówek, jak wrócić na Killeringstrasse. Długo ścisnęła mi rękę, uśmiechając się współczująco. Na mojej twarzy pojawił się uśmiech szczęścia.

— Wstąpię na chwilę wieczorem do Neubachów — powiedziała. — W każdym razie zobaczymy się jutro. Dobranoc.

— Dobranoc, Paulo.

Wieczorem złożyłem wizytę Neubachom. Z rysów twarzy pani Neubach przypominała mi Ernsta. Ci nieszczęśliwi ludzie nie rozpamiętywali swego podwójnego dramatu, który w

przeciągu dziesięciu dni zniweczył ich wszystkie nadzieje. Dla nich przyszłość Europy była już bez znaczenia, gdyż ci, co powinni ją poznać, odeszli z tego świata. Pomimo ogromnego bólu, jakiego nie byli w stanie ukryć, państwo Neubachowie byli bardzo dzielni, starając się jakoś uczcić mój przyjazd. Przyłączyła się do nas również poczciwa kobiecina, która tak skutecznie spiła mnie w południe. Około jedenastej wpadła Paula, odbywając obchód. Nasze spojrzenia spotkały się, a dziewczyna uznała za zabawne napomknąć o popołudniowej scysji. — Wiecie państwo, dziś po południu musiałam przywołać do porządku naszego żołnierza. Tańczył i podskakiwał na ulicy.

Patrzyłem z niepokojem na twarze obecnych, nie wiedząc, czy dostanę burę, czy też towarzystwo zacznie się śmiać. Na szczęście wszyscy skwitowaliśmy to śmiechem.

— Oj nieładnie, Paula — rzekła droga, kochana, wspaniała kobiecina z trzeciego piętra. — Powinnaś przeprosić.

Wśród ogólnego śmiechu zarumieniona i uśmiechnięta Paula obeszła stół i ra mym chmurnym czole złożyła pocałunek. Niczym skazaniec na krześle elektrycznym, wargi młodej dziewczyny przyjąłem jak Matka Boska Zwiastowanie. W żaden sposób na to nie zareagowałem, lecz poczułem, że się czerwienię. Widząc moje zmieszanie, wszyscy jak jeden mąż wykrzyknęli:

— Przeprosiny przyjęte!

Paula radośnie zęgnęła się ze wszystkimi i zniknęła za drzwiami.

Paula! Paula! Chciałbym... Chciałbym... Nie wiem już, co bym chciał... Siedziałem, jak przygwożdżony. Oszołomiony, nie zwracałem już najmniejszej uwagi na podjętą rozmowę. Zadawano mi pytania na temat rodziców, mojego wcześniejszego życia... Bogu dzięki — nie padło żadne pytanie dotyczące wojny. Odpowiadałem, będąc myślami gdzie indziej.

Pocałunek Pauli palił mi jeszcze czoło jak gorąca łuska naboju. Paulo, na Boga! Powinienem iść z nią na patrol. Jasna cholera! Nie codziennie zdarza się okazja patrolu z dziewczyną zamiast z pięcioma czy sześcioma żołnierzami. Jasna cholera! Ale ze mnie frajer!

Mógłbym znaleźć jakiś pretekst, by opuścić towarzystwo, ale było już za późno. Musiałem grzecznie siedzieć z tymi poczciwcami. Po upływie pół godziny każdy już myślał o spoczynku. Neubachowie zaproponowali mi pokój syna. Rozpływałem się w podziękowaniach, równocześnie tłumacząc się gęsto, że jako żołnierz muszę wrócić na kwaterę. W głębi duszy nie wyobrażałem sobie, bym mógł spać w łóżku zmarłego przyjaciela. A poza tym miałem ochotę się przejść. Coś mi mówiło, że może spotkam Paulę na ulicy.

Gospodarze, wiedząc o istnieniu regulaminów wojskowych, nie nalegali. Znalazłem się więc na ulicy, pogwizdując radośnie i napawając się niespodziewanym szczęściem. Szczegółowo opisano mi powrotną drogę, toteż bez problemu odnalazłem okazały budynek, w którym mieścił się punkt przyjęć. Nie udało mi się natomiast natrafić na Paulę. Przeszedłem przez recepcję, gdzie dwóch cywili grało w karty z dwoma żołnierzami. Jednym z nich był feldfelbel, który spisał moje oświadczenie.

— Hej, wy tam! — zawołał.

Odwróciłem się momentalnie i stanąłem na baczność.

— Szeregowiec Sajer? — Ja, Hen Feldwebel.

— W porządku. Mam dla was dobrą wiadomość. Za dwa dni ktoś z rodziców przyjedzie was odwiedzić. Udało mi się uzyskać specjalne pozwolenie na przyjazd jednego z członków rodziny.

Zrobiłem oczy jak spodki.

— Ogromnie dziękuję, Herr Feldwebel. Jestem bardzo szczęśliwy.

— To widać, mój chłopcze. Późno wracasz!

Trzasnąłem obcasami i zrobiłem w tył zwrot, a karciane towarzystwo zaczęło żartować pod moim adresem.

— Wpadliśmy tylko do „Fantasio Hotel”, co?

To chyba był burdel. Spędziłem bezsenną noc, cały czas myśląc o Pauli.

Minęły dwa upojne, radosne dni. Nie odstępowałem Pauli ani na krok. Obiady jadłem u pani X, a kolacje u państwa Neubachów. Pani X, stara spryciara, domyślała się uczucia, jakie żywiłem do Pauli, i była tym zaniepokojona. Wielokrotnie usiłowała mnie przekonać, że wojna się nie skończyła i nie powinienem się zakochiwać. Pewnego dnia wszystko się dobrze skończy i wtedy będę mógł dać upust swym uczuciom, ale na razie... Chyba wszystko to wydawało jej się zbyt pośpieszne.

Moim zdaniem wojna nie miała tu nic do rzeczy. Darzyłem tę dziewczynę miłością i nie widziałem powodu, by się tego wyrzec. Była tylko jedna przeszkoda, a mianowicie ograniczony czas urlopu, a na to niestety nic nie mogłem poradzić.

Którś z rodziców miało do mnie przyjechać, toteż nie mogłem opuszczać kwatery, gdzie spędzałem noce. Trochę mnie to irytowało, ponieważ traciłem cenne chwile, jakie mogłem spędzić w towarzystwie Pauli. W dniu, kiedy miały nastąpić odwiedziny, od samego rana co najmniej pięciokrotnie pojawiałem się w recepcji, by się dowiedzieć, czy gość już przybył. Wreszcie w godzinach popołudniowych uczynny feldfebel odezwał się do mnie, nim zdążyłem mu zadać pytanie:

— Sajer, ktoś na pana czeka w izbie sypialnej.

— A! — zareagowałem, jakbym niczego się nie spodziewał. — Dziękuję Herr Feldwebel.

Wspiałem się po schodach i pchnąłem drzwi do wielkiej izby sypialnej, w której zdążyłem już spędzić kilka nocy. Z miejsca dostrzegłem pomiędzy dwoma rzędami łóżek stojącego mężczyznę w szaro-niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym. Był to mój ojciec.

Nie poznał mnie od razu. Dwóch czy trzech żołnierzy chrapało, leżąc w ubraniu na swych wyrkach. Chłopaki odpoczywały po trudach wojny albo nocy. Zdecydowanym krokiem podszedłem do o^{ca}. Zawsze darzyłem go wielkim szacunkiem.

— Dzień dobry tato — rzekłem po prostu.

— Wyglądasz jak prawdziwy mężczyzna — odezwał się ojciec, z tak charakterystyczną dla siebie nieśmiałością. — Co u ciebie? Nie pisałeś do nas zbyt często. Matka bardzo się o ciebie niepokoiła, od kiedy wyjechałeś.

Słuchałem w milczeniu, jak zawsze, gdy mówił ojciec. Widziałem, że czuje się nieswojo w samym sercu germańskiego kraju, w izbie, gdzie panowała żelazna niemiecka dyscyplina wojskowa.

— Chcesz, tato, abyśmy wyszli?

— Jak sobie życzysz. O właśnie! Przywiozłem ci małą paczkę. Namęczyliśmy się z mamą trochę, aby coś dla ciebie zdobyć. Niemcy — dodał cichym tonem, jakby mówił o kanibalach — zatrzymali ją na dole.

Ojciec, mimo że ożenił się z Niemką, niechętnie akceptował to co niemieckie. Ciągłe jeszcze nosił w sercu stare urazy z lat 1914-18 i nie mógł zapomnieć niewoli, którą — zdaje się — przeżył w całkiem znośnych warunkach.

To, że zabrali mu syna do niemieckiej armii, nie pozwalało mu słuchać spokojnie radia Londyn. W recepcji poprosiłem feldfebla o paczkę.

Oddając mi ją, żołnierz odezwał się do ojca całkiem poprawną francuszczyzną:

— Wybacz pan, ale żołnierzom nie wolno robić stołówki z izby sypialnej. Oto pańskie łakocie.

— Dziękuję panu — rzekł ojciec nieśmiałym głosem.

Idąc ulicą i rozmawiając z ojcem, sprawdzałem zawartość paczki. Szperając w kartonowym pudełku, odkryłem tabliczkę czekolady i paczkę kruchych ciastek, a na samym dnie leżała — fantastyczna sprawa! — para skarpet zrobionych na drutach przez moją babkę ze strony ojca.

— Bardzo mi się przydadzą — skomentowałem.

— Myślałem, że bardziej ucieszysz się czekoladą albo papierosami. Okazuje się, że nie

brakuje wam tego — rzekł ojciec, przekonany, że uczujemy tu od rana do wieczora. — Niemcy wszystko zabierają.

— Da się wytrzymać — rzekłem nieostrożnie. Nauczyłem się cieszyć obecną chwilą, puszczając w niepamięć minione dni.

— To tym lepiej dla ciebie, ale my jesteśmy w innej sytuacji. Twoja matka z trudem zdobywa coś do jedzenia. Nie jest różowo.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. W pewnej chwili chciałem nawet zwrócić paczkę.

— Cóż, miejmy nadzieję, że wszystko szybko się skończy. Kiepsko to się dla Niemców zaczęło. Amerykanie tu... Amerykanie tam... radio Londyn podało... Włosi... alianci...

Ładnych rzeczy się dowiadywałem! Minęła nas kolumna śpiewających marynarzy. Oddałem honory, unosząc regulaminowo prawe ramię. Ojciec spojrział na mnie jak na okupanta.

Francja, jego zdaniem, pogrążona była w takim chaosie, że koniecznie musiałem podnieść go jakoś na duchu.

Przez dwadzieścia cztery godziny słuchałem opowieści p cierpiącej Francji. Ojciec interpretował fakty tak, jakby miał przed sobą żołnierza angielskiego albo kanadyjskiego.

Stawiał mnie w kłopotliwej sytuacji. Nie wiedziałem, jak się zachować. Jak zawsze posłuszny woli ojca, odpowiadałem tylko: „Tak tato”, albo: „To prawda tato”. Wolałbym rozmawiać o czymś innym, szczególnie o tym, co przeżyłem. Bardzo chciałem powiedzieć mu, że kocham Paulę. Obawiałem się jednak, że tego nie zrozumie i że opieprzy mnie za to zdrowo.

Nazajutrz odprowadziłem go na dworzec. Ojciec był w ponurym nastroju. Jak idiota wyprężyłem się przed nim na baczność na pożegnanie. Nie sądzę, by mu się to spodobało.

Tak oto w ciepły, czerwcowy wieczór ojciec żegnał się ze mną, odchodząc, zatroskany, do pociągu. Miałem się z nim spotkać dopiero po dwóch latach. Dwa lata rozłąki, a może cały wiek...? Dwa jakże ważne lata, stanowiące siedemdziesiąt pięć procent mego życia.

Po rozstaniu z ojcem pośpieszyłem przede wszystkim do Neubachów. Przeprosiłem, że nie przedstawiłem im ojca, wyjaśniając, że mieliśmy bardzo mało czasu. Neubachowie doskonale mnie rozumieli i nie mieli o to żalu. Zachowywałem się tak niecierpliwie, że pani Neubach od razu powiedziała mi, co robi Paula. Ku memu rozczarowaniu dowiedziałem się, że przyjdzie dopiero nazajutrz w południe. Beznadziejna sprawa. Straciłem już dwadzieścia cztery godziny, do tego noc i poranek. Było to bardzo dużo zważywszy, że zostało mi już tylko siedem albo osiem dni. Bez większego entuzjazmu zjadłem kolację u państwa Neubachów, którzy uszanowali moje milczenie. Kiedy po wyjściu z domu znalazłem się na ulicy, zdecydowany byłem przemierzyć całe miasto w poszukiwaniu mej młodzieńczej miłości. Tak też zrobiłem. Poszukiwania przerwał dopiero odgłos syren. Ich dźwięk rozległ się zamiast bicia zegarów miejskich, które powinny były wydzwonić jedenastą. Przenikliwe wycie słychać było w całym mieście. Na mrocznych wskutek obowiązującego zaciemnienia ulicach gasły nieliczne światła. Startując zapewne z lotniska Tempelhof, myśliwce odrywały się od ciemnej jak niebo ziemi i z rykiem silników wzbijały się w powietrze, tuż nad dachami. Niekiedy pozostawiały za sobą świetliste, różowe smugi. W nikłym świetle reflektorów krążyły po ulicach motocyklowe patrole obrony terytorialnej, nakłaniając nielicznych przechodniów do udania się do schronów. Ciągle jeszcze panował spokój, toteż nie musiałem od razu dostosować się do zaleceń. Zresztą piwnica każdego budynku oddana była do dyspozycji potrzebujących. Chodziłem więc nadal po ulicy, poszukując Pauli, aż w końcu usłyszałem głuchy warkot nieprzyjacielskich bombowców.

Wiedziałem, że gdy rozpocznie się atak lotniczy, pojawią się ekipy obrony terytorialnej i wtedy spotkam, być może, Paulę. Przyłgnałem do futryny jakichś drzwi, naprzeciw niewielkiego wejścia do schronu mieszczącego się w masywnym budynku. Miałem stamtąd doskonały widok na podobny do kanału, skąpany w lekkiej mgle tor wodny, znajdujący się na linii horyzontu. Na północnym zachodzie pojawiła się ściana ognia, niczym jakaś nierealna iluminacja. Celem ataku były prawdopodobnie wielkie zakłady Spandau. Całe niebo usiane

było świetlistymi punktami, jak gdyby gdzieś daleko rozbłyskiwały sztuczne ognie. Liczne działa obrony przeciwlotniczej, zainstalowane nawet na tarasach budynków, odpowiadały zbliżającej się nawałnicy, tworząc gęstą zaporę śmiertcionośnych pocisków. Potężne, ciągnące się aż do ziemi błyski oznaczały za każdym razem strącenie cztero-silnikowego samolotu. Zbudowany z wielkich kamieni fronton, o który się opierałem, drżał od wybuchów o niewyobrażalnej wręcz sile. Przed moimi oczyma rozgrywał się pełen grozy spektakl: ciemności nocy rozświetlały jaskrawe błyski eksplozji. Od czasu do czasu obserwowałem ulicę i bulwary. Widziałem, jak nieliczni spóźnialscy biegną do schronów. Rozbite szyby pofrunęły w powietrze równocześnie ze spadającym dywanem bomb, które kilometr przede mną zrównywały z ziemią całą dzielnicę Berlina. Huraganowy powiew powietrza przebiegł nad kanałem, marszcząc powierzchnię wody.

Dookoła spadało tysiące przedmiotów. Mimo że nie chciałem tracić z oczu ulicy, zwyciężył strach: przeszedłem przez jezdnię, udając się w kierunku schronu. Pod moimi stopami drżał bruk, niczym nie domknięta maska wielkiej ciężarówki podczas jazdy. Wkrótce znalazłem się wśród zatrwożonego tłumu. Nie było czym oddychać. Od potężnych detonacji wydających się dochodzić zarówno z góry jak i spod ziemi pękał tynk sklepienia. Ludzie patrzyli z niepokojem na przerażone twarze współtowarzyszy, pragnąc odnaleźć w nich choć odrobinę otuchy. Nieświadome niebezpieczeństwa dzieci pytały naiwnie: „Mamo, co to takiego”? Zakłopotana matka głaskała drżącymi rękami płową główkę dziecka. Szczęśliwcy, wierzący w cokolwiek, modlili się. Oparłem się o grubą metalową rurę, czując, jak drży od pobliskich eksplozji. Huk wzmagął się, tamując dech w piersiach. Rozległy się okrzyki przerażenia. Nagle, jakby tysiąc ekspresów przetoczyło się przez piwnicę, rozległ się zagłuszający okrzyki skarg i przerażenia potężny grzmot, który długo jeszcze rozbrzmiewał w schronie. Płomyki świec zamigotały i zgasły. Rozległy się, dochodzące niby z piekieł, przeraźliwe wrzaski struchlałego tłumu. Błysnęły latarki. Wydawało się, że cały schron pogrąża się w jakiejś otchłani. Do piwnicy wtargnęła gęsta chmura pyłu.

— Zamknąć drzwi! — wrzeszczeli mężczyźni.

Gdy je wreszcie zatrzaśnięto, zdawało nam się, że znaleźliśmy się w zbiorowym grobie. Kobiety nie wytrzymały nerwowo: gestykulowały gorączkowo i wydierały się wniebogłosy. Schron zadrżał z pięć, sześć razy, wstrząsany nieprawdopodobną siłą. Pomimo straszliwego zaduchu na skutek braku świeżego powietrza, ludzie nie opuszczali go. Skamieniali z przerażenia, podobnie jak ja, tkwili ciasno jeden przy drugim. Po godzinnym siedzeniu, kiedy wreszcie nawałnica ucichła, wyszedłem z dusznej piwnicy. W łunie pożarów roztaczał się przed moimi oczami przerażający widok. Na połyskliwej powierzchni kanału odbijały się płomienie zamieniające w zgliszcza wszystko to, co jeszcze nie tak dawno wznosiło się na jego brzegach. Rozciągające się między dwiema rozpadlinami gigantyczne gruzowisko kryło resztki schludnej do niedawna ulicy z pomalowanymi na biało krawężnikami chodników. Gryzący dym unosił w niebo chmury iskier, które pochłaniała letnia noc. Dookoła widać było biegnących ludzi. Tak jak w Magdeburgu natychmiast zatrudniono mnie przy odgruzowywaniu.

Po wyczerpującej nocy i poranku odnalazłem wreszcie Paulę. Podobnie jak ja, dziewczyna ślaniała się na nogach ze zmęczenia. Gdy powiedziała mi, że bała się o mnie podczas nalotów, poczułem się tak szczęśliwy, że od razu zapomniałem o tej koszarnej nocy.

— Ja również o tobie myślałem, Paulo. Szukałem cię przez całą noc.

— Naprawdę? — odezwała się cicho. Widać było, że odwzajemnia moje uczucia.

Rozczuliło mnie to. Długo patrzyłem na dziewczynę. Zapragnąłem wziąć ją w ramiona.

Zaczerwieniłem się. Paula przerwała kłępującą ciszę.

— Czuję się przemęczona — rzekła. — A może byśmy tak wyjechali za miasto do Tempelhofu? Moglibyśmy tam trochę odpocząć.

— Myślę, Paulo, że to dobry pomysł. Jedźmy.

„Wszystko, czego tylko zapragniesz, Paulo; wszystko, czego tylko zapragniesz”!

Jechałem ze swoją pierwszą miłością osobliwym środkiem transportu publicznego, a mianowicie motocyklem, kierując się ku piaszczystym terenom okalającym wielkie lotnisko cywilno-wojskowe Tempelhof. Po zejściu z autostrady doszliśmy do niewielkiego, płaskiego wzniesienia pokrytego czymś w rodzaju porostów, gdzie położyliśmy się z ulgą. Oboje czuliśmy potworne zmęczenie. Była cudowna pogoda. W odległości dwóch kilometrów rozciągały się liczne pasy startowe. Co jakiś czas z oszałamiającą prędkością podrywał się z ziemi szkolny Focke-Wulf, lecąc na podbój przestworzy. Paula leżała na plecach z przymkniętymi oczami. Wydawało się, że zasypia. Oparty na ramieniu, pochłaniałem ją wzrokiem, jakby nic poza nią na świecie nie istniało.

Przez głowę przelatywało mi mnóstwo miłosnych wyznań, tysiące monologów...! Ale moje usta dziwnie milczały. Mimo wszystko powinienem..., powinienem jej to powiedzieć właśnie dzisiaj! Powinienem skorzystać z tej idealnej okazji, by chociaż dać jej do zrozumienia, że... Cóż za nieszczęściem jest tak wielka nieśmiałość! Płynęły minuty, Paula milczała, być może dlatego, abym ja mógł mówić. Czas uciekał, mijały dni urlopu, a mimo to miłość, jaką wzbudziła we mnie Paula, nakazywała mi milczenie. W pewnej chwili wyszeptła:

— Ależ słońce mocno grzeje...

Wybełkotałem jakieś nic nie znaczące zdanie. W końcu jednak w przypiływie odwagi zbliżyłem rękę ku dłoni dziewczyny. Gdy poczułem koniuszki jej palców, ten rozkoszny kontakt sprawił, że zawahałem się na moment. Po chwili jednak ogarnęła mnie taka zuchwałość, że zaparło mi dech w piersiach — ośmieliłem się ująć jej dłoń. Ścisnąłem ją namiętnie, a Paula nie cofnęła ręki.

Zwalczenie nieśmiałości kosztowało mnie tyle, co przejście przez pole minowe. Leżałem przez chwilę nieruchomo na plecach, by dojść do siebie. Pijany ze szczęścia, obojętny na otaczający mnie świat, obserwowałem niebo.

Paula odwróciła się twarzą do mnie. Miała zamknięte oczy. Jej ręka ścisnęła moją dłoń. Myślałem, że lada chwila zemdleję. Byłem wręcz nieprzytomny ze szczęścia. Wydawało mi się, że wyszeptalem: „kocham cię”. Natychmiast się opanowałem, nie wiedziałem jednak, czy wypowiedziałem te słowa, czy też nie. Dziewczyna leżała nieruchomo. Chyba mi się to śniło. Jednakże stało się coś, co sprawiło, że oboje unieśliśmy głowy jak na komendę. Od pobliskiego lotniska aż po berlińskie przedmieścia rozlegał się złowrogi odgłos syren. Popatrzyliśmy na siebie, zaskoczeni.

— Co, znów alarm!?

Wydawało się to mało prawdopodobne. Dienne naloty należały jeszcze wówczas do rzadkości, przynajmniej w tym rejonie. A jednak nie mogło być mowy o pomyłce. Był to rzeczywiście alarm. Wkrótce przekonaliśmy się o tym. Na pasach startowych kołowały już samoloty, nabierając prędkości.

— Startują myśliwce, Paulo. To alarm!

— Tak. Masz rację. Popatrz tam! Wydaje mi się, że do tamtego betonowego schronu biegną ludzie.

Nie było cienia wątpliwości.

— Paulo, trzeba się gdzieś schować!

— Och, tutaj jesteśmy bezpieczni. To wieś. Znów będą bombardować Berlin.

— Tak. Właściwie masz rację. Równie dobrze możemy być tu, jak w piwnicy, gdzie nie ma czym oddychać.

Nad nami z ogłuszającym hukiem przelatywała grupa niemieckich samolotów.

— Dziesięć...! dwanaście...! trzynaście...! czternaście...! — wykrzykiwała Paula, pozdrawiając Focke-Wulfy, które śmigały w powietrzu tuż nad naszymi głowami. — Niech żyją nasi

lotnicy! Hurrra!

— Naprzód, chłopaki! — wrzeszczałem, wtórując Pauli.

— Naprzód! — powtarzała Paula. — Teraz ich dostrzegą. To nie to co w nocy! Dwadzieścia dwa...! dwadzieścia trzy...! dwadzieścia cztery...! Ależ ich tam jest! Hurrra!

Trzydziestka samolotów wznosiła się w niebo. Taktyka myśliwców polegała na tym, by wzbici się jak najwyżej, a następnie zaatakować bombowce lotem nurkowym. Dlatego też Luftwaffe produkowała te fantastyczne Focke-Wulfy 190 i 195, mogące z łatwością wzbijać się pionowo w górę. Usłyszeliśmy dalekie odgłosy artylerii przeciwlotniczej.

— Może nawet nie doleczą nad Berlin.

— Oby tak się stało, Paulo.

Przestałem już myśleć o tym cholernym alarmie, przez który musiałem uwolnić rękę ukochanej. Pozwalając myśliwcom lecieć na spotkanie z wrogiem, sposobie się do kolejnego ataku. Zdażyłem już znacznie przysunąć się do Pauli, gdy usłyszałem złowrogi odgłos nadlatujących bombowców. Ich potężny warkot zagłuszał zgiełk pobliskiego miasta.

— O! popatrz, Guille! — rzekła, zniekształcając, jak zwykle, moje imię. — Nadlatują stamtąd! Patrz!

Delikatną dłonią wskazała na ogromną masę czarnych punktów rosnących w oczach na tle błękitnego nieba.

— Ale są wysoko! — rzekła. — Popatrz! Tam lecą następne!

Śledziłem oczyma lecące na Berlin dwie fale samolotów, które zbliżały się w naszym kierunku.

— Boże święty, ależ ich dużo! Odgłos potężniał, potężniał...

— Tak. Są ich setki.

— Nie sposób ich policzyć — zauważyła naiwnie Paula. — Są za daleko. Zacząłem się bać — o nią, o nas, o nasze szczęście.

— Musimy uciekać, Paulo. Tu może być zbyt niebezpiecznie.

— O nie! — rzekła beztrąsko. — Co nam tutaj może się stać?

— Mogą rozwalić nas w drobny mak, Paulo! Musimy się schronić. Próbowałem pociągnąć ją za sobą.

— Popatrz! — zawołała, zafascynowana niebezpieczeństwem, które stawało się coraz bardziej oczywiste. — Skręcają w naszym kierunku. Patrz! Zostawiają białe smugi. Ciekawe. Wkroczyła do akcji obrona przeciwlotnicza. Tysiące luf ziało ogniem na napastników.

— Chodź szybko! — krzyknąłem do dziewczyny, chwytając ją mocno za rękę. — Zrozum. Trzeba się schować.

Schrony na terenie lotniska znajdowały się zbyt daleko, abyśmy mogli szybko tam dobiec. Pociągnąłem Paulę w kierunku widocznego przed lasem, zagłębienia terenu.

— Gdzie nasze myśliwce?! — krzyczała Paula, oddychając ciężko.

— Może uciekły przed liczniejszym przeciwnikiem.

— O! Sam mówiłeś, że niemieccy żołnierze nigdy nie uciekają w obliczu niebezpieczeństwa.

— Ale co one mogą zrobić, Paulo? Tamtych jest co najmniej tysiąc!

— Nie masz prawa tak mówić o naszych dzielnych lotnikach!

— Przepraszam cię, Paulo. To prawda. Zdziwiłbym się, gdyby uciekli.

I znów na umęczoną stolicę spadła lawina bomb. Niemieccy żołnierze nigdy nie uciekają. Mogłem coś powiedzieć na ten temat, gdyż sam wycofywałem się od Donu aż po Charków. Trzeba jednak zaznaczyć, że jeden niemiecki żołnierz, na przykład w Rosji, miał często przeciw sobie trzydziestu nieprzyjaciół. Ukryty w zagłębieniu, do którego niemal siłą wepchnąłem Paulę, widziałem, jak bomby zniszczyły jedną trzecią lotniska i dziewięćdziesiąt procent Tempelhofu.

W bombardowaniach dziennych zawsze uczestniczyło więcej samolotów niż w nalotach nocnych. Tamtego dnia Berlin i okolice atakowało tysiąc sto angielskich i amerykańskich

maszyn. Na ich spotkanie wyleciało około sześćdziesiąt myśliwców. Zarówno obrona przeciwlotnicza jak i nasze samoloty zadały napastnikom ciężkie straty. Zestrzelono na pewno około stu nieprzyjacielskich maszyn. Nie ocalał żaden niemiecki myśliwiec. Niemieccy lotnicy nie uciekli przed wrogiem.

Widziałem wyraźnie wiązki bomb spadające ze świstem z wysokości siedmiu albo ośmiu tysięcy metrów na Tempelhof i lotnisko. Czułem, jak od potężnych bombardowań drży cała równina, widziałem, jak rozpada się ziemia, jak wylatują w powietrze domy, jak eksplodują znajdujące się na lotnisku zbiorniki benzyny, a szalejące płomienie palą ziemię na przestrzeni setek metrów. Widziałem, jak liczące sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców przedmieście znika w ogromnej chmurze dymu. Patrzyłem szeroko otwartymi oczyma na to trzęsienie ziemi, w wyniku którego waliły się dziesiątki drzew, czyniąc straszliwy łoskot. Słyszałem, jak trafione samoloty wyją całą mocą silników, obserwowałem ich śmiertelne piruety, upadki i eksplozje. Widziałem, jak jeden Focke-Wulf, zanim roztrzaskał się na autostradzie, wyrzucił dodatkowy zbiornik na paliwo, który spadł pięć czy sześć metrów od naszej kryjówki, oblewając nas benzyną. Czułem na twarzy gorący powiew eksplozji. Widziałem przerażenie w oczach Pauli, która przytuliła się do mnie. W powietrzu latały rozżarzone szczątki samolotów, zmuszając nas do schowania się na samym dnie kryjówki. Dziewczyna ukryła głowę między moim barkiem a policzkiem. Czułem drgającą od wybuchów ziemię i drżenie Pauli.

Przytuleni do siebie niczym przerażone dzieci, byliśmy biernymi świadkami kataklizmu. Samoloty dawno już odleciały, gdy bomby z opóźnionym zapłonem, które spadły na Tempelhof, dokończyły dzieła zniszczenia. W wyniku nalotu zginęło tam dwadzieścia dwa tysiące ludzi. Również sam Berlin padł ofiarą bombardowań, toteż ekipy ratowników miały mnóstwo pracy. Ulice ciągle były zasypane gruzem w wyniku nocnych ataków. Dzielnica Spandau cały czas płonęła. W południowo-zachodniej części stolicy bomby z opóźnionym zapłonem eksplodowały nawet piętnaście godzin później. Tempelhof otrzymał śmiertelny cios.

Wyszliśmy z kryjówki prawie nieprzytomni. Na skutek zmęczenia i niedawnych emocji Paula była cała roztrzęsiona. Kurczowo chwyciła się mego ramienia. Nie mogła opanować nerwowego drżenia.

— Guille — rzekła. — Niedobrze mi. Popatrz. Jestem cała brudna.

Wydawało się, że Paula postradała rozum. Po raz kolejny jej głowa opadła mi na ramię. Niemal bezwiednie zacząłem ją nieśmiało całować w czoło. Wyczerpana do granic możliwości, dziewczyna nie protestowała.

Nie mogłem uwolnić się od myśli, jakimi pochłonięty byłem na początku naszej wycieczki za miasto. Nie czułem już żadnego skrepowania, by w ten sposób całować Paulę. Moje uczucie zdawało się przekraczać etap szczeniackiego flirtu. Całowałem jej włosy, jakbym starał się pocieszyć roztrzęsione dziecko. Przed oczyma pojawił się płaczący chłopiec z Magdeburga. Powróciło też wspomnienie Ernsta, wspomnienie wszystkich łez i niedoli. Ja sam starałem się wykrzesać choć odrobinę współczucia dla innych. Zaznałem zbyt wiele cierpień, bym tak po prostu mógł zaakceptować teraz swe szczęście, zapominając o wszystkim innym. W tym ogarniętym wojenną pożogą świecie moja miłość do Pauli wydawała się czymś niemożliwym. Dopóki w tumanach kurzawy zasnuwającej walące się domy słyszeć będę dokoła przeraźliwy płacz dzieci, nie będę mógł cieszyć się własnym szczęściem. Tamtej cudownej wiosny nie sposób było przewidzieć, co przyniesie kolejny dzień; nic nie wydawało się pewne, być może poza moją miłością do Pauli — miłością, dla której nie widziałem, niestety, perspektyw.

Trzy czwarte nieba pokryte było dymami niezliczonych pożarów obracających w perzynę Tempelhof, budynki przy autostradzie i Berlin. Błądziłem wzrokiem od jasnych włosów Pauli po apokaliptyczny krajobraz.

Jeszcze raz padliśmy na trawę. Nie wiedziałem, co powiedzieć, by dodać dziewczynie otuchy. Kiedy doszliśmy trochę do siebie, wolnym krokiem podążyliśmy w kierunku autostrady. Załadowane ludźmi ciężarówki jechały na pomoc zniszczonemu Tempelhofowi. Jeden z pojazdów zatrzymał się na naszej wysokości, mimo że nie dawaliśmy żadnych znaków.

— Wskakujcie! Będziecie tam potrzebni! Popatrzeliśmy na siebie.

— Tak, oczywiście. Już idziemy.

— Chodź, Paulo. Pomogę ci wsiąść.

Ciężarówki zabierały po drodze wszystkie napotkane osoby. Część miasta pozostawiono na pastwę losu, aby uratować chociaż resztę. Całymi godzinami pracowaliśmy bez wytchnienia, wydobywając z gruzów rannych. Wszyscy członkowie Hitlerjugend z pobliskich koszar z niezwykle poświęceniem pracowali w najniebezpieczniejszych miejscach. Niektórzy z nich przypłacili życiem swój heroizm, ginąc pośród płonących belek.

W późnych godzinach nocnych udało nam się schronić w jakimś mieszkaniu. Trzy czwarte lokalu uległo zniszczeniu. W głowach pulsowało nam ze zmęczenia. Padliśmy na łóżko i leżeliśmy, zmordowani, w milczeniu. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywaliśmy się w ciemności izby. Na skutek wyczerpania wydawało nam się, że tysiące świetlistych motyli tańczy nam przed oczami. Wrażliwa siatkówka oka nawet w półśnie zdawała się rejestrować blaski pożarów. Poobcierana ręka Pauli bawiła się guzikiem mojej zakurzonej bluzy.

— Myślisz, że wolno nam tu spać? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. W każdym razie...

— Jeśli ktoś nas tu zobaczy, będziemy mieli kłopoty. O czym myślała Paula?

— Gwiżdżę na to. Zdycham ze zmęczenia.

Dziewczyna ssła bolący palec. Nic nie odpowiedziała. Gotowy na spotkanie z Bogiem albo nawet z diabłem, objąłem Paulę ramieniem i z miejsca zacząłem całować ją do utraty tchu. Poobcierane od odgruzowywania ręce Pauli zagłębiły się w mojej czuprynie. Przez długi czas staraliśmy się nadrobić to, czym nie dane nam było zająć się po południu... Wreszcie znużeni zapadliśmy w głęboki sen.

Następny dzień spędziliśmy na odgruzowywaniu Berlina. Trwało ono przez cały tydzień. Wieczorem zastąpili nas kolejni ochotnicy. Pragnęliśmy umożliwić mieszkańcom powrót do normalnych zajęć. Na szczęście nie zaciągnięto mnie do dalszego odgruzowywania. Mając wolny czas, powinienem był pomóc w uprzątnięciu ruin Tempelhofu.

Minęły kolejne dwa dni, kiedy mogłem wreszcie cały czas przebywać z Paulą. Codziennie wyciągałem z otrzymanej od ojca paczki czekoladę i papierosy, którymi raczyliśmy się w chwilach szczęścia. Berlin leczył rany i grzebał zmarłych. Długie orszaki pogrzebowe przemierzały ulice miasta. W bohaterskiej stolicy życie powracało do normy.

Pozostało mi już tylko pięć dni urlopu. Na myśl o rychłym wyjeździe ogarniało mnie przerażenie. Również Paula obawiała się tej chwili. Ukochana dziewczyna starała się robić wszystko, abym o tym nie myślał. Na szczęście nic innego nie zakłócało spokoju ostatnich dni. W wyniku nalotów dom Neubachów stracił szyby, a część dachówek nadawała się do wymiany. Trzy bomby spadły na znajdujący się sto pięćdziesiąt metrów od ich domu plac, przypominający teraz ulicę Mińska.

Matka Pauli, którą zdążyłem poznać, zaczęła się dziwić, że córka ciągle ze mną przebywa. Oprócz spotkań w ciągu dnia, jeszcze każdego wieczoru znajdowaliśmy jakiś pretekst, by udać się na spacer. Poczciwa kobieta, zdając sobie sprawę, w jakich ciężkich czasach przyszło żyć młodym ludziom, okazała się pobłażliwa i chcąc nie chcąc, akceptowała nasze eskapady. Któregoś wieczoru Paula, mająca trochę więcej pieniędzy niż ja, zaprosiła mnie do kina. Obejrzeliśmy bardzo dobry film pod tytułem „Immen See”. Był to poetycki obraz o wodnych liliach na jeziorze.

Tak oto w towarzystwie uroczej Pauli spędzałem wolny czas aż do dnia, kiedy musiałem spakować rzeczy, by udać się na Dworzec Śląski. Wyjeżdżałem wieczornym pociągiem o

godzinie siódmej. Państwo Neubachowie zorganizowali wzruszające pożegnanie. Rozumieli, że ostatnie chwile urlopu pragnę spędzić z Paulą, którą traktowali jak moją narzeczoną. Pani Neu-bach nalegała, abym wziął koszulę i gruby pulower Ernsta. Pan Neubach dorzucił do tego cygara, mydło i dwie puszki konserw. Oboje uściskali mnie serdecznie, zobowiązując do odwiedzin podczas następnego urlopu. Obiecałem, że od czasu do czasu będę dawał o sobie znać, prosząc ich jednocześnie, by opiekowali się Paulą.

— Myślę, że się kochacie. Co ty na to, mój chłopcze? — spytała mnie pani Neubach.

— O tak! proszę pani — odpowiedziałem jedynie.

Pożegnałem się ze swymi dobrodziejami. Paula otrzymała od feldfebla pozwolenie na wejście do izby sypialnej, by pomóc mi w pakowaniu.

Niepokój ściszał mi gardło. Kiedy ujrzę znów moją małą Paulę? Kiedy...? W końcu, składając sobie uroczyste obietnice, nabraliśmy nieco otuchy. Nie warto się niepokoić. Za trzy-cztery miesiące na pewno dostanę kolejną przepustkę i Paula, moja miłość, będzie na mnie czekała.

Przyrzekła

mi to solennie. Przyrzekła, że będzie codziennie pisać. Przyrzekła, że wkrótce będzie moja i że weźmiemy ślub. Tysiąc razy szeptały mi to jej ciepłe wargi, muskając moje usta. Paulo, moja miłości, wojna niedługo się skończy! To niemożliwe, abyśmy znów musieli przeżywać tak koszmarną zimę jak ostatnio. Czuło się, że wszyscy mieli już dość i wycieńczeni żołnierze wkrótce zaprzestaną walk.

Dotarliśmy na Dworzec Śląski. Ponieważ doznał uszkodzeń, peron, z którego odjeżdżały pociągi udające się na Wschód, przeniesiono kilometr dalej. Paula, choć zdenerwowana, szła uśmiechnięta. Niosła niewielką paczkę, którą miała mi wręczyć na pożegnanie. Wzdłuż całego peronu zwisały, niczym strojne girlandy, długie sztandary ku czci żołnierzy walczących na froncie wschodnim. Zatrzymaliśmy się przed pierwszym wagonem jadącym do Poznania. Umieściłem w przedziale wypchany plecak, po czym zszedłem na peron do Pauli. Przez chwilę dostrzegłem smutek na jej twarzy. Nie, nie trzeba, nie trzeba się smuć. Tak bardzo cię kochani, Paulo. Długo trzymałem w dłoniach jej drobne ręce, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Miałem szaloną ochotę wziąć ją w ramiona, było to jednak zabronione w miejscach publicznych. Wokół przechodzili ludzie, rozmawiając głośno. Na cementowym peronie słychać było odgłos żołnierskich butów: tak jak ja chłopcy wracali na front. Wpatrywałem się w oczy Pauli obojętny na udręki innych.

Zbliżała się pora odjazdu. Poczułem przebiegające po całym ciele dreszcze, od których zdrząły mi dłonie. Na peronie pojawił się lampiarz w malinowej czapce, ogłaszając przez tubę trasę pociągu: Poznań, Warszawa, Lublin, Lwów i Rosja. Słowa te obwieszczały zarazem koniec mych szczęśliwych dni. Z niepokojem czekałem na gwizdek, który przerwie nasze ostatnie wspólnie spędzone minuty.

— Paulo...

Lampiarz w dalszym ciągu prawił o odległych sprawach...

— Paulo... Czym byłby ten urlop bez ciebie?

— Auf Wiedersehen, mein Lieber — szeptała zapłakana dziewczyna.

— Nie, kochana Paulo, tylko nie to. Proszę cię, nie tutaj. Dobrze wiesz, że niedługo powrócę.

— Ich weiss, mein Lieber, aufMorgen, Guille.

Po drugiej stronie torów przechodził pluton, śpiewając radośnie:

Eńka, my cię kochamy. Erika, my cię kochamy. Dlatego tu powrócimy. Nigdy cię nie zapomnimy.

— Widzisz, Paulo, oni mówią to samo. Posłuchaj.

Piosenka ta poruszyła mnie do głębi. Wrócę tu tylko do ciebie, Paulo. O tym mówiła ta piosenka. Gwizdek do odjazdu obwieścił koniec mych

szczęśliwych chwil. Dokoła słychać było okrzyki pożegnania. Przytuliłem Paulę, jak szalony, i całowałem ją długo.

— Einsteigen! Los! Los! Reisende einsteigeh! Achtung! Passagiere einsteigen!
Achtung! Achtung!

— Kocham cię, Paulo! Do zobaczenia. Nie trzeba rozpaczać. Popatrz, jak pięknie jest na świecie. My nie możemy być smutni.

Dziewczyna była niepocieszona. Czułem, że i ja zaraz się rozplaczę. Po raz ostatni uściskałem Paulę. Rozległ się stukot zderzaków. Pociąg ruszył. Wskoczyłem na stopień wagonu. Paula trzymała mnie ciągle za rękę. Wagony toczyły się powoli. Wiele osób na peronie płakało. Wychyleni przez okna żołnierze ściskali ręce żegnających, obejmowali dzieciaki. Paula biegła wzdłuż pociągu, który stopniowo nabierał prędkości. W końcu musiała się zatrzymać.

Do zobaczenia, moja miłości.

Była piękna pogoda i wydawało mi się, że wyjeżdżam na wieś. Długo stałem na stopniu wagonu, patrząc na znajomą sylwetkę, która zmniejszała się, zmniejszała, aż zniknęła na zawsze. Wkrótce powrócę, kochana Paulo. Nigdy jednak nie było dane mi powrócić. Nigdy już nie zobaczyłem ani Pauli, ani Berlina, ani Killeringstrasse, ani państwa Neubachów...

Paulo, weźmiemy ślub. Przysięgam ci. Wybacz, Paulo...

Wojna nie pozwoliła mi dotrzymać słowa, a w czasie pokoju przestało mieć ono jakąkolwiek wartość, co boleśnie odczułem we Francji. Wybacz, Paulo. To nie tylko moja wina. Paulo, moja miłości, podobnie jak ja zaznałaś okropności wojny, poznałaś, co to strach i niepokój. Być może — czego pragnę całą duszą — wojna cię oszczędziła. Tylko to się liczy, Paulo. Wspomnienie wojny pozwala nam pamiętać o sobie. Pamiętasz...? Wojna unicestwiła Berlin, Niemcy, Killeringstrasse, może i Neubachów, ale nie ciebie, Paulo, nie. To byłoby zbyt potworne... nie ciebie... Nie chcę... Niczego nie zapomniałem. Wystarczy, że zamknę oczy, by znów przeżyć tamte cudowne chwile. Słyszę brzmienie twego głosu... Czuję zapach twojej skóry... Ciągle trzymam w dłoni twoją rękę...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przed służbą w elitarniej jednostce Auf, marsch! marsch!

Stojąc na korytarzu zatłoczonego pociągu, pośpiesznie otworzyłem niewielkie pudełko, jakie wręczyła mi Paula na pożegnanie. Były tam dwie paczki papierosów, które jej ofiarowałem. Otrzymałem je w paczce od ojca. Ponieważ rodzic nie palił, zachował dla mnie mały zapas. W uroczym liście, dołączonym do paczuszki, pisała, że papierosy te pomogą mi przeżyć ciężkie chwile, jakie być może są przede mną. Znalazłem w niej także zdjęcie ukochanej. List przeczytałem co najmniej dziesięć razy, zanim wraz z fotografią schowałem go, jak największy skarb, w książeczce wojskowej.

Pociąg kołysał się rytmicznie. Każdy pogrążony był w myślach. Usiłowałem znaleźć trochę stabilnego miejsca przy oknie, aby natychmiast zacząć pisać list do Pauli. Jakiś durny grubas z oddziałów alpejskich musiał mi oczywiście w tym przeszkodzić.

— No i co, młodzieńcze, już po urlopie? Przepustka zawsze jest za krótka, czyż nie? Moja już też się skończyła i znów jedziemy robić „pam-pam”!

Popatrzyłem na niego w milczeniu. Facet mnie wkurzał.

— W taką piękną pogodę mają tam chyba nielekkko. Pamiętam ostatnie lato! Wyobraź sobie, że któregoś dnia...

— Przepraszam, kolego, zajęty jestem pisaniem.

— Aaa... dziewczyna, co? Cha, cha! Ciągle te dziewczyny. Cha, cha, cha! Nie masz się czym przejmować!

Miałem ochotę wepchnąć mu bagnet w brzuch.

— Dziewczyny są wszędzie! Cha, cha! Na przykład w Austrii. Otóż... Wściekły, odwróciłem się do niego plecami. Usiłowałem pisać, jednak nic z tego wyszło, gdyż panujący w wagonie zgiełk przeszkadzał coraz bardziej. Odłożyłem pisanie na później. Oparłem czoło o szybę i przez długi czas tkwiłem w takiej pozycji, patrząc bezmyślnie na krajobraz. Gwar wzrastał się; rozlegały się śmiechy. Niektórzy usiłowali żartować, byle tylko zapomnieć o wojennej rzeczywistości, o złowrogim froncie rozciągającym się od Murmańska aż po Morze Azowskie, o straszliwych walkach, w których poległo dwa miliony żołnierzy. Pociąg jechał wolno, zatrzymując się prawie na każdej stacji. Na każdej z nich wsiadali i wysiadali cywile i wojskowi. W pociągu przeważali jednak żołnierze udający się na front wschodni. Nocą dojechaliśmy do Poznania. Pobiegłem do sztabu przegrupowania, gdzie musiałem okazać przepustkę, której ważność skończyła się o północy. Następnie miałem zamiar udać się do noclegowni, gdzie spędziłem niemal całą noc, gdy jechałem na urlop. Tłok przed biurem żandarmerii ani przez chwilę nie pozwolił mi myśleć o dziewczynie, którą uważałem już za narzeczoną. Formalności przebiegały o wiele szybciej niż przy wyjeździe na urlop. Czekający w dwóch rzędach żołnierze posuwali się małymi kroczkami do przodu, jakby połykała ich jakaś diabelska maszyna obdarzona monstualnym apetytem. Po dziesięciu minutach moja przepustka była już sprawdzona, opieczętowana, zarejestrowana. Wskazano mi pociąg nr 50 udający się do Korostenia.

— Aha — odezwałem się do żandarmów zdziwionym tonem. — A kiedy odjeżdża?

— Za półtorej godziny! Macie czas.

Za półtorej godziny — pomyślałem. Czyli będziemy podróżować nocą. Podążyłem za tłumem chłopaków idących krytym przejściem wykonanym z desek w kierunku składu nr 50.

Pociąg zdawał się nie mieć końca. Składał się zarówno z wagonów osobowych, jak i towarowych, w których starano się upchać możliwie najwięcej żołnierzy.

Miotłem się w nieprawdopodobnej ciżbie, szukając wagonu, gdzie panowałyby w miarę znośne warunki. Zdecydowałem się na tylny wagon wyściełany słomą. Kierowałem się radą ojca, który powiedział mi kiedyś, że gdy wykoleja się pociąg, tylne wagony częściej niż przednie zostają na torach. Wszedłem do wagonu, torując sobie drogę pomiędzy wiszącymi nad drzwiami pięcioma parami butów.

— Do środka, młody! — wydzierali się żołnierze. — Jedziemy do rajy!

— No i co, chłopcze? Jedziesz z nami kropić do Ruskich?

— Chcesz powiedzieć, kolego, że tam wracam.

— O cholera! To po raz pierwszy musiałeś być w pieluchach!

Mimo wszystko trzymały się nas żarty. Pośrodku kłębiącej się zielonej ciżby dostrzegłem krępą sylwetkę Lensena.

— Lensen! — wrzasnąłem — Chodź tutaj!

— Do diabła! — rzekł Lensen, roztrzając dupków stojących w wejściu. — Jednak nie zdezerterowałeś.

— Ty też nie — odpowiedziałem. — Wracasz tam.

— Ze mną jest inaczej. Ja jestem Prusakiem. Nie mam nic wspólnego z brunetami, co mieszkają za Berlinem.

— Dobra odpowiedź! — wykrzyknęli rozbawieni faceci przy drzwiach.

Żarty Lensena nie na wiele się zdały. Musiał ostro szturmować drzwi wagonu.

— O! — zauważył tym samym tonem — jeszcze jeden!

— Gdzie?

— Tam! Ten długi, co zgrywa chojraka. Na Boga! To Halls!

Z miejsca wyskoczyłem z wagonu. — Kto opuszcza swoje gniazdko, ten je traci! — krzyknął któryś z chłopaków.

— Hej! Halls! — krzychałem radośnie, biegnąc mu naprzeciw. Wielgachna gęba Hallsa ożywiła się na mój widok.

— Cha, cha! Sajer! Na Boga! Zastanawiałem się, czy odnajdę cię w tym tłumie!

— To Lensen cię dostrzegł.

— O! To on też jest tutaj? Ruszyliśmy w kierunku wagonu.

— Za późno, dzieciaki! Mamy komplet!

— Tak myślisz?! — ryknął Halls, chwytając nogę jednego z wesołków, w wyniku czego facet wylądował tyłkiem na peronie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jednym susem wskoczyliśmy do wagonu.

— No dobra. To już komplet — rzekł poszkodowany, masując sobie pośladki. — Jak tak dalej pójdzie, będziemy ściśnięci jak śledzie w beczce i nawet nie da się pokimać.

— No i co, dziadu jeden? — odezwał się Halls, mierząc mnie wzrokiem. — Piętnaście dni na ciebie czekałem.

— Mój ty biedaku...! Jak opowiem ci, co się wydarzyło, przestaniesz mnie opieprzać.

— No to gadaj. Nie wiedziałem już, co powiedzieć rodzicom. Rozumiesz?!

Opowiedziałem przyjacielowi, jakie niemiłe spotkały mnie przygody.

— Do diabła! — rzekł Halls. — To faktycznie spięrzony urlop. Dlaczego mnie nie posłuchałeś? Razem byśmy pojechali do Dortmundu. Tam też były alarmy, ale samoloty tylko przelatywały. Biedaku! Faktycznie nie poszczęściło ci się.

— No cóż... — rzekłem melancholijnym tonem.

W gruncie rzeczy niczego nie żałowałem. Gdybym pojechał z Hallsem, nigdy nie spotkałbym Pauli. A ona sprawiła, że zapomniałem o płonąącym Tempelhofie.

— Rozumiem, że cię to boli — rzekł Halls współczującym tonem.

Nie miałem zbytnej ochoty na rozmowy. Halls zauważył to i zostawił mnie w spokoju. Rzuciliśmy się, jak zwierzęta, na słomę, usiłując zasnąć. Pociąg jechał, jechał, a jednostajny stukot kół na złączach szyn wydawał się powiększać dystans między Paulą a mną. Przejeżdżaliśmy przez wioski, miasta, lasy ciemne jak noc, pokonywaliśmy niekończące się przestrzenie. Pociąg jechał, jechał niestrudzenie i nieubłaganie. Jechał, gdy wstawał już dzień. Trzy godziny później przemierzał wschodnią Polskę, pokonując bagniste okolice Pińska. Jechał wzdłuż nędznych dróg noszących ślady wojny, dróg smętnych, rozoranych, zroszonych żołnierskim potem. Jechał pod niezmiernym niebem, które hen wysoko zdawało się więzić błogie lato, nie dzieląc się nim z ziemią. Kilka razy udało mi się zasnąć. Za każdym razem gdy się budziłem, słyszałem ową jednostajną melodię na dwa takty: „glang-glang... glang-glang...”.

Wreszcie, kiedy wydawało się, że dotarliśmy już na kraj świata, pociąg zwolnił i zatrzymał się na jakiejś stacyjce w polu. Parowóz uzupełniał zapasy wody i węgla. Wskoczyliśmy na prowizoryczny nasyp kolejowy, po czym, jak na komendę, setki żołnierzy zaczęło się załatwiać. W tamtych czasach niemieckim transportom wojskowym nie przydzielano żywności. Przed Korosteniem nie dostaliśmy nic do jedzenia. Na szczęście prawie wszyscy mieli jakieś zapasy. Na to też liczyła Kwatera Główna.

Pociąg ruszył w dalszą drogę. Halls wielokrotnie próbował nawiązać rozmowę. Gdy widział, że nic nie da się ze mnie wyciągnąć, odkładał to na później. Bardzo chciałem opowiedzieć mu o Pauli, ale bałem się, że nie potraktuje tego poważnie. W nocy dojechaliśmy wreszcie do Korostenia. Kazano nam wysiąść z pociągu i stanąć w kolejce przed kuchnią polową, gdzie dostaliśmy jakąś wstrętą papkę. Mogłem tylko powspominać znakomitą kuchnię pani X... Po tej wyzerce wszyscy poszli wypłukać menażki i przy okazji napić się wody, której zapasy uzupełniał parowóz.

Wsiedliśmy teraz do rosyjskiego pociągu. Warunki podróży nie okazały się bynajmniej znośniejsze. I znów jechaliśmy całą wieczność. Zarówno dzienne, jak i nocne pociągi udające się na front jechały w przyzwoitym tempie, gdyż miały pierwszeństwo. W niecałe trzy dni

byliśmy w rejonie walk. Południowy odcinek frontu zdążył się już przesunąć: zaciekle walki toczyły się teraz w rejonie Krzemieńczuka, natomiast w naszym sektorze zmieniło się chyba niewiele. Wyczerpująca podróż kolejną zakończyła się w Romnym, gdzie przeżyliśmy tyle perypetii w drodze na urlop. Po opuszczeniu pociągu ruszyliśmy gromadnie do kantyny; dano nam tam jeść i pić. Przypominaliśmy zziąbane owce, które poi się po przygnaniu do rzeźni. Następnie żandarmeria polowa przydzieliła kolejne grupy żołnierzy do odpowiednich jednostek. Zrobiono to w takim tempie, że prawie nie zdążyliśmy się połapać, o co chodzi. Było bardzo ciepło i chętnie byśmy sobie ucieli krótką drzemkę. Selekcję obserwowało wielu Rosjan. Zachowywali się jak gapie patrzący na gwarny plac targowy. Gdy naszą grupę przydzielono do dywizji „Gross Deutschland”, na rozkaz podoficera ruszyliśmy za motocyklem z przyczepą, który skierował się za miasto. Motocykl prowadził jakiś kompletny idiota. Zamiast jechać wolniej, zmusił nas do truchtu za maszyną. Panował upał, a poza tym dźwigaliśmy oporządzenie, dotarliśmy więc za miasto, dysząc ze zmęczenia.

Stabsfeldwebel zsiadł z motocykla, przywołał podoficerów, by zaznajomić ich z trasą, po czym całą naszą gromadę podzielił na kilka grup. Abyśmy mogli dojść do siebie, pozwolono nam krokiem marszowym ruszyć czterdzieste- i pięćdziesięciosobowymi grupami w kierunku naszego nowego obozu.

Ponieważ dowodzili nami żołnierze, którzy tak jak my wrócili z urlopu i nie byli zbyt zadowoleni, że muszą wracać na front, wielokrotnie zatrzymywaliśmy się po drodze.

Wreszcie dotarliśmy do obozu F dywizji „Gross Deutschland”, położonego podobnie jak Achtyrka wśród łąk i pól, mniej więcej trzydzieści pięć kilometrów od Romnego i dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Biełgorodu.

W obozie tym odbywało się intensywne szkolenie żołnierzy mających służyć w elitarnych jednostkach (wszystkie jednostki posiadające nazwy uważane były za elitarne). Czekala nas tam prawdziwa katorgia: albo po siedmiu dniach szaleńczych ćwiczeń facet lądował w szpitalu, albo przydzielano go ostatecznie do dywizji i mógł iść na wojnę, która była jeszcze większym obłędem.

Przekroczyliśmy wielką symboliczną bramę wykonaną z drzew pochodzących z pobliskiego lasu ciągnącego się na północny wschód od obozu. Zgodnie z zaleceniem podoficerów maszerowaliśmy rytmicznym krokiem, śpiewając na całe gardło: Die Wolken ziehn. U wejścia mogliśmy przeczytać wypisaną ogromnymi, czarnymi literami na białym tle dewizę dekorującą fronton tej imponującej bramy: URODZILIŚMY SIĘ BY UMRZEĆ.

Chyba każdy chłopak przełknął ślinę, przekraczając bramę obozu. Nieco dalej znajdował się napis: ICH DIENE!

Gdy w regulaminowym szyku zajęliśmy prawą część placu, podoficerowie wydali komendę „baczność”! Do naszej grupy zbliżył się potężnie zbudowany kapitan, mając po bokach dwóch sierżantów.

— Baczność! — krzyknął dowódca grupy.

Powolnym, lecz stanowczym ruchem olbrzym oddał nam honory, po czym podszedł do nas i zaczął iść wzdłuż szeregu, mierząc badawczym wzrokiem każdego z nas. Wszystkich przewyższał o głowę. Nawet Halls nie mógł się z nim równać. Kiedy byliśmy już wystarczająco przygwożdżeni do ziemi jego niesamowicie surowym spojrzeniem, kapitan wycofał się, dołączając do obu sierżantów tkwiących nieruchomo w miejscu niczym majestaticzne cedry.

— WITAM PANÓW! (słowa te dźwięczały niczym odgłos wbijanych w ziemię pali).

WIDZĘ PO WASZYCH TWARZACH, ŻE SPĘDZILIŚCIE ZNAKOMITY URLOP

CIESZY MNIE TO (wydawało się, że nawet

Służę (niem.).

ptaki zamilkły, słysząc ten potężny głos). OD JUTRA JEDNAK ZACZNIECIE MYŚLEĆ O SPRAWACH, KTÓRE ABSORBUJĄ NAS WSZYSTKICH.

Do obozu zbliżyła się kompania pokrytych kurzem żołnierzy. Na rozkaz dowódcy zatrzymała się przed bramą, by nie przerywać przemówienia kapitana.

— Od jutra rozpoczynamy ostre szkolenie, po którym będziecie najlepszymi żołnierzami na świecie. Feldwebel! — rzekł jeszcze głośniejszym tonem. — Nowy pluton ma pobudkę jutro o świcie.

— Jawohl, Hen Hauptmann.

— Dobranoc panom.

Miał już się oddalić, kiedy nagle zmienił zdanie. Nieznacznym skinieniem palca przywołał czekającą pod bramą kompanię. Gdy żołnierze o nagich, szarych od kurzu tułowiach pojawili się na naszej wysokości, kolejnym ruchem palca zatrzymał pododdział.

— Oto wasi nowi koledzy — zwrócił się zarówno do jednych jak i drugich. — Przywitajcie się.

Trzystu facetów o zmordowanych z wysiłku twarzach wykonało w prawo zwrot i wykrzyknęło:

— Dziękujemy, koledzy, że przybyliście do nas!

My z kolei zaprezentowaliśmy broń. Kapitan skinął z zadowoleniem głową i oddalił się. Jak tylko zniknął, obaj sierżanci, którzy mu dotychczas towarzyszyli, zaczęli się zachowywać, jakby nagle wstąpił w nich jakiś diabeł. Z miejsca zagonili nas do kwater mieszczących się w barakach.

— Cztery minuty na zakwaterowanie! — ryknęli.

Zapominając o wyczerpującym marszu, prężyliśmy się na baczność przy dwupiętrowych łózkach. Nasi sterroryzowani podoficerowie zarządzili apel pod czujnym wzrokiem obu obozowych feldfebli. Ci ostatni zaznajomili nas z regulaminem dotyczącym porządku, czystości i dyscypliny. Następnie, chociaż była jeszcze bardzo wczesna pora, poradzili nam, abyśmy udali się na spoczynek, gdyż nazajutrz musimy być w pełni sił. Wiedzieliśmy, że słowo te w niemieckiej armii mają znaczenie odmienne od potocznego. Wyraz „zmęczenie” nie miał tu nic wspólnego z wyczerpaniem ludzi, jakich znam od czasu zakończenia wojny. Na skutek wycieńczenia dobrze zbudowany facet ważący z siedemdziesiąt kilogramów mógł w przeciągu kilku dni stracić piętnaście. Kiedy oba wilkołaki zniknęły, zatraskując za sobą drzwi, popatrzyliśmy na siebie niespokojnie.

— Zdaje się, że nie będzie tu żartów — rzekł Halls, który zajął dolne łóżko.

— Jezu! Widziałeś kapitana?

— Widziałem tylko jego — odpowiedział. — I już dziś boję się dnia, kiedy da mi kopniaka w dupę.

Na zewnątrz pluton w ubraniach maskujących wychodził chyba na nocne ćwiczenia.

— Przepraszam cię, Halls, ale muszę do kogoś napisać. Zrobię to teraz, dopóki jest jeszcze jasno.

Feldfelbel dał nam do zrozumienia, że po apelu wieczornym nie wolno bez wyraźnej potrzeby używać świec.

— Pisz! — odparł Halls. — Zostawiam cię w spokoju. Wyciągnąłem pośpiesznie kartkę, której nie udało mi się zapełnić podczas podróży, i zacząłem pisać namiętny list do Pauli: Moja ukochana...

Opisałem jej podróż i przybycie do obozu F.

Tu wszystko w porządku, Paulo. Myślę tylko o Tobie. U nas jest spokojnie. Pamiętam każdą wspólnie spędzoną chwilę i umieram z niecierpliwości, by Cię zobaczyć.

Bardzo Cię kocham.

Ledwie słońce zaróżowiło wierzchołki drzew, gdy o ścianę baraku trzasnęły z hukiem drzwi, jakby Ruscy byli tuż tuż. Przenikliwe dźwięki gwizdka feldfebla zerwały nas na równe nogi.

— Mycie za trzydzieści sekund! — ryknął. — Wszyscy na golasa przed barak na gimnastykę! Stu pięćdziesięciu facetów ze świecącym tyłkiem i kutasem na wietrze rzuciło się do znajdujących się po drugiej stronie budynków koryt ze świeżą wodą. Nieco dalej, w świetle budzącego się dnia, pod czujnym okiem kolejnego anioła stróża czołgali się żołnierze. Błyskawicznie umyliśmy się i w należyтым szyku stanęliśmy przed barakiem. Na szczęście był to początek lipca, toteż nie drżeliśmy z zimna. Feldfelbel wyznaczył jednego z nas do prowadzenia gimnastyki aż do swego powrotu. Ćwiczenia polegały na ruchach ramion w różnych kierunkach, skłonach najpierw tak, aby dotknąć stóp, a potem dotknąć ziemi jak najdalej w bok, po czym wszystko rozpoczynało się od nowa.

— No dalej! — krzyknął przed odejściem feldfelbel. — I nie przerywać mi ćwiczeń! Przez długie minuty, może kwadrans, machaliśmy w ten sposób ramionami w powietrzu. Kiedy pojawił się feldfelbel, każąc nam przerwać ćwiczenia, czuliśmy, jak kręci nam się w głowie.

•— Za czterdzieści pięć sekund zbiórka w tym samym miejscu w pełnym oporządzeniu! Raus!

Po czterdziestu pięciu sekundach stu pięćdziesięciu żołnierzy w stalowych hełmach stało w należyтым szyku przed sztandarem. Czuliśmy szalone pulsowanie w skroniach. Mieliśmy poznać Hen Hauptmanna Finka i jego budzące grozę metody szkolenia. Kapitan pojawił się w bryczesach z baranej skóry i ze szpicrutą pod pachą.

— Baczność! — krzyknął feldfelbel.

Kapitan zatrzymał się w należytej odległości, wolno wykonał w tył zwrot i oddał honory sztandarowi. Padła komenda: „prezentuj broń”!

— Spoczniej! — rzekł spokojnym głosem wielkolud, odwracając się w naszym kierunku.

— Sierzancie! Dziś będziecie mi tylko towarzyszyć. Aby uhonorować nowo przybyły pluton, poprowadzę ćwiczenia osobiście.

Kapitan zmienił lekko pozycję, przez chwilę popatrzył na jasną już od słońca ziemię, po czym uniósł gwałtownie głowę.

— Baczność!!!

Wykonaliśmy komendę w jednej setnej sekundy.

— Świetnie — odezwał się słodkim głosem, po czym nonszalanckim krokiem podszedł do pierwszego szeregu. — Panowie! Odnoszę wrażenie, że nieco pochopnie wybraliście służbę w piechocie. Nie wiecie chyba, że elitarne formacje piechoty nie mają nic wspólnego z jednostkami pomocniczymi, które dobrowolnie opuściliście. Na pierwszy rzut oka nikt spośród was nie wydaje się zdolny do nowej służby. Mam nadzieję, że się mylę i że udowodnicie mi pomyłkę. Mam też nadzieję, że nie zmusicie mnie do tego, abym wysłał was do oddziału karnego, byście tam doszli do wniosku, że pomyliliście się co do swych możliwości (słuchaliśmy faceta, przejęci, mając w głowie kompletną pustkę).

— Zadania, których wcześniej czy później się podejmiecie, są poważniejsze, niż sobie to wyobrażacie. Nie chodzi tylko o umiejętne posługiwanie się bronią czy o wysokie morale. Musicie wykazać się wielką — powtarzam — wielką odwagą, męstwem, nieustępliwością, wytrzymałością, odpornością, i to w każdej sytuacji. Dywizja „Gross Deutschland” ma prawo do oficjalnego raportu publikowanego w całej Rzeszy. Nie każdej jednostce przysługuje taki przywilej. Aby na to zasłużyć, potrzebujemy mężczyzn, a nie ciurów jak wy. Ostrzegam was: tu nic nie jest łatwe, niczego się nie wybaczają, a wobec tego każdy musi się pilnować.

Nie wiedzieliśmy, jaki przybrać wyraz twarzy.

— Baczność! — krzyknął kapitan. — Padnij!

Bez zastanowienia rzuciliśmy się na piaszczystą ziemię. Wówczas kapitan Fink podszedł do nas krokiem plażowicza i zaczął stąpać po kobiercu z ludzkich ciał. Oficer przemawiał dalej, a jego buty obciążone masą co najmniej stu dwudziestu kilogramów prasowały ciała sparaliżowanych ze strachu chłopaków. Pięty kapitana z namaszczeniem dotykały pleców,

pośladków, rąk, hełmów. Nikt nie śmiał zaprotestować.

— Dzisiaj — kontynuował swój wywód — udam się z wami na małą przechadzkę, aby ocenić wasze możliwości.

Podzielił nas na dwie grupy. Jedna liczyła sto — druga pięćdziesiąt osób.

— Dzisiaj, panowie — zwrócił się uprzejmym tonem do pięćdziesięcio-osobowej grupy, w której ani Halls, ani ja się nie znaleźliśmy — jesteście szczęśliwcami udającymi rannych.

Jutro wy zajmiecie się kolegami. Grupa

rannych: padnij! — krzyknął, po czym odezwał się do nas: — Po dwóch na rannego!

Halls i ja wzięliśmy na zrobione z rąk krzeselko skulonego chłopaka ważącego co najmniej osiemdziesiąt kilo. Kapitan Fink poprowadził nas do bramy. Doszliśmy w ten sposób aż do falistego terenu odległego chyba kilometr od obozu. Kolega czuł się coraz pewniej w roli rannego, my za to mieliśmy wrażenie, że zaraz odpadną nam ręce. Po dotarciu na niewielkie wzniesienie musieliśmy zejść na drugą stronę. Stopy obsuwały nam się na stromym zboczu. — Kiedy skończy się ta zabawa? — myśleliśmy. Upał dawał się coraz bardziej we znaki; pod mundurami lał się z nas pot. Niektórzy wyczerpani faceci choć na sekundę stawiali na ziemię tak zwanych rannych. Jednak za każdym razem Fink z pomocą feldfebla wyławiał slaniającą się ze zmęczenia grupę, każąc jej wykonywać jeszcze cięższe ćwiczenie: pojedynczy żołnierz musiał nieść na plecach kolegę. Kiedy zeszedliśmy ze wzniesienia, czułem, że zaraz nadejdzie moja kolej.

— Już nie mogę, Halls. Bolał mnie nadgarstki. Zaraz go upuszczę — szeptałem.

— Oszalałeś?! Musimy wytrzymać. Wolisz sam nosić faceta?

— Wiem, Halls, ale to silniejsze ode mnie — odpowiedziałem, wykrzywiając z wysiłku twarz.

— No dalej, naprzód! — wykrzykiwał kapitan. — Los, los!

Halls swoimi silnymi dłońmi z całej siły ścisnął mi nadgarstki, abym tylko nie rozluźnił chwytu. Za nami żołnierze, nie mogąc złapać ze zmęczenia tchu, potykali się na kamienistej ziemi, niosąc kolegów wraz z całym oprządzeniem.

Feldfelbel wrzeszczał jak opętany, starając się ich zachęcić do jeszcze większego wysiłku.

Halls, mimo że był o wiele silniejszy ode mnie, zaciskał zęby, a strumyki potu spływały mu po twarzy.

— Wybaczcie, chłopaki — mamrotał facet, którego nieśliśmy. — Przecież ja sam wolałbym iść.

Z wielkim trudem doszliśmy do zalesionego wzniesienia, na które udało nam się wejść z ogromnym wysiłkiem. Daleko za nami niosący samodzielnie kolegów nieboracy, cały czas poganiani przez feldfebla, potykali się, aż żal było patrzeć. Kapitan obserwował nas nieustannie. Z każdym metrem mieliśmy nadzieję, że padnie wreszcie komenda kończąca ćwiczenie, ale po pokonaniu kolejnego kroku czekał na nas następny, wymagający jeszcze większego wysiłku.

Czułem, jak w zeszywniałych od ciężaru rękach przestaje krążyć krew.

— Już nie mogę! Puść mnie, Halls! Puść mnie!

Halls nic nie odpowiedział, tylko zacisnął zęby. Ból stał się nie do zniesienia. Rozluźniłem chwyt, tak że tylko Halls podtrzymywał kolegę. Nie mogłem już dłużej tego znieść. Kolumna rozciągnęła się znacznie. Żołnierze coraz częściej upuszczali kolegów na ziemię. Kapitan Fink kazał tworzyć kolejne grupy dwuosobowe. No i wreszcie nadeszła moja kolej.

Jęcząc z bólu, wstrząsałem rękami, z których odpłynęła krew. Nagle dostrzegłem gigantyczny cień kapitana. Musiałem wziąć na swe wątłe barki cięższego ode mnie kolegę. Mimo wszystko przydała mi się zmiana pozycji. Gdy wolno ruszyłem w dalszą drogę, huczało mi w głowie.

Ta droga krzyżowa trwała jeszcze prawie godzinę. Pod koniec wszyscy myśleliśmy, że za chwilę stracimy przytomność, że to już absolutny kres naszych możliwości. Jednak kapitan

Fink ciągle był zdania, że nastąpi on trochę później. Wreszcie zdecydował, abyśmy doskonalili innego rodzaju umiejętności.

— Ponieważ wydajecie mi się zmęczeni, proponuję wam ćwiczenie w pozycji poziomej, abyście mogli odpocząć. Wyobraźcie sobie — rzekł lirycznym głosem — że za tamtym pagórkiem (odległym o mniej więcej kilometr) jest bolszewickie gniazdo oporu. Wyobraźcie też sobie — ciągnął dalej, przybierając wobec nas bardzo dobronuduszy ton — że istnieje konkretny powód, aby je opanować. Wyobraźcie sobie ponadto, że jeżeli pójdziecie tam normalnie, bolszewicy zatroszczą się o to, abyście się położyli. Wobec tego macie być niewidoczni nad ziemią i czołgać się aż do tamtego pagórka. Ja idę pierwszy i strzelam do wszystkiego, co zauważę. Zrozumiano?

Patrzyliśmy na niego w osłupieniu.

Olbrzymi kapitan ruszył naprzód, wyciągając mauzera z kabury przy pasie. Czas, w jakim pokonał odległość dzielącą nas od wzniesienia, to jeden z nielicznych momentów, kiedy mogliśmy złapać trochę oddechu w trakcie trzytygodniowego szkolenia. Nie spuszczać z oka kapitana idącego na swoją pozycję, zaabsorbowani byliśmy tylko jedną myślą: czy przypadkiem się nie przestyszeliśmy... ?

Na komendę feldfebla padliśmy plackiem na ziemię i zaczęliśmy się czołgać. Sierżant ruszył biegiem, by dołączyć do kapitana. Pokonywaliśmy powoli kamieniste zbocze. Halls uwijał się z mojej lewej strony. Kiedy rzuciliśmy się na ziemię, cel, do którego mieliśmy dotrzeć, wydał się jeszcze odleglejszy. Po pokonaniu mniej więcej czterech piątych trasy zauważyliśmy niewielką jeszcze sylwetkę kapitana. Facet natychmiast zaczął strzelać. Zastanawiając się, co może nam się stać, przez chwilę zawahaliśmy się, nim ruszyliśmy w dalszą drogę. Jednak rozlegający się cały czas gwizdek znajdującego się w oddali feldfebla uświadomił nam, że trzeba się czołgać. Kapitan zapewne otrzymał rozkaz, by nie ranić chłopaków: w przeciwnym razie nie sądzę, by wahał się celnie strzelać.

Kule jego pistoletu gwizdały między nami. Wreszcie jednak udało nam się osiągnąć cel. Zabawa ta wcale nie była taka niewinna. W ciągu ponad dwudziestu dni szkolenia pochowaliśmy przy dźwiękach pieśni „Miałem kolegę” czterech towarzyszy będących ofiarami tak zwanych wypadków podczas ćwiczeń. Około dwudziestu żołnierzy było rannych lub chorych. Były to rany od kuli albo od odłamków, infekcje od głębokich zadrapań w wyniku pokonywania zasieków z drutu kolczastego, zmiżdżenia kończyn, które dostały się między koła czołgu podczas manewrów. Musieliśmy też reanimować dwóch żołnierzy, którzy nie zdołali pokonać przeszkody wodnej, płynąc na ledwo trzymających się na powierzchni drewnianych konstrukcjach wykonanych ze starych podkładów kolejowych. Mieliśmy też oczywiście niekończące się marsze. Na przykład któregoś dnia trzeba było przez wiele godzin przemieszczać się wokół wielkiego stawu pod ogniem plutonu ostrzeliwującego brzeg, co zmuszało nas do człapania w wodzie po samą brodę. Dodam jeszcze, że w trakcie tych niewinnych ćwiczeń od czasu do czasu zanurzaliśmy w wodzie głowy. Na specjalnie przygotowanym terenie trenowaliśmy rzuty granatem, zarówno zaczepnym jak i obronnym. Ćwiczyliśmy walkę na bagnety, były też ćwiczenia na utrzymanie równowagi, kiedy to co piąty facet leciał na pysk, jak również ciągnące się w nieskończoność ćwiczenia na wytrzymałość w danej pozycji. Na przykład któregoś dnia kazano nam wejść do starej rury, która była chyba kiedyś fragmentem miejskiego gazociągu. Konstrukcja ta po obu stronach wygięta była łukowato, w wyniku czego znajdujący się wewnątrz koledzy cierpieli na klaustrofobię. Mieliśmy też wiele innych ćwiczeń. Wypada również wspomnieć, ile czasu przeznaczano na ćwiczenia; krążyły o tym legendy. Trwały one trzydzieści sześć godzin, kiedy to przewidziane były tylko trzy półgodzinne przerwy na pochłonięcie zawartości menażek i doprowadzenie siebie do porządku. Po trzydziestu sześciu godzinach przysługiwał ośmiogodzinny wypoczynek, po czym rozpoczynaliśmy kolejne trzydzieści sześć godzin ćwiczeń i tak w kółko. Czasami z głębokiego snu podrywały nas fał-

szywe alarmy. Trzeba było wtedy w rekordowo krótkim czasie stawić się na placu w pełnym oporządzeniu, by następnie powrócić do niewygodnych łóżek. Przez pierwsze dni była to dla nas prawdziwa katanga. Zabronione były nawet rozmowy. Niektórzy padali z wyczerpania, a wtedy cały pluton musiał postawić nieboraka na nogi, wymierzając mu siarczyste policzki albo oblewając go wodą.

Zdarzało się, że skrajnie wyczerpanego żołnierza doprowadzało do obozu dwóch kolegów. Zazwyczaj, kiedy dzieliło nas pięćset metrów od celu, musieliśmy uformować regulaminowy szyk, zanim przekroczyliśmy bramę, idąc krokiem marszowym ze śpiewem na ustach, jakbyśmy powracali z udanej wycieczki. Wieczorami zdarzało się, że pomimo wrzasków sierżanta, pomimo strachu przed izolatką, nie byliśmy w stanie przyjąć regulaminowej pozycji, jakiej od nas wymagał. Wściekły feldfel wyprowadzał wtedy przed sztandar długi rząd niemal zasypiających facetów, po czym gnał nas do baraków, gdzie obładowani sprzętem padaliśmy z nóg ze zmęczenia. Zasychało nam w ustach i potwornie bolały nas głowy. W obozie F nie było rzeczy niemożliwych. Kapitan Fink szedł zawsze na całość, aż zaczynały krwawić dziąsła, aż z wyczerpania kurczyła się twarz, aż ostre bóle głowy sprawiały, że zapominaliśmy o ogromnych pęcherzach na stopach zapowiadających drogę krzyżową dnia następnego. Na nic nie zdałyby się krzyki

blągające o litość! Można by usłyszeć tylko jedną odpowiedź: Auf marsch! Marsch!

Tamtego cholernego lata, które jak zazwyczaj w Rosji przyszło niemal natychmiast po zimie, panował upał nie do zniesienia. Burze były tak gwałtowne, że człowiek pływał w potokach deszczu. W obozie widziałem barki węższe od moich, które musiały to wszystko znosić — barki pokryte ranami od wrzynających się w skórę rzemieni; barki obolałe w miejscu, gdzie przykładano kolbę karabinu. Widziałem wymierzane ciosy i uderzenia szpicrutą, menażki wypełnione zaledwie do połowy jedzeniem bez smaku. Panowała atmosfera strachu, że coś się nie uda, i będzie wówczas batalion karny. Była obsesja wyniku i śmierci na polu chwały. Byli żołnierze, co stracili zdolność myślenia; koledzy, którzy patrzyli błędnymi oczyma na ziemię będącą świadkiem naszej katangi. Były też dwa listy od Pauli, których me przemęczone oczy nie mogły należycie odczytać. Były wreszcie okrutne wyrzuty sumienia, że nie udało mi się wykrzesać sił na odpowiedź podczas ośmiogodzinnego odpoczynku.

A trzy tysiące kilometrów od nas, na Zachodzie, ludzie lamentowali, że w pewnych godzinach nie można konsumować alkoholu w paryskich kafejkach, co na moje nieszczęście śmieszyło mnie pięć lat później. Wtedy ci eks--abstynenci z przymusu zwalali wszystko na mnie, wyładowując pewnego wieczoru na terenie zamku Yincennes swoje urazy na mojej osobie.

W tamtej wojnie Niemcy popełnili poważny błąd. Trzymano mianowicie niemieckich żołnierzy w ryzach gorzej jeszcze niż więźniów, zamiast pozwolić im na rabunki i gwałty, o co byli później oskarżani.

Któregoś dnia ćwiczyliśmy obronę i kontratak przeciwczołgowy. Ponieważ już wcześniej nauczono nas okopywać się w rekordowo krótkim czasie, nie mieliśmy najmniejszych trudności, by w miękkiej ziemi wykopać tran-szeję długą na sto pięćdziesiąt metrów, szeroką na czterdzieści pięć — pięćdziesiąt centymetrów i głęboką na metr. Musieliśmy siedzieć w niej ciasno jeden przy drugim; w żadnym wypadku nie wolno nam było jej opuszczać. Następnie kilka czołgów Mark-3 ruszyło w kierunku transzei i przejechało przez nią kilkakrotnie. Ciężkie pojazdy zagłębiały się w kruchej ziemi na dziesięć — piętnaście centymetrów. Gdy monstrualne gąsienice rozorywały brzegi transzei kilka centymetrów od naszych głów, krzyczeliśmy z przerażenia. Dziś jeszcze fascynuje mnie widok gąsienic niewinnego buldożera przy pracy. Wspominam wówczas tamte niezapomniane chwile. Uczyliśmy się także obsługiwać groźne pancersfausty i atakować czołgi minami magnetycznymi. W tym celu wystarczyło ukryć się w okopie i czekać, aż w pobliżu przejedzie czołg, a następnie umieścić między jego kadłubem a wieżyczką rozbrojoną minę. Jeśli pojazd

zbliżał się z naprzeciwka, należało opuścić okop dopiero wtedy, kiedy był w odległości pięciu metrów. Wówczas trzeba było błyskawicznie wyskoczyć z okopu na wprost pancernego monstrum, chwycić znajdujący się z prawej strony hak holowniczy, wskoczyć na pancierz, umieścić minę na styku kałłuba i wieżyczki, wreszcie zeskoczyć prawą stroną, wykonując efektownego koziołka. Chwała Bogu, że nie musiałem zakładać min na czołgu nadjeżdżającym z naprzeciwka, ale Lensen, który między innymi za to mianowany został obergefraj terem, a potem sierżantem, zademonstrował nam pokaz, z którym nie mógł się równać żaden solidny film grozy. Półtora roku później brawura ta okazała się dla niego tragiczna w skutkach.

Na indywidualistów i buntownicze charaktery czekała na placu konstrukcja składająca się jedynie z dachu podtrzymywanego grubymi palarni. Znajdowały się tam puste skrzynie służące do siedzenia. Była to izolotka zwana potocznie „psią budą”. Osobiście nigdy nie widziałem tam żołnierza odbywającego karę, ale dowiedziałem się, na czym polega. „Psia buda” nie miała nic wspólnego z izolatką francuską, gdzie ukarani całymi dniami kimają sobie spokojnie na siennikach. Tutaj musieli brać udział w ćwiczeniach jak inni, a po trzydziestu sześciu godzinach harówki prowadzono ich do „psiej budy”. Tam wiązano im z tyłu nadgarstki, przymocowując je do poprzecznej belki, w wyniku czego osiem godzin przeznaczonych na odpoczynek więźniowie spędzali, siedząc na skrzyni. Zupę podawano im w wielkich, płaskich naczyniach. Aby więc się posilić, chleptali jak psy, gdyż mieli związane ręce. Po dwóch-trzech pobytach w takim szalasyce padający ze zmęczenia delikwent, pozbawiony nawet odrobiny odpoczynku, popadał w stan śpiączki kładącej kres jego cierpieniom. Wówczas zabierano go do szpitala. Opowiadano sobie w obozie pewną straszną historię. Niejaki Knutke ponoć sześć razy zaliczał pobyt w budzie, odmawiając pomimo chłosty udania się z plutonem na ćwiczenia. Wreszcie któregoś dnia przyprowadzono umierającego pod drzewo, gdzie został rozstrzelany. „Tak kończy się pobyt w budzie — powiadano powszechnie — więc trzeba unikać budy”. Toteż, chociaż utyskiwaliśmy, wszyscy szli na ćwiczenia.

Najdziwniejsze było to, że uważaliśmy się wtedy za kompletnych nieudaczników, którzy nigdy nie zostaną dobrymi żołnierzami. Mimo katorżniczego życia w obozie byliśmy pełni najlepszych chęci, starając się, coraz lepiej wykonywać powierzone nam zadania. Hen Hauptmann Fink miał jednak osobliwe metody szkolenia: akceptować je, znaczyło ocierać się o śmierć.

W połowie lipca, na kilka dni przed walkami o Biełgorod, dowodzący obozem F kapitan mianował nas na żołnierzy piechoty. Podczas specjalnej ceremonii musieliśmy złożyć przysięgę na wierność Fiihrerowi. Cały pluton stał na baczność przed wykonaną z gałęzi i udekorowaną sztandarami trybuną, na której znajdowali się obozowi oficerowie. Każdy z nas wychodził kolejno z szeregu, maszerował krokiem defiladowym na wysokość trybuny, wykonywał zwrot, po czym zbliżał się do niej. Kiedy od trybuny dzieliła regulaminowa odległość, to znaczy siedem — osiem metrów, należało znów przyjąć postawę zasadniczą i wypowiedzieć głośno i wyraźnie następującą formułę:

„Przysięgam służyć Niemcom i Fiihrerowi aż do zwycięstwa lub śmierci”.

Następnie, wykonując w lewo zwrot, dołączaliśmy kolejno do kolegów, którzy byli już po przysiędze i bardzo tą ceremonią przejęci, gotowali się niczym krzyżowcy pod Jerozolimą do nawracania bolszewików.

Dla mnie, jako pół-Niemca, uroczystość ta miała podwójne znaczenie. Pomimo całego tego piekła, przez jakie musieliśmy przejść, czułem się dumny, że pasowano mnie na Niemca i że jestem godny nosić broń.

A potem stał się cud! Fink wydał polecenie, by wszystkim żołnierzom rozdać po kubku wyśmienitego wina. Budzący szacunek kapitan wzniósł wraz z nami naczynie przy akompaniamencie gromkiego: Sieg Heil! Następnie każdemu uściśnął dłoń, dziękując nam i

zapewniając, że również z siebie jest zadowolony, bo wysyła do dywizji dobrych żołnierzy. Nie wiem, czy rzeczywiście byliśmy dobrymi żołnierzami, niemniej pewne jest, że zdążyliśmy już poznać wojaków różnej maści. Każdy z nas stracił sporo kilogramów, co widać było po zapadniętych oczach i policzkach. W obozie pomyślano jednak o wszystkim. Nim opuściliśmy teren szkolenia, mieliśmy dwa dni całkowitego odpoczynku, który należycie wykorzystaliśmy. Trudno w to uwierzyć, ale kiedy opuszczaliśmy obóz, każdy z nas w głębi duszy podziwiał kapitana Finka. W głębi duszy wszyscy marzyliśmy, by któregoś dnia stać się oficerem takim jak on.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pod Biełgorodem

Któregoś ciepłego wieczoru latem 1943 roku znaleźliśmy się w bezpośredniej bliskości frontu. Biełgorod odbili niedawno bolszewicy, których wysunięte pozycje znajdowały się poza obrębem miasta, na terenie naszych dawnych umocnień. Na odcinku frontu między Charkowem, Biełgorodem i Kurskiem panował względny spokój. Po wyczerpującej kampanii, trwającej praktycznie od czasu naszej ewakuacji w trójkącie Woroneż-Biełgorod-Charków, Rosjanie grzebali niezliczonych poległych, wzmacniając równocześnie siły, po czym we wrześniu wznowili kontrofensywę. W wyniku krwawych walk w rejonie Sławiańska, Charków dostał się w nasze ręce i rosyjskie natarcie na południowym odcinku frontu zostało wreszcie zatrzymane. Na ogromnych obszarach rozciągających się między Krzemieńczukiem a Morzem Azowskim żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi. Sowieckie ataki zmusiły też wojska niemieckie i rumuńskie do wycofania się z niziny kałmuckiej i Kaukazu. Rosjanie zdołali wyprzeć nas za Doniec, nie udało im się jednak uzyskać zdecydowanej przewagi i nasze gwałtowne kontrataki często powstrzymywały ich bezskuteczne uderzenia. W ramach tej kampanii Wehrmacht przejął inicjatywę pod Biełgorodem, podobnie jak wcześniej w rejonie Charkowa i Stalino. W walkach pod Biełgorodem, w których również ja brałem udział, uczestniczyło sześćdziesiąt tysięcy niemieckich żołnierzy. Z koszar na terenie Śląska wysłano nawet osiemnaście tysięcy członków Hitlerjugend, aby właśnie tam przeszli chrzest bojowy. W nierównym boju jedna trzecia członków tej formacji poniosła śmierć. Doskonale pamiętam przyjazd tych dziarskich, gotowych na wszystko chłopaków.

Niektóre jednostki miały proporce, na których widniały wyhaftowane złotymi literami napisy: „JUNGE LÖWEN” czy też „ŚWIAT NALEŻY DO NAS”. Przybywały plutony broni maszynowej, oddziały piechoty, których żołnierze obładowani byli granatami i ładownicami, jednostki

zmotoryzowane z ciężkim sprzętem. Całą równinę zalało wojsko, które przez kilka dni nadsięgało bez końca.

W końcu wszystko się uspokoiło. Pułki, plutony, drużyny kierowano na odpowiednie pozycje wyjściowe. Ogłoszono stan gotowości bojowej. Po raz kolejny opowiadam o tym tak, jakby lada chwila miało nastąpić natarcie. W rzeczywistości przygotowania te przypominały codzienne monotonne czynności na froncie.

Regularnie goniono nas do najrozmaitszych robót, podobnie jak w okresie służby w wojskach transportowych. Upał był nie do zniesienia. Nad pożółkłą, suchą trawą stepową unosiły się tumany kurzu przy najmniejszym nawet ruchu.

Wieczorami zbieraliśmy się wokół ognisk obozowych na śpiewy i rozmowy. Linia frontu oddalona była o dwadzieścia pięć kilometrów, toteż nikt nie zabraniał nam ich rozpalać. W tych dniach intensywnie korespondowałem ze swoją małą Paulą, o której nie mogłem zapomnieć.

Wreszcie, któregoś popołudnia, zarządzono zbiórkę naszej drużyny. Każdy żołnierz posiadający mauzer dostał sto dwadzieścia naboju i cztery granaty zaczepne. Stanowiliśmy grupę szturmową mającą wspierać nacierające oddziały. W jej skład wchodziło oprócz mnie ośmiu kolegów i podoficer. Halls (zrobiliśmy wszystko, by nadal być razem) mianowany został strzelcem broni automatycznej. Uzbrojenie drużyny składało się z dwóch karabinów maszynowych spandau, trzech mauzerów łącznie z moim, dwóch pistoletów maszynowych i ciężkiej skrzyni granatów. W absolutnej ciszy i z zachowaniem maksymalnych środków ostrożności dotarliśmy do jednego z licznych stanowisk obronnych, położonego tuż obok jakiegoś dużego gospodarstwa w bezpośredniej bliskości frontu. Był już tam pluton czołgów wchodzący w skład dywizji „Gross Deutschland”. Doskonale ukryte w naturalnej i sztucznej zieleni czaiły się ciężkie czołgi typu Tygrys i wielkie haubice. Przechodziliśmy obok ustawionego przed budynkami stołu, przy którym pisarz wojskowy odnotowywał w grubym zeszycie nasze numery identyfikacyjne. Przy drugim stole studiował mapę oberlejtant z oddziałów zmotoryzowanych w otoczeniu stojących na baczność oficerów z pododdziału czołgów i kilku podoficerów ze swej jednostki. Wreszcie opuściliśmy gospodarstwo, ściśle trzymając się wytyczonej na mapie trasy. Na skraju lasu dostrzegłem szerokie transeje prowadzące na pierwszą linię. W tym momencie wszyscy chyba pomyśleli o tym samym: to już naprawdę front! Wszędzie widać było żołnierzy zajmujących pozycje wyjściowe. Wchodziliśmy w skład 5. kompanii. Transeją dotarliśmy do lasu. Chłopaki z wojsk inżynierskich musieli się niezłe napocić, by wykopać ją w terenie pełnym korzeni. Bez przerwy mijaliśmy plutony, które zajęły pozycje w prowizorycznych okopach, starając się je teraz powiększyć. Dochodziła szоста wieczór i dokuczliwy upał nieco osłabł. Idąc cały czas transeją, ciągnącą się zygzakami, wyszliśmy z lasu na niewielkie wzniesienie, którego wierzchołek porastały drzewa. Tam natknę-

liśmy się na studiującego mapę oficera, który wskazał nam dalszą drogę. Skręciliśmy w lewo, zagłębiając się ponownie w las, gdzie panowała jeszcze większa spiekota niż na odkrytym terenie. Mijali nas żołnierze — spoceni, potykający się, wpadający jeden na drugiego. Podobnie jak my szukali swoich pozycji. Wreszcie dotarliśmy do wielkiej, częściowo zamaskowanej ziemianki, pełnej młodych facetów z Hitlerjugend.

__Halt! — rozkazał dowodzący nami podoficer. — Rozlokować się tu!

Zajmiecie stanowiska, gdy nadejdzie rozkaz. Wasz feldfelbel wyznaczy wam zadania.

Zasalutował, po czym oddalił się, zostawiając nas w towarzystwie rozmawiających beztrąsko chłopaków z Hitlerjugend, leżących na ziemi albo siedzących w kucki. Podszedłem do Hallsa, który odłożył swój MG-42 i wycierał pot z czoła.

__Do diabła! — odezwał się. — Łatwiej było z mauzerem. Ta cholerna giwera ma swój ciężar.

— Jestem z tobą, Halls. Działamy w tej samej drużynie.

Po czym porównaliśmy swoje lewe ręce, na których widniał wykonany pieczęcią napis: „5 K. 8”.

— Co to znaczy? — spytał Olensheim, który podszedł do nas.

— Numer drużyny, szeregowiec! — odrzekł żartobliwym tonem Halls. — Jak nie jesteś w ósmej, to się nie znamy.

Zaniepokojony Olensheim popatrzył na swoją rękę.

— Numer jedenaście, dziadolcu! Dopuszczony jesteś do tajemnic wojskowych?

— Ale skąd! — rzekł Halls tym samym tonem. — Spytaj kaprala Lense-na. On na pewno jest na bieżąco.

— Jedziemy na piknik — zadrwił Lensen, trochę niezadowolony, że jego stopień wojskowy nie pozwala mu poznać tajemnic Bogów.

Zbliżył się do nas chłopak z Hitlerjugend, urodziwy jak dziewczyna (jak piękna dziewczyna,

ma się rozumieć).

— Czy Sowieci przestrzegają zasad uczciwej walki? — spytał niczym piłkarz pragnący zasięgnąć informacji o przeciwniku.

— Jak najbardziej! — odparł Halls, przybierając ton nobliwej damy w salonie herbacianym.

— Pytam was, bo wydaje mi się, że jesteście już doświadczonymi żołnierzami — dodał, mimo że był mniej więcej w tym samym wieku co my.

— Dam ci dobrą radę, młodzieńcze — odezwał się Lensen, pragnąc, by skromny stopień kaprała choć na coś mu się przydał. — Strzelaj bez namysłu do wszystkiego, co ruskie. Sowieci to najgorsze łajdaki, jakich ziemia nosiła.

— Czyli Rosjanie zaatakują? — odezwał się Olensheim, błądzący z wrażenia.

— My zaatakujemy najpierw — rzekł piękny młodzian, na próżno usiłując nadać srogą wykładnię swej dziewczęcej twarzy, po czym dołączył do kolegów.

— Może wreszcie ktoś zaznajomi nas z sytuacją! — rzucił Lensen, mając nadzieję, że usłyszy go feldfebel.

— Stul pysk! — odezwał się jakiś prawdziwy weteran, który rozłożył się w najlepsze na ziemi. — Już niedługo się dowiesz, gdzie przyjdzie ci zdechnąć.

— Uuuuuu! — wykrzyknęli siedzący najbliżej nas żołnierze z Hitlerju-gend. — Co to za dupek odzywa się takim tonem?

— Wy też się stulcie, gówniarze! — kontynuował weteran, krzepki facet pod trzydziestkę, który na pewno miał już za sobą kilka lat wojaczki. — Zobaczycie, jak będziecie wrzeszczeć przy pierwszym zadraśnięciu!

Jeden z „Młodych Lwów” podniósł się z miejsca i podszedł do weterana.

— Proszę pana! — odezwał się śmiałym tonem, charakterystycznym dla studentów prawa lub medycyny. — Czy mógłby pan wytłumaczyć tę pesymistyczną postawę, która podkopuje morale nas wszystkich?

— Daj mi trochę pokimnąć! — odezwał się weteran, na którym górnolotny styl młodzieńca nie wywarł najmniejszego wrażenia.

— Pytam pana po raz kolejny! — rzekł z naciskiem chłopak.

— Mówię, że gówniarze z was i dopiero, jak dostaniecie łupnia, otworzy wam się łepetyna. Słyszac to, kolejny chłopak z Hitlerjugend poderwał się jak oparzony. Miał regularne, ostre rysy twarzy, a jego zimne, stalowe oczy zdradzały wielką determinację. Myślałem, że rzuci się na faceta, który nie raczył spojrzeć na kogokolwiek.

— Myśli pan, że wypadliśmy sroce spod ogona? — odezwał się tonem dziwnie nie licującym z surowym wyrazem twarzy. — Mieliśmy szkolenie w obozach przynajmniej tak długo jak pan. Wszyscy przeszliśmy trening wytrzymałościowy. Rummer! — zwrócił się do kolegi — uderz mnie w twarz!

Wezwany zerwał się na równe nogi. Mocną pięścią uderzył błyskawicznie kolegę prosto w usta. Ten zachwiał się od ciosu, po czym stanął przed weteranem, który zerknął w końcu, co się dzieje. Dwie jasne strużki krwi obficie ciekły uderzonemu z ust na brodę.

— Gówniarze inkasują ciosy co najmniej tak dobrze, jak takie jak pan kurewskie mieszczuchy!

— Wystarczy! — odezwał się weteran, któremu nie uśmiechało się dostawać łupnia przed godziną H. — Jesteście bohaterami.

Obrócił się, usiłując zasnąć.

— Zamiast wrzeszczeć na siebie — odezwał się nasz feldfebel — moglibyście napisać do rodzin. Za chwilę będą zbierać pocztę.

— To prawda — rzekł Halls. — Skrobnę do rodziców.

Od dwóch dni pisałem list do Pauli, jednak nie udawało mi się go skończyć. Dodałem kilka czułych zdań i zakleiłem kopertę. Kiedy człowiek ma pietra, myśli przede wszystkim o matce, a czułem, że przed atakiem, który

chyba wkrótce nastąpi, mam coraz większego cykora. Postanowiłem więc napisać kilka słów do znajdującej się daleko ode mnie rodziny, a w szczególności do matki. Pragnąłem podzielić się z nią dręczącymi mnie obawami. Na piśmie przychodziło mi to łatwiej. Będąc sam na sam z rodzicami, zawsze wstydziłem się wyznać, nie śmiałem nawet przyznawać się do niewinnych grzeszków dzieciństwa. Często miałem do nich żal, że nigdy mnie do tego nie zachęcali. Tego dnia zdobyłem się na odwagę, by się im zwierzyć.

„Kochani Rodzice, kochana Mamo!

Wiem, że macie mi trochę za złe, że tak rzadko daję o sobie znać. Wyjaśniłem już Tacie, że nawet obowiązków nie pozwala na zbyt częste pisanie.

(Kłamałem, ponieważ od zakończenia urlopu napisałem co najmniej dwadzieścia listów do Pauli, a tylko jeden do rodziny).

Mam nadzieję, że uzyskam przebaczenie, opisując Wam dziś swoje zajęcia. Mógłbym, Mamo, napisać Ci list po niemiecku, ponieważ zrobiłem duże postępy w nauce tego języka, ale widzisz, kiedy myślę po francusku — odpoczywam. U nas wszystko w porządku. Zakończyliśmy szkolenie i jestem teraz prawdziwym żołnierzem. Chciałbym, żebyś zobaczyła Rosję. Nie wyobrażasz sobie, jaka ona jest olbrzymia. Kiedy pomyślę o polach pszenicy wokół Paryża, w porównaniu z obszarami, które pokonaliśmy, przypomina mi to ogródek. Upał jest równie intensywny, jak mrozy ostatniej zimy. Obyśmy nie musieli spędzać tu kolejnej. Nie uwierzysz, cośmy przeżyli. Dzisiaj zajęliśmy pozycje wyjściowe. Dokoła panuje spokój. Myślę, że przybyliśmy tu, aby zastąpić kolegów. Halls nadal jest moim najlepszym przyjacielem. W jego towarzystwie czas wesoło upływa. Będziesz bardzo rada, kiedy go poznasz podczas następnej przepustki, chyba że do tego czasu wojna się skończy. Wszyscy uważają, że niedługo to już potrwa. Niemożliwe, abyśmy znów przeżywali taką zimę jak ostatnio. Mam nadzieję, że rodzeństwo ma się dobrze i że młodszy brat nie robi za dużego bałaganu w moich rzeczach. Będę szczęśliwy, jeśli pewnego dnia je odnajdę. Tata opowiadał mi, że nie jest wam lekko. Myślę jednak, że jest już lepiej i że niczego Wam nie brakuje. Nie wysyłajcie mi paczki, gdyż zbyt drogo Was to kosztuje. Radzimy sobie jakoś. Kochana Mamo, może opowiem Ci kiedyś o cudownej rzeczy, jaka spotkała mnie w Berlinie. Porozmawiamy o tym.

Pozdrawiam serdecznie i całuję Was wszystkich."

Zakleiliśmy kopertę zawierającą różową kartkę papieru i wraz z listem do Pauli wrzuciłem do torby podoficera poczty polowej. Za moim przykładem poszli Halls, Olensheim, Kraus, Lensen i inni.

Tego letniego wieczoru 1943 roku rzeczywiście panował spokój. W nocy trwały chyba jakieś potyczki między patrolami i to wszystko.

Była wojna!

Kilku z nas wzięto do pomocy przy wydawaniu zupy, którą dostaliśmy wyjątkowo późno. Nie można było naruszać naszego skromnego zapasu konserw. Była to żelazna rezerwa.

O zmierzchu wezwał nas feldfebel dowodzący naszym plutonem. Stanęliśmy, skupieni, wokół niego. Sierżant przydzielił nam konkretne zadania. Na bardzo szczegółowej mapie pokazał kilka punktów, do których — gdy nadejdą odpowiednie rozkazy — mieliśmy dotrzeć, zachowując maksymalne środki ostrożności. Tam trzeba będzie przygotować stanowiska ogniowe, a następnie osłaniać piechotę, która dołączy do nas przed rozpoczęciem natarcia. Feldfebel mówił też o punktach zbornych i innych sprawach, ale nie wszystko zrozumiałem. Na koniec doradził, abyśmy udali się na spoczynek, gdyż przynajmniej do północy nie zarządzi zbiórki.

Spoglądaliśmy na siebie, nie ruszając się z miejsca. Teraz wiedzieliśmy już, co się święci.

Będziemy uczestniczyć w natarciu. W tamten ciepły letni wieczór złowrogie przecucie ścisnęło nasze serca, a wkrótce potem byliśmy już pewni: kilku z nas zginie. Nawet w zwycięskiej armii są ranni i polegli — to słowa samego Fiihrera. Właściwie nie potrafiliśmy

sobie wyobrazić własnej śmierci. Zgoda, będą oczywiście polegli, ale „to JA ich będę grzebać”. Pomimo niebezpieczeństwa, nikt nie był w stanie tak na serio wyobrazić sobie, że leży w agonii. Nie — to było udziałem tysięcy innych żołnierzy, ale nie może przytrafić się MNIE. I mimo strachu i zwątpienia w każdym z nas drzemał instynkt samozachowawczy. Nawet koledzy z Hit-lerjugend, choć całymi latami doskonalili ideę poświęcenia, nie byli w stanie wyobrazić sobie, że za kilka godzin mieliby zginąć. Nie, nie mogę w to uwierzyć! Człowiek może zapamiętałe bronić jakichś przekonań, może budować na nich całą ideologię, jest nawet gotów ponieść wielkie ryzyko, ale nie może uwierzyć, że stanie się to najgorsze. W przeciwnym razie ucieka, ucieka, gdzie pieprz rośnie, i nawet pewność, że nie zdoła uciec, nie powstrzymuje go od ucieczki. To właśnie tragiczne fatum ciążyło na niemieckiej armii, kiedy Rosjanie przekroczyli granice Rumunii, Polski i Litwy, wchodząc na teren Prus. Owładnięci panicznym strachem, obsesją nieuniknionej śmierci, niemieccy żołnierze, niemieccy bohaterowie — a było ich tysiące — nie mając innego wyjścia, musieli umrzeć za Niemcy, za Europę, za rodziny, za tyle niespełnionych nadziei, a może nawet i za Fiihrera. Kiedy dalsza ucieczka była już niemożliwa, stawiali czoła liczniejszemu przeciwnikowi, walcząc jeden przeciwko stu i mając w perspektywie tylko śmierć, gdyż na niewolę nie mogli liczyć. Zapadła noc; ciepła letnia noc, jakże miła każdemu z nas; zbawienna noc, dająca odrobinę chłodu po upalnym dniu. Tam, gdzie nie zawitała wojenna pożoga, ludzie wychodzili przed dom, rozkoszując się wraz z przyjaciółmi urokiem lata. Kiedy byłem mały, przed udaniem się na spoczynek bardzo lubiłem wychodzić z rodzicami na krótki spacer. Ojciec uważał, że letnie wieczory należy zawsze wykorzystywać tak długo, aż zaczną morzyć nas sen. Halls wyrwał mnie z rozmyślań.

— Trzeba będzie, mój drogi, uważać na łepetyny. Byłoby idiotyczne, gdybyśmy dali się zatłuc tuż przed końcem wojny (wszyscy wierzyliśmy, że wojna skończy się przed nastaniem zimy).

_ Tak — odpowiedziałem — byłoby to idiotyczne.

W głowie kłębiły się tysiące myśli — nikt nie miał zbytniej chęci na rozmowy. Każdy zadawał sobie zasadnicze pytanie: „Jak uniknąć najgorszego?”

Na dnie naszej kryjówki jeden z „Młodych Lwów” cicho grał na organkach. Wtórowali mu koledzy, nucąc melancholijnym głosem jakąś piosenkę. Nagle poderwały nas odgłosy wystrzałów.

— Zaczyna się! — pomyśleliśmy.

Była to jednak tylko potyczka patroli. W niebo wzbily się rakiety oświetlające; rozległy się wybuchy granatów. Wkrótce wszystko ucichło. Podszedł do nas Lensen.

— Pierwsze sowieckie linie są w odległości mniej więcej czterystu metrów — rzekł. — Powiedział mi to sierżant. Rozumiecie? Są tuż tuż!

— Dobra, dobra — wtrącił weteran. — Pod Smoleńskiem ruskie okopy były w odległości rzutu granatem. Możemy spokojnie kimać.

Nikt się nie odezwał.

— Jestem dowódcą 6. drużyny — ciągnął Lensen. — Muszę podejść do nich jak najbliżej, by ich powstrzymać, kiedy nasi ruszą do ataku. Rozumiecie to?!

— My też — odezwał się dowodzący nami sierżant. — Z tego, co zrozumiałem, mamy zająć pozycję na wysokości jednego z ich gniazd oporu.

Słuchaliśmy wszyscy w skupieniu, z nadzieją, że nasze zadanie nie okaże się zbyt niebezpieczne.

— Ale ich obserwatorzy zauważą, że nadchodzimy! — wykrzyknął rozpaczliwie jakiś młody żołnierz nazwiskiem Lindberg. — Toż to szaleństwo!

— To jest właśnie największy problem. Miejmy nadzieję, że noc nadal będzie ciemna. Poza tym zaleca się nie strzelać przed rozpoczęciem ataku. Musimy zająć pozycję w absolutnej ciszy.

— Zapomnieliście o minach — zauważył weteran, który w gruncie rzeczy nie spał.
— Teren został w miarę możliwości oczyszczony przez żołnierzy z kompanii karnej — odparował podoficer.
— W miarę możliwości! — zaśmiał się weteran. — Lubię to wyrażenie. Uważajcie tylko, kiedy pojawi wam się przed nosem jakiś drut. Nie próbujcie przypadkiem go wyszarpywać!
— Jak będziesz dalej nas tak wkurwiać — odezwał się Lensen groźnym tonem — uspię cię aż do ataku!
Po czym podsunął mu potężną pięść pod sam nos. Weteran uśmiechnął się i już się nie stawiał.
— A jeżeli Ruscy nas dostrzegą — spytał grenadier Kraus — czy będziemy musieli użyć broni?
— Tak, ale w ostateczności — odpowiedział podoficer. — W zasadzie powinniśmy ich zaskoczyć, zanim nas zauważą, i zlikwidować ich dyskretnie.
Dyskretnie? Co on miał na myśli?
— Kolbą czy łopatką? — spytał niespokojnie Halls.
— Łopatką, bagnetem, obojętnie czym, w każdym razie chodzi o to, aby nie wszczęli alarmu.
— Weźmiemy ich do niewoli — rzekł cicho młody Lindberg.
— Oszalałeś?! — zaprotestował sierżant. — Grupa szturmowa nie może zabierać jeńców podczas akcji. Co byśmy z nimi zrobili?
— Kurwa mać! — mruknął Halls. — Trzeba będzie ich ukatrupić?
— Masz pietra? — odezwał się Lensen.
— Co ty!/? — odparł Halls zdecydowanym tonem, ale widać było, że zbladł.
Zatrzymałem wzrok na oskardzie zwisającym mu u pasa. Musieliśmy wstać, by zrobić przejście jakiemuś kapitanowi idącemu z grupką żołnierzy.
— Gdzie my właściwie jesteście? — zapytał naiwnie Lindberg.
— W Rosji — wypalił weteran.
Nikt nie skwitował nawet uśmiechem tego żartu. Podoficer określił naszą pozycję. Znajdowaliśmy się cztery kilometry na północny zachód od Biełgorodu.
— Spróbuję zasnąć — bąknął Halls, którego irytowały wszystkie te przygotowania. Położyliśmy się jeden przy drugim, nie wyciągając koców. Na dnie tran-szei niewyraźnie połyskiwał karabin maszynowy Hallsa. Obładowani sprzętem, przez kilka godzin nie mogliśmy zasnąć. Jednak nie trudy noclegu pod gołym niebem były przyczyną bezsenności (w podobnych warunkach spędziliśmy już wiele innych nocy); niepokoił się, co przyniosą najbliższe chwile.
— Co tam! Będę miał czas na spanie na tamtym świecie! — odezwał się głośno grenadier Kraus. Wstał i zaczął sikać na przeciwległą ścianę tran-szei.
Długo jeszcze najprzeróżniejsze myśli kłębiły mi się po głowie. W końcu udało mi się zasnąć. Drzemałem chyba ze trzy godziny, dopóki nie zerwał mnie ze snu daleki warkot jakiegoś pojazdu. Z miejsca obudziłem Hallsa i Grumpersa, drugiego grenadiera, który spał oparty niemal o mój bark.
— Co jest? — wymamrotał. Pot spływał mu po twarzy. Ze mną zresztą było podobnie.
— Nie wiem. Wydawało mi się, że ktoś do nas woła.
— Która godzina? — spytał Halls. Zerknąłem na swój szkolny zegarek.
— Druga dwadzieścia.
— O której godzinie świta? — zapytał mały Lindberg, któremu nie udało się zmrużyć oka.
— Na pewno o tej porze roku bardzo wcześnie — odezwał się któryś z kolegów.
Warkot pojazdu stawał się coraz wyraźniejszy.
— Jak te durnie ze zmotoryzowanej dalej będą tak hałasować, obudzą Ruskich!
Na próżno staraliśmy się zasnąć. Pół godziny później usłyszeliśmy na zewnątrz jakiś

harmider. Domyśliliśmy się, że w ciemnościach chłopaki zabierają sprzęt. Wszystkie twarze zastygły w napięciu. Staraliśmy się odgadnąć, co dzieje się w transzei dwadzieścia metrów dalej. Wtem podszedł do nas jakiś feldfelbel w kombinezonie maskującym.

— Drużyna ósma i dziewiąta? — zapytał cichym głosem.

— Tak jest! — odpowiedzieli obaj dowódcy.

— Za pięć minut wymarsz wyjściem C. Macie dotrzeć na wyznaczone pozycje. Powodzenia. Wskazał palcem na niewielką, ledwo widoczną tablicę, na której rzeczywiście widniała litera C. Z miejsca porzuciliśmy wszelkie refleksje. Jakby pod wpływem hipnozy nic już nie zaprzętało naszych myśli. Każdy chwycił za broń i rzucił okiem na szczegóły oporządzenia, szczególnie na pasek od hełmu, czego nauczył nas kapitan Fink. Mój potężny przyjaciel zarzucił na ramię karabin maszynowy. Wąty Lindberg, który był ładowniczym Hallsa, podążył posłusznie za nim. Tylko weteran zachowywał się tak, jakby całkowicie zapomniał podstaw szkolenia. Był on naszym drugim strzelcem broni maszynowej. Przygotowując się do wymarszu, nie wykonywał żadnych gorączkowych ruchów. Na jego wargach błędził zrezygnowany uśmiezek. Stary wyga miał o wiele większe doświadczenie niż my. Oparł ciężki karabin o nogę i czekał na rozkaz do wymarszu.

— Mam nadzieję, że będziesz działać, jak należy — rzucił zgryźliwie pod adresem swojej broni.

— Ósma drużyna! — krzyknął nasz sierżant. Facet sprawiał wrażenie, jakby przebiegł przez niego prąd. — Zachować ciszę i posuwać się za mną! Naprzód!

Ruszyliśmy w kierunku naszego pola chwały. Po opuszczeniu wyjścia C szliśmy gęsiego wzdłuż transzei prowadzącej do najdalej wysuniętych posterunków.

Na czele szedł podoficer. Za nim podążał grenadier Grumpers, około dwudziestodwuletni chłopak, potem Halls, osiemnaście lat, wraz z ładowniczym Lindbergiem, siedemnaście lat, noszącym to samo nazwisko, co pionier lotnictwa. Następnie szło trzech strzelców z mauzerami: jakiś Czech o nieokreślonym wieku i nazwisku nie do wymówienia, dziewiętnastoletni Sudetczyk, którego nazwisko kończyło się na A, i ja. Za mną podążał weteran ze swoim ładowniczym, czyli kolejnym spanikowanym chłopakiem. Pochód zamykał grenadier Kraus, facet w zdecydowanie dojrzałym

wieku. W takim oto szyku szła do walki 8. drużyna 5. kompanii jednego z pułków wchodzących w skład doborowej dywizji „Wielkie Niemcy”. Posuwaliśmy się w należyтым porządku, dokładnie tak jak na obozie F, gdzie zostawiliśmy tyle potu.

Nasze wrażliwe uszy wyłapywały jakieś niewyraźne odgłosy dochodzące z niemieckich albo rosyjskich linii. Przeszliśmy w poprzek kilku transzei pełnych żołnierzy drzemiących w tamtą ciepłą, piękną noc. W ślad za podoficerem wyszliśmy z transzei i zagłębiliśmy się w las.

Obładowany jak muł młody Lindberg, kiedy opuszczał okop, poślizgnął się tak, że zabręczały niesione przez niego magazynki. Sierżant chwycił go za skórzane rzemienie i pomógł wydostać się z dołu, po czym dał mu kopniaka w pieszczel, mierząc go piorunującym spojrzeniem. Dotarliśmy na skraj lasu, idąc cały czas gęsiego. Prowadzący nas podoficer zatrzymał się tak gwałtownie, że koledzy wpadli niemal na siebie.

— Ciemno jak w dupie u Murzyna — szepnął mi do ucha weteran.

Wydawało mi się, że nasz przewodnik po daniu komendy „stój!” wysforował się do przodu. Siedzieliśmy przez chwilę w kucki, czekając na sygnał do dalszej drogi. Choć staraliśmy się zachować ciszę, nie dało się uniknąć hałasu całego tego żelastwa, jakie taszczyliśmy z sobą. Podoficer wrócił i jeszcze przez chwilę posuwaliśmy się brzegiem lasu. Znajdowały się tam okopy strzeleckie, w których niczym płazy kryli się obserwatorzy.

Zalegliśmy na dnie zajmowanego przez nich niewielkiego rowu.

— Padnij! — szepnął idący przede mną Sudetczyk. — Podaj dalej!

Gęsiego opuszczaliśmy ostatnie pozycje niemieckie. Czołgaliśmy się teraz po ziemi niczyjej, której ciepło czuliśmy pod sobą. Zdenerwowany, wytrzeszczałem oczy na podkute podeszwy

posuwającego się przede mną Su-detczyka, usiłując nie stracić z oczu jego niewyraźnie rysującej się sylwetki. Od czasu do czasu, kiedy trzeba było pokonać jakąś przeszkodę terenową, dostrzegałem czarne, pełzające postacie. Niekiedy podeszwy czołgającego się przede mną kolegi nieruchomiały nagle dwadzieścia centymetrów przed nosem, a wówczas wpadałem w panikę, że może Sudetczyk stracił z oczu posuwającego się przed nim żołnierza. Po minucie wszystko powracało do normy i dławiący gardło strach ulatywał powoli.

W takich chwilach nawet zrównoważeni faceci czują nagle pustkę w głowie. Nie liczy się nic innego, jak tylko niepozorny, suchy kawałek drewna, nad którym trzeba przejść tak, by nie spowodować trzasku. Każdy ma wyostrzone zmysły do granic możliwości. Człowiek czuje nieprawdopodobne napięcie; wydaje mu się, że jest w stanie przytłumić kołatające w piersiach serce.

W ciszy zakłócaney jedynie przez dalekie, niewyraźne odgłosy, zachowując jak największą czujność, powoli posuwaliśmy się do przodu po tej cholernej rosyjskiej ziemi, którą już tyle razy przemierzaliśmy wzdłuż i wszerz.

Musieliśmy ominąć niewielki kawałek terenu pokryty jasnym piachem, aby nie dostrzegli nas Rosjanie. Trzeba było tam przedzierać się przez krzewy jeżynowe, które początkowo wzięliśmy za pierwsze zasieki nieprzyjaciela. Wreszcie doszliśmy do pokrytego mchem zagłębienia terenu, gdzie zrobiliśmy krótką przerwę. Sierżant, mający bez wątpienia zmysł orientacji, zaczął się zastanawiać, w jakim kierunku posuwać się dalej. Siedząc w tej piaszczystej niecce, poczuliśmy cuchnący odór. Gdy znów zaczęliśmy się czołgać, ze zdziwieniem dostrzegłem dwa metry na prawo ode mnie dwa nieruchome ciała. Gestem wskazałem je prawie niewidocznemu weteranowi podążającemu za mną. Facet w odpowiedzi zacisnął nos. Przerażony, stwierdziłem, że minęliśmy dwa trupy gnijące sobie spokojnie w oczekiwaniu na wspólną mogiłę.

Wydawało mi się, że czołgamy się na kraj świata. Mniej więcej trzydzieści minut po opuszczeniu ziemianki dotarliśmy do rosyjskich zasieków. Znajdujący się na czele koledzy zaczęli robić prowizoryczne przejście. Serce waliło mi w piersiach jak młot. Po każdym cięciu szczypiec czekaliśmy w napięciu, aż ziemia wyleci w powietrze na skutek wybuchu min. Na twarzach uczernionych sadzą z kotłów kuchennych pojawiły się krople potu. Nie sposób wyrazić ogromnego napięcia, jakie towarzyszyło nam, gdy z prędkością piętnastu metrów na godzinę prześlizgiwaliśmy się pod płataniną drutów kolczastych. Przez te kilka minut postarzeliliśmy się chyba o dobrych parę lat.

Kiedy przeszkoda była już za nami, zatrzymaliśmy się na chwilę, drżąc z emocji.

Usłyszeliśmy dość wyraźne odgłosy dochodzące z sowieckich posterunków. Popatrzyliśmy na siebie szeroko otwartymi oczyma: nauczyliśmy się już porozumiewać bez zbędnych słów. Podczołgaliśmy się jeszcze dwadzieścia metrów, aż wreszcie dotarliśmy do jakichś chaszczki czy też wysokich traw. Dobiegły do nas odgłosy rozmowy. Pierwsze sowieckie linie były tuż tuż.

Nagle, ku naszemu zdumieniu, mniej więcej piętnaście metrów przed nami pojawiła się niewyraźna postać. Był to rosyjski wartownik, który wychylił się z okopu, gdzie zapewne został jego towarzysz. Wstrzymując oddech, powoli, z jak największą ostrożnością sięgnęliśmy po broń. Zerknęliśmy na dowódcę, ten jednak wydawał się nieporuszony.

Rosjanin śmiało ruszył w naszym kierunku. Zastygliśmy w oczekiwaniu.

Nieostrożny Iwan zrobił kilka kroków, kołyszając się zabawnie w swoich krótkich butach, po czym zawrócił. Sierżant wyciągnął zza pasa nóż, którego stalowe ostrze mignęło niczym błyskawica. Wbił je wolno w ziemię przed nosem Grumpersa i wskazał mu palcem Rosjanina. Grenadier wytrzeszczył szeroko oczy. Przerażonym wzrokiem spoglądał to na Rosjanina, to na nóż, to na feldfebla. Gdy dowódca zachęcił go gestem, drżącą ręką chwycił za rękojeść. Po raz ostatni błagalnym wzrokiem spojrzął na milczącą drużynę, po czym zaczął czołgać się do przodu. Wszyscy

byliśmy tak spięci, że musieliśmy zaciskać zęby, aby nie krzyczeć. Śledziliśmy oczyma ciemną sylwetkę kolegi, który zniknął w zaroślach.

Rosjanin nadal beztrząsko rozmawiał z kolegą, jak gdyby wojna była o tysiąc kilometrów stąd. Następnie znów zaczął się przechadzać. W oddali słychać było jakieś głosy.

Przez kilka wlokących się w nieskończoność sekund zapomnieliśmy, co się z nami dzieje.

Iwan skierował się ku zaroślom, gdzie powinien ukrywać się Grumpers. Gdy w ostatniej chwili Rosjanin zawrócił, pojawiła się za nim sylwetka kolegi. Grenadier skokiem pokonał trzy — cztery metry dzielące go od wartownika. Ten jednak zdążył się odwrócić.

Usłyszeliśmy chrapliwe krzyki i odgłosy walki. Z pobliskiego okopu dobiegł gwar. Wyraźnie dostrzegliśmy naszego grenadiera walącego się na ziemię.

Grumpers ryknął rozpaczliwie:

— Do mnie, chłopaki!!!

Rosjanin uskoczył w bok. Rozległ się terkot jego pistoletu maszynowego. Ciemności nocy rozświetliły błyski wystrzałów. Z mojej lewej strony nocną ciszę zakłóciły kolejne strzały. To pociski z pistoletu maszynowego Krausa ścigały Rosjanina. Wydierając się wniebogłosy, Iwan zdołał dobiec aż do znajdującego się przy okopie nasypu ziemnego, na który zwałił się bezwładnie.

Z okopu dobiegały okrzyki:

— Giermańcy! Giermańcy!

Weteran poderwał się w oka mgnieniu, o co trudno byłoby go podejrzewać. Rzucił prawą ręką granat, który na dwie — trzy sekundy zniknął w ciemnościach. Rosyjski okop rozświetlił jasny błysk eksplozji. Rozległy się krzyki, a po chwili wszystko ucichło.

Błyskawicznie rozproszyliśmy się wzdłuż zasieków. Rozlegały się kolejne okrzyki.

Ryzykując wpadnięciem na minę, czy też natknięciem się na sowieckiego strzelca, zaczęliśmy wycofywać się za niewielkie wzniesienie. Zziąjani i przerażeni, zajęliśmy za gałęziami pozycje obronne.

— Idioci! — warknął sierżant pod adresem Krausa i weterana. — Nie kazałem strzelać. Nie wydestaniemy się stąd.

Facet srał w portki ze strachu podobnie jak my.

— Odkryli nas, sierżancie! — odpowiedział Kraus. — Ten nieszczęsny Grumpers nie sprzątnął Ruska.

W niebo wzbilo się z dziesięć rakiet, oświetlając teren jak w dzień. Ze wszystkich stron rozległy się wystrzały. Rosjanie rzucali na oślep granaty, podobnie jak robiliby to nasi.

— Już po nas! — lamentował mały Lindberg.

— Szybko, łopatkę! — odezwał się Sudetczyk. — Trzeba się okopać, bo inaczej rozniosą nas na strzępy.

— Banda tchórzy, nie ruszać się! — energicznym głosem warknął weteran. Ogarnięci panicznym strachem, zaczęliśmy słuchać starego wygi, który zdawał się cieszyć większym autorytetem niż sierżant. Wszyscy zastygli w bezruchu. Nad nami rozbłysło jasne światło rakiety. Skamieniali z przerażenia koledzy, którzy nie ryli nosem w ziemi, zerknęli dokoła. W pobliżu leżały ciała Rosjanina i Grumpersa, dalej widać było pięć albo sześć okopów, a za nimi rozciągały się stanowiska obronne piechoty w kształcie litery V. Kolejne rakiety oświetlały nawet skraj lasu, skąd przybyliśmy. Na szczęście znajdujący się przed nami Rosjanie nie widzieli wzniesienia, za którym byliśmy ukryci. Natomiast ich dalsze linie, które zdołaliśmy dostrzec w świetle rakiet, mogły nas zauważyć.

Rosjanie rozpoczęli ostrzał swymi słynnymi granatnikami.

— O Jezu! — jęknął weteran. — Jak będą tym walić, rozpieprzą nas.

— Trzeba się okopywać! — mamrotał Lindberg.

— Stul dziób! Ryj ziemię kałdunem, ale nie ruszaj się! Jak będziemy cicho leżeć, wezmą nas

za leżące drewno.

Cztery metry przed nami, z drugiej strony wzniesienia, coś upadło na ziemię, z głuchym odgłosem. Eksplozja rozerwała górną część wzgórzka. Zwały się na nas grudy ziemi. Rosjanie przestali wystrzeliwać rakietę oświetlającą. Te, które szybowyły jeszcze nad nami, dawały coraz słabsze światło. Sowiet, jak zwykle, wykrzykiwali obelgi pod adresem Niemców.

Z lewej strony tuż koło nas upadł kolejny granat. Usłyszeliśmy huk eksplozji i świst odłamków. Ktoś obok weterana zaczął się wydierać na całe gardło.

— Nie wrzeszcz! Nie wrzeszcz! Wytrzymaj! — syczał weteran. — Inaczej koniec z nami! Mówił do chłopaka, który był jego ładowniczym. Młodziak trzęsącymi się rękami rozdrapywał sobie policzki. Twarz miał wykrzywioną z bólu.

— Nie wrzeszcz! — powtórzył weteran, chwytając chłopaka za przedramię. — Odwagi! Granaty nadal padały dokoła. Nieborak gryził pięści; w jego oczach pojawiły się łzy. Pociągnął nosem.

— Cicho bądź! — rzekł z naciskiem weteran. Rakiety zgasły i ponownie nastąpiła ciemność. Dalej na północy Rosjanie odkryli chyba naszą kolejną grupę. Słychać było intensywną wymianę ognia. Mieliśmy trochę oddechu, po chwili jednak usłyszeliśmy przed sobą jakieś odgłosy. Wytrzeszczając oczy, zdołaliśmy dostrzec kilka postaci posuwających się równoległe do naszych pozycji. Oblał nas zimny pot. Weteran ścisnął w pięści duży granat odłamkowy, który znajdował się zaledwie dziesięć centymetrów od mojej twarzy. Po raz kolejny znieruchomieliśmy. Pochylone sylwetki doszły aż do zasieków, po czym zawróciły. Odetchnęliśmy z ulgą. Ranny chłopak przyłgnął twarzą do ziemi, aby stłumić szloch.

— Mają takiego samego cykora jak my — mruknął weteran. — Dostali rozkaz, by zobaczyć, co się dzieje, zrobili kilka kroków i szybko zawrócili, mówiąc, że nic nie dostrzegli.

— Wstaje dzień — szepnął podoficer. — Myślę, że możemy tu zostać. Stanowisko jest dobre.

— Nie, sierżancie. Lepiej się rozproszyć.

— Może i tak. Ty — wskazał na Hallsa — zajmiesz pozycję tam przy zasiekach. Dwadzieścia metrów stąd jest okop.

Halls i Lindberg zniknęli niczym zjawy.

— Co ci jest? — zwrócił się weteran do rannego chłopaka, dotykając jego barku.

Młodzieniec uniósł twarz umorusaną ziemią, którą częściowo zmyły łzy.

— Nie mogę się ruszyć — jęknął. — Czuję ostry ból, o tu, w biodrze.

— Cholera, to odłamek. Nie ruszaj się. Niedługo nadejdą nasi i zajmą się tobą.

— Tak — odezwał się chłopak, ponownie chowając w ziemi twarz.

— Nasze nacierające oddziały będą tu za kwadrans — szepnął podoficer, zerkając na zegarek — jak wszystko pójdzie dobrze.

Horyzont zaróżowił się. Wstawał świt. Jest to pora szczególnego zmęczenia. Czekaliśmy gorączkowo na rozwój wypadków.

— Nie ma przygotowania artyleryjskiego? — zapytał Kraus.

— Całe szczęście! — odparł weteran. — Oberwalibyśmy tak samo jak Ruscy.

— Nie ma — zaczął wyjaśniać sierżant — bo pierwszy rzut nacierających wojsk ma opanować wysunięte linie nieprzyjaciela przez zaskoczenie. Jesteśmy tu po to, by zneutralizować obronę przeciwnika.

— Ale nasi mogą nas sprzątnąć, biorąc za Rosjan — zaniepokoił się Su-detczyk.

— Takie ponosimy ryzyko — zażartował weteran.

Z nieprzyjacielskich stanowisk dochodziły strzępy rozmów — prawie jakbyśmy byli w rosyjskiej transzei.

— Oni przynajmniej wydają się spokojni — zauważył Czech.

— Po cholere mają się przejmować, jak za godzinę będą na tamym świecie — pomyślał głośno weteran.

Wstawał dzień. Było jeszcze szaro, lecz dało się już dostrzec część rosyjskich stanowisk obronnych w kształcie litery V, rozciągających się na wprost karabinu maszynowego weterana. Niżej, z lewej strony, czał się Halls z Lindbergiem — zajmowali oni drugie stanowisko ogniowe.

— Słuchaj no, młodzieńcze! — odezwał się weteran, patrząc na mnie. — Zastąpisz mi ładowniczego. Przejdź na lewą stronę.

— Tak jest! — odpowiedziałem, czołgając się na wskazaną pozycję. Po chwili mignął mi przed nosem magazynek karabinu.

Widać już było wyraźnie rosyjskie pozycje znajdujące się sto metrów przed nami. Z naszego wzniesienia, górującego nad sowieckimi liniami obrony, od czasu do czasu dostrzegaliśmy niczym w omamach wzrokowych rysującą się na tle nieprzyjacielskich pozycji jasną plamę twarzy. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że Rosjanie nie zajęli tego pagórka. Owszem, wokół nas znajdowało się sporo innych wzniesień, ale przecież Sowietci nie mogli opanować wszystkiego. Nadal obserwowaliśmy teren, gdy nagle dowódca wskazał na coś z tyłu po lewej stronie.

— Popatrzcie! — rzekł niemal całkiem głośno.

Ostrożnie obróciliśmy się we wskazanym kierunku. Dostrzegliśmy czołgające się sylwetki, przekraczające pas rosyjskich zasieków. W dali, jak wzrokiem sięgnąć, ziemia pokryta była żołnierzami, którzy — pełzając — pokonywali teren.

— To nasi — stwierdził weteran, uśmiechając się lekko. — Już są!

— Przygotować się do otwarcia ognia! — rozkazał sierżant. — Jak Iwa-ny się ruszą, strzelać! Ogarnęło mnie dziwne drżenie. Właściwie nie był to już strach. Teraz, kiedy kończyło się nasze zadanie, wyłączyło ze mnie całe to zdenerwowanie i niepokój, które wcześniej bezskutecznie starałem się opanować. Usiłowałem zmienić nieznacznie pozycję, myśląc, że to jakieś zdrętwienie, lecz niewiele to pomogło. Z trudnością otworzyłem skrzynkę z amunicją i nerwowo umieściłem pierwszy nabój w otwartym już zamku. Weteran nie zamknął go całkowicie, aby uniknąć szczęku broni.

W oddali, po lewej stronie, rozpoczął się taniec, który z pewnością zainspirowałby Saint-Saensa¹. Trwał on jeszcze wiele dni. W pewnej chwili któryś z niemieckich żołnierzy musiał przez nieuwagę zaczepić o drut naciągowy łączący miny, gdyż usłyszeliśmy sześć czy siedem nieprawdopodobnych eksplozji; wstrząsnęły wszystkim dookoła. Serca zadrżały nam z przerażenia. Przez chwilę wydawało nam się, że cała ta pełzająca masa, jaką dostrzegliśmy minutę temu, wyleciała w powietrze. Na szczęście, mimo swego okrucieństwa, wojna często czyni więcej hałasu niż zostawia za sobą ofiar. Dokoła młodzi żołnierze z szeregów Hitlerjugend zrywali się z ziemi, usiłując pokonać piekielne zasieki. Halls otworzył ogień. Weteran trzasnął zamkiem i przyłożył broń do ramienia.

— Ognia! — ryknął podoficer. — Rozwalić ich!

Rosjanie biegli na stanowiska. Naboje kalibru 7,7 mm zaczęły gwałtownie przesuwac się w moich rękach; ogłuszający terkot karabinu niemal rozsadzał mi bębenki.

Z trudem udało mi się cokolwiek zaobserwować. Spandau dygotał na dwójnogu, potrząsając solidnie weteranem, który cały czas starał się przyjąć jak najdogodniejszą pozycję.

Przenikliwy terkot naszego karabinu zlewał się z wszechobecnym hukiem strzelaniny, jaka z miejsca się wywiązała. Pomimo dymu i wibracji broni udało nam się dostrzec, jak wielkie spustoszenie siały

Aluzja do słynnego „Tańca szkieletów” tego kompozytora (przyp. tium.).

nasze pociski wśród spanikowanej masy Ruskich miotających się w transzei naprzeciwko nas. W tym ogólnym obłędzie z wolna wstawał dzień. Z tyłu, daleko za nami, huczała cała nasza artyleria, ostrzeliwując drugi pas obrony nieprzyjaciela. Zaskoczeni Rosjanie rozpaczliwie usiłowali zorganizować obronę, lecz „Młode Lwy”, niczym zjawy z mroków nocy, z wszystkich stron nacierały na nieprzyjacielskie umocnienia, rozbijając w puch ludzi i sprzęt.

Niesamowity huk roznosił się nad całą równiną drgającą od milionów eksplozji. Ogień haubic skoncentrował się na znajdującej się przed nami w oddali jakiejś dużej wiosce. Ziemię pokrywały, sygnalizując liczne pożary, szerokie na pięćdziesiąt metrów kłęby pełzającego dymu. Do naszej piekielnej maszyny założyłem drugi magazynek. Weteran w dalszym ciągu pluł ogniem do poległych i żywych, którzy tłoczyli się na wysuniętych pozycjach sowieckich. Pomimo potwornego hałasu dotarł do nas potężny warkot sunących pojazdów pancernych.

— Nasze czołgi! — wrzasnął Czech, śmiejąc się demonicznie. Halls opuścił swoje stanowisko i zaczął biec w naszym kierunku, wykonując dziwne podskoki: myśleliśmy, że został ranny. Wraz z Lindbergiem zdażył uciec, by przepuścić czołg prujący prosto przez zasieki. Ziemia drżała od wybuchających min, które od czasu do czasu unieruchamiały ciężkie pojazdy pancerne albo wyrzucały na piętnaście metrów w górę ciało żołnierza. Jakiś czołg, a za nim dwa następne, przejechały w pobliżu naszego stanowiska, sunąc na rosyjskie pozycje, które od kilku minut zasypywaliśmy gradem pocisków z broni maszynowej. Czołg błyskawicznie przejechał przez tran-szeję wypełnioną niemal po brzegi ciałami żołnierzy. Po nim drugi i trzeci wjechały w krwawą masę, po czym pruły dalej z przyklejonymi do gąsienic okropnymi strzępami ludzkimi. Widząc to, nasz dowódca zwymiotował. Na ten koszmarny teren wkrótce dotarli młodzi żołnierze, świeżo upieczeni wychowankowie koszar wyżywający się dotąd w grach sportowych. Usłyszeliśmy okrzyki przerażenia, potem zwycięstwa, po czym fala nacierającego wojska przewaliła się po rozbebeszonych ciałach poległych Rosjan, kontynuując marsz. Z lasu za nami cały czas wyjeżdżały czołgi. Do naszych uszu raz po raz dochodził donośny odgłos tratowanych przez stalowe kolosy, wrywanych z korzeniami drzew. Wyjeżdżając z leśnej gęstwiny, gnały naprzód, stając niemal dęba na gąsienicach, i pędziły między kompaniami piechoty, które pośpiesznie uchodziły im z drogi. Biada rannym leżącym bezwładnie na ziemi...

Pierwsza faza natarcia miała być przeprowadzona w błyskawicznym tempie. Atak czołgów zmieść miał po drodze wszelkie przeszkody. Dołączyła do nas inna drużyna piechoty. Kiedy jej dowódca rozmawiał z naszym, zauważyliśmy, jak jeden z czołgów pruje prosto na nasze stanowisko. Wszyscy uskoczyli w bok, a jakiś chłopak zerwał się z ziemi i pobiegł w kierunku pojazdu, gestykulując rozpaczliwie, by skręcił w prawo. Niczym ślepe zwierzę, stalowe monstrum pędziło prosto na nas i dwa metry od naszego wzniesienia skręciło gwałtownie z przeraźliwym zgrzytem gąsienic. Uciekając, zaczęliśmy stopami o spandau i runąłem jak długi na ziemię z drugiej strony pagórka. Czołg rozorał swym cielskiem całe zbocze, a jego stalowe gąsienice jak zjawa przedelfowały dwa metry przed moimi nieprzytomnymi z przerażenia oczyma.

Co się działo potem? Pozostały już tylko szczątkowe wspomnienia tamtych strasznych chwil, wspomnienia, które nagle powracają w niewyraźnej formie, tak jak wówczas jawiły mi się pośród płomieni i wybuchów niewyobrażalne wręcz sceny i wizje. Niełatwo przypomnieć sobie tamte dni, kiedy wszystko było irracjonalne, nieprzewidywalne i niepojęte. W takich chwilach, w chronionej stalowym hełmem głowie panuje przeraźliwa pustka, a oczy jak u zwierzęcia wyrażają jedynie strach przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. W takich chwilach słyhać regularny huk bliższych lub dalszych, mniej lub bardziej potężnych, eksplozji; słyhać krzyk ogarniętych bitewnym szaleńcem żołnierzy, których w zależności od wyniku walk zaliczy się do bohaterów albo do morderców; słyhać krzyki rannych i umierających, którzy mają jeszcze tyle siły, by wyć rozpaczliwie, wpatrując się błędnymi oczyma w krwawą miazgę własnego ciała; słyhać krzyki żołnierzy, którzy wcześniej niż inni doznają szoku w trakcie walki i uciekają w popłochu, wrzeszcząc wniebogłose. Człowiek widzi sceny tak dramatyczne i niewyobrażalne, że zbiera mu się na wymioty; widzi wnętrza ludzkie rozbrzgzane na kamienistej ziemi i stosy leżących w agonii ciał; widzi płonące z przeraźliwym hukiem pojazdy, rozdarte niczym świeżo otwarty krowi kałdun; widzi

rozharatane drzewa i ziejące otwory okienne, skąd wydobywają się tumany kurzu unoszące w zapomnienie czas spokoju i dostatku.

Słychać wreszcie krzyki oficerów i podoficerów, usiłujących w całym tym chaosie przegrupować swoje plutony i kompanie. I tak oto, słysząc ich nawoływania, posuwając się za tumanami kurzawy wzniecanej przez nasze czołgi, braliśmy udział w natarciu, docierając aż do północnych przedmieść Biełgorodu. Zdołaliśmy pokonać wszystkie przeszkody. I znów wszystko było albo niemieckie, albo niczyje. Po raz kolejny przed naszymi czołgami i pancerfaustami uciekały nieprzebrane tłumy Rosjan, rozlewając się po nieskończonych przestrzeniach.

Mnóstwo Ruskich dostało się do niewoli, w tym także proniemieckich; oni to natychmiast do rąk naszych obojętnych żołnierzy dostarczyli listy osób, które mieliśmy rozstrzelać. W rosyjskim parku samochodowym ukrywało się dwa czy trzy tysiące żołnierzy usiłujących opóźnić nasz marsz. Spandau weterana wkroczył do akcji, kolejne taśmy migotały mi w rękach, szalał karabin Hallsa. Zdzięsiątowana i przegrupowana 10. drużyna, śmiejąc się upiornie, prowadziła ogień, aby pomścić śmierć kolegów. Pak zalewał cel lawiną stali. Sowietci, którzy nie śmieli ani się poruszyć, ani się poddać, ani atakować, wrzeszczeli rozpaczliwie. W końcu wszystko to strawił ogień, a my musieliśmy oddalić się, gdyż żar był nie do wytrzymania.

Około południa Rosjanie ocknęli się wreszcie i zaczęli prowadzić niszczycielski ogień, dziesiątkując szarżujące fale „Młodych Lwów”. Na razie jednak nic nie było w stanie ich powstrzymać i strawiony ogniem pożarów Biełgorod dostał się drugiego wieczoru w ręce tych, którym udało się wyjść cało z kataklizmu.

Ogarnięci bitewnym szaleem, praktycznie bez odpoczynku, nadal poszerzaliśmy wyłom na odcinku rosyjskiego Frontu Centralnego. Niemiecki — pożałuj Boże — wywiad podawał, że było tam sto pięćdziesiąt tysięcy Rosjan. W rzeczywistości sześćdziesiąt tysięcy niemieckich żołnierzy zdołało wstrząsnąć niemal półmilionową masą Sowietów.

Wieczorem trzeciego dnia, gdy w bitewnym tumultie od czasu do czasu udawało nam się wykraść trochę minut na sen, ogarnęło nas istne szaleństwo. W naszej drużynie nie było już Czecha i sierżanta, którzy leżeli ranni lub martwi w ruinach. Dołączyło do nas za to dwóch zabłąkanych grenadierów. Nasza grupa składała się teraz z trzech drużyn. Poza naszą była to 11. z Olensheimem, któremu udało się przeżyć, i 17., która również dołączyła do nas. Całością dowodził porucznik. Naszym zadaniem było zniszczenie nieprzyjacielskich gniazd oporu. Mimo że przetoczyły się już przez nie nasze wojska, broniły się w dalszym ciągu (prawdopodobnie nie miały już dowództwa) w obróconej w perzynę peryferyjnej dzielnicy Biełgorodu o nazwie bodajże Dieptrieoka. Mniejsza z tym. Dopalające się ruiny mogą obejść się bez nazwy.

Posuwaliśmy się, pochyleni, po wymarłym terenie. Nasze zabrudzone od kurzu, błota i potu gęby wypatrywały przede wszystkim jakiegoś kąta, gdzie dałoby się trochę pospać. Za nami cały czas słychać było tamujące dech w piersiach odgłosy walk prowadzonych przez nacierające wojsko. Wszyscy milczeli. Tylko komendy: Hak! albo: Achtung! sprawiały, że padaliśmy na gorącą ziemię. Wycieńczeni, podnosiliśmy się dopiero wtedy, gdy ogień naszej broni maszynowej łamał obronę ostatnich fanatyków stawiających bezsensowny opór w umocnionym okopie. Niekiedy był to jeden żołnierz, czasami dwóch lub kilku obrońców. Wychodzili ze swych kryjówek z rękami wzniesionymi ku niebu. Niezmiennie powtarzał się ten sam dramat: na rozkaz porucznika Kraus zabił czterech spośród nich, Sudetczyk dwóch, a 17. drużyna dziewięciu. Mały Lindberg, spanikowany od samego początku natarcia, cały czas albo płaczący ze strachu, albo śmiejący się, gdy tylko świtała jakaś nadzieja, wziął od Krausa pistolet maszynowy i zapędził dwóch bolszewików do leja po pocisku artyleryjskim. Obaj nieboracy, starsi już faceci, kilkakrotnie błagali chłopaka o litość. Długo jeszcze będę pamiętał ich rozpaczliwe okrzyki: Pomogitie! Pomogitie! Jednak Lindberg w niekontrolowanym

obłądzie strzelał, strzelał, strzelał bez ustanku, aż ofiary nie dawały znaku życia. A potem był „dom chleba”, nazwany przez nas w ten sposób, ponieważ po masakrze Rosjan znaleźliśmy tam kilka nędznych, mdłych podpłomyków, które pożarliśmy w oka mgnieniu, zdecydowani w pełni korzystać z tego, do czego zmuszała nas wojna.

Byliśmy znękami, udręczeni, zmordowani i tylko napięte do ostatnich granic nerwy sprawiały, że reagowaliśmy na kolejne alarmy. Jeńców mogliśmy brać jedynie w drodze powrotnej. Wiedzieliśmy, że Rosjanie również ich nie biorą. Chciało nam się spać, lecz było oczywiste, że nie zaznamy odpoczynku, dopóki choćby jeden bolszewik pozostanie żywy w tych okolicach. Albo my, albo oni. Wraz z Hallsem i weteranem rzucałem granaty przez okna domu, gdzie znaleźliśmy chleb, do Rosjan usiłujących wywiesić białą flagę.

Kiedy u kresu wytrzymałości zwaliliśmy się do jakiejś koleiny, patrzyliśmy na siebie długo osłupiałym i żalonym wzrokiem, zanim ktoś odzyskał na tyle siły, by się odezwać. Nasze mundury były zniszczone, dziurawe, zakurzone, przez co nabrały ziemistoszarej barwy. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Cały czas słychać było wybuchy. Poległo czterech kolejnych kolegów. Ponadto wlekliśmy pięciu czy sześciu rannych, w tym Olensheima. W gigantycznym leju po eksplozji dwudziestu półżywych żołnierzy, wyciuganych z jakichkolwiek uczuć, usiłowało zebrać myśli, błędząc tępym spojrzeniem po wypalanej ziemi. W głowach jednak była kompletna pustka.

Oficjalne komunikaty trąbiły, że ofensywa na Biełgorod zakończyła się powodzeniem, co oznaczało przejście inicjatywy strategicznej.

Trzeciego albo czwartego dnia przeszliśmy przez Biełgorod, nawet o tym nie wiedząc. Natarcie trwało nadal, a niezliczone chmary żołnierzy spały na rozległych, rozritych pociskami łąkach. Załadowano nas na samochód mający nas dowieźć na newralgiczną pozycję. Nie mogłem pojąć, dlaczego ta zrównana z ziemią miejscina miała strategiczne znaczenie. Domyślałem się jednak, że między innymi właśnie stąd ruszyć ma ofensywa. W rozległych sadach na względnie równym terenie rozciągały się linie obrony i pozycje wyjściowe do natarcia. Powiadam „w sadach”, gdyż niewysokie drzewa podobne były do przysadzistych jabłoni, jakie spotkać można w Normandii. Rzędy wierzb rosły też wzdłuż rzeczek czy też może kanałów irygacyjnych. Nie były to dzikie okolice — przypominały regiony francuskie, które dobrze znam.

Zajęliśmy pozycje między niemal całkowicie zniszczonymi, niepokaznymi domami Biełgorodu i zaczęliśmy przygotowywać stanowiska. Trzeba było wyciągnąć z gruzów z trzydzieści bolszewickich trupów, których krew obficie zrosiła ich ojczystą ziemię, i porzucić je w nieładzie w niewielkim, zapewne uprawnym niegdyś ogródku. Było parno.

Przedburzowe słońce rzucało wyraźne cienie; jego jaskrawe światło padało na nasze zapadnięte gęby, zmuszając nas do mrużenia oczu. To światło rozjaśniało również twarze rosyjskich trupów z nienaturalnie wytrzeszczonymi oczami. Był to okropny widok.

— Dziwne — odezwał się spokojnym głosem Sudetczyk. — Jak szybko rośnie broda nieżyjącego faceta. Popatrzcie! — kontynuował, przewracając jakieś ciało odziane w bluzę, na której widniało siedem czy osiem brunatnych śladów po pociskach. — Ten golił się chyba wczoraj, zanim go ukatrupili. Popatrzcie no! To jest ośmiodniowy zarost!

— Chodź, zobacz tego! — zaśmiał się jakiś chłopak, wynosząc wraz z kolegą trupy z budynku, w który trafił chyba ciężki pocisk moździerzowy.

Facet wyciągał za nogi jakiegoś komunistę, któremu prawie całkowicie urwało głowę.

— Najlepiej od razu się ogol, jak chcesz, żeby cię jutro rozpoznali, kiedy będziesz na tamtym świecie. Wkurwiacie mnie wszyscy tymi durnymi uwagami. Zachowujecie się, jakbyście pierwszy raz widzieli truposza.

Powiedziawszy to, weteran zwałił się na kupę gruzów i otworzył menażkę.

Piwnica była znakomitym stanowiskiem obronnym. Zajęliśmy ją wspólnie z naszymi dwoma strzelcami karabinów maszynowych. Dostaliśmy się do przywalonego gruzami okienka, powiększając je nawet trochę. Prace architektoniczne przerwał warkot przelatujących Stukasów. Zrzuciły na Ruskich grad bomb, które spadły niezbyt daleko naprzeciw naszego gniazda obrony.

Halls przygotowywał sobie stanowisko pośród zniszczonych murów, oceniając możliwości prowadzenia ognia. Lindberg cieszył się jak dziecko z tej prowizorycznej ochrony. Ładowniczy Hallsa, kiedy tylko widział choćby minimalną zmianę sytuacji na lepsze, wykazywał osobliwą radość. Natomiast na uliczkach przedmieść północnych, gdy byliśmy pod silnym ostrzałem ruskiej artylerii, wrzeszczał, srał i sikał w pory ze strachu. Trzy metry od stanowiska Hallsa, wraz z weteranem mocowałem spokojnie podpory pod okienko, które wydawało się bardzo niestabilne. Cały czas uderzaliśmy hełmami o niskie sklepienie piwnicy. Za nami Kraus i dwaj nowi grenadierzy usuwali kamienie i różne świństwa zalegające ziemię. Znaleźli jakąś pustą butelkę. Któryś z nich postawił ją obok muru, czyniąc to z należywym nabożeństwem, niczym wieśniak świadom bliskiego już winobrania.

Jak wspominałem, straciliśmy podoficera, toteż drużyną dowodził teraz weteran mający stopień obergefrajtra. Podlegaliśmy jednak jakiemuś wyjątkowemu idiocie, w stopniu sierżanta sztabowego, stojącemu na czele wszystkich trzech drużyn. Facet poległ zresztą dwa dni później. Ten dureń sprawdzał nasze stanowiska, zadzierając nosa, jakby był co najmniej starszym oficerem, każąc polepszyć to, czy zlikwidować tamto. Nie wiedział, że zostały mu tylko dwie doby na robienie z siebie pyszałka. Dzień minął na oczekiwaniu i obserwowaniu przechodzących koło naszego stanowiska strudzonych kompanii piechoty. Ciągłe słychać było głucho dudnienie artylerii, terkot broni maszynowej i inne odgłosy walk.

W takich właśnie chwilach wszystko staje się jeszcze bardziej uciążliwe. Powoli odzyskiwaliśmy spokój, uzmysławiając sobie grozę tego wszystkiego, co zaszło. Nagle w pełni uświadomiliśmy sobie nieobecność podoficera, Grumpersa, Czecha i rannego chłopaka pozostawionego bożej opiece. Staraliśmy się nie myśleć o rosyjskiej transzei, do której strzelaliśmy, o czołgach wrzynających się ciężko w krwawą, drgającą jeszcze ludzką masę, o Diep-trieoce, o zabijanych bolszewikach padających jeden na drugiego, o nieprzyjacielskiej artylerii ostrzeliwującej uliczki pełne chłopaków z Hitlerju-gend... Za dużo było tych strasznych i nieprawdopodobnych wydarzeń. Czasem nachodziły mnie okropne myśli, jeżąc mi włosy na głowie. Całe ciało stawało się wtedy jakby nieczułe i skłonny byłem wierzyć w rozdzielenie jaźni. Nie byłem w stanie tego pojąć, wiedziałem, że jestem do tego niezdolny — nie dlatego, że czułem się kimś lepszym od innych, lecz ponieważ zdawałem sobie sprawę, że nie sposób robić to wszystko, kiedy jest się młodym człowiekiem, znającym jak każdy z nas normalne życie. Nie, nie mogłem tego pojąć. To niemożliwe, niemożliwe! Jutro jednak znowu trzeba będzie do tego wszystkiego powrócić.

Koło schodów rozmawiała nasza trójka grenadierów. Weteran, sprawdzając zawartość swych kieszeni, tkwił samotnie przy okienku, przez które wpadało jasne światło dnia. Na płaskim kamieniu układał skromne drobiazgi. Halls leżał w milczeniu skurczony na czymś w rodzaju ławki. Lindberg i Sudetczyk spoglądali przez otwory w murze, lecz wydawali się pochłonięci czymś innym niż kontemplacją sadu.

Podszedłem do Hallsa i zwałem się na ławkę obok niego. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę; nie byliśmy w stanie wypowiedzieć ani słowa.

— Co my tu, kurwa, robimy? — odezwał się w końcu mój wielgachny kumpel, którego twarz od czasu naszego pobytu pod Białymstokiem nabrała dziwnie surowych rysów.

W odpowiedzi wzruszyłem bezradnie ramionami.

— Staram się trochę przespać, ale nie ma jak — dodał.

— To prawda. W piwnicy jest tak ciepło jak na zewnątrz.

— Wyjdźmy na chwilę.

Wydostaliśmy się na zewnątrz. Oślepiło nas światło dnia.

— Może jest tu gdzieś świeża woda — odezwałem się, wskazując na sad, gdzie płynęła niewielka rzeczka.

— Eee, nie chce mi się ani pić, ani jeść — usłyszałem ku swemu wielkiemu zdziwieniu, znając nieposkromiony apetyt kolegi.

— Jesteś chory?

— Nie. Po prostu czuję, że zaraz będę rzygał. To zmęczenie. A te kutasy nie przywrócą mi dobrego samopoczucia — dodał, wskazując na ogródek, w którym leżała trzydziestka Ruskich w stanie rozkładu.

— Ci przynajmniej nie będą już nam utrudniali życia — rzekłem osobliwym tonem, który zdumiewa mnie jeszcze dziś.

— Naszych chociaż pogrzebano, zanim tu przybyliśmy — ciągnął Halls. — Przed wjazdem do tej miejsciny widziałem świeżo przekopaną ziemię. Nie mam pojęcia, ilu ich tam wpieprzyli. Rozumiesz? Ilu naszych mogło już zginąć?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Chyba niedługo ktoś nas zastąpi.

— Tak — odrzekł. — Mam nadzieję. Ale jednak niezłe z nas chuje, że rozwaliliśmy Ruskich w tym chlebowym baraku.

Z całą pewnością Hallsa tak jak mnie dręczyły wyrzuty sumienia.

— Był nie tylko chlebowy barak... — zauważyłem.

Ciągle jeszcze czułem dotyk naboju przechodzących mi przez palce, widziałem, jak wpadają do karabinu, widziałem niebieskawy metal dymiącego zamka i gorące łuski, które wylatując, boleśnie uderzały w ręce i twarz. Ciągle jeszcze słyszałem, zlewające się z bitewnym zgiełkiem, ryki żołnierzy i okrzyki: „Litości!“ „Pomogitie!“ „Pomogitie!“ Coś nawiedzało nasze umysły, zostawiając niezatarty ślad.

Był jeszcze dzień, lecz nie mieliśmy pojęcia, która może być godzina. Czy była to pora przedpołudniowa czy popołudniowa? Nie miało to większego znaczenia. Każdy jadł to, co miał pod ręką, spał, kiedy mógł, próbował zdobyć się na chwilę refleksji, gdy mógł zdjąć hełm. Hełm przeszkadza w refleksji. Dziwne...

Tego samego dnia nieprzyjaciel stworzył ogień zaporowy na sady i niemieckie wojska odpoczywające niedaleko przed nami. Wskoczyliśmy do naszej umocnionej piwnicy, patrząc z niepokojem na sklepienie, na którym pojawiały się słabsze lub silniejsze pęknięcia w zależności od siły wybuchów.

— Trzeba będzie to wszystko podeprzeć — zauważył weteran. — Jak pocisk jebnie nad nami, wszystko zwali się nam na łeb.

Ostrzał trwał co najmniej dwie godziny. Kilka sowieckich pocisków eksplodowało w pobliżu, jednak głównym celem Ruskich były pierwsze linie nacierających wojsk. Do akcji włączyły się też nasze działa i przez dwie godziny niebo należało do artylerzystów. Pociski z niemieckich haubic przelatywały z wielkim hukiem nad naszą ruiną, dewastując sklepienie w takim samym stopniu, co rosyjskie pociski wybuchające czasem trzydzieści metrów od stanowiska, gdzie się ukrywaliśmy.

Przez cały czas kanonady towarzyszyło nam wyczerpujące, straszliwe napięcie. Niektórzy starali się odgadnąć, co przyniosą najbliższe chwile, jednak spekulacje te okazywały się na ogół nietrafne. Weteran palił nerwowo papierosa, bez ustanku wrzeszcząc na nas, abyśmy się zamknęli. Kraus tkwił samotnie w kącie, mrużąc coś pod nosem. Może się modlił?...

Wieczorem zjawili się żołnierze z jednostki wchodzącej w skład atakujących wojsk, dzięki czemu nasze stanowiska wzmocniono zainstalowanym w ruinach działem przeciwpancernym. Nasz punkt obejrzał jakiś pułkownik, dotykając drewnianych pali, którymi umocniliśmy niepewne sklepienie.

— Dobra robota — stwierdził.

Zlustrował stanowiska wszystkich żołnierzy naszego niewielkiego pododdziału, prężących się przed nim na baczność. Każdego z nas poczęstował papierosem, po czym wyruszył na bardziej wysuniętą pozycję wraz ze swą jednostką wchodzącą w skład dywizji „Gross Deutschland”.

Nadeszła noc. Pomiędzy nędznymi resztkami drzew zniszczonego ostrzałem sadu prześwitywał czerwony od ognia horyzont. Walki trwały nadal. Krańcowe napięcie stawało się nie do zniesienia. Trzeba było często zmieniać się na warcie, tak że nikt nie mógł spać spokojnie. Przed świtem zarządzono zbiórkę. Musieliśmy opuścić doskonale przygotowane pozycje, by kontynuować natarcie w głąb Rosji.

Posuwając się dalej, natrafiliśmy na straszliwie zmasakrowane ciała chłopaków z Hitlerjugend. W wyniku ostrzału z poprzedniego dnia były one dosłownie zmieszane z ziemią. Co krok odkrywaliśmy z przerażeniem, jak nędzny może nas spotkać koniec.

— Nie ma nikogo, kto by pogrzebał te ochłapy — oburzał się Halls. — To nie jest widok dla tych, co pozostali jeszcze przy życiu.

Rozległy się osobliwe śmiechy, jakby chodziło o dobry żart.

Przeszliśmy przez teren, gdzie leje po eksplozjach dosłownie stykały się z sobą. Ostrzał był tutaj tak intensywny, że wydawało się nieprawdopodobne, by ktokolwiek ocalał. Za usypiskiem ziemnym minęliśmy szpital polowy, skąd dochodziły wycia jak z rzeźni. Niektóre sceny wywoływały szok. Czułem, że za chwilę stracę przytomność. Lindberg płakał z przerażenia. Przechodziliśmy przez szpitalny teren, unosząc oczy ku niebu i myśląc uporczywie o naszych matkach. Jak we śnie patrzyliśmy na chłopaków wyjących na widok swych zmiażdżonych przedramion, żołnierzy rannych w brzuch spoglądających z przerażeniem i niedowierzaniem na górę własnych wnętrzności wypychających czerwieniejące płótno namiotowe pośpiesznie narzucone na ich ciała.

Następnie przekroczyliśmy jakiś kanał. Zanurzyliśmy się w świeżej wodzie aż po piersi, co przyniosło nam nieopisaną ulgę. Po drugiej stronie, w stepowej trawie, leżały ciała Rosjan. Jakiś wypalony i zniekształcony rosyjski czołg tkwił nieruchomo obok działa z zabita obsługą. Po lewej stronie, na północnym wschodzie, walki przybrały na sile. Usłyszeliśmy jęki leżących Rosjan. Podeszliśmy do faceta leżącego przy kole przyczepy. Był cały we krwi i ciężko oddychał. Któryś z naszych odkorkował manierkę i uniósł głowę umierającego. Ten popatrzył na nas nienaturalnie wytrzeszczonymi ze strachu i osłupienia oczami. Wykrzyknął coś, po czym jego głowa odchyliła się do tyłu, uderzając o metalowe koło. Facet nie żył. Szliśmy przez pagórkowaty, zadrzewiony teren, gdzie napotkaliśmy pierwsze jednostki biorące udział w walkach. Dokonywały one przegrupowania albo odpoczywały w cieniu drzew. Wielu żołnierzy nosiło na głowach białe opatrunki, dziwnie kontrastujące z szarymi od kurzu gębami. Zostaliśmy szybko przegrupowani i wysłani na odpowiednie pozycje wyjściowe.

Dwóch grenadierów, którzy dołączyli do nas ostatnio, przydzielono gdzie indziej. W zamian nasza drużyna została wzmocniona dwoma innymi żołnierzami ze zdekompletowanych pododdziałów. Naszym dowódcą był, niestety, sierżant sztabowy, o którym wspominałem poprzednio, a któremu pozostały dwadzieścia cztery godziny życia. Pośpiesznie przydzielono nas do pododdziału pancernego, który przetransportował nas na czołgach na skraj wielkiego płaskowyżu rozciągającego się aż po horyzont.

Zeskoczyliśmy z jadących jeszcze czołgów, by szybko dołączyć do drużyny piechoty leżącej w płytkiej transzei. Nieprzyjacielska artyleria krótkiego zasięgu posłała w naszym kierunku kilka pocisków 50 mm, co z miejsca uświadomiło nam, że jesteśmy na pierwszej linii. Piątka czołgów zakręciła i zniknęła między drzewami pięćdziesiąt metrów za nami.

Doczołgaliśmy się do chłopaków, którym daleko było do śmiechu. Rosyjskie pociski ściagały czołgi aż po sam las. Durny sierżant z miejsca zainteresował się czekającym na nas widowiskiem, dyskutując na ten temat z młodziutkim porucznikiem. Porucznik zamaszystym

gestem dał znak swym żołnierzom, którzy pobiegli za nim, pochyleni, w kierunku lasu. Rosjanie musieli obserwować nasze stanowisko, gdyż wystrzelili jeszcze pięć czy sześć pocisków; jeden eksplodował w bezpośredniej bliskości.

Zostaliśmy sami. Dziewięciu facetów w okopie naprzeciw sowieckich linii, pod znajdującym się niemal w zenicie słońcem.

— Kopać mi ten okop! — wrzasnął sztabowy, jakby był na manewrach. Krótkimi łopatkami zaczęliśmy ryć w piaszczystej ziemi. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, by zamienić choć parę słów. Piekące słońce wykańczało nas, potęgując wyczerpanie.

— Zdechniemy ze zmęczenia — mruknął Halls. — Już nie mogę.

— Boli mnie głowa — odezwał się słabym głosem.

Kurewski sierżant cały czas nas opierdalał. Niespokojnie obserwował piaszczystą równinę rozciągającą się, jak okiem sięgnął.

Ledwo skończyliśmy przygotowywać stanowiska dla dwóch karabinów maszynowych, gdy usłyszeliśmy warkot wyjeżdżających z lasu czołgów. Tego pięknego popołudnia niemieckie pojazdy pancerne po raz kolejny wychodziły ze zbawiennego cienia, kierując się na wschód. Za nimi sunęły liczne oddziały wojska. Pochyleni żołnierze minęli nas i zniknęli w zasłaniających horyzont tumanach kurzu. Kilka minut później rozpoczął się intensywny, jak jeszcze nigdy dotąd, ostrzał rosyjskiej artylerii. Cały świat nagle gdzieś zniknął. Nasze przerażone oczy nie były w stanie dostrzec nawet słońca. Na tle gigantycznej zasłony z ziemi i kurzu wystrzeliwały w niebo osiemdziesięcio- i stumetrowe słupy ognia. Jeszcze nigdy wstrząsy ziemi nie były tak intensywne. Za nami płonął cały las. Krzyczeliśmy z przerażenia nieswoim głosem. Wszystko wirowało w powietrzu. Dookoła wytryskiwała ziemia, zmieszana z ogniem i metalem. Kraus i któryś z nowych zostali zasypani, nawet nie wiadomo kiedy. Zaszyłem się na samo dno okopu i patrzyłem błędnym wzrokiem na lawinę ziemi przewalającą się coraz bliżej naszej kryjówki. Zacząłem wyc jak opętany. Myśleliśmy, że to już koniec świata. Halls przyłgnął umorusaną głową do mojej i oba hełmy zabrzczały jak dwie stare menażki. Miał twarz nie do poznania.

— To... już... koniec — zaskomlał.

Jego słowa przerywane były eksplozjami tamującymi dech w piersiach. Sparaliżowany strachem tylko przytaknąłem.

Nagle do okopu stoczyło się coś na kształt ludzkiego ciała. Zdrętwieliśmy ze strachu. Po chwili w dziurze znalazł się kolejny facet, który wykonał efektowny skok. Dopiero wtedy nasze przerażone oczy dostrzegły dwóch niemieckich żołnierzy. Jeden z nich dyszał ciężko i wrzeszczał pomimo zmęczenia:

— Cała moja kompania wybita! Coś potwornego!

Chłopak wychylił ostrożnie głowę nad nasyp, gdy nagle powietrzem wstrząsnęła seria pobliskich eksplozji. Jego hełm i część głowy pofrunęły na odległość dziesięciu metrów. Wydając straszliwy krzyk, zwałił się na nas, a jego rozerwane czoło znalazło się w rękach Hallsa. Zostaliśmy obryzgni krwią i fragmentami drgającego ciała. Halls odrzucił tego strasznego trupa daleko od siebie i przyległ kurczowo twarzą do ziemi. Następujące po sobie eksplozje miały niespotykaną moc. Wydawało nam się, że jakaś niewidzialna siła unosi nasze stanowisko w inne miejsce. Ze wstrząsanej wybuchami równiny dochodziło nieustanne wycie jakiegoś silnika. Nagle rozległ się jeszcze potężniejszy wybuch. Ogromny słup ognia uderzył w ścianę transzei. Na dno runęły nasze dwa karabiny maszynowe. Posypały się zwąły ziemi. Ci, którzy nie oniemieli z przerażenia, wrzeszczeli jak opętani:

— Jużpo nas!!!

— Mamo, to ja!!!

— Nie!!! Nie!!!

— Będziemy pogrzebani żywcem!!!

— Do mnie!!!

Ale żadne błagania nie były w stanie położyć kresu temu piekłu, zdającemu się nie mieć końca...

Do okopu wskoczyło ze trzydziestu uciekających żołnierzy, którzy deptali po nas i potracali nas niemiłosiernie. Każdy chciał zaszyć się jak najgłębiej w ziemi. Tych, którzy wychylali się ponad okop, czekała niechybna śmierć. Dokoła potworzyło się tysiące lejów. Z każdego z nich dochodziły krzyki uciekających żołnierzy, którzy się tam chowali. Okrutną rosyjską ziemią wstrząsały jednak kolejne wybuchy i ci, co sądzili, że są już uratowani, ginęli.

Przez bitewny zgiełk przebił się warkot samolotu. Z tysięcy zrozpaczonych piersi wyrwał się okrzyk: „Niech żyje Luftwaffe"! Ostrzał artyleryjski trwał jeszcze kilka sekund, po czym zdecydowanie osłabł. Gwizdki pozostałych przy życiu oficerów dawały sygnał do odwrotu. Z naszej przepelnionej transzei żołnierze wyskakiwali raptownie, niczym króliki ścigane przez łasicę. Już mieliśmy pójść w ich ślady, gdy nagle powstrzymał nas energicznie nasz sierżant sztabowy, któremu udało się wyjść cało z opresji.

— Wy nie! — ryknął. — Jesteśmy tu, aby powstrzymać rosyjską kontrofensywę! Dawać mi pukawki na stanowiska!

Na dnie transzei, która zmieniła się nie do poznania, leżało sześciu martwych żołnierzy z Hitlerjugend. Z lewej strony sponiewieranego okopu wystawały buty Krausa przywalonego dwoma metrami sześciennymi szarej ziemi. Drugiego grenadiera kompletnie przysypało. Wraz z weteranem, któremu krwawił policzek, przygotowałem stanowisko karabinu maszynowego. Równina była nie do poznania. Ziemię pokrywały liczne wzniesienia, jakby zryły ją olbrzymie krety. Wszędzie widać było dymy i płomienie ognia. Nie sposób było zliczyć leżących ciał żołnierzy niemieckich. W oddali, poprzez kłęby dymu i kurzawy, dostrzegaliśmy gejzery ognia od bomb zrzuconych przez Messerschmitty-110 na stanowiska artylerii rosyjskiej. Bombardowano chyba składy amunicji. Siła eksplozji poruszyła niebo i ziemię; ogień i podmuch powietrza miały w sobie coś nierzeczywistego.

— Mają za swoje, skurwiele! — wrzasnął sztabowy.

Samoloty odleciały na zachód, a rosyjska artyleria rozpoczęła drugi akt, kierując ogień głównie na czołgi, które wycofywały się w nieładzie. Zresztą, co najmniej połowa z nich została już zniszczona.

Uciekający żołnierze, którzy wcześniej wskoczyli do naszej transzei, złamali mi niemal lewe ramię i jeżeli wówczas prawie nic nie czułem, teraz doskwierał mi piekielny ból.

Mimo wszystko była to drobnostka, na którą nie zwracałem większej uwagi, gdyż pochłaniało mnie co innego. Zarówno na północy, jak i na południu znów trwał ostrzał artyleryjski.

Ponownie też skupił się na nas, po raz kolejny wywołując paroksyzm strachu i rozpacz.

Byliśmy jak ogłupiali. Oddychaliśmy z trudem, jak cierpiący, kiedy dochodzi do siebie po długiej chorobie. Zachowywaliśmy milczenie, bo jakież słowa mogły wyrazić koszmar, który dopiero co przeżyliśmy; jakież trzeba by ekspresji, by oddać całą grozę tej sytuacji. Ludzie, którzy przeżyli cały ten koszmar, mają najczęściej zachwianą psychikę. Dręczy ich jakiś ponury lęk, nie słabnący z upływem lat, nawet jeśli tak jak ja próbują przelać go na papier, nie mogąc zresztą dobrać odpowiednich słów. Teraz wiem, że nawet pisząc, nie uwolnię się od tego lęku, a miałem nadzieję, że będzie odwrotnie. Zdaję sobie sprawę, że będzie mi on towarzyszyć aż po grób i błagam Niebiosa, by wybaczyły mi, że myślałem tylko egoistycznie o pisaniu, zamiast uczestniczyć w życiu społecznym. Zresztą rozdrabnam się, wspominając o Bogu. Mniejsza o Jego sąd, skoro tak biernie przyglądał się rzezi istot, które sam stworzył, a które pojawiły się na świecie chyba tylko po to, by zginąć. Ja w każdym razie jestem obojętny na wszelkie przejawy życia duchowego. Niech Bóg, którego wspominam, zaczerwieni się ze wstydu, że tolerował takie rzeczy, a jeżeli w swej pysze Wszechmogącego przyzwala na tak przerażający

spektakl, przybijmy go jeszcze raz do krzyża i spalmy go, aby nie zdołał zmartwychwstać. Opuszczeni przez Boga, w którego mimo wszystko wielu z nas wierzyło, tkwiliśmy w tym dole niczym w grobie, wyczerpani, zagubieni, załamani. Od czasu do czasu któryś z nas zerkał niespokojnie ponad nasyp, obserwując piaszczystą równinę od strony wschodniej, gdzie czyhała śmierć. W tym znajdującym się na wschód od Biełgorodu okopie były już tylko przerażone istoty, które zapomniały, że człowiek stworzony jest do innych celów, że istnieje pojęcie czasu i nadziei, że są uczucia inne niż lęk, że przyjaźń nie musi trwać krótko, że czasem istnieć może miłość i że ziemia może być żyzna, a nie służyć tylko do grzebania zmarłych, którzy polegli na polach bitew.

W okopie tym byli już tylko miotający się szaleńcy, pozbawieni nadziei i zdolności myślenia. Zdrętwiałe od wielogodzinnego siedzenia w pozycji skurzonej członki odpychały martwego lub żywego kolegę zajmującego zbyt wiele miejsca. Sztabowy niezmiennie powtarzał nam, by nie opuszczać stanowisk, ale za każdym razem seria eksplozji wysyłała nas na dno tranzei. Noc całkowicie nas zaskoczyła, gdyż straciliśmy poczucie czasu. Wraz z nią znów pojawił się strach. Lindberg, u kresu wytrzymałości nerwowej, stracił przytomność na wiele minut, dzięki czemu choć przez pewien czas nie był świadom piekła, w jakim się znajdowaliśmy. Podobnie działo się z Sudetczykiem, który długo trząśł się jak opętany i wymiotował. Chłopaków ogarniało szaleństwo. Nastrój ten szybko udzielał się innym żołnierzom. W stanie halucynacji widziałem giganta zwanego Hallsem, który rzucił się do karabinu maszynowego i zaczął strzelać jak szalenciec w kierunku nieba cały czas zsyłającego ogień i stal.

Widziałem też ogarniętego szaleńczą furiją sztabowego. Facet walił w ziemię pięściami, po czym tłukł na kwaśne jabłko ostatniego będącego przy zdrowych zmysłach żołnierza, którego jedyną reakcją był płacz. Z przeraźliwą wyrazistością dochodziły do mnie tysiące odgłosów, jakie odbijała echem ziemia. Czułem, że również ja za chwilę zemdleję. Zaczęłem wyć jak opętany. W całkowitej nieświadomości wstałem z miejsca i zacząłem wykrzykiwać tysiące bluźnierstw przeciwko niebiosom. Byłem u kresu wytrzymałości, na brzegu przepaści, podobnie jak wszyscy moi towarzysze. Moja furia wypalała resztki sił. Zakręciło mi się w głowie; upadłem do przodu na brzeg tranzei. Rozdziawionymi ustami gryzłem ziemię. Zaczęłem wymiotować. Zdawało mi się, że za chwilę doszczętnie się wypróżnię. Taplając się w wymiocinach, usiłowałem drżącymi rękami uchwycić się ziemnego nasypu, który kruszył się nade mną. Nagle coś białego, niczym w jakimś koszmarze, rozświetliło mroki nocy. Być może blask ten sprawił, że nie zemdlałem. Uniosłem powoli zaczerwienione oczy ku brzegowi tranzei i zauważyłem opadającą ku ziemi rosyjską rakietę oświetlającą. Przez chwilę miałem dziwne uczucie. Otóż wydawało mi się, że jestem u siebie w domu i że wszystko to, co tu się dzieje, jest ułudą. Tylko samotna gwiazda spadała z firmamentu.

Prawdopodobnie bardzo długo znajdowałem się w takim stanie. Eksplozje w dalszym ciągu tamowały mi dech w piersiach. Minęło jeszcze kilka godzin. Niektórzy, zrezygnowani, usnęli z nienaturalnie otwartymi oczyma. Wreszcie około północy wszystko ucichło.

Mimo to nikt nie ruszył się z miejsca. Ci, co pozostali przy życiu, byli do tego stopnia wyczerpani fizycznie i psychicznie, że nie mogli wykonać najmniejszego ruchu. Po chwili odezwał się weteran.

— Nie spać, chłopaki. Teraz Ruscy zaatakują.

Sztabowy spojrział na niego nieprzytomnymi oczami. Uniósł się z miejsca i oparł się o nasyp. Po pięciu minutach jego głowa opadła do przodu: facet zapadł w letargiczny sen.

Weteran w dalszym ciągu nas ostrzegał, ale reakcja sześciu pozostałych przy życiu była taka sama jak ośmiu trupów. Sen pokonywał nas nieubłaganie, podobnie jak sowieckie działa.

Gdyby Rosjanie w tym momencie zaatakowali, być może oszczędziliby życie wielu swym kolegom, gdyż na wysuniętych pozycjach, jakie zajmowaliśmy, byli tylko martwi lub zmorzeni snem żołnierze. Słyszeliśmy chyba kolejną kanonadę, w niebo znów strzeliły

rakiety oświetlające, ale co najmniej przez cztery godziny do naszych uszu nie dochodziły odgłosy walk.

Pierwszy obudził się sztabowy. Kiedy otworzyliśmy oczy, zobaczyliśmy go opartego o śpiącego Sudetczyka, który nagle krzyknął. Zapewne sierżant wyrwał go raptownie ze snu. Byliśmy tak zmęczeni, że kiedy usiłowaliśmy podnieść się aż do nasypu, wykrzywialiśmy z bólu twarz. I znów różowiejący horyzont zwiastował kolejny dzień, a doskonale widoczna równina ukazała nam apokaliptyczny krajobraz. Ponownie uświadomiliśmy sobie, gdzie się znajdujemy. Panował niczym nie zmacony spokój. Długo błądziliśmy wzrokiem po płaskiej, niekończącej się przestrzeni. Linia horyzontu stanowiła niemal regularne koło. Na północy i południu przechodziła w doskonale widoczny las tworzący jakby rodzaj żywoplotu.

Zamieniliśmy kilka słów i po chwili zaczęliśmy wyjmować z plecaków puszki konserw.

— Nabierzcie sił! — żartował sierżant, dla którego były to ostatnie chwile życia. —

Dziwiłbym się, gdyby ten spokój miał trwać długo.

— To nie takie pewne — odezwał się ktoś. — We wczorajszych walkach poległo sporo chłopaków. Myślę, że będzie ze dwa-trzy dni spokoju.

— Zdziwiłoby mnie to — powtórzył sztabowy. — Führer rozkazał maszerować na wschód i nasze wojska teraz nie zatrzymają się; Natarcie na pewno ruszy dalej, nim słońce będzie wysoko na niebie.

— Naprawdę, sierżancie? Myśli pan? — zapytał mały Lindberg, uradowany, jak zwykle, kiedy nasza sytuacja zdawała się polepszać. — Nasze wojska odeprą te cholerne ruskie działa?

— Jak się to znów zacznie — mruknął do mnie Halls — chyba oszaleję.

— Albo przedtem będziemy już martwi — rzekłem cichym głosem. — Niemożliwe, abyśmy mieli co dzień tyle szczęścia, co wczoraj.

Halls popatrzył na mnie, przeżuując kęs pokarmu.

Sierżant, Lindberg, Sudetczyk i pozostali przy życiu grenadier w dalszym ciągu rozmawiali. Halls i ja wymieniliśmy kilka pesymistycznych uwag. Tylko weteran jadł w milczeniu, patrząc zaczerwienionymi od niewyspania oczyma na wschodzące słońce.

— Wy dwaj — odezwał się sztabowy, wskazując na Hallsa i mnie — czuwacie przez dwie godziny. Ja i reszta spróbujemy trochę pospać. Ale najpierw musimy wywalić stąd tych truposzy — dodał, wskazując z obrzydzeniem na osiem okaleczonych ciał, nad którymi zaczynały już krążyć wielkie, niebieskie muchy.

Kątem oka obserwowaliśmy identyfikację poległych. Chociaż raz nie byliśmy grabarzami! Warta wydawała nam się teraz odpowiednim zajęciem. Wynoszeniu ukatrupionych chłopaków zawsze towarzyszyły te same złorzeczenia.

— Jasna cholera, ale ten koleś ciężki!

— O Boże! Lepiej dla niego, że zdechł od razu. Popatrz na to! Rozległ się metaliczny dźwięk zdejmowanej z szyi tabliczki identyfikacyjnej.

— Fuj! Wszędzie jest zasrany!

Odwróciliśmy się obojętnie. Dramat życia i śmierci dziwnie stracił na znaczeniu. Byliśmy już uodpornieni na takie sytuacje. Podczas gdy pozostali szarpali się z martwym mięsem, Halls i ja powróciliśmy do rozmowy na temat szans przeżycia.

— Najboleśniej są rany kończyn, ale za to nie są tak groźne.

— Zastanawiam się, co mogło się przytrafić Olensheimowi.

— Z tego co wiem, ma złamane ramię.

— A twoje?

— Bardzo mi dokucza.

Za nami koledzy nadal odwalali wstrętą robotę.

— Heinz Yeller. 1925. Kawaler. Biedak, nie miał szczęścia...

— Pokaż mi ramię! — odezwał się Halls. — Może to coś poważnego.

— Raczej nie. To od uderzenia — odpowiedziałem, odwiązując całe to świństwo. Właśnie miałem podciągnąć rękaw bluzy, gdy nagle czystym powietrzem poranka wstrząsnął grzmot salw artyleryjskich. Prawie natychmiast dookoła spadł grad rosyjskich pocisków. I znów znaleźliśmy się, przerażeni, na dnie transzei.

— O Boże! — wykrzyknął któryś z żołnierzy. — Znów się zaczyna!

Halls zbliżył się do mnie, podczas gdy zwały ziemi spadały na naszą pozycję. Otworzył usta, by mi coś powiedzieć, ale odgłos pobliskiej eksplozji całkowicie zagłuszył jego słowa.

— Nie wyjdziemy z tego — rzekł. — Najlepiej by było spieprzać stąd.

Jeden z pocisków upadł tak blisko, że błysk płomienia oświetlił szarą ziemię na przeciwległej ścianie transzei. Okrył nas gęsty dym, runęły wielkie zwały ziemi. Rozległy się okrzyki przerażenia, po czym usłyszeliśmy głos sierżanta.

— Nikt nie jest ranny?

— Boże święty! — ryknął weteran, pokastując. — Co robi nasza artyleria?!

Mały Lindberg znowu trząsnął się. Ogień artylerii rosyjskiej umilkł. Weteran zerknął ostrożnie na zewnątrz, po czym siedem głów wychyliło się z transzei i zaczęło obserwować równinę, nad którą wolno unosiły się obłoki kurzawy. Na skraju lasu ktoś się wydierał jak zarzynane ciele.

— Chyba kiepsko u nich z amunicją — zaśmiał się sierżant. — Inaczej tak szybko by nie przestali.

Weteran długo patrzył na niego zrezygnowanym wzrokiem; w taki sposób patrzył cały czas.

— To samo pomyślałem o naszej artylerii, sierżancie. Zastanawiam się, dlaczego nie strzelają.

— Nasi przygotowują się do natarcia. Dlatego siedzą cicho. Na pewno zaraz zobaczymy nasze czołgi...

Weteran wpatrywał się w horyzont.

— Jestem przekonany — ciągnął sierżant — że nasze natarcie zaraz ruszy dalej...

My jednak patrzyliśmy na weterana, którego oczy i usta coraz bardziej się zaokrąglały. Wydawało się, że za chwilę zacznie wrzeszczeć. Sierżant umilkł również i wszyscy zaczęli patrzeć tam, gdzie nasz strzelec karabinu maszynowego.

Daleko na horyzoncie widać było czarną, wąską wstęgę, która przemieszczała się niczym fala zdążająca ku brzegowi. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w tę zwartą i niesamowitą masę, po czym weteran wydał tak straszny ryk, że sparaliżowało nas ze strachu.

— Nadchodzą!!! Nadchodzą Syberyjczycy!!! Będzie ich z milion!!!

Chwycił kurczowo kolbę karabinu maszynowego. Zacisnął zęby, a na jego twarzy pojawił się szatański uśmiech. W oddali wydobywające się z tysięcy gardeł okrzyki potęgowały jak wiatr zwiastujący burzę.

— Wszyscy na stanowiska! — ryknął sierżant, patrząc jak zahipnotyzowany na sowiecką falę, która parła nieubłaganie naprzód.

Automatycznym gestem każdy z nas chwycił za broń i oparł się łokciami o nasyp. Halls trząsnął się jak osika, a jego ładowniczy, mały Lindberg, nie potrafił prawidłowo podać taśmy z nabojami kalibru 7, 7 mm.

— Dawaj bliżej! — wrzasnął Halls. — Dawaj albo cię zabiję!

Twarz Lindberga drżała, jakby zaraz miał się rozplakać. Weteran umilkł. Przycisnął kolbę do barku i przyłożył palec do spustu, zaciskając z całej siły zęby.

Odgłos potęgował coraz bardziej; z minuty na minutę stawał się wyraż-niejszy. Przypominało to długi krzyk stłumiony przez ogrom fali.

Tkwiliśmy nieruchomo, nie zdając sobie początkowo sprawy z powagi sytuacji. Byliśmy zbyt oszołomieni i przez chwilę nasze zachowanie przypominało nieco reakcję myszy, gdy widzi zaskrońca. Nagle ktoś wpadł w panikę. Był to oczywiście Lindberg.

Chłopak zaczął płakać i krzyczeć. Opuścił stanowisko i przykucnął na dnie transzei.

— Zabiją nas! Zabiją nas! Zabiją nas...!

— Powstań! — ryknął sierżant. — Na stanowisko albo od razu cię zabiję! Zdołał podnieść go z miejsca, ale zalany łzami Lindberg wyglądał jak ludzki wrak.

— Zdychaj, skurwielu! — rzucił Halls. — Poradzę sobie sam. Wściekły ryk Rosjan dochodził już wyraźnie. Bez ustanku słychać było

potężne „hurra”! „Mamo”! — pomyślałem w duchu. — „Mamo”!

— Hurra! Hurra! Pobieda! — cedził przez zęby weteran. — Podejdźcie bliżej, skurwiele, jeszcze bliżej.

Fala Rosjan była już mniej więcej w odległości czterystu metrów. Wtem usłyszeliśmy narastający warkot. Wysoko, na jasnym już niebie, widać było niewyraźnie trzy sylwetki samolotów.

— Samoloty nad nami — rzekł Sudetczyk, gdy wszyscy już zdążyliśmy je dostrzec.

Nasze niespokojne oczy oderwały się na chwilę od potężniejącej rosyjskiej fali. Samoloty schodziły z pełną prędkością, wyjąc przeraźliwie.

— Messerschmitty! — wrzasnął sierżant. — To Messerschmitty! Wspaniałe chłopaki!

— Hurra! Hurra! — wykrzyknęliśmy. — Niech żyje Luftwaffe!

Trzy myśliwce otworzyły ogień amfiladowy na potężną rosyjską falę. Musiał być bardzo skuteczny. Był zarazem jakby sygnałem do ataku, gdyż po chwili ogień otworzyły też moździerze, których stanowiska znajdowały się w lesie. Śmiercionośne pociski w kierunku nieprzyjaciela posyłały również ocalałe od artyleryjskiego pogromu karabiny maszynowe. Myśliwce zaczęły pikować ponownie, wprowadzając nas w stan szaleńczej ekstazy. Taśma z nabojami przebiegała w mych rękach w oszalamiającym tempie. Gdy jedna została wyczerpana, błyskawicznie podłączyłem następną. Ogień otworzyło też kilka niemieckich dział, siejąc bez wątpienia spustoszenie w bolszewickich szeregach szarżujących jak za Napoleona.

Jednak rosyjska nawałnica zbliżała się w dalszym ciągu. Tylko dzięki hełmom włosy nie stawały nam dęba na głowie. Zresztą nie czuliśmy już nawet strachu przed śmiercią.

Wpatrywałem się tylko w dymiący karabin, z którym weteran znakomicie sobie radził.

Niespokojne pociski tańczyły w szalonym rytmie, wylatując z ogłuszającym hałasem.

— Przygotować granaty! — wykrzyknął sierżant, który prowadził ogień z lugera, opierając go o lewe ramię.

— To bez sensu! — wrzasnął jeszcze głośniejszym głosem weteran. — Mamy za mało amunicji, aby ich zatrzymać! Zarządzcie odwrót, sierżancie, i to szybko, zanim nie będzie za późno!

Spoglądaliśmy osłupiałym wzrokiem na twarze obu mężczyzn. Potężne okrzyki: Hurra, pobieda! dochodziły z coraz bliższej odległości. Żołnierze, których nie sposób było zliczyć, biegli do ataku, strzelając z biodra. Kule gwizdały w powietrzu.

— Oszaleliście! — wykrzyknął sierżant. — Nikt stąd się nie ruszy! Zaraz nadejdą nasi. Strzelajcie dalej, na Boga!

Weteran załadował karabin i podniósł ostatni zasobnik z amunicją.

— To szaleństwo, sierżancie! Nasi nadejdą za późno! Jak pan chce, niech pan tutaj zdycha!

— Nie! nie! — ryknął sierżant.

Weteran wyskoczył jednak z transzei i zaczął biec, pochylony, w kierunku lasu, przywołując nas. Jak szaleńcy unieśliśmy broń.

— Uciekajmy! — wrzasnął Sudetczyk.

Wszyscy poszli w jego ślady. Strach odebrał nam rozum. Dysząc jak opętani, dotarliśmy do pierwszych poszarpanych przez pociski drzew. Wokół świstały kule, na szczęście wystrzeliwane przez Rosjan na oślep. Było nas nadal siedmiu, co wydawało się nieprawdopodobne. Kolumnę zamykał sierżant, w dalszym ciągu złorzecząc:

— Natychmiast przygotować mi stanowisko! Banda tchórzów! Zginiecie, nie próbując nawet

się bronić!

Grupa jednak zagłębiała się dalej w poharatany las.

— Stać! — wrzeszczał dowódca. — Stać, łajdaki!

Dopał weterana, który usiłował złapać trochę tchu, stojąc za zdruzgotanym drzewem.

Znajdowałem się przy nim.

— Łajdaku! — wydierał się sierżant. — Odpowiesz mi za to!

— Wiem — weteran niemal się zaśmiał, dysząc ciężko. — Każecie mnie rozstrzelać, ale wolę już pluton egzekucyjny, niż ruskie bagnety.

I znów zaczęliśmy uciekać. Wspięliśmy się na niewielki pagórek rozorany pociskami i ogołocony z drzew.

— Aj! Aj! Aj! — krzyczał weteran. Sowieckie kule uderzały głucho o leśną glebę.

— Szybciej, sierżancie! Szybciej! — krzyczał weteran do dowódcy, który ciągle wspinał się na wzniesienie. — Zobaczycie, sierżancie, powstrzymamy ich, kiedy dołączymy do naszych wojsk!

Gdy tylko weteran skończył zdanie, sztabowy wyprostował się nagle, wydając cichy krzyk. Zatrzepotał śmiesznie ramionami w powietrzu. Prawie zbiegł z pagórka, po czym upadł twarzą do ziemi.

— Cholerny sierżant — rzekł weteran. — A mówiłem mu, żeby się pośpieszył.

Pozbawiona po raz drugi dowódcy, 8. drużyna zmykała między zaroślami. Dźwigając cały nasz sprzęt, potykaliśmy się niemal co krok.

— Zatrzymajmy się na chwilę — poprosiłem. — Nie mogę złapać tchu. Halls padł na ziemię, kontrolując swój oddech. Za nami ciągle słychać

było strzelaninę. Od czasu do czasu w kierunku Rosjan przelatywał niemiecki pocisk.

— I tym chcą powstrzymać Iwana — rzekł weteran. — Na Boga! Nie ma tam już nikogo, kto by im wyjaśnił, co trzeba robić. Dalej, w drogę, chłopaki! Trzeba stąd spieprzać!

— Całe szczęście, że jesteś z nami — rzekł Halls do weterana. — Gdyby nie ty, wszyscy byśmy już nie żyli.

— Jasne — odrzekł nasz wybawca. — No dalej, ruszać się!

I znów zaczęliśmy szaleńczy bieg mimo potwornego zmęczenia, na skutek którego chwilami zapominaliśmy, jak ważny dla nas jest każdy krok. Do naszej grupy dołączyło trzech innych żołnierzy.

— Ale mieliśmy przez was pietra — odezwali się. — Myśleliśmy, że to bolszewicy.

Wbiegliśmy na jakąś polankę. Właściwie nie była to polana. Rosyjskie pociski musiały poprzedniego dnia uderzyć w skład amunicji do paka, na którego szczątki natknęliśmy się przypadkowo. Wszystko wyleciało w powietrze z ogromną siłą, stąd brak drzew w tym miejscu. Na powalonym pniu, cztery metry nad ziemią zwisały ludzkie szczątki.

Niespodziewanie natknęliśmy się na kompanię żołnierzy gotową do ataku. Wysoki porucznik pośpieszył nam naprzeciw.

— Dowódca drużyny? — zapytał z miejsca.

— Zginął w walce — odpowiedział weteran, starając się przyjąć postawę zasadniczą.

— Teufel! — rzekł oficer. — Skąd idziecie? Z jakiej jesteście kompanii?

— 8. drużyna, 5. kompania. Grupa szturmowa Gross Deutschland Dwi-sion, Hen Leutnant!

— 21. drużyna, 3. kompania — dodała trójka żołnierzy, która dołączyła do nas. — Tylko my ocaleliśmy.

Porucznik popatrzył na nas i nie wypytywał dalej. Ciągle słychać było strzały, a od czasu do czasu dochodziły okrzyki atakujących Rosjan.

— Gdzie nieprzyjaciel? — zapytał na koniec.

— Wszędzie przed nami, Hen Leutnant. Zalali całą równinę. Są ich setki tysięcy — ciągnął weteran.

— Wycofujcie się dalej. My nie jesteśmy z „Gross Deutschland”. Dołączycie, kiedy spotkacie

któryś z waszych oddziałów.

Nie kazaliśmy sobie tego powtarzać dwa razy. Znowu zanurzyliśmy się w leśnej gęstwinie, a oficer powrócił do swych ludzi, wykrzykując rozkazy. Minęliśmy jeszcze sporo innych pododdziałów gotowych na rzeź, nim wreszcie dotarliśmy do tego samego miejsca, gdzie poprzednio przygotowaliśmy punkt oporu w piwnicy. Zatrzymaliśmy się, ponieważ w tym miejscu miała stanowisko któraś z jednostek naszej dywizji. Nie było jednak śladu 5. kompanii. Zarzucono nas pytaniami, najpierw w dowództwie, a potem wśród zaniepokojonych żołnierzy. Naszej niewielkiej grupie zezwolono na kilka chwil odpoczynku w cieniu ruin i przyniesiono coś do picia.

Przynaglani do pośpiechu żołnierze kopali wokół okopy, umacniali teren, maskowali stanowiska, sprawdzali to, co było już przygotowane. Około południa walki rozpoczęły się znowu. Znaleźliśmy się pod kolejnym ostrzałem rosyjskiej artylerii, w wyniku czego musieliśmy się schronić w znanej już nam piwnicy. Zastaliśmy tam grubego żołnierza, weterana dywizji „Gross Deutschland”. Facet tańczył i podskakiwał, podczas gdy potężne eksplozje rozrywały niebo i ziemię. Wszyscy jego koledzy patrzyli obojętnie na dziwaka. — Postradał zmysły — rzekł Halls.

— Taki już był, kiedy go poznaliśmy — odezwał się do nas jakiś żołnierz. — To nasz wesolek, ten cholerny Oldner!

Nie zwracaliśmy dłużej uwagi na podskakującego tłusciocha, naśladowującego figury kankana. — On mnie denerwuje — zachnął się Halls.

Grubas, nie przejmując się nieprzychylnymi spojrzeniami, nadal gestykułował zawzięcie. Po południu, naprzeciw Rosjanom wyruszyło kilka czołgów. Tuż za nimi podążały grupy grenadierów. W dali toczyła się zażarta walka trwająca z dobrą godzinę. W końcu dostrzeżliśmy wycofujących się grenadierów wraz z chmurą uciekających żołnierzy. W dali, na krańcu sadów, las czerwieniał od ognia. Raz po raz padały pociski. Nigdzie nie było bezpiecznego kąta. Ze wszystkich stron nadbiegali zdyszani żołnierze, wlokąc rannych kolegów.

Zrozumieliśmy, że znowu znajdziemy się w ogniu walk. Eksplozje, szczęk broni, ryki żołnierzy — wszystko to zbliżało się nieuchronnie. Znowu ogarnęło nas przerażenie, z którym na każdym kroku musieliśmy walczyć. Kontrataki zarówno mijanych przez nas jednostek, jak i czołgów, pochłoneła sunąca niepowstrzymanie masa rosyjskich wojsk; nawet nie dające się oszacować straty wydawały się nie mieć dla nich żadnego znaczenia. Zabudowania, w których się umocniliśmy, przypominały teraz prawdziwy punkt strategiczny. Było tam pełno gniazd karabinów maszynowych i stanowisk moździerzy. Znajdowało się nawet jedno działo przeciwpancerne. To wyjaśnia, przez jakie piekło musieliśmy przejść w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin.

Znajdujące się sześćdziesiąt metrów przed nami dwa okopy kryły dwa zamaskowane karabiny maszynowe, stanowiące w pewnym sensie przednią linię w stosunku do naszego punktu oporu. Halls i weteran zainstalowali swoje karabiny w tym samym miejscu co dwa dni temu. Na prawo od nas ukryto wśród ruin stanowisko geschtauza umieszczonego na niewielkim pojeździe terenowym. Wokół niego, wśród resztek kilku rozwalonych szop, a także za stosami drewna i ogrodzeniem przygotowano stanowiska dla mniej więcej pięćdziesięciu mauzerów, pistoletów maszynowych, granatników i innej broni piechoty. Jeszcze dalej, za kilkoma murkami, przegrupowano uciekających żołnierzy, którzy przygotowywali w pośpiechu kolejne umocnienia. Z lewej strony, tuż przy jedynej w miarę nienaruszonej budowlu, zajął pozycję pluton moździerzy. Do tego pododdziału dołączyli zresztą uciekający żołnierze i zajęli dokoła stanowiska. Za nami, po lewej stronie, przy drodze prowadzącej przez miasteczko, wznosiło swą groźną lufę w kierunku sadów, chronione umocnieniem ziemnym, działo przeciwpancerne kalibru 50 mm. Z tyłu, poniżej działa, obok ciągnika stał samochód z radiostacją. Pojazd ten zauważyliśmy już

wcześniej, kiedy po przybyciu tu zezwolono nam na chwilę odpoczynku.

Przebywając w umocnionej piwnicy, cały czas słyszeliśmy wydawane rozkazy. Oficerowie przegrupowywali przybyłych uciekinierów, tworząc prowizoryczne pododdziały, przedłużali linię obrony poza obręb miasteczka, w którym bez wątpienia znajdowało się centrum dowodzenia ze starszym oficerem na czele.

Od czasu do czasu nadlatujące pociski, wystrzeliwane przez Rosjan na oślep, zmuszały żołnierzy do padania na ziemię. W porównaniu z tym, co przeżyliśmy dzień wcześniej, nie działo się właściwie nic groźnego. Tylko w oddali, na skraju sadów, czyli w odległości około kilometra, nasi ostatni uciekający żołnierze byli w bezpośrednim kontakcie z wysuniętymi oddziałami rosyjskimi.

Weteran komentował z uznaniem, wsłuchując się w pośpieszną krzątaninę na zewnątrz.

— Nieźle — powtarzał. — Tam u góry budują drugą linię Zygryda. Tutaj zatrzymamy Ruskich! A ty, księżulku — zwrócił się do katolickiego kapelana — poproś swojego Pana Boga, aby zesłał z nieba piorun, który by zastąpił naszą niedomagającą artylerię.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet ksiądz, już mniej pewny swych argumentów, odkąd widział, jak boskie stworzenia w przyływie szaleństwa wzajemnie rozwalają się na strzępy, i to bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Wtem do naszej kryjówki wpadł jakiś sierżant.

— Co tu, do cholery, robi dwadzieścia pięć osób?

— 8. drużyna, 5. kompania, sierżancie! — rzucił weteran, wskazując na nas sześciu. —

Pozostali to zaproszeni na wiejski piknik.

— W porządku. Niech tamci wyjdą z piwnicy. Trzeba uzupełnić luki w obronie.

Żołnierze wstali z miejsca, mrużąc niezadowoleni.

— Panie sierżancie, proszę zostawić nam chociaż ze dwóch — trzech facetów, którzy by zastąpili naszych, kiedy Rusek pośle im kulkę między oczy. Forcik musi się utrzymać.

— Słusznie — rzucił feldfelbel.

Nie zdążył jeszcze nikogo wyznaczyć, a już brzuchacz zaoferował swe usługi.

— Byłem strzelcem karabinu maszynowego pod Moskwą, Hen Feldwe-bel. Nie narzekano na mnie.

— W porządku. Zostaniecie tu. I tamten. Reszta za mną!

Oprócz Baryły, którego zdążyliśmy już przezwać „francuskim kankanem”, dołączył do nas jakiś chudy ponurak.

— Przepraszam was — odezwał się Kankan — że przez moją masę trochę macie ciasno w tym hoteliku, ale przyznacie, że musiałbym wykopać zbyt dużo ziemi, aby zmieścić się w okopie.

Facet zaczął nawijać na najrozmaitsze tematy. Od czasu do czasu na skutek eksplozji mrużył swe małe świńskie oczka, ale jak tylko niebezpieczeństwo się oddalało, z upodobaniem kontynuował monolog.

— Nie bój się o dziurę, jaką wykopię, aby cię pochować — rzucił weteran poważnym tonem.

— Wystarczy rzucić trochę gruzów na twój spasiony piwem kałdun.

— Rzadko piję piwo — zaczął Kankan, ale dalszy ciąg wywodu przerwał Halls.

— Gorąco tam na zewnątrz. Popatrz, widzę dwa nasze powracające czołgi!

— Do diabła! — zaklął weteran. — Akurat! Nasze czołgi! To dwa T-34! Mój Boże! Aby tylko je dostrzegli chłopaki z obsługi działa!

Skuleni obserwowaliśmy dwa monstra zbliżające się z prędkością około trzydziestu — czterdziestu kilometrów na godzinę w kierunku miasteczka.

— Jasna cholera! — zagrzytał zębami Halls. — Nie można liczyć na te ich pukawki!

Chwycił za karabin maszynowy. Nagle usłyszeliśmy wyraźny odgłos strzelającego geschnauza. Wzdłuż drogi, którą jechały czołgi, zobaczyliśmy wytryskujące grudy ziemi. Na pancierzach T-34 pojawiły się błyski, jednak czołgi nie wydawały się poważnie uszkodzone. Naszą uwagę zwracały przede wszystkim ich długie lufy poruszające się wolno jak trąba

słonia. Na skutek eksplozji musieliśmy w pośpiechu opuścić nasz punkt obserwacyjny. Rosyjski pocisk zrównał z ziemią ruiny i poszybował dalej. Czołgi zwolniły, a drugi w szyku włączył wsteczny bieg. Geschnauz w dalszym ciągu ostrzeliwał oba monstra, które z potężnym rykiem silników zaczęły wycofywać się powoli, posuwając się zrywami. Drugi rosyjski pocisk uderzył w mur z lewej strony: zatrzęsała się cała piwnica. Nastąpiły kolejne eksplozje, ale nie śmieliśmy już przystawić głów do otworów strzelniczych. Dochodzące z zewnątrz głośnie „hurra!” dodało nam otuchy. Geschnauz uszkodził gaśnicę pierwszego czołgu. Pojazd, wycofując się zygzakami na jednej gaśnicy, uderzył w drugi czołg, który obrócił się bokiem w kierunku działa. Wkrótce spod prawego błotnika jadącego z tyłu czołgu zaczął wydobywać się gęsty dym. Oba uszkodzone pojazdy zawróciły, po czym oddaliły się. Jeden z nich spowity był powiększającym się coraz bardziej pióropuszem czarnego dymu. Chyba nie ujechał daleko. Żołnierskie „hurra!” rozległo się ze zdwojoną siłą. — Widzieliście, chłopaki, jak należy zawracać Ruskich?! — krzyczał weteran. Nasze usmolone twarze wykrzywiły się w wymuszonym śmiechu. — A ty się nie śmiesz? — zwrócił się Halls do chudego ponuraka, który został w piwnicy z Baryłą. — Jestem chory — odpowiedział zapytany. — Masz sraczkę ze strachu — odezwał się Sudetczyk. — Pociesz się, że my też. — Tak, ale to dziwna sraczka. Za każdym razem, kiedy muszę przykucnąć w kącie, z tyłka cieknie mi krew. — Idź do szpitala — poradził weteran. — Próbowałem — wyszeptał chłopak, który cierpiał chyba na czerwonkę — ale lekarz uznał, że nie jestem chory. Tego nie widać, rozumiecie... — Jasne. Lepiej, abyś stracił ramię albo miał podziurawiony kałdun. To bardziej widoczne. — Spróbuj trochę pokimać — zasugerował weteran. — Na razie nie jesteś nam potrzebny. Do miasteczka dostarczono kotły z zupą. Kto odważył się wyjść z ukrycia, dostał menażkę pełną po brzegi. Podniosło nas to na duchu; czuliśmy, że utrzymujemy kontakt z naszymi tyłami. Dopiero pod koniec dnia zaczęło się prawdziwe piekło. W dali znów wybuchły gwałtowne walki. Wkrótce zobaczyliśmy resztki naszych wojsk wycofujące się przed nacierającą hordą. Rosjanie parli tuż za ostatnimi niemieckimi żołnierzami, którzy padli, nim zdołali osiągnąć linię obrony na wysokości miasteczka. Do sponiewieranych sadów wdzierały się chmury wyjących Ruskich. Czerwoni biegli, padali na ziemię, po czym wstawali, wydzierając się przez cały czas. Odgłos naszej broni zagłuszało ich piekielne „hurra!” Zaczynała się najstraszliwsza hekatomba. W piwnicy pełnej dymu od dwóch karabinów maszynowych nie dawało się prawie oddychać. Od wystrzałów działa przeciwpancernego, rozgrzanego chyba do czerwoności, pękał sufit, którego fragmenty spadały nam na głowy. — Strzelajmy na przemian! — wrzasnął weteran do Hallsa, przekrzykując hałas — bo inaczej roztopią nam się pukawki! Lindberg, zielony z przerażenia jak jego własny mundur, zatkał sobie uszy ziemią, aby nic nie słyszeć. Naboje z piątego już zasobnika defilowały w mych zbolałych dłoniach i znikwały w gorejącej maszynie, która huczała w rękach weterana. Pocisk z sowieckiego granatnika zniszczył jedno z dwóch znajdujących się przed nami stanowisk karabinów maszynowych. Załoga drugiego karabinu nadal prowadziła ostrzał, dziesiątkując rozjuszonych Rosjan, którzy parli ze wszystkich stron. Mimo szaleńczego ataku, wyjące fale Czerwonych padały pod ogniem moździerzy i karabinów maszynowych. Przed nami bolszewickie trupy zalegały ziemię w zastraszającym tempie. Co mogło dziać się w dalszej odległości... ? Dwa lub trzy pociski wpadły przez otwory strzelnicze, ale cudem nikt nie został ranny.

Nagle usłyszeliśmy głucho dudnienie: dwa albo i trzy tysiące niemieckich żołnierzy jeszcze bardziej pochyliło głowy. Przed nami, pomiędzy żywymi i martwymi Rosjanami, pojawiały się niezliczone błyski. Przez chwilę zamarliśmy w bezruchu.

— To nasza artyleria! — ktoś wrzasnął. — Tak, to nasza artyleria!

— O Boże! — wykrzyknęli Halls i weteran. — Nie liczyliśmy już na nich. Odwagi, chłopaki! Ruscy nie przejdą!

Rzeczywiście — niemiecka artyleria dokonała wreszcie przegrupowania i zasypywała atakujących deszczem pocisków. W ciemnej i pełnej dymu norze nasze mordy rozjaśniły się nieco.

— Aaa! To jest to! — śmiał się Kankan. — Popatrzcie tylko! Grzeją tam, gdzie trzeba! Brawo!

Wymienił nazwisko kolegi, który był artylerzystą. Przed nami rozszalała się prawdziwa nawałnica, rozrywając ziemię.

— Sieg heil! — wrzeszczał Lindberg jak obłąkany.

Widać było, że Rosjanie nie są w stanie przeciwstawić się tej nawałce, podobnie jak dzień wcześniej nasze wojska nie zdołały oprzeć się huraganowemu ostrzałowi ich artylerii.

Niemieckie działa wydłużyły ogień. Pociski ściagały teraz przerażonych Rosjan na terenie leśnym. Umilkły bolszewickie okrzyki: hurra! победа! Wokół słychać było tylko przejmujące skargi i rżenia tysięcy konających.

Obrońcy miasteczka uwierzyli, że są uratowani.

— Pić! — wydzierał się weteran. — Trzeba to uczcić! W całej kampanii nie widziałem takiej rzezi. Przez jakiś czas, chłopaki, będziemy mieli spokój. Ja wam to mówię. Ty tam! Nie maź się, tylko przynieś coś do picia! — zwrócił się do Lindberga, wyrywając go z kąta.

Lindberg najwidoczniej stracił zmysły. Raz po raz albo śmiał się, albo płakał.

— No dalej, wylaż! — warknął Halls, który czuł do niego urazę. — Za-pieprzaj po picie!

Po czym poczęstował go kopniakiem w tyłek.

Chłopak skierował się ku wyjściu, chowając twarz w dłoniach.

— Gdzie ja znajdę coś do picia? — spytał zastraszony.

— A gówno mnie to obchodzi! Idź do radiotelegrafistów. Oni zawsze chomikują jakieś butelczyny. Zapierdalaj i nie wracaj z pustymi rękami!

Na zewnątrz żołnierze krzyczeli z radości, że ubili tyłu Roskich. W naszej piwnicy było coraz radośniej. Kankan zaczął tańczyć, a my poszliśmy w jego ślady.

— Myślałem, że ich nie powstrzymamy. Na szczęście artyleria i nasze tyły nie zapomniały o nas.

— No właśnie! — śmiał się grenadier przebywający z nami od trzech dni.

Na naszych umorusanych gębach pojawiły się łzy radości ciekące z bolejących, czerwonych oczu. Weteran śpiewał i cały czas domagał się picia. Ufaliśmy mu. To on rano nas uratował.

Jeżeli on się cieszył, mogliśmy robić to samo. Znał przecież zwyczaje Rosjan. Brał udział w wielu walkach. Powtarzał, że przez dłuższy czas możemy być spokojni. Ale weteran nie miał racji. Czasy się zmieniły. Wojska rosyjskie były teraz nieporównywalnie liczniejsze. Nie były to już kiepskie dywizje, które Wehrmacht gnał z Polski na przestrzeni setek kilometrów.

Czasy się zmieniły i weteran się mylił. Za piwnicą i miasteczkiem, za niemieckimi transejami pełnymi rozradowanych żołnierzy, za tysiącami ruskich trupów i za płonącym lasem, sowiecka lawina wraz z setkami dział sunących jedno przy drugim parła znowu naprzód, tratując własnych poległych i naszych, potężniejsza niż kiedykolwiek. I potężne okrzyki: hurra! победа! zagłuszyły nasz radosny śmiech.

W naszej na wpół zawalonej piwnicy było już tylko pięć par zatrwożonych oczu spoglądających na ciemny sad, który rozbłyskiwał tysiącami wystrzałów. Po raz trzeci Rosjanie rzucili się do ataku i trzykrotnie nasi żołnierze odparli szturm za cenę niewyobrażalnych strat. Przed każdym atakiem rosyjskie działa zasypywały pociskami nasze

pozycje i stanowiska artylerii, która dzielnie stawiała opór, wystrzeliwując ostatnie pociski. Już od czterech albo pięciu godzin nie rozlegały się nasze radosne śmiechy, a „Organy Stalina” siały spustoszenie w szeregach niemieckich żołnierzy, zabijając znaczną część obrońców. Artyleria dobiła albo załamała psychicznie pozostałych żołnierzy, a ci, którzy podobnie jak my mieli szczęście zajmować solidne umocnienia, strzelali resztkami amunicji. Sufit w naszej piwnicy oczywiście nie wytrzymał: wielki otwór wśród gruzów przypominał szyb wentylacyjny, przez który uchodził gęsty dym. Cierpiący na czerwonkę chudzielec na kilka chwil zastąpił Hallsa przy karabinie maszynowym. Pocisk, a może odłamek drasnął go w szyję. Leżał teraz spokojnie obok trzech umierających żołnierzy, których zniesiono do piwnicy, aby w spokoju przeżyli ostatnie chwile. Na domiar złego broń Hallsa się zacięła i tylko zeszytywniały ze zmęczenia weteran, wspomagany przez Kankana, Sudetczyka i mnie, w dalszym ciągu strzelał do wszystkiego, co się przed nim ruszało.

Kiedy rosyjskie pociski raketowe wznieciły ścianę białego ognia na wysokości tranzei chroniącej moździerz, wpadliśmy w czarną rozpacz. Gesch-nauz został rozbity w puch, a jego obsługa chyba już dawno zginęła. Cała ciężka broń została zniszczona. Wyjące stada Ruskich powstrzymywało tylko kilka karabinów maszynowych i lekka broń piechoty. W każdej chwili mogliśmy zostać oskrzydleni albo zalani chmarą bolszewików. Z lewej strony nasza piechota toczyła ostatnią walkę, wydając nieludzkie okrzyki.

— Pora umierać — rzeki weteran. — Trudno. Nie widzę wyjścia z tej sytuacji.

Przed nami, wśród błysków ognia, widzieliśmy od czasu do czasu bohaterskie gniazdo karabinu maszynowego, które jakimś cudem zdołało się utrzymać.

Rosjanie atakowali niemal bez wytchnienia. O świcie pojawiły się ich czołgi, których pociski zrównywały z ziemią wszystko to, co wystawało jeszcze metr nad ziemią. Jeden z nich rozniósł w strzępy resztki naszych umocnień. Runęliśmy bezwładnie na ziemię. Wydzierając się rozpaczliwie, słyszeliśmy równocześnie krzyki dochodzące z gniazda karabinu maszynowego, a za chwilę doszły do naszych uszu mściwe wrzaski załogi sowieckiego czołgu, który zrównał z ziemią okop, wgniatając bohaterskich żołnierzy w przeklętą rosyjską ziemię.

Halls patrzył na to przez chwilę, zafascynowany. Tylko on utrzymywał się na nogach i mógł obserwować, co się dzieje. Później powiedział nam, że gąsienice czołgu długo jeszcze miażdżyły ziemię, a rosyjscy czołgiści wrzeszczeli: kaput żołdat giemanski! Udało nam się opuścić nasze pozycje dziesięć minut przed wtargnięciem tam Rosjan. Nie byliśmy w stanie biec; siły całkowicie nas opuściły. Wlekliśmy się, Bóg wie jakim cudem, mijając martwe ciała żołnierzy. Towarzyszyły nam błyski eksplozji i nieopisany chaos. Słyszeliśmy ustawiczny odgłos wybuchów. Wydawało nam się, że nigdy nie nastanie już cisza. Za mną podążał Halls. Miał rękę całą we krwi, ale ranny był w szyję. Przede mną chwiejnym krokiem posuwał się Lindberg, który wreszcie się zamknął. Daleko z tyłu szedł weteran, złorzecząc jak opętany na artylerię, Ruskich i wojnę. Baryła włókł się obok mnie, cały czas mamrocząc jakieś niedorzeczności. Huk wzmagął się, całe niebo rozbłyskiwało ogniem eksplozji.

Staraliśmy się biec truchtem.

— Sajer, to już po nas! — krzyknął Halls. — Dopadną nas.

Zacząłem się trząść i krzyczeć. Czuję okropny ból głowy. Nastąpiła seria eksplozji i wystrzałów. Raczej upadliśmy bez sił, niż rzuciliśmy się na ziemię, by po chwili znów brnąć do przodu niczym zjawy. Nagle Kankan krzyknął. Spojrzałem na niego przemęczonym wzrokiem i wydawało mi się, że majaczą. Patrzyłem na niego z tępym wyrazem twarzy, maszerując z najwyższym trudem.

— Nie zostawiaj mnie! — odezwał się Kankan błagalnym tonem.

Jego ręce ścisnęły brzuch, podtrzymując coś plugawego, co można zobaczyć na podłodze w rzeźni. Na moment ocknąłem się z odrętwienia i spojrzałem uważnie na Oldnera.

— Jak możesz w takim stanie utrzymać się na nogach? — spytałem, prawie nie wiedząc, co

się ze mną dzieje.

Nagle Kankan wydał długi okrzyk i zwinął się wpół.

— Chodź! — odezwał się Sudetczyk, jakby był pijany. — Nic już nie można dla niego zrobić.

Posuwaliśmy się dalej, niczym lunatycy. Wtem za nami rozległ się warkot silnika.

Odwróciliśmy głowy, zastanawiając się, jakie jeszcze niebezpieczeństwo na nas czyha. Ze zgaszonymi światłami, podskakując na nierównościach terenu, zbliżała się szybko jakaś ciemna sylwetka pojazdu.

Resztkami sił usiłowaliśmy się rozproszyć. Blask pobliskich eksplozji oświetlił ciężarówkę, kiedy była już na naszej wysokości.

— Wskakujcie koledzy! — krzyknęła jakaś bratnia dusza. Zbliżyliśmy się chwiejnym krokiem. Trzem chłopakom z miasteczka

udało się uruchomić samochód terenowy, na którym poprzednio zainstalowany był geschnauz. Z trudem wdrapaliśmy się na wąską platformę zawałoną zniszczonym ciężkim karabinem maszynowym. Pojazd ruszył w drogę, unosząc poprzez tysiące kolein padających ze zmęczenia żołnierzy. Zdaje się, że dotarliśmy do stanowisk naszej artylerii. Zrezygnowana obsługa dział pozbawionych amunicji zaczęła do nas machać.

— Wycofywać się! — krzyknął kierowca ciężarówki. — Ruscy nadchodzą!

Dopalał się jakiś ciągnik artyleryjski. Nie wiadomo, czy to blask ognia oślepił kierowcę, w każdym razie nasz pojazd zarył przodem w głębokim leju. Wszystkich wyrzuciło z ciężarówki. Wydawało mi się, że przeleciałem przez przednią szybę. Poczułem silny ból w ramieniu, które i tak było już w opłakanym stanie, i wylądowałem skulony przed przednim kołem pojazdu.

— Kurwa mać! — warknął któryś z żołnierzy. — Gdzieś ty się wpierdolił?

— Stul pysk! — bronił się kierowca. — Na pewno mam rozbite kolano. Uniosłem się z ziemi, trzymając się za lewe ramię. Było jak sparaliżowane.

— Masz gębę całą we krwi — rzekł Sudetczyk, patrząc na mnie.

— Boli mnie tylko ramię.

Dostrzegłem potężne cielsko Hallsa leżące na niewielkim wzniesieniu. Mój nieszczęsny kompan, już wcześniej ranny, został wyrzucony daleko w przód i cały czas leżał zamroczony.

— Halls! — zawołałem, potrząsając nim. Wielkolud podniósł rękę do szyi. Na szczęście żył. Ktoś usiłował wyjechać z tej dziury. Koła rozorywały ziemię, lecz cholerny pojazd nie ruszył się z miejsca. Zrezygnowani, doszliśmy do stanowisk artyleryjskich, które przygotowywano do ewakuacji. Chłopaki obarczyli nas swym sprzętem, po czym ruszyliśmy w jakieś spokojniejsze miejsce.

W oddali czerwieniał horyzont.

— Wracacie z tego piekła? — spytał któryś z artylerzystów.

Zwrócił się do weterana, ale ten nic nie odpowiedział. Facet zapadł jakby w letarg. Nasza grupa kloszardów zasnęła pomimo silnych wstrząsów potężnego pojazdu. Tylko Halls i ja byliśmy jeszcze w miarę przytomni. Zwichnięte ramię nie pozwalało mi się poruszać, sprawiając okropny ból. Ktoś pochylił się nade mną. Miałem twarz całą we krwi.

Rozpryskująca się szyba pokaleczyła ją w wielu miejscach i moja pokrwawiona gęba sprawiała wrażenie, jakby krew wydobywała się z głębokiej rany.

— Ten już długo nie pociągnie — stwierdził pochylający się nade mną chłopak.

— A właśnie, że nie! — odpowiedziałem krótko.

Później chłopacy pomogli nam zsiąść z samochodu. Przy każdym ruchu czułem ból w lewym ramieniu, co w połączeniu ze zmęczeniem przyprawiało mnie o mdłości. Zacząłem wymiotować. Wydawało mi się, że wyrzgam wszystkie flaki. Dwóch żołnierzy pomogło mi dojść w pobliże budynku, gdzie rozłożono licznych rannych. Dołączyli do mnie Halls z zakrwawioną szyją i kierowca, który poruszał się, skacząc na jednej nodze.

— Kiepsko, staruszk, co? — zagadnął Halls, patrząc jak wymiotuję. — Ale chyba nie wykitujesz?

Słowa te docierały do mnie jakby z oddali, zagłuszane przez moje charczenie.

— Chcę wrócić do domu — wyszeptałem, walcząc z czkawką.

— Ja też bym chciał — rzekł Halls, po czym położył się na plecach i zasnął.

O świcie zbudziły nas służby sanitarne segregujące żywych i zmarłych. Jakiś facet chłodną ręką odchylił mi powieki i spojrzał w oczy.

— W porządku, chłopcze? — zapytał. — Co cię boli?

— Ramię. Nie mogę nim poruszać.

Gdy pielęgniarz odwijał cały mój majdan, krzyczałem z bólu.

— Nie ma widocznej rany, Hen Major — zwrócił się do wysokiego mężczyzny w czapce.

— Co mu się stało w głowę?

Nie widzę nic szczególnego — odpowiedział pielęgniarz. — Twarz ma całą we krwi. To wszystko. Zwichnięte ramię...

Gdy chłopak poruszył mym lewym ramieniem, krzyknąłem z bólu. Lekarz skinął jedynie głową, po czym pielęgniarz zawiesił mi na piersi kawałek białej tektury. Tak samo Hallsowi i kierowcy. Tego ostatniego jednak, wraz z wieloma innymi żołnierzami, załadowano do sanitarki. Halls i ja leżeliśmy w dalszym ciągu na ziemi. Około południa dwóch innych facetów zajęło się tymi, którzy podobnie jak my, kimali na chodniku. Chcieli mnie podnieść na nogi.

— W porządku, chłopaki! Jestem w stanie iść. Boli mnie tylko ramię. Ci, co mogli poruszać się o własnych siłach, utworzyli rząd, po czym skierowano nas do kantyny.

— Rozbierać się do naga! — warknął feldfelbel.

Z najwyższym trudem udało mi się rozebrać. Pomogło mi w tym dwóch kolegów. Obnażyłem obolałe i spuchnięte ramię. Każdemu dano zastrzyk w udo. Następnie pielęgniarze obmywali rany eterem i nakładali przylepce. Obok drzwi zszywano jakiegoś chłopaka, który miał paskudną ranę na plecach. Pacjent wrzeszczał, gdy potraktowano go przyrządami chirurgicznymi. Potem dwóch facetów w okularach zajęło się mną. Uczepili się mego chorego ramienia pazurami jak niedźwiedzie. Na próżno wyłem z bólu i wrzeszczałem na nich. Nie zwracali najmniejszej uwagi na moje krzyki. Nastawili mi zwichnięte ramię, aż chrupnęło, a ból przeniknął przez całe ciało, po czym zajęli się kolejnym gościem.

Na zewnątrz odnalazłem Hallsa. Z lewej strony szyi miał nałożony duży przylepiec z watą. Mój przyjaciel został trafiony odłamkiem trzy centymetry niżej od pierwszej rany, którą odniósł w Charkowie.

— Następnym razem będę trupem — rzekł Halls.

Nieco dalej odnaleźliśmy weterana, Sudetczyka, Lindberga i grenadiera, którzy spali na trawie jak zabici. Położyliśmy się obok nich i poszliśmy w ich ślady.

Tak oto zakończyły się dla nas walki o Biełgorod. W stosunku do pozycji wyjściowych przesunęliśmy się do tyłu. Niemcy stracili nie tylko tereny, które przez dziesięć dni z takim trudem zdobywali. Jedna trzecia uczestniczących w tej operacji wojsk zginęła w piekle walk, w tym wielu młodych żołnierzy z Hitlerjugend.

Co się stało z pięknym młodzieńcem o dziewczęcej twarzy, z jego przyjacielem o jasnych i szczerych oczach, ze studentem, który tak starannie się wysławiał? Prawdopodobnie spoczywali na umęczonej rosyjskiej ziemi, podobnie jak melancholijny grajek na harmonijce, zwierający się w piosence, że znów chciałby zobaczyć swoją zieloną, spokojną dolinę, chociażby miał tam umrzeć.

Jak mawiał weteran, polegli w Rosji niemieccy żołnierze nie mają grobów. Któregoś dnia razem z gnojem chłop zaorze nasze resztki i zasieje w tym miejscu ziarna słonecznika...

CZĘŚĆ TRZECIA
ODWRÓT
Jesień 1943

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nowy front

We wrześniu Charków dostał się ostatecznie w ręce Rosjan, którzy dokonali głębokich wylomów na centralnym i południowym odcinku frontu. Przez luki te wtargnęły nieprzyjacielskie czołgi, dezorganizując cały system obrony. Rozpoczął się ogólny odwrót. Często całe dywizje znajdowały się w okrążeniu. Zadaniem naszej jednostki było likwidowanie sowieckich oddziałów wdzierających się w głąb niemieckiej obrony. W tym celu została wyposażona w nowoczesny sprzęt. Dywizja „Gross Deutschland” dokonywała nierzadko cudów, co znajdowało potwierdzenie w oficjalnych komunikatach. Tam, gdzie się pojawiała, w żołnierzy tkwiących w transejach wstępowała nadzieja; z naszą pomocą zmuszali nieprzyjaciela do ucieczki. Tak bywało najczęściej. Oczywiście nigdy nie wspomniano o naszych trudnościach, o tym że sami byliśmy w okrążeniu, o zdesperowanych żołnierzach porzucających sprzęt w oceanie błota. Nie wspomniano o ciągłych przegrupowaniach naszej dywizji, by zastąpić zdziesiątkowane oddziały. Nie wspomniano ani o kapitanie Wesreidau posiekanym odłamkami, ani o jego steinerze, który wyleciał w powietrze. Nie wspomniano o chorążym i jego plutonie, co dostał się do niewoli i zbyt późno został uwolniony przez nasze komando. Nie wspomniano, jak my sami, jeszcze dzieci, ogromnie rozpaczaliśmy, że musimy być na froncie przez kolejną zimę. Nie wspomniano o moście z ludzkich ciał na Dnieprze, o porzucaniu całych oddziałów zamarzniętych na śmierć żołnierzy, o spalonej ziemi, o tygodniu grozy w Czernihowie, o naszych rękach popękanych od odmrożeń i o ponurej rezygnacji w obliczu śmierci. Dowódcy relacjonowali ogólnie te wydarzenia. Opisywali klęski, napomykali w jednym zdaniu lub dziesięciu liniijkach o stratach na skutek chorób czy odmrożeń. Myślę, że nigdy naleyście nie opisywali nędzy żołnierza, którego nierzadko czekał los, jakiego człowiek stara się zaoszczędzić nawet pokrytemu parchami psu. Nigdy nie wspominali o tysiącach nieszczęsnych godzin spędzanych na froncie, o rozczarowaniu żołnierza zagubionego w tłumie, gdzie człowiek, dręczony własnymi cierpieniami, nie liczy się z problemami drugiego. Nigdy nie było mowy o żołnierskich masach, czasem zwycięskich, czasem pokonanych, karconych przez dowódców, nękanych przez rozjuszonego nieprzyjaciela, któremu pozwolono wyładować swą „usprawiedliwioną” wściekłość i który lubuje się w zbrodniach i pogardzie, a potem daje upust swemu rozczarowaniu, gdy widzi, że zwycięstwo nie zwróciło mu wolności. Ponieważ wolność nie istnieje. W gruncie rzeczy istnieją tylko zbrodnie wojenne i będąca również zbrodnią hipokryzja w czasach pokoju. Swego sąsiada nie kocha się przez zwykły poryw serca; często kocha się go, aby później mieć usprawiedliwienie, kiedy trzeba będzie go, niestety, nienawidzić.

„A ja uważałem go za poczciwego chłopaka” — zauważy się później. Nie ma wolności w społeczeństwie, które szczelnie zamyka granice. Jest tylko kruche prawo głoszące krągłe frazesy, że wolność jednych kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innych. Świadom ogólnikowości tego proroctwa, drobnomieszczanin, uśmiechając się dobrotliwie, typie niespokojnymi oczyma na sąsiada ryzykującego upadkiem z granicznego drzewa na starannie ostrzyżony żywopłot z trzmieliny, chroniący enklawę dostatniej wolności. Prehistoryczni ludzie pojmowali to instynktownie, a wolność dla nich istniała tylko w zasięgu działania ich maczugi. Dalej to już tylko ustawiczne zagrożenie wojenne, pułapki i nikczemności.

— Dlatego właśnie walczycie — powiedział nam pewnego dnia Herr Hauptmann Wesreidau.

— Jesteście tylko broniącymi się zwierzętami, nawet gdy zmusza się was do ataku. Dalej, odwagi! Życie to wojna, a wojna to życie. Wolność nie może istnieć.

Kapitan Wesreidau pomagał nam przetrwać najcięższe chwile. Doskonale nas rozumiał. Nie należał do oficerów, co to puszczając się swoim stopniem, patrzył na żołnierza z góry, traktując go jak nędzne indywiduum, którym można wysługiwać się bez skrpułów. Ileż to razy czuwał wraz z nami podczas koszmarnych nocy! Ileż razy przychodził do naszych umocnień, by prowadzić długie rozmowy, dzięki czemu zapominaliśmy o śnieżnej zawierusze szalejącej na zewnątrz! Jeszcze dziś widzę jego szczupłe oblicze, niewyraźnie oświetlone płomykiem świecy, znajdujące się blisko naszych twarzy.

— Niemcy to wielki kraj — mówił nam. — Przeżywamy dziś ogromne trudności. Porządek, w który mniej lub bardziej wierzymy, wart jest tyle, co hasła sowieckie. Nawet kiedy czasem nie akceptujemy tego, co musimy zrobić, musimy to wykonać dla naszego kraju, naszych rodzin, naszych kolegów atakowanych przez tę drugą część świata, utrzymującą, że służy prawdzie i słusznej sprawie. Prawda i słuszna sprawa są tak względne jak wolność. Wszyscy jesteście na tyle dorośli, by to zrozumieć. Podróżowałem po Ameryce Południowej, kiedyś nawet znalazłem się w Nowej Zelandii. Następnie walczyłem w Hiszpanii, w Polsce, we Francji, a dziś w Rosji. Mogę powiedzieć, że wszędzie spotykałem się z tą samą hipokryzją. Życie, ojciec i lekcje starszych ludzi — to wszystko nauczyło mnie, bym żył uczciwie i rzetelnie. Byłem wierny tym zasadom, pomimo wszelkich trudności i łajdactw, jakie napotkałem po drodze. Tam, gdzie przydałby się miecz, nadał się uśmiechałem albo sam się oskarżałem, myśląc, że zło pochodzi ode mnie.

Kiedy po raz pierwszy zrobiłem użytek z karabinu, a było to w Hiszpanii, czułem, że wojna tak bardzo mi nie odpowiada, że chciałem popełnić samobójstwo. Później jednak widziałem okrucieństwo ludzi, którzy przekonani, że bronią słusznej sprawy, uczynili z zabijania narzędzie oczyszczenia. Widziałem, jak obawiają się nas łagodni i egzaltowani Francuzi. Potem, kiedy zaczęliśmy im ufać, pragnąc wyciągnąć do nich przyjazną dłoń, rozzuchwalili się i sięgnęli po broń, którą nie potrafili się posłużyć, gdy był ku temu czas. Ludzie na ogół nie akceptują tego, do czego nie są przyzwyczajeni. Jakakolwiek zmiana zaskakuje ich i przeraża. A wówczas zgadzają się walczyć, aby zachować to, na co ustawicznie się skarżą. Wystarczy, że piękni mówcy mający wygodną posadkę przekonają ich, że istnieje równość między ludźmi. Wówczas ci ludzie, choć tak różni od nas jak krowa i kogut, zmęczeni i sfrustrowani w swym świecie niezmiernie ograniczonej wolności, zaczynają wykrzykiwać swe przekonania i prą groźnie do przodu. Niemniej, dobrze jest chronić ich i pilnować, by mieli pełen brzuch, jeśli się chce wyciągnąć z nich choćby dziesięć procent zaplanowanej wydajności.

Taka, koledzy, jest mniej więcej sytuacja po stronie przeciwnika. U nas ludzie mają przynajmniej szczęście, że mogą być mniej bierni. Jeśli ktoś krzyczy: „popatrzcie na siebie!”, każdy ma odwagę na siebie spojrzeć. Nasza sytuacja daleka jest od doskonałości, lecz my nie boimy się szukać czegoś nowego. A więc próbujemy szukać szczęścia. Jest to ryzykowne przedsięwzięcie. Głoszone jest hasło jedności. Nie zapewnia ono ani bogactwa, ani sytości, ale zdecydowana większość narodu niemieckiego akceptuje je, chwytając się go, wykuwa je i wykrzykuje we wspólnym narodowym porywie. W ten sposób szukamy szczęścia.

Usiłujemy, opierając się na ideach społecznych, zmienić oblicze świata, mając nadzieję, że wydobędziemy stare, tradycyjne wartości ukryte pod plugastwami nikczemnych narodów i naszych ojców. Za to wszystko nie jesteśmy wynagradzani. Jesteśmy armią znienawidzoną i wydziedziczoną z naturalnych praw. Jutro, jeśli stracimy twarz, niesprawiedliwy osąd dotknie tych, którzy zostaną przy życiu po zaznaniu tak wielu cierpień. Wlec ich się będzie w pył i piachu, padać na nich będą cięższe oskarżenia niż o ludobójstwo, jak gdyby inni w czasie wojny nie popełniali tych samych czynów. Ci, którym będzie bardzo zależało, by nasz idealizm przeminął, wysmiewać będą nasze poglądy. Nic nie zostanie nam oszczędzone.

Niszczyć się będzie nawet groby bohaterów, zachowując tylko, w imię poszanowania śmierci, miejsca pochówku przypadkowych poległych, którzy tak naprawdę nawet nie odważyli się szukać swego szczęścia. Wraz z nami skończy się czas bohaterstwa, którego dowody dajemy każdego dnia. Zniknie pamięć o poległych i ocalałych towarzyszach, zniknie nasza duchowa wspólnota, nasze nadzieje i niepokoje. Historia nasza nie będzie nawet relacjonowana.

Napomknijcie się tylko o bezsensownym, idiotycznym poświęceniu. Chcąc nie chcąc, stanowicie część ryzykownej misji. Nic nie dorówna waszym wysiłkom, skoro pisane jest wam spać pod spokojnym rosyjskim niebem. Nie uzyskacie przebaczenia, jeżeli uda wam się przeżyć. Będziecie albo odrzuceni, albo zachowają was jak nieliczne zwierzęta, uratowane z kataklizmu. Nie będziecie mieli prawdziwych przyjaciół. Pies i kot nigdy nie mogą spokojnie spać. Czy chcecie podobnego końca? Ci, którzy potrafią dostosować się do takiej sytuacji, mogą przejść przez nasze linie i odejść, nie obawiając się naszej zemsty.

Niech każdy, kogo dręczą obawy, powie mi o tym, a całymi nocami będę go uspokajać.

Pozostali niech odejdą. Nie mamy czego od nich oczekiwać: nasza misja nie znosi niezdecydowanych. Wierzcie mi — jestem świadom waszej nieszczęsnej doli. Jest mi zimno, tak jak wam, tak jak wy się boję, tak jak wy strzelam do nieprzyjaciela, bo uważam, że jako oficer powinienem robić więcej niż wy. Tak jak wy pragnę żyć, choćby tylko po to, by nadal walczyć. Chcę, aby moja kompania jednoczyła się w walce i myślach. Nie będę tolerował słabych i wątpliwych. Cierpimy nie tylko po to, by odnieść ostateczne zwycięstwo; cierpimy też, by codziennie zwyciężać tych, co atakują nas nieustannie, marząc jedynie o bezmyślnym wytepieniu nas. Możecie na mnie liczyć. Nie wystawię was na niepotrzebną śmierć.

Będę niszczył i puszczał z dymem całe wioski, a nie pozwolę, by choć jeden spośród nas umarł z głodu. Tu, zagubieni w ogromnym stepie, tym bardziej będziemy czuli łączącą nas więź. Wiemy, że na zewnątrz czyha na nas nienawiść i śmierć, ale nasz braterski związek zawsze okaże się ańliejszy, niż brak dyscypliny czy chęć ucieczki. Chcę, abyśmy stanowili jedność i by myśli nasze były takie same. To jest waszym prawdziwym obowiązkiem i jeśli podołamy temu, nawet martwi będziemy zwycięzcami.

Rozmowy z kapitanem Wesreidau wryły nam się głęboko w pamięć. Słuchając oficjalnych przemów apelujących o poświęcenie, stawaliśmy się nieufni i podejrzliwi, natomiast wiara naszego oficera była tak żarliwa, że nawet najwięksi sceptycy akceptowali jego słowa. Otwarty na nasze pytania, odpowiadał na nie jasno i inteligentnie. Kiedy tylko czas mu pozwalał, przebywał z nami. Kochaliśmy go i poważaliśmy jako dowódcę i przyjaciela, na którego mogliśmy liczyć. Kapitan Wesreidau był straszny dla nieprzyjaciół, a ojcowski dla swej kompanii. Podczas każdego przegrupowania czy operacji jego steiner jechał zawsze na czele.

Pod jego rozkazami pozostawaliśmy aż do wiosny 1944 roku. Któregoś dnia, kiedy likwidowaliśmy lukę w naszej obronie, jego pojazd wpadł na minę, w wyniku czego zginęło czterech żołnierzy. Zrozpaczeni, rzuciliśmy się, by podnieść z ziemi naszego dowódcę. Pan kapitan, który miał chyba z dwadzieścia złamań, umarł, oparty o przydrożną skarpe gdzieś niedaleko granicy rumuńskiej. Do ostatniej chwili zachęcał nas, byśmy nadal wspólnie wykonywali swoje zadanie.

Nikt, oczywiście, nie płakał. Już od dawna nie potrafiliśmy wylewać łez w obliczu śmierci. Cała kompania oddała honory i zaprezentowała broń dzielnemu dowódcy, którego twarz znieruchomiała w spokojnym uśmiechu.

Nazajutrz po Biełgorodzie, weteran udowodnił nam, że nie brakowało mu zdrowego rozsądku. Kiedy, przebywając na tyłach naszych wojsk, dochodziliśmy do siebie, lecząc rany, powiedział do nas:

— Widziałem naszego kapitana. Wygląda na inteligentnego i wyrozumiałego faceta.

Braliśmy jeszcze udział w dwóch akcjach, nim ponownie na początku jesieni przekroczyliśmy Dniepr. W tym celu wielu spośród nas musiało uzupełnić sprzęt. Żołnierzy powracających

bez broni czekały surowe konsekwencje.

Lindberg, Sudetczyk i Halls, ranni i uznani za takowych, obdarci, bez broni i sprzętu, powrócili pamiętnego wieczoru, gdy zaczął się bezładny odwrot. Jest rzeczą zrozumiałą, że można zapomnieć o bagażach, kiedy opuszcza się pośpiesznie płonący hotel. Jednak żołnierz nigdy nie powinien tracić broni. Powinien zginąć z bronią u boku albo żyć nadal, nie rozstając się z nią, i to niezależnie od sytuacji. Jeśli o mnie chodzi, pilnowałem swego mauzera, nie myśląc nawet o tym nakazie, przez co przypominałem trochę ślepca nie rozstającego się nigdy z białą laską. Weteran włókł swój ciężki spandau albo z przyzwyczajenia, albo kierując się poczuciem dyscypliny. Nie miałem jednak hełmu, peleryny nieprzemakalnej, tej nie-szczęsnej maski gazowej, która nigdy do niczego się nie przydała, no i oczywiście reszty amunicji do karabinu maszynowego weterana, którego byłem ładowniczym.

Odnależliśmy Lensena. Jemu również udało się wyjść cało. Powrócił jednak niemal bez całego oporządzenia i truchlał na myśl, że może stracić stopień obergefrajtra.

Weteran, który miał ten sam stopień, śmiał się z kolegi, sugerując mu, by następnym razem zadbał o to, ażeby na wyższy stopień mianowano go pośmiertnie. Niepokoje Lensena i nasze docinki pod jego adresem topiliśmy w samogonie, który jakiś cwaniak znalazł w piwnicy opuszczonego rosyjskiego domu.

Tak on, jak i inni, tylko kapitanowi Wesreidau zawdzięczali, że nie stanęli przed sądem wojskowym, równie strasznym jak sowieckie moździerz.

Tak oto spędziliśmy dobre trzy tygodnie, odpoczywając w położonej na tyłach wioszczynie składającej się ze smętnych, drewnianych chałup podobnych do siebie. Na szczęście panowała cudowna pogoda i nie licząc dwóch krótkich potyczek, o których wspomniałem, mieliśmy trochę spokoju. Korzystając z wolnych chwil, napisałem długi list do Pauli, lecz absolutnie nie śmiałem przyznać jej się, jak bardzo się bałem w Biełgorodzie. Halls poznał jakąś Rosjankę i oddawał się z nią ćwiczeniom praktycznym. Zresztą nie tylko on składał wizyty poczciwej kobiecie. Któregoś wieczoru dołączył do nich kapelan, któremu udało się przeżyć całe to piekło i który teraz obficie korzystał z ziemskich uciech, aby później nie mieć sobie nic do zarzucenia, gdyż były one rzadkie i być może wybacalne. W każdym razie od owego pamiętnego wieczoru, kiedy tylko zaczynał intonować psalmy, zawsze towarzyszyły temu salwy śmiechu. Ten szatan Halls szczegółowo opowiadał, jak przebiegały igraszki we troje pod pierzyną Rosjanki. Zrywaliśmy boki ze śmiechu, a kapelan, choć zmieszany i czerwony jak burak, rechotał z nami w najlepsze.

Dni mijały spokojnie, aż do pewnego poranka pod koniec września, gdy odgłosy dalekiej kanonady przypomniały nam, że nie jesteśmy tu, by oddawać się swawolom. Linia frontu, którą nasze wojska zdołały utrzymać na zachód od Biełgorodu, została przerwana, w wyniku czego nastąpiła radykalna zmiana sytuacji, o czym już wspomniałem.

Nasi dowódcy, przekonani, że jeżeli nie można już atakować, to przynajmniej uda się powstrzymać Rosjan na pierwotnej linii frontu, czyli sprzed walk o Biełgorod, dostrzegli zbyt późno, że oddziały biorące udział w walkach są w stanie jedynie opóźnić — i to za cenę ogromnych strat — niepowstrzymany napór potężnej armii rosyjskiej atakującej na całym centralnym odcinku frontu.

To, co powinno zostać wykonane jeszcze przed ostatnią próbą ofensywy na wschód, należało absolutnie zrealizować teraz, dopóki było to jeszcze możliwe. Wydano więc spóźniony rozkaz generalnego odwrotu na zachodni brzeg Dniepru. Ten odcinek rzeki obejmował obszar między Kijowem pośrodku, Czerkasami na południu i położonym na północy Czernihowem nad Desną. Mieliśmy setki kilometrów do pokonania, byliśmy ścigani przez nieprzyjaciela, który wkrótce stał się szybszy od nas i w każdej chwili mógł dopaść uciekającą armię, powodując nieopisany chaos. To co jeszcze było możliwe przed kampanią biełgorodzką, było praktycznie nie do wykonania teraz, chyba że kosztem ustawicznych walk oddziałów ubezpieczających tyły i w konsekwencji ogromnych strat. Po raz kolejny Wehrmacht okazał

się posłuszny rozkazom, płacąc za ten zbyt późny odwrót o wiele wyższą cenę w porównaniu ze stratami poniesionymi w poprzedniej ofensywie. Koniec lata okazał się dla nas tragiczny w skutkach. Na ukraińskiej równinie śmierć zbierała obfite żniwo, ginęły tysiące żołnierzy. W walkach, które były o wiele bardziej żywiołowe niż na przykład zdobywanie niektórych miast, śmierć była jeszcze bardziej heroiczna. Oddziały frontowe, mające ciągły kontakt z coraz liczniejszym nieprzyjacielem, wiedziały, co się święci. Najbardziej ograniczony żołnierz zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli wykaże się bezprzykładnym uporem i bohaterstwem, nawet jeśli jego karabin maszynowy zdoła uśmiercić ze stu Rosjan, nazajutrz stu kolejnych przystąpi do ataku i tak będzie każdego dnia. Najmniej spostrzegawczy żołnierz wiedział też, że Rosjanin jest niekiedy tak odważny, iż nawet całe stopy jego martwych rodaków nie powstrzymają go przed parciem do przodu.

Niemiecki żołnierz wie, że w walkach toczonych w takich warunkach zwykle górą jest liczniejszy nieprzyjaciół, a jego bohaterski opór nie na wiele się zda. I wtedy wpada w rozpacz. Czyż można mieć mu to za złe... ? Wie, że jego śmierć jest niemal pewna, ale dzięki temu wielkie oddziały wojska zdążą dokonać przegrupowania. Wie, że umiera w słusznej sprawie. Jego odwaga na kilka godzin ustępuje miejsca rezygnacji; następne godziny i następne dni będą świadkiem bezdenne go smutku widocznego na jego twarzy, a w jego oczach nie pojawiają się łzy. A więc niemiecki żołnierz strzela, strzela jak szalony, odrzucając myśl o śmierci. Zabija, masakruje, jakby już teraz chciał się zemścić za to, co go niechybnie czeka. Kiedy wreszcie ginie, jest wściekły, że umiera za tak niską cenę. Jeśli udaje mu się przeżyć, jego szaleństwo utrzymuje się nadal i nigdy nie będzie w stanie dostosować się do życia w warunkach pokoju. Wobec tego czasami ucieka, lecz zręcznie propagowane hasła uspokajają go jak zastrzyk morfiny: „Na linii Dniepru będzie już łatwiej, nieprzyjaciół nie zdoła sforsować rzeki. Odwagi, koledzy! Powstrzymajcie bolszewików, jeśli chcecie, by wszyscy przeszli. Odwagi! Nad Dnieprem załamię się rosyjska kontrofensywa, a my wznowimy nasz zwycięski marsz, kiedy bolszewicy będą już wyczerpani”.

A więc pomimo paniki i rozpaczliwej dyscypliny staje się obowiązkiem. Dzielny żołnierz niemiecki stawia tak fanatyczny opór, że zaskakuje tym przeciwnika. Krok po kroku cofa się w kierunku Dniepru, do linii zbawienia. Stara się jak najbardziej opóźnić marsz wrogiej armii; widzi, jak padają koledzy. Całymi dniami i na przestrzeni setek kilometrów żołnierze trwają w nieludzkim wysiłku. Kiedy wreszcie chłopaki z jednostek ubezpieczenia tyłów cudem docierają do wschodniego brzegu Dniepru, pojawiają im się przed oczyma nieprzebrane tłumy. Całe armie drepczą niecierpliwie przed nielicznymi mostami, które wojskom inżynierskim udało się utrzymać. Żołnierze brną po piaszczystym brzegu i rzucają się na wszystko, co może utrzymać się na wodzie. Rosjanie są tuż tuż. Nękają pierścień obrony kruszejący w zastraszającym tempie. Wszędzie jednak widać jeszcze niemieckie samoloty, które częściowo opanowują sytuację. Ale Migi i Jabo są coraz liczniejsze. To czego nie niszczy artyleria dalekiego zasięgu, dostaje się pod ostrzał wyjących myśliwców bolszewickich, które atakują coraz liczniejszymi stadami.

Ci zatem, którzy nie przekroczyli rzeki, znów biorą udział w kontratakach — jeden na stu. Niemiecki żołnierz dokonuje nieprawdopodobnych czynów. Po raz kolejny daje znać o sobie bojowy duch niemieckiej armii. Ciągłe jeszcze jest ładna pogoda. Trwają zażarte walki, lecz naszych zwycięstw już się nie fetuje. Armia walcząca o przeżycie nie może mówić o zwycięstwie.

A jednak są to zwycięstwa. Odniesione większym kosztem niż wszystkie Wiktorie z okresu zwycięskiej ofensywy. Tu, na wschodnim brzegu Dniepru, żołnierze walczą nie po to, by zająć miasto albo tereny naftonośne. Walczą, aby uniknąć katastrofy. Każdy o tym wie, każdy to czuje i walczy rozpaczliwie.

Bywają godziny, a nawet dni spokoju, lecz nieprzyjacielski pierścień zaciska się coraz bardziej. Żołnierze rzucają się do walki, by odepchnąć czerwonego potwora, którego

obecność wszędzie się odczuwa. Wreszcie widmo katastrofy zostaje zażegnane. Grupa Armii „Środek” przedostaje się przez rzekę. Zaangażowane jeszcze w walkę oddziały otrzymują rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela. W nocy prawie wszystko zostaje zniszczone, tylko ludzie i lekka broń przepłyną na pontonach śmierci, przeznaczonych do zabrania ostatnich żołnierzy znajdujących się na wschodnim brzegu.

O świcie wycieńczeni żołnierze dochodzą do brzegu rzeki, nad którą snuje się jesienna mgła. Poszukują się wzajemnie, nawołują się, słysząc w odpowiedzi głuchy terkot pistoletów maszynowych. Rosjanie już są. W wielu miejscach zdążyli przybyć przed uciekinierami, wytłukli przewoźników, zatopili pontony. Żołnierze skaczą do wody, porzucając cały sprzęt. Ruski otwierają ogień, celując w głowy wystające z wody. Strzelają jak do glinianych fajek na jarmarcznej strzelnicy. Iwan śmieje się i żartuje hałaśliwie. Część pływaków może osiągnie przeciwny brzeg, skąd ruszył na ratunek jeden pluton.

Gdzie indziej żołnierze tłoczą się na prowizorycznych pontonach ostrzeliwanych intensywnie zarówno z ziemi, jak i z powietrza.

Jeszcze inni są otoczeni i walczą do ostatka. Iwan żartuje sobie w najlepsze. Bierze niewielu jeńców.

Wreszcie jesteśmy na nowym froncie, na zbawiennym zachodnim brzegu Dniepru. Staramy się na nim utrzymać. Tym razem Ruscy nie przejdą. Pada śnieg. Niemieccy żołnierze przygotowują umocnienia. Wiedzą, że mają pozostać tu na dłużej. Dostosowują się do nowej sytuacji, dochodzą do siebie, przegrupowują się na nowo i czekają. Pojawia się jednak wiadomość, która rozpowszechnia się lotem błyskawicy towarzyszącej salwom rosyjskich rakiet. Sztab zrobił wszystko, aby żołnierze nie dowiedzieli się o tym. Ale wiadomość jest zbyt ważna, zbyt dramatyczna: przekracza bariery dyskrecji, niweczy i tak kruche już nadzieje żołnierzy.

Armia Czerwona idąca z kierunku Czerkas jest już po obu stronach Dniepru, na północy przekroczyła Desnę, w wyniku czego znaczna część naszych wojsk znalazła się w okrążeniu u splotu Dniepru i Desny.

Nadchodzi zima. Wraz z pierwszymi płatami śniegu pojawia się głęboki niepokój, potęgując nastrój przygnębienia. Na jakim brzegu znajdziemy wreszcie spokój? Dokąd jeszcze trzeba będzie się wycofywać? Nad Prypeć? Nad Bug?

— Nad Odre? — śmieje się gorzko weteran. Przyjmujemy to ze zgrozą. To nie do wiary!

— Niech nas Bóg chroni od takiej katastrofy — szepcze Wesreidau. — Byłoby to tak straszne, że wręcz niewyobrażalne. Niech Bóg ześle mi raczej śmierć niż pozwoli być świadkiem tego wszystkiego.

Z przednich linii dociera tylko ogólny obraz sytuacji — żadnych szczegółów. Tego wszystkiego nie piszę oczywiście po to, by tworzyć mapy z przebiegu wojny niemiecko-rosyjskiej. Gwiżdżę na to. Jedyna rzecz, która mnie zajmuje, to opis niewyobrażalnych trudności, jakie miał do pokonania niemiecki żołnierz. Nie rysuję map z zasadniczego względu: zawsze miałem tylko ogólne wyobrażenie o ruchach naszych wojsk i kierunkach naszych operacji. Nie byłbym oczywiście w stanie wytyczyć dokładnej linii frontu i to obojętnie w jakim okresie wojny. Zajmują się tym sztaby, które są teraz w rozsypce. Natomiast mogę opisać w najdrobniejszych szczegółach niektóre epizody. Wystarczy jakiś zapach, bym przypomniał sobie całą tragiczną przeszłość, a wtedy często pogrążam się w zadumie na długie chwile.

Wiem, co oznacza hasło „odwagi”! Wiem o tym, gdyż spędziłem dnie i noce pełne niepokoju i rezygnacji, gdyż żyłem w strachu nie do przezwyciężenia; w strachu, jaki w końcu człowiek akceptuje, kiedy mózg przestaje normalnie funkcjonować. Wiem o tym, ponieważ cały czas odczuwałem, jak zlodowaciała jest ziemia, a ziąb przenikał mnie do szpiku kości. Wiem o tym wszystkim, gdyż słyszałem rozpaczliwe krzyki nieznanego żołnierza broniącego się w pobliskim okopie podobnym do naszego. Wiem także, że można przywoływać na pomoc

wszystkich świętych z niebios, nawet nie wierząc w Boga. I właśnie o tym wszystkim muszę pisać, choćbym znów miał przeżywać koszmar przez całą noc. Do tego właściwie ogranicza się moje zadanie: przekazać z jak największą siłą wyrazu krzyki dochodzące z rzeźni. Zbyt wielu ludzi zapoznaje się z wojną tak, że ich to nie drażni. Grzejąc tyłek w miękkim fotelu albo leżąc w łóżku, spokojnie czytają historię Verdun czy Stalingradu, niewiele z tego rozumiejąc, by nazajutrz powrócić do swoich spraw... Nie! Te książki trzeba czytać w niewygodzie, na siłę; uważając, że ma się szczęście, bo nie musi się pisać do rodziny, siedząc tyłkiem w błocie na dnie transzei. Trzeba je czytać w najtrudniejszych sytuacjach, kiedy nic się nie udaje, ażeby uzmysłowić sobie, że kłopoty w czasie pokoju to jedynie błahostki, za które niepotrzebnie płacimy siwymi włosami. W okresie słodziutkiego pokoju nic tak naprawdę nie jest niebezpieczne

I trzeba być ostatnim głupcem, by martwić się o podwyżki płac! O wojnie należy czytać na stojąco, czuwając o późnej porze, nawet jeśli morzy nas sen. Tak jak ja piszę pomimo ataków astmy aż do świtu. A więc, na Boga, nawet jeśli ogarnia mnie zmęczenie, jakże miła wydaje mi się praca w czasie pokoju!

Ci, którzy czytają na temat Verdun i Stalingradu, i rozprawiają o tym w gronie znajomych przy filiżance kawy, niczego nie zrozumieli. Ci, którzy potrafią to czytać, zachowują dyskretny uśmiech. Uśmiechają się i odchodzą, uważając się za szczęśliwych.

Opiszę więc, jak potoczyły się nasze dalsze losy w zapadłej wiosce, o której już wspominałem, i gdzie zaczynaliśmy dochodzić do siebie mimo odgłosów dalekiej kanonady. — Życie było tu zbyt piękne — mruknął Sudetczyk, widząc napływający od dwudziestu czterech godzin sprzęt wojskowy.

Nieliczne domy wioski stały się tymczasowym schronieniem dla oficerów, którzy gorączkowo dyskutowali o losie swych oddziałów. Wojsko czekało cierpliwie. Sprzętu mieliśmy tyle, że można było nim wypełnić z dziesięć budynków.

Musielśmy opuścić kwatery i czekać pod drzewami na skraju wioski. Stała tam cała kompania w regulaminowym szyku ze sprzętem załadowanym na cywilne pojazdy. Porywisty wiatr hulał nad suchym stepem i wznosił tumany kurzu zasłaniające horyzont.

— Wypieprzyli nas na zewnątrz! — śmiał się weteran, a z nim jakiś wysoki pijaczyna nazwiskiem Woortenbeck. — Ale zostawiliśmy im tylko puste butelki!

Mówiąc to, wskazywali na kolejne wycofujące się oddziały, które wygoniły nas z rosyjskich chat, gdzie mieszkaliśmy sobie beztrąsko.

— Włożyłem pod siedzenia resztę samogonu.

— Masz rację, Woortenbeck! — wydierał się jakiś chudy sierżant. — Samogon jest dla elitarnych jednostek, takich jak my! Pozostali będą żłopać wodę z koryta!

Poznałem nowego kolegę w moim wieku, mówiącego dobrze po francusku. Helen Grauer podczas studiów odbył w 41 staż we Francji. Potem znalazł się w Arbeitsdienst, gdzie obiecano mu kontynuację nauki, oprócz oczywiście ciągłego obowiązku pracy. Tak jak mnie, armia wprowadzała w entuzjazm szesnastoletniego chłopaka. Podobnie jak ja maszerował rytmicznym krokiem w równych szeregach Wehrmachtu, śpiewając Die Wol-ken Ziehn dahin, daher. Następnie poznał kawałek Polski, niezmiernie przestrzenie Rosji, zaliczył Biełgorod, a teraz siedział na plecaku jak my, patrząc w zadumie na ogarnięty wojną świat.

Podobnie jak ja marzył, że zostanie słynnym pilotem, latając na Ju-87. I tak jak ja, z tych podniebnych marzeń zachował tylko widok ogromnych ptaków spadających z wielkim hukiem w kierunku ziemi. Ponieważ nie mogliśmy rozmawiać o studiach filologicznych, gdyż nie było to nasze wspólne zajęcie, niespełnione marzenia stanowiły często pociechę w naszej niedoli.

Halls ostatnio pojawiał się rzadko. Kiecki Rosjanki pochłaniały go do tego stopnia, że zapomniał, gdzie się znajduje. W końcu zjawił się wraz z towarzyszem uciech. Marszczył pośpiesnie czoło i zrzędził cały czas. Grauerowi i mnie zwierzył się ze swych zmartwień:

— Jeżeli kapitan Wesreidau nie pozwoli, aby Emi (było to imię Rosjanki) pojechała z nami, Czerwoni ją zmasakrują, jak tu przyjdą. Nie można na to pozwolić.

— Rozumiem cię — rzekłem do przyjaciela.

Woortenbeck i weteran ryczeli ze śmiechu, bawiąc się jak na bretońskim weselu.

— Jeśli wszystkie chłopaki z kompanii wpadną na pomysł, aby zabrać dziewczyny, z którymi spali, cały tabor „Gross Deutschland” okaże się niewystarczający.

— Nie o to chodzi, durnie!

— Nie rozpaczaj. Pofikasz sobie gdzie indziej.

— Zbytnie z was matole, aby to zrozumieć!

Było jeszcze sporo innych docinków, które Hallsa zbyt nie rozbawiły.

— Jesteś zakochany? — spytałem na wszelki wypadek, wiedząc dzięki Pauli, co ten stan oznacza.

Halls stawiał się dalej.

— W kurwie też można się zakochać.

— Do licha! Czemu nie? — powiedział Grauer, który z pewnością nie miał większego doświadczenia pod tym względem ode mnie.

Halls uspokoił się.

— Chodźcie chłopaki — rzekł, biorąc nas za ramiona. — Z wami chyba można podyskutować.

Na uboczu opowiedział nam, co leżało mu na sercu. Najwyraźniej Halls był zakochany w ruskiej kurewce na usługach Wehrmachtu. Co więcej, był przekonany, że to jest ta jedyna, a nie żadna inna. Był nieczuły na wszelkie argumenty. I nagle ja, co tak bardzo się wahałem, czy komukolwiek zwierzyć się z uczucia do mej małej berlinianki, otworzyłem się całkowicie przed Hallssem i Grauerem.

— To dlatego miałeś taką zamkniętą gębę po przepustce! — przypomniał sobie Halls. — Czemu nic mi o tym nie powiedziałeś? Przecież bym cię zrozumiał.

Dyskutowaliśmy jeszcze o swych problemach sercowych. W końcu Halls podsumował, że miałem dużo szczęścia.

— Ty przynajmniej masz pewność, że ją jeszcze zobaczysz — rzekł, otwierając menażkę.

Zapadła noc. Oczyma pełnymi młodzieńczej miłości spoglądaliśmy naiwnie na gwiazdy. O świcie nasza kompania wyruszyła na zachód. Po drodze byliśmy świadkami walki powietrznej. Grauerowi i mnie przypomniały się niespełnione marzenia. Messerschmitt-109 wykazały swą wyższość nad przeciwnikiem: siedem czy osiem płonących Jabo wirowało w dół jak spadające sztuczne ognie.

Około południa dotarliśmy do jednej z ważniejszych baz dywizji. Łącznie z naszym pododdziałem przegrupowano trzydzieści kompanii, stanowiących teraz potężną jednostkę pancerno-zmotoryzowaną.

Po raz pierwszy pobraliśmy kombinezony z wzorzystego płótna dające się nosić na obie strony. Jedna była biała, na drugiej była maskująca pstro-kacizna. Mieliśmy także niespodziewane badania lekarskie i dostaliśmy sporo zapasów. Na czele naszej tak zwanej „samodzielnej grupy” stanął jakiś pułkownik z wojsk pancernych.

Z niedowierzaniem patrzyliśmy na nowy sprzęt, jaki przydzielono naszemu oddziałowi. Kierowcy i mechanicy kończyli ostatni przegląd pojazdów i uruchamiali potężne silniki Tygrysów.

Czołgi na podwoziu porsche ryczały, nerwowo ruszając z miejsca. Wydawało nam się, że jesteśmy na starcie jakiegoś wielkiego wyścigu samochodowego. Czekaliśmy jeszcze dwie godziny, nim otrzymaliśmy rozkaz wymarszu.

Hallsa, Grauera, mnie i innych kolegów załadowano na nowiutką ciężarówkę prosto z fabryki. Pojazd miał z przodu koła, a z tyłu gąsienice. Ruszyliśmy w drogę. Dotarliśmy do lasu w

pobliżu lotniska polowego. Wszystko byłoby piękne, gdyby nie te niesamowite tumany kurzawy wzniecane przez pojazdy. Dlatego też do silników czołgów i innych pojazdów zainstalowano dodatkowo ogromne filtry. Niektóre z nich były tak wielkie, że nie można było domknąć masek. Płyty ochronne silników czołgowych mogły być umocowane tylko częściowo, gdyż w przeciwnym razie filtrów nie dałoby się zainstalować.

W zbawiennym cieniu drzew otrzepywaliśmy szare od kurzu mundury. Choć pokonaliśmy tylko krótką trasę, pył dostał się wszędzie, szczególnie do naszych wysuszonych gardeł.

— Cholerny kraj! — zrzędził któryś z kolegów. — Nawet jesienią nie da się tu żyć!

Dołączył do nas kolejny oddział, równie liczny jak nasz, po czym zajął stanowisko w lesie na powierzchni kilku hektarów. Wesreidau udał się do znajdującego się niedaleko nas dowództwa obradującego w pobliżu wielkiej ciężarówki z radiostacją. Pojazd całkowicie zakrywała ogromna siatka maskująca, która znakomicie spełniała swą funkcję: nie można jej było odróżnić od listowia. Do sieci przyszyte były skrawki materiału w kolorach lasu, powiewające na wietrze jak najprawdziwsze liście.

Byliśmy świetnie zorganizowaną i potężną jednostką bojową. Właściwie obie grupy stanowiły jeden oddział w sile sześciu czy siedmiu tysięcy ludzi, około stu czołgów, tyłuż samochodów pancernych i kilku ciężarówek technicznych. Trzy kompanie zmotoryzowane, zaopatrzone w szybkie motocykle z przyczepami, miały za zadanie odnajdywać nieprzyjaciela i kierować ku niemu grupę operacyjną. W okresie tym, już krytycznym dla Wehrmachtu, nowy sprzęt przysługiwał oddziałom pancernym wspierającym zdziesiątkowane dywizje piechoty.

Owa obfitość nowego i doskonałego sprzętu bardzo podbudowała nasze morale, znacznie nadwątlone od czasu klęski pod Białgorodem.

Żołnierze krążyli pomiędzy obiema grupami z władczą miną tak charakterystyczną dla ludzi, którym wszystko dobrze się układa. Nie dotyczyło to Hallsa nie mogącego dojść do siebie po rozstaniu ze swoją Emi; jak są-

dził, czekała ją niemal pewna zemsta ze strony Czerwonych. Był niepokieszony i zachowywał się jak neurastenik.

— W czasie wojny powinno się żołnierzom obcinać jaja. Przynajmniej faceci nie mieliby tak ponurej gęby jak Halls — zrzędził Woortenbeck, porządkując swój sprzęt.

— Widziałeś już walczących eunuchów?

— Hmm — mruknął kapelan. — Wykastrowane konie nie muszą być najslabsze.

Na szczęście księżulo w mundurze zdążył już nam udowodnić, że jest facetem z jajami, w przeciwnym razie obawialibyśmy się najgorszego.

Z nastaniem nocy potężna kolumna pancerna ruszyła w drogę. Był to imponujący widok. Zrozumiałem wreszcie, jaki respekt musiały budzić długie kolumny czołgów przetaczające się na początku wojny przez kraje, które wówczas zajmowaliśmy.

Ryczące czołgi, których dysze wylotowe ukazywały chwilami jaskrawe płomienie, ścigały się niemal z naszymi ciężkimi pojazdami, wyprzedzając je i rozciągając się w wachlarz na płaskim, nieskończonym terenie. Cóż to był za widok!

Zapadła noc. Nad równiną przetaczał się potężny huk kolumny pancernej. Musiano go słyszeć z wielkiej odległości. Jak zwykle żołnierze nie orientowali się dokładnie, gdzie się znajdowali. Dla nas, młodych wojaków, ta wzmożona aktywność oznaczała, że sprawy przybierają pomyślny obrót. Czuliśmy się mocni, jak nigdy dotąd. Rzeczywiście oddział ten stanowił wielką siłę. Nie wiedzieliśmy jednak, że z całego centralnego odcinka frontu, to znaczy w przybliżeniu od Smoleńska do Charkowa, dywizje w sile kilkuset tysięcy żołnierzy wycofywały się w bardzo ciężkich warunkach. Nam marsz kojarzył się z rytmem silników, co nie znaczy, że takie samo wrażenie mieli wszyscy. Setki jednostek pozbawionych sprzętu wycofywało się pieszo, walcząc nieustannie z wielokrotnie liczniejszym nieprzyjacielem.

Brakowało nawet koni, gdyż padły ostatniej zimy. Nie było więc czym transportować

ciężkiego sprzętu, który w zasadzie powinien być przewożony samochodami. Dawał się też we znaki brak paliwa; zostało zużyte w trakcie letnich walk. Wszędzie widać było kolumny płonących pojazdów w znakomitym stanie technicznym. Podpalono je, by nie dostały się w ręce nieprzyjaciela. Żołnierze pieszo, w zniszczonych butach, musieli kontynuować niekończący się marsz. W każdej chwili groziło okrążenie. Nieprzyjaciel, zdając sobie sprawę z chaosu panującego w Wehrmachcie, działał ze zdwojoną energią, by jak najbardziej osłabić Grupę Armii „Środek”.

Ostatnie rezerwy sprzętu i uzbrojenia oddano do dyspozycji niektórych jednostek, tak by mogły interweniować w szczególnie krytycznych sytuacjach. Dzięki temu przez dwa tygodnie zdawało nam się, że staliśmy się na powrót panami rosyjskich stepów. Piętą achillesową samodzielnej grupy

było zaopatrzenie, szczególnie w paliwo, toteż do niektórych sektorów docieraliśmy z opóźnieniem.

O świcie pokryty kurzem oddział pancerny zatrzymał się. Myślę, że zgodnie z planem dotarliśmy do lasu widniejącego na wschodniej linii horyzontu. Zarządzono dwugodzinny odpoczynek, który maksymalnie wykorzystaliśmy. Zajmowane przez nas pojazdy nie miały nic wspólnego z firmą Pullmana, toteż byliśmy dość zmęczeni. Nim jednak zdążyliśmy zapaść w zbawienny sen, dano sygnał do wymarszu. Mieliśmy idealną pogodę. Łagodny, niemal chłodny wiatr delikatnie poruszał jesiennymi liśćmi. W taką pogodę wszystko wydawało się łatwiejsze. Z uśmiechem wdrapaliśmy się na pojazdy. Około południa, do czoła kolumny, czyli tam gdzie się znajdowaliśmy, dołączyli kurierzy na motocyklach, którzy krążyli daleko w przodzie. Wydano krótkie rozkazy, po czym znaczna część ugrupowania skierowała się ku pobliskiej wsi. Wkrótce ją ujrzelśmy. Dotarł do nas odgłos broni maszynowej i nim zdążyliśmy się zorientować, na wioskę ruszyła piętnastka ziejących ogniem Tygrysów.

Nasz potężny pojazd gąsienicowy ciągnął coś w rodzaju ruchomej wyrzutni raketowej składającej się z szesnastu luf. Wydano rozkaz przejścia w ugrupowanie bojowe. Rzuciliśmy się na ziemię, żałując w duszy, że tak miłą porę roku musiały zakłócać walki.

Nie mieliśmy zresztą nic do roboty. Niczym Siuksowie, czołgi i pluton moździerzy otoczyły wioskę, która z miejsca stanęła w płomieniach. W dali słaby ogień otworzyła rosyjska artyleria, co zaskoczyło nas nieco. Skierowano przeciw niej kilka pododdziałów; powróciły po dwudziestu minutach, gnając przed sobą około dwustu-trzystu rosyjskich jeńców. Czołgi przejechały przez wypaloną wieś, zrównując z ziemią wszystko, co jeszcze wystawało. Cała akcja nie trwała nawet trzech kwadransów. Dźwięki gwizdków zagnały nas z powrotem na miejsca, po czym stalowa kolumna ruszyła w dalszą drogę. Również po południu daliśmy wycisk dwóm wysuniętym posterunkom sowieckim. Zaskoczenie było tak wielkie, że napotkaliśmy tylko symboliczny opór.

Drugiego dnia osiągnęliśmy Konotop, przez który beładnie przewalały się nieprzebrane masy wojska w poszukiwaniu jakiegokolwiek środka transportu. Dywizja „Gross Deutschland” skierowała się na wschód, albo raczej na południowy wschód, idąc na spotkanie potężnej armii sowieckiej. W mieście zostaliśmy częściowo zaopatrzeni w paliwo ku zdumieniu oficerów intendentury. Musieli nawet nam przydzielić benzynę, którą trzymali w rezerwie dla własnych samochodów. Dwadzieścia minut po opuszczeniu Konotopu nawiązaliśmy kontakt z wysuniętymi jednostkami nieprzyjaciela. Zaskoczyło nas, że tak szybko napotkaliśmy Rosjan, gdy tymczasem w mieście wojsko traciło czas, by zdobyć rowery. Czołgi zaangażowały się w krótką walkę, po czym otrzymały rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela.

Jechaliśmy prawie cały dzień, nim w końcu dotarliśmy do punktu zaopatrzeniowego. Staliśmy tam zaledwie kilka minut, po czym chłopaki z wojsk inżynierskich wysadzili go w powietrze. Ogromny silos, pełen konserw, napojów i

różnorodnej żywności momentalnie stanął w płomieniach. Kieszenie i najmniejsze zakamarki naszych pojazdów wypełniliśmy wszystkim, co tylko dało się zabrać. Pozostało tego tyle, że można by przez kilka dni wyżywić całą dywizję. Te bezcenne produkty, których tak brakowało gdzie indziej, pochłonał ogień.

Halls ze łzami w oczach patrzył, jak eksploduje silos. Przy okazji na-pchał się, ile wlezie. Nie tylko nasza kompania żałowała, że musiało do tego dojść. Chłopaki zaciągali się cygarami, których znaleźliśmy tam całe mnóstwo. Zarządzono około pięciu — sześciu godzin odpoczynku, po czym korpus pancerny powrócił do walki. W tym czasie Czerwoni opanowali Konotop. Niemiecka piechota stawiała zacięty opór, wycofując się z miasta.

Nasz oddział włamał się w południową flankę rosyjskiej ofensywy. Po raz kolejny czołgi utorowały nam drogę pośród nieprzyjacielskich odwodów, które uległy rozproszeniu, nim zdołaliśmy przygotować się do otwarcia ognia. W nocy jednak Rosjanie wyszli z miasta, koncentrując na nas atak. Nasze czołgi zawróciły. Straciliśmy z pół tuzina maszyn; płonęły rozświetlając mrok nocy. Przygotowano stanowiska dla całej ciężkiej broni, jaką dysponowaliśmy. Po raz pierwszy zobaczyłem w akcji słynne wyrzutnie raketowe, o których wspomniałem wcześniej.

Pod dowództwem kapitana Wesreidaua naszą kompanię wraz z dwiema innymi skierowano do ochrony lewego skrzydła kolumny pancernej. Część kolegów wyruszyła w drogę na samobieżnych platformach geschnauzów. Reszta szła w bliższej albo dalszej odległości za pojazdami posuwającymi się z prędkością piechura. To dziwne, jak świadomość, że się przejęło inicjatywę, może pchać ludzi ku wielokroć potężniejszemu przeciwnikowi. W ciągu dwóch ostatnich dni nasze czołgi druzgotały po drodze wszelkie przeszkody, toteż wydawało się, że nic nie jest w stanie nas powstrzymać. W czasie stosunkowo chłodnej nocy nasze trzy kompanie, podzielone na trzydziestoosobowe grupy, posuwały się wśród karłowatych drzew porastających równinę. Potężny odgłos silników zakłócający nocną ciszę sprawiał, że czuliśmy się pewnie. W oddziałach rosyjskich mających nas powstrzymać, wywoływał chyba odwrotny efekt. Od czasu do czasu niemieckie pociski zapewne osiągały uciekających w mroku sylwetek. Pokonaliśmy w ten sposób co najmniej dwa kilometry, gdy nagle w niebo wystrzeliły rakiety oświetlające, oblewając ziemię bladym światłem. Wszyscy bez wyjątku, to jest ośmiuset czy dziewięciuset żołnierzy, padli równocześnie na ziemię. Światło odbijało się szczególnie na stalowych hełmach, mimo że były matowe. Samobieżne karabiny maszynowe z miejsca zniknęły w zaroślach, a ich groźne lufy bezszelestnie obracały się w poszukiwaniu ruchomych celów nieprzyjacielskich. Spodziewaliśmy się, że spadnie na nas grad rosyjskich pocisków mózdzierzowych. Każdy z nas natychmiast poczuł ten piekielny dreszcz towarzyszący takim chwilom. Nagle w ciemne niebo wystrzeliły dwie niemieckie rakiety fioletowej barwy.

Wiedzieliśmy, że jest to hasło „naprzód"! Zdumieni, zawahaliśmy się przez chwilę, po czym ruszyliśmy ostrożnie naprzód. Niektórzy szli pochyleni. Rosyjskie rakiety gały powoli, dzięki czemu mogliśmy pokonać skokami pewien dystans. Znalazłem się w niewielkim dole, którego brzegi porastały niskie krzaki. Dołączyło do mnie dwóch kolegów. Głośny, przyspieszony oddech zdradzał, że ich gardła ściska strach. Chyba nic nie wzbudza tyle obawy, co nocny marsz w porośniętym roślinnością terenie, gdzie za każdym krzakiem, w odległości zaledwie dwóch metrów pojawić się może oślepiający błysk, a potem wskutek gwałtownego bólu człowiek całkowicie traci świadomość tego, że znajduje się na niegościnniej rosyjskiej ziemi. Posuwanie się do przodu skokami wywoływało oczywiście hałas, toteż dla czyhającego w ukryciu, z palcem na spuście, Rosjanina była to niezła gratka. Prócz tego prawie nic nie zakłócało spokoju. Znajdujący się zapewne w pobliżu nieprzyjacieli nie ukazywał się, przedłużając tym samym naszą niepewność. Wolno, ostrożnie ruszyliśmy dalej. W skroniach huczało mi; cały spięty, gotów byłem w każdej chwili, podobnie jak wszyscy, paść na ziemię.

Z lewej strony, w odległości dwudziestu albo trzydziestu metrów, usłyszeliśmy jakiś głos. Wraz z dwoma kolegami posuwającymi się najbliżej mnie zaryłem nosem w wypaloną trawę. Pomyśleliśmy, że za chwilę się zacznie. Jak zawsze przed pierwszym wystrzałem zmrzyłem oczy, starając się odpowiednio przyłożyć kolbę mauzera do barku. Nic jednak się nie działo. Po lewej stronie, skąd dochodziły głosy, dwóch Rusków „robiło kamrata”, oddając się w ręce kolegów. Nieco dalej ten sam obrazek: liczni Rosjanie poddawali się. Nie rozumieliśmy zbytnio, o co chodzi. Co przeżywali żołnierze mający nas przecież zatrzymać? Może myśleli, że na skutek ostatniego natarcia zostali odcięci od tyłów i sparaliżował ich strach? W tamtych czasach, kiedy każde działanie było odruchem zemsty, Rosjanie bali się Niemców w takim samym stopniu, jak my ich. Pomyśleliśmy nawet, że jest to może jakiś podstęp.

Po sześćdziesięciu minutach zarządzono przegrupowanie. Już od godziny nasze czołgi były w akcji. Błyski ich wystrzałów odbijały się różowym blaskiem na twarzach powracających w ciszy kolegów. Dotarliśmy w ciemnościach do naszych pojazdów, po czym grupa pancerna ruszyła w dalszą drogę. Wokół jadącego ciężkiego sprzętu uwijali się łącznicy. Przed nami, mniej więcej w odległości trzech kilometrów, nasze czołgi przełamywały dość słaby, jak się wydaje, opór nieprzyjaciela.

Świt zastał kolumnę (lub raczej kolumny) w marszu, gdyż pojazdy posuwały się zarówno pięćset metrów na prawo, jak i lewo od nas.

Całą noc grzmiały działa od czoła kolumny. Między oparami mgły dostrzegliśmy jakąś miścinę, której nazwy już nie pamiętam. Zmotoryzowane jednostki dywizji „Gross Deutschland” wjechały w ciasno zabudowane uliczki. Stojące jeden przy drugim domy miały zamknięte okiennice. Znaj-

dujący się na wolno jadących pojazdach żołnierze trzymali palec na spuście, gotowi na każdą ewentualność. Dotarliśmy do niewielkiego placu, gdzie stała grupa pojazdów, w tym dwie ciężarówki szpitalne. Widzieliśmy niemieckich żołnierzy wchodzących do pobliskich domów i wychodzących zeń. Przed jednym z budynków strażnicy pilnowali trzydziestu rosyjskich cywili. Po wyjeździe z miasteczka natknęliśmy się na czołgistów z naszej jednostki naprawiających uszkodzenia w swych pojazdach. Wokół płonęły zapyziałe przedmieścia. Zatrzymaliśmy się na chwilę obok nędznych chaty-nek z drewna i słomy. Nie było żadnego chodnika, żadnego porządku architektonicznego, żadnego szeregu budynków. Przedmieścia wielu rosyjskich miast przypominają ogromne podwórza gospodarstw rolnych. Wodopoje, zwane „preikas”, tarasują nagle coś, co ma być ulicą. Można sobie zadać pytanie, jakie genialne zespoły architektoniczne mogły popisać się takim poczuciem estetyki.

Prawdopodobnie żadnych architektów nie było. O wiele bardziej stylowe są zagubione w stepie wioski, gdzie chaty wydają się obrócone ku północy. Miasteczka, a nawet znaczna część dużych miast, które poznałem, są — z wyjątkiem Kijowa — przeraźliwie smutne.

Postój nasz miał przede wszystkim na celu uzupełnienie zapasów wody. Przy okazji mogliśmy też się umyć. Wiedzieliśmy, że długo tam nie zabawimy. Niektórzy otrzepywali mundury o drzewo lub ścianę baraku, tak jak trzepie się słomianki; inni gasili pragnienie albo myli się w wodopoju. Było chłodno. Wilgotny wiatr nie zwiastował niczego dobrego. Ale zdychaliśmy z pragnienia, a to z powodu niesamowitej kurzawy wzniecanej przez pojazdy wiozące nas całymi dniami. Niemieckie manierki są o wiele mniejsze niż na przykład francuskie, toteż szybko się je opróżnia. Nabieraliśmy wodę w najdziwniejsze naczynia. Wraz z weteranem pokonaliśmy symboliczne ogrodzenie i podeszliśmy do kilku drzew owocowych. Gałęzie najbliższego z nich ugięły się pod ciężarem nędznych i niedojrzałych gruszek. Mniejsza z tym. Kwaśne owoce znakomicie orzeźwiały. Gdy byliśmy zajęci ich zbieraniem, niczym diabeł z pudełka pojawił się nagle jakiś Rosjanin. Facet ośmielił się wyjść z domu i szedł w naszym kierunku, niosąc coś w rodzaju miski z plecionej słomy pełnej gruszek, podobnych do tych, jakie już chrupaliśmy.

Wybełkotał kilka słów do weterana, gdy ten podeszedł do niego.

Rosjanin usiłował zmusić się do uśmiechu, ale na jego bladej twarzy pojawił się tylko niespokojny grymas. Wpatrywał się uporczywie w zwisający na piersi kolegi sprzęt, a szczególnie w pistolet maszynowy. Weteran skinął do niego: Dawaj! Dawaj! Rosjanin podsunął misę i mój kolega wziął jedną gruszkę. Wyrzucił ją, po czym sięgnął po następną, którą też odrzucił, podobnie jak pięć czy sześć kolejnych. Weteran zaczął wrzeszczeć na Rosjanina, oddalającego się drobnymi krokami.

— Są do połowy zgniłe! — wydzierał się nasz towarzysz, powracając.

Ten dureń w trosce o sąd proponował nam gruszki, jakimi powinien karmić świnię. Z miejsca potrząsnęliśmy drzewem i wypełniliśmy owocami płótno namiotowe.

Rosjanin zniknął w swojej norze. Na północnym zachodzie słychać było kanonadę. To czoło naszej kolumny nawiązało kontakt z nieprzyjacielem. Padł rozkaz wymarszu. Pół godziny później zeskoczyliśmy z pojazdów. Rozległy się gwizdki. Były to komendy do przejścia w ugrupowanie bojowe. Kilometr przed nami, wokół niewielkiej wioski, nad którą górowały budynki przypominające jakąś fabrykę, toczyła się zacięta walka.

Wesreidau błyskawicznie wyjaśnił nam, że mamy zneutralizować silne ugrupowanie nieprzyjaciela, który umocnił się w tej wioszczynie. Siły główne nie miały uczestniczyć w akcji. Wyznaczono do niej zaledwie dwie kompanie.

Zbliżaliśmy się do celu pieszo z bronią na ramieniu. W tym czasie nasze ciągniki w pośpiechu przemieszczały na stanowiska paki i wyrzutnie raketowe. Tkwiący w umocnieniach Rosjanie, obserwujący nasze ruchy, z miejsca wystrzelili grad pocisków z tych swoich cholernych granatników. Kiepsko byłoby z nami, gdyby nie to, że rosyjski ogień był niezbyt celny, zmuszając jedynie wszystkich do rozproszenia się w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Obie kompanie rozwinęły się, częściowo okrążając umocnione stanowiska Rosjan. Przez mniej więcej dziesięć minut panował spokój, dopóki nasz kapitan, znajdujący się za niewielkim murkiem zbudowanym jedynie z nałożonych na siebie kamieni, ustalał kierunek ataku, omawiając ten problem z podwładnymi.

Następnie podoficerowie dołączyli do nas, wymieniając punkty, jakie mieliśmy zająć. Rzuciliśmy okiem w tamtym kierunku, instynktownie wyławiając najdrobniejsze nierówności terenu, które pozwolą pokonywać dystans skokami. Panował spokój i wszystko wydawało się dziecinnie proste.

Nic się nie działo. Panowałaby idealna cisza, gdyby podskakujące w dole na kamienistej drodze pojazdy naszej grupy pancерnej nie zanieczyszczały spalinami powietrza, ogłuszając nas warkotem silników. Rosjanie nie dawali znaku życia. Wielu z nas uważało, że są już niezdolni do walki. Obecność naszych oddziałów dodawała otuchy, a mająca wkrótce nastąpić walka wydawała nam się niewinną potyczką.

Wreszcie padł rozkaz do natarcia. Z każdego zaułka wyszedł żołnierz i posuwał się do przodu, pochylony. Niektórzy się śmieli — nie wiadomo, czy na skutek nieświadomości, czy też fanfaronady.

Dotarliśmy do pierwszych chałup. Rosjanie w dalszym ciągu zachowywali się cicho i byli niewidoczni. Dołączyłem do swojej grupy, w której znajdował się Halls. Nieoceniony towarzysz! Kim byłbym bez niego? Wśród jednolitych mundurów sprawiających, że wszyscy wyglądaliśmy podobnie, dostrzegłem uśmiechającą się do mnie jego dobroduszną, pucółowatą jak u dziecka gębę.

Posłałem mu również uśmiech, a nasze porozumiewawcze spojrzenia znaczyły więcej niż wszystkie rozmowy, których od tamtego czasu byłem świadkiem.

Odkąd weszliśmy w skład grupy pancерnej, mieliśmy inne spojrzenie na wojnę. Przykre wspomnienia kojarzące się z odwrotem znad Donu i spod Biełgorodu należały do przeszłości; przeszłości stanowiącej część złych chwil, jakich już nie zaznamy. Oczywiście, ciągle jeszcze była wojna, ale czy nieprzyjaciel nie cofał się przed nami od siedmiu, a może i ośmiu dni?

Z miejsca, które zajmowaliśmy, mogliśmy obserwować trzydziestkę naszych żołnierzy prześlizgujących się skokami na terenie cegielni. Pięciu czy sześciu chłopaków z pancerfaustami posuwało się wzdłuż głównego budynku.

Któryś z nich rzucił granat przez szeroko otwarte okno na piętrze. Powietrzem wstrząsnęła eksplozja, a po chwili usłyszeliśmy rozdzierający krzyk. Rozległy się kolejne krzyki, nic jednak nie było w stanie odwrócić naszej uwagi od wyznaczonego celu. Nagle zobaczyliśmy spadającą z okna ubraną na białą postać; stoczyła się pod stopy grenadierów. Była to kobieta, rosyjski cywil, kryjąca się na poddaszu i bez wątpienia błagająca wszystkich świętych w niebie, aby jak najszybciej się to skończyło. Po upadku nieboraczka, która nie wydawała się ranna, podniosła się z ziemi i zaczęła biec w naszym kierunku, krzycząc przeraźliwie. Któryś z grenadierów uniósł pistolet maszynowy. Wydawało nam się, że słyszymy charakterystyczny szcęk broni, nic takiego jednak nie nastąpiło. Odziana w koszulę Rosjanka uciekała, wydzierając się wniebogłosey i biegnąc pomiędzy osłupiałymi ze zdumienia żołnierzami. Nie padło ani jedno słowo. Na trzydzieści sekund ustały działania zbrojne. Grenadierzy wyważyli drzwi i wbiegli do budynku. Wyszła stamtąd trójka kolejnych cywilów: dwóch mężczyzn i dziecko. Wszyscy troje wzięli nogi za pas, pędząc wśród zdumionych żołnierzy. Rosjanie nie ewakuowali wioski, toteż trzeba było liczyć się z cywilami. Mając to na uwadze, Wesreidau kazał na półgąsienicowym pojeździe zainstalować głośnik. Na tyczce zawieszono kawał białej płachty, po czym pojazd zaczął krążyć między domami.

Z głośnika zaczęły płynąć niewyraźne słowa w języku rosyjskim. Jadąca pojazdem czwórka zastrachanych żołnierzy spoglądała dookoła, od czasu do czasu zerkając niespokojnie na kryjących się kolegów.

Zdaje się, że w ten sposób wzywano Rosjan do ewakuacji z wioski ludności cywilnej albo do złożenia broni. Pojazd nie ujechał nawet stu metrów, gdy stała się rzecz straszna. Wydawało się, że samochód parlamentariuszy uniósł się gwałtownie z ziemi. Rozległo się kilka ogłuszających eksplozji, a równocześnie pięć czy sześć baraków rozsypało się jak domki z kart. Pojazd z naszymi wysłannikami wpadł na pole minowe, co spowodowało reakcję łańcuchową.

Gęsta chmura dymu i, kurzu przesłoniła wioskę. Na tle płonącego pojazdu widać było dwie postacie miotające się w płomieniach i ryczące z bólu.

— Uwaga na miny! — ktoś krzyknął.

Głos ten jednak zagłuszony został przez potężny ostrzał z paków i moździerzy. Przed nami wystrzeliły w górę gejzery ziemi i płomieni. Słomiane dachy z miejsca pofrunęły w niebo, obnażając chaty pozbawione strzech, wyglądające teraz jak głowy łysych facetów, którym zwiąło peruki.

Iwan zareagował wreszcie, wprowadzając do akcji co najmniej dwie baterie ciężkich haubic. Od eksplozji, tamujących dech w piersiach, nawet jeśli rosyjskie pociski wybuchały w odległości stu pięćdziesięciu metrów, ziemia drgała pod butami. Choć przed nami były miny, gwizdki nadal wzywały do ataku. Wszyscy wyskoczyli z kryjówek i rzucili się do najbliższego nasypu. Nasze moździerze zaczęły ostrzeliwać teren trzydzieści metrów przed nami, aby zneutralizować rosyjskie miny, wysadzając je ewentualnie w powietrze. Cel ten został częściowo osiągnięty. Rosjanie wprowadzili do akcji poczwórnice sprzężone karabiny maszynowe, zainstalowane na platformach ciężarówek, i otworzyli huraganowy ogień do wszystkiego, co widzieli przed sobą.

To, co jeszcze przed kwadranssem wydawało się łatwe, było teraz przeszkodą nie do pokonania. W jednej chwili znikła nasza pewność siebie. Nasza piątka, kryjąca się w gruzach cegielni, przylgnęła twarzami do ziemi, drgającej w rytm eksplozji. Schowany za następną kupą cegieł feldfelbel wydzierał się wniebogłosey, nakazując strzelać do wszystkiego, co się rusza. Po kolei wychylaliśmy się nieśmiało nad naszym schronieniem, ale świst pocisków sprawiał, że nawet najodważniejsi pochowali głowy.

Tylko moździerze i granatniki nadal zasypywały gradem pocisków pozycje nieprzyjaciela, który — musieliśmy to przyznać — od czasu do czasu przejawiał inicjatywę. W oddali widać było metalową wieżę zakładu przemysłowego, który dostrzeżliśmy, zbliżając się do wioski. Konstrukcja ta jakimś cudem ocalała, mimo że pociski z paka na pewno kilkakrotnie przebiły ją na wylot. Nadal musieliśmy posuwać się skokami, by dotrzeć do kolejnego punktu oporu nieprzyjaciela. Niektórzy wrzeszczeli, by dodać sobie odwagi; inni, tak jak ja, zaciskali zęby, trzymając kurczowo ciężkiego mauzera wilgotnymi od emocji dłońmi, podobnie jak tonący trzyma się rzuconej mu liny.

Rozlegały się raz głucho, raz wyraźne wybuchy; pojawiały się niezbyt widoczne albo jaskrawobiałe płomienie ognia. Na lewo, na prawo, przed nami, za nami, wzlatywały w powietrze grudy ziemi, spadając czasem na żołnierzy. Widziałem, jak trzydzieści metrów po naszej lewej stronie padło kolejno na ziemię pięciu kolegów, którzy schronili się za niewielką drewnianą konstrukcją przeznaczoną prawdopodobnie do podkuwania koni. Nie wiedząc, dokąd bieć, dwóch ostatnich spoglądało gorączkowo do przodu i do tyłu, usiłując dostrzec ostrzeliwującego ich nieprzyjaciela. W popłochu dopadli do leżących bezwładnie na ziemi towarzyszy. Spod płataniny ciał wydobywała się pokaźna struga krwi, wsiąkając, niczym w gąbkę, w szary piach.

Nagle, z lewej strony wioski, pomiędzy czterema czy pięcioma szopami wybuchł gwałtowny pożar. Płomienie unosiły się w niebo, hucząc złowrogo. Gigantyczny ogień rozprzestrzenił się w przerażającym tempie. Szerokie, czerwone jęzory wraz z czarnym dymem unosiły się coraz wyżej, wydzielając żar, dochodzący aż do zajmowanych przez nas pozycji.

Koledzy wycofywali się pośpiesznie z tamtego rejonu. Metalowe dachy zabudowań brzęczały, wyginając się od ognia. Zajęły się sąsiednie chaty, skąd wybiegła chmara uzbrojonych mężczyzn, zarówno cywili, jak i wojskowych. Była to idealna chwila dla chłopaków, którzy zaczęli strzelać do Ruskich jak do zajęcy.

Jeden z niemieckich pocisków musiał uderzyć w duży zbiornik paliwa. Spowodowało to chaos wśród rosyjskich żołnierzy; drogo zapłacili za nieostrożne zgrupowanie się w tym niebezpiecznym miejscu. Na rumowisku miotali się przerażeni Rosjanie, unosząc ręce do góry. Niektórzy z nich uciekali w kierunku pobliskich umocnień.

Ogień naszych paków skoncentrował się na terenie fabrycznym. Mieliśmy zlikwidować uciekinierów ze składu benzyny. Muszka mego karabinu pojawiała się często na tle drgającej sylwetki Iwana. Po lekkim pociągnięciu za spust przednią część broni zasnuwał na krótką chwilę obłoczek dymu, po czym stalowa lufa mauzera poszukiwała kolejnej ofiary. Czy będzie mi to wybaczone? Czy jestem za to odpowiedzialny? Czy potrafię zapomnieć miotającego się bez końca w polu rażenia mojego mauzera tego nieszczęsnego Ruska?

Draśniętego już przez kule, bardziej niż ktokolwiek inny zagubionego w tym śmiertelnym huku, którego powody rozumiał chyba nie lepiej niż ja...? Czy potrafię zapomnieć tego nieszczęsnego, siwiejącego Iwana, co przyłożył ręce do piersi, nim obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i upadł twarzą ku ziemi...? Czy zostanie mi to wybaczone? Czy będę mógł o tym zapomnieć...?

Jednak oszołomienie, jakie następowało po paraliżującym strachu, popychało najbardziej nawet niewinnego młodzieńca, obojętnie po której stronie walczącego, do popełniania czynów niepojętych. Cokolwiek się poruszało w tej zadymionej, huczącej przestrzeni, stało się nagle dla nas, podobnie jak i dla Iwana przed chwilą, zniechęcone. Owładnął nami instynkt niszczenia, do tego stopnia nieświadomy i irracjonalny, że wielu żołnierzy zapłaciło życiem za zwierzęcy pęd każący ścigać spanikowanego nieprzyjaciela.

Artyleria zmiotła z powierzchni ziemi górną część wioski, gdzie znajdowały się baterie sowieckich dział. W bojowym szale kolejno zajmowaliśmy nędzne ruskie domy niemal doszczętnie wypalone. Przekroczyliśmy teren, gdzie mogły znajdować się miny. Nic nie

mogło nas, prawie dzieci, powstrzymać przed dokonywaniem zbrodniczych czynów; nic nie mogło powstrzymać dobrodusznego Hallsa, pokonującego potężnymi susami ogrodzenie jakiegoś gospodarstwa i rozwalającego z karabinu maszynowego grupę sowieckich strzelców, którzy gorączkowo usiłovali wprowadzić

do akcji jakiś uszkodzony sprzęt. Nic nie mogło powstrzymać okrytych chwałą 8. i 14. kompanii piechoty. Jak podadzą później komunikaty, „w niepowstrzymanym marszu nasi waleczni żołnierze odbili dziś rano wieś...”. Nic nie mogło powstrzymać szturmów obłąkańców, nawet rozpaczliwe skargi obergefrajtra Woortenbecka, rannego w podbrzusze, będące teraz krwawą masą, uczeplonego drżącymi rękami żelaznej bramy i sztywniejącego w oczekiwaniu na śmierć.

Zginęło jeszcze kilku kolegów, aż wreszcie pojawił się przed nami cel: fabryka. Paki przerwały ogień, aby nie razić własnej piechoty, która miała wkrótce zaatakować w gromady Rosjan broniących uporczywie resztek wioski i zakładu.

Nie kojarzyłem już, co się dzieje. Ze swoją grupą dołączyłem do plutonu weterana odpoczywającego w wielkim cementowym zbiorniku. Wypiliśmy resztę wody z manierek, nie gasząc bynajmniej pragnienia. Wszyscy byli czarni od kurzu. Podszedł do nas telefonista i zaczął rozmawiać z grupą Kommandant Wesreidau. Walki ucichły nieco. Niemieckie oddziały dokonywały przegrupowania przed ostatecznym szturmem. Pluton weterana oprócz dwóch karabinów maszynowych miał na stanie moździerz. W skład naszego wchodził grenadierzy uzbrojeni także w mauzery i pistolety maszynowe. Sierżant pogrupował nas wzdłuż zbiornika, wymieniając punkty, do których mieliśmy dotrzeć, gdy nadejdzie pora ataku. Słuchaliśmy jego uwag w takim skupieniu, że nie czuliśmy nawet pietra. Najgorsze są takie właśnie przerwy w czasie walki.

Pośród rozwalonych rusztowań zauważyliśmy grupę Rosjan unoszących białą flagę. Gromada liczyła co najmniej sześćdziesiąt osób. Byli to prawdopodobnie cywile i pracownicy miejscowej gorzelni. A może byli to partyzanci obawiający się niekorzystnego wyniku walk i plutonu egzekucyjnego? Szli prosto w kierunku pododdziału weterana, by oddać się w ręce naszych. Była to patetyczna chwila dla tych ludzi, chociaż na ich niezłomnych twarzach rysował się niepokój.

Znający doskonale język rosyjski weteran nawiązał z nimi rozmowę. Pod ochroną białej flagi czterech żołnierzy odprowadziło jeńców na nasze tyły. W tej osobliwej chwili spokoju każdy myślał, że wystarczy kilka przyjaznych słów zamienionych przez przeciwników, by wszystko to ostatecznie się zakończyło, by Niemcy i Rosjanie wspólnie napili się wódki, jaka musiała znajdować się w tej gorzelni.

W naszym absurdalnym życiu nawet najprostsze rzeczy są często trudnościami nie do pokonania. I znów każdy z nas pogrążył się w myślach na temat tego, co nazywam jedyną w swoim rodzaju koniecznością. Będący niemal symbolem widok tych ludzi, którzy przed chwilą uczynili krok w kierunku normalnego życia, uszedł uwadze większości z nas. Nawet ci, co myśleli inaczej, znów spojrzeli drapieżnymi oczyma na metalowe ruiny zakładu, bo tam trzeba będzie ruszyć do szturmów. Zwierzęta, mające więcej rozsądku niż ludzie, uciekają przed pożarem. Natomiast my, wybrańcy Ziemi, niczym idioci rzucamy się w płomienie jak ómy. To właśnie nazywa się odwagą. Ja nie zaliczam się chyba do ludzi odważnych; strach ściska mi gardło, czuję się jak baran przed wrotami rzeźni.

W głębi duszy byłem pewien, że nie tylko ja mam takie odczucia. Znajdujący się obok chłopak odwrócił ku mnie umorusaną jak u kominiarza twarz, mrucząc:

— Żeby te łajdaki wreszcie się poddały!

Pora odrzucić wahania. Zabrzęczał telefon polowy, a po chwili usłyszeliśmy rozkaz:

— Jedna trzecia grupy naprzód! Odliczyć do trzech!

Raz, dwa, trzy...! Raz, dwa, trzy...! „Jeden” wypadło na mnie, niczym dar niebios. Zostałem w

cementowej dziurze. Jakaż ona była piękna! Jak cudownie ocementowana! Doskonale się w niej czułem. Żaden luksusowy hotel nie mógł się z nią równać. Moja dziura była bezpieczna, pragnąłem pozostać w niej przez całe życie, ponieważ na zewnątrz czyhała na nas śmierć. Bałem się nawet uśmiechnąć. Sierżant mógłby to zauważyć i wysłać mnie na pole chwały. Dziękuję Ci, dobry Boże! Dziękuję Ci, Allahu! Dziękuję Buddo! Dziękuję Warn, niebioso! Dziękuję: ziemi, wodzie, ogniu, drzewom, dzięki czemukolwiek! Wierzyłem już tylko w ten cementowy dół, który — nim posłużył mi za schronienie — zawierał Bóg wie jakie plugastwa. Cyfra trzy wypadła na znajdującego się koło mnie chłopaka. Kurewska cyfra, kurewska arytmetyka, kurewski sierżant! Facet, choć niezbyt inteligentny, potrafił jednak liczyć do trzech.

Czarny na gębie chłopak miał niezadowoloną minę. Popatrzył na mnie, a ja nie śmiałem spojrzeć mu w twarz. Nie chciałem, by dostrzegł moją radość. Spoglądałem na gorzelnię, jakbym to ja miał ruszyć do szturmowania, jakby trójka wypadła na mnie. Ostatecznie wszystko było, jak należy. Numer trzy spoglądał na kolegów. Gorzelnię będzie miał jeszcze okazję oglądać. Wreszcie padł nieszczęsny rozkaz: „naprzód”! Dzielny niemiecki żołnierz wyskoczył z kryjówek wraz z setką innych.

Natychmiast rozległ się odgłos rosyjskiej broni automatycznej. Nim skryłem się na dnie zbawionego zbiornika, na drodze kolegi zauważyłem niewielkie tumany kurzawy od padających pocisków. Facet nigdy już nie będzie darzył sympatią cyfry trzy. W powietrzu rozlegał się ogłuszający terkot karabinów maszynowych. Słyszeć też było odgłosy eksplodujących granatów. W tym tumultie ledwo dało się odróżnić krzyki kolegów, którym się oberwało.

— Achtung! Nummer zwei, voraus!

Na te słowa uniósł się z miejsca weteran, dźwigając swój spandau.

Teraz będzie moja kolej, jak również tych, co mieli szczęście być jedynekami.

Na zewnątrz wszystko wylatywało w powietrze, a ja zajęty byłem kontemplacją cyfr.

Logicznie wszystko zaczyna się od jedynek. Dlaczego więc

wyznaczono najpierw trójki, — by tarzały się w kurzu? Nie zdążyłem jednak zgłębić tego problemu. Nadeszła moja chwila. — Nummer eins, nachgehen, los!

Po krótkiej chwili wahania wyskoczyłem z kryjówek jak diabeł z pudełka. Tak oto zaczął się dla mnie najbardziej szaleńczy bieg. Od wirującej kurzawy wszystko było szare. Poprzez drażniący nozdrza pył dostrzegałem dalekie błyski.

Po kilku skokach dobiegłem pod zawałony dom, na którego zgliszczach umierał niemiecki żołnierz, patrząc błędnym wzrokiem na otwarty zamek swego pistoletu maszynowego.

Dziwnie wygląda umierający człowiek. Bardzo często jest to żalony widok. Dwa lata wcześniej widziałem, jak jakaś kobieta wpadła pod furgonetkę mleczarza. Na widok zmiażdżonego ciała straciłem niemal przytomność. Dziś już nic nie jest w stanie mnie poruszyć. Jeśli było się pod Biełgorodem, nawet najlepsze kryminały ze znakomicie zarysowanym wątkiem morderstwa wydają się śmieszne.

W gryzącym oczyma dymie szukałem wroga, starając się spełnić swe zadanie. Dwadzieścia pięć metrów ode mnie kolejno wylatywały w powietrze wózki robocze. Zauważyłem przebiegających czterech, a może pięciu żołnierzy. Nie udało mi się stwierdzić, czy byli to Niemcy czy Rosjanie.

Znalazłem się obok dwóch chłopaków w odkrytym umocnieniu wykonanym z ziemi i drewnianych bali. Było to rosyjskie stanowisko karabinu maszynowego. Koledzy niemal siedzieli na ciałach czterech Ruskich podziurawionych odłamkami granatu.

— To ja ich rozwalę za jednym zamachem! — wydzierał się młody, postawny żołnierz z dywizji „Gross Deutschland”.

W kierunku naszej kryjówek nadlatywała salwa z moździerzy. Padliśmy w popłochu na ciała martwych Rosjan. Jeden z pocisków rąbnął w brzeg umocnienia. Ziemno-drewniana

konstrukcja wyleciała w powietrze. Wszystko to spadło nam na pysk. Chłopak ściśnięty między mną a martwym Rosjaninem skoczył na równe nogi. Również ja rzuciłem się do ucieczki. Kolejny pocisk eksplodował za umocnieniem. Rozpryskująca się masa uderzyła mnie w nogi. Siła wybuchu rzuciła mnie na przeciwległą ścianę. Zacząłem wrzeszczeć, wzywając pomocy. Wydawało mi się, że mam złamane nogi, i ze strachu prawie nimi nie poruszałem. Zauważyłem dwudziestocentymetrową dziurę w spodniach. Moje bolejące uda były jednak w dobrym stanie. Niemniej, uderzenie było bolesne i poprzez dziurę w portkach dostrzegłem sino-czerwony ślad po uderzeniu.

Jak szalony znów rzuciłem się na ruskie trupy. Zwalilem się na chłopaka, który przed minutą usiłował wyskoczyć. Na skutek zderzenia ze mną zaczął się wydzierać jak zarzynane prosię. Kiedy tkwiłem tak przy nim twarzą w twarz, naszą kryjówkę zasypały spadające dookoła najprzeróżniejsze szczątki.

— Jestem ranny — jęknął mój towarzysz. — Cholernie pieką mnie plecy. Zawołaj sanitariusza — dodał błagalnym tonem.

Popatrzyłem w przerażeniu na niego, po czym wrzasnąłem:

— Sa.nftentra.ger! Sdnftentrdger!

Moje wołania zagłuszył potężny huk dwóch karabinów maszynowych ziejących ogniem w pobliżu. Postawny żołnierz z dywizji „Gross Deutschland” wydzierał się na cały głos, że mamy iść dalej.

— Naprzód, koledzy! Chłopaki są już przy kadziach!

Spojrzałem na rannego kolegę, który patrzył na mnie niespokojnie, trzymając się kurczowo mojego rękawa. Nie wiedziałem, jak mu wyjaśnić, że na razie nic nie mogę dla niego zrobić.

Widziałem błagalne spojrzenie jego oczu. Wysoki żołnierz już wyskoczył z kryjówki.

Wyrwałem się gwałtownie, odwracając raptownie głowę. Ranny zaczął do mnie wołać, lecz byłem już poza umocnieniem, biegnąc jak szalony za chłopakiem, który był z piętnaście metrów przede mną.

Dobiegłem do kolejnej grupy żołnierzy przygotowujących pośpiesznie stanowiska dla dwóch moździerzy. Przyłączyłem się do pracy i po chwili podłużne pociski prawie pionowo zaczęły wyskakiwać z luf. Nagle pojawił się jakiś żołnierz o przekrwionej twarzy, oznajmiając, że Ruscy wycofują się w kierunku głównej wieży. Weteran, którego nie zdążyłem zauważyć, wrzasnął dzikim głosem:

— Trafienie!

Równocześnie jego pokrytą nieprawdopodobną warstwą kurzu twarz rozświetlił jaskrawobiały błysk. Główną wieżę spowił potężny gejzer ognia.

Rosyjska obrona dziesiątkowana silnym ogniem dała w końcu za wygraną. Nasi żołnierze wdzierali się na ostatnie pozycje nieprzyjaciela, likwidując obrońców. Tam też padł ostatni niemiecki żołnierz, kryjąc twarz w dłoniach. Iwan skapitulował. Słysząc było jeszcze pojedyncze wystrzały, ale widzieliśmy, że walki mają się ku końcowi.

Teraz ja, wraz z kolegami, zbliżyłem się do stojącego jeszcze niedawno zakładu, który był jedną wielką kupą gruzów. Mimo że odnieśliśmy kolejne zwycięstwo, nie widać było żadnych przejawów radości, nie słychać było żadnych radosnych okrzyków. Ogłuszeni hałasem, wycieńczeni napięciem nerwowym żołnierze błędzili między leżącymi powyginanymi metalowymi dachami. Jakiś facet o wynędzniałej twarzy uniósł bezwiednie pokrytą emalią tabliczkę z napisem „dyrekcja” czy „toalety”.

Wieś i jej obrońcy nie zdołali oprzeć się naszemu szturmowi. Do niewoli dostało się około trzystu Rosjan, dwustu zginęło lub odniosło rany. Zostaliśmy przegrupowani przez podoficerów, a następnie pośród dymiących zgliszcz zeszedliśmy do niżej położonej części wioski. Hen Hauptmann Wesrei-dau dokonał przeglądu swych dwóch kompanii, po czym zarządził apel. Brakowało około sześćdziesięciu ludzi. Zaczęliśmy zbierać rannych, układając ich na placu. Tam trzech pielęgniarzy udzielało im pierwszej pomocy. Było

ich co najmniej piętnastu,-w tym Helen Grauer, który został ranny w głowę i stracił chyba prawe oko.

Trzeba było szukać wody. Wszystkie wodopoje zostały zniszczone. Musieliśmy spuszczać menażki do studni znajdującej się w jakiejś zwęglonej chacie. Pochodząca stamtąd woda czarna była od sadzy. Ranni żołnierze majaczyli i wydzierali się wniebogłosy.

Rannych Rosjan było pięć razy więcej. W zasadzie powinniśmy im udzielić pomocy.

Stwarzało to poważny problem dla dowódcy, który otrzymał rozkaz dołączenia do dywizji natychmiast po zakończeniu akcji.

Pozostawiliśmy więc rannych Rosjan własnemu losowi. Naszych rzucono pośpiesznie na pojazdy w niczym nie przypominające ambulansów, czy choćby zwykłych ciężarówek. Były to lawety dział samobieżnych albo ciągniki artylerii lekkiej. Byliśmy zmordowani, uświnieni, niezdolni do jakiegokolwiek reakcji.

Zastanawiano się, w jaki sposób transportować jeńców. Na wypełnionych po brzegi pojazdach brakowało już dla nich miejsca. Utworzyli grupę pieszą, eskortowaną przez jadący z tyłu motocykl z zainstalowanym na przyczepie karabinem maszynowym. Zabrano ostatecznie pięćdziesięciu jeńców, których uwolniono po dwóch dniach, gdyż nie wiadomo było, co z nimi robić. Stanowiliśmy samodzielną jednostkę, toteż ogromnym problemem było zaopatrzenie. W zasadzie wojenny łup przewoziły pojazdy transportujące paliwo i amunicję, ale dopiero wtedy, gdy przynajmniej częściowo pozbyły się pierwotnego ładunku. Dywizja miała już tysiąc, a może nawet tysiąc stu jeńców, i nie wiedzieliśmy, co z nimi począć. Pojazdy ruszyły w drogę, przepełnione do granic możliwości naszymi i nie naszymi żołnierzami.

Wszyscy spoglądali na znikającą na horyzoncie wioskę, nad którą unosił się gęsty dym.

Szare, ponure niebo zwiastowało deszcz. Nazajutrz krople dżdżu zroszą prowizoryczne groby czterdziestu naszych żołnierzy. Aż tyle ofiar kosztowało nas zneutralizowanie sowieckiego punktu oporu, którego nawet nie zajęliśmy, ponieważ naszym celem była poważniejsza operacja. Nie byliśmy już zdobywcami. Stanowiliśmy tylko ochronę naszych wojsk masowo wycofujących się za linię Dniepru.

Znikły uśmiechy. Nasze zwycięstwo niewiele zmieniło w przebiegu wojny. Nie miało żadnego znaczenia ofensywnego. Może było pożyteczne ze strategicznego punktu widzenia. W każdym razie pocieszałyśmy się tą myślą. Nam, prostym żołnierzom, kojarzyło się tylko z kolejnym strachem, ze stratą wielu chłopaków, a dla mojego kolegi Grauera z trwałym kalectwem. W wiozącym mnie wraz z trzydziestoma towarzyszami pojeździe obok kierowcy siedział, ściśnięty między dwoma kolegami, młodzian blondyn o brudnych włosach, grający na harmonijce. Łagodne dźwięki melodii dochodziły do naszych prawie niewrażliwych już uszu. „Pod bramą koszar... z tobą, Liii Marleen... z tobą, Liii Marleen...”. Melodia była wolna i pełna nostalgii ciężącej nad naszą morderczą wędrówką. Halls słuchał jej, a jego na wpół otwarte usta nie wyrażały nic. Niemym wzrokiem spoglądał przed siebie...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Okrażenie pod Konotopem_____

Jechaliśmy jeszcze godzinę, po czym zapadła noc. W takim czasie pokonywaliśmy około pięćdziesięciu kilometrów. Podczas jazdy nie dało się odpoczywać, toteż z niecierpliwością oczekiwaliśmy postoju, aby otrząść się z dokuczliwego kurzu. Poza tym mieliśmy nadzieję, że uda się trochę pospać. Wiedzieliśmy, że nie ma mowy o jakimkolwiek skoszarowaniu i jak zwykle trzeba będzie spać, gdzie popadnie. Jakże przydałoby się wygodne łóżko po tyłu mordegach! Obojętnie, w jakim miejscu padniemy na brudną ziemię i pograżymy się we śnie bez snów.

Po ciemnym niebie sunęły wielkie, czarne chmury, jaśniejące na krańcach. Wielkie krople dżdżu spadły równocześnie z nadciągającą burzą. Ten jakże często dla nas złowróżbny deszcz powitaliśmy jak błogosławieństwo niebios. Spływał po naszych umorusanych twarzach uniesionych ku niebu. Wkrótce przeszedł w prawdziwą ulewę, dostając się nam za kołnierze. Zbawienny prysznic zraszał zarówno swoich, jak i wrogów. Każdy uśmiechał się, myśląc o jego dobroczynnym wpływie. W ogólnym ścisku nasze przemoczone szarozielone mundury przyklejały się do brunatnofioletowych bluz noszonych przez jeńców. Jedni i drudzy wymieniali uwagi jak gracze dwóch przeciwnych drużyn spotykający się po meczu pod orzeźwiający prysznicem. Nikt nie myślał o zemście czy nienawiści. Każdy myślał o życiu, które udało się zachować, i o bieżących niedogodnościach. Deszcz wzmógł się do tego stopnia, że trzeba było poszukać jakiegoś schronienia. Chłopaki wyciągnęli peleryny, którymi starannie przykryli głowy i karki.

Pod tym prowizorycznym schronieniem rozlegały się śmiechy niemieckich i rosyjskich żołnierzy. Nikt, czy też prawie nikt, nie rozumiał padających słów w obcym języku, co nie przeszkadzało, by papierosy hanowerskie wymieniano na machorkę z niziny tatarskiej. Paliliśmy i śmialiśmy się bez żadnego powodu. Śmiech ten był przejawem najczystszej ludzkiej radości, jaką kiedykolwiek poznałem. Krążąca między nami machorka, dymiąca pod nakryciami i powodująca kaszel, ten szczery i niepohamowany śmiech, owa enklawa radości pośród wszechobecnych cierpień — wszystko to działało na nas jak zastrzyk morfiny. Zapomnieliśmy o rzekomej nienawiści, jaka nas dzieliła, i całą duszą rozkoszowaliśmy się zapomnianymi już niemal zupełnie uczuciami.

Nic nie rozumiałem i śmiałem się do rozpuku. Miałem dziwne uczucie. Czułem jakby dreszcz emocji, coś podobnego, co odczuwa się, słuchając przepięknej muzyki. Rzęsiste krople deszczu bębniły na metalowej masce samochodu, zagłuszając warkot silnika. Czy jutro będziemy musieli rozstrzelać tych ludzi? To niemożliwe! Teraz to nie jest już możliwe! Natknęliśmy się na oddział zmotoryzowany, który zatrzymał się na otwartej przestrzeni. Na ciemnych motocyklach ustawionych pod ociekającymi konarami drzew lśniły krople deszczu. Wesreidau wysiadł ze swego yolkswagena. Zapewne poszedł skontaktować się z dowódcą oddziału. Motocykliści nosili długie płaszcze nieprzemakalnie skutecznie chroniące od ulewy. Łazili w kółko po kałużach, bo nie mieli z sobą sprzętu obozowego, który został w samochodach gospodarczych.

Dwóch chłopaków zajmujących się w tej ulewie wydawaniem żywności serwowało pośpiesznie każdemu chętnemu po jednej kiełbasie. Nie miała ona żadnego smaku. Dodawali do niej po przypadającym na osiem osób bochenku żołnierskiego chleba, który starannie dzieliliśmy między sobą. Więźniowie nie dostali nic do jedzenia. Żywność dla nich przewidziano dopiero na szczeblu dywizji.

Wolelibyśmy wpieprzać to nędzne żarcie w jakimś innym miejscu, gdyż Niemcy i Rosjanie byli stłoczeni i wymieszani na platformach samochodowych. Rusczy, którzy mogli się cieszyć tylko z tego, że uszli z życiem, spoglądali rozgorączkowanymi oczami na wydawanie żywności. Nie sposób było z tym się kryć, toteż w końcu brudne i zmoczone ręce zaczęły łamać twarde chleb, wyciągając go w kierunku tych, którzy kilka godzin temu omal nas nie zatłukli.

Zaledwie pięć minut po przełknięciu w zacinającym deszczu ostatniego kęsa nasze żołądki znów burczały z głodu. Poza tym wszystkim chciało się pić. Manierki opróżniliśmy podczas popołudniowych walk. Domagaliśmy się wody niczym niespokojne owce. Pozwolono nam zsiąść z samochodów i radzić sobie samodzielnie. Znajdowaliśmy się w szczerym polu, nie było więc żadnego wodopoju. Wody jednak nie brakowało. Spadała strugami z nieba. Czerpaliśmy ją z rynienki klapy samochodowej, z ciekących liści, z fałd płaszczy. Wody było w bród i mogliśmy ugasić pragnienie. Ruszyliśmy w dalszą drogę wraz z oddziałem zmotoryzowanym.

W końcu przestało padać. Ściśnięci w niewygodnych, podskakujących na nierównościach terenu pojazdach, byliśmy zdrętwiali i zmordowani.

Z tyłu i nad nami błyskawice przecięły niebo. Nastąpiła krótkotrwała burza. Przed nami pojawiły się na horyzoncie kolejne błyskawice. Nie miały one, niestety, nic wspólnego z żywiołami natury. To „Organy Stalina” zasypywały deszczem ognia naszą dywizję powstrzymaną za Konotopem. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym dobitniej uświadamialiśmy sobie, jak zacięte toczyły się tam walki, sądząc po intensywności ognia na horyzoncie. Wkrótce usłyszeliśmy ich odgłosy — groźne i nieustanne.

Liczyliśmy na jakieś schronienie na pozostałą część nocy, a tymczasem znów zaczynało się piekło, a wraz z nim niepewność jutra. Nieubłagane jarzmo wojny ponownie ścisnęło nam pulsujące z wyczerpania skronie. Dziecięca twarz młodzieńczego blondyna grającego niedawno na harmonijce spoważniała do tego stopnia, że wyglądał teraz jak mężczyzna. Czy był to wpływ zmęczenia? A może chciał skończyć ze wszystkim? Chłopak postarzał się nagle o dwadzieścia lat.

Wjechaliśmy do miasta. Wszystko było czarne i opuszczone. Od czasu do czasu na niebie pojawiały się błyski świadczące o walkach, jakie toczono na zachodnich przedmieściach. Słychać było odgłosy eksplozji, a impet powietrza od wybuchów wybijał szyby i zrywał metalowe rynny okolicznych domów.

Zaczął kropić drobny deszcz. Padła komenda zejścia z samochodów. Niczym lunatycy wydostawaliśmy się na zewnątrz. Gdy zeskoczyliśmy na ziemię, każdy z nas poczuł ból w całym kręgosłupie. Podążyliśmy gromadnie za dowódcami, a nasze pojazdy wjechały w którąś z przyległych ulic. Byłem tak senny, że zamykały mi się powieki. Na wpół przytomny, podążałem śladem idącego przede mną kolegi, słysząc chłupot jego butów w kałużach. Nawet nie myślałem, że znów znajdę się w ogniu walk.

Co tamtej nocy wydarzyło się w Konotopie? Nie potrafię tego powiedzieć. Pamiętam pożary, eksplozje, walące się domy wzdłuż ciemnej, ledwie widocznej ulicy. Pamiętam rynsztok z płynącą wodą i swoje ciężkie, sztywne obuwie, w którym nie miałem już siły iść. Tkwiły w nim moje wielkie, chłopięce stopy; nagle wydały mi się one bardzo, bardzo małe. Czuję, jak palą mnie skronie na skutek gorączki. Pamiętam swe chude barki uwieszone w lepiącej się od brudu bieliźnie, szorstkiej i mokrej od deszczu bluzie, poopinane płataniną skórzanych rzemieni i ściśnięte pod niewyobrażalnym ciężarem ładownic pełnych amunicji. A dookoła tych chuderla-wych ramion roztaczał się wrogi, niezrozumiały dla mnie świat. Te nędzne ramiona musiały jeszcze podtrzymywać kolegów, roztrącać ich, a oprócz tego trzeba było iść naprzód, ciągle iść, ciągle się czołgać i ciągle drzeć.

Przed brzaskiem, bladym niczym świt skazanych na śmierć, zmorzył mnie głęboki sen, rozwiewając rozbudzone na nowo koszmary. Zasnąłem na kamiennych płytach pod jakąś bramą, gdzie deszcz atakował tylko od czasu do czasu na skutek silnych podmuchów wiatru. Te kilka godzin mogłem uważać za stracone, jeśli traktuje się sen jako stratę czasu, albo na odwrót — za pożyteczne, bo choć na kilka chwil unosiły mnie w niebyt. Obudziłem się, mając podobnie jak inni tak bladą i ściągniętą twarz, że nawet najbliżsi krewni nie zdołaliby mnie rozpoznać. Oczy nienaturalnie zapadnięte w obolałej głowie, instynktownie starały się dojrzeć, co nowego może przynieść ten szary dzień.

Naprzeciw bramy będącej naszym schronieniem stał kilkupiętrowy budynek. Widniejące nad okiennymi otworami długie, czarne smugi wyraźnie odcinały się na tle szarego muru. W stojących nieopodal nędznych barakach myszkowały już tylko bezdomne koty i wałęsali się poszukujący schronienia żołnierze. Te smętne budynki były zawałone różnymi świństwami jak po przejściu jakiegoś kataklizmu.

W głębi ulicy, na wysokości podjazdu, jezdnię całkowicie zablokowały gruzy. Konotop zniszczony został poprzedniego dnia wieczorem, kiedy to rosyjskie pociski raketowe zrównały z ziemią co najmniej jedną czwartą miasta.

Błądziłem wzrokiem w poszukiwaniu czegoś, co wlałoby mi w serce choć odrobinę otuchy, co choć na sekundę odciągnęłoby moją uwagę od wstrząsających mną dreszczy. Usłyszałem za sobą jakiś hałas. Odwróciłem głowę. To powracał weteran, niosąc dwie menażki gorącej zupy, którą wytrzasnął nie wiadomo skąd. Bezmyślnie patrzyłem na żołnierza Wehrmachtu człapiącego chwiejnym krokiem poprzez gruzy i kałuże. Jego mundur był równie szary i smętny jak ' otaczający nas krajobraz. Widoczna pod ciężkim stalowym hełmem wychudzona i nieogolona twarz doskonale harmonizowała z otoczeniem. Nad Konotopem, jak okiem sięgnąć, wolno płynęły chmury szare jak brudna bielizna. — Niech ci, co są głodni, raczą otworzyć oczy! — rzekł weteran, stawiając menażki na ziemię.

Z miejsca szturchnąłem Hallsa, który wydawał się, jak zwykle, zatopiony w głębokim śnie. Poderwał się z miejsca, lecz kiedy zauważył, że żadna strzelanina nie atakuje jego bębneków, uspokoił się, wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, wreszcie wstał z miejsca, rozcierając swe znużone ciało.

— O Boże! Mam już tego wszystkiego dość! — rzekł zmęczonym głosem. — Gdzie my jesteśmy? Co my tutaj robimy?

— Chodź na żarcie — rzekł weteran.

Przeżyliśmy w milczeniu zupę z prosa, która zdażyła już wystygnać. Niektórzy woleli jeszcze trochę pospać. Nikt nikogo do niczego nie zmuszał. W końcu padł rozkaz do wymarszu. I znów krążyliśmy po zrujnowanym mieście. Byliśmy zbyt zmęczeni, by logicznie myśleć. Wlekliśmy się bezwiednie, nie spoglądając na nic. Gdy słyszeliśmy jakąś eksplozję albo nadlatujący samolot, padaliśmy bez pośpiechu na ziemię, po czym wstawaliśmy i tak w kółko.

Bez wątpienia atakowała mnie jakaś choroba. Bóle, a może skurcze rozsadzały mi głowę i plecy, co przypisywałem zmęczeniu. Czulem nieprzyjemne dreszcze. Prawdopodobnie miałem gorączkę. W każdym razie nic na to nie mogłem poradzić. Gdyby było gorzej, starałbym się dostać do szpitala, ale by do tego doszło, musiałbym co najmniej stracić przytomność.

Dotarliśmy do szczególnie zniszczonej części miasta. W ruinach dostrzeegliśmy ogromnego Tygrysa. Czołg wyżyłbił szeroki ślad w zwałowisku gruzów i chyba dalszą jazdę zakończył na minie, która rozerwała prawą gąsienicę i koło napędzające. Mimo uszkodzeń, z jego lufy wylaływał od czasu do czasu pocisk w kierunku pobliskich pozycji nieprzyjaciela.

W ruinach kryły się gromady żołnierzy, zdając się czatować na Ruskich, którzy prawdopodobnie czaili się w pobliżu. Również my ostrożnie zagłębiliśmy się w to rumowisko ciągnące się kilometr przed nami i pięćset metrów z tyłu. Tam właśnie, w jakiejś cuchnącej dziurze spotkałem Hallsa. Klnąc na czym świat stoi, gromadziliśmy belki i różne inne paskudztwa, by odizolować się od dna kryjówek pełnego czarnej wody. Popatrzyliśmy na siebie ogłupiałym wzrokiem, nie wiedząc zbytnio, co rzec. Wszystko zostało już powiedziane. Wszystko było już tylko kwestią czasu. Nieubłagany tok wydarzeń coraz bardziej wprawiał nas w stan obłąkania.

— Coś nieszczęśliwie wyglądasz — odezwał się w końcu Halls.

— Jestem chory — odpowiedziałem.

— Wszyscy jesteśmy chorzy — zauważył Halls, po czym utkwiał wzrok w jakimś punkcie rozciągającego się dookoła morza ruin.

Raz jeszcze popatrzyliśmy na siebie ponurym wzrokiem. Twarz kolegi zdawała się wyrażać rezygnację i ogromne znużenie.

Również mnie nawiedzała ponura myśl: co się z nami stanie...? Wydawało mi się niemożliwością, by taka sytuacja mogła jeszcze długo trwać. Już przeszło rok żyliśmy w ustawicznym strachu, już przeszło rok żyliśmy jak Cyganie... Co ja plotę! Życie Cygana w porównaniu z wegetacją żołnierza jest życiem jak z bajki! Przez cały rok byłem świadkiem,

jak ginęli koledzy! I znów wszystko zaczęło mi się przypominać: Don, „międzynarodowa droga nr 3”, Uczeń, formowane naprędce oddziały, Ernst, Tempelhof, Berlin, Magdeburg, piekielny Białgorod, odwrót i wczorajszy widok Woortenbec-ka, z brzuchem zbryzganym licznymi czerwonymi strugami spływającymi mu aż do butów. Jakimż cudem nie zmiotła mnie z powierzchni ziemi jedna z tych potwornych eksplozji, które unicestwiły już tylu kolegów. Patrzyłem na to wszystko tak przerażonymi oczami, że można by się zastanawiać, czy to co widziałem, rzeczywiście się wydarzyło. Jakimś cudem Halls, Lensen, weteran i inni koledzy ostali się jeszcze w tej nieszczęsnej jednostce? Ale przecież to nieprawdopodobne szczęście, które nam sprzyjało i oszczędziło nas, pewnego dnia może nas nagle opuścić, jeżeli jeszcze długo będziemy w takiej sytuacji. Może już jutro pochowają weterana, Hallsa, a może i mnie... Ogarnął mnie gwałtowny niepokój. Zaczęłam się rozglądać dokoła. Może już wkrótce nadejdzie moja kolej. Najzwyczajniej w świecie zginę i nawet nikt tego nie zauważy. Wiedziałem, że koledzy przyzwyczajeni są do wszystkiego. Żałować mnie będą tylko do czasu, gdy padnie następny, który opuści kurtynę zapomnienia na poprzednie ofiary. Byłem

coraz bardziej spanikowany, zaczęły trząść mi się ręce. Wiedziałem, jak wygląda gęba tru-posza. Kiedyś nawet widziałem twarz martwego żołnierza padającego w błoto i leżącego w nim nieruchomo. Twarz w błocie! Na myśl o tym przechodziły mnie ciarki. A moi rodzice! ? Przecież powinienem ich jeszcze zobaczyć! Nie mogę tak po prostu umrzeć! A Paula...? Paula...! Z oczu pociekły mi łzy. Halls spoglądał na mnie, tkwiąc nieruchomo, jak ten przerażający, martwy krajobraz, obojętny na wszystko — na ludzką niedolę i śmierć. Człowiek był bezsilny, całkowicie bezsilny... Krzyki przerażenia, krzyki umierających, płynące strugi krwi wsiąkające w ziemię, jak jakieś straszliwe świętokradztwo... Nic nie dało się zrobić, kompletnie nic... Miliony ludzi mogły płakać i cierpieć, ryczeć i błagać niebios; nieubłagana wojna głucha była na ludzkie jęki — okrutnie głucha. Pozostało tylko czekać i mieć nadzieję... Mieć nadzieję na co? Że nie zginie się z twarzą w błocie... Cóż to jest wojna? To tylko hasło. Hasło, które dla ludzi jest jakby jakimś sakramentem. Dlaczego? I robią to tylko ludzie! Dlaczego tylko ludzie... ? Cały czas zalewałem się łzami, bredząc jak w gorączce w obecności nieczułego na nic przyjaciela.

— Halls! — szepnąłem. — Boję się. Musimy stąd odejść. Kolega spojrzał na mnie, po czym popatrzył na horyzont.

— Odejść? Dokąd? Spij. Jesteś chory.

Nagle spojrzałem na niego z nienawiścią. Również on był obojętny na wszystko. Pobliski czołg wystrzelił pocisk. W odpowiedzi Rosjanie posłali ich w naszym kierunku z pół tuzina, jeszcze bardziej rozwalając rumowisko. Może pociski te zabiły przy okazji kilku kolegów? Może weterana? Nagle wszystko stało się jeszcze bardziej nie do zniesienia. Ścisnąłem głowę trzęsącymi się dłońmi, jakbym chciał ją zmiażdżyć. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Nie widziałem żadnego wyjścia z tej sytuacji. Moje szlochły zwróciły uwagę Hallsa, który popatrzył na mnie niemal zirytowany.

— Spij wreszcie. Nie jesteś w stanie utrzymać się na nogach.

— Co, kurwa, może cię obchodzić, czy śpię, czy zdycham? Pierdolisz na to. Wszyscy pierdolą na to. Wszyscy pierdolą na wszystko. A kiedy i ty w końcu zdechniesz, też wszyscy będą na to pierdolić!

— Oczywiście. I co z tego?

— Co z tego?! Boże święty! Trzeba coś zrobić! Rozumiesz?! A nie spać na jawie jak ty. Halls popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem. Na pewno przeżywał te same męki co ja, ale na razie ogarnęła go całkowita bierność. Jego zobojętnienie było silniejsze od złości.

— Spij, skoro ci mówię. Jesteś chory.

— Nie! — wrzasnąłem. — Wolę zdechnąć od razu.

Natychmiast podniosłem się i opuściłem kryjówkę. Nie uszedłem nawet dwóch kroków, gdy

Halls chwycił mnie za pas i pociągnął z całej siły, tak że stoczyłem się do środka.
— Zostaw mnie, Halls! — wydierałem się w najlepsze. — Zostaw mnie, słyszysz?!

— Stul pysk, do cholery! Uspokoisz się, czy nie!?

Zaciskając zęby, Halls swymi ogromnymi pięściami trzymał mnie za kołnierz kurtki.
— Przecież widzisz, że wszyscy po kolei zdechniemy. Puść mnie! Co cię może, kurwa, to wszystko obchodzić?!

— To, że od czasu do czasu muszę widzieć twoją gębę, tak samo jak gębę weterana, a nawet tego durnego Lindberga. Rozumiesz? Przestań, bo do-pieprzę ci tak, że się wreszcie uspokoisz.

— Ale jak Iwan poczęstuje mnie kulą, zdechnę tu i nic na to nie poradzisz.

— To będę płakał, będę płakał jak wtedy, gdy umarł Ludovik, mój młodszy brat. Umarł po ciężkiej chorobie, bo przecież nie naumyślnie. I ty nie zrobisz mi tego naumyślnie...
Poczułem, jak przez ciało przechodzą mi dreszcze. W dalszym ciągu zalewałem się łzami. Zapragnąłem ucałować usmoloną gębę mego nieszczęsnego druha. Halls rozluźnił ucisk i uniósł się z miejsca. Seria pocisków zmusiła go do przysiadu. Spojrzał na mnie, po czym uśmiechnęliśmy się do siebie.

Pod wieczór nasza trzecia próba natarcia zakończyła się niepowodzeniem, podobnie jak dwie poprzednie. Rozciągające się aż po nocny horyzont rumowisko wydawało się teraz całkowicie zrównane z ziemią. Nie widać było ani jednego wystającego fragmentu, ani jednego komina, które przecież stoją aż do końca.

I znów nocne ciemności rozświetliły błyski kanonady, których obojętne oczy mego kolegi zdawały się nie dostrzegać. Zaczęła się kolejna niekończąca się noc, kiedy to ustawiczny strach towarzyszy śmiertelnie zmęczonemu człowiekowi siedzącemu w ciemnej dziurze na wilgotnych kamieniach. Noc, kiedy nie dzieje się nic — a może wszystko. Ogień, eksplozje, krótkie lub długie błyski, jakie rejestrujesz szeroko otwartymi oczyma, nie pozwalają ci zasnąć. Słyszysz krzyki i widzisz deszcz spadających rakiet tworzących za tobą pionową ścianę.

Powracały tysiące wspomnień z mego poprzedniego życia, które jakbym przeżył w jeden dzień. Wspomnienia z Francji, mojej jakże odległej młodości, a przecież tak bliskiej; wspomnienia głupstw, zabawek, nagany, która teraz wydawała mi się łagodna, wspomnienia mojej matki i wreszcie Pauli — mojej racji bytu.

Tej nocy nie zamieniliśmy nawet dziesięciu słów, ale wiedziałem już, że muszę żyć dla swego przyjaciela Hallsa.

Przed świtem gwałtowne dreszcze całkowicie unicestwiły resztki mej silnej woli. Gdy nastał szary dzień, Halls przykrył mnie moim kocem, którego nie miałem nawet siły rozłożyć.

— Zjedz to — mruknął kumpel, wyciągając w moim kierunku wypełnioną do połowy puszkę.

— Jedz, bracie, odzyskasz siły.

Apatycznym wzrokiem zerknąłem do naczynia. Było tam coś w rodzaju marmolady zmieszanej z kurzem pochodzącym z chlebaka.

— Co to jest?

— Wpieprzaj. To całkiem niezłe. Przekonasz się.

Idąc za radą Hallsa, wsunąłem dwa palce do środka i zacząłem wydobywać z naczynia ową galaretę. Nie zjadłem nawet połowy, gdy poczułem mdłości, no i do otaczającego nas plugastwa dołączyły się jeszcze moje rzygowiny.

— Cholera! — zaklął Halls. — Jesteś o wiele bardziej chory niż myślałem. Spróbuj zasnąć.

Trzęsąc się w gorączce, dosłownie rzuciłem się w bagno zalegające na dnie dziury i odgarniając błoto łokciem i stopą, szukałem odpowiedniej pozycji do snu. Upłynęło kilka godzin, ja jednak straciłem poczucie czasu. Rankiem nastąpiła zmiana warty. Z pomocą Hallsa dowlokłem się do znajdującej się bardziej z tyłu innej kloaki, gdzie dwóch kolegów skleciło dla mnie z resztek drabiny prowizoryczne wyrko. Naprzeciwko nas, po drugiej

stronie jakiejś ruiny czy uliczki (nie pamiętam już dokładnie) dwóch innych facetów leżało na deskach ułożonych na kamieniach.

Za nami, w oddali, nadal toczyła się trwająca już od czterech i pół roku wojna. Nie mam pojęcia, jak długo leżałem w tym bagnie. Nadal wstrząsały mną dreszcze z powodu gorączki. Pomimo stosu koców, płaszczy i innych rzeczy, jakimi koledzy litościwie mnie nakryli, czułem lodowaty chłód. Ktoś mnie obudził, podając mi jakąś tabletkę.

Ile upłynęło czasu? Może jeden dzień? W każdym razie, kiedy tak walczyłem z atakującą mnie gorączką, na obrzeżach miasta toczyła się inna,

o wiele ważniejsza walka. Po okrążeniu rosyjskich sił na wschód od Kono-topu nasza jednostka, wycofując się planowo na zachód, znalazła się naprzeciw potężnego ugrupowania nieprzyjaciela odcinającego ją od naszych tyłów. Kilka prób przebicia się na zachód zakończyło się niepowodzeniem

I nasz samodzielny oddział, który poniósł już znaczne straty, toczył teraz walki obronne wewnątrz zaciskającego się od północy, południa i zachodu pierścienia sowieckich wojsk. Gdy trzęsłem się z zimna na mojej drabinie, sytuacja naszych wojsk była bardzo poważna. Sztab na próżno usiłował nie dopuścić do tego, by w oddziałach przekazywano sobie straszne słowo „okrążenie”.

Następnej nocy musiałem opuścić swe wyrko, by na osłabionych nogach dotrzeć pośpiesznie do solidniejszej kryjówki znajdującej się w piwnicy, gdzie umieszczono około pięćdziesięciu chorych i rannych. Mało brakowało, a wcale bym się nie znalazł w tej prowizorycznej izbie chorych. Na szczęście, widząc moją wynędzniałą gębę, faceci ze służby medycznej wsadzili mi termometr do pyska i stwierdzili, że mam przeszło 39, 5 stopni gorączki. Przyznano mi więc siedzące miejsce w ciemnym kącie, gdzie czekałem do świtu, aż ktoś się mną zajmie.

Miasto intensywnie ostrzeliwała artyleria i bombardowały samoloty. Pielęgniarze musieli zajmować się kolejnymi rannymi, których liczba niepokojąco rosła. Moi koledzy znaleźli się w ogniu walki, odpierając szaleńcze i ciągłe ataki Rosjan. Około południa pielęgniarze nafaszerowali mnie chininą i kazali mi ustąpić miejsca jakiemuś zakrwawionemu facetowi, który nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Przed oczyma krążyły mi ciemne plamy. Wylazłem z ponurej piwnicy na zewnątrz. Wszystko wokół skąpane było w słońcu. Ostatnie, słoneczne dni lata potęgowały jeszcze grozę sytuacji. Wszędzie widać było unoszące się wysoko dymy. Grupki lekko rannych żołnierzy spoglądały na niebo, dyskutując zawzięcie. Właśnie od tych najwyraźniej spanikowanych chłopaków dowiedziałem się, że jesteśmy okrążeni.

Ta straszna wiadomość wywołała niemal taki sam efekt jak spadające bomby. Hasło „ratuj się, kto może” opanowało wszystkie umysły. Jedyne autorytet i żelazna ręka naszych oficerów pozwoliły uniknąć całkowitego rozprzężenia.

Minał kolejny dzień. Stopniowo dochodziłem do siebie, nabierając otuchy. Ale ciągle jeszcze kręciło mi się w głowie jak rekonwalescentowi, który zbyt szybko opuścił łóżko. Starałem się nie opuszczać swego kąta, gdzie siedziałem skurczony niczym hinduski żebrak. Słyszałem, jak żołnierze przekazują sobie wiadomości.

Okrążenie... Sytuacja bardzo poważna... Rosjanie dotarli w okolice... Jesteśmy w pułapce...

Zawezwano na pomoc Luftwaffe, lecz zamiast niemieckiego lotnictwa po bładoniebieskim niebie śmigały Jaki i Iły, zrzucając bomby, które roznosiły w puch resztki miasta.

Co się właściwie działo? Niewielu z nas znało prawdę. W każdym razie przypominam sobie zbiórkę, na którą zwołano podoficerów. Zgrornadzili się w piwnicy zamienionej na izbę chorych, do której mógł się dostać ten, co nie miał przynajmniej jednej kończyny. Mnie oczywiście uznano za zdolnego do służby i wraz z obandażowanymi kolegami doprowadzono do strefy operacyjnej.

Pośpiesznie zarządono zbiórkę oficerów na pustej przestrzeni okolonej domami

pozbawionymi dachów. Wśród pięciu czy sześciu obecnych wojskowych natychmiast dostrzegłem kapitana Wesreidaua. Z północnego wschodu, z niezbyt dużej odległości dochodził odgłos „Organów Stalina”, zagłuszając rozkazy i rozmowy, a także powodując trudne do opanowania zamieszanie w naszych szeregach. Ciągłe jeszcze byłem poważnie chory. Czułem w ustach nieprzyjemny smak. Tylko buty i mundur zdawały się podtrzymywać moje wychudzone i zataczające się ciało.

Odgłosy nieustannej kanonady zagłuszały monolog oficera, musiał więc mówić donioślejszym głosem.

Na pewno wolałby dokładniej przedstawić sytuację, ale hałas, uciekający czas i ryzyko zaatakowania przez Jabo naszych trzech zgrupowanych w kwadrat kompanii sprawiły, że mówił krótko.

— Koledzy! — rzucił. — Jesteśmy okrążeni! Cała nasza dywizja jest okrążona! Wiedzieliśmy już o tym, ale baliśmy się to usłyszeć. Jeżeli sztab się do tego przyznawał, sytuacja była jeszcze poważniejsza. Huk rosyjskich rakiet mieszał się z odgłosami wybuchów. Grzmiały niebo i ziemia, zdając się zwiększać jeszcze wagę wypowiedzianych przez kapitana Wesreidaua słów.

— Pozostaje jedyna nadzieja — kontynuował. — Próba błyskawicznego przebicia się w jednym punkcie wszystkimi siłami. Punkt ten może znajdować się tylko na zachodzie. Do akcji zaangażowane będą równocześnie wszystkie jednostki. Powodzenie przedsięwzięcia zależy będzie od odwagi każdego z was. Będzie tylko jedna próba, a wobec tego musi się udać. W operacji wezmą też udział znaczne siły piechoty znajdujące się po drugiej stronie nieprzyjacielskiego okrążenia, by przyjść nam na pomoc. Jeżeli każdy wykona, jak należy, swoje zadanie, przebijemy się przez otaczające nas wojska bolszewickie. Wierzę w to, bo znane mi są zalety żołnierza niemieckiego.

Wesreidau zaszalutował, dodając, byśmy byli w gotowości.

Kompanie zajęły ściśle określone sektory, skąd miał ruszyć decydujący atak. Mieliśmy sporo rannych, którzy powinni raczej leżeć w ciepłym łóżku. Byli też chorzy, jak ja, no i całe mnóstwo wyczerpanych do granic możliwości chłopaków. Ich błyszczące oczy wyrażały ogromne zmęczenie. Do tych właśnie oddziałów zwracał się kapitan Wesreidau. Od nich wymagał heroicznej odwagi. Dzielni niemieccy żołnierze wyglądali tamtego dnia jak zwierzęta przeznaczone na rzeź.

A jednak trzeba było uczestniczyć w tej operacji. Trzeba było przebić się albo umrzeć. W tamtych czasach niewola nie wchodziła w rachubę. Jak zawsze w przeddzień niebezpiecznej akcji zacieśniały się więzy koleżeństwa między żołnierzami, i to niezależnie od tego, w jakim służyli oddziale.

Jak wyjaśnić ten przyływ uczuć sprawiający, że żołnierze nagle zaczynają się dzielić ostatnim papierosem, czy jakże rzadką na froncie czekoladą, której resztki wyżerało się uprzednio po kryjomu; że łajdak odczuwa potrzebę zwierzeń; że podoficer, przed wojną drobnomieszczanin, tkwiący teraz w całym tym gównie, klepie przyjaźnie wszystkich po ramieniu, prawiąc

O zaufaniu, podczas gdy codziennie żeruje na ludzkiej naiwności. Jak wyjaśnić ten przyływ uczuć w chwili, gdy właściwie nikt ich nie potrzebuje... To tylko blef, bo żołnierze sądzą, że wzajemne zbliżenie coś da. Może

I tak... Ale ja w to nie wierzę. Cham pozostanie chamek, jeśli tylko uda mu się przeżyć. Może nawet pierwszy ciebie zadenuncjuje, kiedy wszystko już się skończy i nastanie czas pokoju.

Wszystko to było mi obojętne. Miałem już tego dość. Burczało mi w brzuchu i bolał mnie żołądek. Było mi zimno. Zacząłem szukać Hallsa albo innego kolegi z drużyny, ale kumple byli niewidoczni. Pewnie zajęci byli gdzie indziej. Zastępowali mi rodzinę i ich nieobecność ciążyła mi bardzo. Czułem się strasznie

osamotniony wśród tych kuśtykających żołnierzy mających 38-39 stopni gorączki, pragnących usłyszeć słowa otuchy i nadziei. Moim marzeniem było jedwabiste łóżko, o którym ciągle wspominał weteran. Tak, weteran nigdy nie poznał, co to znaczy wygodne łóżko. Nawet przed wojną w cywilu był chyba nieszczęśliwy. Wyczuwało się to w czasie rozmów z nim. Ale weteran potrafił marzyć. Czasami, gdy swe kościste członki rozpostarł na gruzach, uśmiechał się, tak jakby niczego mu nie brakowało. Byłem pewien, że w takich chwilach nie czuje gołej ziemi, gdyż jego marzenia silniejsze były od rzeczywistości. Ja jeszcze nie wyrobiłem sobie takiego nawyku. Moje marzenia nie były na tyle intensywne, abym mógł zapomnieć o wstrząsających mną dreszczach i okropnym ucisku w skroniach.

A więc, podobnie jak kiepski uczeń, spoglądałem idiotycznym wzrokiem na tablicę życia, pocierając ręce spocone od zdenerwowania.

Przed nami, od zachodniej strony, dymy unosiły się tak wysoko w górę, że zdawały się zasłaniać całe niebo. Daleki horyzont spowijały pasma płomieni. Jakże materiały mogły spowodować tak wielki pożar?

Czarne od sadzy i kurzu kompanie wycofywały się powoli. Zdaje się, że pierwszy kontakt z nieprzyjacielem zakończył się niepowodzeniem. Cofające się wojsko pozostawiło przy nas pewną liczbę rannych, z którymi nie wiedzieliśmy, co robić.

Nieliczne służby sanitarne zwinęły już obóz albo właśnie to czyniły. Błagający o pomoc ranni, sami wycierający sobie krew spływającą z licznych ran, przedstawiali godny pożałowania widok. Każdy starał się, jak mógł, pomóc potrzebującym. Przed moimi osłupiałymi oczami rozgrywały się nieprawdopodobne sceny. Kiedy udzielaliśmy pomocy nieprzytomnemu facetowi rannemu w głowę, skraplając go alkoholem, podszedł jakiś gruby żołnierz, by nam pomóc, odzywając się w ten sposób:

— Przychodzę na pomoc tutaj. Zostawiłem chłopaka, który ma roztrzaskane kolano. Za bardzo się wydzierał. Wolę już tych, co stracili przytomność...

Czekaliśmy na rozkaz do ataku na wolnej od gruzów drodze, gdzie na razie nie spadały rosyjskie pociski. Przed nami, na północnym i południowym zachodzie słychać było odgłosy toczących się walk. Na północy, w odległości jednego lub dwóch kilometrów, silny ostrzał rosyjskiej artylerii rozorywał ruiny niczym gigantyczny pług ziemię.

Część żołnierzy zdołała się wycofać, usiłując złapać w ruinach choć trochę oddechu. Rosyjski ogień skupił się teraz na nas. Zbliżająca się w błyskawicznym tempie nawałnica niczym gigantyczna kosa unicestwiała wszystko po drodze. Krzyki żołnierzy nie pozwalały usłyszeć padających

rozkazów. Zapanował nieopisany chaos; każdy pędził w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Zamęt, przesywające wrzaski, krzyki paniki — wszystko to zagłuszyły niebawem odgłosy eksplozji. Ci, co byli w stanie biec, biegli. Nadzieją była najmniejsza nawet nierówność terenu. Ściana stali i ognia przewaliła się przez teren, gdzie stacjonowało około dwóch tysięcy żołnierzy. Pozostawieni własnemu losowi ranni leżeli na niezagrzonej ulicy, a ich ciała wirowały w tumanach kurzu. Odgłos padających na ziemię zniekształconych ciał słychać było pomimo bitewnego huków. Ziemia trzęsła się podobnie jak w Białgorodzie. Wszystko drżało i traciło kształty. Gotowi na śmierć chorzy drapali ziemię brudnymi rękami. Pokryte zmarszczkami twarze starszych żołnierzy, którzy sądzili, że wszystko już widzieli, wyrażały błaganie i strach. W niewielkiej odległości, za stosem rur, eksplodował nagle rosyjski pocisk, od którego zginęło jedenastu niemieckich żołnierzy. Chłopaki byli tam ściśnięci jeden przy drugim jak gromadka dzieci, które zaskoczył deszcz. Pocisk wpadł w sam środek grupy żołnierzy dygocących ze strachu, mieszając krwawą masę z ziemią i rurami.

Towarzyszące mi ciągle szczęście nie opuszczało mnie w dalszym ciągu. Tym razem, z trzema towarzyszami niedoli znalazłem się na schodach wiodących do piwnicy pod gołym niebem. Nad naszym schronieniem w powietrze wlatywały tysiące przedmiotów. Przywalały nas częściowo belki i kamienie budowlane. Dzięki znakomitym hełmom wyszliśmy z tego

bez szwanku, jeśli nie liczyć kilku stłuczeń. Gdy rosyjska nawałnica ucichła na chwilę, rozległy się krzyki kolejnych rannych. Wyjrzelśmy ostrożnie na zewnątrz. Oczom naszym ukazał się widok tak straszny, że padliśmy powtórnie, jak sparaliżowani, na resztki schodów. — Coś okropnego! Widać tylko krew! — krzyknął któryś z chłopaków.

— Trzeba uciekać! — rzucił inny, na wpół obłąkany.

Wyskoczył z piwnicy, a my poszliśmy w jego ślady. Zewsząd dochodziły nieludzkie okrzyki. Ci, co podobnie jak my, uniknęli masakry, rzucili się hurmem do ucieczki. Wszyscy zmykali na zachód, który jak zwykle był naszym ratunkiem. Na zachodzie był front, ale i zbawienna luka, przez którą mieliśmy nadzieję się przedostać. Każdy pomagał kolegom, ledwie powłóczącym nogami. Ranni rozpaczliwie czepiali się biegnących. Dwóch żołnierzy, patrząc błędnym wzrokiem, ciągnęło faceta po piachu, zapewne na wpół żywego kolegę. Jak długo go tak wlekli? Kiedy porzucili tego trupa?

Biegliśmy tak przez pewien czas, czy raczej uciekaliśmy, pośród bezimiennych ruin, pośród gęstego dymu i eksplozji. Rosjanie, zdekowani cholera wie gdzie, bezpośrednio ostrzeliwali zielone ludzkie mrowisko, prowadząc ogień z dział kalibru 50 mm. Pomimo trudności, musieliśmy jeszcze dźwigać rannych.

Dotarliśmy w nieładzie do jakichś torów, gdzie stał roztrzaskany pociąg nie nadający się absolutnie do użytku. Między wagonami, z których pozostały tylko zestawy kołowe, leżała pewna liczba martwych Rosjan.

Przeszliśmy po trupach z dziką radością, aby zemścić się na tych kurew-skich artylerzystach i ich pięćdziesiątkach. Tory schodziły do tranzei. Wbiegliśmy do niej. Po chwili zobaczyliśmy kolejny pociąg, również unieruchomiony. Obok stacjonowały pojazdy należące chyba do naszej jednostki. Spotkaliśmy tam wielu kolegów, szczególnie pancerniaków. Z miejsca wpadliśmy w łapska naszych oficerów. Zauważyliśmy rozmawiającego z nimi kapitana Wesreidaua, który nie opuścił naszego oddziału. Dano nam kilka minut odpoczynku. Każdy rzucił się na ziemię, tam gdzie stał. Od potężniejącej na południowym zachodzie kanonady strasznie łomotało mi w głowie: myślałem, że za chwilę stracę przytomność.

Krótki odpoczynek został brutalnie przerwany. Wesreidau wraz z dwoma podwładnymi biegał pomiędzy zmordowanymi gromadami żołnierzy.

— Powstań! — wołał donośnym głosem. — Trzeba się przebić! Wstawać! Odwagi! Dywizja już się przebiła! Wstawać! Szybciej, bo zostaniemy w pułapce! Wstawać, do diabła! Jesteśmy ostatni!

Podnosiliśmy się z ziemi, pólżywi ze zmęczenia. Podoficerowie klepali po ramionach żołnierzy zdolnych do niesienia pomocy rannym, których dźwigali niemal od przedmieść. Poklepywania te oznaczały: „Nie obarczajcie się tymi, co nie są w stanie iść. Pozostało wam niewiele sił, a przecież sami ich potrzebujecie”.

I tak, mimo skarg, pomimo rozpaczliwych gestów, musieliśmy wielu rannych pozostawić nieubłaganemu losowi. Skamieniali z przerażenia, wykrwawieni żołnierze usiłowali się podnieść, ukryć swą słabość i cierpienie, byle tylko wlec się u boku sprawnych towarzyszy. Brak słów, by opisać ten heroizm. Brak słów, by opisać bezmiar niezłomności i litości. Wczorajsi tchórze niemal wbrew sobie stali się bohaterami. Wielu żołnierzy pokonało tylko część drogi.

W końcu znaleźliśmy się w samym kotle. Dostaliśmy się na słynną trasę Konotop — Kijów; tragiczną drogę, na której grupa szturmowa dywizji „Gross Deutschland” straciła pięćdziesiąt procent pozostałych przy życiu żołnierzy. Przebijaliśmy się przez dziewięć godzin. Było to dziewięć godzin grozy, szaleńczego biegu od jednego leja po pocisku do następnego. Najgorsze jednak było już za nami.

Twierdziłem tak, widząc ślady znaczące nasz heroiczny marsz, za co naród niemiecki oddał nam cześć. Ślady te, to skurczone ciała setek naszych żołnierzy i poczerniałe wraki Panter i Mark-3.

Jeśli pewnego dnia przeczytacie te strony, pamiętajcie: któregoś jesiennego wieczoru 1943 roku komunikaty głosiły, że niemieckie wojska znajdujące się w okrążeniu pod Konotopem, dzięki bohaterskiej postawie zdołały się przebić przez bolszewicki pierścień. Tak rzeczywiście było.

Chyba jednak nie dodano, jakim kosztem. Zresztą kogo to obchodziło? Dla was zbliżała się godzina wyzwolenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przeprawa przez Dniepr_____

Od horyzontu nadciągały fale deszczu. Niewielkie prześwity między nimi pozwalały nam dostrzec zbliżającą się kolejną ścianę deszczu pędzącą nad wilgotnym stepem. Łało już od dwóch dni. Pomimo tych niedogodności aury, mieliśmy nadzieję, że jeszcze popada co najmniej przez dwie kolejne doby. Za dwa dni, przy odrobinie szczęścia, pod warunkiem że nasze powolne kohorty będą w stanie pokonać pięćdziesiąt kilometrów na dobę, dotrzemy nad brzeg Dniepru.

Deszcz uniemożliwiał użycie lotnictwa. Nie będzie więc Jaków —pojawiają się co najwyżej pojedyncze samoloty. Gdyby Jaki się nie pojawiły, setki naszych żołnierzy pozostałyby przy życiu. To co dotychczas stanowiło bezdyskusyjną przewagę Wehrmachtu — wielka manewrowość jednostek — było już tylko wspomnieniem. Niekończące się piesze kolumny Grupy Armii „Środek” wycofywały się w kierunku Dniepru z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Manewrowość zawsze zapewniała nam przewagę nad ogromnymi, lecz powolnymi masami sowieckich wojsk. Teraz jednak toczyliśmy nierówne walki i nawet ucieczka nie gwarantowała ratunku. Ponadto do Armii Czerwonej dołączały coraz to nowe jednostki zmotoryzowane o dużej manewrowości. Na domiar złego, sowieckie wojska mające zlikwidować nasze ugrupowanie w okrążeniu pod Konotopem zostały zwolnione z tego zadania, mogły więc bez przeszkód ruszyć w pogoń za powolnymi oddziałami niemieckimi. Co więcej, lotnictwo niemieckie, walcząc głównie w sektorze południowym pod Czerkasami, oddało niebo do dyspozycji Jaków, te zaś — korzystając z okazji — zaciekle atakowały wycofujące się niemieckie wojska. Toteż pomimo przemoczonych, ciężkich mundurów, pomimo dziurawych butów, pomimo gorączki, pomimo niemożności położenia się gdzie indziej niż na ziemi nasączona wodą, błogosławiliśmy szare niebo i lejące się zeń wodospady. Niemniej, pięć bolszewickich samolotów zaatakowało nas rankiem po omacku. Zmordowani żołnierze mieli jeszcze tyle sił, by zareagować instynktownie. Tysiące oczu spoglądało na płaską równinę, jak na zastawioną na nas pułapkę. Zdesperowani żołnierze w mig zrozumieli, że nie ma żadnego wyjścia z tej sytuacji. Chłopaki, wchodzący w skład bezpośrednio wystawionych na atak kompanii, ukłękli na jednym kolanie, wykonując ćwiczenie: „obrona przeciwlotnicza”. Pododdziały te padły ofiarą Jaków. Eksplozje rozrywały żołnierzy na strzępy. Kolegom udało się jednak zestrzelić jeden z myśliwców. Na nieszczęście trafiona maszyna wzbijała się świecą w niebo, po czym zaczęła ostro pikować na kolumnę wojska. Rosyjski samolot roztrzaskał się na wozie pełnym rannych, robiąc dwudziestometrowy krater wypełniony siekanym mięsem. Nie rozległ się ani jeden krzyk. Zaledwie kilku żołnierzy rzuciło na to okiem. Każdy wziął swój ekwipunek i ruszył w dalszą drogę.

Wycieńczeni ludzie nie reagowali na nic. Nic już nie było w stanie kogokolwiek poruszyć. Zbyt wiele rzeczy widzieliśmy w czasie tej wojny. W moim chorym umyśle życie straciło jakikolwiek sens. Przypominałem już tylko marionetkę wprawianą w ruch na kilka chwil. Istniały oczywiście więzy koleżeństwa; był Halls, była też Paula, ale wszystko to przesłaniały ludzkie wnętrzości: czerwone, żółtawe, cuchnące; całe stopy wnętrzości, niemal tak wielkie jak zwały ziemi. Życie mogło zgasnąć, ot tak, od razu, lecz te potworne wnętrzości leżały

długo, zbyt długo. I nie sposób było
o nich zapomnieć.

Szliśmy ciągle naprzód. Czoło niekończącej się kolumny wygięte było w kształcie łuku. Wydawało się, że w ogóle nie posuwamy się do przodu. Nadal nie widzieliśmy Dniepru, do którego mieliśmy nadzieję dotrzeć w przeciągu pięciu dni. Już szósty dzień dreptaliśmy w błocie ze średnią prędkością co najwyżej trzech lub czterech kilometrów na godzinę. Nigdy żaden kraj nie wydawał mi się tak rozległy, tak pusty, tak nieprawdopodobnie ogromny. Pojazdy mające paliwo bardzo dawno już nas wyprzedziły

1 tylko nędzne, człapiące szkapy, których jeszcze nie zabiliśmy w celach spożywczych, ciągnęły to, co w normalnych warunkach powinno się poruszać za pomocą silnika... Od czasu do czasu, jakiś kolega ustępował miejsca na wypełnionym po brzegi steinerze ciągniętym przez dwa konie i piechotą kontynuował marsz na zachód. Otrzymaliśmy rozkaz, by pod żadnym pozorem nie porzucać sprzętu. Nie miałem pojęcia, skąd moglibyśmy otrzymać paliwo, chyba tylko z niebios; wtedy można by uruchomić silniki. I rzeczywiście: któregoś ranka z nieba spadło zaopatrzenie. Dwa Ju-52 zrzuciły osiem okazałych pak lin, co spotkało się z naszą dezaprobatą. Sztab wpadł na pomysł, aby za pomocą tych sznurów, uszkodzone przed tygodniem pod Konotopem czołgi, holowały pojazdy pozbawione paliwa. Czekaliśmy na benzynę, a tymczasem wychudzone koniska z wystającymi żebrami uparcie ciągnęły zabłocone pojazdy na trasie świeżo zrytej przez trzydzięci wycofujących się pułków. Nasz steiner, do którego wrzuciłem wszystkie swoje ma-

nele, ciągnęły dwa reńskie konie, chyba rok temu wyrwane ze spokojnej pracy na roli. Jeden z nich pokryty był ranami, a nienaturalnie błyszczące oko zdradzało wysoką gorączkę. Dwa dni później, kiedy nieopisana ciżba ludzka kłębiła się już nad brzegiem Dniepru, nasza pocziwa szkapa, tak dzielnie walcząca z gorączką, otrzymała zasłużoną rekompensatę za swój wysiłek. Służący w piechocie zmotoryzowanej obergefrajter poczęstował ją kulą w łeb. Podobny los spotkał z dziesięć innych koni. Nieliczne zwierzęta zajęły miejsce na pontonach nie wystarczających nawet dla ludzi. Za nami nie mogło pozostać nic, z czego nieprzyjaciel miałby pożytek. Był to, w pewnym sensie, początek „spalonej ziemi”.

Liczba chorych rosła w zastraszającym tempie. „W zdrowym ciele zdrowy duch” — jak mawiał nasz naczelny wódz. Tutaj nie wiedzieliśmy już, co zaniemogło najpierw: duch czy ciało... W każdym razie, co najmniej połowa obecnych tu ludzi nie miała nic zdrowego. Na szczęście psia pogoda ułatwiała nam odwrót. Tym gorzej jednak dla gorączkujących żołnierzy, niedożywionych chorych, odwodnionych organizmów, nie gojących się, ropiejących ran; tym gorzej dla świeżo pogrzebanych, zmarłych z wyczerpania czy z innych powodów. Ale z drugiej strony, fale deszczu i ciemne, niskie chmury maskowały nieco nasz rozpaczliwy, haniebny marsz. Mgła choć częściowo ukrywała ów żaloszny spektakl, zarówno przed nieprzyjacielem jak i przed nami. Każde przejaśnienie to czyhająca na niebie śmierć, której zwiastunem był natrętny warkot Ndhmaschi-nen krążących niczym kruki nad zwłokami. Obojętni na wszystko, kontynuowaliśmy ten powolny marsz.

Dwa albo trzy razy dziennie tworzone grupy ochraniające. Pozostawały one z tyłu w gotowości bojowej, aby powstrzymać nieprzyjaciela, który nie śpiesząc się, podążał za nami. Wyznaczeni żołnierze kopali mizerne doły skrywające zaledwie jedną czwartą ciała i czekali zrezygnowani, aż sowiecki walec wgniecie ich w ziemię.

Nigdy już nie zobaczyliśmy tych chłopaków. Jaki spotkał ich los...? Na innych odcinkach sowieckie czołgi dogoniły i rozniosły całe pułki. Odwrót okupiliśmy ogromnymi stratami. Tragedia osiągnęła swe apogeum już nad samymi brzegami Dniepru, gdzie nieprawdopodobna ciżba tłoczyła się na wielohektarowym piaszczystym terenie, a każdy rosyjski pocisk powodował straszliwą masakrę. Zdrowy duch w zdrowym ciele zapewne nie dopuściłby do tego niewyobrażalnego chaosu godnego stada rozjuszonych owiec.

Przed mymi nawykłymi do grozy oczami rozgrywały się przerażające sceny. Kiedy

dotarliśmy na zbawienny brzeg, wszystkim udzielił się nastrój nieprawdopodobnej paniki.

Żołnierze tratowali i topili kolegów, byle tylko

I Ndhmaschinen — rosyjskie samoloty rozpoznawcze nazywane przez niemieckich żołnierzy „maszynami do szycia” z powodu charakterystycznego warkotu.

znaleźć miejsce w nędznych baliach, które ledwo trzymały się na wodzie i często tonęły, nim zdołały osiągnąć drugi brzeg.

Ósmego dnia, po obejściu wysokiego wzgórza, dotarliśmy na brzeg rzeki, czy raczej dołączyliśmy do żołnierskiej cizby pokrywającej brzeg. Pomimo gwaru usłyszeliśmy warkot silników, co dodało nam trochę otuchy. Jeżeli pracowały silniki, musiała być benzyna.

Wiedzieliśmy, że tylko dzięki pojazdom mechanicznym olbrzymie odległości ulegają zmniejszeniu. Trzeba było jednak jechać bardzo wolno z powodu beznadziejnych dróg, jakie niemal wszędzie spotykaliśmy. Jeżeli działały silniki, nastąpi reorganizacja. W gęstym tłumie, pośród wysokich traw podobnych do roślinności na wydmach nad brzegiem morza, czekały liczne pojazdy doholowane aż tutaj mimo wielkich trudności. W rzeczywistości, o czym przekonał się później, warkot silników pochodził od nielicznych i zbyt małych barek, którymi przewoźnicy cały czas starali się przetransportować na drugi brzeg Dniepru jak najwięcej ludzi i sprzętu. Pierwszeństwo miał sprzęt, jeżeli dało się go przewieźć. Niełatwo było załadowywać ciężarówki, działa i lekkie czołgi na pontony przeznaczone do transportu wozów do siana. Na szczęście nie brakowało siły roboczej. Czekala w zacinającym deszczu. Tylko na naszym odcinku znajdowało się około stu tysięcy żołnierzy. Chłopaki wykonywali pracę dźwigów portowych, własnymi ramionami podtrzymywali prowizoryczne pomosty. Stojąc w wodzie sięgającej pod brodę, podtrzymywali też prymitywne łódki, które szły na dno, jeśli tylko puszczali je wolno. Był to nadludzki wysiłek i przykład niesłychanego uporu. Część żołnierzy utonęła podczas tej akcji. Kiedy po dwóch dniach to, co się dało zabrać, przetransportowano na drugi brzeg, zaczęto w pośpiechu przewozić ludzi w sile pięciu dywizji. Wykonywano to za pomocą dziesięciu łodzi, z których każda mogła pomieścić maksymalnie dwadzieścia osób, czterech niesprawnych barek rzecznych holowanych kolejno przez dwie inne barki z silnikami BMW i czterech chybotliwych pontonów mogących pomieścić stu pięćdziesięciu pasażerów.

Szerokość bardzo spokojnego na tym odcinku Dniepru wynosiła prawdopodobnie osiemset metrów. Sektor, gdzie przekraczaliśmy rzekę, znajdował się na południe od Kijowa, natomiast na północ od tego miasta szerokość Dniepru nie przekraczała w pewnych miejscach stu metrów... Ponadto w górnym biegu rzeki leżał niezmiernie żyzny, bardziej zaludniony i rozwinięty gospodarczo region, gdzie nasze uciekające oddziały na pewno miałyby do dyspozycji całą flotyllę różnego rodzaju jednostek pływających. A poza tym w samym Kijowie były mosty! Niektóre chyba zniszczone, ale jednak! Wieczorem, trzeciego dnia po przybyciu nad Dniepr, na zachodnim brzegu rzeki znajdowało się już co najmniej dziesięć tysięcy żołnierzy. Najpierw przewożono rannych. Przypominani sobie, jak niektórzy lekko ranni żołnierze albo niektórzy chorzy, mimo że byli w godnym pożałowania stanie, ustępowali miejsca bardziej cierpiącym kolegom. Choć czas naglił, choć deszcz nie ustępował, a wszyscy mieli już serdecznie

dość wpięprzania wyłącznie koniny, i to często surowej, w tej ciężkiej sytuacji usiłowaliśmy zachować spokój. Pomimo ogromnych niewygód, staraliśmy się odzyskać nieco sił.

W nocy trzeciego, a może czwartego dnia zakończył się spokój. Tak jak się obawialiśmy, kiedy ustał deszcz, powróciły odgłosy wojny. Najpierw głucho i niewyraźnie: był to daleki warkot czołgów manewrujących powoli w błotnistej mazi.

Początkowo słyszeliśmy tylko ten dźwięk, ale i to wystarczyło, by około osiemdziesiąt pięć tysięcy przypartych do rzeki ludzi ogarnęła w nocy panika. Na okolicznych wzgórzach pełno było obolałych, wyczerpanych żołnierzy. Teraz tysiące głów się uniosło, łowiąc złowrogie echo.

„Czołgi” — szeptały na wpół otwarte usta, a oczy starały się dostrzec to, co było jeszcze niewidoczne. Tkwiące na wzgórzach postacie wpatrywały się przez trzydzieści sekund w ciemności, po czym poruszyły się niespokojnie.

„Czołgi”! Każdy chwycił pośpiesznie swój sprzęt i rzucił się do ucieczki. Wkrótce wszyscy pędzili w kierunku przeszkody nie do pokonania. Mimo to każdy biegi, mając nadzieję, że łodzie, które cały czas przewożyły żołnierzy, zabiorą wszystkich od razu.

Na brzegu kłębił się zwarty tłum. Wrzaski chłopaków mieszały się z przerywającym nocną ciszę głuchym warkotem czołgów. Prerażeni żołnierze z naszej grupy porzucali wszystko na brzegu i usiłowali pokonać rzekę wpraw. Z tysięcy piersi zwróconych w kierunku zachodnim, w kierunku szarej wody, w kierunku przeciwległego brzegu, gdzie — jak sądziliśmy — czekał nas zasłużony odpoczynek, rozległ się rozdzierający krzyk. Żołnierze brnęli w lodowatej wodzie, aż stracili kontakt z dnem. Złorzeczenia i błagalne okrzyki były tak przerażające, że załogi łodzi przewożących żołnierzy wahały się, czy dobić do brzegu, bojąc się, że jednostki zatoną z przeciążenia. Umysły ogarniało szaleństwo z prędkością palącego się prochu. Przez dwadzieścia minut panował nieopisany chaos. Zapominając o zmęczeniu, niepomny biegu wydarzeń, siedziałem nieruchomo w wilgotnej trawie na jakichś paczkach porzuconych przez Bóg wie kogo, a koło mnie przewalał się wyjący tłum. Obok siedziało pięciu czy sześciu oniemiałych jak ja chłopaków. Gdzieś tam widać było gromady znieruchomiałych podobnie jak my żołnierzy, rozganiane przez ryczący tłum zmiatający wszystko po drodze.

Oficerowie, którzy zachowali odrobinę zimnej krwi, biegli naprzeciw szalejącej tłuszczy, usiłując przy pomocy w miarę zrównoważonych żołnierzy uspokoić całe to szaleństwo, podobnie jak pasterze starają się powstrzymać uciekające stado. Udało im się uformować kilka grup, które umieścili na wzgórzach. Miały one powstrzymać rosyjskie czołgi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tłumy żołnierzy rozpierzchły się wzdłuż brzegu, by utrudnić czołgom skuteczny ostrzał. T-34 pojawiły się po około dziewięćdziesięciu minutach. Na szczęście było ich niewiele, a poza tym nie zatrzymały się, gdyż podążały do Kijowa, gdzie trwały zacięte walki.

Tak więc siedziałem na tłumokach w towarzystwie kilku zagubionych żołnierzy, kiedy nagle usłyszałem, że skonstruowana z opon zdjętych ze stojących pojazdów tratwa będzie mogła zabrać pewną liczbę żołnierzy. Nie należało rozgłaszać tej wiadomości. Ruszyliśmy czym prędzej na poszukiwanie tej arki Noego, która być może, okaże się wybawieniem choćby dla kilku z nas. Po przebiegnięciu kilkuset metrów w górę rzeki dostrzegliśmy dość liczną grupę żołnierzy uwijającą się w czarnej wodzie. Zbliżyliśmy się szybko. Chyba ze stu facetów brodziło w błotnistej mazi. Pośrodku tej ludzkiej magmy około dwunastu ludzi wykonywało osobliwe czynności: chłopaki zdejmowali z kół opony, z których wyjmowali dętki, by następnie zbudować z nich tratwę. Konstrukcja ta absolutnie nie wystarczała, by pomieścić wszystkich obecnych tam żołnierzy. Obrzucono nas wzrokiem pełnym dezaprobaty. Nikt nie zachęcił nas do pozostania tam; nikt też nie robił nam najmniejszej nadziei. W końcu jakiś zirytowany, potężnie zbudowany chłopak uczestniczący w budowie tratwy powiedział: — Widzicie przecież, że nawet połowa z nas nie zmieści się na tratwie. Idźcie dalej. W końcu coś znajdziecie.

Facet chyba już mówił to samo tym, którzy byli przed nami, niemniej wielu żołnierzy zostało. Mieli nadzieję, że za przyzwoleniem lub bez, wdrapią się na prowizoryczną łódź. Za kilka minut zaczęła się tu bijatyka o to, kto znajdzie się na niebezpiecznej tratwie. Nie miałem ani siły, ani stosownej postury, by brać udział w tej rozróbie po to, żeby w końcu wdrapać się na czółno, które na pewno utonie. Dlatego też, mimo dalekiego warkotu, jaki przynosił chwilami wiatr, taszczyłem dalej swoje manele w towarzystwie dwóch zdezorientowanych artylerzystów.

Szliśmy tak w gęstej, wilgotnej mgłę, wśród mokrych, kolczastych krzewów, wśród

oszalałych, miotających się gromad, które rozciągały się, krzyżowały, cały czas drepząc wzdłuż niekończącego się brzegu rzeki. Gęstniejąca mgła wkrótce całkowicie uniemożliwiła widoczność. Poruszające się sylwetki wyglądały niczym chińskie cienie. Nie wiedzieliśmy właściwie, dokąd idziemy. Cały czas myśleliśmy z niepokojem, że posuwamy się w złym kierunku. Na szczęście, co pewien czas któryś z kolegów odnajdywał brzeg, wykrzykując w mroku nocy pocieszające słowa:

—Ach gut! Das Wasser ist da!

Po czym szliśmy bezwiednie dalej, nie wiedząc nawet, że idąc tak przez dłuższy czas równoległe do brzegu, mogliśmy dotrzeć aż do Kijowa, gdzie toczyły się najcięższe walki. Nikt z nas nie był zdolny do jakiegokolwiek logicznego myślenia. Zmęczenie, ustawiczny strach, realna groźba ataku czołgowego — wszystko to zmuszało nas do ucieczki. Uciekać, uciekać wszystko jedno gdzie, wszystko jedno jak, ale uciekać.

W ciemnościach nocy pojawiły się błyski. Usłyszeliśmy odgłos wystrzałów. Stwierdziliśmy z osłupieniem, że błyski te widoczne były w okolicy rzeki po naszej lewej stronie. Znajdująca się w bliskiej odległości, lecz niewidoczna we mgle grupka żołnierzy krzyknęła w naszym kierunku:

—Achtung! Iwan nadchodzi! Achtung!

Zrozpaczony, rzuciłem błagalne spojrzenie na szefa artylerii, który od dobrych trzydziestu minut szedł kulejącym krokiem obok mnie. Jego twarz miała wyraz osaczonego zwierzęcia. Nic już nie rozumieliśmy. Myśleliśmy, że Rosjanie są z prawej strony, za wzgórzami, gdy tymczasem strzały rozlegały się znad rzeki, z lewej strony.

Z obawy, że wkrótce znajdziemy się w ogniu nieprzyjaciela, zaczęliśmy biec, by znaleźć jakiegokolwiek schronienie. Wpadliśmy do jakiegoś żabiego bajora i zaczęliśmy główkować, co się dzieje. Podoficer był zdania, że Rosjanie z całą pewnością patrolują rzekę i ostrzeliwują nas z wody. Sądząc po błyskach wystrzałów, odległych czasem o kilkaset metrów, na Dnieprze musiało patrolować co najmniej kilka jednostek. Nocną ciszę zakłócały potężniejsze odgłosy kotłujących się niemieckich żołnierzy.

Wystrzeliwane z zachodniego kierunku pociski spadały po wschodniej stronie za wzgórzami. Wysłaliśmy z tego bardzo optymistyczny wniosek: skoro pociski eksplodowały po drugiej stronie wzgórz, raziły Rosjan. Wobec tego strzelano z zachodniego brzegu, czyli były to nasze baterie. Człapiący obok mnie artylerzysta uśmiechnął się znacząco.

— To nasze działa strzelają. Poznają ich charakterystyczny odgłos.

— Nie spodziewaliśmy się tej pomocy — rzucił jakiś żołnierz, który dołączył do nas.

Ostrzał jednak nie był zbyt intensywny i mniej więcej po dziesięciu minutach zamilkł. Chyba nie poczynił poważniejszych szkód w szeregach nieprzyjaciela, działającego w rozproszeniu. Mgła gęstniała coraz bardziej, tak że coraz mniej widoczne były błyski strzelających dział kalibru 77 mm. Błyski te pojawiały się o wiele wolniej, wolniej też znikwały. Odnosiło się wrażenie, jakby patrzyło się przez jakąś watę. Mgła nie tylko gęstniała, ale stała się znacznie zimniejsza, do tego stopnia, że atakowała płuca wchłaniając ją przy każdym wdechu.

— Do licha, ale mróz! — odezwał się ktoś.

Woda podchodząca aż do połowy butów wydawała się jakby mniej płynna. Na pewno było około zera stopni. Obuwie, mimo że bardzo szczelne, stało się gąbczaste. Mieliśmy wrażenie, jakby nasze stopy znalazły się w lodówce.

— Nie utrzymamy się tu — mruknął artylerzysta, śmiejąc się niemal. — Spieprzajmy stąd, bo inaczej przypłacimy to chorobą. Zresztą naszych artylerzystów nie ma się co obawiać.

Każdy z moich butów ważył chyba z tonę, stanowiąc zwartą, twardą substancję zawierającą jednak aż dziewięćdziesiąt pięć procent wody.

Do ustawicznego zmęczenia, trwającego od wielu dni i nocy, doszedł jeszcze strach nie do zniesienia. Spotęgował on nasze wyczerpanie, gdyż wymagał ustawicznego napięcia wzroku i słuchu. Nauczyliśmy się widzieć w ciemnościach jak koty. Wtedy jednak żaden wzrok nie był

w stanie przebić się przez mgłę godną jednej z najpiękniejszych londyńskich nocy. Przekrwiony nos nie pozwalał mi normalnie oddychać, a zaciśnięte usta przepuszczały tylko minimalną ilość substancji składającej się chyba tylko z wody i siarki. Przy każdym wdechu czułem lodowaty chłód i łaskotanie dochodzące aż do pustego żołądka.

Przypomniałem sobie rady weterana. Nie mogąc znaleźć nic ciepłego ani suchego, usiłowałem przypomnieć sobie niektóre przyjemne chwile, które — jak mi się zdawało — przeżyłem bardzo dawno temu.

Nie udawało mi się to jednak, bo do głowy przychodziły tylko złe wspomnienia. Zgarbione plecy idącego przede mną żołnierza nijak nie kojarzyły się z pochyloną sylwetką mojej matki krzątającej się przy jakiejś robocie podczas domowych zimowych wieczorów, ani z plecami brata, ani kogokolwiek innego, kogo znałem w czasach pokoju. Kojarzyły się z postaciami z czasów wojny, z Rosją, a wspomnienia młodości nie pomagały zapomnieć

o ciężkich chwilach. Wojna odciska swe piętno na całym ludzkim życiu. Mężczyźni zapominają o kobietach, pieniądzech; nie pamiętają, że byli kiedyś szczęśliwi. Nigdy nie zapomną wojny. Wojna niszczy wszystko. Niszczy radość, co nadejdzie wraz ze zwycięstwem. W śmiechu mężczyzn, którzy przeżyli wojnę, pobrzmiewa jakaś nuta rozpacz. Na próżno wmawiają sobie, że trzeba teraz korzystać z życia. Mechanizm ludzki się zużył: jest w nim coś jakby rozregulowanego. Odtąd śmiech nie jest cenniejszy od łez.

Plecy idącego przede mną żołnierza wzbudzały we mnie zarazem litość

i szacunek. Czasem jednak mnie irytowały. Chwilami miałem ochotę uderzyć w nie, uderzyć w nie tak, by facet padł na ziemię. Tak! Uderzyć faceta, bym poczuł, że jestem na wojnie. Było bez znaczenia, czy plecy te zegna się aż do ziemi. Na ich miejscu od razu pojawią się inne, tysiące innych, tysiące zgarbionych pleców w gryzącej mgłę. W Rosji było jeszcze mnóstwo takich postaci — postaci, co nie potrafią już marzyć. Wojna musi jeszcze trochę potrwać, by wszystkie te plecy padły.

Kanonada potęgowała niczym odgłos zbliżającego się pociągu. Słyszeliśmy też terkot karabinów maszynowych, trudno jednak było cokolwiek zauważyć. Wkrótce usłyszeliśmy jeszcze jeden, potworny hałas. Stanęliśmy nieruchomo, z półotwartymi ustami, z których wydobywały się niewielkie kłęby pary. Z umorusanych twarzy współtowarzyszy starałem się wyczytać, co się dzieje, lecz wyrażały one tak wielki strach jak moja własna, która właściwie nie zmieniła wyrazu, odkąd starałem się szukać pociechy we wspomnieniach. Ponieważ wszelka niespodzianka podczas wojny . może oznaczać tylko niebezpieczeństwo, z miejsca zaczęliśmy szukać jakiegoś schronienia. Skryłem się przy brzegu, wchodząc aż do połowy ud do niewidocznej wody; wydała mi się niemal łagodna w porównaniu z zimnym, ostrym powietrzem.

Od razu też porzuciłem chorobliwe marzenia. Usiłowałem gorączkowo coś dostrzec poprzez nieprzenikniony, czarny woal zasłaniający mi widok jak kurtyna kryjąca scenę. Odgłos czołgów potęgował tak bardzo, że mar-

szczyła się od niego woda. Jej niewielki fragment dostrzegalem mimo ciemności.

Gdy po wielogodzinnym, paraliżującym strachu nadchodzi wreszcie niebezpieczeństwo, człowiek odczuwa coś w rodzaju ulgi. W końcu wiadomo, o co chodzi, i nawet jeśli jest ono straszne, człowiek się pociesza, że wkrótce wszystko się skończy. Strach staje się nie do zniesienia, kiedy niebezpieczeństwo trwa przez jakiś czas. Wtedy nawet rzewny płacz nie na wiele się zda. Najgorzej, gdy niebezpieczeństwo trwa całymi godzinami, całymi nocami, jak pod Białgorodem. Ogarnia wówczas człowieka nieprawdopodobne szaleństwo. Nerwy i łyzy tylko wstęp. W końcu człowiek rzyga i pada na ziemię całkowicie bezwładny i ogłupiały, jak gdyby przychodziła po niego śmierć.

Na razie zachowywałem spokój. Rzeka zagradzała nam drogę, lecz zarazem stwarzała jakieś szansę ratunku. Woda sięgała mi powyżej kolan. Mgła zasłaniała widok przeraźliwie

szerokiej rzeki. Wmawiałem sobie, że jak będzie źle, pomknę po powierzchni wody niczym błędny ogień pełzający po ziemi. Ta idiotyczna myśl chodziła mi po głowie i byłem pewien, że utrzymam się na powierzchni. Po chwili, z prawej strony, zobaczyłem jakiś blask i usłyszałem jakby detonacje granatów, a także trzaski, którym towarzyszyły niewielkie żółte błyski. Do wody koło mnie wskoczyło pięciu czy sześciu zziębniętych żołnierzy.

— Te chuje z artylerii sprowadzili ich tutaj! — zaklął któryś z nich.

Odgłos silników zagłuszyły przejmujące krzyki; krzyki tak długie i straszne, że zmroziło mi krew w żyłach, a woda wydawała mi się jeszcze bardziej lodowata.

— Mein Gott! — szepnął jakiś głos.

W niewielkiej odległości usłyszałem strzelaninę i eksplozje. Zza mgły dochodziły okrzyki przerażenia.

Nagle przez mgielną watę przedarli się jacyś faceci i jak upiory skoczyli do czarnej wody. Gwałtowne pluski świadczyły o tym, że usiłovali płynąć. Staliśmy jak skamieniali. W pobliżu z ogłuszającym hukiem przetoczyła się jakaś przerażająca masa, poruszając ziemię i wodę. Wreszcie przez mgłę przebiło się światło potężnego reflektora. Nie byliśmy w stanie określić, w jakim poruszał się kierunku. Mogliśmy tylko stwierdzić, że się poruszał. Ogarnęła nas trwoga — przyłgnęliśmy do siebie jak dzieci. Oddaliliśmy się nieco od brzegu i masa naszych zwartych ciał ugrzęzła w mule. Na krótką chwilę znalazłem się pod wodą. Kiedy wynurzyłem twarz, brzeg i roślinność zasłaniały mi to, co najważniejsze. W pobliżu słyszałem chrzęst gąsienic i terkot karabinów maszynowych. W niebo ciągle wznosiły się rozziewające krzyki. Niedaleko nas przetaczało się monstrum, zostawiając niechybnie krwawy ślad wśród tych, co jak skamieniali czekali na nadciągający horror. Powyżej dwa inne ledwo widoczne reflektory szukały kolejnych ofiar.

Czołgi po prostu przejechały. Nazajutrz oceniono, że było ich z dziesięć. Celem ich był zapewne Kijów, dlatego też nie zatrzymały się.

Niemniej, napięcie było tak silne, że przez dobrą chwilę tkwiliśmy w wodzie. Mimo cuchnącego mułu, który dostawał się pod hełmy i w zjeżo-ny ze strachu włosy, nie wykonywaliśmy najmniejszego ruchu.

Na pewno ostrzał naszych dział znajdujących się na przeciwległym brzegu przyciągnął bolszewickie czołgi, przyczyniając się do tragicznej śmierci znacznej liczby żołnierzy. Okrzyki: „do nas, koledzy!” zmusiły nas do opuszczenia tego bagna i przyścia z pomocą umierającym. Nie przeżyli jednak tego koszmaru. I znów byliśmy świadkami przerażających scen, jakie nie sposób sobie wyobrazić. Pomimo zakazu zanotowano liczne przypadki dobijania śmiertelnie rannych żołnierzy. Z nastaniem świtu mgła opadła i niemal wiosenne słońce zwiastowało kolejny dramatyczny dzień. Rosyjskie lotnictwo, podobnie jak Luftwaffe, wolało jasne niebo.

Siłą formowano grupy zajmujące się grzebaniem poległych. Zwerbowani do nich żołnierze wykonywali, złorzecząc, makabryczną robotę. Ci, którzy się tym nie zajmowali, oddalili się od tego ohydneho miejsca, usiłując zasnąć albo się rozgrzać. Moja odzież, która początkowo przypominała bibułę, częściowo wyschła mi na ciele, stając się całkiem sztywna. Czuję się fatalnie; byłem chyba chory i tak potwornie zmęczony, że ciążyły mi oczy, a światło słoneczne było dla mnie nie do zniesienia. Pewnie tylko dlatego nie przyszło mi do głowy, że najlepiej bym zrobił, gdybym się całkowicie rozebrał, umył w rzece i wystawił swe wycieńczone ciało na zbawienne promienie słońca. Walcząc ze snem, obserwowałem półprzymkniętymi oczami swój szarozielony mundur, który przybrał żółtawą barwę. Gdy udało mi się wreszcie zasnąć, niemal niewrażliwe już uszy wychwyciły jakieś krzyki. Otworzyłem oczy i spojrzałem na bladoniebieski bezmiar nieba, skąd dochodził warkot samolotu. Poruszyłem się: wszystkie moje kończyny chrupnęły, po czym uniosłem się na łokciu. Nie zauważyłem niczego specjalnego, jeśli nie liczyć stert utworzonych przez ciała śpiących wśród krzaków kolegów. Wszędzie widać było zaspane gęby unoszące się z

zaciekawieniem. Jakiś facet w czapce biegał dookoła, wrzeszcząc jak opętany:

— Przejdź do obrony przeciwlotniczej! Boże święty! Wstawać, truposze! Znajdujący się za mną cekaem otworzył ogień. Minęło trochę czasu, nim otrząsnęliśmy się z odrętwienia. Nad nieszczęsnymi kolegami, na wysokości około tysiąca metrów, krążyły niczym osy cztery rosyjskie samoloty. Krzyki żołnierzy mieszały się z komendami przerażonych oficerów.

— Zdechniecie tu wszyscy! — wydierał się niedaleko mnie jakiś porucznik w łachmanach. — Ruszcie chociaż palcem, aby się bronić!

Chwyciliśmy gorączkowo za broń i uklekniliśmy na jedno kolano, czekając na nieprzyjaciela, który niebawem pojawił się zza chmur. Jednak Jaki nie zaatakowały nas. Ponieważ było rzeczą niemożliwą, abyśmy ich przestraszyli, doszliśmy do wniosku, że leciały na resztkach paliwa. Przetarliś-

my oczy i przez chwilę oddychaliśmy ciężko. Nasza czujność, i tak już kiepska, zniknęła i każdy z nas ponownie sposobił się do nadrobienia bezsennych nocy. Nagle cekaem obrócił się gwałtownie w kierunku północnym, otwierając ogień. Wszyscy zerknęli w tym kierunku, po czym rzucili się na ziemię. Cztery samoloty leciały tuż nad ziemią, plując ogniem z całej broni pokładowej. Ich potężny warkot prawie całkowicie zagłuszał krzyki stojącego przy mnie porucznika.

— Ognia, tchórze! — wydierał się oficer.

Samoloty przeleciały. Zauważyłem, jak porucznik upadł, następnie podniósł się, jedną ręką ściskając brzuch, a drugą strzelając z rewolweru do wyjących maszyn. Potem skrzywił się na twarzy, padł na kolana i osunął się, skurczony, na ziemię. Kule dosięgły tylko jego, przynajmniej w naszej grupie. Rosjanie szczególnie zaciekle atakowali przepelnione i niemal nieruchome barki stanowiące znakomity cel.

— Potrzebna pomoc! Tutaj! — krzyczeli żołnierze, rzucając się na pomoc porucznikowi. — Boże święty! Dlaczego on stał?! — wołał rozpaczliwym głosem facet o wychudłej twarzy.

— Walczył jak bohater! — wydierał się jakiś feldfel. — Tylko on starał się coś zrobić! Powinniśmy się wstydzić!

Wychudzony chłopak pomagał przenieść umierającego do brzegu. Ja szedłem z tyłu, niosąc rzeczy porucznika.

— Wstyd nic tu nie pomoże — westchnął osobnik wyglądający jak szkielet.

Nie byliśmy zdani jedynie na własne siły. Znajdujące się na przeciwległym brzegu rzeki działa przeciwlotnicze skierowały ogień na samoloty krążące po niebie niczym sępy. Choć uszkodzone, obie holujące barki kontynuowały niebezpieczną trasę. Na ich pokładzie musiało się znajdować sporo rannych i zabitych, sądząc po zamieszaniu widocznym z miejsca, gdzie się znajdowaliśmy.

Rosyjskie samoloty znów runęły w kierunku ziemi, skąd rozlegały się niezliczone krzyki, złorzeczenia i wołania o pomoc. Ponownie też zaatakowały jednostki na rzece, powodując straszliwą masakrę.

Kiedy tylko niebezpieczeństwo oddalało się na chwilę i mogliśmy wychylić głowy ponad trzciny, obserwowaliśmy dramatyczne sceny. Niemal wszyscy pasażerowie łodzi i barek, jeśli nie zostali zabici lub ranni, wskakiwali do wody, usiłując rozpaczliwie uciekać wpław.

Samoloty zawróciły po raz czwarty. Cała broń maszynowa i wszystkie karabiny znajdujące się na plaży otworzyły do nich ogień, zbyt późno kładąc kres piekielnym atakom. W niebo wzbił się ogromny krzyk: jeden z bolszewickich samolotów został trafiony i wzbijał się świecą w górę, pozostawiając za sobą ogromną smugę czarnego dymu. Przekoziółkował w powietrzu, po czym zaczął pikować w kierunku rzeki. Coś oddzieliło się od niego. Był to prawdopodobnie pilot, który usiłował wykonać skok. Spadochron, jeżeli w ogóle nim dysponował, nie otworzył się. Maszyna i człowiek spadali w dół z tą samą prędkością, po czym samolot eksplodował na powierzchni wody. Okrzyki: „hurra!” zagłuszyły na chwilę

wrzaski rannych znajdujących się na barkach. Około południa rosyjskie lotnictwo ponowiło ataki, wprowadzając tym razem do akcji samoloty myśliwsko-bombowe. Było ich co najmniej dwanaście.

W tym czasie kazano nam kopać okopy. Z tych prowizorycznych dołów strzelaliśmy, ile wlezie, celując do złowrogich ptaków. Rosjanie nadal uporczywie atakowali naszą flotyllę. W chwili ataku barki znajdowały się blisko drugiego brzegu. Obrona przeciwlotnicza usiłowała trzymać na odpowiedni dystans myśliwce bombardujące, które mimo to rzuciły się do ataku. Bezradni i bladzi ze złości patrzyliśmy, jak bomby spadają do wody. Jedną z barek rozniosło na strzępy łącznie z ludźmi. Twarze poczerwieniały nam z wściekłości. Flotylla skurczyła się znacznie, a przecież taniec śmierci dopiero się zaczął. Iły nabierały wysokości, by tym skuteczniej pikować. Znajdujący się obok mnie żołnierz płakał, wydzierając się wniebogłosy: — Gnoje! Gnoje!

Wilgotne dłonie gniotły nerwowo ziemię, inne manipulowały zamkami.

— Nie wyjdziemy z tego! — wrzeszczał mój sąsiad. — Rozwałą nas! Gnoje! Kurewski Bóg! A jednak wydarzył się prawdziwy cud. Cud, co spowodował radykalną zmianę nastroju wśród wrzeszczących żołnierzy.

— Sieg! Sieg! Luftwaffe!

Tak. Na niebie pojawiła się dziewiątka Messerschmittów 109F i mknęła prosto ku rosyjskim samolotom, gotującą się do ataku.

— Niech żyje Luftwaffe! — krzyczeliśmy jeden przez drugiego.

Rosyjskie maszyny, ustępujące technicznie samolotom niemieckim, oddalały się pośpiesznie. Niebo wypełniło się seriami wystrzałów. Kiedy zobaczyliśmy, jak dwa bolszewickie Iły wirują w powietrzu niczym trafione przez myśliwego kuropatwy, ogarnęła nas nieopisana radość — radość tak wielka, że wyskoczyliśmy z okopów; dzika radość, jaką potęgowała jeszcze żądza zemsty. Krzyki przybrały na sile. Pięć ruskich samolotów przeleciało nad nami, lecz nawet nie uświadomiliśmy sobie grożącego nam niebezpieczeństwa. Wyciągnęliśmy pięści w ich kierunku.

— Niech żyje Luftwaffe! Dalej, chłopaki! Nie pozwólcie im uciec! Hurra! Stojący obok mnie chłopak, z twarzą jeszcze przed chwilą czerwoną z wściekłości, a teraz wyrażającą nieopisaną radość, zachowywał się jak wariat.

Niemieckie myśliwce rzuciły się w pogoń za Iłami, które uciekały tuż nad ziemią. Całe stado znikło za wzgórzami, pozbawiając nas dalszego ciągu tego spektaklu. Usłyszeliśmy serie wystrzałów i głuchy wybuch. Nadszedł wieczór. Nie mieliśmy nic innego do roboty poza zajmowaniem się rannymi.

Ziemię przykrył całun nocy.

Rano obudził nas deszcz. Byliśmy z tego powodu niemal szczęśliwi.

Zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, aby nocą zintensyfikować transport wojska, ani na chwilę zresztą nie przerwany. Ale na wschodnim brzegu były jeszcze tłumy żołnierzy. Ile dni tak czekaliśmy? Straciliśmy już rachubę czasu. Pomimo przepełniającej nas goryczy, udało nam się choć częściowo zreorganizować oddziały. Żołnierze należący do różnych jednostek zostali zgrupowani w mniejsze.

Oficerowie rozstawili uzbrojonych ludzi na wzgórzach na wypadek niespodziewanego ataku Rosjan. Wiedzieliśmy, że są w pobliżu. Nerwowi, zaniepokojeni, dziwiliśmy się, że jeszcze na nas nie ruszyli. Było wielce prawdopodobne, że niemal całkowicie zaabsorbowały ich walki o Kijów.

Wchodziłem teraz w skład silnego pododdziału uformowanego głównie z żołnierzy dywizji „Gross Deutschland”, a także z pozostałych przy życiu żołnierzy wchodzących w skład pułku piechoty, który przyszedł nam z pomocą podczas przebijania się przez pierścień rosyjskich wojsk pod Kono-topem. Przydzieleni doń oficerowie — wśród których z prawdziwą przyjemnością spotkałem kapitana Wesreidaua — byli zdania, że powinniśmy pierwsi być

przewiezieni na drugi brzeg, ponieważ należeliśmy do elitarnej jednostki, tym bardziej że specjalizowała się ona w zadaniach ofensywnych, a nie defensywnych. Twierdzili nawet, że popłyniemy w najbliższej kolejności.

Słowa oficerów przyjęto ze zrozumieniem. Wszyscy zgadzali się z tym, że jak najszybciej powinniśmy się znaleźć na drugim brzegu Dniepru. Niektórzy ponownie proponowali zastosowanie sposobu, na który wielu z nas wpadło na samym początku. Polegał on na związaniu pasami wiązek trzciny i posłużeniu się tym jako pływakami. Kilkakrotnie technika ta zdała już egzamin, lecz nie pozwalała na zabranie z sobą przedmiotów niezbędnych każdemu żołnierzowi, jeżeli nie chciał uchodzić za dezertera. Jeśli już ktoś zdecydował się na ich zabranie, zazwyczaj tonęły.

Po drugiej stronie rzeki czekałoby chyba na nas niezbyt łaskawe przyjęcie, toteż oficerowie nie zezwolili na zastosowanie tego systemu. Jednak egzekwowanie rozkazów przychodziło im z ogromnymi trudnościami, gdyż sparaliżowani strachem żołnierze gotowi byli iść nawet na spotkanie z diabłem. Wielu z nich uciekło, wielu zatono albo też zmarło w wyniku zapalenia płuc. Wielu być może, po nieudanej próbie, znalazło się przed sądem polowym.

Ponieważ nie wiedziałem dokładnie, jaka jest sytuacja, nie byłem zainteresowany pójściem w ślady chłopaków. Całą energię zużyłem na dowiadywanie się wśród pozostałych jeszcze na brzegu żołnierzy z mojego oddziału, gdzie są moi koledzy. Może w tym tłumie około trzech tysięcy osób Halls albo Lensen czekali cierpliwie na swoją kolej, siedząc tyłkiem w błocie? Może gdzieś pośrodku tego ludzkiego zbiorowiska wyciągnięty na wilgotnej wiązce długich trzciny weteran snuł swe marzenia o nieosiągalnym szczęściu, obojętny na deszcz zapewne spływający po jego zrezygnowanej twarzy.

Moje poszukiwania okazały się daremne, moje pytania nie doczekały się odpowiedzi. W pewnej chwili wydawało mi się, że rozpoznałem dwóch facetów z naszej rozwiązanej kompanii. Zagadnąłem ich, lecz uzyskałem wymijającą odpowiedź, że absolutnie nie pamiętają, co się wydarzyło. Wyglądali rzeczywiście na przybitych, a moje pytania tylko ich wkurzały. W umęczonych głowach kołatała tylko jedna jedyna myśl: przepłynąć przez rzekę...

Tylko jedna osoba mogła coś wiedzieć na ten temat: kapitan Wesreidau. Ale oficerowie budzili we mnie taki respekt i strach, że nie śmiałem zwrócić się do niego. Niektórzy starsi wiekiem żołnierze odważali się do nich odezwać. Ja jednak, młody chłopak, nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Mimo wszystko do tego stopnia korciło mnie, by spotkać się z kapitanem, że dawało się to wyczytać z mojej twarzy. Ciągle krążyłem albo obok niego, albo w pobliżu jego pododdziału. Siedziałem na swym pakunku w pewnej odległości od kapitana Wesreidaua przebywającego w towarzystwie dwóch czy trzech oficerów, w tym majora, kiedy nagle kapitan podszedł do mnie. Patrzyłem w osłupieniu na wysoką postać w długim skórzanym płaszczu ociekającym wodą. Już chciałem zerwać się na równe nogi, by przyjąć postawę zasadniczą, gdy gestem ręki kapitan nakazał mi nie ruszać się z miejsca. Utkwiłem oczy w wysoką postać oficera, który wydawał mi się jeszcze wyższy, ponieważ siedziałem.

— Z jakiego jesteś pododdziału, mój chłopcze? — zapytał Wesreidau.

Wybełkotałem numer i nazwę tymczasowej kompanii, do której przydzielony byłem jako jeden z ostatnich, gdy uciekaliśmy z płonącego Kono-topu. Ponieważ wziął mnie za Czecha, wyjaśniłem mu swoje pochodzenie.

— Hmm, hmm — mruknął. — Kompanie tymczasowe odchodzą ostatnie. Dowodziłem już kilkoma.

— Wiem, panie kapitanie — rzekłem, czerwieniąc się. — Ja już pana widziałem.

Nie zdążyłem jeszcze ochłonać z wrażenia, gdy kapitan wdał się ze mną w rozmowę.

— A! — rzekł Wesreidau. — Mamy więc te same wspomnienia. Smutne wspomnienia.

— Ja, Herr Hauptmann.

Sięgnął do pustej paczki po papierosa. Może chciał mnie poczęstować?

— Jutro dostaniemy się na drugi brzeg, mój chłopcze. Myślę, że będziesz miał dłuższą przepustkę.

— Na dźwięk wyrazu „przepustka” zakręciło mi się w głowie, jak po wypiciu szampana.

— Przepustka! — szepnąłem.

— Myślę, że zasłużyliśmy na nią.

Natychmiast powróciły wspomnienia, których nie miałem już nadziei przeżywać. Wszystko to, co zrozpaczony ukryłem w głębi mej duszy, zacząłem niewyraźnie przypominać sobie. Czy to możliwe...? Tak, przecież ciąg-

le było to możliwe, a więc po co to pytanie? Zacząłem sobie uświadamiać, jak wielka była moja rozpacz, bo przecież rozpacziałem. Zacząłem ostrożnie, nieśmiało myśleć o Pauli... Gdy rozpoczęła się operacja naszej grupy szturmowej, przestała dochodzić poczta. Mimo że byliśmy w ustawicznym ruchu, brak wiadomości bardzo mi ciążył. W obliczu tylu dramatów, strachu, wyczerpania, takie słowa jak „miłość”, „uczucie” czy inne straciły niestety swoją wagę. Wszystko to, co jeszcze we mnie kołatało, zdawało się pogrzebane w kurzawie domów walących się przy akompaniamencie huk i skarg nieskończenie bardziej okrutnych niż me miłosne rozterki. Często przychodziło mi do głowy, że gdybym mógł jeszcze raz przeżyć swoje życie, nie pragnąłbym od niego zbyt wiele. Jak można obrażać się na swój los z powodu zawiedzionej miłości, kiedy człowiek się zastanawia, czy uda mu się uratować własną skórę?! Nawet gdyby mnie zmuszono, abym został księdzem, poprzysiągłbym, że to zrobię. Począwszy od Biełgorodu, wszystkie moje koncepcje życia zburzyło uczucie strachu, a samo życie stało się tak wielką wartością, że człowiek nie wiedział już, co odjąć z drugiej szali, by zachować stan równowagi. Kiedy jeszcze nie pogodziłem się z myślą o śmierci, w najcięższych chwilach obiecałem sobie, że wyrzeknę się bogactw, miłości, nawet jednej nogi, byle tylko przeżyć.

Czułem, że kapitan Wesreidau odejdzie za chwilę, wobec tego zapytałem go o kolegów.

Oficer przypomniał sobie tylko weterana. Wymienił zresztą jego nazwisko.

— Kompania, w której służył August Wiener, wspierała baterię haubic w początkowej fazie ofensywy. Pierwsi zaangażowani w walkę żołnierze nie mieli łatwo — dodał melancholijnym tonem. — Było bardzo ciężko. W każdym razie ci, którym udało się przeżyć, na pewno zostali skierowani na Kijów. Tam powinniśmy dokonać przegrupowania, gdybyśmy byli zmotoryzowani.

Trwałem nieruchomo w milczeniu. Kapitan oddalił się, skinąwszy mi nieznacznie głową.

— Jutro przedostaniemy się na drugi brzeg — dodał na odchodnym. Moje myśli zaprzętały teraz dwie sprawy: marzyłem o przepustce, ale także targał mną niepokój, że straciłem kolegów. Co się z nimi stało? Może minąłem ich zwęglone ciała na wyboistej drodze Konotop-Kijów? Czyż miałyby to być kres mej przyjaźni z towarzyszami niedoli? Byli przecież tak biedni, że uczucie, jakim ich darzyłem, było jak najbardziej bezinteresowne. Czyż miałbym zapomnieć, bez wyrzutów sumienia — gdyż wyrzuty sumienia przeszkadzają walczącym — kim byli Halls, Lensen, a nawet ten kretyn Lindberg?

Jeżeli moi przyjaciele zginęli, nauczyłem się czegoś od weterana, a mianowicie, tak jak mi radził, powracałem do swoich wspomnień. Powracały zarówno miłe chwile, jak i niepokój, którego nie można było zwalczyć. Tkwiałem tak nieruchomo, nie zwracając uwagi na padający deszcz, od którego moja nasiąknięta wodą furażerka nie była w stanie mnie chronić.

Krople dżdżu padały mi 23 żołnierz i spływały strużkami po twarzy. Ten ciekący po policzkach deszcz przypominał lzy, jakie powinienem wylewać. Deszcz padał jeszcze bardzo długo. Zbyt długo, całą noc, aż do późnego popołudnia następnego dnia. Zbutwiała ziemia, na której siedzieliśmy, czekając na swoją kolej, zamieniła się w gąbkę. Każda wiązka trzciny nie nasączona deszczem była mokra od spodu. Byliśmy tak przemoczeni, że niektórym zdawało się, że sterczą nago na deszczu. Przez większość czasu staliśmy, mając płachty namiotowe na

ramionach i obserwując nieustannie ruch ratujących nas jednostek.

Około południa, mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, na ciężkim, szarym niebie pojawiła się eskadra Iłow. Po raz kolejny zaczęliśmy przeklinać owe zwiastuny śmierci zmuszające nas do nurkowania nosem w to mokre gówno. Piloci zaatakowali trzykrotnie, posyłając bomby i pociski na wszystko, co mimo deszczu zdołali dostrzec. I znów wybuchła panika. Żołnierze uspokoili się dopiero, gdy powiększyła się liczba zabitych i rannych. Wreszcie około szóstej wieczór, gdy nadchodziła już noc, naszą grupą zajęły się służby przewozowe. Polecono, byśmy wzięli sprzęt i zeszli w należyтым porządku do trzech sektorów załadunkowych, które na skutek ciągłego ruchu przekształciły się w nieprawdopodobne trzęsawisko.

Dźwigając broń i ekwipunek, oczekując deszczem, ruszyłem wraz z kolegami w drogę, jak święty Paweł do Damaszku. Brnęliśmy w błocie, w którym można było się utopić.

Zachowując nadzwyczajną dyscyplinę i cierpliwość, każdy czekał na swoją kolej. Nikt nie skarżył się na ulewny deszcz nie pozwalający odróżnić rzeki i nieba. Stojąc w błocie w butach, które przepuszczały niestety wodę, każdy cierpliwie czekał przez długie chwile, a ostatni w kolejce czekali nawet całymi godzinami.

Na naszych nie do poznania twarzach błędził nieśmiały uśmiech. W końcu dostaniemy się na drugi brzeg. Tam skończy się udręka. Wreszcie będziemy mogli się wysuszyć. Może też wyśpimy się, jak należy, i przestaniemy się bać. Musieliśmy się ucześcić jakiegokolwiek myśli... Trzeba było jeszcze pokonać ostatni już strach; strach przed przepłynięciem Dniepru. Czy te trzeszczące i zużyte jednostki nie rozpadną się pod naszym ciężarem i nie pójdą na dno wraz z setką zrozpaczonych żołnierzy? A poza tym te cholerne Jabo... Gdyby pojawiły się rosyjskie samoloty... Pamiętaliśmy jeszcze okropną strzelaninę z poprzedniego dnia.

Zapadła noc. Sowieckie samoloty nocą pojawiały się rzadko. Może byliśmy już uratowani... ? Wreszcie nadeszła moja kolej na przeprawę przez Dniepr. Wraz z setką kolegów dostałem się na barkę, której pokład był niemal rozorany przez tysiące podkutych butów. Z niepokojem stwierdziłem, że burty wystawały tylko około trzydziestu centymetrów nad powierzchnią wody, a to na skutek przeciążenia jednostki.

— No, marynarz, wystarczy już! — odezwał się jakiś podoficer pod czterdziestkę. — Chcesz, byśmy poszli na dno?

— Brać jak najwięcej ludzi, szefie! — rzucił żartobliwie chłopak z wojsk inżynieryjnych. — Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. No dalej! Jeszcze z dziesięciu!

Kiedy już się wydawało, że barka zatonie, chłopaki z załogi odcumowali, po czym wskoczyli na dwudziestocentymetrowy skrawek wolnego miejsca jak kozice na ostry szczyt górski.

Doczepiany silnik, śmiesznie mały jak na tak dużą barkę, zaczął wreszcie pracować.

Pozostawiając za sobą ledwo widoczny tor wodny, barka bardzo wolno odpływała od brzegu.

Wydawało nam się, że stoi w miejscu. Krypa była tak przeładowana, że nikt nie śmiał wykonać najmniejszego gestu. Przeklęty brzeg skąpany we mgle oddalał się powoli.

Znajdowałem się na środku pokładu, ściśnięty między dwoma facetami: młodzieńskim porucznikiem służącym w pułku piechoty przybyłym z odsieczą pod Konotop i żołnierzem z naszego pododdziału, o nieokreślonym wieku, który wydawał się spać na stojąco.

On jeden zresztą wykazywał całkowitą obojętność na to, co działo się dookoła. Inni żołnierze mieli zmysły napięte do ostatnich granic. Szczególną uwagę zwracaliśmy na deszczowe niebo, któremu absolutnie nie ufaliśmy. Z wielkim mozołem wyprzedziła nas inna, o wiele niniejsza barka, lecz zaopatrzona w taki sam silnik.

Jak długo pokonywaliśmy rzekę? Może z kwadrans. W każdym razie wydawało nam się, że czas wlecze się w nieskończoność. Woda powoli, regularnie falowała wzdłuż kadłuba, co doprowadzało nas do szału.

Jacyś faceci zdawali się liczyć sekundy, a może odliczali ot tak, by czas szybciej mijał.

Przypominało to liczenie owiec, kiedy nie chce nadejść sen.

Wreszcie rozległy się okrzyki zwiastujące zachodni brzeg! Byliśmy uratowani! Koniec naszej niedoli! Wywiedliśmy Ruska w pole! Spowity we mgle brzeg dostrzegli najpierw żołnierze znajdujący się na dziobie. Krew zaczęła nam żywiej krążyć w żyłach. Zdawaliśmy się zachęcać silnik, by szybciej pracował. Zbliżaliśmy się do celu. Niebawem będziemy uratowani! Szybciej! Szybciej! Niebo ciągle jeszcze jest spokojne...

Minęliśmy pustą barkę płynącą w kierunku wschodniego brzegu. Patrzyliśmy na nią smętnym wzrokiem. Dostawaliśmy drgawek na samą myśl o marszu na wschód. Brzeg odległy był już tylko o dwadzieścia metrów. Ciągle nie śmieliśmy się poruszyć, by woda nie dostała się na pokład. Jednak wzbierała w nas ogromna radość — radość, co sprawia, że człowiek wydiera się i skacze jak wariat. Byliśmy uratowani... uratowani... po tylu godzinach i dniach rozpacz i oczekiwania!

Jeszcze tylko dziesięć... jeszcze tylko pięć metrów. Silnik zaczął pracować na wstecznym biegu, by barka zahamowała. Schodziliśmy na rodzaj pontonu zrobionego z gałęzi. Kazano nam opuszczać barkę ostrożnie i w należyтым porządku. Bez pośpiechu, świadomi szczęścia, jakie nas spotkało,

schodziliśmy gęsiego na stały grunt. Właściwie było to takie samo bagno jak tam, gdzie wsiadaliśmy. Mniejsza z tym. Przyzwyczailiśmy się do błota. Serca były nam jak szalone. Dostaliśmy się na drugi brzeg! Zachodni brzeg oznaczał bezpieczeństwo, barierę między nami a Ruskimi. Tak bardzo o nim myśleliśmy, tak bardzo o nim marzyliśmy, że czuliśmy teraz, jakbyśmy wzniesli jakiś mur między nami a wojną. Ton komunikatów był bardzo oficjalny. Utrzymamy się na linii Dniepru! Nieprzyjaciel nie pokona tej przeszkody, a wiosną w wyniku niemieckiej ofensywy zostanie wyparty aż za Wołgę... Uczepiliśmy się tej nikłej nadziei podczas długiego i ciężkiego odwrotu ku Dnieprowi, podczas niekończącego się czekania na barki. Dla nas, zmordowanych żołnierzy, wylądowanie na zachodnim brzegu oznaczało kres nieszczęść. Liczyliśmy na przegrupowanie naszych sił, na świeżą bieliznę, przepustki. Byliśmy pewni, że nie wszystko jeszcze stracone. Zachodni brzeg to oczywiście ciągle Rosja, ale to również ta jej część, co przyjmowała nas radośnie kilka lat wcześniej. To Rosja sprzyjająca nam. Takie naiwne myśli kołatały się w obolałych głowach. Zachodni brzeg Dniepru to niemal ziemia ojczysta.

CZĘŚĆ CZWARTA

MARSZ NA ZACHÓD Zima 1943 — lato 1944

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gott mit uns

Byli, oczywiście, oficerowie i żołnierze, którzy studzili nasz entuzjazm i nie spoglądali z takim optymizmem w przyszłość. Mieliśmy też do czynienia, co było już mniej przyjemne, z żandarmami noszącymi na piersiach lśniąca metalowe tabliczki wilgotne czasem od mgły. Nie ma organizacji bez żandarmerii. Ba! Na pewno wśród żandarmów spotkać też można pocziwych facetów. Pomińmy jednak tych z Romnego, czy znad Donu... Nie ma sensu psuć sobie radosnego nastroju, kiedy człowiek jest już na zachodzie.

Podążamy teraz za jadącymi zabłoconym motocyklem żołnierzami, wskazującymi nam drogę. Nie maszerujemy nawet w szyku trójkowym! Pozwolono nam iść krokiem dowolnym, podobnie jak czynią to spacerowicze. To miłe! Nie narzucono nam dyscypliny. Żołnierze stacjonujący na zachód od Dniepru wiedzą, co przeżyliśmy, toteż dają nam święty spokój. Jesteśmy im za to wdzięczni. — Uff! — myślimy sobie — wyszliśmy z tego cało. Teraz

wszystko pójdzie już łatwo.

Jadący motocykl z przyczepą zmusza nas do szybszego marszu. Po pokonaniu około dwóch kilometrów w rozbryzgującym się błocie dochodzimy w końcu do wielkiego obozu, gdzie zgrupowani są żołnierze z poprzednich transportów. Jest noc. Cały czas pada. Zauważamy lśniące w deszczu zasieki z drutu kolczastego. Dwójka żołnierzy z pistoletami maszynowymi pod ramieniem daje nam znak, byśmy weszli. Nie pytając o nic, przekraczamy prowizoryczną bramę. Pada komenda: „stój”! Motocykl odjeżdża pośpiesznie. Zdezorientowani, sterczymy pośrodku otoczonego zasiekami obozu.

Cóż, właściwie nic takiego się nie stało. Dziwi nas tylko zbyt wojskowy styl powitania żołnierzy ocalałych spod Konotopu. Na pewno trzeba będzie cierpliwie czekać, nim skierowani zostaniemy do solidnych, szczelnych baraków, gdzie będziemy mogli wypocząć. A może czekamy na przepustki...?

Na myśl o tym ogarnia nas radość; nie widzimy całego tego otoczenia, błotnistej mazi, padającego deszczu, zasieków, jakbyśmy byli więźniami.

Czekamy już przynajmniej dwie godziny. Dołącza do nas kolejna grupa, która przepравиła się przez rzekę. Deszcz się wzmaga. Spływają po nas strugi wody. Dostrzegamy stojące w pobliżu baraki o szczelnie zamkniętych drzwiach i oknach. Kierowani są tam koledzy w dwudziestoosobowych grupach. Stoimy w nadziei, że są to już nasze ostatnie złe chwile. Znikający w barakach żołnierze nie wychodzą stamtąd. Szczęściarze! Chyba kimają na wygodnych wyrkach.

Mija jeszcze godzina, nim przychodzi kolej na moją dwudziestkę. W naszej grupie jest porucznik i dwóch podoficerów. Wchodzimy do budynku, w którym światło zapewnia prądnica elektryczna. Jest nam trochę głupio, że wyglądamy tak nędznie. Za długimi stołami siedzą wojskowi różnych stopni w towarzystwie żandarmów, tworząc jakby liczny zespół sędziowski. Podchodzi do nas jakiś obergefrajter i wydzierając się na cały głos — co przypomina stare, dobre koszarowe czasy — każe nam zameldować się w kompletnym oporządzeniu przed komisją. Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonąć po takim przyjęciu, a już mamy podejść do stołów, by zaprezentować wszystko to, co powierzyła nam armia.

— Najpierw dokumenty wojskowe! — warczy siedzący za stołem żandarm.

Rozpoczyna się przesłuchanie stojącego bezpośrednio przede mną porucznika.

— Gdzie wasza jednostka, Hen Leutnantt

— Częściowo rozproszona lub wybita, Herr Gendarm. Przeżyliśmy ciężkie chwile.

Żandarm nie odpowiada, tylko przegląda papiery.

— Opuściliście swoich ludzi, czy też zginęli w walce? Porucznik waha się przez chwilę. Stoimy jak osłupiali.

— Czy jestem przed sądem wojskowym? — pyta urażony oficer.

— Macie odpowiadać na pytania, Hen Leutnant! Gdzie wasza jednostka? Porucznik czuje, że jest w pułapce, podobnie jak każdy z nas. Na takie pytania tylko niewielu potrafi dać precyzyjną odpowiedź.

Oficer usiłuje wyjaśnić sytuację. Daremny trud. Z gliną nie ma co dyskutować. Wśród żandarmów nie ma równych facetów, jak jeszcze przed chwilą myślałem. Ich inteligencja nie wykracza poza poziom kwestionariu- • szy, jakie muszą wypełniać.

Na domiar złego porucznik nie ma przy sobie wielu rzeczy, no i glina zauważa tylko to.

Nieważne, że człowiek cudem trzymający się na nogach, od czasu powołania stracił trzydzieści funtów wagi. Gliniarza interesuje tylko to, dlaczego nie ma przy sobie lornetki marki Zeiss stanowiącej część ekwipunku oficerskiego. Porucznik stracił też mapnik i będącą pod jego rozkazami drużynę łączności. Facetowi brakuje zbyt wielu rzeczy. Właściwie udało mu się zachować tylko życie. Wojsko nie powierza sprzętu żołnierzom po to, by tak po prostu gubili go albo porzucali. Należy już prędzej dać się zabić niż go utracić!

Batalion karny dla niefrasobliwego porucznika! Batalion karny i degradacja o trzy stopnie. Facet może się cieszyć, że nie spotkało go coś gorszego...

Porucznik nie może ochłonąć z oburzenia, patrzy nieprzytomnym wzrokiem. Wzbudza strach, a może litość. Dwóch żołnierzy odprowadza go na prawo, w kierunku smętnej grupki wojskowych, którzy podobnie jak on znajdują się w batalionie karnym.

Nadchodzi moja kolej. Paraliżuje mnie strach. Z wewnętrznej kieszeni wydaję przemoczone dokumenty wojskowe. Żandarm przegląda je, po czym zerka na mnie groźnym wzrokiem. Widząc moją godną pożałowania posturę, łagodnie nieco i powraca bez słowa do przeglądania papierów.

Na szczęście odnalazłem swoją jednostkę i zachowałem kawałek białej tektury, na której jest wzmianka, że wyszedłem z izby chorych, by brać udział w walkach. Kręci mi się w głowie; wydaje mi się, że za chwilę zemdleję. Wreszcie facet przegląda fiszkę, na której wyszczególniony jest ekwipunek szeregowego żołnierza. Wyczytuje poszczególne pozycje, a ja nie rozumiem dobrze wszystkiego i nie przedstawiam w prawidłowej kolejności tego, co jeszcze przy mnie zostało. Żandarm wymienia jakąś niemiecką nazwę, którą słyszę po raz pierwszy. W sumie nie mam przy sobie czterech rzeczy, w tym tej kurewskiej maski gazowej, którą rozmyślnie porzuciłem.

Moja książeczka wojskowa krąży z rąk do rąk. Stawia się w niej kolejne pieczątki i wpisuje notę służbową. I wtedy, spanikowany, robię coś kompletnie idiotycznego. Aby spojrzano na mnie nieco łaskawszym okiem, wyciągam z ładownicy dziewięć niewykorzystanych naboje. Głina spogląda na nie wzrokiem alpinisty zauważającego dogodny występ skalny.

— Braliście udział w odwrocie? — pyta. — Ja, Hen Gendarm.

— I mieliście jeszcze to? — dodaje, wskazując na naboje. — Ja, Hen Gendarm.

— To czemu nic nie zrobiliście, aby się bronić?! Czemu nie stawialiście oporu?! — wrzeszczy.

— Ja, Hen Gendarm — wybełkotałem.

— Co>a?!

— Dostaliśmy rozkaz odwrotu, Hen Gendarm.

— Do kurwy nędzy! — ryczy facet. — Cała armia ucieka, nie oddając ani jednego strzału!

Książeczka wojskowa powraca do rąk mego prześladowcy. Przez chwilę potrząsa nią nerwowo, spoglądając to na mnie, to na pognieciony i zabrudzony dokument.

Siedzę wzrokiem jego wargi, starając się wyczytać najgorsze: batalion karny, czyli więzienny reżim, wysunięte pozycje, rozminowywanie, bardzo rzadkie urlopy odbywane zawsze na terenie obozów, gdzie nieznane jest słowo „wolność”, zabroniony dostęp do poczty...

Chce mi się płakać. Czuję już, że nie zdołam powstrzymać łez. Wreszcie żandarm wyciąga energicznie rękę w moim kierunku, oddając mi papiery. Nie pójde do batalionu karnego.

Emocji było jednak zbyt wiele. Zabieram swoje manele, popłakując nerwowo: nic nie mogę na to poradzić. Słyszę, jak obok opieprzają następnego delikwenta.

Czekający na swoją kolej żołnierze spoglądają na mnie przerażonymi oczami. Czuję się jak ostatni nędzarz. Oddalam się biegiem od stołów i wychodzę przeciwnymi drzwiami. Ogarnia mnie wstyd.

Dołączam do kolegów stojących po drugiej stronie obozu. Nie śpią w wygodnych łózkach, jak uprzednio przypuszczaliśmy. Mokną w deszczu. Spotyka ich kolejne rozczarowanie.

Jednak pomimo afrontu, jaki spotkał nas ze strony wdzięcznej ojczyzny, możemy czuć się szczęśliwi. Trzy dni później dowiemy się, że następnego wieczoru po naszym odpłynięciu, gdy na wschodnim brzegu pozostało jeszcze sześć lub siedem tysięcy ludzi, Rosjanie zaatakowali. Wściekli chyba, że ciągle nie udaje im się odzyskać Kijowa, gdzie niemiecka armia toczyła zacięte walki ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem, postanowili zlikwidować przyczółki zajmowane jeszcze przez Wehrmacht. Dwadzieścia cztery godziny po pokonaniu przez nas Dniepru, pozostali na wschodnim brzegu koledzy zobaczyli nagle

rakiety zalewające bladym światłem ich prowizoryczne obozowisko. Gdy nasi żołnierze czuwali w płytkich okopach na wzgórzach wzdłuż Dniepru, by zapewnić iluzoryczną ochronę, zobaczyli sowiecką piechotę idącą do ataku. Wszędzie dookoła widać było nacierających Ruskich, którzy darli się jak zwykle. Nieszczęśni koledzy błyskawicznie doszli do wniosku, że nie mają żadnych szans, by przeciwstawić się tej nawałnicy. Ogarnęła ich bezdenne rozpacz. Niektórzy rzucili się do ucieczki. Przerażliwy huk rosyjskich moździerzy zagłuszył odgłos niemieckich kaemów i lekkich moździerzy. Pijani i poganiani przez komisarzy ludowych Sowietów szli naprzód, nie zważając na straty. Rozpoczęła się masakra. Chyba każdy niemiecki pocisk dochodził do celu, jednak rosyjska lawina parła nieubłaganie naprzód. Na błotnistej przystani, skąd wypłynąłem, nie było już paniki: rozpoczęło się prawdziwe szaleństwo. Barkę zabierającą chłopaków na pokład zalał tłum żołnierzy. Nieliczni, co zachowali zimną krew, apelowali o spokój, czasem nawet grożąc i strzelając na postrach. Straszliwy napór trwał nadal; zostały zerwane cumy. Pod naporem tłumy barka odpłynęła o kilka metrów. Żołnierskie buty tratowały i miażdżyły ręce czepiające się burty. Na przystani rozpoczęła się bójka. Niektórzy, zwłaszcza oficerowie, popełniali samobójstwo. Barka pokonała jeszcze kilka metrów, po czym — jak zabawka na wodzie — pochyliła się nagle w kierunku przeciwnego brzegu. Przerażające krzyki mieszały się z odgłosami pobliskiej walki. Dwustu przerażonych żołnierzy rozpaczliwie miotało się w wodzie, chwytając się wzajemnie i usiłując płynąć. Wielu z nich utonęło. W tej właśnie chwili Iwan, który uporał się z obroną na wzgórzach, ukazał się na szczytach wzniesień. Pijane żołdactwo mogło się wreszcie odprężyć. Bojowy zapał sięgnął zenitu. Klęcząc na jednej nodze, Rosjanie strzelali jak na jarmarku, śmiejąc się do rozpuku. Niemieccy żołnierze, bladzi z przerażenia, opanowali się i zaczęli prowadzić ogień z kaemów. Nie wywarło to większego wrażenia na Sowietach. Jednak niewielu Niemców zareagowało w ten sposób. Kilka tysięcy chłopaków uciekało i wrzeszczało wniebogłosy, ginąc od rosyjskich kul. Rosjanie strzelali nawet do pływających. Rakiety oświetlające okazały się bezcenną pomocą. Bez nich nie można by było widzieć celu ani całej tej masakry. Godzinę po pojawieniu się na wzgórzach Iwan znalazł się nad brzegiem rzeki. Rozlegały się jeszcze ostatnie strzały. Zwycięstwo było całkowite, jednak Rosjanie nie mieli już ochoty się śmiać. Jedna trzecia niemieckich żołnierzy uniknęła zguby, dostając się do niewoli. Dla pozostałych wszystko wreszcie się skończyło. Nie ciąży już na nich żołnierski obowiązek. Żandarmeria polowa nie zarzuci już im niczego... Zajechały po nas trzy ciężarówki z niemal całkowicie zamaskowanymi światłami. Pomimo złej drogi, pomimo przeciążenia, którego mogły nie wytrzymać kłapy, na każdym pojeździe tłoczyło się pięćdziesięciu odzianych w łachmany żołnierzy z całym swoim sprzętem. Również ja znajdowałem się w tym tłumie. Jedna noga tkwiła w gąszczu ciał, a druga wystawała na zewnątrz. Siedziałem okrakiem na tylnej klapie. Niektórzy zwisali całkowicie na zewnątrz, trzymając się kurczowo i zaciskając zęby. Jechaliśmy w nocy, kiedy jest spokojnie. W jakim kierunku? Nie miałem pojęcia. Po godzinie dotarliśmy do jakichś zabudowań. W niewyraźnym, błękitnawym świetle dostrzegliśmy krzątających się żołnierzy. Zauważyliśmy zgrupowane w jednej linii budynki. Po obu ich stronach ciągnęły się zadrzewione jezdnie zatłoczone niezliczonymi pojazdami. Wszędzie widać było żołnierzy. Bezustannie krążyły motocykle. Uwijali się oficerowie i żandarmi. Ciężarówki zatrzymały się gwałtownie. Wszystkim kazano wysiąść. Wiedzieliśmy, że jesteśmy uratowani, ale mieliśmy już wszystkiego dość. Padaliśmy ze zmęczenia; chciało nam się spać. Czekaliśmy dobre pół godziny, nim zainteresowano się nami. Cały czas padał deszcz. Czy padało też gdzie indziej? Czy padało we Francji? Gdzie jest mój dom?! Gdzie jest moje łóżko?! Pojawiły się niewyraźne, mgliste wspomnienia przeszłości, która już dla mnie nie istniała. Teraz istniała tylko Rosja — Rosja pochłaniająca nas w ogromnej, nieznannej

przestrzeni, gdzie znikwały całe bezimienne oddziały.

Wreszcie podszedł do nas jakiś podoficer. Dowódca grupy pokazał dokumenty. Żołnierz przeglądał je w zasłoniętym częściowo światłem latarki. W końcu kazano nam zabrać manele i iść za podoficerem. Znaleźliśmy się

pod jakimś dachem. Już od tak dawna nie spaliśmy w znośnych warunkach, że każdy wpatrywał się w niego jak w sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej.

— Do swojej jednostki dołączycie trochę później! — wydierał się podoficer; on także wydawał się mieć już wszystkiego dość. — Tymczasem spróbujcie trochę odpocząć.

Nie kazaliśmy sobie tego dwa razy powtarzać. W pozbawionym światła pomieszczeniu znajdowało się tylko kilka ławek i cztery albo pięć dużych stołów, które dostrzegliśmy w świetle latarek. Każdy runął, gdzie tylko mógł. Takiego tłoku próżno by szukać nawet w sierpniu na jakiegokolwiek plaży Lazurowego Wybrzeża. Obolałe głowy szukały jakiegoś oparcia. Za poduszkę służyły nogi, pośladki, buty sąsiada. To nic! Tu przynajmniej nie padało. Niektórzy od razu usnęli. Inni usiłowali wyobrazić sobie, że znajdują się gdzie indziej. Pomimo niewygody, jaką tutaj zastaliśmy, każdemu wydawało się, że wszystko zmierza ku lepszemu, że pojawiają się nowe możliwości. Wszyscy marzyli o przepustkach, które na pewno wkrótce otrzymamy. To tylko kwestia cierpliwości... Cierpliwości! Ile minut, godzin, miesięcy, trzeba jeszcze cierpliwie czekać?

Żołnierz frontowy nie może jednak pozwolić sobie na marzenia. Wielodniowe wyczerpanie powodowało ucisk w skroniach. Zapadliśmy w głęboki sen jak chorzy przed utratą przytomności.

Zdaje się, że spaliśmy dość długo. Było już jasno, gdy obudziły nas jakieś odgłosy. Przeciąwszy dźwięk gwizdka poderwał nas na nogi. Byliśmy brudni i strasznie wymiętoszeni. Gdyby zobaczył nas Fiihrer, wysłałby nas chyba do domu, jeżeli nie kazałby nas wszystkich rozstrzelać. Podoficer, który się pojawił, spoglądał na nas ze zdumieniem. Również i on nigdy chyba nie wyobrażał sobie, że armia niemiecka może być w takim stanie. Nie zdążyłem jeszcze się przebudzić, toteż niewiele zrozumiałem z jego gadaniny. Facet wspominał coś o gotowości. Wkrótce mieliśmy dołączyć do macierzystej jednostki.

W jednym z baraków znajdowały się pomieszczenia sanitarne, lecz mieliśmy niewielkie szansę, by się do nich dostać. Cały czas przewalały się tam takie tłumy, że nasza kolej nadejść mogła dopiero wieczorem. Wskazano nam wielkie beczki po benzynie wypełnione wodą, w której mogliśmy się umyć. Ciągłe byliśmy jednak zbyt zmęczeni, by chłapać się w wodzie. Jakże odległy wydawał się okres spędzony w koszarach, kiedy nikt z nas nie zniósłby najmniejszej nawet plamki na bluzie! Teoria o obowiązkowej higienie straciła już na aktualności. Tu zajmowały nas ważniejsze problemy. A poza tym było zimno jak diabli i nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby zdjąć chociaż płachty brezentowe, które narzuciliśmy sobie na ramiona.

Było mi bardzo zimno. Miałem dreszcze. Znów mi się zdawało, że jestem chory. Trzeba było wyjść, aby dostać coś do jedzenia w kuchni polowej. Tłum obdartusów stał w kolejce w wilgotnym i zimnym wietrze gnającym nad Dnieprem tumany mgły. Dwóch garkotłuków wielkimi chochlami nalewało gorącą zupę do brudnych menażek, z których farba schodziła całymi

płatami. Spodziewaliśmy się, że znów dostaniemy jakiś ersatz, a tymczasem była to najprawdziwsza zupa. Tu już od dawna nie mieli żadnego ersatzu. Kucharze serwowali nam przed czasem przysługującą o godzinie jedenastej zupę. Otrzymali specjalny rozkaz dotyczący uratowanych żołnierzy. Zupę przyjmowaliśmy z powszechnym zadowoleniem. Gorąca strawa była dla nas niezbędną.

Obok nas zatrzymał się przechodzący w pobliżu kapitan. Najwyraźniej szukał dowódcy naszej grupy. Ten ostatni, w stopniu porucznika, podniósł się i podszedł do oficera.

— Kolego! — zwrócił się do niego kapitan. — Macie możliwość doprowadzenia swojego

pododdziału do porządku. Myślę, że powinniście z tego skorzystać.

—Jawohl, Hen Hauptmann!

Na rozkaz dowódcy skierowaliśmy się ku beczkom ustawionym pod okapem któregoś z baraków. Łypnęliśmy okiem w kierunku budynku sanitarnego z ciepłymi prysznicami. Barak ten szturmowało już trzystu żołnierzy stojących w kolejce, by zażyć ciepłej kąpieli zaledwie dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów od frontu.

Wszyscy byli już mniej lub bardziej rozebrani. Bez części odzienia łatwiej można było pozbyć się tabunów wszy harcujących szczególnie na wysokości pasa.

Nasz entuzjazm przerwał rozkaz do wymarszu, co przyjąłem niemal z zadowoleniem. Było tak zimno, że nie uśmiechało mi się zbytnio sterczeć prawie na golasa w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Wołałem już swoje wszy wylegające się w ciepłe między szarym podkoszulkiem a burczącym z głodu żołądkiem. A poza tym byłem chory. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Dreszcze miałem cały czas. Chłód czułem nawet na piętach. Zaczęliśmy się wspinać na odkryte ciężarówki. Jak zwykle było nas zbyt wielu, toteż tłok panował niemiłosierny. Nikt się jednak nie uskarżał: lepsze to, niż marsz piechotą, choć później wydarzyła mi się przez to idiotyczna historia; coś, co sprawiło, że znalazłem się w groteskowej sytuacji.

Ciężarówki posuwały się drogą przypominającą prawdziwe bagno. Spod kół jadącego za nami pojazdu wytryskiwały fontanny błota. Przypominało to jadącą polewaczkę miejską. Scena ta dziwnie kojarzyła mi się z naszym odwrotem znad Donu. Czyżby Rosja była już tylko oceanem błotnistego gówna?

Od północy, na horyzoncie rysowało się ciemne pasmo lasu. Tam też jechaliśmy. Wiatr przynosił odgłosy dalekich eksplozji, nie było to jednak nic poważnego. Niebo było pochmurne, zanosiło się na deszcz.

Ściśnięty między dwoma kolegami, kołysałem się w rytmie wolno jadącej ciężarówki zmagającej się z błotem. Czułem się niedobrze. Wargi i twarz piekły mnie, a z kolei najmniejszy nawet powiew mroził twarz. Potworne bóle brzucha powodowały nieprzyjemne drgawki całego ciała. Wszystko to tłumaczyłem sobie zmęczeniem ostatnich dni. Niestety, nic nie mogłem na

to poradzić. Chyba jeszcze nigdy nie było ze mną tak źle. Coraz bardziej skręcało mi wewnątrz. Oczywiście, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszyscy mieli to gdzieś. Na pewno nie tylko ja walczyłem z bólem brzucha. Żołądek dokuczał mi tak bardzo, że mimo panującego ścisłu próbowałem pochylić się nieco do przodu. Siedzący obok mnie chłopak dostrzegł, że wiercę się w miejscu, i odwrócił do mnie swoją niegoloną głowę. Ponieważ kręciłem się w najlepsze, rzekł niecierpliwie:

— Spokojnie, kolego! Niedługo się zatrzymamy — rzucił, nie znając podobnie jak ja celu naszej jazdy.

— Cholernie boli mnie żołądek.

— Zły wybierasz moment, aby się wysrać.

I nagle rzeczywiście odczułem taką potrzebę. Było ze mną coraz gorzej. Bóle brzucha dokuczały mi coraz bardziej, grożąc w każdej chwili wypróżnieniem. Przecież nie mogę zatrzymać kolumny wojska, aby pójść się wysrać! Uśmiechnąłem się na myśl o tym, ale równocześnie miałem takie dreszcze i skurcze, że ciekła mi chyba ślina z ust. Chociaż znajdowałem się w groteskowej sytuacji, trzeba było znaleźć jakieś wyjście. Jechaliśmy lasem i nic nie zapowiadało rychłego postoju. Nawet gdybyśmy zatrzymali się za chwilę, nie mogłem, ot tak, opuścić ciężarówki. Otworzono by do mnie ogień, myśląc, że jestem dezertorem.

Boże święty! Ile jeszcze wytrzymam? Na próżno starałem się myśleć o czymś innym. Nic nie pomagało. Bóle brzucha, od których dostawałem już gęsiej skórki, stawały się nie do zniesienia. W końcu nie wytrzymałem.

— Trochę miejsca, chłopaki! — rzekłem, krzywiąc się na twarzy. — Mam biegunkę i nie da rady inaczej...

Faceci zdawali się nie okazywać żadnego zainteresowania, między innymi dlatego, że jadąca ciężarówka głośno warczała. Energicznie ponowiłem prośbę i zacząłem się rozpychać.

Sąsiedzi posunęli się o dziesięć centymetrów i była to ich jedyna reakcja. Pomimo niedyspozycji czułem, że jestem czerwony ze wstydu. Na próżno usiłowałem zrzucić chociaż część odzieży. Brakowało miejsca, toteż poszturchiwałem siedzącego koło mnie chłopaka.

— Spokojnie! — odezwał się. — Wysrasz się, kiedy staniemy.

— Boże święty, przecież mówię ci, że jestem chory!

Zręcząc, poruszył stopą, nie wiedząc, gdzie ją umieścić. Nikt się nie śmiał. Wszyscy z obojętnością przyjmowali moją dolegliwość. Skrępowany sprzętem, zacząłem rozpaczliwie walczyć z łaćkami. Nie udało mi się jednak rozpiąć spodni. W końcu wiedziałem już, że moje wysiłki nie zdadzą się na nic. Nie wytrzymałem dłużej i po chwili poczułem obrzydliwą substancję spływającą mi po nogach. Nikt nie dostrzegł, w jak parszywej znalazłem się sytuacji. Czułem okropny ból brzucha. Ogarnęło mnie odrętwienie nie pozwalające nawet dostrzec komizmu sytuacji. Właściwie jednak nie było w tym nic śmiesznego. Byłem bardzo chory, kręciło mi się w głowie, czułem pieczenie twarzy, chyba na skutek gorączki. Były to pierwsze objawy czerwonki, której konsekwencje towarzyszyć mi będą przez całe życie.

Jechaliśmy długo. Jeszcze dwukrotnie nie mogłem powstrzymać wypróżnienia, co nie pogorszyło już zbytnio mego fatalnego stanu. Dałbym dziesięć lat życia, by móc się wymyć i znaleźć w ciepłym łóżku. Nadal atakowały mnie to lodowate dreszcze, to fale gorączki, a coraz dokuczliwsze bóle rozrywały mi wnętrzności.

Kiedy wreszcie, po nie mającej końca podróży, znalazłem się na ziemi, by stawić się na apelu w naszej nowej kwaterze, wydawało mi się, że stracę przytomność. Instynktownie walczyłem, by nie zemdleć, choć gdyby tak się stało, miałbym największe szansę na wylądowanie w izbie chorych. Ale ze wszystkich sił starałem się utrzymać na nogach. Stałem wśród kolegów zainteresowanych wyłącznie własnym losem. Mój godny pożałowania wygląd nie uszedł jednak uwagi oficera sprawdzającego stan osobowy. Bełkotliwym głosem odpowiadałem na jego pytania. Przeze mnie apel uległ zakłóceniu.

— Co się z wami dzieje? — spytał oficer, którego widziałem niewyraźnie przed oczyma.

— Jestem chory... Jestem... — bełkotałem żałośnie.

— Co wam dolega?

— Żołądek... Mam też gorączkę... Czy mógłbym się umyć, Hen...

— Zabrać go do lekarza poza kolejnością! — rzucił oficer, zwracając się do podwładnego.

Ten ostatni zgodnie z rozkazem wziął mnie pod ramię. Wreszcie ktoś przyszedł mi z pomocą! Nie mogłem w to uwierzyć.

— Mam ostrą biegunkę. Muszę się umyć — szepnąłem, idąc.

— Wszystko, co trzeba, znajdziecie, kolego, w oddziale sanitarnym.

I tak znalazłem się w izbie chorych, na końcu trzydziestoosobowej kolejki. Dolegliwości żołądkowe były tak silne, że chciało mi się wyć. Czułem, że nadchodzi kolejny nieubłagany atak. Chwiejnym krokiem wyszedłem z rzędu. Po wyjściu na zewnątrz dostrzegłem tablicę wskazującą kierunek do latryny. Popędziłem, co sił w nogach. Gdy już się wypróżniłem, zawahałem się, czy podciągnąć śmierdzące spodnie. Czułem się beznadziejnie. Zaintrygował mnie pewien szczegół, a mianowicie wydawało mi się, że w odchodach zauważyłem krew. Wróciłem do izby chorych, gdzie musiałem czekać jeszcze co najmniej pół godziny. Wreszcie nadeszła moja kolej. Ściągałem po kolei cuchnące łaćmany. W pomieszczeniu znajdowały się dwie służące w wojsku kobiety, toteż mimo choroby czułem pewne skrępowanie.

— Co to za niechluj!?! — wrzasnął jeden z pielęgniarzy, przyzwyczajony chyba ciągle do hasła: Ein Laus, der Tod!

Rzuciłem okiem na siedzących za długim stołem lekarzy przypominających zespół sędziowski, przed którym nie sposób nie przyznać się do winy.

— Czerwonka bakteryjna — szepnął znajdujący się przy pielęgniarzu facet, zaszokowany spływającym mi aż za kolana gównem.

— Pod prysznic! Pod prysznic! Co za świnia! — krzyknął pielęgniarz. — Zbadamy cię później.

O to mi właśnie chodziło. Od bardzo dawna marzyłem o prysznicu.

— Budynek naprzeciwko! — rzucił konował, przechodząc pośpiesznie do kolejnego pacjenta. Zarzuciłem płaszcz na wątle ramiona i czmychnąłem na zewnątrz. Wkrótce znalazłem się w budynku, gdzie znajdowały się prysznice. Na szczęście zastałem tam tylko jakiegoś zahukanego faceta myjącego podłogę.

— Jest tu gdzieś woda, kolego?

Facet uniósł głowę i uśmiechnął się głupkowato.

— Chcesz ciepłej wody? — spytał uprzejmym tonem.

— A masz ciepłą wodę?

— Tak. Na pranie dla szesnastej kompanii. Dwa pełne kotły. Mogę ci dać trochę. W prysznicach jest tylko zimna woda.

Jeszcze jeden, co handluje wodą dla paczki papierosów albo czegoś innego — pomyślałem, trzęsąc się w gorączce.

— Ale ja nie mam papierosów.

— Nie palę.

Zbiło mnie to z tropu.

— Kolego, daj mi szybko trochę ciepłej wody! Durnowaty facet zabrał się do dzieła.

— Wejdz do środka. Tak będzie lepiej.

Wskazał na coś w rodzaju szafki. Po dwóch minutach wrócił z dwoma dymiącymi wiadrami.

— Byłeś na wojnie? — spytał.

Co miał na myśli? Spojrzałem na niego. Cały czas głupkowato się uśmiechał.

— Tak. Byłem na wojnie i jeśli chcesz wiedzieć, nie mam już ochoty dalej wojować. Jestem chory i rozgoryczony.

— To musi być straszne... Feldfelbel Hulf mówi, że niedługo wyśle mnie na front, bym tam zdechł.

Rozkoszując się obmywaniem sobie tyłka, patrzyłem na niego zdumiony.

— Zawsze znajdują się faceci, co z upodobaniem wysyłają innych na rzeź — rozumiesz? Co robisz w dywizji?

— Trzy miesiące temu dostałem powołanie. Rozstałem się z panem Feshterem i po przeszkoleniu w Polsce przydzielili mnie właśnie do „Gross Deutschland”.

Znam takiego jednego — pomyślałem.

— Kto to jest pan Feshter?

— Mój szef. Trochę ostry, ale w sumie gość w porządku. Pracuję u niego od dziecka.

— Rodzice tak wcześnie wysłali cię do pracy?

— Nie mam rodziców. Gdy byłem mały, pan Feshter odebrał mnie z domu sierot. W gospodarstwie pana Feshtera jest dużo pracy.

Spojrzałem na niego uważnie: jeszcze jeden, co nie miał życia usłanego różami. Facet ciągle się uśmiechał. Przycisnąłem brzuch; chwilami wydawało mi się, że eksploduje.

— Jak się nazywasz?

— Frósh. Helmut Frósh.

— Dziękuję, Frósh. Spróbuję teraz wrócić do izby chorych.

Sposobiłem się do wyjścia, gdy nagle w drzwiach ujrzałem niską, przysadzistą postać. Ktoś nas obserwował. Nie zdążyłem się nawet odezwać, jak usłyszałem krzyk:

— Frósh!

Frósh odwrócił się i chwycił pośpiesznie za ścierkę.

— Frósh! Do mnie!

Staralem się wyjść powoli i niezauważenie. W każdym razie uwaga feldfebla skupiona była na Fróshu.

— Porzuciliście pracę, Frósh!

— Pytałem o sytuację na froncie, Herr Feldwebel.

— Zabroniłem wam odzywać się w czasie odbywania kary, Frósh, oprócz odpowiedzi na moje pytania.

Frósh miał już coś powiedzieć, gdy usłyszałem donośne: „chlast"! Odwróciłem się. Kolega zainkasował siarczysty policzek. Widziałem jeszcze uniesioną rękę feldfebla. Czmychnąłem pośpiesznie, słysząc potok obelg spływający na biednego chłopaka.

— To gnój! — pomyślałem o feldfeblu.

Asystent lekarza wojskowego badał mnie bez większego entuzjazmu. Doskonale rozumiałem, że osłuchiwanie całymi dniami takich zasrańców jak ja, nie sprawiało temu konowalowi najmniejszej przyjemności, tym bardziej, że nie płacono mu, by był miły jak lekarz rodzinny. Facet obmacał mnie z grubsza, po czym wsadził mi palec w usta, sprawdzając stan uzębienia. W końcu na przypiętej do mej książeczki wojskowej kartce zaczął nanosić całe mnóstwo jakichś numerów i uwag. Przechodziłem od jednego stołu do drugiego, aż do zespołu operacyjnego włącznie. Moje dokumenty sprawdzało pięciu albo sześciu facetów. Kazano mi zdjąć zakrywające moją „kulturystyczną" pierś łachmany, pośpiesznie narzucone na ramiona. Jakiś prymityw, chyba rzeźnik w cywilu, dał mi zastrzyk w lewą pierś. Kolejny wojskowy zaprowadził mnie do budynku, gdzie znajdowali się żołnierze „uznani za chorych". Jeszcze raz sprawdzono moje dokumenty, po czym stał się cud: przydzielono mi łóżko! Właściwie prosty siennik nakryty tylko szarą płachtą, bez koca i prześcieradła. Było to jednak łóżko na drewnianej krzyżownicy okiennej, w suchym pomieszczeniu pod dachem.

Układałem się na nim powoli, by jak najdłużej rozkoszować się tą chwilą. Pulsująca od gorączki głowa pękała od natłoku myśli. Noce spędzane pod gołym niebem spowodowały, że zapomniałem już, co znaczy wyciągnięcie się na miękkim i czystym materacu. W sali pełno było podobnych

łóżek. Leżeli na nich żołnierze, pojękując cicho. Nie zwróciłem jednak na to większej uwagi niż na kolor niezbyt gustownej tapety w pokoju hotelowym. Chociaż czułem przejmujący ból, upajałem się tym nieoczekiwanym luksusem. Następnie usiłowałem choć częściowo się rozebrać. Za okrycie posłużyły mi brudny płaszcz i płachta brezentowa. Przykryłem się nimi szczelnie, czując, że jestem uratowany. Długo leżałem, rozmyślając w półśnie, a równocześnie starałem się kontrolować skurcze skręcające mi wnętrzności.

Następnie podeszło do mnie dwóch pielęgniarzy z odpowiednimi instrumentami. Bez uprzedzenia odrzucili na bok moje prowizoryczne przykrycie, wykrzykując:

— Odwróć się tyłkiem, kolego! Przepłuczemy ci flaki. Nim zdążyłem uświadomić sobie, co się dzieje, wyczyszczono mi dokładnie, co trzeba, po czym obaj wesołkowie pomknęli do kolejnego pacjenta, zostawiając mnie z co najmniej pięcioma litrami bulgoczącej w obolałym brzuchu wody, do której dodano jakieś świństwo.

Nie znam się zbyt na medycynie, ale zawsze wydawało mi się dziwne, że lewatywę robi się temu, kto wypróżnia się zbyt łatwo. W każdym razie przez tych dwóch diabelskich alchemików, pojawiających się jeszcze dwukrotnie, miałem bezsenną dobę: cały czas krążyłem między atakowaną przez lodowaty wiatr latryną a moim wyrkiem, które straciło przez to wiele ze swego uroku.

Po dwóch dniach uznano, że jestem wyleczony, i odesłano mnie do mojej kompanii, dokąd przybyłem na uginających się nogach. Kompania, ta sama, która stanowiła część grupy uderzeniowej, stacjonowała niedaleko dywizji, w odległości ośmiu albo dziesięciu kilometrów, w niewielkiej i wioszczynie niemal całkowicie opuszczonej przez rosyjską

ludność cywilną. Zostałem tam wszystkich kolegów, nawet Olensheima, który po wyleczeniu również dołączył do oddziału. Bardzo cieszyliśmy się ze spotkania, ale mój stan był równie kiepski, jak w przeddzień wysłania mnie do izby chorych. Moi dobrzy kumple, Halls, Lensen i weteran, dmuchali i chuchali na mnie, robiąc wszystko, aby mnie wyleczyć. Ze szczególną gorliwością zmuszali mnie, żebym pił wódkę, która według nich była jedynym skutecznym lekarstwem. Mimo tych wszystkich wysiłków, moje wizyty w wychodku nie stały się rzadsze, a widok krwawych wydaliny zaniepokoił nawet weterana, który mi tam towarzyszył, bojąc się, że stracę przytomność. Dwukrotnie, za radą przyjaciół, usiłowałem dostać się do szpitala polowego wypełnionego rannymi z Kijowa. Jednak z moich papierów wynikało, że jestem wyleczony, i nic z tego nie wyszło.

Mój stan uległ pogorszeniu. Byłem blady jak trup. Cały czas leżałem w swym wyrku znajdującym się w chacie. Na szczęście mogłem nie opuszczać tego łoża boleści. Kilkakrotnie koledzy zastępowali mnie na służbie. W kompanii kapitana Wesreidaua organizacja była jak należy. Jedyny problem stanowiło to, że znajdowaliśmy się w sektorze operacyjnym i w każdej

chwili mogliśmy być skierowani na jakiś słaby odcinek frontu, by wesprzeć chłopaków. Weteran, którego wielkie doświadczenie bardzo sobie wszyscy cenili, nalegał, abym robił wszystko, by uznano mnie za niezdolnego do służby wojskowej, nim zostaniemy wysłani na jakąś wysuniętą pozycję. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nie wytrzymam. Ja zresztą byłem tego samego zdania.

Któregoś wieczoru, mniej więcej ósmego dnia po opuszczeniu izby chorych, zacząłem bredzić od rzeczy. Nad nami toczyła się zażarta walka powietrzna, a ja nie zdawałem sobie nawet z tego sprawy.

— W pewnym sensie można ci nawet zazdrościć — rzucił żartobliwie Halls.

Pocziwy towarzysz udał się w mojej sprawie do pana kapitana Wesreidaua. Nie miał zbyt wiele czasu na wyjaśnienie mu, o co chodzi, gdyż oficer przyjmował akurat meldunek dotyczący właśnie nas. Halls opowiadał mi, że Wesreidau wstał, uśmiechając się na jego widok.

— Zwijamy natychmiast obóz, moje dzieci. Udajemy się do sektora odległego przynajmniej sto kilometrów dalej na zachód. Czekaj nas tam trochę pracy, ale w zasadzie przebywać będziemy na kwaterach. Powiedz, chłopcze, swojemu choremu koledze, aby wytrzymał jeszcze dobie. Powiadomcie o tym wszystkich. Sytuacja niedługo się polepszy.

Halls stuknął obcasami, tak że niemal złamał sobie piszczel, i wyskoczył jak huragan na zewnątrz. Wpadał do każdego mijanego baraku, siejąc zamieszanie i wykrzykując dobre wieści. Wreszcie wleciał jak wariat do naszego i zaczął mnie szturchać, usiłując wyrwać z odrętwienia.

— Jesteś uratowany, Sajer! — wrzeszczał. — Jesteś uratowany! Wyjeżdżamy na kwatery! Weźcie całą pozostałą chininę! — wydierał się do pozostałych kolegów. — Musi wytrzymać przynajmniej dobie!

Mimo że byłem bardzo osłabiony, udzielająca się innym radość Hallsa wpływała na mnie jak zbawienny balsam.

— Jesteś uratowany! — powtarzał. — Zrozum! W twojej formie nie tylko przyjmą cię do szpitala, ale też nie wykręcisz się od przepustki! Ale z ciebie szczęściarz!

Przy każdym ruchu czułem nieszczęsny żołądek, który zdawał się rozpływać, ale zacząłem zbierać swoje toboły. Dookoła żołnierze z zapałem przygotowywali się do wyjazdu.

Położyłem w zasięgu ręki całą swoją pocztę, którą oddano mi po powrocie do dywizji. Była to pokaźna paczuszka zawierająca dwanaście listów od Pauli. Ta korespondencja bardzo pomogła mi znieść kryzys. Poza tym miałem trzy listy od rodziców pełne pytań, niepokojów i

wyrzutów, że nieregularnie do nich piszę. Jeden list dostałem od pani Neubach. Mimo choroby udało mi się do wszystkich coś napisać, chociaż zdawałem sobie sprawę, że z powodu gorączki piszę chaotycznie.

Wreszcie wyruszyliśmy w drogę. Umieszczono mnie w zamkniętej kabinie niewielkiej ciężarówce. Jadąc szosami i drogami, pamiętającymi chyba czasy Iwana Groźnego, dotarliśmy w końcu w okolice Winnicy. Nasze niezbyt wytrzymałe pojazdy wielokrotnie grzęzły w rozciągającym się jak okiem sięgnąć rzadkim błocie. Przez chwilę zdawało mi się, że przejeżdżamy przez złowrogie bagna Prypeci. Wiedzieliśmy zresztą, że są już niedaleko. Na szczęście ominęliśmy je. Posuwaliśmy się po osobliwych drewnianych nawierzchniach; zdawały się pływać po oceanie błota. Napotykanie niekiedy drogi tego typu, po których nie można było oczywiście jechać zbyt szybko, okazały się bardzo przydatne w porze deszczowej. Wykonane były z pociętych prymitywnie bali o długości trzech czy czterech metrów. Nie mam pojęcia, w jaki sposób je się mocowało.

Jechaliśmy co najmniej osiem godzin, by pokonać sto pięćdziesiąt kilometrów. Była paskudna, zimna pogoda. Zacinający deszcz ze śniegiem chronił nas przynajmniej od rosyjskiego lotnictwa przejawiającego w tym czasie szczególną aktywność.

Wraz z sześcioma kolegami z kompanii zostałem natychmiast umieszczony w szpitalu. Biegunka była wtedy częstym zjawiskiem. Cały sztab specjalistów powstrzymał mi ją w rekordowo krótkim czasie. Koledzy stacjonowali zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów od szpitala, toteż wiedziałem, że jak tylko dojdę do zdrowia, dołączę do nich bez problemów. Lekarze mieli pewne trudności z postawieniem mnie na nogi. Chorobę zaczęto leczyć stosunkowo późno, przez co „nastąpiło znaczne spustoszenie w mojej florze bakteryjnej” — jak mi powiedzieli.

Tak więc, pomimo skutecznej opieki lekarskiej, przez dobre dwa tygodnie nie mogłem nic jeść. Czas włócił się niesamowicie wolno. Codziennie wystawiałem pielęgniarzom do zastrzyku tyłek, który przypominał podu-szczekę na szpilki. Dwa razy dziennie ssałem nie mający żadnego smaku termometr, z uporem pokazujący trzydzieści osiem stopni. Patrzyłem z radością na padający za oknem śnieg, leżąc w ciepłej izbie sypialnej. Wiedziałem, że kolegom chwilowo nie grozi niebezpieczeństwo. Przebywając w cieplarnianych warunkach, nie zdawałem sobie jednak sprawy z pogarszającej się sytuacji na całym froncie.

Gazeta frontowa publikowała już tylko zdjęcia artylerzystów przygotowujących z uśmiechem swe stanowiska i leże zimowe, a także artykuły mówiące o wszystkim i o niczym. Dwa razy odwiedził mnie Halls, przynosząc pocztę. Udało mu się zostać pomocnikiem podoficera poczty polowej, dzięki czemu mógł bez przeszkód do mnie dotrzeć. Facet cieszył się drobiazgami: skakał z radości, gdy udało mu się uniknąć mych trafień w walce na śnieżki. Również on był nieświadom ciężkiej sytuacji. Przed nami był najcięższy odwrót i horror, jakiego jeszcze nie zaznaliśmy.

Mniej więcej po trzech tygodniach pobytu w szpitalu otrzymałem wspaniałą wiadomość. Wezwano mnie do biura przepustek, gdzie jakiś kierownik spytał mnie o stan zdrowia. Padłem normalnie na cztery łapy (oczywiście z radości). Ponieważ mój stan się polepszył, powiadomił mnie, że końcową fazą leczenia będzie urlop.

— Myślę — dodał — że wolicie odbyć rekonwalescencję w domu niż w szpitalu wojskowym. Odpowiedziałem nieśmiało „tak”, bojąc się urazić pocziwca, który okazał się dla mnie tak łaskawy. Byłem pijany ze szczęścia; miałem w kieszeni przepustkę, co prawda na trochę krótszy okres niż poprzednia, ale upoważniającą mnie do dziesięciodniowego urlopu od momentu podstemplowania jej przez żandarmerię. Od razu pomyślałem o Berlinie i Pauli. Przyszło mi też do głowy, że może uda mi się uzyskać dla swojej przyjaciółki zezwolenie na przyjazd wraz ze mną do Francji. Gdyby nie było to możliwe, planowałem pobyt w Berlinie u

boku ukochanej.

Choć czułem się ciągle słabo i nie mogłem jeszcze normalnie chodzić, skakałem z radości jak wariat. Błyskawicznie przygotowałem się do podróży, po czym uśmiechnięty przeszedłem przez dyżurkę. Zostawiłem kolegom wiadomość, wyjaśniając, dlaczego nie mogłem odwiedzić ich po wyjściu ze szpitala. Na pewno to zrozumieją.

Wypucowane buty wydawały przytłumiony odgłos na ośnieżonej drodze prowadzącej na dworzec. Choć niebo było pochmurne, ogarnął mnie tak radosny nastrój, że pozdrawiałem mijających mnie Rosjan. Bielizna, mundur — wszystko miałem wyprane, połatane, pocerowane. Czułem się jak nowo narodzony. Nie pamiętałem już o wczorajszych problemach. Błogosławiłem niemiecką armię i Fiihrera, dzięki którym byłem człowiekiem potrafiącym docenić czystą pościel, dach chroniący przed deszczem i przyjaciela mogącego ofiarować tylko swą przyjaźń. Znowu byłem szczęśliwy. Było mi wstyd, że odczuwałem strach, że rozpacziałem. Z dystansu spoglądałem teraz na nieliczne przedwojenne niedogodności, które wywoływały czasem moje zrzędenie. Co mogłoby mnie wprawić dzisiaj w zły nastrój! ? Jakaż przeszkoda mogłaby sprawić, bym stał się kwaśny i ponury! ? Może gdyby Paula powiedziała mi nagle, że już mnie nie kocha... Tak. Być może.

Wydawało mi się teraz, że wyleczyłem się z wielu rzeczy. Wszystko to przeżywałem w myślach, kojarząc z różnymi sytuacjami, w jakich kiedyś się znajdowałem. Wyobrażałem sobie także śmierć bliskich, a nawet matki. Mówiłem sobie, że zniosę to wszystko, byle tylko skończyła się wojenna pożoga. Błagałem wszystkie moce pozaziemskie, by zechciały wybaczyć mi takie myśli, ale byłem gotów zaakceptować te nieszczęścia, jeżeli skończy się to ludobójstwo.

Przez wojnę stałem się nieczułym człowiekiem, jakimś niewzruszonym monstrem. Za dwa czy trzy miesiące miałem skończyć osiemnaście lat, lecz wydawało mi się, że jestem co najmniej trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Teraz, gdy osiągnąłem już ten wiek, czuję to jeszcze wyraźniej...

Po wojnie nastał dla mnie czas błęgiego spokoju. Nie przyniósł mi on jednak równie cennych wartości, jak lata wojny. Nigdy potem nie przekonałem się, tak głęboko jak podczas wojny, co to jest sens życia, wiara w miłość, bezgraniczne, absolutne uczucie. Dziś stwierdzam z przerażeniem, że czas

pokoju przynosi tylko monotonię. Gdy człowiek przeżywa trudne chwile w czasie wojny, rozpaczliwie tęskni za pokojem. Ale kiedy jest pokój, nie sposób, nawet nieśmiało, pragnąć wojny!

Dworzec przypominał ślepą uliczkę. Przed pełniącym funkcję peronów placem, trzy szerokie rosyjskie tory, połączone dwiema zwrotnicami, schodziły się w jeden odcinek, a nitka szyn urywała się gwałtownie pięćset metrów dalej. Miękki śnieg tłumiał odgłosy, a to czego nie zdołał przykryć, wydawało się szare i ponure.

Na tym kompletnie opuszczonym terenie znajdowało się kilka wozów i pustych skrzyń. W pobliżu głównego budynku dumnie piętrzyły się ułożone skrzynki z napisem WH. W środku, wokół czerwonego pieca siedziało nieruchomo czterech czy pięciu rosyjskich kolejarzy zdających się umierać z nudów. Nie widziałem żadnego składu przygotowanego do wyjazdu ani też żadnego pociągu na horyzoncie. Zauważyłem tylko wielki, wygaszony parowóz, jakby zastygły w czasie. Nie miałem pojęcia, co to za stacja. Może nie miała żadnej nazwy albo tablica z napisem kryła się w jakimś zakątku, tak jakby nie chciała nam, Europejczykom, zaprezentować swych niezrozumiałych liter... Pojawienie się pociągu w tym miejscu wydawało się równie niepewne, jak powrót wiosny w środku zimy.

Mimo znajdującej się w kieszeni przepustki rozgrzewającej mnie niby dobroczynny koksownik, poczułem się nagle w tej wielkiej Rosji strasznie zagubiony. Instynktownie ruszyłem w kierunku budynku, gdzie rosyjscy kolejarze tkwili równie beczynnie, jak wszyscy francuscy urzędnicy pocztowi, jakich udało mi się spotkać. Wiedziałem, że będę

miął wielkie problemy z porozumieniem się, bo nawet jeśli któryś z nich mówił po niemiecku, ja sam posługiwałem się tym językiem bardzo kiepsko, do tego stopnia, że ledwie rozumieli mnie moi towarzysze broni. Kilkakrotnie przeszedłem przed oszklonymi drzwiami, starając się dostrzec jakąkolwiek informację. Ponieważ nikt nie ruszał się z miejsca, przyłgnałem nosem do szyby. Wewnątrz siedziało czterech kolejarzy w cywilu jedynie z brudnymi opaskami na ramieniu. Faceci nawet nie unieśli oczu. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu obok nich dostrzegłem równie obojętnego, szpakowatego żołnierza w niemieckim mundurze. Zerknąłem jeszcze raz, by upewnić się, że nie śnię. Rzeczywiście był to niemiecki wojskowy drzemiący pospołu z Rosjanami. Zdenerwowany, pchnąłem gwałtownie drzwi, wszedłem do izby, czując dobroczynne ciepło buchające mi na twarz, po czym zamaszystym gestem regulaminowo pozdrowiłem siedzących. Umyślnie bardzo głośno trzasnąłem obcasami. Hałas zabrzmiął niczym wystrzał, zakłócając błogi spokój tego osobliwego dworca. Drzemiący Rosjanie drgnęli, po czym wolno unieśli się z miejsca, natomiast mój pobratymiec w niemieckim mundurze poruszył tylko nogą. Wydawał się mieć pięćdziesiątkę.

— Czego kolega sobie życzy? — odezwał się tonem handlarza, z którym niełatwo się targować.

Ten bezceremonialny ton zbił mnie na chwilę z tropu.

— Otóż... chciałbym się dowiedzieć, o której godzinie odjeżdża najbliższy pociąg do Ojczyzny — odpowiedziałem tonem bardziej niemieckim, niż zrobiłby to pierwszy obywatel Niemiec. — Jadę na urlop.

Facet uniósł się wreszcie z miejsca. Uśmiechając się, oparł się rękoma o stół i krokiem reumatyka podszedł do mnie.

— Jedziesz na urlop, chłopcze — ciągnął jowialnym tonem, który mnie drażnił. — Odpowiedni to czas na urlopy...

— O której godzinie mam pociąg?

Czułem, że facet za chwilę się rozgada i chciałem z miejsca uciąć rozmowę.

— Masz dziwny akcent. Skąd pochodzisz?

Znów poczułem zmieszanie. Chyba się zaczerwieniłem.

— Jestem pochodzenia francuskiego — odpowiedziałem niemal ze złością. — Mój ojciec... Spędziłem młodość we Francji. W każdym razie już prawie dwa lata walczę po stronie Niemiec.

— Jesteś Francuzem?

— Nie. Moja matka jest Niemką.

Zgrzytałem zębami ze złości; facet wydawał się tego nie dostrzegać.

— Ale w takich wypadkach liczy się ojciec. On także zaczynał się wkurzać.

— Wyobrażacie sobie? — zwrócił się do Ruskich, którzy oczywiście nic nie rozumieli. — Nawet francuskich dzieciaków biorą do wojska!

— O której godzinie mam pociąg?

— Niech cię o to głowa nie boli. Tutaj pociągi przyjeżdżają, jak mogą.

— Jak to!?

— Nie ma rozkładu jazdy. A coś ty sobie wyobrażał? To nie Reichbahn-dienst.

— Ale przecież...

— Jasne, czasem przyjeżdża tu jakiś pociąg, ale trudno przewidzieć kiedy!

Facet uśmiechnął się i szerokim gestem zachęcił mnie do podejścia.

— Siadaj z nami. Masz czas.

— Ależ nie. Ja nie mam czasu. Muszę pędzić dalej. Nie mam zamiaru kimać tu z wami.

— Jak chcesz. Skoro wolisz brnąć w śniegu... Albo idź aż do Winnicy. Tam pociągi kursują regularniej. Ale uważaj. To siedemdziesiąt kilometrów przez las. A poza tym, są tam ich kumple, co nie zgadzają się z Adolfem

1 mogą przerwać twój urlop.

Mówiąc to, patrzył z uśmiechem na Rosjan, którzy również uśmiechali się, nie rozumiejąc ani słowa.

— Jak to? Co pan ma na myśli? — zapytałem naiwnie.

— Do diabła! No przecież chodzi o partyzantów!

— Tu też są te łajdaki?

Spojrzał na mnie, tracąc niemal oddech z oburzenia.

— A co ty myślisz!?! Są też w Rumunii, na Węgrzech, w Polsce, a może nawet w Niemczech! Powaliło mnie to.

— No, siadaj już, chłopcze! Przecież nie jesteś winien temu wszystkiemu. Byłoby idiotyczne, gdybyś za kilka godzin dał się rozwalić. Udało mi się zdobyć prawdziwą kawę z kuchni. Ten gruby... (tu wymienił nazwisko) to równy gość. Jemu też już sprzykrzyła się zabawa w żołnierzyków.

Pojawił się z dużym dzbankiem do kawy, jakich używało wojsko.

— Tutaj mamy kawy pod dostatkiem — rzekł, spoglądając na ciągle uśmiechniętych Rosjan. Byłem zbity z tropu.

— Czy mogę się dowiedzieć, czym się pan zajmuje?

— Ba! — odpowiedział z wyraźnym niezadowoleniem. — Muszę pilnować wszystkich tych skrzyń (tu wskazał na skrzynki z napisem WH), dworca i tych nieboraków (wskazał na czwórkę Rosjan). Na co mi przyszło? W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat muszę się bawić w wartownika, a przecież emerytura tuż tuż, bo musisz wiedzieć, młodzieńcze, że mam już trzydzieści lat służby na kolei w Prusach i Niemczech. Właśnie dlatego znalazłem się tutaj, gdy przydzielili mnie do wojsk transportowych. Spe-cja-li-za-cja! Ot co! Nikt się nie marnuje! Każdy na swoim miejscu! Sprawnie działająca machina! Sieg Heil! — wrzasnął. — Ależ mi to wszystko zbrzydło!

Stuknął energicznie dzbankiem o stół. Zdawało mi się, że jestem w paryskim bistro. Byłem już cały skołowany.

— Zabrał pan ten dzbanek żołnierzom — zauważyłem, powracając do pierwszej myśli.

Facet spojrzał na mnie i wolno postawił naczynie na stole. Chwycił wypełnioną dymiącą kawą nakrętkę od manierki i wyciągnął ją w moim kierunku. Zmienił się na twarzy.

— Wypij to, chłopcze!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym ciągnął dalej poważnym i spokojnym tonem, jaki trudno jest przerwać.

— Posłuchaj no, chłopcze. Mam pięćdziesiąt siedem lat. W czasie wojny 1914-1918 służyłem w kawalerii. Dwa lata byłem jeńcem w Holandii. Już trzy i pół roku znów noszę, jak widzisz, niemiecki mundur. Moi trzej synowie walczą na różnych frontach, które nasza kochana Ojczyzna ciągle ma zamiar utrzymać. Jestem już starym człowiekiem i jeżeli kiedyś byłem zażartym wyznawcą różnych idei politycznych, teraz już nieaktualnych, dzisiejsza obchodzi mnie tyle, co ten dzbanek. Pij więc kawę, jaką dzięki temu dzbankowi mogliśmy podgrzać, i nie myśl teraz, jaka jest twoja rola w tym wszystkim.

Słuchałem go w osłupieniu.

— Nie jestem ani szefem, ani kapitanem, ani Fihrerem. Jestem tylko starym kolejarzem, którego zmuszono do zmiany munduru. Możesz więc usiąść i wypić spokojnie kawę.

— Ale to, co pan mówi, jest oburzające! Zdaje pan sobie sprawę, że niemieccy żołnierze codziennie umierają za Niemcy i że...!

— Jeśli Niemcy potrzebują mojej służby, jestem gotów przełożyć o kilka lat swoją emeryturę.

— Ale, ale...

Z oburzenia zabrakło mi tchu. Nie potrafiłem wyrazić słowami tego wszystkiego, co niemiecki idealizm zdążył już we mnie wpoić. Mimo że dość już się nacierpiałem w tej obłąkanej wojnie, nie wyobrażałem sobie innej postawy życiowej niż ta, jakiej nas nauczono. Czulem, że ten człowiek nie rozumie najważniejszej sprawy, a ja niestety nie potrafiłem tego

wyrazić. Może byłem za młody, by to wszystko zrozumieć...? Nie wiem.

— Nie zgadzam się z panem!! — wrzasnąłem wściekle. — Gdyby wszyscy myśleli tak jak pan, nic nie miałyby sensu! Przez takie rozumowanie pańskie życie jest nic nie warte!

Broń kolejarza walała się w kącie izby.

— Ten karabin mógłby wpaść w ręce pańskich przyjaciół! — zauważyłem, wskazując na Ruskich. — Nie pomyślał pan o tym?

Sądziłem, że facet wypieprzy mnie na dwór, ale jego zachowanie miało niewiele wspólnego z regulaminem wojskowym. Chyba czegoś się bał.

— Jak tylko wypijemy kawę, odniosę ten dzbanek z powrotem — rzekł, uśmiechając się gorzko. — Chcesz jeszcze trochę?

Wyciągnąłem nakrętkę w jego kierunku, rad, że sprowadziłem go na właściwą drogę.

Na tym cholernym dworcu musiałem czekać jeszcze dziewięć godzin, nim wsiadłem do pociągu, którego już się nie spodziewałem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Partyzanci zamiast urlopu_____

W pociągu jadącym z Winnicy do Lwowa i Lublina siedziałem w towarzystwie żołnierzy spod Czerkas i Krzemieńczuka. Właśnie od nich się dowiedziałem, jak zacięte walki toczyły się w tamtych okolicach. Miasta te zresztą albo już straciliśmy, albo lada dzień miały się poddać. Wszystkie nasze bronione bohatercko i kosztem ogromnych strat pozycje zajmowały wojska nieporównywalnie liczniejszego nieprzyjaciela. Jadący wraz ze mną żołnierze również udawali się na urlop. Mimo radości z tego powodu, wydawali się przytłoczeni klęską, jaką przeżyli.

W zimowy poranek o świcie dojechaliśmy do Lublina. Podobnie jak w Winnicy ziemię pokrywał śnieg, z tym że w Polsce było o wiele mroźniej niż w Rosji. Chociaż byliśmy przyzwyczajeni do spędzania nocy pod gołym niebem, podczas nocnej podróży odpoczęliśmy niewiele. Opuszczaliśmy pociąg z niezbyt zadowoloną miną i uniesionymi kołnierzami. Choć było jeszcze bardzo wcześnie, perony pełne były drepczących z zimna żołnierzy odpowiednio wyposażonych przed udaniem się na front. Wśród nich zauważyłem kolejnych rekrutów o chłopięcych, różowych twarzach. Na peronie przyjazdowym stali rozstawieni co dziesięć metrów żandarmi. Najwyraźniej przeceniłem swe siły po przebytej chorobie, gdyż na podaną przez megafony komendę wyskoczyłem na peron na chwiejących się nogach, skostniały z zimna i niewyspania.

Żandarmi ustawili nas w długi rząd równoległy do pociągu, po czym na ich rozkaz ruszyliśmy krokiem marszowym w kierunku wielkiego hallu znajdującego się na końcu dworca. Kiedy się tam przemieszczaliśmy, sapiąca lokomotywa ciągnęła puste wagony na boczny tor.

W hallu każdy z nas dostał po kubku dymiącego ersatzu i dwie łyżki jakiejś dziwnej marmolady. Gdy spożywaliśmy jedzenie, którym uszczęśliwiła nas armia, kilku znajdujących się na platformie kolejowej oficerów

regulowało wzmacniacz. Zarówno przy nich, jak i wokół wagonu stała żandarmeria polowa. Najpierw usłyszeliśmy jakieś trzaski, a po chwili rozległ się nosowy głos. Po odpowiednim uregulowaniu urządzenia usłyszeliśmy już wyraźnie mowę skierowaną pod naszym adresem. Z całej tej przemowy wyłowilem tylko dwa słowa, które sprawiły, że ugięły się pode mną nogi: „przepustki anulowane”. Niemal dwa tysiące urlopowanych żołnierzy zareagowało podobnie. Początkowo zdawało nam się, że się przesłyszeliśmy. Jednak takie słowa jak: „konieczność”, „trudności”, „obowiązek”, „nadzwyczajny wysiłek” czy „zwycięstwo” uświadomiły nam, że nie jest to zły sen. W żołnierskim tłumie rozległ się głuchy pomruk. Chłopaki z niezadowoleniem komentowali podjętą decyzję.

Z megafonów popłynęły dźwięki „Deutsche Marsche”. Odgłos instrumentów dętych zagłuszył pomruki niezadowolenia. Tysiące planów wzięło w łeb. Wzmocniono dźwięk, by nie słysząc było odgłosów rozczarowania. Marmolada wydała nam się nagle mdła, a ersatz gorzki. Nie dając nam czasu na rozczulanie się nad sobą, te cholerne gliny zagnały nas do pociągu gotowego do jazdy w przeciwnym kierunku. Pociąg czekał tylko na sygnał do odjazdu, by znów zawieźć nas do tej kurewskiej Rosji.

Trzy wagony załadowane były najrozmaitszymi rzeczami przeznaczonymi dla żołnierzy frontowych. Na domiar złego musieliśmy jeszcze sterczeć w kolejce przed tymi ruchomymi magazynami, żeby pobrać dodatkowe wyposażenie. Otaczali nas żandarmi, bo niektórzy z nas byli do tego stopnia rozczarowani, że nawet twarze wyrażały chęć dezercji. Dostaliśmy futrzane nakrycia głowy podobne do rosyjskich, wykonane pośpiesznie z owczej wełny kamizelki bez rękawów, rękawice z warstwą materiału od spodu, a dzianiną z wierzchu, wreszcie ogromne buty z wzmocnionymi korkiem podeszwami i wykonanymi chyba z włosia cholewami. Do pokaznego ekwipunku każdemu dorzucono jeszcze kilka puszek konserw na podróż. Nie mieliśmy już żadnych złudzeń: wysyłano nas na rosyjski front na okres zimy. Można było wyc z rozpacz.

Pociąg załadowany był po brzegi żołnierzami. Niektórzy, jeszcze całkiem młodzi, mieli dopiero zapoznać się z surowymi realiami wojny. Inni powracali z urlopów i wcale nie wydawali się radośniejsi niż my. Jeszcze inni, w tym również ja, piękne plany musieli schować na dnie plecaka, by znów troszczyć się o swój los, tak jak wszyscy, nawet najodważniejsi faceci na świecie, kiedy widzą przed sobą niepewną przyszłość.

Jechaliśmy teraz w kierunku przeciwnym do poprzedniej trasy, której nawet całkowicie nie pokonaliśmy. Pełen gorzkości, przypominałem sobie Magdeburg i skrócony urlop. Niestety, droga powrotna nie przebiegała obecnie przez Berlin, toteż nie miałem najmniejszej szansy spotkania Pauli, jak za pierwszym razem. A poza tym nie mogłem nigdzie się zatrzymać, choćby na dobę. Im dłużej myślałem o tym wszystkim, tym bardziej to przeżywałem.

Wreszcie wpadłem w czarną rozpacz. Pozostawała jedyna nadzieja.

Obiecałem sobie, że gdy tylko powrócę do jednostki, powiem, że jestem rekonwalescentem. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, by wyjaśnić to żandarmom?! Z drugiej jednak strony na sam widok tych durniów człowiek tracił jakąkolwiek nadzieję, że może coś wskórać. W kompanii tylko Wes-reidau mógłby mi ewentualnie pomóc.

Pociągi udające się na front jechały, jak zwykle, w ekspresowym tempie w odróżnieniu od składów wiozących nas czasem do rodzinnego kraju. Te ostatnie, cholera wie dlaczego, stały godzinami na trasie, tracąc cenny czas. Nasz pociąg w przyzwoitym tempie jechał już przez Rosję, wioząc zgorzkniałych pasażerów. Pośpieszny powrót zakłóciło jednak pewne wydarzenie. Po uzupełnieniu zapasów parowóz ruszy z miejsca, by zatrzymać się dopiero w okolicach Winnicy. Na dworcu, skąd właśnie odjeżdżaliśmy, widzieliśmy napisy z nazwami dalekich miast, do których nie mogliśmy już jechać: Konotop, Kursk, Charków... Z nazwami tymi kojarzyły się niewesołe wspomnienia.

Po piętnastu minutach jazdy na wszystkich kołach pociągu zazgrzytały ostro hamulce.

Wagony zatrzęsły się gwałtownie, po czym zatrzymały się, a wszystkie walizki i plecaki pospadały. Rozległy się przekleństwa. Myśleliśmy, że pociąg się wykoleił. Odziani w długie płaszcze wojskowi biegli w śniegu wzdłuż pociągu. Na nasze pytania wskazywali na znajdujące się przed nami tory.

— Macie szczęście, że w porę się zatrzymaliśmy — rzucił któryś z nich. Po wschodniej stronie, na torach biegnących poprzez rzadki las, w odległości około pół kilometra zauważyliśmy przewracane wagony.

Zeskoczyliśmy na ziemię, wypytujac się o szczegóły. „Partyzanci, dynamit, rozrywające się pod lokomotywą szyny, pociąg wiozący ładunki wybuchowe, stu pięćdziesięciu zabitych żołnierzy, akcja odwetowa, patrole, pogoń...” — te oto słowa docierały do naszych uszu.

Trzystu chłopaków, którzy wyszli z tego bez szwanku, zabrało się do roboty. Część pozostała na miejscu, niosąc pomoc rannym i ostrzegając nadjeżdżające pociągi, pozostali rozwinęli się w tyralierę, ruszając w pogoń za bandytami. Rosjanie nie dość, że zniszczyli tory, to jeszcze otworzyli ogień do żołnierzy szamoczących się rozpaczliwie w wywróconych wagonach. Rozległy się gwizdki oficerów na zbiórkę, na którą stawilo się co najmniej trzy tysiące żołnierzy. Błyskawicznie podzielono nas na trzy grupy. Najlicniejsza, w której i ja się znalazłem, w sile około dwu tysięcy ludzi, otrzymała rozkaz oczyszczenia terenu z bandytów. Druga miała udzielać pomocy poszkodowanym. Zadaniem trzeciej było pilnowanie pociągu. Większość oporządzenia zostawiliśmy w wagonach, po czym w rytm gwizdka ruszyliśmy sportowym truchtem w teren pokryty dwudziestocentymetrową warstwą białego puchu. Bieg w śniegu nie należy do łatwych. Wystarczą dwie minuty, by spocić się jak mysz. Po dwudziestu minutach człowiek oddycha z wielkim wysiłkiem. Po godzinie klucia w boku rozdzierają płuca, a przed oczami

pojawiają się jaskrawe plamy. Nie było zbyt zimno. Zmęczeni biegiem nie mogliśmy złapać tchu. Podążający za nami oficerowie i podoficerowie spa-sowali w końcu, przechodząc w marsz. Kiedy po dziewięćdziesięciu minutach dotarliśmy do dość dużej, typowo rosyjskiej wioski, pulsowało nam w skroniach. Niemal wszystkie domy pokrywały strzechy. Tak jak to było w zwyczaju u wieśniaków, znajdująca się obok szopa, której ściany wykonano z plecionych łądy słonecznikowych, mieściła zimowe zapasy.

Niemieccy żołnierze już tam byli. Na obszernym placu, na którym śnieg przykrywał ubitą ziemię, zgromadzono mieszkańców wioski. Pośrodku tłoczyli się cywile w różnobarwnych strojach — mężczyźni, kobiety i dzieci — dyskutując hałaśliwie. Wokół tej kłębiącej się masy stali niemieccy żołnierze. Część z nich przygotowała już stanowiska kaemów. Kolejna grupa wyganiała na plac pozostałych Rosjan. Zmieszani z cywilami żołnierze wrzeszczeli i gestykulowali zawzięcie. Na prawo, obok baraku przypominającego budynek miejski, trzecia grupa żołnierzy z palcem na spuście pilnowała z dwunastu Rosjan leżących brzuchem na ziemi. Początkowo myślałem, że nie żyją. Byli jednak cali i zdrowi — kazano im tylko przyjąć taką pozycję.

— Udało się kilku złapać — mruknął stojący obok mnie żołnierz.

Czy to właśnie byli winni? Czy też może tylko podejrzani? Nie ja stawiałem takie pytania. Przesłuchanie trwało już co najmniej godzinę. Leżącym na brzuchu Roskim zamroziło chyba flaki. Chłopaki wyciągnięci w takiej samej pozycji za swoimi pukawkami nie mieli im czego zazdrościć.

W pościgu uczestniczył także pluton SS. To właśnie dzięki esesmanom znalazłem się w gronie wybrańców mających nadal ścigać partyzantów. Grupa pościgowa liczyła około stu chłopaków, którzy podobnie jak ja wracali na front. Uwagę esesmanów zwróciła na pewno opaska z napisem „Gross Deutschland”, jaką nosiłem na lewym ramieniu. Woleli oni żołnierzy służących w jednostkach noszących jakąś nazwę, niż w anonimowych dywizjach. Bez zbędnych wyjaśnień załadowano nas na ciężarówkę należące do plutonu S S, po czym ruszyliśmy w drogę, nieświadomi dalszego losu leżących na śniegu cywili. Po dwudziestu minutach i pokonaniu pagórkowatego terenu, padła komenda zejścia z samochodów. Do naszej grupy podszedł kapitan SS odziany w długi płaszcz z ciemnej skóry.

— Rozwinąć się w tyralierę na prawo i ostrożnie posuwać się przez ten lasek! Kilometr w kierunku zachodnim znajduje się fabryka, której jeszcze nie widzicie. Jadący z nami rosyjscy świadkowie mówią, że kryje się tam sporo bandytów. Mamy ich zaskoczyć i zlikwidować. Wyznaczył dowódców grup, po czym ruszyliśmy do akcji. — Jeszcze tylko tego brakowało! — pomyślałem. Cholerny urlop! Lepiej już było zostać w szpitalu w Winnicy.

Wkrótce dostrzeżliśmy szereg metalowych dachów. Był to zapewne zakład, o którym wspominał kapitan. Nie miałem zbyt wiele czasu na rozglądanie się dookoła. Z lewej strony rozległa się seria z pistoletu maszynowego. Esesmani zaczęli wrzeszczeć:

— Wpadliście, psy! Wszelki opór nadaremny!

Bez wątpienia, ujęci przez nas rosyjscy partyzanci zmuszeni zostali pod groźbą do ujawnienia kryjówki, którą teraz otaczaliśmy. Usłyszeliśmy serię wystrzałów.

Z bezpośredniego sąsiedztwa budynków fabrycznych dochodził charakterystyczny odgłos rosyjskich pistoletów maszynowych. Wraz z jakimś facetem przyłgnałem do niewysokiego drzewa, którego uginające się od śniegu gałęzie schodziły aż do ziemi. Rozległy się gwizdki wzywające do dalszego marszu. — Idiotyżmem byłoby dać się rozwalić tej garstce bandytów — pomyślałem i początkowo nie wychodziłem spod drzewa. Kolega mruknął:

— Mamy tych chujów! Odechce im się wykolejać pociągi!

Przez pięć minut trwała intensywna wymiana ognia, po czym dookoła żołnierze zaczęli wstawać z ziemi. Poddało się z dziesięciu rosyjskich cywili. Niektórzy z nich śpiewali jakąś bojową pieśń, większość jednak krzyczała: „litości!”, „litości!”! Zagnano ich do kupy i po chwili rozpoczęło się ostre wypytywanie. Rosjanie otoczeni przez trzydziestu esesmanów doszli do ciężarówek. Myśleliśmy, że to już koniec akcji, gdy nagle kapitan SS zagwizdał na zbiórkę.

— Ci tchórze — zaczął, wskazując na chlipiących jeńców, którzy oddalali się, stłoczeni, w asyście strażników — mówią, że nikogo tu nie ma. Może myślą, że w ten sposób uratują tych, co jeszcze kryją się w tych rudkach (tu wskazał fabryczkę). Rozwalić mi to wszystko!

Musimy zgarnąć ich wszystkich i znaleźć broń, jaką na pewno ukrywają.

Nie było o czym dyskutować. Z wyschniętymi ze strachu ustami zaczęliśmy podkraść się do hal zawalonych najróżniejszymi przedmiotami. Stanowiły one niezłą kryjówkę, co jeszcze bardziej utrudniało nam zadanie. Choć było nas sporo, nie mieliśmy zbyt tęgich min. Nawet gdyby rosyjska obrona zaczęła już się załamywać, każda wystrzelona przez partyzantów kula na pewno byłaby celna. To że mieliśmy przewagę, wcale nie podnosiło mnie na duchu. Nawet gdybym miał być jedyną ofiarą w milionowej armii, zwycięstwo takie nie miałoby dla mnie żadnego znaczenia. Liczba zabitych, którą czasem podają niektórzy chełpiący się dowódcy, nic nie pomoże temu, kto poległ. Jedynym dowódcą, który według mnie wypowiedział sensowne zdanie, gdy zachęcał swe wojska, by nigdy nie ulegały nieprzyjacielowi, jest Adolf Hitler: „nawet w zwycięskich armiach są ofiary”.

Co produkowano w tej zagubionej wiejskiej fabryczce? Może deski. Na początku hali stała wielka piła taśmowa. W głębi znajdowało się wiele innych. Jeszcze dalej zauważyłem przypominające pogłębiarkę urządzenie z zardzewiałymi czerpakami na grubej taśmie. W dwóch następnych halach nie było nic. Może jeńcy mówili prawdę. Jednak padł rozkaz, by kontynuować akcję. Otoczyliśmy cały zakład, po czym stopniowo pierścień się zacieśniał. Weszliśmy do kilku dużych hal grożących zawaleniem. Ich metalowe ściany chyba nigdy nie były malowane. Wszystko zżerała rdza, podobnie jak stare, walające się w porcie łańcuchy. Zerwał się dość silny wiatr. Chwiejna konstrukcja zaczęła brzęczeć ponuro. Poza tym panował spokój. Tylko od czasu do czasu złowrogą ciszę zakłócały odgłosy metalowych blach albo stosów skrzyń przewracanych naumyślnie przez niektórych żołnierzy.

Wraz z sześcioma czy siedmioma kolegami posuwałem się w ciemnej, zagraconej hali bez żadnego otworu, przez który przedostawałoby się światło dnia. Słyszeliśmy jakieś stukoty. Dźwięki dochodziły ze wszystkich stron, a szczególnie od strony słabo umocowanych blach, które poruszał wiatr. Nikt nie myślał o tym, by staranniej się ukryć. Wiedzieliśmy, że może tu na nas czekać niemiła niespodzianka i nic nie mogliśmy na to poradzić. Na zewnątrz esesmani schwytali chyba kilku Rosjan. Rozległy się ze dwa-trzy wystrzały, po czym usłyszeliśmy krzyki. Esesmani, wrzeszcząc, gonili kogoś. Nagle całą halą wstrząsnęły detonacje. Ciemne poddasze rozświetliło kilka błysków. Czterech kolegów prawie jednocześnie wrzasnęło przeraźliwie. Dwóch z nich upadło na zakurzoną posadzkę. Pozostali zachwiali się, obracając się ku otwartej bramie. Ci, którzy nie byli ranni, rzucili się w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Potykaliśmy się w mroku o różne przedmioty, nie wiedząc, czy rzeczywiście

jesteśmy należycie ukryci. I znów rozległy się wystrzały. Znajdujący się ode mnie na prawo dwaj kolejni żołnierze zawyli z bólu. Mój mauzer drgnął gwałtownie na skutek uderzenia pocisku. Kula, która o mały włos ugodziłaby mnie, oderwała część kolby.

Dwaj koledzy, którzy chwiejnym krokiem usiłovali dostać się do wyjścia, znów zostali trafieni; ciągle jednak trzymali się na nogach. Był to żałosny widok. W końcu obaj osunęli się na płamę białego śniegu naniesionego do wnętrza przez wiatr. Do hali zbliżyli się inni żołnierze, nie wchodzili tu jednak. Oddali tylko kilka serii z pistoletów maszynowych, ryzykując bardziej zranienie nas niż partyzantów. Wewnątrz oprócz mnie pozostało już tylko dwóch sprawnych żołnierzy, lecz robiliśmy tyle hałasu, jakby było nas z pięćdziesięciu. Gdyby tamtym głupkom strzeliło do łba rzucić do środka granaty, rozwaliliby nas razem z Ruskimi. Na szczęście usłyszeli nasze wrzaski, toteż musieli obrać inną taktykę. Zaczęli rozrywać pozginane blachy stanowiące ściany hali. Rosjanie natomiast strzelali w każde miejsce, gdzie — jak sądzili — coś się ruszało. Kule rozrywały blachy, przez co znajdujący się na zewnątrz koledzy również wystawieni byli na niebezpieczeństwo. Umierałem ze strachu.

Wołano do nas, abyśmy wyszli. Gdybyśmy ruszyli do bramy, na pewno rozwaliliby nas ruscy strzelcy ukryci między belkami poddasza. Niemniej jeden z nas zaryzykował. Udało mu się wykonać tylko dziesięć susów.

Czy miałbym pozostać sam w tej cholerniej hali? Wiedziałem, że jeszcze jeden kolega gdzieś się ukrywa. Truchlałem ze strachu. Bardziej jeszcze niż w Biełgorodzie czułem czające się w pobliżu niebezpieczeństwo. Zagryzłem wargi, by nie krzyczeć z przerażenia. Znajdujący się na zewnątrz żołnierze wrzeszczeli, cały czas usiłując rozwalić ściany hali. Przyczajeni na poddaszu

Rosjanie siedzieli cicho jak mysz pod miotłą. Zresztą stamtąd, gdzie się ukryłem, nie mogłem nic dostrzec. Nagle z tyłu, za stosem rupieci i filarem, usłyszałem jakiś szmer. Zdawałem się jeszcze bardziej nieruchomy, niż gruba rura z cementu, za którą się schowałem. Hałas na zewnątrz nie pozwalał mi dokładniej rozróżnić podejrzanych odgłosów. Starłem się maksymalnie wyteńczyć słuch. Rozległy się kolejne szmery, tym razem wyraźnie j sze. Wstrzymałem oddech, usiłując powstrzymać bicie serca, które kołatało jak szalone. Przez spanikowaną głowę przelatywały tysiące najczarniejszych myśli. Wyobrażałem sobie, że jestem już martwy albo że zostałem ujęty jako jeniec i zakładnik zarazem przez rosyjskich partyzantów, którzy mieli się mną posłużyć, by wyjść z okrążenia. Ogarnęła mnie taka panika, jak nigdy dotąd. Po chwili jednak odezwał się dziki instynkt samozachowawczy. Trzęsąc się ze strachu i wściekłości, przestałem nagle logicznie myśleć. Niebezpieczeństwo było coraz bliżej. Czułem to jakimś dodatkowym zmysłem. Mógłbym założyć się o masę forsy, że ktoś poruszał się za ochraniającą mnie kupą rupieci.

Poczułem się samotny i zrozpaczony. Byłem jednak gotowy bronić się za wszelką cenę. Nagle, w odległości pięciu metrów, pojawiła się jakaś postać. Poczułem przebiegające przez ciało dreszcze. Wkrótce pojawiła się kolejna, zmierzająca do sterty worków. Mimo że obie były w cieniu, zdołałem rozpoznać dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Znajdujący się bliżej mnie miał na głowie wielką czapkę. Nigdy nie zapomnę jego sylwetki. Był wysoki i dobrze zbudowany. Na chwilę znieruchomiał. Bez wątpienia starał się dostrzec coś w panującym mroku. Zrobił kilka kroków, oddalając się od mej kryjówki. Lufa mojego mauzera powoli, jak piasek opadający bezszelestnie do dolnej części klepsydry, skierowała się ku mężczyźnie. Wiedziałem, że w lufie tkwi kula, nie musiałem więc manipulować rączką zanika. Całym wysiłkiem woli starałem się opanować nerwowe drżenie rąk sprawiające, że moje ruchy nie były precyzyjne. Minimalne poruszenie, a tamten wysłałby w moim kierunku serię z pistoletu maszynowego. Byłem o tym przekonany. Gdyby dostrzegł mnie pierwszy, nie zdołałbym wykonać najmniejszego ruchu. Na szczęście, znajdujący się na zewnątrz koledzy robili niezły harmi-der. Stojący sześć albo siedem metrów przede mną facet musiał

mieć podzieloną uwagę: niebezpieczeństwo czaiło się zarówno w środku, jak i z drugiej strony hali. Moja broń znalazła się wreszcie w pozycji poziomej. Palec nerwowo dotykał spustu, ciągle jednak zwlekałem z oddaniem strzału. Nie sposób ot tak, z zimną krwią, zabić człowieka. Albo trzeba być ostatnim łajdakiem, albo też, tak jak ja, na wpeł sparaliżowanym ze strachu. Mężczyzna zmienił kierunek marszu. Jego towarzysz był teraz ledwie widoczny, oddalony mniej więcej o dwadzieścia metrów.

Wreszcie skręcił w moim kierunku, dysząc ze zdenerwowania. Chyba dostrzegł w cieniu jakiś kształt i metaliczny odblask. Przez ułamek sekundy zawahał się. Wtem oślepił go błysk wystrzału. Facet runął na pokrytą kurzem posadzkę, prawdopodobnie z piersią przebitą na wylot moją kulą.

W mych wilgotnych dłoniach drżała jeszcze dymiąca broń. Drugi mężczyzna rzucił się do ucieczki, pozostawiając martwego towarzysza u moich stóp. W głowie poczułem nagle jakby wielką, czarną dziurę. Ogarnął mnie jakiś koszmar, jak w gorączce. Zdawało mi się, że spadam, cały czas spadam w przepaść. Z zewnątrz w dalszym ciągu dochodziły hałasy. Z jednej strony chciałem uciekać co sił, z drugiej jednak paraliżujący strach przygwoździł mnie do ziemi. Przerazonym wzrokiem patrzyłem na ciało leżące twarzą ku ziemi kilka metrów dalej. Nie mogłem uwierzyć, że zabiłem tego człowieka. Myślałem, że ujrzę wypływającą spod trupa kałużę krwi. Byłem obojętny na wszystko, co się dookoła działo. Wstrząśnięty dramatem, który rozegrał się w hali, uporczywie spoglądałem na nieruchomą postać.

Nagle zawaliła się cała ściana konstrukcji. Kolegom udało się w końcu rozerwać metalowe płyty. Światło dnia zalało wnętrze, dzięki czemu wszystko nie wyglądało już tak złowrogo. Widok wchodzących do środka żołnierzy wyrwał mnie z odrętwienia. Dostrzegłem nawet kapitana SS, który dołączył do nich, kryjąc się za powalonymi blachami. Znajdował się niemal dokładnie naprzeciw mnie, w odległości dwudziestu metrów.

— Czy tam w środku jest jeszcze ktoś żywy?! — krzyknął. Skinąłem nieznacznie ręką, co nie uszło jego uwagi. Wiedziałem, że

w hali ukrywa się jeszcze co najmniej jeden Rusek, toteż bałem się zdradzić, gdzie jestem. Jeden z kolegów, chyba tak samo błądzący ze strachu jak ja, wykrzyknął zza stosu rupieci:

— Do mnie, koledzy! Mam tu rannego!

— Nie ruszajcie się z miejsca! — odkrzyknął kapitan. — Wykurzimy ich stamtąd!

Oficer dostrzegł martwego Rosjanina leżącego koło mnie. Usłyszeliśmy warkot zbliżającego się szybko pojazdu. Nawet nie ruszając się z miejsca, mogłem dostrzec samobieżny karabin maszynowy piaskowej barwy podrygujący w miękkim śniegu. Pojazd z charakterystyczną wieżyczką strzelniczą ruszył w powstały wyłom. Rozbłysnął potężny reflektor, spowijając halę światłem. Za pojazdem kryli się niemieccy żołnierze, kierując broń do jej wnętrza. Gdy omiół mnie snop światła, poczułem przechodzące po plecach dreszcze. Przez chwilę wyobrażałem sobie, jaką minę muszą mieć truchlejący ze strachu Rosjanie. Do bramy, gdzie leżało ciągle dwóch towarzyszy, zbliżali się żołnierze rozwinięci w tyralierę na śniegu.

Kapitan krzyknął donośnym głosem:

— Poddajcie się albo wystrzelamy was jak kaczki!

Nie nastąpiła żadna reakcja. Rozległ się tylko krzyk ze słabo oświetlonego poddasza. Okrzyk trwogi taki, jaki o mały włos ja sam bym przed chwilą wydał. Wprowadzono do akcji zainstalowany na wozie pancernym cekaem. Każda seria odbijała się strasznym echem wokół hali, zdając się rozwalać ją w pył. Pociski rozpryskowe rozrywały dach. Pojawiały się w nim liczne dziury, przez które przedostawało się jasne światło dnia. Strzelali również wszyscy żołnierze, mierząc w górną część dachu. Przykucnąłem, przyciskając ręce do uszu, by stłumić nieco hałas. Do strzelaniny dołączyły się pistolety maszynowe piętnastki bandytów schowanych między belkami na poddaszu. I znów rozległy się strasliwe krzyki. Na ziemię upadło ciało, wydając taki odgłos, jak kawał mięsa rzucony na kloc rzeźnicki. Serie z cekaemu rozerwały cały dach. Wszystko zostało już rozwalone i partyzanci

nie mieli gdzie się ukrywać. Kolejny z nich runął na ziemię. Rosjanie usiłovali uciekać, rozpaczliwie prześlizgując się między resztkami dachu. Niektórzy spadli na ziemię, łamiąc sobie kości. Pozostali tkwili między belkami. Wszystkich roznieśliśmy na strzępy. Był to okropny widok. Tak oto pomściliśmy ofiary z wysadzonego w powietrze pociągu. Żołnierze zebrali się na placu. Mogłem wreszcie opuścić swoją kryjówkę. Byłem cały zakurzony, a jakieś drobne świństwa utkwiły mi nawet między pasem a płaszczem. Ruszyliśmy w kierunku wioski, śpiewając:

Markische Heide, Markischer Sand Sind des Mdrkers Freude, Sind mein Heimatland...

I znowu byliśmy zwycięzcami. Nikt, oprócz niebios, nie miał prawa nas sądzić.

Esesmani załadowali na ciężarówki kilku jeńców, którzy poddali się przed masakrą. Kolumna pojazdów oddaliła się tą samą drogą, którą przybyliśmy. Wyznaczona przez esesmanów grupa po zakończonej akcji ruszyła wraz ze mną piechotą do wioski. Ktoś rzucił komendę, żebyśmy szli w kolumnie trójkowej. Rytmicznym krokiem, ze śpiewem na ustach, weszliśmy do wsi. Zgromadzony tłum już się rozszedł, co przyjęliśmy z ulgą.

Od esesmanów z grupy operacyjnej każdy z nas dostał pismo wyjaśniające spóźniony powrót do jednostki. Wreszcie polecono nam wrócić do uszkodzonego pociągu. Bez żalu opuszczaliśmy wioskę, gdzie rozegrał się ten ponury dramat. Na skraju wsi ujrzelśmy równie posępną scenę, jak tamta w rozwalonej hali, a mianowicie pluton egzekucyjny w akcji.

Oddano kolejno cztery salwy, z których każda uśmierciła czterech partyzantów. Ciała pozostawiono na śniegu, a pluton wrócił do wioski. Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Naprędce zorganizowano pochówek tym, co zginęli w wyniku wykolejenia się pociągu i eksplozji niektórych wagonów. Była ich co najmniej setka. Wygłoszono do nas krótkie przemówienie dotyczące niedawnej tragedii. Za wszystko, co się wydarzyło, odpowiedzialni byli partyzanci. Wyjaśniono nam, że bandyta w żadnym wypadku nie może mieć takich samych praw, jak człowiek noszący mundur. Prawo wojenne automatycznie skazywało partyzantów na karę śmierci bez sądu.

Noc spędziliśmy w unieruchomionym pociągu. Spałem bardzo źle. Gdy tylko zamykałem oczy, przypominał mi się przeżyty koszmar. Widziałem we śnie znajdujący się przede mną wielki kamień, spod którego wypływała ciemna kałuża krwi. Krew płamiła mi stopy, podpalając je równocześnie.

Nastał bardzo mroźny dzień. Z przeciwnej strony nadjechał pociąg wysłany nam na pomoc. Kawowy ersatz zdążyliśmy już wysikać co najmniej dwa razy. I znowu słyszeliśmy monotonne „glang-glang” kół uderzających w zespolenia szyn. Długo błądziłem wzrokiem po niezmierzonej tundrze pokrytej śniegiem. Monotonię krajobrazu przerywały od czasu do czasu widoczne na dalekim horyzoncie wzniesienia zwieńczone białymi świerkami. Po raz kolejny ogrom przyrody przytłaczał mnie. Jeszcze nigdy pojęcie przestrzeni nie było dla mnie tak namacalne, jeszcze nigdy wyraz „ogromny” nie był tak konkretny, tak sugestywny, jak w tej stworzonej przez olbrzymów Rosji. Czy możliwe, aby cały ten obszar objęty był albo kontrolą NKWD, albo władz niemieckich?

Dotarliśmy do Winnicy jeszcze tego samego dnia wieczorem. Na peronach i w niezliczonych halach dworcowych pełno było wojskowych ubranych w długie płaszcze. Transport zdeorganizowały chyba ataki lotnicze, co wyjaśniało obecność takich tłumów na stacji. W tamtym okresie właśnie w Winnicy stacjonowała dywizja „Gross Deutschland”. Z polecenia żandarmerii wojskowej natychmiast po przyjeździe zameldowałem się w dowództwie swojej jednostki. Mile zaskoczył mnie panujący tam porządek. Gdy wymieniłem nazwę i numer swojej kompanii, dokładnie określono mi miejsce, w którym obecnie się znajdowała.

Stwierdziłem z przerażeniem, że wraz z dwudziestoma innymi została ponownie skierowana na odcinek frontu (podano mi zresztą nazwę i numer odcinka) znajdujący się sto pięćdziesiąt kilometrów od Winnicy. Myślałem, że zastanę przyjaciół zgromadzonych przy iskrzącym się

rosyjskim kominku i porozmawiam o odwołanym urlopie, a także o możliwości ponownego otrzymania go. Tymczasem miałem spotkać się z towarzyszami niedoli w zimnych, niezdrowych i niebezpiecznych okopach. Wiadomość ta wywarła na mnie takie wrażenie, że stałem jak skamieniały przed sztabsfeldfeblem, który mnie tam skierował. Facet początkowo nie zwracał na mnie większej uwagi, w końcu jednak zdziwił go mój wygląd.

— Co wam jest? — spytał. — Macie jakieś dolegliwości?

Zacząłem gorączkowo szukać odpowiednich słów, aż wreszcie, zrezygnowany, wyjawilem całą prawdę.

— Miałem wyjechać na urlop zdrowotny — wyjaśniałem — ale anulowano mi go w Lublinie, Hen Stabsfeldwebel.

— Ojczyzna przeżywa trudne chwile, młodzieńcze — rzekł po chwili namysłu. — Nie tylko was pozbawiono wypoczynku. Ci, co byli przed wami i ci, co stoją za wami, są w tej samej sytuacji.

Chciałem dodać, że jestem także rekonwalescentem, gdy nagle wśród moich dokumentów dostrzegłem pismo od kapitana SS.

— Wyróżniście się w potyczce z bandytami w drodze powrotnej — odezwał się. — Moje gratulacje. Dołączam ten dokument do waszych papierów. Na pewno dowódca kompanii mianuje was, kolego, na stopień Obergefreitera. Pomimo szoku, w jakim się znajdowałem, twarz pojaśniała mi na chwilę.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, Hen Stabsfeldwebel — odezwałem się ni to nieoficjalnym, ni to służbowym tonem.

— Mnie również bardzo miło z tego powodu — rzekł, wyciągając do mnie rękę.

Wyszedłem wraz z trzydziestką „szczęśliwców” znajdujących się w podobnej sytuacji. Głowa pękała mi od natłoku myśli. Niejako na osłodę zjadłem nawet całkiem znośny gulasz.

Pozwolono nam spędzić noc w ciepłym, wygodnym budynku przekształconym w noclegownię wojskową. Dla wszystkich, oczywiście, nie starczyło łóżek, za to wyłożona dywanami izba była wspaniale ogrzana. Choć z niepokojem czekaliśmy na następny dzień, wszyscy dobrze spaliśmy.

W tych pełnych napięcia dniach każdy z nas nauczył się nie myśleć zbyt wiele i kiedy tylko można, wykorzystywać wolny czas na sen. W ciężkich chwilach rozważania nie prowadziły do niczego dobrego, a tylko potęgowały niepokój. Natomiast sen był lekarstwem na wszystko. Dzięki niemu szybciej upływał czas, dzięki niemu odzyskiwaliśmy siły. Niestety, nie można było wypaść się na zapas w przewidywaniu, że nadejdą bezsenne noce. Spaliśmy jak susły przez całą noc i następną dobę. Przerywaliśmy sen tylko po to, by udać się do kuchni polowej. Kolejnej nocy obudził nas jednak obergefrajter. Facet doprowadził nas do ciężarówek, które miały nas zawieźć w rejon operacji.

Poczuliśmy na plecach przenikliwy ziąb, jak strumień wody z nieuregulowanego prysznica. Pokrywający wszystko zimowy szron mienił się błękitnym blaskiem. Zarządzono zbiórkę przy samochodach, po czym ruszyliśmy na wojaczkę.

O świcie dotarliśmy do osiedla baraków zbudowanego przez niemieckie wojska inżynieryjne.

Po zejściu z pojazdów dostaliśmy ersatz kawy gotowany przez trzech kucharzy przez cały dzień. Panował siarczysty mróz. Przypominała się ostatnia straszna zima: zimne poranki, atakujący człowieka ziąb, niemożność umycia się, wszy i tysiące innych niedogodności sprawających, że życie stawało się nie do zniesienia. Również tutaj na każdym kroku czuło się wojnę. Żołnierskie twarze wyrażały niepokój i napięcie. Wielkie leje, zapewne po bombach lotniczych, uświadamiały nam, że spokoju tu nie będzie.

Było nas około pięćdziesięciu. Mieliśmy dołączyć do macierzystych oddziałów oddalonych od siebie o sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt kilometrów. Podzielono nas na cztery grupy.

Każda z nich otrzymała pocztę i pewną ilość zaopatrzenia dla kompanii, do których mieliśmy dotrzeć. Mimo że nie służyłem już w kolejowych oddziałach transportowych, znów byłem

zaopatrzeniowcem. Opisano nam tylko z grubsza trasę, którą mieliśmy się posuwać, korzystając z pomocy kompasu. Podoficer porównał ją z mapą, stwierdzając triumfalnie, że mamy do pokonania trzydzieści pięć kilometrów. Przyjąwszy te cenne uwagi do wiadomości, ruszyliśmy w teren pełen rozległych, zaśnieżonych dolin. Wokół bazy, którą opuściliśmy, rozciągał się budzący respekt pas obrony o głębokości co najmniej jednego kilometra. Były tam głównie zapory przeciwczołgowe i pola minowe; musieliśmy je ostrożnie omijać. Znajdowały się też niezliczone stanowiska kaemów. Za tą strefą, aż po horyzont, rozciągała się zamarznięta dziewicza ziemia, gdzie mogło zdarzyć się wszystko. Nagle zrozumieliśmy, że od tej granicy teren należy do tego, kto aktualnie się na nim znajduje. Prawdopodobnie ciągle zmienia on właściciela. Tutaj nie było wyraźnej linii frontu. Przypominała ona raczej ogromną koronkę z tysiącami pułapek, nieoczekiwanych spotkań, nagłych potyczek.

Razem z nami maszerował jeden rekrut. Całkiem młody facet, długi jak trawa wyrosnięta zbyt szybko w nadmiernej wilgoci. Jego wielkie, płochliwe jak u gazeli oczy pochłaniały niezmierną przestrzeń, którą nie sposób było ogarnąć. Musiał czuć się bardzo obco. Skurczony i zadymiony horyzont Zagłębia Ruhry nie dawał mu żadnego wyobrażenia, jak ogromne mogą być przestrzenie.

Ja sam ciągle czułem się tak jak on. Nie zdążyłem się jeszcze do tego przyzwyczaić. Reakcje chłopaka przypominały mi moje własne sprzed roku. Po dziesięciu pochmurnych dniach, kiedy padał śnieg, nastąpiło mroźne, suche powietrze. Mieliśmy doskonałą widoczność. Wiejący poprzednio wiatr wymiół leżący śnieg, gromadząc go przy naturalnych wzniesieniach i wypełniając nim wszystkie dziury. Miejscami prześwitywały wielkie połacie brunatnej ziemi. Właśnie tamtędy staraliśmy się posuwać, by nie dostrzeżono nas na tle śniegu, chyba że powodowało to zbytne zboczenie z trasy. Co godzinę robiliśmy krótkie postoje.

Od południa dostrzeżliśmy cztery, a może pięć lecących nisko samolotów.

Znieruchomieliśmy na chwilę, zastanawiając się, czego one tu szukają. Nie potrafiliśmy powiedzieć, czy są to Jaki, czy też Messerschmitty-109. Maszyny zniknęły na dalekim horyzoncie.

Nim zdążyliśmy się zorientować, gdzie jesteśmy, nadeszła regulaminowa pora posiłku. Menażki pełne były żywności, w jaką zaopatrzone nas w Winnicy. Podoficer, którego zadaniem była orientacja w terenie, uważał, że idziemy w dobrym kierunku. Widać było jak na dłoni, że facet błądzi jak cholera, lecz stara się nadrabiać miną. W każdym razie wszystko zdradzało jego niepokój. W tak wielkim kraju jak Rosja udawać się nie da. W podróżników czy poszukiwaczy przygód można bawić się w okolicach jakiejś wioszczyny pod lasem Fontainebleau, z tundrą jednak nie ma żartów. Człowiek czuje się tu przeraźliwie mały, czuje się najlżejszą istotą. Jest coś, co nie pozwala mu żartować. Chcąc nie chcąc, zaczyna wierzyć w Boga, gdyż wszystko inne wydaje mu się całkowicie obojętne.

Szliśmy jeszcze długo, nim w końcu zauważyliśmy linię telefoniczną na niewysokich słupach rozstawionych w nieregularnych odstępach. Ciągnęła

się wzdłuż drogi, czy raczej ścieżki, kiedyś używanej, sądząc po licznych koleinach.

Nasz przewodnik postanowił iść tym szlakiem, kierując się na południe. Sądził, że w ten sposób łatwiej dotrzemy do celu. Wydało nam się to dziwne. Przecież było jasne jak słońce, że teraz posuwać się będziemy prostopadle do dotychczasowego kierunku marszu. Nikt jednak nie zaprotestował. Już dawno, tak jedni jak i drudzy, nauczyli się, że nie należy dyskutować na tematy, które nie były tego warte. Perspektywa spędzenia nocy pod gołym niebem na śniegu napawała nas przerażeniem. Wiedzieliśmy jednak, że tak jak poprzednio czeka nas jeszcze wiele takich nocy i że trzeba uzbroić się w cierpliwość. Przez ułamek sekundy w mym umyśle błysnęła, niczym spadająca gwiazda na niebie, myśl o niedoszłym urlopie. Przełknąłem ślinę. Znowu widziałem tylko swój szary mundur...

Wysoki rekrut nie odzywał się ani słowem. Spoglądał, zdziwiony, to na zaśnieżony step, to na nas, starych wyjadaczy. Wierząc w naszą odwagę, młody żołnierz szedł ufnie za nami, niczym pasterz za gwiazdą.

Sto pięćdziesiąt metrów przed nami dostrześliśmy jakiś kształt wystający ze zwałów śniegu. Była to długa lufa działa. Patrząc uważniej, można było odróżnić sylwetkę czołgu ukrytego w śnieżnej bieli. Domyśliliśmy się od razu, że jest to jeden z naszych, w przeciwnym razie już od dawna byłibyśmy martwi.

I rzeczywiście: na tym pustkowiu, ukryta w głębokiej dziurze aż po wieżę, zakamuflowana była Pantera. Za nią widniały dwa albo trzy charakterystyczne wzniesienia: były to umocnienia ziemne. Nagle na czołgu pojawił się jakiś żołnierz. Na czarnym mundurze czołgisty nosił kamizelkę z baraniej skóry. Facet zeskoczył na ziemię i ruszył w naszym kierunku. Przedstawił się. Zgodnie z regulaminem zrobiliśmy to samo. Dowiedzieliśmy się, że jego czołg został uszkodzony. Załoga otrzymała rozkaz zamaskowania go do połowy i posługiwania się nim w charakterze bunkra. Nie było to łatwe zadanie. Wyznaczono do tego dziewięciu żołnierzy wchodzących w skład kolumny pancernej. Już od trzech tygodni obserwowali niezmierną równinę. Raz podeszli do nich Rosjanie. Za pomocą broni pokładowej i dwóch dodatkowych cekaemów udało się utrzymać ich na dystans. Uszkodzony czołg był zarazem jednym z posterunków obrony terytorialnej. Za dwa tygodnie mieli nadejść zmiennicy. Chłopaki dodali jeszcze, że od dwudziestu dni nie mogli spokojnie spać.

— Gdzie jest front? — spytał nasz dowódca.

— Właściwie to wszędzie — odpowiedział czołgista. — Front tutaj to przede wszystkim przemieszczające się grupy. Nocą przejeżdżają tą ścieżką transporty. Jadą z wygaszonymi światłami i za każdym razem mamy pietra. W ataku lotniczym zginął nasz radiotelegrafista i została rozwalona radiostacja. Jesteśmy odcięci od świata. Można oszaleć.

— Musimy dołączyć do macierzystej jednostki — wyjaśniał nasz przewodnik. — Myślicie, że to jeszcze daleko?

— Na pewno gdzieś tu jest front. Chyba dziesięć czy piętnaście kilometrów w kierunku wschodnim, ale sytuacja zmienia się cały czas. Skąd mogę wiedzieć?

Oniemieliśmy z wrażenia.

— Trzeba ruszać w drogę — rzekł zdecydowanym głosem nasz energiczny szef. — W końcu musimy ich znaleźć.

Czołgiści popatrzyli z żalem, gdy odchodziliśmy. Bardzo szybko zapadła noc. Pojawiła się gęsta mgła. I wtedy właśnie odkryliśmy ślady tego osobliwego frontu. W ciemnościach dostrześliśmy kilka paków na pośpiesznie przygotowanych stanowiskach. Błady ze strachu wartownik ledwo zdołał wykrzyknąć: Wer da?! Z wrażenia głos ugrzął mu w gardle. Nasz dowódca, równie zastrachany, pisnął w odpowiedzi coś niezrozumiałego. Przez naszą nieuwagę o mały włos wartownik poczęstowałby nas serią z pistoletu maszynowego. Jakiś zziębnięty ponurak poprowadził nas do dowódcy kompanii.

— Rosjanie pojawiają się wszędzie dookoła — zrzędził chłopak. — Człowiekowi odechciewa się wszystkiego. Dopóki znów nie nastąpi stabilizacja frontu, będzie tak cały czas. W każdym razie jednostki, której szukacie, tutaj nie ma.

Wreszcie dotarliśmy do dowódcy. Facet zaczął wyłazić z okopu oświetlonego słabym płomykiem świecy. Przebywał tam ze swoim telefonistą i innym oficerem młodszym stopniem. Ten grobowy dół był zbyt mały, by nas wszystkich pomieścić.

Wreszcie kapitan wygramolił się z dziury. Wyglądał na starego, schorowanego człowieka. Długi płaszcz miał niedbale zarzucony na ramionach. Jedyne charakterystyczne akcenty na tle całej tej szarzyzny stanowił długi, jasny szal założony na krzyż. Zamiast czapki nosił furażerkę. Jak zwykle w takiej sytuacji, przyjęliśmy postawę zasadniczą.

Oficer musiał posłużyć się mapą, by udzielić nam jakichkolwiek informacji. Sprawiał wrażenie zagubionego. Mapa, na której błędziło się prawie tak łatwo jak w terenie, tylko w

nieznacznym stopniu wyjaśniła sytuację. Oficer przytrzymał ją, stawiając na niej latarkę, po czym zaczął studiować w milczeniu. Wreszcie zdecydował, że powinniśmy iść na północny wschód. Kierując się rozmieszczeniem poszczególnych oddziałów, doszedł do wniosku, że tylko tam mogła znajdować się nasza jednostka. Jakaż różnica była między znakomitymi, wytyczającymi dokładne szlaki służbami topograficznymi stacjonującej w Winnicy dywizji „Gross Deutschland”, a mętną analizą kapitana zagubionego w wyjaśnieniach i przestrzeni. Pomimo zmęczenia na skutek długiego i wyczerpującego marszu, i to od samego świtu, ruszyliśmy w drogę. Była mroźna noc, a mgła tak gęsta, że można ją było ciąć palnikiem. Po trzech kwadransach dotarliśmy do zagubionej w śnieżnej pustyni kolejnej kompanii. Siedzący jak w kreciej norze chłopaki ścisnęli się nieco, by zrobić nam trochę miejsca w okopie. Musieliśmy się zatrzymać, jeżeli nie chcieliśmy zgubić się na dobre. Ponadto niemal dotykalna, gryząca mgła drażniła oskrzela, sprawiając, że najmniejszy nawet wysiłek stawał się nie do zniesienia. Udało nam się zasnąć, mimo że na początku zimy mróz bardziej dokucza, a to dlatego, że nie przyzwyczajony jeszcze organizm reaguje na minimalne nawet obniżenie temperatury. W pobliskich okopach przechadzali się wartownicy, aby nie zamrznąć na stojąco. Spowici gęstą mgłą, nie mogli dostrzec nic, co znajdowało się poza ziemnym nasypem.

Spędziliśmy ciężką noc, gdyż nie dało się normalnie spać. Chociaż był to dopiero początek zimy i nie panowały zbyt silne mrozy, zmarzliśmy solidnie. Nie pomogły ani lampy grzejnikowe, ani zasłaniająca otwór schronu płachta brezentowa. Nocą temperatura dochodziła do dziesięciu stopni poniżej zera. Do okopu przenikała też mgła. Była prawie tak gęsta jak na zewnątrz.

Żołnierze radzili sobie, jak mogli. Niektórzy drzemali pomimo niewygód, inni grali w karty albo usiłovali pisać koniuszkami zgrabiających palców. W niewielkich puszkach po konserwach skwierczały świece. Należało je oszczędzać. Puszki gromadziły zarazem topniejący wosk, dzięki czemu świece mogły się palić cztery albo pięć razy dłużej. Zagubione w lodowym krajobrazie stepowym umocnienia przedstawiały posepny, a zarazem majestatyczny widok. Dziś są to już tylko niewyraźne wspomnienia kojarzące się z lekturą legend w czasach młodości.

O świcie powitał nas przenikliwy mróz. Bez słowa ruszyliśmy na trasę w poszukiwaniu naszej jednostki. Panował całkowity spokój. I znów wszystko dookoła zdawało się sparaliżowane przez rosyjską zimą, równie groźną jak Armia Czerwona. Przez długi czas posuwaliśmy się równolegle do pasa zasieków kolczastych pokrytych szronem. Kropelki utrzymującej się ciągle mgły osiadały na najeżonych kolcami drutach, zamarzając natychmiast.

Około południa dwie trzecie naszej grupy odnalazło wreszcie swój oddział. Pozostałym żołnierzom dowódcy określili w przybliżeniu położenie dwóch kolejnych jednostek. Piętnastka ta musiała właściwie dotrzeć do trzech położonych w odrębnych miejscach kompanii, ponieważ młody rekrut i ja należeliśmy do dwóch różnych. Był to prawdziwy burdel, a towarzyszące nam okoliczności nie sprzyjały zabawie w chowanego. Musieliśmy jeszcze pokonać sporo kilometrów. Byliśmy wściekli. To skandal, że nie określono nam dokładnie trasy do poszczególnych jednostek. Żołnierzom niemieckim, przyzwyczajonym do metodycznego i skutecznego działania, brak organizacji dawał się bardzo we znaki. Ale nawet nasi przełożeni nie działali już w ten sposób. Na niezmiernych rosyjskich przestrzeniach, na froncie rozciągającym się na odcinku dwóch tysięcy czy dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów, przestała istnieć fantastyczna organizacja niemieckiej armii, tak znakomicie zdająca egzamin w Polsce, Francji i w pozostałych krajach zajętych przez Wehrmacht. Kulejący z dnia na dzień transport kolejowy i drogowy, tej strasznej, przedostatniej już zimy jeszcze bardziej pogorszył niewesołą sytuację.

Brnąca w śniegu grupa liczyia teraz szesnastu żołnierzy. Czternastu należało do oddziału, w którym nie służyłem ani ja, ani wysoki rekrut.

Obaj należeliśmy do tego samego oddziału, lecz do różnych kompanii. Nim zapadł zmrok, czternastka facetów równie zaskoczona jak ich koledzy odnalazła swoją jednostkę. Pozostało nas dwóch na oblodzonej drodze, wyłobionej przez przemierzające się wojska. Mocno zastrachani, ruszyliśmy w niepewną trasę. Minęliśmy niemal całkowicie opuszczoną wioskę, której nazwa kończyła się na -iewo. Odziane w łachmany dzieciaki patrzyły na nas z ciekawością. Czuliśmy się skrepowani i nieco przestraszeni.

Wskazana nam trasa skręcała lekko ku północnemu zachodowi. Dopóki było jasno, staraliśmy się wytyczać kierunek, biorąc za punkt orientacyjny najniższy pagórek, czy też najmniejszą nierówność terenu, jaką na niezmierzonej przestrzeni mogliśmy dostrzec. Linię frontu mieliśmy po prawej ręce.

Wieczorna mgła rychło przerwała nasze rozpaczliwe analizy. Nieprzenikniona szarość ogarnęła nas całkowicie. Pomimo młodego wieku czułem, że właśnie ja powinienem decydować, co robić. Zresztą towarzysz spoglądał na mnie pytającym wzrokiem.

Zaproponowałem więc, żeby szybko wykopać dziurę na tyle głęboką, by prawidłowo ustawić dwie związane płachty brezentowe. Moglibyśmy w ten sposób przetrzymać długą, złowrogą noc. Przerażony chłopak uważał, że trzeba iść dalej.

— Może nasz oddział jest tu gdzieś w pobliżu — rzekł.

— Oszalałeś?! — zaprotestowałem. — Jak chcesz poruszać się w takim tumanie? Na pewno się zgubimy i dopadną nas wilki.

— Wilki?

— Tak. Wilki. Zresztą w Rosji czyhają jeszcze większe niebezpieczeństwa.

— Ale... ale przecież one mogą także tu się pojawić.

— Możliwe, ale nie wejdą do namiotu. A poza tym, jak będzie trzeba, poczęstujemy je kulką.

— To na jedno wychodzi. Ale przecież jutro nie będziemy już pamiętali trasy.

— Idziemy tą dróżką, a jutro rano pójdziemy tym samym szlakiem. Koniec dyskusji. Uwierz mi, to jest najrozsądniejsze wyjście.

Chłopak dał się w końcu przekonać. Zaczęliśmy kopać łopatkami w zamarznętej ziemi.

Ledwie zabraliśmy się do roboty, gdy usłyszeliśmy wyraźny warkot.

— Coś jedzie! — krzyknąłem.

— Tak. Chyba najeżdża ciężarówka.

— Ciężarówka? Co ty! Słysząc zgrzyt gąsienic!

Chłopak spojrział na mnie. Dostrzegł mój niepokój i odezwał się szybko:

— Czołg? Niemiecki czołg?

— O Boże! Skąd mam wiedzieć!?

— Ale przecież jesteśmy za linią frontu!

— Za linią frontu! Tak... Ponoć...

Nie ma nic bardziej irytującego od faceta, co z miejsca nie łapie, w czym rzecz. Trzeba takiemu wyjaśniać, o co chodzi, kiedy sytuacja wymaga natychmiastowego działania.

— Co robimy? — spytał z naciskiem.

— Trzeba się ratować. Musimy przynajmniej oddalić się od drogi i schować w jakiejś śnieżnej dziurze.

Zacząłem działać. Warkot potężniał. Stalowe monstrum było niewidoczne, a więc tym groźniejsze. Nic skuteczniej nie skręca flaków niż strach. Czekaliśmy chwilę, która wydawała nam się wiecznością. W końcu ujrzeliśmy zarys przysadzistej sylwetki czołgu. Wydawał się łagodnie płynąć po stepie, robił jednak piekielny hałas. Wyteżałem oczy w ciemnościach, by lepiej widzieć. Nagle jakaś tajemnicza siła poderwała mnie z ziemi. Zacząłem ostrożnie posuwać się do przodu, pozostawiając zaskoczonego kolegę. W końcu dołączył do mnie, patrząc z niepokojem.

— To Tygrys, jeden z naszych — odezwałem się. — Trzeba go dogonić.

— Tak! Jazda!

— Ostrożnie! Może nas wziąć za bolszewików.

— Musimy go dopaść. Zabierze nas.

— Słuszna uwaga.

Zaczęliśmy się wydzierać jak opętani, biegnąc w kierunku czołgu. Mimo wszystko trochę niepokoił się. Nasze krzyki zagłuszał warkot silnika. Czołg minął nas i zaczął się oddalać.

— Bierz manele! — wrzasnąłem do rekruta. — Lećmy za nim! Trzeba go dogonić!

Zaczęliśmy biec za czołgiem. Co prawda jechał powoli, ale jednak poruszał się szybciej niż my. Brakowało nam już tchu. Szybko doszedłem do wniosku, że nigdy go nie dogonimy. Postanowiłem zaryzykować. Chwyliłem mauzera i wystrzeliłem we mgłę niemal całkowicie zasłaniającą nam czołg. Było to niebezpieczne. Załoga, czując się zagrożona, mogła zacząć strzelać dookoła z broni pokładowej.

Pojazd zatrzymał się. Musiano usłyszeć huk wystrzału. Zaczęliśmy wrzeszczeć: Kamerad! Silnik pracował na zwolnionych obrotach, robiąc o wiele mniej hałasu. Ktoś z wieży krzyknął: Was ist das?! Resztkami sił wydzielaliśmy się jeszcze głośniejsze. Byliśmy już blisko. Prawie niewidoczny czołgista na pewno trzymał palec na spuście pistoletu maszynowego.

— Jest was tylko dwóch?! — rzucił, kiedy już nas dostrzegł. — Co wy tu, kurwa, robicie?!

— Szukamy naszej jednostki, Kamerad! Zabłądziliśmy w nocy!

— Nie ma się czemu dziwić! — odkrzyknął. — My też posuwamy się po omacku!

Na boku czołgu dostrzegliśmy namalowany za pomocą szablonu biały hełm. Był to znak rozpoznawczy dywizji „Gross Deutschland”. Ogarnęła nas dzika radość. Wyjaśniliśmy swoją sytuację, po czym towarzysze broni zabrali nas na pokład pojazdu pancernego.

— Jesteście z G. D.? („Gross Deutschland”).

— Tak. Obaj.

Umocowana pod sufitem lampka mechanika, a także oświetlone przyrządy celownicze oblewały żółtawym światłem wnętrze wieży czołgowej pomalowane chyba żółto-pomarańczową minią. Było tam dwóch facetów i chyba jeszcze dwóch w przedniej części czołgu. Silnik robił tak okropny hałas, że niemal całkowicie uniemożliwiał rozmowę bez słuchawek, ale za to ogrzewał powietrze zmieszane z oparami paliwa i oleju.

Chociaż wnętrze czołgu było dość przestronne, niełatwo było znaleźć sobie miejsce między różnymi dzwigniami i zasobnikami z amunicją. Dowódca wieży prowadził obserwację.

Głowę okrytą furazerką rosyjskiego kroju wychylał co pewien czas ponad właz.

Dowiedzieliśmy się, że oni również usiłują dołączyć do swej jednostki. Awaria unieruchomiła czołg na dwie doby. Przebywali teraz niebezpieczną drogą (bo samotny czołg jest jak oślepienie zwierzę), orientując się po mijanych stanowiskach ogniowych i kolejnych kompaniach. Działała tylko radiostacja odbiorcza, toteż dowódca nie dawał znaków życia. Może uznano już ich za zaginionych.

Dowiedzieliśmy się również, że nowe czołgi biorące udział w walkach miały specjalną powłokę przeciwko minom magnetycznym, a także zewnętrzne gaśnice przeciwpożarowe. Najgroźniejszą bronią przeciwczołgową nadal były pancernice, którym nadawano imiona żeńskie. Zostały skopiowane przez Rosjan po zapoznaniu się z budową naszych pancernaustów.

Zdaniem czołgistów, żaden czołg nie mógł się równać na polu walki z pancernym kolosem zwanym Tygrysem. Mieliśmy zresztą okazję obserwować Tygrysy podczas wiosennych walk na granicy rumuńskiej. O ich wyższości przekonały się również T-34 i KW-85.

Po godzinie jazdy zatrzymaliśmy się.

— Widać tablice! — krzyknął dowódca czołgu. — Chyba jest tu jakiś posterunek!

Opuścił pojazd, by zdobyć informacje. Udaliśmy się za nim.

W kompletnych ciemnościach gęsty puch przyklejał się do twarzy. Padał śnieg. Nagle, niczym jakieś niesamowite widmo, zamajaczył najeżony tablicami słup. Czołgista odgarnął rękawicą śnieg, aby odczytać napisy. Kompania rekruta, a także trzy lub cztery inne znajdowały się w kierunku wschodnim. Pozostałe kompanie oddziału były na północnym wschodzie, czyli na trasie czołgu.

Młody rekrut, prawdopodobnie będący na froncie po raz pierwszy, pożegnał się z nami, po czym zniknął w ciemnościach nocy, oddalając się na wschód. Długo jeszcze widziałem przed oczyma jego młodzieńczą, bladą z przerażenia twarz.

Po dwudziestu minutach czołg dotarł do mojej jednostki. Dowódca postanowił zatrzymać się tam na noc. Zeskoczyłem ze stalowego wehikułu, by zasięgnąć informacji. Ruszyłem w kierunku kilku nędznych chat, których skośne dachy wynurzały się ze śniegu jak gigantyczne namioty. W dowództwie znajdującym się w jednej z nich zastałem czuwającego za biurkiem podoficera. Było to właściwie kilka desek ułożonych na jakichś materiałach. Stały na nich trzy płonące świece. Ponieważ pomieszczenie nie było ogrzewane, facet na płaszcz zarzucił koc. Otrzymałem informacje wystarczające, by trafić do wojskowej rodziny, czyli do swojej kompanii; znajdowała się na pierwszej linii obrony.

Podobnie jak w czasie mego pierwszego pobytu na froncie, posuwałem się wzdłuż umocnień ziemnych, okopów i innych stanowisk obronnych sto razy płytszych i mniej solidnych niż nad Donem. Oddziały inżynieryjne, prawie nieobecne na tym odcinku, zrobiły, co tylko mogły. Reszta była dziełem machających łopatkami wycieńczonych żołnierzy piechoty. Zima zaczynała się na dobre. Chwytał ostry mróz i wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze większy.

Zarzucony pytaniami, jakiś facet ze służb łączności doprowadził mnie do umocnień, gdzie znajdował się nasz oficer. Wartownik spojrzał zdziwiony, widząc mnie z obstawą godną starszego oficera, po czym uniósł płachtę brezentową służącą za wejście do tej mysiej dziury. Wesreidau nie spał. Zaabsorbowany był studiowaniem mapy. Gruby szal niemal zakrywał mu usta, w których trzymał zgaszoną fajeczkę. Kapitan nie miał żadnego nakrycia głowy. Okop oświetlały dwie lampy grzejnikowe, dając minimalną ilość ciepła. W głębi jakiś żołnierz spał, jak nieboszczyk w grobie. Kolejny facet, porucznik, drzemał, siedząc na żołnierskim ekwipunku, z głową opartą na dłoniach. Kapitan Wesreidau uniósł twarz, usiłując mnie sobie przypomnieć. Miałem właśnie się przedstawić, gdy zabrzączał telefon. Chyba jakiś nieistotny meldunek. Opanowałem się.

— Melduje się Gefreiter Sajer, HenHauptmann!

— No i co, mój chłopcze? Urlop skończony?

— Niezupełnie, Hen Hauptmann. Mój urlop został anulowany.

— A! — odezwał się oficer. — Wyleczyliście się już? Jak się czujecie? Chciałem wyrzucić z siebie wszystkie żale i poprosić chociaż o kilka dni

urlopu, ale głos uwiązał mi w gardle. Nagle poczułem, jak bardzo jestem związany z kolegami, którzy byli tu gdzieś w pobliżu. Wydało mi się to idiotyczne i wzruszające zarazem.

— Nie najgorzej, Hen Hauptmann. Zaczekam do następnego urlopu. Wesreidau wstał z miejsca. Wydawało mi się, że się uśmiecha. Gdy położył mi dłoń na ramieniu, drgnąłem na całym ciele.

— Zaprowadzę was do kolegów. Wiem, że czasem zastępuje to nawet wygodne łóżko i pomaga zapomnieć o głodzie.

Oślupiałem z wrażenia.

Pan kapitan ruszył w drogę, a ja podążyłem za nim.

— Staram się nie rozdzielać ludzi, którzy są ze sobą związani. Wiener, Halls, Lensen i Lindberg są w grupie ochrony paka. Powitają was z radością.

W upiornej mgłę, wyraźnie widocznej w nocnych ciemnościach, podążałem za wysoką sylwetką oficera. Przebudzeni faceci podrywali się z miejsca na nasz widok. Podoficerowie

meldowali: „panuje spokój”.

Wreszcie weszliśmy do jakiegoś głębszego okopu. Dostrzegliśmy tam trzy zwinięte worki i dwie postacie oparte plecami o nasyp ziemny. Natychmiast rozpoznałem głos Wienera.

— Witamy na naszym posterunku, Hen Hauptmann — rzucił weteran. — Możemy uciąć sobie pogawędkę. Na naszym odcinku panuje spokój.

Oślupiałem, słysząc weterana mówiącego tak familiarnym tonem.

— Wrócił do nas Sajer.

— Sajer! Nie do wiary! Myślałem, że baraszkuje sobie w Berlinie!

— Brakowało mi was, chłopaki!

— To jest kolega! — krzyknął weteran. — Masz całkowitą rację. Poza tym mamy tutaj czasem fajerwerki, a w Berlinie panuje kompletne zaciemnienie. Pamiętam — ciągnął ironicznie — było tak już półtora roku temu.

Usłyszałem mrukliwy głos Hallsa.

— O Boże! Co się tak wydzierasz?

— Powstań, synu stepowy! — jeszcze głośniej wrzasnął Wiener. — Jest tu Hen Hauptmann i kolega Sajer!

— Sajer? — wybełkotał Halls. — Szalony! Po cholere on tu wrócił? Kapitan odezwał się ostrym tonem.

— Gdybyście nie odznaczyli się w walkach, Gefreiter Halls, zmuszony byłbym napisać na was raport, wnioskując o wysłanie was do batalionu karnego!

Halls oprzytomniał w mgnieniu oka.

— Proszę o wybaczenie, Hen Hauptmann. Jeszcze się całkiem nie obudziłem.

— Wasz sen jest pesymistyczny, Gefreiter Halls! Weteran wyręczył go w odpowiedzi.

— Przedwczoraj Don, wczoraj Doniec, dziś rano Dniepr... Przyzna pan, Hen Hauptmann, że po tym wszystkim nawet najbardziej zahartowany wojak może się załamać.

— Wiem — mruknął Wesreidau. — Tego właśnie zacząłem się obawiać po naszym wejściu do Rosji. Ale jeśli stracimy wiarę, będzie trudniej.

— Tracimy więcej terenów i ludzi niż wiary, Hen Hauptmann — rzekł weteran, kiwając głową.

— Rosjanie nie przejdą przez Prypeć. Jest to dla nich nieopłacalne z geograficznego punktu widzenia. Wierzcie mi.

Jak daleko jeszcze mamy się cofać? — zapytał głupio Lindberg.

— Do Odry — rzucił weteran. Mróz przeszył nas do szpiku kości.

— Niech Bóg uchroni nas przed taką katastrofą! — mruknął Hen Hauptmann Wesreidau. — Wolałbym już zginąć, niż być tego świadkiem.

Kapitan wierzył chyba w Boga, gdyż jego życzenie się spełniło...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sowieckie czołgi Drugi front nad Dnieprem_____

Już dziesiąty dzień spędzałem z towarzyszami niedoli. Nasze spotkanie uczciliśmy, jak należy. W pozbawionej okien chacie, wyznaczonej nam na kwaterę, świętowaliśmy mój powrót na gołej, zimnej ziemi, opróżniając pięć-ciolitrowy bidon ersatzu. Nie było wódki ani innego alkoholu, nie było kruchych ciasteczek, nie było niczego, ale przecież mieliśmy wojnę!

Wokół ogromniastego naczynia zgromadzili się tylko najbliżsi przyjaciele. Koledzy z kompanii nie zostali zaproszeni. Z obojętnym wyrazem twarzy myli brudne stopy w zawierających przestudzoną wodę miskach wystarczających dla ośmiu osób albo też polowali

na wszy, jeśli nie bawili się w wyścigi z tymi cholernymi insektami. Świątowanie nie trwało długo, bo ile razy można powtarzać to samo. Wkrótce powrócił nastrój przygnębienia stale towarzyszący żołnierzom frontowym. Znaliśmy to wszyscy. Nawet gdy morale armii jest wysokie, każdemu udziela się atmosfera niepokoju spowodowana bliskością frontu i nie pozwala na dłuższe chwile radości.

Już od dziesięciu dni krążyliśmy między naszym posterunkiem a chatą, w której wypoczywaliśmy. Co dwanaście godzin przebywaliśmy kilometr dzielący okop wartowniczy od zniszczonej wioski.

Przed okopem rozciągała się lodowata równina. W czasie dnia błędziliśmy po niej wzrokiem. Nocą mgła ograniczała pole widzenia do dziesięciu - piętnastu metrów, powodując bolesne rozszerzanie się źrenic. Nie wykonaliśmy żadnych dodatkowych umocnień. Przed nami nie było — przynajmniej na razie — ani śladu stałego frontu. Tylko od czasu do czasu otwieraliśmy ogień zaporowy do zmotoryzowanych grup zapuszczających się w naszą okolicę. Po moim powrocie jedynie raz pojawiły się nieprzyjacielskie czołgi i dokładnie ostrzelały nasze zamarznęte stanowiska. Poza tym cały czas mogliśmy kontemplować puszysty śnieg krystalizujący się na żołnierskich butach, które stawały się twarde jak drewno. Przez pozostałe

dwanaście godzin buty tajały w bydlęcym cieple wytworzonym przez obecność sześćdziesięciu facetów siedzących jeden na drugim, z oczyma utkwionymi nieruchomo w próżnię. Nie wolno było rozpałać ognia, ponieważ dym mógł zwabić nieprzyjaciela (Feuerstreng verboten!).

Często wpadał do nas Wesreidau. Myślę, że nas polubił. Z weteranem dyskutował jak równy z równym. My, młodzi żołnierze, słuchaliśmy ich rozmów, tak jak wnuki słuchają dziadka. Niestety, nadchodziły tylko niewesołe, alarmujące nowiny. Zdziesiątkowane wojska niemieckie wycofały się z Kijowa. Dniepr, owa słynna zaporę, trzymał się jeszcze. Nie miało to już jednak większego znaczenia. Rosjanie, posuwając się w górę rzeki z rejonu Czerkas, pojawili się na obu jego brzegach.

Iwan zajął również oba brzegi Desny. W walkach pod Niedrygajłowem można było tylko zginąć albo dostać się do niewoli, gdyż zwycięstwo nie wchodziło w rachubę. Kijów mimo wszystko nadal był centrum walk. Na szczęście działaliśmy na południowym skrzydle walczących armii, a więc front na naszym odcinku nie był zbyt głęboki. Znajdowaliśmy się na równinie gładkiej jak stół bilardowy, toteż trudno byłoby na tym terenie przygotować się do obrony, nawet gdybyśmy mieli ku temu odpowiednie środki. Dwunastego dnia miał miejsce groźny atak lotniczy. Tego samego dnia na horyzoncie pojawiła się jakaś kolumna wojsk. Była to część naszych sił, które zostały odparte z rejonu Czerkas. Żołnierze w sile siedmiu, a może ośmiu pułków, idący w łachmanach i zniszczonych butach, z oczyma błyszczącymi w gorączce, wygłodzeni, objuczeni rannymi, wtargnęli na nasze pozycje, pochłaniając nam wszystkie zapasy. Wystarczyło spojrzeć na brodate żołnierskie twarze, by się domyślić, jak zacięte toczyły się tam walki. Cztery dni po przemarszu tych oddziałów rosyjska wyjąca fala idąca aż spod Chersonia zalała zachodni brzeg Dniepru. Atakowała także zima. Termometr wskazywał piętnaście stopni poniżej zera.

Któregoś wieczoru lodowaty wichur smagał opatulonych w co tylko się dało żołnierzy pełniących wartę za zamarznętym nasypem. Wtedy właśnie pojawili się Rosjanie. Wiatr przynosił różnorakie odgłosy zbliżającego się nieprzyjaciela. Najpierw nad nieskończoną, skąpaną w jasnym świetle księżycą równiną unosił się głuchy, jednostajny huk. Słuchaliśmy go jak niespokojne, osaczone zwierzę słyszające nadciągającą sforę psów. Odgłos ten dochodził do nas co najmniej dwie godziny. Wychodzące z orbit oczy, na których ochronna warstwa śluzu gęstniała i zamarzała, uporczywie wpatrywały się w nierzeczywisty krajobraz. Nic jeszcze nie było widać. Jednak po obu stronach powtarzano sobie z uporem: „już są”! Zmysły napięte do ostatnich granic. Widoczna na horyzoncie linia wojsk zaczyna drgać,

niczym jakiś złowrogi pustynny miraż. Nakryte czapami z kociej sierści głowy pękają od natłoku myśli: daleka Ojczyzna, rodzina, przyjaciele, bezsensowna, rozpaczliwa miłość... Człowiek rozważa wszelkie rozwiązania: kapitulacja, niewola, ucieczka... Ucieczka albo śmierć. Tak, śmierć, szybko, jak najszybciej, by wreszcie skończyć z tym wszystkim. Niektórzy ściskają kurczowo broń, myśląc o bohaterskiej obronie, o odparciu nieprzyjaciela, o utrzymaniu się. Większość jednak gotuje się na śmierć. W tej atmosferze rezygnacji rodzą się najwięksi bohaterowie wojny. W sytuacjach bez wyjścia nawet najwięksi tchórze, panikarze, pacyfiści, którzy od samego początku byli przeciwni wojnie i Hitlerowi, umierając ze strachu, ratują życie swoje i kolegów.

Przed nadciągającą nawałnicą będziemy uciekać, kiedy tylko się da. Często jednak nie będzie to możliwe. Nie okryci chwałą bohaterowie okażą się wówczas silniejsi niż nacierający wróg. Nie bijemy się już ani dla Hitlera, ani dla narodowosocjalistycznych idei, ani dla III Rzeszy, ani nawet dla narzeczonych, matek czy rodzin kryjących się w bombardowanych miastach. Walczymy ze strachem i z powodu strachu. Nawet kiedy człowiek pogodził się już ze śmiercią, ryczy z bezsilnej wściekłości. Będziemy się bić dla jakże wstydlivej rzeczy, ale o wiele silniejszej niż wszelkie doktryny! Będziemy się bić dla siebie. Będziemy walczyć, aby nie zdechnąć w dziurze pełnej błota i śniegu. Będziemy walczyć jak osaczony w kacie piwnicy szczur, co nie waha się skoczyć w twarz wielokrotnie większemu od niego człowiekowi.

W sytuacji bez wyjścia nasz lęk przekształca się w bastion nadziei, którego przesiąknięci komunistycznymi ideami czerwonoarmiejcy tak łatwo nie zdobędą. Odgłosy potężnieją; leżąc na tej przeklętej rosyjskiej ziemi czekamy na wroga...

Słychać już wyraźnie nadciągające wojska. Halls, którego sylwetka przypomina worek z ziemniakami, rusza się z miejsca i podchodzi do mnie.

— Słyszysz? Jadą czołgi — szepcze. Nic innego nie słyszę.

Po chwili do naszych uszu dochodzą wydobywające się z niezliczonych piersi śpiewy.

Rosjanie się nie kępiją. Są ich nieprzebrane tłumy. Narasta w nich fala entuzjazmu, jaka towarzyszy nacierającym wojskom.

— Półtora roku temu tak samo wrzeszczałem, jak szedłem na Moskwę

— mruczy weteran.

Mija noc. Odgłosy nadchodzących Rosjan brzmią teraz jakby inaczej, ale słychać je nadal. Na swoje pozycje powracają również żołnierze wypoczywający w chatach. Nie brakuje nikogo. Stanowiska obrony obok kwater przygotowały nawet służby pomocnicze. Linia frontu jest długa, ale niezbyt głęboka. Nasza dywizja rozciągnięta jest na odcinku około stu kilometrów. Jest nas wielu, bardzo wielu. Jest nas jednak prawie trzydzieści razy mniej niż nadchodzących Rosjan.

Pojawił się lęk, niczym niepomyślny meldunek wychwycony przez stalowy hełm.

Wydychane powietrze skrapla się na nozdrzach, wargach, uniesionych kołnierzach płaszczy.

Kończyny bolą nas już od dawna, ale teraz, zeszywniałe z zimna, odłączyły się jakby od ciała, zdając się nie zauważać nerwowego napięcia. Dotychczas koledzy chodzili wieczorami po dnie

okopów, aby nie zamarznąć. Tego wieczoru ciężkie, długie buty wyrzuciliśmy w kąt.

Wszyscy trwają w bezruchu. Niczym nadchodzący bezszelestnie sen, ogarnia nas fala ostrego mrozu, pozostawiając na ziemi i ludziach warstwę szronu. Od czasu do czasu manipulujemy zamkami dla próby. Dotykając lodowatego metalu, mamy wrażenie, jakby przechodził przez nas prąd. Nadchodzący od wschodu Rosjanie zamilkli. Słychać tylko złowrogi warkot pojazdów.

Czasem dochodzi do nas rzenie konia. To dogorywający niedożywiony zwierzak z naszego parku transportowego wydaje chrapliwą skargę. Morzy nas sen, równie intensywny jak mróz i lęk. Od czasu do czasu drzemiemy z otwartymi oczami. Przez kilka minut zapominamy o

wszystkim, po czym nagle powracamy do rzeczywistości. I tak jest aż do brzasku, kiedy wielu zamarza na śmierć.

Rosjanom się nie śpieszy. Mija kolejna doba. Dochodzą do nas tylko odgłosy z potężniejszego rosyjskiego frontu. Gdybyśmy mieli dość sił i środków, próba kontrataku mogłaby się zakończyć powodzeniem. Cały czas musimy sterczeć na tym cholernym mrozie. Ponownie organizowane są co cztery godziny zmiany na odpoczynek, tak aby na stanowiskach było jak najwięcej żołnierzy. Wielu drzemie z bronią przy nodze i budzi się nagle z poważnymi odmrożeniami. Zarówno w dzień jak i w nocy opuszczają nas ranni — konno albo pieszo. Nie nadciągają żadne posiłki, co jeszcze bardziej osłabia naszą linię obrony.

— To już czysta prowizorka — zrzędzi weteran. O zmierzchu przyłapujemy Lindberga, który oddalił się z gołymi nogami niby za potrzebą. Sterczał tak na mrozie przez trzy kwadranse. Dłużej już nie mógł wytrzymać. Teraz ryczy jak cielę i wkurzony Halls ma wreszcie okazję wyżyć się na swym ładowniczym, okładając mu stopy i uda paskiem od maski gazowej. Również nazajutrz Rosjanie nie przystępują do natarcia. Jesteśmy coraz bardziej rozdrażnieni. Panujący spokój już nas nie cieszy. Przelatujący nad nami samolot zrzuca cztery duże worki z pocztą.

Dostałem cztery listy: dwa od rodziny i dwa od Pauli. Wszystkie nadeszły z dużym opóźnieniem. Jeden list z Francji ma nawet datę z poprzedniego miesiąca. Chciwie czytani listy od Pauli, Wyczuwam w nich ogromny smutek. Dziewczyna pracuje teraz w niewielkim zakładzie terenowym, sześćdziesiąt kilometrów od Berlina. Pisze, że życie w mieście jest nie do zniesienia.

Cóż mogę na to wszystko powiedzieć...?

List od rodziców, z tradycyjnym załącznikiem od ojca, pełen jest niestosownych utyskiwań. Dzielę się tym z Wienerem, który podsumowuje:

— Francuzi potrafią tylko biadolić.

Ostatni list od matki zaskakuje mnie brakiem realizmu. Biedaczka prosi mnie, abym na siebie uważał, abym nie popisывał się brawurą, a wykonywał tylko swoje obowiązki, wreszcie bym niepotrzebnie nie wystawiał się na

niebezpieczeństwo. Te nieszczęsne rady są tak nie na miejscu, że zaszokowały mnie.

Odwracam wzrok od kartki papieru, która wydaje się żółta w porównaniu z wirującym śniegiem, maskującym nadchodzące od wschodu śmiertelne niebezpieczeństwo. Absurdalne rady mojej biednej matki wyciskają mi z oczu łzy.

Wszyscy pograżają się w lekturze listów, czasem o tak nieoczekiwanej treści, że nawet o wiele starsi ode mnie faceci wydają się poruszeni. Inni krzyczą albo zrywają się z miejsca jak wariaci. Dowiadują się, że ktoś bliski zginął podczas bombardowań.

'— Te listy tylko jeszcze bardziej nas przygnębiają! — krzyczy jakiś wysoki chłopak, spoglądając na przygryzającego wargi, pochlipującego kolegę. Nic nie jest nam oszczędzone! Po południu wyruszają patrole. Śnieżna zamieć maskuje ich ruchy. Zniecierpliwiony długim czekaniem sztab postanawia zbadać siły nieprzyjaciela. Po krótkiej wymianie ognia żołnierze powracają z informacją, że widzieli mnóstwo rosyjskiego sprzętu.

Tuż przed zmierzchem alarm przerywa nam odpoczynek. Pędzimy truchtem na stanowiska. Serca kołatają jak szalone. W śnieżnej burzy nadciągają rosyjskie czołgi. Czujemy drżenie zamrożonej ziemi.

Obsługa dział przeciwpancernych i pancerfaustów tkwi przy celownikach optycznych, z których cały czas trzeba ścierać parę. Wykopano kilka rowów przeciwczołgowych. Jest ich jednak za mało, a poza tym są bardzo prowizoryczne. Jeśli nieprzyjaciel przełamie naszą obronę przeciwpancerną, jesteśmy zgubieni. Mamy tego świadomość, toteż ściskamy nerwowo granaty przeciwpancerne i miny magnetyczne, które nam wydano.

Stanowiący obsługę paka Olensheim, Ballers, Freivitch i ich koledzy gotowi są do

manewrowania działem. Padający śnieg ogranicza widoczność. Zainstalowany na północnym skraju obrony cekaem otwiera ogień. Ryczące monstra ciągle są niewidoczne. Od północy dochodzą odgłosy nasilających się walk. Widzimy błyski wystrzałów mimo wirującego śniegu i zapadającego szybko mroku. Nad równiną rozlegają się charakterystyczne, krótkie szczeknięcia dział przeciwpancernych, roznosząc się przytłumionym echem. Huk wzmagają się, tamując oddech w piersiach. Wytryskują długie, poziome płomienie; inne z kolei strzelają pionowo w górę, rozświetlając tumany wirującego śniegu. Ryk pędzących czołgów zakłóca mrok nocy i rozrywa bębrenki. Przed nami widać niewyraźnie pięć sylwetek czołgów sunących równolegle do naszej linii obrony. Obsługa działa przeciwpancernego uwija się jak w ukropie. Wiener spokojnie przyciska do ramienia kolbę swojego kaemu. Struchlałem z przerażenia. Na tle czołgów T-34 pojawiają się żółte błyski. Ich wieże zwrócone są w naszą stronę. W kierunku nieprzyjaciela poszybowało już pięć pocisków, zostawiając za sobą biały ślad. Były jednak niecelne.

Jeden z czołgów, warcząc potężnie, posuwa się wzdłuż naszych stanowisk. Zaraz minie nas w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Lecący

z ogłuszającym hukiem pocisk z pancerfausta trafia go w bok. Pojazd zwalnia. Z wszystkich jego szczelin wydobywa się gęsty, czarny dym opadający ku ziemi. Pokrywy włazów otwierają się z trzaskiem. Słychać krzyki, które niebawem zagłusza potężna eksplozja. Od kadłuba odrywa się wieża. Na rozwalonej stercie żelastwa zwisają strzępy ludzkich ciał, przybierając to purpurowe, to złotawe barwy. Nie pada ani jeden zwycięski okrzyk. Nad naszym okopem rozlegają się charakterystyczne szczeknięcia strzelającego paka. Któryś z pocisków trafia w złącze wieżyczki z tyłu kolejnego czołgu. Nad pojazdem wykwitą słup dymu. W moich rękach zaczynają wreszcie tańczyć naboje. Wszyscy, co opuszczają unieruchomione czołgi, padają pod wściekłym ogniem broni maszynowej. Mamy wreszcie chwilę oddechu. Teren niedawnej walki rozświetlają pożary. Naciągają kolejne czołgi. Udało nam się zobaczyć je z daleka. Jeden z nich przedarł się przez linię obrony. Widząc pancernego kolosa prującego prosto na nas, czujemy, że włosy jeżą nam się na głowie. Chłopaki z obsługi paka reagują błyskawicznie. W ciągu trzech sekund działo udaje się obrócić w kierunku czołgu. Wylatujący pocisk eksploduje na płycie czołowej. Na skutek wybuchu silnik prawie gaśnie, po czym zaczyna ryczeć. Jest chyba uszkodzony.

Równocześnie z prawej strony obserwujemy dwa błyski, a w chwilę po nich potężny wybuch. To kolejny czołg ostrzeliwuje z działa nasze stanowisko. Dookoła wylatują w powietrze zwały ziemi.

Nie wiem już, co się dzieje. Czołg z prawej strony zapala się, rycząc całą mocą silnika. — Fur der Panzerfaust, Sieg Heil! Heil! — ktoś wrzeszczy. Obsługa naszego działa bez wytchnienia ostrzeliwuje kolejny czołg, który przedostał się na tyły. Zdaje się, że ma jakąś awarię. Po jego lewej stronie widzimy niesamowitą eksplozję. Zostawiamy go w spokoju. Jeszcze bardziej z tyłu rozgrywa się scena mrożąca krew w żyłach. Jeden T-34 pruje, kołyszając się, przez nasze stanowiska, miażdżąc gaśnicami ludzi. Goni go pół-gaśnicowy transporter opancerzony uzbrojony w karabin przeciwpancerny. Obsługa geschnauza prowadzi wściekły ogień do uczestniczącego w tym śmiertelnym wyścigu czołgu. Chłopaki z obsługi paka przeżywają ciężkie chwile. Freivitch jest ranny; może już nie żyje. Strzelamy do rosyjskiego czołgu z kaemu. Pojazd, nie zmniejszając prędkości, wycofuje się. Dwa pociski wystrzelone z innych czołgów padają z obu stron goniącego transportera z wymalowanym na kadłubie krzyżem maltańskim. Widzimy, jak trzeci pocisk rozrywa na strzępy jego platformę, na której znajdowali się bohaterscy żołnierze inicjujący ten szaleńczy pościg. Pojazd z wymalowanym białym hełmem dywizji „Gross Deutschland” skwierczy w ogniu płonących zbiorników. Nieprzyjaciel, sądząc, że ciągle jest ścigany, ucieka w tumanach śniegu. Atak sowieckich czołgów kończy się. Trwał około pół godziny. Najwidoczniej miał na celu zbadanie naszej obrony. Pewna ich liczba pozostała na placu boju. Rosjanie ponieśli o wiele

większe straty niż my. Niestety, ogromna sowiecka armia, przegrupowująca się naprzeciw nas, nie doznała większego uszczerbku. Jeśli o nas chodzi, strata czterech stanowisk przeciwpancernych w znacznym stopniu uszczupliła system obrony na naszym odcinku.

Napięcie opada powoli. Brzęczą telefony w okopach. Krzyżują się meldunki. Przywołuje się sanitariuszy, którzy biegną na pomoc, ślizgając się na zlodowaciałej ziemi. Weteran siada ciężko na dnie okopu i wbrew zakazowi zapala papierosa. Do naszej kryjówki wpada Halls. — Przed chwilą dowiedziałem się, że Ruscy rozwalili bunkier kapitana Wesreidau! To T-34! — dodaje, dysząc ciężko.

Patrzymy na niego, czekając na szczegóły.

— Zostańcie tu! — decyduje weteran. — Zobaczę, co się stało. —Achtung Zigaretten! — przypomina Halls.

— Danke!

Weteran przygniata niedopałek i chowa go do rękawa. Wraca dopiero po dwóch kwadransach:

— Przez dziesięć minut odwalaliśmy ziemię, by wydobyć kapitana i dwóch innych oficerów. Wszyscy trzej odnieśli tylko rany powierzchowne, ale zabity został chłopak z łączności. Stał na warcie przed bunkrem. Facet chciał zapieprzać do środka, żeby się uratować. Znaleźliśmy jego zmiażdżone ciało pod gruzami przy wejściu.

Uf! Nie pamiętaliśmy już końcowej części relacji; myśleliśmy tylko o naszym kapitanie.

Wesreidau ocalał. Bardzo nam zależało, by nadal był naszym dowódcą.

Nazajutrz śnieg przestał padać. Biały puch nie pokrył zniszczonych czołgów. Niektóre ich stalowe elementy na skutek pożarów nabrały czerwonej barwy. Również zalegało dwadzieścia wielkich, czarnych, ciepłych jeszcze wraków. Tamtej nocy Rosjanie rzucili do ataku cztery kolumny czołgów: jedną na nasz odcinek broniony przez sześć kompanii, trzy pozostałe bardziej na północ. Nieprzyjacielskie ugrupowanie zajmowało kwadrat o boku dwudziestu kilometrów.

Obejmujemy wartość o godzinie ósmej. Wszędzie panuje spokój. Pod niskim, bardzo ciemnym niebem utrzymuje się nieruchoma warstwa mgły. To prawdziwie rosyjskie niebo podczas tutejszej zimy. Nad ziemią wydaje się zalegać ciężka, nieprzenikniona powłoka, niczym warstwa ołowiu. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego nieba. Żołnierze instynktownie unoszą ku niemu przymknięte oczy, jakby chcieli sprawdzić jego gęstość. Nikłe światło przebija się z wielkim trudem. Wszystko to tworzy nierealny krajobraz. Na tle świeżego, nieskazitelnie czystego śniegu nasze dwustronne kombinezony białej barwy przybierają kolor moczu. Żołnierze wyglądają jak wypchane brudne poduszki. Wielu z nich paraduje w kompletnym zimowym stroju: płaszczu, kamizelce, baranim kożuszką i Bóg wie w czym jeszcze. Wszystkie te warstwy bardzo utrudniają ruchy. Maskujące kombinezony rozdierają się często, gdyż nie przewidziano, że będą pod sobą mieściły tyle odzieży. Chociaż jesteśmy świadomi przewagi nieprzyjaciela, ludzie tego ranka czują się jakoś różnie. Posępnymi oczyma spoglądamy na wraki zniszczonych czołgów niczym na obraz przedstawiający udane polowanie. Wszyscy wiemy, że nie było to jeszcze decydujące natarcie, udało nam się jednak powstrzymać najgroźniejsze sowieckie czołgi. Tylko starsi żołnierze zdają sobie sprawę, że rosyjskie kolumny pancerne prawdopodobnie otrzymały rozkaz nie zapuszczania się zbyt daleko w głąb naszej obrony. Zdaniem pozostałych nie ulega wątpliwości, że je powstrzymaliśmy. Nawet sam kapitan otworzył kilka butelek alkoholu trzymany w rezerwie dla rannych. Wieczorem, w przeznaczonych na odpoczynek chatkach, żołnierze skromnie świętują sukces. Nasza gromadka oblewa głównie wyczyny chłopaków od pancerfaustów.

W nikłym, migoczącym świetle siedmiu czy ośmiu świec wznosimy w górę nakrętki od manierek, pijąc za zdrowie obergefrajtrów Lensena, Kellermanna i Dundego. Grenadierzy

Smellens i Prinz stukają się naczyniami z panem kapitanem Wesreidauem. Oficer ma na lewej ręce pokaźny opatrunek i dwa inne na twarzy. Prócz tego na noszach leży dwóch rannych, których nieustannie częstujemy papierosami.

Halls, jak zwykle w swoim stylu, barwnie opisuje przebieg walki. Niektóre sceny przedstawia, gestykulując zamaszycie uzbrojoną w kubek lewą ręką, a drugą drapiąc się zawzięcie w zawzorne pachy. Lindberg trzęsie się z radości, jak zawsze, kiedy wszystko się układa. Facet podszyty jest tchórzem bardziej niż którykolwiek z nas, co zresztą widać na jego ciągle młodej twarzy.

Niektórzy zasypiają pomimo rosnącego gwaru. Żołnierze walczący na froncie wschodnim nauczyli się kimać, gdzie popadnie; nie przeszkadza im nawet największy hałas. Stojącym na warcie alkohol rozgrzał głowy i języki. Na tle mrocznej izby wszystko to przypomina scenę z jakiegoś nierealnego obrazu. Rozlegają się śpiewy, jak zwykle kiedy spotykają się Niemcy. Wykonujemy piosenki żołnierskie, gdyż innych znamy niewiele. Pod koniec weteran, już nieźle podchmielony, intonuje jakąś rosyjską pieśń. Facet biegle posługuje się tym językiem. Oczywiście, nie umiemy jej sobie przetłumaczyć. Nikt nie wie, czy chodzi o bolszewicką rewolucję, czy też o ukochaną Ukrainę. Mniejsza z tym. Nas już tam i tak nie ma!

Każdy zaczyna śpiewać, co mu się podoba. Robi się straszliwy jazgot. Halls zmusza mnie do zaśpiewania czegoś po francusku, mimo że chce mi się rzygać. Gromkim głosem zaczynam śpiewać pieśń żołnierską z rejonu Sambry i Mozy, a potem jeszcze dwie albo trzy świńskie piosenki o dupie, kudłach i syfie.

Halls, okrągły jak piłka, wydziera się, rycząc ze śmiechu:

— Żabojady przybywają nam na pomoc! Hurra! Pobieda!

I wtedy wydarza się godny pożałowania incydent. Lensen wstaje z miejsca, zamroczony od alkoholu.

— Kto tu pierdoli o żabojadach?! Czego możemy się spodziewać po tych tchórzliwych zajęcach?!

Mówiąc to, zwraca się do podrygującego jak niedźwiedź Hallsa, który próbuje wziąć go pod ramię do walca.

— Zamknij się, ty świni! — ryczy Lensen. — Wsadź lepiej swój łeb do śniegu, a nie wykrzykuj takich pierdoł!

Wyższy od niego niemal o głowę Halls cały czas się kolebie, aż w końcu Lensen uderza go, wrzeszcząc, do czego zdaje się go upoważniać jego nędzna szarża:

— Stillgestanden, Gefreiter!

— Co cię napadło?! Kpisz sobie ze mnie?! — odzywa się Halls, zamroczony alkoholem.

— Stillgestanden! — powtarza z naciskiem Lensen. — Odpierdol się od tych francuskich śpiewek!

— Zapominasz o Sajerze! — wydziera się purpurowy ze złości Halls, wskazując na mnie. — Płynie w nim francuska krew i całe życie spędził we Francji! Francuzi są teraz z nami! — zapewnia, tak samo jak ja nieświadom sytuacji.

— Ty durniu! Kto ci naplótł takich bredni?!

— To prawda! — wykrzykuje ktoś. — Cały Ost Front o tym mówi! Nie wiedziałem już, jak mam się zachować.

— Chyba wam się śni, wy jełopy! Nawet jeśli garstka tchórzy jest z nami, niczego to nie dowodzi! Widać, że macie czarne łby i w głowie wam tylko mandoliny!

Lensen przypomniał nam w ten sposób zasadniczy konflikt istniejący od dawna między Prusakami, a Niemcami z Południa.

— Moja matka urodziła się w okolicach Berlina, Lensen. Zapominasz o tym — odzywam się.

— No to wybieraj! Albo jesteś Niemcem tak jak my, albo żabojadem, który ma wszystko w dupie!

Próbowałem wyjaśnić Lensenowi, że właściwie nie mam większego wyboru.

— W Polsce, a nawet już w Chemnitz pytano was o to! Pamiętam. Byłem przy tym obecny.
— Ale przecież on już wybrał! — krzyczy Halls. — Robi tutaj to samo co ty!
— No to nie ma nic wspólnego z Francuzami! — podsumowuje Lensen, który za swą niekwestionowaną odwagę odznaczony został Krzyżem Walecznych po zniszczeniu pancerna siódmego czołgu.
Byłem przygnębiony. Czułem się słaby i wiedziałem, że nawet do pięć mu nie dorastam. Wojna zawsze mnie paraliżowała, chyba przez to cholerne francuskie pochodzenie, co zarzucał mi Lensen. Nagle poczułem jakieś powinowactwo z Lindbergiem, który co prawda nie był Francuzem, bo pochodził z okolic Jeziora Bodeńskiego, ale był dzięki temu — jak mawiał Lensen — „czarnym łbem”.
Chłopaki radośnie zaintonowali „Marieńkę” i pijatyka rozpoczęła się na nowo. Pograżony w myślach, patrzyłem teraz na to wszystko trochę z boku. Całą dumę, jaką odczuwałem podczas przysięgi w obozie F, radość, że w końcu mogę czuć się jak swój wśród towarzyszy budzących mój szczerzy szacunek, cały trud i cierpienia, jakie znosiłem, wierząc w słuszną sprawę — wszystko to podważył oskarżeniami ten pijaczyna Lensen. Zawsze wydawało mi się, że okazywał mi coś w rodzaju pogardy. Ale raz, a było to w Polsce, Lensen przyszedł mi na ratunek. Tak więc w sumie nie mogłem faceta wyczuć. A może moje pochodzenie go nie drażniło...? Dziś jednak cała prawda wyszła na jaw. Moi towarzysze niedoli wyrzekali się mnie, mimo że starałem się, jak tylko mogłem, mimo że miałem najlepsze chęci... Czy któregoś dnia naprawdę okażę się godny niemieckiego munduru? Przeklinałem w głębi duszy rodziców, że urodziłem się na pograniczu dwóch światów.
Byłem wściekły i zasmucony zarazem. Czułem się strasznie samotny. Oczywiście wiedziałem, że mogę liczyć na Hallsa, Wienera, a nawet kilku innych kolegów. Ale kumple znów zaczęli pić i śpiewać z braćmi tej samej rasy! Już nigdy nie ośmielę się bełkotać ich piosenek, choć tak bardzo mi się podobają! Może któregoś dnia zdechnę jak czarny niewolnik u boku swego pana... Gdy ta koszmarna myśl przyszła mi do głowy, zachciało mi się rzygać, tym bardziej że odczuwałem mdłości po wypiciu alkoholu. Wyszedłem na zewnątrz, wdychając cudownie świeże powietrze. Byłem tak zawiany, że nie mogłem już dłużej myśleć. Gdy wróciłem do chaty, rzuciłem się na stos żołnierskich maneli. Odpiąłem wszystkie lachy i skwapliwie zacząłem drapać się na wysokości pasa, gdzie harcowały wszy.
Nazajutrz rosyjski front zaczął przejawiać pewną aktywność. Na nasze pozycje spadło parę pocisków artyleryjskich. Od kilku dni Iwan zmuszał nas, byśmy byli w pogotowiu. Bez wątpienia przygotowywał decydującą ofensywę, czyniąc to jak zwykle bardzo powoli. W ciągu dnia nadciągnęła nam na pomoc kolumna artylerii. Od wymachiwania łopatkami podczas przygotowywania dla niej stanowisk porobiły nam się na rękach liczne bąble. Wszystkie oddziały liniowe otrzymały rozkaz przełamania rosyjskiego frontu. Dlatego też otrzymaliśmy posiłki w postaci dział kalibru 88 i 155 mm.
Przez całe popołudnie następnego dnia nasi artylerzyści prowadzili ogień nękający. Nie spotkało się to z żadną reakcją ze strony Rosjan. W nocy uzbrojone plutony opuściły okopy i zaczęły się posuwać po zaśnieżonej ziemi. I znów rozpoczął się marsz na wschód. Scheise! Nasze pododdziały natknęły się w pewnej chwili na sowiecki pułk zmotoryzowany, co wywołało lekki niepokój. Masa pojazdów wydawała się unieruchomiona na wieki wieków. Był to osobliwy widok. Rozległy się serie z kaemów, wybuchy granatów, krzyki Ruskich zaskoczonych niespodziewanym atakiem. Płonąca benzyna warta była chyba kupę rubli.
Nim Rosjanie zdążyli się zorientować i wziąć srogi odwet, nasi zaczęli się wycofywać. Po odniesieniu tego mizernego zwycięstwa na powrót zaszyliśmy się w okopach.
Faktem jest, że akcją tą rozjuszyliśmy Iwana, który z nastaniem bardzo późnego o tej porze roku świtu rozpoczął swój złowieszczy taniec.
Podobnie jak pod Biełgorodem horyzont na całej szerokości rozbłysnął tak gwałtownie, jak

pierwsze takty opery wagnerowskiej. Nasz dramat zaczął się, gdy bieглиśmy na stanowiska. Pociski padały tak gęsto, że nim zdążyliśmy zająć nasze pozycje, jedna czwarta ludzi wyłączona została z walki. Rozgrywały się te same sceny, jakie już przeżyłem. Wstrząsający był widok wyjących kolegów, którzy zwijali się w przedśmiertnych konwulsjach. Mimo że bardzo pragnąłem żyć albo zginąć bohaterską śmiercią niemieckiego żołnierza, zachowywałem się jak zwierzę skamieniałe ze strachu i przerażenia.

Nasze samoloty, na które przestaliśmy już liczyć, pojawiły się w znacznej liczbie, studząc nieco zapał sowieckich artylerzystów.

Ale nazajutrz o świcie rosyjski atak lotniczy okazał się zabójczy dla naszych haubic. Nocą nasza dziesiątkowana artyleria otrzymała rozkaz wycofania się, pozostawiając nas samych na polu chwały.

Pomimo zmasowanych ataków piechoty przy wsparciu czołgów, utrzymywaliśmy się jeszcze przez cztery dni. Była to niezapomniana zaprawa. W miarę możliwości zmarłych grzebaliśmy w zajmowanych przez nich okopach. Nasza kompania straciła osiemdziesięciu trzech ludzi, w tym Olens-heima, który był już ciężko ranny pod Biełgorodem. Śmierć dosięgła go na zachód od Dniepru, tam gdzie spodziewaliśmy się zastać spokój.

Rosjanie zakończyli już przegrupowanie, gotując się do decydującego ataku. Chyba tylko ostatnie przygotowania powstrzymywały ich przed natarciem. Jednak ich artyleria, prowadząca coraz intensywniejszy ostrzał, zasypywała gradem pocisków nasze i sąsiednie stanowiska. Weteran został ranny i wraz z setką innych czekał na przewiezienie do szpitala na zapleczu albo chociaż na spokojniejszy odcinek. Miejsce mojego poczciwego Augusta zajął jakiś gburowaty sierżant, który nie tak sprawną już ręką obsługiwał spandau, a ja jak zwykle podawałem naboje.

Tamta noc była tak straszna, że zachowałem tylko niewyraźne wspomnienia. Amunicję często dostarczano do okopów w płachtach brezentowych niesionych przez dwóch albo czterech żołnierzy. Jeśli piszę „tamta noc”, chodziło może o siódmą albo ósmą wieczór — czy w Rosji można to wiedzieć...? Latem słońce praktycznie nie zachodzi, zimą prawie wcale się nie pojawia, szczególnie na początku zimy.

Odparliśmy dwa albo trzy ataki przeprowadzone dużymi siłami. Ze stanowisk po naszej lewej stronie dochodziły intensywne krzyki. Padło tam chyba wielu kolegów.

Opróżniliśmy już pięć zasobników. Grzaliśmy sobie teraz palce, przykładając je do niemal gorącego metalu karabinu. Szósty, ostatni zasobnik był już podłączony i czekaliśmy niecierpliwie na amunicję. Noc rozświetlały dziesiątki tysięcy eksplodujących pocisków rosyjskich; padały bez ustanku, niemal uniemożliwiając poruszanie się. Niezbyt głębokie transeje dochodziły tylko do niektórych stanowisk. Do pozostałych trzeba było się dostawać skokami albo czołgać się kilkadziesiąt metrów w śniegu zmieszany z bryłami, lodowatej ziemi.

W świetle wybuchów migąły co jakiś czas cztery sylwetki. To czwórka kolegów przeskakiwała z jednego leja do drugiego, niosąc pociski moździerzowe 50 mm i zasobniki z nabojami do kaemu. Po raz ostatni dostrzegliśmy ich na tle białego ognia czterdzieści metrów od naszego stanowiska. Nie słyszeliśmy ani jednego śmiertelnego krzyku. Po dwóch minutach zacząłem czołgać się na miejsce eksplozji. Sierżant rozkazał mi przynieść co najmniej dwa zasobniki. Gdy dobrnąłem na miejsce, rozległy się okrzyki atakujących Rosjan. Spadła na nas lawina granatów i pocisków z lekkich moździerzy. Czuję jakieś niesamowite drgania ziemi. Wydawało mi się, że jestem ziarnem grochu na bębnie, w który wali się systematycznie. Nie wiedząc, co może powodować to drżenie, leżałem pośród kolegów, którzy przed chwilą zginęli. Wtem usłyszałem warkot czołgu. Wokół pojawiało się tysiące świetlnych smug, tysiące różowych i żółtych błysków eksplozji. Przez ciemności nocy przebijały się światła reflektorów, oświetlając tablicę z napisem S. 157. Leżałem w miejscu, z otwartymi ustami, zgodnie zresztą z regulaminem, ale przede wszystkim dlatego, że nie mogłem złapać tchu.

Gestykulowałem rozpaczliwie, gdyż straciłem całkowicie orientację w tej piekielnej przestrzeni, gdzie pion i poziom zatracaly się na tle świetlnych smug przesywających ciemności. Wydawało mi się, że w całym tym nieprawdopodobnym chaosie rozpoznałem terkot naszego kaemu, od którego oddaliłem się na chwilę. Nie mogłem zebrać myśli. Straciłem już nadzieję, że znajdę jakieś wyjście z tej sytuacji. Przygnałem do ziemi, trzymając nisko głowę jak uwiązane zwierzę czekające na ogłuszenie.

Sto metrów na lewo eksplodował pak. W przesywających ciemności błyskach wybuchającej amunicji widziałem, jak wylatują w powietrze ciała i lufa z wymalowanymi symbolami jedenastu zniszczonych czołgów. Zgodnie z prawem ciężenia wszystko to spadło na ziemię; nawet zwłoki obsługujących dział żołnierzy, a przecież oni zasłużyli na niebo. Cały ten tumult zagłuszał przerażający warkot czołgu. W rozświetlanych blaskami eksplozji ciemnościach dostrzegłem niewyraźne i podskakujące światło reflektora. Stalowe monstrum przedostało się przez nasze linie obronne i przetoczyło się w odległości dwudziestu metrów ode mnie. Czołg stanął nagle w ogniu. Chociaż panował przenikliwy mróz, gorący podmuch niemal wstrzymał mi dech. Półprzytomny z przerażenia, poprzez huk wybuchów usłyszałem w pobliżu bieżące i jakieś krzyki. Były to chyba przekleństwa, które jeżeli nie były francuskie, na pewno nie brzmiały jak niemieckie.

Wydawało mi się, że dostrzegam dwóch czy trzech biegnących żołnierzy. Wszystko to działo się tak szybko, wszystko to majaczyło mi przed oczyma tak niewyraźnie, że dokładnie już nie pamiętam, co widziałem. Usłyszałem jeszcze terkot broni maszynowej, a potem krzyki mieszające się z setkami innych. Czołg eksplodował po raz drugi. Jego stalowe szczątki doleciały aż do mnie. To znaczy, że ktoś z naszych jeszcze strzelał.

Po tym piekle nastał względny spokój panujący przez najbliższe czterdzieści pięć minut. Wyczerpany nerwowym napięciem, zdołałem w końcu otrząsnąć się z odrętwienia. Zrobiłem kilka kroków w kierunku stanowiska, które zajmowałem przed dwudziestoma minutami. Wydawało mi się, że widzę tam tylko unoszący się dym i leżące ciała. Dymy snuły się zresztą nad całym naszym odcinkiem obrony. Nagle zawróciłem i zacząłem iść w kierunku głębiej leżących pozycji. W pewnej chwili nadepnałem na trupa; nie zauważyłem go wcześniej. Pomimo wielkiego napięcia uświadomiłem sobie, że nie mam karabinu. Obok leżącego ciała walala się broń. Chwyciłem ją i zacząłem biec.

W pobliżu rozległo się kilka wystrzałów. Gdy kule zagwizdały mi koło uszu, pomyślałem, że znów zaczyna się piekło. Cały czas bałem się, że stracę przytomność. Między jednym rzyganiem a drugim wpadłem do okopu, gdzie znajdowało się trzech chłopaków tak samo przerażonych jak ja. Nawet na mnie nie spojrzeli. Cały czas wpatrywali się w posepną i fascynującą linię horyzontu na wschodzie. Gdy upadłem na dno dołu, usiłowałem przez chwilę zebrać myśli. Przed oczami latało mi tysiące jasnych plam, tak jakby nadal były to bitewne blaski.

Przebywałem w okopie przez dobrą chwilę, zastanawiając się, w jakim udać się kierunku. Nagle chłopaki krzyknęli przeraźliwie. Uniosłem się z miejsca i rzuciłem bojaźliwie okiem na zewnątrz. Daleko, hen daleko w kierunku południowym, ziemia stawała w ogniu. W powietrzu przetoczyło się tysiące grzmotów.

Trzydzieści kilometrów na południe od naszych pozycji potężne uderzenie sowieckie zachwiało drugim frontem na linii Dniepru. W apokaliptycznym krajobrazie ginęły tysiące niemieckich i rumuńskich żołnierzy. Dwadzieścia pułków, które nie zdążyły się wycofać, złożyło broń. Bohaterskich żołnierzy czekała niewola, degradacja bardziej moralna niż wojskowa, upokorzenie...

Dla nas wojna trwała dalej. Postanowiłem opuścić okop, gdzie się schroniłem przed kilkoma minutami. Pochyliłem się i zacząłem biec jak szalony. W końcu doleciałem do jakiegoś stanowiska obronnego. Grupa chłopaków opatrywała nieprzytomnego żołnierza. Facet, którego nie znałem, zawołał do mnie po nazwisku:

— Sajer! Skąd idziesz?!

Nie mogąc powstrzymać drżenia głowy, popatrzyłem w jego kierunku.

— Nie wiem. Ja już nic nie wiem... Tam wszyscy zginęli... Uciekałem wśród Rosjan...

Z tyłu usłyszałem ryk silnika. To ciągnik przemieszczał na stanowisko ciężkie działo przeciwpancerne. Rozległ się huk wystrzałów, a sekundę potem nadleciały pociski. Rosjanie wznowili ostrzał. Wszyscy włącznie ze mną zajęli stanowiska. Zmęczenie działało na nas teraz jak narkotyk. Gejzery rozrywanej rosyjskimi pociskami ziemi wlatywały w powietrze coraz częściej. Dostrzegliśmy lecącą w naszym kierunku salwę. Wznosząc okrzyki rozpacz i błagania o litość, rzuciliśmy się na dno okopu. Leżąc jeden na drugim, drgaliśmy wszyscy w rytm falującej ziemi. Gwałtowne eksplozje okręzały nas coraz bardziej. Do dołu spadały zwały śniegu i ziemi. Nagle zobaczyliśmy biały błysk i poczuliśmy gwałtowny podmuch. Równocześnie usłyszeliśmy przerażający huk, który nas ogłuszył. To rosyjski pocisk rozerwał ścianę transzei. Nie zdawaliśmy sobie początkowo sprawy, co się dzieje. Wszystkich nas rzuciło na przeciwległą ścianę i na ранnego żołnierza. Ziemia z wielkim hukiem zwała się do okopu, całkowicie nas przykrywając.

W tej chwili bliskiej śmierci ogarnął mnie straszliwy lęk. Czułem, że rozsadzi mi mózg. Przygnięciony masą ziemi zacząłem się wydzierać jak opętany. Jeszcze dziś, na samą myśl o tym, ogarnia mnie przerażenie. Być pogrzebany żywcem, to tak straszne uczucie, że nie potrafię tego wyrazić. Ziemia dostała się wszędzie: za szyję, w usta, w oczy. Całe moje ciało uciskała jakaś ciężka i straszliwie bezwładna masa. Rozpaczliwe wysiłki, by się stamtąd wydostać, odnosiły tylko ten efekt, że przywalało mnie jeszcze bardziej. Pod udami czułem szamoczącą się nogę kolegi. Było to jakby wierzganie konia między dyszlami ciężkiego wozu. Coś poruszyło mi się ha barkach. Gwałtownie wyswobodziłem głowę z ziemi i hełmu, dławiąc się niemal jego paskiem. Pół metra ode mnie jakaś przerażająca maska, z której tryskała krew, wydawała nieludzkie krzyki. Byłem całkowicie unieruchomiony. Myślałem, że umrę albo postradam zmysły.

Z mego gardła zaczęły się wydobywać ryki wściekłości i rozpacz. Sądzę, że żaden koszmar nie może równać się z tym, co wtedy przeżyłem. Dopiero wówczas pojąłem, co właściwie znaczą wszystkie te okrzyki trwogi i rozpacz, jakie docierały do mnie podczas poprzednich walk. Nagle stała się zrozumiała powaga i tragizm słów wojskowych pieśni, mówiących często o okrytym chwałą umierającym żołnierzu:

Szliśmy razem jak dwaj bracia
Leży teraz w ciemnym dole
W rozpacz jest serce moje
W rozpacz jest serce moje...

Dziś jeszcze lepiej rozumiem, jak ciężko jest patrzeć na konającego kolegę. Wiem, że jest to niemal tak tragiczne jak własna śmierć.

Tamtej nocy Rosjanie dziewięciokrotnie usiłowali przebić się przez naszą linię obrony. Udało im się tylko częściowo ją rozerwać. Gdyby zdecydowali się jeszcze zaatakować po raz dziesiąty czy jedenasty, na pewno osiągnęliby cel. Zawalony w trzech czwartych ziemią, przez dobre dwadzieścia minut obserwowałem huraganowy ogień nieprzyjaciela wysyłającego na nasze tyły pociski raketowe, które zrównywały z ziemią resztki wioski. Tylko nasz oddział, liczący mniej więcej dwa tysiące ośmiuset ludzi, stracił około siedmiuset żołnierzy. Drapiąc ziemię rękami, udało mi się po dwudziestu minutach wydostać ze śmiertelnej pułapki. W rozoranej ziemi leżeli dwaj silnie zakrwawieni żołnierze. Ranny, który poprzednio wrzeszczał, zawalony był ponad metrową warstwą ziemi i liczyć mógł chyba już tylko na zmiłowanie niebios.

W okopie tym jęczał też jakiś ranny chłopak, prawie tak samo przywalony jak ja. Wśród eksplodujących w pobliżu pocisków pośpiesznie wydobyłem nieboraka na wierzch i pomogłem mu dowieść się na czterech w głąb naszych linii. Znalazłem tam jakąś broń, którą wziąłem z sobą.

Pozostała część nocy upłynęła mi na pokonywaniu kolejnych niebezpieczeństw. Stawką w tej

niebezpiecznej grze było moje życie.

Przed świtem, na zdziesiątkowanej niemieckiej linii obrony, nastał wreszcie chwilowy spokój. Resztki oddziałów odnajdywały się przypadkowo, błędząc pośród okopów i lejów po pociskach najróżniejszego kalibru. Osnute dymami poboju było pełne poległych Rosjan i Niemców. Dookoła rozlegały się jęki rannych żołnierzy leżących na przenikliwym porannym mrozie. Ich zbiorowe skargi rozlegały się monotonnym echem, unosząc się nad ośnieżoną równiną. Dochodziły do naszych skołatanych głów jak wiatr wyjący w strzechach chat. Utworzono grupy ratownicze, by wspomóc przepracowanych sanitariuszy.

Naszych chłopaków z tych grup Rosjanie jak zwykle nie pozostawili bezrobotnych. Własnym rannym dawali wybór: albo zdechnąć na miejscu, albo przy odrobinie szczęścia dać się ewakuować przez nasze służby na zaplecze. Ruskim każdego dnia przybywało ludzi i sprzętu, natomiast chirurgów ciągle im brakowało.

Niestety, nasza armia, zdeorganizowana ciągłymi odwrotami, niewiele już mogła pomóc nawet własnym rannym, których liczba rosła z dnia na dzień, toteż ranni Rosjanie niewiele się mogli spodziewać.

Ocalali żołnierze usiłovali pozbierać się jakoś po tej masakrze. Dwunastu towarzyszy niedoli, w tym ja, znalazło się w częściowo zakrytym umocnieniu usytuowanym na tyłach naszych dawnych kwater, teraz całkowicie zniszczonych. Wśród nas był również Hen Hauptmann Wesreidau. Kapitan dołączył jako jeden z ostatnich. Pomimo panującego nastroju klęski, z radością witaliśmy każdego uratowanego. Byli już tam Halls, Lensen, a także Lindberg. Naszemu pruskiemu kapralowi udzieliłem nawet pomocy, nakładając mu pośpiesznie opatrunek na poważnie oparzonej zewnętrznej części prawej ręki. Kapitan zarządził odwrót. Podoficerom i nam polecił sprawdzić stan zdziesiątkowanej kompanii i odpowiednio przegrupować pododdział, nim zwiniemy o zmierzchu obóz. Pomogłem Lensenowi odnaleźć swój pluton. Rosjanie także lizali rany, nie śpieszyli się więc z kolejnym atakiem. Jak na razie, w złowróbnym, niesamowitym świetle grudniowego dnia, nie dostrzegaliśmy nic podejrzanego.

Lensen nie mógł uwierzyć w to, co mi się przytrafiło. Jego zdaniem wyszedłem cało, tocząc śmiertelną walkę z nacierającymi Rosjanami. Na próżno wyjaśniałem mu, że nie kojarzyłem, co się właściwie działo. Sam dopisywał scenariusz wydarzeń.

Z mojego kombinezonu pozostały nędzne resztki. Właściwie widać było tylko wypalony płaszcz. Okazało się, że w pośpiechu chwyciłem jakąś rosyjską broń. Dla Lensena wszystko było jasne: Sowieci przeszli przez moje stanowisko, nie zauważając mnie albo sądząc, że nie żyję; w rozpaczliwej walce wręcz rozbroiłem przeciwnika i dzięki tej broni utorowałem sobie drogę do naszych linii.

— Jesteś jeszcze w stanie śpiączki — rzekł z naciskiem. — Przypomnisz sobie potem. Nie widzę innego wyjaśnienia.

Wersja Lensena pochlebiała mi. Osobiście niewiele sobie przypomiąłem, gdyż tysiące błysków, straszliwych grzmotów i cały ten piekielny chaos nie pozwalały mi określić, gdzie się właściwie znajduję. Może po prostu Lensen chciał mnie w ten sposób przeprosić za tamten wieczór...

O zmierzchu, zapadającym właściwie po południu, opuściliśmy drugi front na linii Dniepru. Nasze przeredzone kolumny wycofywały się, porzucając zniszczony albo nie nadający się do transportu sprzęt. W tym samym czasie, lecz bardziej na południu, potężne uderzenie sowieckie, którego skutki odczuliśmy tylko pośrednio, dziesiątkowało wojska niemieckie i rumuńskie. Żołnierze Gross Deutschland Dwision ewakuowali się na ogół piechotą. Szli w cisy, zgarbieni, błagając ciemne niebo, by nieprzyjaciel nie rzucił się od razu w pogoń.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trzeci odwrót
Wojna partyzancka
Boże Narodzenie 1943 roku
Oblężenie Boporojewskiej

Nasze modły zostały wysłuchane. Pierwszy etap marszu odbył się bez przeszkód. Udało nam się pokonać z pięćdziesiąt kilometrów. Byliśmy jednak niemile zaskoczeni, ponieważ nie zauważyliśmy innych wycofujących się oddziałów czy kolejnych linii obrony. Jeśli nie liczyć kilku posterunków obrony terytorialnej, których załogi ku swemu wielkiemu zdumieniu musiały ewakuować się wraz z nami, nie napotkaliśmy żadnego pasa obrony. Rosjanie mogli teraz bez trudu rzucić się za nami w pościg.

Drugiego dnia odwrotu zmotoryzowana część naszego batalionu pozostała na miejscu jako oddział ochrony. W okolicach wioski nie zaznaczonej na mapach sztabowych rozstawiono około dwu tysięcy ludzi, wśród których byłem też ja. Mieszkańcy na nasz widok uciekli do gęstego lasu leżącego na jej skraju. Otrzymaliśmy lekkie, lecz równocześnie szybkie pojazdy. Mieliśmy cztery małe czołgi; może były przydatne podczas kampanii w Polsce, ale sowieckie T-34 poradziłyby sobie z nimi bez trudu. Ich uzbrojenie składało się tylko z podwójnie sprzężonego karabinu maszynowego i granatnika. Czołgi te pełniły głównie funkcję ciągników do transportu dwunastu sani ze sprzętem. Cztery półgąsienicowe transportery opancerzone, uzbrojone w karabiny przeciwpancerne, również służyły do wyciągania ze śnieżnych kolein pięciu czy sześciu ciężarówek. Trzy ogromne motocykle typu Zundapp Rutiland z przyczepami brodziły w białym puchu, który często dostawał się między przednie koło a błotnik. Ich potężne silniki pozwalały odblokować zakopane w śniegu koło tylne i koło przyczepy. Motocykle zyzakowały w miejscu, rycząc potężnie, a z rur wydechowych wydobywały się gęste kłęby spalin. Zablockowane przednie koło służyło za płożę kierunkową, podobnie jak w bobslejach. Naszą obronę wzmacniały trzy paki. Dysponując sprzętem odpowiednim do polowania na partyzantów, dodając doń jeszcze klasyczną broń piechoty, czyli pistolety i karabiny maszynowe, moździerze, granaty itp., mieliśmy powstrzymać przez całą dobę trzy rosyjskie dywizje piechoty wzmocnione kolumnami pancernymi. Następnie, nawet w wypadku powodzenia, powinniśmy odłączyć się od nieprzyjaciela. Na naszym odcinku rozciągającym się na przestrzeni stu kilometrów podobne zadanie otrzymały też inne grupy, natomiast główne siły oddalały się pośpiesznie.

Rosjanie, rozwijając zasadnicze uderzenie na południu, nie interesowali się zbyt naszym sektorem. Zresztą, po co wystawiać się na ryzyko strat, skoro Wehrmacht się cofa?! Rosyjskie dowództwo zleciło w pierwszym rzędzie to zadanie coraz liczniejszym grupom partyzanckim. Działając na ogromnych obszarach, które w zasadzie pozostawały ciągle pod naszą kontrolą, oddziały te z rozkazu towarzysza Stalina miały za zadanie jeszcze bardziej utrudniać nam odwrót. Unikając kontaktu z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, preferowały inne metody działania: niespodziewane ataki, miny, pociski-pułapki, zasadzki na niewielkich posterunkach po uprzednim wybiciu załogi, ataki na transporty zaopatrzeniowe, pojedyncze grupy żołnierzy i punkty zborne, straszliwe masakry jeńców... Partyzanci, a właściwie bandyci, atakowali zawsze to, co wydawało im się łatwą zdobyczą. Działając z wielkim okrucieństwem, likwidowali wszystko, co było poza zasięgiem regularnych sił.

Wehrmacht ustępował przed liczniejszym bez porównania przeciwnikiem. Trzeba było stawić czoła nie tylko zdyscyplinowanym oddziałom frontowym, ale również grupom partyzanckim, które nękały nasze wojska, posługując się karygodnymi i niedopuszczalnymi metodami.

Wyczerpana, atakowana przez nieprzyjaciela niemiecka armia nawet na tyłach nie miała ani chwili spokoju. Z rozkazu Wielkiego Towarzysza plądrujące bandy działały także na terenach sympatyzującej z nami Ukrainy! Tamtejsza ludność cywilna miała do wyboru: albo z nimi, albo przeciw nim. Za bierną postawę, niezdecydowanie, surowo karano. Partyzanckie bandy

mordowały lub porywały młodych Ukraińców, niegdyś pełnych podziwu dla niemieckiej organizacji. Wyraz „bandy”, ciągle jeszcze pojawiający się w dawnych opowieściach, zaczął kojarzyć się z okrutną rzeczywistością. Triumfowała wojna niewidzialna, wojna nie znająca ani odwrotu, ani chwili spokoju, ani litości. Wojna dywersyjna nie ma oblicza. Podobnie jak rewolucja, ma swoich męczenników, niewinne ofiary, zakładników. Rodzi niezrozumiałe sądy i nieprzemyślane reakcje. Człowiek zabija, aby „im pokazać”, zabija, by się zemścić, zabija w ramach represji za to, co już było albo ewentualnie nastąpi. Partyzanci dolewają oliwy do ogromnego paleniska.

W imię marksistowskiej wolności Ukraina została zmuszona do myślenia w odmienny sposób. Zarówno w niemieckich jak i ukraińskich sercach wzbierała z wolna gorycz. Rosła nienawiść o jeszcze ohydniejszym obliczu niż dotychczas, wywołując wojnę na śmierć i życie, rodząc politykę spalonej ziemi. Nienawiść nie zapewniająca więcej spokoju represjonowanym wieśniakom niż przyszłym pokonanym, czająca się w upiornych, krwawych bruzdach stanowiących najpotworniejsze apogeum wszechobecnego konfliktu. Gdy ta absurdalna wojna przybierała na sile, nasza jednostka odliczała godziny służby w straszliwym mrozie. Żaden odgłos nie zakłócał ciszy śnieżnego pejzażu. Tylko od czasu do czasu z głębi niemal dziewiczego lasu dochodziło wycie szarych wilków — mieszkańców tajgi. Jedna czwarta żołnierzy pełniła wartę, tkwiąc za różnymi dziwacznymi umocnieniami, na oszronionych wieżach czołgowych, czy też patrolowała pośpiesznie skraj lasu. Reszta zaszyła się w opuszczonych chatach.

Piece były systematycznie niszczone przed naszym przemarszem, bez wątplenia z inicjatywy partyzantów. Uniemożliwiając nam jakiegokolwiek schronienie, nieprzyjaciel miał nadzieję, że zdechniemy z zimna. Niektóre chaty pozbawiono dachów. Przed naszym nadejściem podpalono je albo zerwano. Bandyci nie zdążyli jednak zrównać wszystkiego z ziemią. Było nas zbyt wielu, by pomieścić się w tych nędznych resztkach. Liczni żołnierze siedzieli skurczeni między stojącymi jeszcze ścianami, mając jako dach nad głową zasnutą gęstą, nieprzeniknioną mgłą niebo. Pośrodku ruin palono wszystko, co tylko się dało. W ocalałych cudem chatach również płonął intensywny ogień, od którego w każdej chwili mogły zająć się dachy. Zmordowani żołnierze nie zadawali sobie trudu, by zbierać w lesie chrust. Całe miszerne wyposażenie chat rąbano w drzazgi, przeznaczając je na opał. Brano wszystko, co tylko udało się znaleźć wokół zniszczonych pieców. Żołnierze, oślepieni wypełniającym wnętrze dymem, wylatującym tylko przez drzwi i resztki komina, klęli ze złości. W ciasnych izbach leżeli jeden na drugim, wielu nawet stało. Usiłowali zasnąć, ale uniemożliwiał to dławiący ich kaszel. Oczy chłopaków znajdujących się w chatach bez dachów co prawda nie łzawiły od dymu, ale zbyt ciepła tam nie było. Ci, co znaleźli się najbliżej płomieni, sparzyli się i musieli uciekać od ognia; oddaleni o cztery czy pięć metrów prawie wcale nie czuli ciepła: było tam może siedem — osiem stopni poniżej zera.

Na wartę udawaliśmy się co dwie godziny, zmieniając chłopaków, którzy wracali do chat bladzi od mrozu. Zima atakowała na całego. Termometr u radiotelegrafistów wskazywał dwadzieścia siedem stopni poniżej zera. Sytuację pogarszał wszechobecny brud. Każdy uprzedzał, kiedy chciało mu się sikać: ciepły mocz spływał na opuchnięte od odmrożeń ręce. W takich warunkach popękane palce bardzo często były źródłem infekcji.

Zostałem wyznaczony na patrol w pierwszej kolejności, na godzinę piątą rano, kiedy była jeszcze polarna noc. Następnym miałem od trzynastej, w nikłym świetle południowego słońca, chowającego się za niebem tak ciemnym jak wtedy, gdy Tempelhof zniknął z powierzchni ziemi. Pod koniec patrolu niebo przybrało różową barwę. Wracałem o piętnastej, przechodząc obok jakiejś wędzarni. Poza tym nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

Bołą mnie oczy. Nie sposób odsłaniać nosa zaczerwienionego od odmrożeń. Krążąc z uniesionymi kołnierzami, które podwiązaliśmy szalami albo w wypadku ich braku sznurkami,

przypominamy gangsterów z Chicago. Po upływie godziny różowe niebo przybiera fioletową, wreszcie szarą barwę. Również śnieg staje się szary. Po południu zapada noc. Ciemności trwają aż do dziewiątej rano. Nocą mróz jest szczególnie dokuczliwy. Termometr wskazuje chyba wtedy trzydzieści pięć albo czterdzieści stopni poniżej zera. Cały sprzęt nie nadaje się do użytku. Benzyna zamarza, a z oleju silnikowego robi się gęsta maź, przybierająca w końcu konsystencję cementu blokującego mechanizmy. Z lasu dochodzi osobliwy huk. To na skutek mrozu pękają drzewa. Nie kruszą się jeszcze kamienie. Aby upajać się tą melodią, musi być co najmniej minus pięćdziesiąt stopni. Dla ludzi zaczyna się piekło. Nadchodzą straszne chwile, których tak bardzo się obawialiśmy.

Niewyobrażalna dla nas zima na froncie atakuje jak jakaś gigantyczna matryca drukarska gotowa nas zetrzeć na miazgę. Wszystko, co tylko nadaje się na podpałkę, trawi ogień. Jakiś porucznik z bronią w ręku ochrania dwoje sani; czterdziestoosobowa grupa żołnierzy chce je roznieść na strzępy, by podtrzymać gasnący płomień. Cierpiący na zapalenie dróg oddechowych mają świszczący oddech. Na szalach osiada wydychana para i zamarza, powiększając je jeszcze, na skutek czego stają się lodowymi bryłami.

— Dawać sanie na opa! — wrzeszczą chłopaki.

— Cofnąć się! — krzyczy porucznik. — W lesie jest dosyć drzewa!

— Po co nam sanie, skoro zdechniemy z zimna — rozumują.

Oficerowi udaje się w końcu ocalić pojazdy na płozach. Żołnierze biegną do lasu zbierać drewno. Uginając się pod jego ciężarem, powracają, podobni do pozbawionych twarzy upiorów, i rzucają je hurtem na gasnący ogień. Cały czas trzeba podsycać płomień. Nie można sobie pozwolić ani na chwilę odpoczynku. Daj Boże, aby Ruscy nie zaatakowali. Nie bylibyśmy zdolni nawet do symbolicznego oporu.

W najtrudniejszej sytuacji są wartownicy. Stojący nieruchomo na mrozie człowiek ryzykuje śmiercią. O dwudziestej pierwszej nadchodzi moja kolej. W resztkach budynku pokrytego zamrożonym śniegiem, który pęka jak szkło, pełni wartę piętnastoosobowa grupa żołnierzy. Przez pierwsze trzydzieści minut trzymamy się jakoś, okładając się wzajemnie kuksańcami. Następne pół godziny to prawdziwa katorga. Dwóch żołnierzy traci przytomność. Wyciągamy spod rękawów swoje sztywne jak haki ręce i zaczynamy niezdarnie potrząsać nieruchomymi ciałami kolegów. Wykonane ze skóry i wełny rękawice są już całkiem zniszczone i nie nadają się do niczego. Przenikliwy ból wędruje z kończyn aż do serca, które zaczyna kłuć. Ten, kto odważy się zdjąć nieco odzienia, oddaje mocz, jeśli tylko może, na umęczone palce. Czterech kolegów zabiera nieprzytomnych żołnierzy do pobłyskujących w ciemnościach chat, aby ich rozgrzać. Nasz posterunek jest śmiechu wart. Jeżeli w pobliżu są Rosjanie, mogą nas rozwalić kilkoma seriami. Jakiś facet płacze jak dziecko, chodząc w kółko w promieniu jednego metra. Stopy bolą mnie tak, że chce mi się wyć. Wbrew rozkazom schodzę z warty i biegnę do najbliższej chaty. Wpadam do izby pełnej kotłujących się żołnierzy i zatrzymuję się dopiero przed ogniskiem, gdzie padam na kolana, krzywiąc się z bólu. Wkładam nogi do czerwonego żaru. Zaczynają mi skwierczeć buty. Zetknięcie zamrożonych nóg z gorącym powoduje tak okropny ból, że zaczynani szlochać. Jednak nie tylko ja jęczę, toteż na moje utyskiwania nikt nie zwraca specjalnej uwagi.

Nadchodzi pora odwrotu. Sowieci się nie pojawili. Pokryta szronem broń nie miała okazji rozgrzać się podczas akcji. Na skutek przenikliwego mrozu jej stal mieni się bardziej niebieskawym blaskiem niż zazwyczaj. Wydaje się łamliwa jak szkło. Chłopaki gromadzą się na zbiórkę, nie okazując żadnej reakcji. Po walce ze zdrazieckim przeciwnikiem postradali niemal zmysły. Ale to nie Iwan zaatakował ich tej nocy. Żołnierze, wykonując swe zadanie, choć nie okryli się nieśmiertelną chwałą, brali udział w równie wspaniałej walce. Była to walka z długą, zimową rosyjską nocą, która zdawała się sprzymierzać z nieprzyjacielem, by nas wykończyć. Była to również walka ze zmęczeniem i brudem, walka z wszami, których prawie już się nie czuje, bo stały się niemal drugą skórą. Wroga zima także ma swoje ofiary.

Wyznaczeni na ostatnią wartę żołnierze powracali aż trzy razy, niosąc bezwładne ciała kolegów. Zapalenia płuc, rozległe odmrożenia, skrajne wyczerpanie to jeszcze nie wszystko. Trzem nieborakom nie udało się przeżyć. Pięciu innych reanimowano za pomocą alkoholu i uderzeń po całym ciele.

W mroźnym, nieruchomym powietrzu, podczas polarnej nocy chowamy pod śniegiem zeszywniałe ciała. I znów w tej nieszczęsnej rosyjskiej ziemi tkwi kij z umocowanym nań hełmem — symbol prostej, zbiorowej mogiły. Nie ma czasu, by się tam na chwilę zatrzymać, by się nad tym rozczulać. Ci, którzy ku swemu wielkiemu zdumieniu są ciągle żywi, starają się otrząsnąć z odretwienia. Chłopaki usiłują wprawić w ruch zamrożone silniki.

Jest to beznadziejna robota. Ani jeden rozrusznik nie wydaje najcichszego dźwięku. Adiutant Sperlovski mocuje się z pedałem swojego Zundappa, który opiera się masie ważącego już tylko dziewięćdziesiąt kilogramów faceta. Metal łamie się jak sucha szczapa. Pod czołgami rozpalamy ogień. Trzeba stopniowo ogrzewać kadłuby, aby dało się ruszyć z miejsca. Zziajani z wysiłku żołnierze klną, na czym świat stoi. Wyteżona praca powoduje przyspieszony oddech, a to drażni płuca, w których jeszcze bardziej świszczy. Nawet Wesreidau traci już cierpliwość. Buty owinął jakimś materiałem zdobytym w trakcie odwrotu. — Przynajmniej jeden silnik powinien pracować przez całą noc! — krzyczy. — To podstawowa zasada! Zginiemy marnie przez niedbalstwo!

Żołnierze obojętnie przyjmują uwagi ukochanego dowódcy. Niektórzy wyobrażają chyba już sobie własną śmierć, o jakiej napomykał kapitan, widząc w niej jedyne wyjście. Mniej więcej po godzinie słychać rachityczne pyrkotanie silnika. Udało się uruchomić jeden transporter. Przez pewien

czas silnik jest rozgrzewany, w końcu kierowca manipuluje przy skrzyni biegów, która nie chce zaskoczyć. Po dwóch godzinach nadludzkich wysiłków kolumna rusza wolno w drogę. Nie można forsować zimnego metalu. Taki jest rozkaz oficerów. Czekając, aż mechanizmy osiągną odpowiednią temperaturę, posuwamy się pieszko, kuśtykając niemiłosiernie.

W południe liczne awarie uniemożliwiają dalszy marsz. W niektórych pojazdach poszły przewody. Pod wpływem niskiej temperatury chłodnice rozsadził znajdujący się w nich płyn. Pewne części trzeba naprawiać, inne, które na szczęście są w zapasie, wymieniać, jeszcze inne łątać, czym się da. Podczas postoju otwieramy zamrożone konserwy. Mięso daje się pociąć co najwyżej siekierą, puree z grochu i soi zamieniło się w szybkoztwardniejący cement, a wino zakrzepło. Godzina stracona. Przez radiostację dowiadujemy się, że za sześćdziesiąt minut powinniśmy połączyć się z siłami głównymi.

Mijamy posterunek obrony terytorialnej. Są to dwa bunkry wykonane z drewnianych bali. Wokół umocnień wznoszą się trzy albo cztery chatynki ledwo wystające nad ziemią. Stanowisko wydaje się opuszczone: nie dostrzegamy żadnych regulaminowych sygnałów, chociaż nad jednym z bunkrów unosi się smuga dymu. Ci cholerni strażnicy na pewno kimają sobie w ciepłe ogniska. Grupę żołnierzy wysłano na zwiady. Po pięciu minutach jeden z nich biegnie w naszym kierunku. Twarz spowijają mu obłoczki pary. Zatrzymuje się, zziajany: — Wszystko zniszczone, panie kapitanie! Cała załoga wybita! Coś potwornego! Na poszarzałych twarzach maluje się niepokój. Patrzymy uważniej, dostrzegając wyważone drzwi w chatach, a w środku cztery lub pięć ciał, do których podbiega trzech naszych chłopaków.

— To partyzanci! — krzyczą wysłani na zwiady żołnierze. — Sześć świeżych trupów!

— Rozegrała się tu walka, panie kapitanie! Ci bandyci mają jeszcze w rękach broń!

Kolejna grupa żołnierzy bada drugi bunkier. Nagle rozlega się ogłuszający huk. Nad umocnieniem wzbija się gejzer ziemi, śniegu i drewnianych szczątków. Wesreidau klnie jak szewc. Również on biegnie w kierunku dymiącego bunkra. Pędzimy za nim. Trzech ludzi rozerwało na strzępy. Dwóch z nich nie da się dosłownie rozpoznać. Trzeci, znajdujący się przy wyjściu, rzezi rozpaczliwie. Z okolic krocza tryska mu krew. W głębi pomieszczenia

walają się wymieszane z rumowiskiem szczątki czterech poprzednio zabitych strażników.
— Uwaga, miny! — woła Wesreidau.

Zdanie to przechodzi z ust do ust. Chłopaki zatrzymują się przed pierwszym bunkrem. Patrzą na rzeź, nie mając odwagi wejść do środka.

Sześciu prawie nagich, straszliwie zmasakrowanych ludzi leży w zakrzepłej, czarnej krwi. Niektóre rany są tak potworne, że każdy stoi jak skamieniały w odpowiedniej odległości, nie wierząc własnym oczom. Dwóch

żołnierzy oddała się, chowając twarz w dłoniach. Walczyli pod Moskwą, Kurskiem, Briańskiem, Biełgorodem... Byli świadkami nieprawdopodobnych scen, ale nigdy nie oglądali czegoś tak przerażającego.

Wyznaczona grupa żołnierzy z największą ostrożnością podnosi martwe ciała z ziemi będącej świadkiem tej potwornej masakry. Dwa z nich z ranami postrzałowymi poharatane są jeszcze odłamkami min. Ten zbiorowy grób pokryty jest rumowiskiem. Nie mamy ani środków, ani czasu, by kopać dół w zamrzniętej ziemi.

Chłopaki zaczynają szemrać. Wojna partyzancka jest dla nich bardziej nikczemna i bezsensowna niż wszystko to, co dotychczas widzieli. Wesreidau oddaje ostatnie honory osiemnastu zmasakrowanym. Żołnierze zdejmują czapki, furażerki, hełmy, wystawiając na mróz rozczochrane głowy.

Ich hatte einen Kameraden...

Nad pejzażem jak z epoki kamienia unosi się niezborny, żałobny śpiew, wydobywający się z tysiąca piersi. Nie ma ani fanfar, ani sztandaru, panuje tylko atmosfera głębokiego smutku. Naszych żołnierzy oburza nieprzejednana postawa partyzantów kierujących się pragnieniem zemsty. Gotowi są znosić bohatersko trudy życia w okopach, ale nie są w stanie zaakceptować podstępnych działań partyzantów. Jeżeli istniały resztki sumienia, to ta przeklęta wojna je pogrzebała.

Kolumna rusza w drogę. Mijający to ponure sanktuarium żołnierze widzą sporządzoną pośpiesznie tablicę umocowaną na kopczyku. Wyczytać na niej można wykonany kawałkiem zwęglonego drewna napis: Rachsucht.

Jedziemy już prawie godzinę. Śnieg tłumi odgłos poruszających się pojazdów, ale z kolei odbija echem daleką kanonadę. Słyszymy terkot broni maszynowej. Wesreidau w porozumieniu z dwoma pozostałymi oficerami daje komendę do zatrzymania się. Kanonada wzmagą się. Pięć lub sześć kilometrów na zachód od nas toczy się walka. Pada rozkaz szybkiego marszu. Załogi naszych nielicznych lekkich czołgów chciałyby przyjść z pomocą walczącym. Oficerowie nie mogą jednak opuścić kolumny, gdyż nie można jej rozczłonkować. Tak więc każdy z czołgów ciągnie po trzy rosyjskie sanie wypełnione ludźmi i sprzętem. Z kolei transportery pomagają ciężarówkom, które nie poradziłyby sobie same. Jadę na ostatnich saniach w zaprzęgu. Do nich przywiązany jest jeszcze wielki motocykl z przyczepą. Ma niesprawną skrzynię biegów. Rzykując awarią, dzielne czołgi przyśpieszają, pociągając wszystko za sobą. Terkot broni maszynowej potężnieje jeszcze bardziej. Zbliżamy się na miejsce. Wesreidau gwałtownie zatrzymuje kolumnę. Zeskakuje na ziemię i zaczyna studiować mapy. Pada komenda do opuszczenia sań. Znów znajduję się w ogniu walki. Pozbawione holu czołgi mkną na wyznaczoną pozycję. Podążamy za nimi szybkim truchtem. Jadąc wielkim motocyklem BMW z przyczepą, Wesreidau zachęca nas, gestykulując zawzięcie. W tumanach śniegu pędzi, zygzakując, steiner z zainstalowanym moździerzem 80 mm.

Dysząc ze zmęczenia, drepczemy skrajem drogi, daleko z tyłu za czołgami. Grupa pancerna nawiązuje kontakt z nieprzyjacielem dziesięć minut przed nami. Głośniejszy niż zwykle terkot jej kaemów przeszywa mroźne powietrze. Motocykl powracającego dowódcy zakręca gwałtownie przed czołem biegnącej grupy.

— Tyrallierą w kierunku lasu, naprzód!

Wykonujemy komendę. Niektórzy pozostają przy motocyklu, który zarył się w śnieg, Trzeba go stamtąd wyciągnąć. Biegniemy między drzewami o pniach wysmukłych jak maszty statków. Pod naszym ciężarem nieskazitelnie biały śnieg skrzypi i pęka wielkimi płatami. Czołgów już nie widać. Ścigają chyba uciekającego nieprzyjaciela.

Nie ustaliliśmy między sobą żadnego kontaktu. Po dwudziestu minutach wystrzelona w niebo rakietą przywołuje nas na zbiórkę w pobliżu bunkra. Przypomina on poprzednie umocnienia. Mieści posterunek obrony terytorialnej stojący przy stosunkowo ruchliwej w normalnych czasach drodze, którą się posuwaliśmy.

Był to atak partyzantów, czego mogliśmy się spodziewać; chyba nawet tej samej bandy, co w południe dokonała masakry na poprzednim posterunku. Tutaj na szczęście nie przybywamy za późno. Na wydeptanym śniegu leży sześciu rannych i dwóch poległych z załogi bunkra liczącej dwudziestu dwóch ludzi, a także dwudziestu rannych i zabitych Rosjan. Na miejscu wala się też rosyjska, niemiecka, a nawet amerykańska broń. Ciężko ranni partyzanci czołgają się w kierunku lasu. Nic nie jest w stanie powstrzymać chłopaków. Plują ogniem mauzery, kładąc kres cierpieniom uciekinierów. Dwóch brodatych partyzantów bierzemy do niewoli. Przewracają dziko oczami jak schwyte wilki w pułapce. Na nasze pytania odpowiadają zdawkowo, uporczywie powtarzając to samo zdanie: My nie Kommunist. Może to jakieś prostaki, co nic nie wiedzą? Całkiem możliwe... Przypominają zwierzęta przypędzone na rzeź. Jakakolwiek dyskusja nie jest możliwa. Żołnierze zaczynają szemrać złowrogo.

Wesreidau spogląda to na partyzantów, to na swoich ludzi. Kapitan chce dowiedzieć się czegoś więcej. Przekonuje, nalega... Nic nie pomaga. W końcu zdenerwowany macha z rezygnacją ręką. Żołnierze biorą dwójkę partyzantów, popychając ich przed sobą.

Wilcze stworzenia odwracają się, warcząc złowrogo, ale na widok broni tracą głowę.

Zaczynają uciekać. Biegną, dopóki serie z broni maszynowej nie powalą ich na ziemię.

Posterunek został uratowany w ostatniej chwili. Od pozostałej przy życiu załogi dowiadujemy się, że od dwóch godzin powstrzymywała ataki co najmniej czterystu partyzantów. Strażnicy biorą nas w ramiona: ich radość nie ma granic. Odjeżdżają z nami, ponieważ przywieźliśmy im rozkaz ewakuacji. Staliśmy się „dyżurną miotłą” Wehrmachtu.

Nie koniec na tym: po dziesięciu minutach dalszej drogi wydarzył się tragiczny wypadek.

Jadący na czele motocykl z przyczepą, wyprzedzający

O jakieś trzydzieści-czterdzieści metrów pierwszy holujący czołg, wjeżdżał na drogę, brnąc w śniegu. Gdy posuwający się za nim pojazd pokonywał to samo miejsce, powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja, zdając się unosić czołg w górę. Pokrywający pobliskie drzewa śnieg posypał się między gałęziami, wydając krystaliczny szmer. Wybuch uszkodził gaśnice i rozerwał spód. Pojazd spowiły huczące płomienie ognia. Spod czołgu wydobywały się wielkie kłęby dymu, brudząc zlodowaciałą ziemię. Z holowanych sań dobiegał zgiełk i okrzyki przerażenia: byli zabici i ranni. Na czołg wskoczył jakiś podoficer, usiłując wydostać przerażoną, a może i ciężko ranną załogę. Na pomoc biegli też inni żołnierze, natomiast piechota rzuciła się na pobocza, ubezpieczając akcję. Gęsty, czarny dym okrył cały pojazd, uniemożliwiając pomoc. Na poczeriałym kadłubie zwisły smętnie trzy gaśnice. Pośpiesznie odciągano od czołgu sanie. Wewnątrz pojazdu huczał ogień, którego nic już nie mogło ugasić. Z zawierającego benzynę, prawdopodobnie rozlutowanego zbiornika wytrysnęło sto pięćdziesiąt litrów paliwa i paląc się, z wielkim hukiem rozlało się na śniegu. Poparzeni żołnierze w popłochu uciekali od czołgu, ustępując miejsca szalejącemu żywiołowi. Czarny słup dymu wznosił się w niemal tak samo ciemne niebo. Oficerowie

1 żołnierze w niemej rozpaczli patrzyli na tragedię trzech czołgistów. Śwąd ich spalonych ciał i opary paliwa tworzyły straszliwą mieszankę. A przecież kilka sekund wcześniej, przed czołgiem, w tym samym miejscu przejeżdżał prowadzący kolumnę motocykl z dwoma żołnierzami. Koła pojazdu ominęły założony przez partyzantów detonator miny może o jakieś dwadzieścia centymetrów. Również oni obserwowali dramat kolegów, czując zimny pot

spluwający po plecach.

Kolumna minęła wypalony czołg. Ogień spowodował wybuch amunicji. Zostawiliśmy również troje ciężkich sani wypełnionych częścią sprzętu, który podpalono. Jadących nimi żołnierzy rozdzielono na pozostałe pojazdy. Trzeba było wyminąć eksplodujące taśmy z nabojami do kaemów. Pozostawiliśmy także dwa groby. Zginęło dwóch ludzi, bo nie mieli żadnej możliwości ratunku. Po trzech latach krwawych walk zasłużyli na wiekuisty odpoczynek.

Ustępowaliśmy pola nacierającym sowieckim watahom. Taki oto był epilog ostatniej europejskiej wyprawy krzyżowej w różnorodnym tego słowa znaczeniu.

Nadal towarzyszy nam siarczysty mróz. Nie zapominamy o nim ani na chwilę, chociaż ciągle jeszcze przeżywamy ostatnie wydarzenia. Wkrótce dołączamy do dywizji stacjonującej w dość sporej wiosce o nazwie bodajże Boporojewska. Na całym terenie rozciągają się transeje i zasieki z drutu kolczastego. Jak w ukropie uwijają się wspomagane przez organizację Todt kompanie saperów, minując cały sektor. Na odcinek ten przybywają także inne oddziały piechoty. Zastajemy również kolumnę Tygrysów. Dwunastka nieruchomych kolosów zdaje się chichotać szyderczo na widok naszego

naprędce skompletowanego sprzętu. Obecność tych czołgów dodaje wszystkim otuchy. Są to prawdziwe stalowe fortece, z którymi nie może się równać żaden rosyjski czołg. Ich długie osiemdziesięcioośmiomilimetrowe działa strzelają ponoć z niesamowitą precyzją.

W Boporojewskiej znajduje się też pewna liczba wojskowych urzędników Wehrmachtu.

Wydają się zaskoczeni, że znaleźli się nagle w rejonie walk. Są w podłym nastroju.

Wyczuwamy nawet pewną pogardę z ich strony. Może ci biurokraci nie mogą nam wybaczyć, że cofamy się przed nieprzyjacielem. Dla nich Rosja kojarzy się tylko z tą zorganizowaną wioską, dającą schronienie przed mrozem; wioską, gdzie można najeść się do syta, sporządzając raporty o wysyłanym na front zaopatrzeniu. Ponoć spędzali tu także upojne wieczory z Ukrainkami. Zdaje się, że te damy i panienki pośpiesznie sposobią się teraz do wyjazdu ze swymi adoratorami w jakieś spokojniejsze miejsce. I to właśnie nam przypadnie chyba zaszczyt chronienia kurw tych urzędasów. Doprowadza nas to do szału. Wybuchają z tego powodu kłótnie, na szczęście zwykle szybko ktoś je zażegnuje. Ostatecznie jesteśmy zbyt zmęczeni i zziębnięci, by rozpamiętywać ten problem. Z wielkim zadowoleniem zajmujemy ciepłe jeszcze chaty, jakie nam wyznaczono. Jemy i pijemy do woli; można też umyć się w ciepłej wodzie. Tylko nieliczne chaty są oświetlone. Wszystkim, co wpada nam pod rękę, rozpalamy ogniska raźnie płonące w tym odnalezionym raj. Dwie godziny po przyjeździe w każdej kwaterze zdążono już roztopić całe metry sześcienne śniegu, dzięki czemu mamy hektolitry ciepłej wody. Wszyscy rozbierają się na golasa, błogosławioną wodą zmywając na wyścigi przylegające do ciała warstwy brudu. Pierzemy spodnie, cuchnącą bieliznę, koszule, bluzy. Robimy to wszystko z gorączkowym pośpiechem graniczącym niemal z paniką. Raj na pewno wkrótce się skończy i każdy stara się maksymalnie wykorzystać czas. Jakiś chytrus zgarnia nawet całą kasetkę luksusowych mydełek toaletowych. Radości jest co niemiara! Robimy z nich użytek, zanurzając je w wielkich drewnianych cebrach. I znów rozlegają się śmiechy, których od dawna już nie słyszeliśmy.

Po kolei, z zegarkiem w rękę, chłopaki zaliczają pachnącą kąpiel w pianie. Każdy może trzymać tyłek w pianie najwyżej dwie minuty, ani chwili dłużej! Z naczyń bryzga woda, zalewając dużą izbę, gdzie dynda trzydzieści kutasów. Do cebrów dolewana jest świeża woda, aby wciąż utrzymywała się na tym samym poziomie. Ponieważ brak dostatecznego oświetlenia, nie widzimy, że boska piana staje się szara od brudu. Wszy toną w pachnącym płynie uzyskanym dzięki mydełkom reklamowanym przez francuskiego producenta jako „Marie-Rose”. Gdy kończy się szaleństwo ablucji, wodę z naczyń wylewamy do dziury wykopanej przez któregoś z chłopaków w ubitej ziemi izby. Nie ma mowy, aby ktoś wystawił nos na zewnątrz. Jest trzydzieści stopni poniżej zera i wszyscy jesteśmy na golasa. W końcu

rozwalamy cebry i wrzucamy je do ognia. Czujemy straszny głód. Rozradowany Halls żuje kawałek mydła, wydzierając się, że musi sobie wymyć także całe wnętrze, bo zalegają tam wszy i brud.

— Teraz Iwan może sobie przyjść! Czuję się jak nowo narodzony! — wydiera się na całe gardło.

Nagle drzwi otwierają się gwałtownie. Do izby wpada fala siarczystego mrozu. Wszyscy zaczynają wrzeszczeć. W wejściu pojawia się dwóch żołnierzy obładowanych samymi smakołykami. Z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczyma patrzymy na ten dar niebios, rozstawiany przez chłopaków na stosie wilgotnych płaszczy. Są tam konserwy, wianki pachnących kiełbas, pierniki, puszki norweskich sardynek. Na ziemię stacza się brązowy blok w kształcie kamienia brukowego: to wędzona słonina! Jest też osiem albo dziesięć butelek: niemiecka wódka, koniak, białe wino reńskie. Cygara! Coś niesamowitego! A jeszcze do tego chłopaki cały czas opróżniają przepastne kieszenie płaszczy! Nasza spiżarnia trzęsie się od gromkiego „hurrra”!

— Skąd przyniosicie te skarby? — pyta jakiś chłopak ze łzami w oczach.

— Te cholerne urzędasy żyli tu jak pączki w maśle! Nigdy nie widziałem takiego żarcia u tego szatana Grandska (Grandsk był naszym kucharzem w kompanii). Te świny trzymali to dla siebie. Chcieli dać drapaka z tym wszystkim! Rozumiecie?! Dokonaliśmy małej rekwiizycji. Są wkurwieni i grożą jakimś raportem. Mówią, że to własność prywatna! Co oni sobie wyobrażają?! Mam w dupie ich raport! Pierdolę ich! Już od dawna chce nam się żreć! Wszyscy nie posiadają się z radości, dotykając delikatesowych przysmaków. Hallsowi oczy wychodzą niemal z orbit.

— Odłóżcie mi moją część! — odzywa się, sapiąc i nakładając wilgotny jeszcze mundur. — Idę tam. Przyniosę tego jeszcze więcej. Do cholery! Nie pozwolę, by te świny zostawili nas samych na froncie, zabierając swoje frykasy!

Halls opatula się rosyjską pierzyną i wychodzi na trzaskający mróz. Sol-ma idzie za nim. Solma to młody chłopak pochodzenia węgiersko-niemieckiego; dostał się do dywizji „Gross Deutschland” mniej więcej na tych samych zasadach co ja. Gdy dwójka niecierpliwców wychodzi w poszukiwaniu kolejnych smakołyków, pastor Pferham w towarzystwie obergefrajtera Lensena i Hotha, jego pomocnika przy pancerfauscie, zaczyna rozdzielać wiktuały. Blok słoniny rozmiękcza, waląc weń łopatką, bo zbyt mocno się opierał tępym bagnetem. Pferham, który porzucił swe przekonania religijne w tym samym czasie co swój klapodupiec (niewielki regulaminowy plecak zwisający na pośladkach), czyli podczas przeprawy przez Dniepr, klnie jak szewc.

— Kurwa mać! Tym bagnetem rozwalało się bebechy, a nie da się podzielić kawałka słoniny!

— Idź po dynamit do chłopaków z Todta! — wydiera się ktoś. — Pośpiesz się tylko! Służący w Wehrmachcie żołnierze tworzą fantastyczny zespół. Wojna zjednoczyła wszystkich tych ludzi pochodzących z rozmaitych regionów, z najróżniejszych środowisk. W innych okolicznościach może by sobą gardzili, lecz czas niedoli zrodził braterską wspólnotę, gdzie każdy czuje jakąś część odpowiedzialności za los kolegów. Postawa urzędników, chronionych przez panujący tu spokój, bardziej nas dziwi niż oburza. Skradzione wiktuały mają jak najbardziej legalny zapach. Duch narodowosocjalistyczny jest ciągle żywy wśród zwolenników tej ideologii, natomiast ci, którzy przywłaszczają sobie wszystkie te dobra, kiedy żołnierze umierają z głodu, należą do ludzi innego pokroju. Tak oto prawi Pferham, zażerając się smakołykami. Urzędasów tych porównuje do mieszczuchów, o których wspomina Hitler w „Mein Kampf”. Walczący żołnierze mają potrzeby wymagające natychmiastowego zaspokojenia. Dla tych ludzi, przypominających osaczone zwierzęta, jałowe dyskusje to strata czasu. Dziś trzeba jeść, co tylko można, pić, co jest w zasięgu ręki, kochać się, kiedy tylko to możliwe, nie kontemplując szaroniebieskich oczu panienki ani jej

rozpuszczonych włosów. Czas upływa nieubłaganie. Jutro może trzeba będzie polec...
Odłożone porcje Hallsa i Sólmy paradują w ich odwróconych hełmach jak kwiaty w wazonach. Wśród chłopaków krążą butelki. Rozlegają się śpiewy. Koledzy, którzy wyszli w poszukiwaniu dodatkowego jedzenia, ciągle nie wracają. Mróz staje się coraz sroższy. Halls będzie przeklinać swój szalony pomysł. Przyłapią go razem ze Solmą, kiedy będzie próbował zakosić koniak jakiemuś ważnemu urzędasowi. Obaj dostaną sześć dni aresztu.

Stille Nacht... Heilige Nacht... O! Weihnacht...!

Wigilia czterdziestego trzeciego roku. Nad labiryntem tranzei na północnym odcinku obrony pod Boporojewską huczy wiatr. Na stanowiskach przygotowanych przez dywizję ubezpieczającą i organizację Todt, które wycofały się już na zachód, przekraczając granicę z Besarabią, pozostają dwie kompanie. Te pokryte lodową skorupą kretowiska zajmujemy już od czterdziestu ośmiu godzin. Linia frontu wydaje się ustabilizowana i prawdopodobnie rozegra się wkrótce wielka bitwa. Walki na Froncie Południowym zmusiły nas do tego ostatniego już odwrotu i zgrupowania się na tym właśnie odcinku. Sowiecka lawina z południowej flanki toczy się w naszym kierunku jak zawsze z prędkością walca drogowego, lecz nieubłaganie. Mamy tego całkowitą świadomość. Nadciągające nieprzerwanie do naszych sektorów posiłki zapowiadają krwawe walki.

Patrolujemy teraz pagórkowaty, zalesiony teren. Czołgi, pełniące funkcję artylerii samobieżnej, mają swe stanowiska wśród oszronionych drzew. Mijają niespokojne godziny wyczekiwania. Na skutek trzaskającego mrozu kora odrywa się od pni drzew. Pożarliśmy już cały zapas żywności, jaka znajdowała się we wsi. Dowódca przymknął oczy, pozwalając nam na dwa

dni ucztowania. Chyba przewidywał niedaleki już dramat, którego będziemy uczestnikami. Jest wieczór wigilijny. Pomimo trudnych warunków, do jakich zdążyliśmy przywyknąć, prowadząc ten nędzny żywot, jesteśmy podekscytowani jak dzieci nie zaznające już od dawna radości. Przez nakryte stalowymi hełmami głowy przelatują tysiące cudownych wspomnień. Niektórzy opowiadają o przedwojennych czasach, inni o swym jakże niedawnym dzieciństwie. Chłopaki usiłują mówić męskim tonem, by ukryć wzruszenie. W tranzejach pełnych żołnierzy, których losy ważą się właśnie tam, unoszą się ulotne marzenia. Wesreidau obchodzi posterunki, rozmawiając ze swymi ludźmi. Jego słowa przeszkadzają jednak w marzycielskiej zadumie i wysoki kapitan pogrąża się we własnych myślach. On również ma dzieci, do których na pewno chciałby powrócić. Błądzi wzrokiem po milczących grupkach żołnierzy. Czasem zatrzymuje się, spoglądając w jasne, nocne niebo. Na jego długim płaszczu, niczym świecidełka na choince, błyszczą kryształki szronu.

Upływają cztery monotonne dni, kiedy to we znaki daje się tylko mróz. Wojska liniowe cały czas pełnią wartę. W ciągu mroźnej nocy są dwie zmiany. Mamy coraz więcej chorych na zapalenie płuc. Odmrożeń nie sposób zliczyć. Dwa razy mdlałem i dwa razy niesiono mnie nieprzytomnego do ciepłej chaty, by w ostatniej chwili uratować mi życie. Żołnierze mają popękane twarze, szczególnie wargi. Na szczęście żywności nie brakuje. Kucharze otrzymali specjalne rozkazy. Walczącym oddziałom należy dostarczać jak najwięcej tłuszczów. Zaopatrzenie napływa regularnie, więc Grandsk może gotować te swoje kleiste zupy na bazie margaryny syntetycznej.

Są ohydne, ale za to skuteczne. Za wzór posłużyły tu niektóre rosyjskie potrawy. A poza tym mamy saunę. To coś dla ludzi o końskim zdrowiu. Słabi nie mają tam czego szukać. Najpierw wrzątek, a potem zimny prysznic. Ta radykalna kuracja grozi wstrzymaniem pracy serca. Ale, podobnie jak zupy naszego kucharza, okazuje się bardzo skuteczna. Mamy po niej o wiele lepsze samopoczucie!

— Wpieprzajcie! — wydziera się Grandsk. — Niemieckie dzieciaki nie wcinają przez was kanapek!

Niestety, to prawda. W Niemczech występują coraz większe ograniczenia, jak napisała mi

Paula w liście, który szedł tylko sześć dni. Faktycznie; coraz bardziej zbliżamy się do Ojczyzny. Z tygodnia na tydzień droga do kraju jest krótsza. Niebawem ze znajdujących się w krytycznej sytuacji Niemiec nie będzie nadchodzić nawet margaryna. Możemy jeszcze uważać się za szczęściarzy — jak mówi Grandsk.

Któregoś poranka gwizdki na alarm budzą nas w przegrzanych chatach, gdzie sypiamy jak susły. Dwa kilometry od Boporowejkiej pojawił się rosyjski patrol czołgowy. Gdy wychodzimy z chaty, atakuje nas fala przejmującego mrozu. Wszyscy pędzą na stanowiska. Nie zdążyliśmy jeszcze dobiec na miejsce, a już słyszymy dochodzące od zachodu głuchoe detonacje, które wstrząsają rozrzedzonym powietrzem. To sowieckie czołgi, pędzące jak rozjuszone byki, nadziały się na pole minowe. Teraz Iwan przekona się, co to znaczy być spalony żywcem.

Obserwatorzy śledzą przez lornetki dramat czołgistów. Niemal wszystkie pojazdy cofają się po własnych śladach, starając się wyjść z zasięgu naszych milczących dział. Niemieccy artylerzyści pozostawili przyjemność zniszczenia przeciwnika zmyślnie ułożonym przez oddziały saperów minom. Własny ostrzał mógłby uszkodzić zastawioną pułapkę.

Jednak trzy czołgi, którym udało się przejechać przez zaporę, pędzą w kierunku wioski, nie zważając na huraganowy ogień prowadzony z trzydziestu siedmiu sztuk broni przeciwpancernej. Ich gaśienice i wylatujące spaliny czynią ogłuszający hałas. Wreszcie wchodzi w zasięg strasznych o-siemdziesięcioósemek przyczajonych Tygrysów. Jak na amerykańskich filmach wszystkie czołgi zostają trafione już pierwszą salwą. Jeden z nich wywraca się i eksploduje. Inny zatrzymuje się gwałtownie, niczym zraniony w okolice łopatki dzik. Trzeci pomimo trafienia zakręca, nie zwalniając. Obraca się bokiem do karabinów przeciwpancernych, które rozwalają mu wszystkie wystające części. Czołg robi nieregularny okrąg, usiłując się wycofać. Na śmiertelną karuzelę spogląda z lubością obsługa naszych karabinów. Iwan w odruchu samoobrony pędzi nierozważnie w kierunku pola minowego. Seria eksplozji rozrywa zespół lewej gaśienicy. Pojazd kładzie się na boku jak ranne zwierzę. Z wnętrza zaczyna wydobywać się czarny dym. Równocześnie wyskakują dwie postacie, by uniknąć płomieni. To dwaj żołnierze przeżyli ową niesamowitą szarżę. Zesztywniałe od mrozu palce nie pociągają za spust. Rosjanie trzymają w rękach pistolety, nie rezygnując z obrony. Zdziwieni panującą ciszą, po kilku krokach odrzucają broń i unoszą ręce. Chwilę później przekraczają pierwsze linie niemieckie. Chłopaki patrzą na nich jak na bohaterów. Pojawiają się uśmiechy. W odpowiedzi Rosjanie uśmiechają się również, prezentując podobnie jak Murzyni rząd białych zębów. Doprowadzeni zostają do ogrzanej chaty. Tam dwie albo trzy szklanki niemieckiej wódki postawią ich na nogi. Jakże inna jest postawa tej bohaterskiej dwójki w porównaniu z metodami partyzanckimi. Nie czujemy wobec nich ani odrobiny nienawiści. Lensen śledzi ich wzrokiem, mówiąc:

— Gdyby Wiener tu był, pewnie by się z nimi stuknął i popisywał swoim rosyjskim.

Następnej nocy patrole stawiają miny w innym miejscu. Minowanie terenu coraz częściej zastępować będzie ogień dział i broni maszynowej, gdyż nasze oddziały systematycznie kruszeją. Nazajutrz nasza linia obrony otrzymuje zasadnicze wzmocnienie. Do niemieckich oddziałów dołączają dwa pułki rumuńskie i batalion węgierski. Mamy też otrzymać wsparcie eskadry myśliwców bombardujących, stacjonujących ponoć w okolicach Winnicy.

— Zapowiada się niezłe widowisko — stwierdza Pferham. — Nie przepadam za tym.

Odmiennego zdania jest obergefrajter Lensen. Nadciągające bez ustanku posiłki sprawiają go w doskonały nastrój. Uważa, że tu właśnie powinniśmy powstrzymać rosyjską nawałnicę. Nie dopuszcza nawet myśli, by jego Prusy miały wkrótce wpaść w ręce nieprzyjaciela. Właściwie nikt nie wyobraża sobie takiej klęski.

Mija kolejnych pięć dni. Niemieckie patrole lotnicze donoszą, że obiecane wsparcie myśliwców bombardujących nie jest żadnym wymysłem. Również Rosjanie koncentrują siły. Nocą słyhać czasem odgłosy nadciągających wojsk. Niestety, mróz nie ma zamiaru zelżeć.

Dni są jaśniejsze, co zapowiada rekordowo niskie temperatury w styczniu i lutym czterdziestego czwartego. Na szczęście organizacja frontu wyraźnie ruszyła z miejsca. Świeże kwatery pozwalają wysyłanym ciągle na wartę żołnierzom na przyzwoite warunki wypoczynku.

Którejś nocy Rosjanie wysyłają na nasze pozycje falę Mongołów. Mają oni za zadanie pokonać zaminowany teren, robiąc w ten sposób przejście dla swoich. Rosjanie wolą oszczędzać czołgi, a poświęcić ludzi, bo mają ich pod dostatkiem.

Sowiecki' atak kończy się niepowodzeniem, ale towarzysz Stalin nie oczekiwał natychmiastowego sukcesu. Wyjące hordy przewalają się przez pole minowe, niszcząc ustawioną zaporę. W biało-żółtych płomieniach ognia trwa straszliwa masakra. Ocalałych z pogromu wyławiają kaemy. Mróz pokrywa szklaną warstwą stopy trupów. W normalnych warunkach cuchnęłyby już w promieniu dziesięciu mil.

Zgodnie z naszymi oczekiwaniami Mongołowie nie mieli nawet wsparcia rosyjskiej artylerii. Patrolujący żołnierze usiłują na nowo zaminować teren, ale rosyjscy strzelcy nie śpią, powstrzymując ich ogniem. Za cenę znacznych strat zdołano pokryć minami jedynie mizerny kawałek ziemi. Nie można już liczyć na „płaskie menażki”, które chroniłyby nasze pierwsze linie.

Któregoś wieczoru, podczas wyjątkowo silnego mrozu, Iwan atakuje po raz kolejny. Niemieccy żołnierze i ich sojusznicy biegną na stanowiska w czterdziestotrzystopniowym mrozie. Już na samym początku są wypadki omdleń. Sparaliżowani przez mróz ludzie nieruchomieją, nie mogąc wydać nawet okrzyku. Nic już chyba się nie da zrobić. Dłonie i twarze powlekleliśmy smarem silnikowym. Zużyte rękawice klejące się do tej lepkiej masy uniemożliwiają swobodne ruchy rękami. Niezdolne do jazdy czołgi omiatają przestrzeń lufami dział, niczym znajdujące się w pułapce słońce.

Atakujący Rosjanie mają te same problemy. Zamarzają w miejscu, zanim zdążą wykrzyknąć to swoje: hurra победа! Cierpiące w tym samym stopniu obie strony chciałyby krzyknąć „łaski”! Metalowa broń łamie się jak zapalki. Sowieckie czołgi nacierają na oślep, pędząc w nikłym świetle rakiet rzucających niebieskawą poświatę, w której wszystko wygląda jeszcze groźniej. Ogień nieruchomych Tygrysów i miny sięgające aż po skraj tran-szei trzydzieści metrów od pierwszych linii, powstrzymują ich szaleńczy atak. Skostniali z zimna żołnierze rosyjskiej piechoty pierzchają w nieładzie pod ogniem, jaki prowadzimy mimo zgrabiających rąk. Spodziewali się, że zastaną nas sparaliżowanych przez mróz i niezdolnych do obrony. Nie przejmują się licznymi przypadkami chorób dróg oddechowych. Na pewno poświęcono ich po to, by przełamać nasze linie. Nie posunęli się jednak do przodu.

Zdołałem ochronić ręce od mrozu, wkładając je w rękawicach do puszek po konserwach. Naboje na szczęście wchodziły do karabinu. Strzelcy, a także wszyscy ci, co musieli robić użytek ze swych rąk, znaleźli się w izbie chorych, cierpiąc na rozległe odmrożenia. Dokonano szeregu amputacji.

Silny mróz utrzymuje się przez trzy tygodnie. Rosjanie trąbią do nas przez głośniki, byśmy zaczęli myśleć o rodzinach i się poddali.

Pod koniec stycznia mróz staje się mniej dokuczliwy. Można już wytrzymać. W dzień temperatura spada czasem do minus piętnastu stopni, ale noce są jeszcze nie do zniesienia. Zmieniamy się jednak częściej na wartach i da się jakoś przeżyć. To jednak nie stanowi przeszkody, by rosyjska ofensywa przybrała na sile. Nocą albo raczej rankiem, około czwartej czy piątej, gwizdki ponownie wzywają nas na stanowiska.

Z ogłuszającym hukiem zbliża się masa rosyjskich T-34 i amerykańskich Shermanów. Natarcie poprzedzone było przygotowaniem artyleryjskim. Spowodowało ono zniszczenia, zwłaszcza we wsi, przyczyniając się do masowej ucieczki przerażonych Ukraińców. Niemieckie czołgi, czyli około piętnaście Tygrysów, dziesięć Panter i dwanaście Mark-2 i Mark-3, uruchamiają silniki, które cały czas były podgrzewane. W początkowej fazie ofen-

sywy rosyjska artyleria niszczy dwa Mark-2. Na nasze pozycje pod Boporo-jewską spada teraz huraganowy ogień rosyjskich dział. Tkwiący nieruchomo w okopach żołnierze czekają, mrużąc powieki, na sowiecką piechotę, która na pewno lada chwila zaatakuje. Na razie broń automatyczna i pancerfausty milczą. W powietrzu śmigają jedynie pociski artyleryjskie, w tym czołgowe.

Znakomicie zamaskowane Tygrysy z silnikami pracującymi na zwolnionych obrotach czekają, aż zdobycz znajdzie się w ich zasięgu. Charakterystyczny ogłuszający huk sygnalizuje wysyłane przez nie pociski. Niemal wszystkie wzniesają pożary na rosyjskich czołgach, które wolno, lecz pewnie posuwają się do przodu, strzelając na oślep. Ich taktyka wzniesienia paniki odniosłaby skutek, gdybyśmy nie widzieli licznych kłębow czarnego dymu wzbijających się w jasne styczniowe niebo. Trzydziestkisiódemki i pancerfausty, czyli broń rażąca na krótkich dystansach, praktycznie nie została użyta. Pierwszą sowiecką falą pancerną spowijają pożary sto pięćdziesiąt metrów od naszych najbardziej wysuniętych linii. Zostaje przygwożdżona na miejscu przez morderczy ogień Tygrysów, Panter i ciężkiej broni przeciwpancernej.

Tygrysy to niesamowite fortece. Nieprzyjacielskie pociski niemal zupełnie nie uszkodzają ich pancerza, którego płyta czołowa ma czternaście centymetrów grubości. Jedynym ich czułym punktem jest zwrotność. Ale oto nadciąga kolejna fala, jeszcze potężniejsza niż pierwsza, a wraz z nią mrowie żołnierzy. To już poważna sprawa.

Kolby przyciskamy do barków, granaty są w zasięgu ręki, gotowe do akcji. Czujemy suchość w ustach i mamy przyspieszony puls.

Ale oto niebiosa zsyłają nam ratunek. Z potężnym warkotem nadlatuje trzydzieści samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach. To przybywa na pomoc obiecana eskadra z Winnicy. Maszyny rzucają się na nieprzyjacielskie kolumny, stanowiące łakomy kąsek. Niemal każda bomba trafia w cel.

Ze wszystkich piersi wyrywa się okrzyk: „niech żyje Luftwaffe” tak potężny, że zastanawiamy się, czy lotnicy tego przypadkiem nie słyszą. Otwieramy równocześnie ogień ze wszystkich rodzajów broni. Jednak nieprzyjacielskie natarcie, mimo ogromnych strat, powoli się rozwija. Niemieckie czołgi opuszczają kryjówki, atakując zaskoczonych Rosjan. Przypominają się pancerne szarże z czterdziestego pierwszego roku...

Bitewny zgiełk staje się nie do zniesienia. W powietrzu unosi się zapach dymu, prochu i spalin. Niemieckie „hurra!” miesza się z rykami Sowietów; ich impet zaczyna wreszcie słabnąć.

Na naszych oczach rozwija się wspaniały atak Tygrysów rozbijających nieprzyjacielskie kolumny pancerne, które jednak jeszcze się nie cofają. Nasze lotnictwo dwudziestomilimetroowymi działkami i pociskami raketowymi ostrzeliwuje nieprzyjacielskie oddziały w rozsypce, czego nie możemy dostrzec w ogromnej, czerwonej u dołu ścianie dymu.

Rosyjska artyleria nadal zasypuje nasze pozycje deszczem stali. Padają zabici, na co nikt nie zwraca uwagi. Wkrótce cichnie, aby nie razić wycofujących się własnych wojsk.

Nadciąga kolejna fala niemieckich samolotów, doprowadzając do całkowitego rozbicia nieprzyjaciela. Żołnierze padają sobie w ramiona. Ludzie, którzy od roku uciekali przed coraz potężniejszym przeciwnikiem, nie posiadają się z radości. Lensen wydiera się jak opętany: — A nie mówiłem wam?! A nie mówiłem wam?!

Dostąpiliśmy niemałego zaszczytu, a mianowicie wspomniano o nas w komunikacie specjalnym: „Rumuński front trzyma się nadal. Pomimo trwających przez miesiąc nieustannych ataków, walcząc w przenikliwym mrozie, wojska niemieckie i rumuńskie po raz kolejny powstrzymały rosyjską ofensywę, zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty”.

Spoglądając na rozciągające się przed nami złomowisko i stosy trupów, mogliśmy stwierdzić, że treść komunikatu nie mijała się zbytnio z prawdą. Rzeczywiście — na

trzystupięćdziesięciokilometrowym froncie Armia Czerwona w przeciągu miesiąca atakowała szesnaście razy. Odliczając trzy tygodnie spokoju, kiedy wszelkie operacje były prawie niemożliwe, te szesnaście szturmów przeprowadzono w przeciągu jednego tygodnia.

Rosyjska

nawałnica ruszyła na pięć odcinków obrony. Tylko jedno natarcie zakończyło się niemal powodzeniem. Front został przerwany na południowym odcinku, ale Niemcy zdołali zlikwidować wyłom, w wyniku czego oddziały sowieckie zniszczono albo wzięto do niewoli. Jeśli o nas chodzi, trzymaliśmy się dzielnie, z czego byliśmy bardzo dumni. Udowodniliśmy, że dysponując odpowiednim sprzętem i mając bardzo niewiele czasu na przygotowanie obrony, o wiele mniejsze siły mogą powstrzymać nieprzyjaciela, którego olbrzymi wysiłkiem nie był, prawdę mówiąc, właściwie spożytkowany.

Uwagą tą w trudnych chwilach często dzielił się z nami weteran. Na widok nieprzyjacielskiego czołgu w płomieniach zawsze uśmiechał się szeroko, odsłaniając swoje wilcze zęby:

— Co za dureń! — powiadał. — Wpaść w tak idiotyczny sposób! Tylko cała ich lawina zdoła nas pokonać któregoś dnia.

Dywizji „Gross Deutschland” przyznano trzydzieści Krzyży Żelaznych. Tyle samo niewielkiej kolumnie pancernej. Czołgiści w pełni na nie zasłużyli.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Odpuzynek w Polsce

Nasza dywizja została kilkakrotnie pokonana, ponosząc znaczne straty. Nierzadko wydzielano z niej kompletne, jak sądzono, oddziały, które miały wzmocnić inne słabsze odcinki. Kiedy przybywały na miejsce, stwierdzano, że brakuje dwóch trzecich stanu osobowego. Można było jedynie nad tym ubolewać.

Okres spokoju okazał się dla nas niezbędny. Niewiele brakowało, by stał się wręcz idyllą. W obozie jednak czekały na nas tak durne zajęcia, że można było się załamać. Mieliśmy takie same ćwiczenia jak rekruci, co doprowadzało nas do szału. O mały włos doszłoby do buntu. Po pokonaniu czterystu kilometrów znaleźliśmy się tym razem rzeczywiście daleko od linii frontu. Jesteśmy w Polsce, nad Dniestrem, około osiemdziesięciu kilometrów od Lwowa. Niezbyt szeroka w tym miejscu rzeka płynie w rejonie podkarpackim. Na wartkim na tym odcinku Dniestrze rozsiane są maleńkie wysepki pokryte teraz śniegiem i lodem. Znaczną powierzchnię rzeki pokrywa gruby lód. Płynąca pod nim woda wydaje osobliwe odgłosy. Jasnoniebieskie niebo, niemal lodowcowy krajobraz na horyzoncie, skąd nadlatują orły — cóż za wspaniały i zdrowy region! W Galicji Wschodniej przez dwa miesiące będziemy mieli niemal urlopową atmosferę, stanowiącą jakże miły kontrast z zimową, szarą Ukrainą. Również tutaj śnieg jest obfity, mróz tęgi, lecz drewniane baraki stojące nad brzegiem Dniestru są czyste i ciepłe. Ogrzewanie jest co prawda zbyt oszczędne, ale mniejsza z tym. Po tym co przeżyliśmy, panująca w ich wnętrzu temperatura około dziesięciu — dwunastu stopni powyżej zera pozwala żyć w całkiem znośnych warunkach. W wielkim obozie panuje pruska organizacja jak przed wojną. Około sto pięćdziesiąt drewnianych parterowych budynków podzielono na sektory, z których każdy oznaczony jest literą i numerem. Pomiędzy zaśnieżonymi świerkami widać duży budynek zbudowany z jakiegoś solidniejszego materiału. Stanowi on już chyba część zabudowań wiejskich. Mieści się tam sekretariat i kwatery dowództwa. Wszystko jest odnowione, świeżo pomalowane i starannie utrzymane. Patrząc na ten porządek i pozorny dostatek, aż nie chce się wierzyć, że Niemcy są już u kresu sił. Organizację widać tu na każdym kroku. Po tym całym chaosie, który udało

nam się przeżyć, teraz kiedy widzimy, jak każdą rzecz wpisuje się do rejestru, czujemy się niczym dzikie zwierzęta w klatce.

Pośrodku obozu znajduje się kwadratowy plac, gdzie odbywa się przegląd oddziałów i ćwiczenia rekrutów. Naucza się ich władania bronią podczas parad wojskowych, co jest kompletnie nieprzydatne w czasie walki.

Wygląda na to, że ci całkiem jeszcze młodzi ludzie wszystkie ćwiczenia wykonują z ogromnym zapałem. Niektórym z nas, jak Hallsowi, mnie i innym kolegom, przypomina się, jak półtora roku temu w tej samej Polsce po raz pierwszy mieliśmy w rękach materiały wybuchowe. Wydaje nam się, że było to już z dziesięć lat temu. Podczas wojny człowiek szybko się starzeje. Rekruci dostrzegają nasze nieco znudzone miny, co dopinguje ich jeszcze bardziej. Zachowują się, jakby chcieli nam pokazać, że teraz oni są na wojnie.

Jakież zapał wykazują ci młodzi gimnazjaliści, którzy stali się przypadkowo żołnierzami. Po kilku nocach spędzonych w błocie i na widok pierwszego szpitala polowego nie będą już takimi entuzjastami. Myśmy już to wszystko poznali. Szybko się przekonają, że wojna to nie tylko ogłuszające eksplozje gipsowych granatów na ćwiczeniach. Po trzech tygodniach ich zapał wyraźnie osłabnie. Zostaną okrażeni przez inne, jakże nieoczekiwane wojska.

Fiihrer sięga do ostatnich już rezerw, wysyłając na front pięćdziesiąt procent swojej aroganckiej policji. Ci kolejni rekruci, w nie tak młodym przecież wieku, dostaną wreszcie za swoje! Gdy patrzymy na mordę czołgającego się w tym gównie gliny, tak bardzo się radujemy, że zapominamy o trudach wojny. Oficerowie policji, nie mający większego pojęcia o wojnie, oddają swych podwładnych pod komendę oficerów Wehrmachtu, którzy — pamiętając jeszcze doznane od nich zniewagi — używają sobie teraz, ile wlezie. Cóż to za cudowny widok! Młode lwiątko mają pecha, bo razem z tymi durniami będą musieli znosić trudy wojaczki, jak również ich humory, a ci zrobią wszystko, by utrudnić im życie.

Nasza sytuacja jest zresztą niewiele lepsza. Na kwatery dotarliśmy po długiej i ciężkiej podróży. Najpierw szliśmy piechotą pięćdziesiąt kilometrów, posuwając się kiepskimi rosyjskimi drogami pokrytymi rozbabraną warstwą lodu. Potem ciężarówki dowiozły nas do Mohylowa, miasta w stylu orientalnym. Stamtąd dwoma zniszczonymi w trzech czwartych pociągami dowlekliśmy się do Lwowa na terenie Polski, jadąc wzdłuż umownej granicy z Besarabią. Wreszcie aż do obozu jechaliśmy ciężarówkami. Byliśmy brudni i zmordowani. Z miejsca znaleźliśmy się pod baczny okiem wymuskanych i cieszących się doskonałym zdrowiem oficerów szkoleniowych.

Mamy dwa dni odpoczynku, a potem obozowi feldfeble już tylko czyhają na najmniejsze uchybienia z naszej strony. Na pierwszej zbiórce instruktorzy zaszokowani są naszymi mundurami i płaszczami, a przecież staraliśmy się starannie je otrzepać i wyszczotkować. Odzież straciła pierwotną barwę i kształt. Popielate mundury przybrały jakiś szarawy kolor z odcieniem szczyln. Całość smętnie zdobią rozdarcia, dziury, rudawe wypalenia. Wielkie wojskowe buty są zużyte, zdeformowane, pozbawione pierwotnej czarnej barwy. Brakuje obcasów, podeszwy są dziurawe. Wyglądamy w tym wszystkim jak ostatnie łachudry.

Instruktorzy obserwują, rachują, doszukują się braków spowodowanych naszym niedbalstwem. Dystynkcje świadczące o uczestnictwie w operacjach to dla nich policzki, co zbywają milczeniem. Jakież kontrast między ich wymuskanymi ubiorami, a umundurowaniem trzech stojących na baczność kompanii. Właściwie to ci strojnisi powinni nam oddawać honory.

Czują to i są z tego powodu zirytowani. Czepiają się szczegółów, by całkowicie nie stracić twarzy. W pobliżu przechodzą ze śpiewem kolumny żandarmów i gimnazjalistów w odzieży kamuflującej, aby zmyć z siebie codzienny pot. Jest jasny poranek, a suche, mroźne powietrze barwi policzki śpiewających radośnie żołnierzy:

Das schönste aufder Welt ht mein Tirolerland.

Niestety, piękny Tyrol, o którym wspominają w piosence, nie jest świadkiem ich nieco

wymuszonej radości. Na razie tyrolski krajobraz zastępują majestatyczne szczyty Karpat. Poezja ta nie wzrusza instruktorów zajętych szukaniem dziury w całym. Jeden z nich zatrzymuje się przed żołnierzem odzianym w długi płaszcz, którego poły przypominają koronki z Alencon. Wreszcie sztabfeldfelbel może wyładować na kimś złość w obecności spoglądających szyderczo wojaków. Odchylamy nieznacznie głowy na prawo, łypiąc okiem w kierunku chłopaka, któremu zarzuca niedbalstwo. Oczy wywałamy niemal z orbit, by lepiej widzieć faceta robiącego za piorunochron.

— Nazwisko?! Przydział?! — wydziera się sztabowy, wyciągając szyję. Jeżeli wszystkiego nie da się zobaczyć, można wszystko usłyszeć.

— Frósch! Hen Stabsfeldwebell — wykrzykuje zawezwany, podając swój numer, znany przecież każdemu.

Frósch... Nazwisko to krąży mi przez chwilę po głowie. Frósch? Ależ tak! Ten barak nazajutrz po przepłynięciu Dniepru! Ciepła woda! Facet o głupkowskim spojrzeniu i anielskiej dobroci! Frósch! Sztabowy wymierza mu siarczysty policzek...

Frósch jest w kompanii stojącej po prawej stronie. Oberwało się facetowi. Jego nazwisko, poprzednio bez żadnego znaczenia, dźwięczy mi teraz w głowie przez cały czas. Jakże do tego Fróscha można mieć pretensje?!

A oto co mu się zarzuca. Oto co zdołałem dostrzec, ośmielając się bez komendy wykonać „na prawo patrz”!

Stojąc w trzecim szeregu jakieś dziesięć lub dwanaście metrów ode mnie, Frósch pręży się na baczność, wysłuchując reprimendy. Patrzy prosto przed siebie, jak wymaga tego regulamin. Jego wynędzniałą i durnowatą twarz zakrywa częściowo ciężki stalowy hełm. Niestety, na tyle durnowatą, aby sztabfeldfelbel poczuł swoją wyższość nad żołnierzem, który bez wątplenia napatrzył się już w życiu na najróżniejszych feldfelbli. Wystające z rękawów postrzępionego płaszcza wielkie, czerwone od odmrożeń ręce chowają się gorączkowo w fałdy zabrudzonej odzieży. Płaszcz nie ma ani jednego guzika. Przez każdą dziurkę Frósch przewłócił kawałek drutu, a jego końce starał się jeszcze zagiąć, kierując się wzruszającym w tym wypadku poczuciem estetyki i wykazując swoją dobrą wolę. Niestety, na domiar złego pomylił jeszcze otwory, na skutek czego utworzyła się nieoczekiwana i bardzo widoczna fałda. Rzuciło się to w oczy sprawdzającemu podoficerowi, który nie przepuszcza tej okazji. I wtedy wydarzyło się coś niesłychanego: interweniuje dowódca kompanii, wspominając sztabfeldfelblowi o trudnościach, jakie napotkał pododdział. Sztabowy czerwieni się, widząc, jaki spotyka go afront ze strony oficera nie upoważnionego do inspekcji.

— W waszym raporcie o zaopatrzeniu meldowaliście, że macie zapas odzieży na wymianę, Hen Leutnant! Szczególnie guziki.

Porucznik nie wie, co odpowiedzieć.

— A poza tym, szeregowy Frósch nie zadał sobie nawet trudu, by zapiąć odpowiednie dziurki, Hen Leutnant!

Nastaje pełna napięcia cisza. Porucznik spogląda wyrozumiale na Fróscha. Że też ten pocziwiec musiał dać skurwielowi okazję do zrobienia takiego burdelu... No cóż, stało się. Pomimo swej wyrozumiałości porucznik nie może temu zaprzeczyć. Wraca na miejsce z kamienną twarzą. Przez kompanie przechodzi pomruk niezadowolenia.

— Stillgestanden! — wrzeszczą feldfelble.

Frósch dostaje dwadzieścia dni aresztu o suchym chlebie i wodzie. Czekać go będą także różnego rodzaju prace karne i szykany na każdym kroku. Facet nie protestuje. Opuszcza szyk i dołącza do szeregu karnego. Jest tam samotny. Inspekcja zmierza ku końcowi. Pada komenda: „w lewo zwrot”! Kompanie ruszają na godzinną rundę wokół obozu. Frósch ciągle patrzy nieruchomo przed siebie. Jest sam w szeregu karnym, sam w szeregu symbolizującym jawną niesprawiedliwość, sam, jak chyba przez całe swoje życie. Może dzięki temu zbliży się nieco do kolegów z wojska. Ale to zbliżenie, a także wojskowa bezwzględność drogo go będą

kosztować. Dziesięć dni później, kiedy jednostka dostanie nowe umundurowanie, ukarany Frósch ciągle będzie paradował w swoich łachmanach. Frósch stanie się symbolem. Ten chłopak nie potrafi nienawidzić. Jego wzruszająco głupkowata twarz niezmiennie wyraża naiwną dobroć. Ofiaruje kolegom dzikie storczyki, które znajduje na pniach drzew stojących nieopodal obozu. Kwiaty te zrywa podczas swoich samotnych karnych robót. Któregoś dnia weteran powie o Fróschu: — Jest tak pokorny jak Diogenes. Nie zasłużył na zwycięstwo, ale zasługuje na raj. — Drużyna naprzód...! Padnij...! Powstań...! Skokami naprzód...! Padnij...! Powstań...! — Na twardej zamrożonej ziemi ścieramy sobie ręce i kolana.

Pozbawione liści krzewy niszczą mundury; pozostają z nich strzępy.

Odbywają się ćwiczenia podczas symulowanych wybuchów. Żołnierze, którzy widzieli wylatujące pociski rakietowe z „Organów Stalina”, zdrowo sobie z tego kpią. Faceci, co padali plackiem na ukraińskiej ziemi, tak że nie było ich widać, czołgają się teraz za pomocą łokci, to śmiejąc się, to irytując. No i stało się: pyskówki, upomnienia i wreszcie zbiorowa kara dla całej kompanii; musimy wykonać jedno okrążenie czołganiem dookoła obozu. Przesuwająca się powoli dziesięć centymetrów od naszych twarzy ziemia jest świadkiem dyskretnych przekleństw. Podoficerowie szkoleniowi wykonują swoją robotę, jak należy. Przebiegają po długim dywanie z popielatych mundurów, posuwającym się jak amazońskie mrówki marabunta.

Oburzony Wesreidau, będący świadkiem tych niezbyt wybrednych żartów, dyskutuje ostro z dowództwem obozu. Daremny trud: otrzymano rozkazy z wyższego szczebla. Należy przeciwdziałać rozprężeniu powracających z frontu oddziałów. Aby prowadzić wojnę na śmierć i życie, potrzebna jest dyscyplina, podobnie jak w dywizjach walczących w czterdziestym i czterdziestym pierwszym roku.

Marsze w pełnym oporządzeniu. Pokonywanie krokiem marszowym wiosek ze śpiewem na ustach. Chodzi o zaprezentowanie naszego entuzjazmu wieśniakom, na nasz widok unoszącym ramiona w regulaminowym pozdrowieniu. Dzieciaki wykrzykują do nas, dziewczyny przesyłają uśmiechy. Nie ma ani dnia przerwy. Uczymy się też wycofywać skokami. Jest to zawsze przydatne.

Co cztery dni, od godziny siedemnastej do dwudziestej drugiej, mamy wolne. Robimy naloty na pobliskie wsie, Newotoreczę i Suekę, gdzie możemy zająć do pierwszego lepszego chłopca, który da nam coś do picia, a czasem nawet i do jedzenia. Żołnierze zabawiają się pośpiesznie z dziewczynami, a te nie wydają się zbyt spłoszone. Dzięki tym nielicznym chwilom wolności, jakie staramy się maksymalnie wykorzystać, zapominamy o wszystkim innym.

Nazajutrz, wspaniałomyślnie potępiając nasze poprzednie „akcje dobroczynne”, powracamy do tego, co Niemcy nazywają „trzymać wszystko w garści”. Nie przychodzi nam to łatwo, ale pocieszamy się, że jest to chyba konieczne. Po raz kolejny ufamy rozkazom swoich przełożonych. Może dzięki temu uda nam się szybciej zakończyć wojnę...?

Czy to przejaw naiwności? A może wiara w sztukę wojenną? Dzielny żołnierzu niemiecki! Czy ci, którzy później będą cię sądzić, wezmą to pod uwagę? Czy może będziesz tylko bandytą? — i to usłyszysz za całe wyjaśnienie. Choćby tylko dlatego zasłużyłeś na zwycięstwo...

Otrzymujemy wreszcie nowe mundury. Niektóre z nich różnią się od tradycyjnych. Składają się z kurtek, jakie spotkać dziś można w armii francuskiej. Nogawki żołnierze wkładają pod niewielkie getry z bardzo grubego materiału — chłopaki wyglądają jak gracze w golfa. Ubiór ten dostają przede wszystkim rekruci, natomiast żołnierze służący w elitarniej dywizji „Gross Deutschland” otrzymują tradycyjne umundurowanie. Jako uprzywilejowani, dostajemy nawet buty.

Nowe mundury uszyte są z dziwnego materiału. Jest o wiele sztywniej-szy i przypomina elastyczną tekturę. Również nowe buty nie wyglądają tak samo jak poprzednie. Wykonane są

z podłej jakości skóry, sztywnej i szorstkiej. Podobne do skorupy, która nie marszczy się normalnie na wysokości kostki, ale tworzy jakby pęknięcia. Najokropniejsza jest bielizna wykonana z włókna trzymającego się tylko na szwach. Najmniejsza dziura grozić może całkowitym rozdarciem odzieży. Skarpety, dotychczas przez żołnierzy wielce chwalone, również mają dziwnie nienaturalny wygląd.

— Skoro tak — stwierdza Halls — zatrzymam swoje ruskie skarpety. Nowe skarpety okażą się trwalsze niż poprzednie, ale o wiele mniej ciepłe. Produkowane są z nylonu, nieznanego jeszcze szerzej w tamtych czasach.

Pobieramy z magazynu czarną pastę i grubymi warstwami rozsmarowujemy ją na obuwiu, aby nie przypominało skorupy. Mimo dziwnych mundurów żołnierze czują się w nich lepiej niż w starych, zużytych, szaro-żółtych płaszczach. Jest to korzystne i dla nas, i dla miejscowej ludności; widząc świeżo umundurowane oddziały, nie wątpi ona ani w możliwości naszej armii, ani w nasz entuzjazm.

Wystrojony w nowiutki mundur Halls po raz kolejny się zakochał. Tym razem jest to młoda, milutka blond Polka. Jest to już u niego chorobliwe. Ustawicznie się w kimś zadurza. Na każdym dłuższym postoju traci dla którejś serce. Ten pocziwiec potrafi roztaczać swe wdzięki nawet podczas kilku wolnych godzin. Cały czas dyskutujemy na ten temat.

— Wnerwiasz nas tą swoją dziewczuchą! — protestuje Lensen. — Rób to, co wszyscy: ruchaj kobitki!

Lindberg chichocze. Przypomina sobie ostatni wypadek z Lensenem, Pferhamem i Solmą. Czwórka kumpli osaczyła w stodole czterdziestoletnią Polkę. Paniusia używała swych wdzięków przez cztery godziny, jakie im pozostały do końca czasu wolnego.

— Jej mąż pojawił się akurat, kiedy byliśmy „w trakcie”! — rechocze Solma. — Facet śmiał się razem z nami: „Mamuśka już trochę stara i dla mnie, i dla was!”, mówił. Potem opróżniliśmy z Polakiem gąsior alkoholu. Facet był szczęśliwy, że mógł się z nami napić. Wszyscy rechoczą radośnie.

— To zdzira! — oburza się Halls. — Zdzira z tej waszej Polki! O la la! Nie macie ani krzty romantyzmu. Ale z was świnię!

Gromkie śmiechy wstrząsają drewnianym barakiem. Pastor Pferham śmieje się wraz z innymi, no bo głupio zachowywać powagę, chociaż robi to z pewnym zażenowaniem. Chłopaki opowiadają kolejne historyjki.

Ja nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Owszem, popieściło się trochę jedną czy dwie Polki, ale na tym koniec. Ciągłe jestem zakochany w Pauli; często do niej piszę. Cały czas nie tracę nadziei, że dostanę urlop. Ale nie tylko o to chodzi. W takich sytuacjach czuję się nieswojo. Coś mnie odrzuca. Jak tylko widzę nagie ciało, boję się, że za chwilę zobaczę wylewające się z niego wnętrze. Przypominają mi się wojenne sceny. Wszystkie te krwawiące, dymiące i cuchnące ciała kojarzą mi się z paskudnymi flakami. Wolę już utrzymane w platonicznym tonie nasze listy. Paula jest dla mnie ucieleśnieniem czegoś innego — czegoś delikatnego i cudownego, bez wystających bebechów. W każdym razie wolę o tym nie myśleć.

Lecz oto kilka dni później przytrafia mi się historia, z której koledzy będą się śmiać do rozpuku.

Udajemy się do Sueki. Jest niewielki mróz i wspaniała pogoda. Chłopaków trzymają się żarty, ale też myślą, jak poprawić swój żołnierski wikt. Racje żywnościowe są tak małe, że wychodzimy ze stołówek głodni. Trochę jedzenia dostajemy od wieśniaków w zamian za marki drukowane przez Rentenbank, nie mające — jak się wydaje — pokrycia w złocie. Pieniądze te otrzymaliśmy w uzupełnieniu żołdu. Poza tym mamy kartki żywnościowe przysługujące okupującej armii. Najłatwiej można dostać jajka. W Suece dzielimy między siebie zadania. Jest nas trzech: Hoth, Schlessler i ja. W Ne-wotoreczy zostawiliśmy Hallsa z jego Polką. Wieś ta sąsiaduje z obozem, toteż żołnierze ogołocili ją ze wszystkiego.

Postanowiliśmy więc udać się pięć kilometrów dalej, do Sueki, również położonej nad Dniestrem. Na zajmowanych przez armię terenach każdy buszuje po gospodarstwach. Wszyscy w kompanii wiedzą, gdzie je można znaleźć.

Dostaję się na drogę biegnącą między dwoma wałami śniegu odgarniętego na niewysokie drzewa. Droga schodzi w dół — doskonale to pamiętam. Tam znajduje się zamrożony stawek. Żółte i różowe kaczkę tłuką w lód dziobami, usiłując ożywić swoje naturalne środowisko, które nie wiedzieć czemu stało się tak twarde. Skręcam na prawo. Zauważam dwa niewysokie słupy oplecione chyba winobluszczem pozbawionym liści. Przed wejściem leży ogromna kupa drewna, prawie całkowicie zasłaniająca niski dom mieszkalny pokryty strzechą. Po lewej stronie znajdują się, przylegające niemal do rzeki niekształtne budynki, wykonane z nieciosanych drewnianych bali. Mieszczą się tam chyba stajnie albo stodoły. Niezmiernie prosta architektura, choć czasem widać elementy wiejskiego zdobnictwa. Nawet w tak prymitywnym otoczeniu zadbane o odrobinę estetyki.

Zbliżając się do tego nędznego gospodarstwa, zauważam pulchną kobietę wystrojoną jak średniowieczna matrona. Wyszła właśnie ze stojących po lewej stronie budynków gospodarczych. Uśmiechamy się do siebie. Kobieta bełkocze coś niezrozumiałego.

— Guten Tag, Frau. Ei, bitte (Nie sądzę, aby rozumiała po francusku, ale jestem pewien, że wie, jak jest po niemiecku „jajko”). Ei... ei... bitte.

Nieznajoma zbliża się, cały czas uśmiechając się zachęcająco. Mówi coś, gestykulując przy tym, ale nie mogę zrozumieć, o co jej chodzi. Odpowiadam tylko na jej uśmiech. Daje mi znak, abym udał się za nią. Podchodzimy do drabiny. Kobieta chwyta za szczebel i ściska go energicznie, dając mi do zrozumienia, że mam trzymać drabinę.

Polka gramoli się do góry, cały czas coś szwargocząc i śmiejąc się na całe gardło. Oczywiście gapię się, jak wchodzi na wypełniony sianem strych

O drewnianych ścianach pełnych prześwitów. Osłupiałymi oczyma spoglądam na jej wątpliwej czystości bieliznę. Wzrok mój przykuwa szczególnie jej zadek, godny dokonań braci Montgolfier. Wielkie pośladki dosłownie rozsadzają krótką spódnicę, toteż nic nie umyka memu wzrokowi. Coś w rodzaju wykonanej ręcznie dzianiny służy jej za majtki. Kontempluję to wszystko jak turysta trzynastowieczny zabytek. Kobieta, widząc, że ją obserwuję, zatrzymuje się w otworze prowadzącym na strych, obraca się i daje mi znak, bym wszedł również. Jestem co nieco skrępowany. Chociaż wystarczająco napatrzyłem się na czołgi manewrujące pod ogniem broni maszynowej, czuję się absolutnym nowicjuszem, widząc takiego gabarytu figi. Niemniej jednak, przyzwyczajony do ataku, ruszam na drabinę, jakbym miał szturmować jakiś mur, poganiany rykiem podoficera. I oto stoję, skurczony, przywalony sianem, a obok mnie śmieje się i gdcze, jak gdyby miała znieść jajo, rozłożysta Polka z zadkiem o półmetrowej kubaturze. Mój mauzer cały czas o coś zahacza; wydaje mi się, że czołgam się w okopie. Dookoła w sianie siedzą kury. Kobieta wygania je i zbiera kilka jajek. Obraca się w moim kierunku, wyszczerzając w uśmiechu nieco rozstawione, lecz śnieżnobiałe zęby. Zbliża się do mnie, by wręczyć mi ciepłe jeszcze jaja, które zebrała właściwie tylko dla mnie.

Czuję jej oddech i buchające od niej ciepło. Chytruska wkłada dłonie

1 jajka do kieszeni mojej bluzy. Czuję jej palce na biodrach i zmieszany, wywracam oczami, czekając na komendę do wycofania się. Komenda nie pada, natomiast nieczne palce nieprzyjaciela ugniatają moje ciało przez podszewkę kieszeni i spodnie.

Boże święty! —Danke schön... danke schön! — krzyczę, usiłując utorować sobie drogę do odwrotu, nawet gdybym miał uchodzić za dezertera.

Ale namiętna Polka zbliża się do mnie — wszystko wskazuje na to, że dojdzie do walki wręcz. Uśmiecha się błogo i przewraca gorączkowo oczami.

Mein Gott! Czekam już tylko, aż wrzaśnie: hurra победа! Pozostają mi dwa wyjścia: wycofywać się dalej i spaść w dół na pysk albo przejść do kontrataku, powalając przeciwnika

na siano.

Nic z tego. Moje spóźnione decyzje nie przydają się już na nic. Ślicznotka ważąca co najmniej dziesięć kilo więcej niż ja obejmuje mnie nagle w pół i zręcznym chwytem powala na siano po swojej lewej stronie. Leżę, gestykulując rozpaczliwie, pod ważącym siedemdziesiąt pięć kilogramów nieprzyjacielem, który jedną ręką manipuluje przy rozporoku moich nowych syntetycznych spodni. W obu kieszeniach mam już jajecznicę; na domiar złego nie mogę użyć broni; mam ją przewieszoną przez plecy.

Zgroza! Gdyby widział mnie Fihrer, z miejsca wydalono by mnie z dywizji „Gross Deutschland” i odesłano do któregoś z batalionów karnych w Brandenburgii... By mój upadek był całkowity, ślicznotka, bardziej przyzwyczajona do posługiwania się motyką niż narzędziem, którego nazwy nie śmiem wymienić, chwyta rzeczony przedmiot, sprawiając, że podskakuję jak cierpiący na czkawkę. Może nawet znalazłbym w końcu pewną przyjemność, widząc jej dziki entuzjazm, gdyby niesiona falą pożądania Polka nie zdecydowała się nagle podwinąć kiecki, ukazując pokryty ziarnistą skórą całokształt w postaci ud i podbrzusza. Na widok tych zwałów tłuszczu odechciało mi się myśleć o jakichkolwiek psotach. Rozkoszne wspomnienie Pauli jawiło się jako absurdalne porównanie. Wyszarpuję się gwałtownie z objęć tej samicy w rui, podnieconej samą sytuacją. Jej wyglądająca trochę jak u prosięcia twarz, w której przed chwilą było może coś sympatycznego, kojarzy mi się z parzącą się krową. Unoszę się z miejsca, wywracając kieszenie pełne białą-żółtą jajecznicą. Kobieta opanowuje się: usiłuje się uśmiechać, bojąc się, że ta zbyt zuchwałość może ją drogo kosztować. Błyskawicznie zeskakuję z drabiny, po czym gestykuluję do niej znacząco, abym mógł gdzieś wyprać dolną część swojej nowej bluzy. Jeśli zostaną plamy, będę miał sporo nieprzyjemności. Usiłuję robić groźną minę, jednak po tym co mnie spotkało, jest mi cholernie głupio i czuję, że się czerwienię.

Polka uśmiecha się niepewnie, prowadząc mnie do domu mieszkalnego. Mijamy drzwi otwierające się na zewnątrz. Schodzimy kilka kroków niżej: kolejne drzwi otwierają się tym razem do środka.

Pomieszczenie jest zagłębione o jakieś osiemdziesiąt centymetrów w ziemi. W niskiej i długiej izbie panuje mrok. Oświetlona jest przez jedyne okno przypominające otwór strzelniczy. Żółtawe szyby przepuszczają skąpe światło dnia. Tłący się ogień nieznacznie tylko rozjaśnia skromnie urządzone pomieszczenie. Pełna szpar ściana z drewnianych bali dzieli dom na dwie części. W jednej mieszkają ludzie, druga przeznaczona jest dla bydła. Tarzają się tam w nawozie jeden czy dwa prosiaki, co wyjaśnia smrodliwy zapach, jaki czuję już od wejścia. Przy oddzielającej stajnię od izby mieszkalnej ściana czeka na gościa pokryte słomą wielkie, szerokie ławy służące prawdopodobnie za łóżka. Jakaś stara babuszka odwraca się w naszym kierunku, uśmiechając się obojętnie. Nie wiem, czy znany jest jej choćby wyraz „Niemiec”. Między zawałającymi środkiem izby polanami bawi się dwójka dzieciaków. Polka przynosi mi wodę w wykonanej z bardzo delikatnego drewna miarce, służącej Rosjanom do odmierzania prosa sprzedawanego w detalu. Muszę zdjąć bluzę, prezentując całą swą mizerną posturę. Przesłany przez matkę rok temu bordowy pulower od łokcia nie ma prawie rękawów, a cały dół jest w strzępach.

Chcę zacząć przepierkę, gdy nagle Polka odbiera mi bluzę. Poplamione miejsce kładzie na płaski kamień i rozciera wiechciem słomy. Wręcza mi czystą odzież z taką uprzejmością, że wybaczam jej poprzednie zachowanie. Nie śmiem się do niej uśmiechnąć, aby znów nie rozbudzić w niej miłosnych żądz. Ona jednak wydaje się o niczym nie pamiętać. Ci prości ludzie mają przynajmniej jedną osobliwość: dla nich liczy się tylko obecna chwila, a tym co było albo będzie, zdają się nie przejmować. Pozostaje mi już tylko się pożegnać. Wyciągam regulaminowo ramię w pozdrowieniu.

Stuletnia staruszka przesyła mi uśmiech jak zza grobu, natomiast pyza-ta Polka zaczyna

gorączkowo grzebać w piramidzie garnków stojących na rustykalnym stole. Wyciąga stamtąd jajko i wręcza mi je.

Przyjmuję ten prezent, nie wiedząc jak się zachować. Zmieszany i zaczerwieniony, ponieważ jajo przypomina mi przygodę na strychu, grzebię w kieszeniach w poszukiwaniu jakichś fenigów. Kobieta macha do mnie, że to niepotrzebne. Zawstydzony, wycofuję się tyłem, mamrocząc bez ustanku: danke schön wielkodusznym tonem.

Zrobiłem już kilka kroków na zewnątrz, kiedy nagle drzwi otwierają się ponownie. Pojawia się w nich Polka, wołając do mnie i wyciągając w moim kierunku karabin; nieostrożnie oparłem go wcześniej o duży stół. Zdenerwowałem się! Odbieram swoją giwerę, rozpluwając się w podziękowaniach. Czuję się cholernie głupio. Staram się iść zdecydowanym, groźnym krokiem, by zrekompensować sobie przeżytą przygodę, która Polakom umilać będzie wieczory.

Jednak w głębi duszy nie mogę sobie wybaczyć swojej postawy. Zachowałem się jak idiota! Widziałem walki pod Biełgorodem, a pozwoliłem sobie ściągać spodnie grubej Polce! Żołnierz elitarniej jednostki powraca z jednym jajem... O swojej przygodzie nie opowiem od razu kolegom, bojąc się, że ściągną mi portki, aby się przekonać, czy Polka mi czegoś nie ukradła...

— Dlaczego od razu nam tego nie opowiedziałeś?! — pytają mnie później z wyrzutem. — Wszyscy byśmy tam poszli i wszystkiego zażądali! To zasługiwało na represje!

Nastaje ciężka dla nas wiosna. Sytuacja na froncie wschodnim staje się coraz poważniejsza, my jednak nadal żyjemy jak drużyny sportowe przygotowujące się do finału. Co więcej — ćwiczenia są teraz o wiele mniej intensywne i połowę dnia mamy całkowicie wolną. Wolny czas jest nam jednak potrzebny, by zdobyć jakąś żywność. Z żarciem jest coraz gorzej: otrzymujemy głodowe racje. W obu sąsiednich wioskach nic już właściwie nie ma, toteż musimy wykonywać bardzo długie marsze, żeby zaopatrzyć się w kalorie, które spalamy idąc tam i z powrotem. Połów ryb w Dniestrze staje się konieczną rozrywką. Niestety, nie mamy odpowiedniego sprzętu, a nie potrafimy łowić jak Polacy. W akcji trzykrotnie uczestniczył pan kapitan Wes-reidau. Jako oficer mógł zdobyć pewną ilość materiałów wybuchowych. Metoda ta okazuje się skuteczna. Z niektórych przerębli wyciągamy olbrzymie ryby.

Zdarzył się także jeden wypadek. Nie powróciło dwóch żołnierzy. Koledzy ich mówią, że w poszukiwaniu żywności udali się w kierunku gór. Mijają dwa dni bez wieści. Cała kompania wyrusza na poszukiwania. Mieszkańcy okolicznych wsi nic nie wiedzą, ale czujemy, że kryją się tam partyzanci. Jeszcze dwukrotnie wyruszamy na akcję: nadziewamy się na grupę partyzantów. Tracimy niepotrzebnie pięciu ludzi, nie natrafiając na ślady zaginionych.

Armia Czerwona wkracza już do Polski, nasz obóz stanie się wkrótce terenem walk, a my — kiedy tylko to możliwe — byczymy się w słońcu w oczekiwaniu na rozkazy. Halls jest coraz bardziej zakochany; regularnie spotyka się ze swoją lubą, bo ma zamiar się ożenić. Nierzadko mu towarzyszę, chociaż dziewczyna nie jest w moim guście. Często żartujemy razem. Halls cały czas powtarza mi, że wkrótce na pewno dostanę urlop, bym mógł odwiedzić Paulę. Kiedy zakochani mają zamiar udać się w ustronne miejsce, zwiewam czym prędzej, aby nie myśleli, że jestem alfonsem.

W tym uroczym zakątku wojna zdaje się o nas nie pamiętać. Jednak któregoś ranka kończy się błogi spokój i miłosne igraszki. W postrzępionych promieniach wschodzącego słońca trwają gorączkowe przygotowania do walki. Ku naszemu zdumieniu kompanie zbierają pośpiesznie sprzęt. Huczą silniki. Niszczono są nawet baraki. Jesteśmy całkowicie oszołomieni.

— Co to ma znaczyć? — pytamy się wzajemnie.

— Los! Los! Schnell!, spieszmy stąd!

Jeszcze nie wiemy, o co chodzi, a już pomalowane na bladoszaro-nie-bieskawy kolor

ciężarówki wiozą nas wyboistą drogą w kierunku północnym. Jest piękna pogoda; wiosna budzi się do życia. Za nami znakomicie zorganizowany obóz pada pastwą płomieni. W spokojne, czyste niebo wzbijają się kłęby dymu niczym złowróbny znak.

Trwają dyskusje: co się dzieje? Dlaczego zniszczono obóz? Gdzie jest teraz front? Około dziesiątej dywizja „Gross Deutschland” zatrzymuje się wzdłuż drogi ocienionej drzewami pokrytymi niezliczoną ilością rozwijających się paków, które ukazują niezbyt jeszcze zielone, lecz grube listki. Ptaki, równie zaskoczone jak my, śpiewają, przyfruwając aż do ciężarówek. Do oficierskiego volkswagena podjeżdża motocykl z łącznikiem, przywożąc rozkazy. Po chwili sierżanci każą nam zawracać.

W tym właśnie momencie ktoś wychwytuje warkot samolotów przebijający się przez donośne pyrkotanie wydalanych spalin.

Rozlegają się przenikliwe gwizdki.

—Achtung! Nad nami nieprzyjacielskie samoloty! Achtung!

Żołnierze wyskakują z jadących jeszcze ciężarówek. Robi się ogólny harmider.

Samoloty, które nas zlokalizowały, a są to myśliwce bombardujące typu II, wydają się zbytnio nie śpieszyć. Piętnastka maszyn krąży około czterysta — pięćset metrów nad nami. Stożące w poprzek drogi ciężarówki opuszczono pośpiesznie. Biegący oficerowie krzyczą do wziętych w dwa ognie kierowców, którzy nie wiedzą co począć. W końcu wskazują do swoich wozów i ruszają z miejsca, wjeżdżając ryzykownie w zarośla. Robią to w ostatniej chwili, bo sowieckie sępy rzucają się już na nas.

Najpierw padają bomby. Można je było już obserwować w powietrzu. Przypominają wielkie strzały z długą głowicą umożliwiającą wybuch jeszcze nad ziemią. Pierwsza fala bomb spada na szczęście po drugiej stronie drogi, trafiając w cierniste krzewy, unoszące się w powietrzu pośród ogłuszającego huku. Samoloty podzieliły się na dwa zespoły. Druga grupa trafia bombami niemal w to samo miejsce.

Siła eksplozji jest ogromna. Wszystko wylatuje w powietrze, spadając nam na głowy.

Dziesięć metrów od miejsca, gdzie się schowaliśmy, wywraca się ciężarówka, kończąc tam swoją jazdę. Płomienie z płonącego pojazdu dochodzą aż do naszej grupki, zmuszając nas do ucieczki. Nie ma mowy, by patrzeć, co się dzieje. Posuwając się skokami, każdy stara się jak najdalej uciec od drogi, ostrzeliwanej teraz przez samoloty pociskami raketowymi i ogniem broni maszynowej.

Pozbawieni możliwości schronienia się żołnierze próbują uciekać, nie zauważając nawet, że za pierwszymi samolotami nadlatują kolejne. Ogień karabinowy dziesiątkuje chłopaków, którzy padają jak pod ostrzem gigantycznej kosiarki. Biegają, skaczą rozpaczliwie z miejsca na miejsce i padają jak zerwane ze sznurków marionetki.

Nieprzyjacielskie samoloty opuszczają wreszcie niebo zasnute dymami z osiemnastu płonących ciężarówek. Atak był tak gwałtowny, że właściwie nikt nie zdążył połapać się, co się dzieje. Podchodzimy do miejsca tragedii, cały czas obserwując niebo. Nieprzyjaciel może udawać, że odleciał i zaatakować ponownie.

Na drodze zamienionej w błoto po niedawnej odwilży i wiosennych deszczach walają się resztki sprzętu i poharatane ciała. Niektóre z nich rozerwane zostały na strzępy, a wnętrzości rozrzucone w promieniu siedmiu — ośmiu metrów od leżących zwłok. Wydaje nam się, że to już nie ta sama, spokojna jeszcze kwadrans temu, droga, nad którą świergotały radośnie ptaki. Wiosenne krzewy są posiekane i szerniały od palącej się benzyny i oleju. Na ziemi i w kałużach krwi leżą świeże pąki drzew.

Kolumna, składająca się z trzydziestu ciężarówek wiozących trzy kompanie, w przeciągu kwadransa straciła dwudziestu ludzi i osiemnaście pojazdów. Trzech rannych jest w stanie agonalnym.

Zbieramy ciała zmarłych, a pozostali koledzy kopią pośpiesznie doły. Wśród ofiar są Hoth i Dunde, odznaczeni niedawno Krzyżami Żelaznymi

za męstwo w walkach na drugim froncie naddnieprzańskim. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu żartowaliśmy jeszcze z nimi. Wojna zaczyna skreślać znane nazwiska. Jesteśmy do głębi wstrząśnięci tą tragedią.

Chłopaki tłoczą się na ocalałych ciężarówkach uginających się pod nadmiernym ciężarem. Jadą na stopniach, błotnikach, maskach, przednich zderzakach. W tej ludzkiej ciżbie poruszającej się z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę zauważyć można pokryte pierwszymi listkami gałązki. Dwie szczególnie przeciążone ciężarówki odmawiają posłuszeństwa na trasie. Żołnierze muszą iść dalej piechotą.

Dołączą do nas po sześciu dniach na granicy rumuńskiej, kiedy przygotowywać się będziemy do marszu w okolice Winnicy, by wzmocnić słaby odcinek między chwiejącym się już Frontem Centralnym, a trzymającym się jeszcze Frontem Południowym. Kolegów zdążyli już zresztą zaatakować rosyjscy i polscy partyzanci, którzy na szczęście ponieśli porażkę.

Zgarnęli po partyzantach konie, a także te, co zdołali znaleźć w kilku gospodarstwach.

Dołącza do nas najbarwniejsza kawaleria, jaką kiedykolwiek widziałem.

Jest cudowna pogoda. Kiedy tylko skończą się wiosenne roztopy, znów ruszymy na tereny Rosji. Requirujemy kilka pozostałych jeszcze w rumuńskiej służbie cywilnej ciężarówek.

Zastąpią one te, które straciliśmy ostatnio. Są to stare pojazdy. Kiedyś należały — jak widać po napisach — do przedsiębiorstw prywatnych. Nie ma czasu, by je przemalować. Nasz pluton ładuje się do samochodu używanego dotychczas do przeprowadzek. Jest to angielska ciężarówka wyprodukowana chyba na początku lat trzydziestych.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Powrót na Ukrainę

Ostatnia wiosna

Śmierć pana kapitana Wesreidaua

Exodus

Po uciążliwej i pośpiesznej podróży znów powracamy na Ukrainę. Wiosenne roztopy jeszcze się nie skończyły. Całymi godzinami wlecemy się po błotnistych terenach. Panuje jednak piękna, a nawet ciepła pogoda. Często pracujemy obnażeni do pasa.

W trakcie drogi napływają rozkazy. Nie jedziemy już w okolice Winnicy. Naszym zadaniem jest przywrócenie komunikacji między tyłami a frontem ustawicznie zakłócanej przez partyzantów. Mamy oczyścić z band szlaki komunikacyjne i całkowicie wyeliminować zagrożenie. Wojna z partyzantami stała się niebezpieczna jak nigdy dotąd, co często paraliżuje idące na front zaopatrzenie, i tak już symboliczne. Przyczółek w Winnicy musi się utrzymać. Stamtąd wyruszyć ma ofensywa mająca na celu powstrzymanie rosyjskiego natarcia, sięgającego klinem aż po leżący na terenie Polski Lwów, i przywrócenie tym samym łączności z trzymającym się ponoć jeszcze Frontem Północnym.

Nasze oddziały, wspomagane przez inne jednostki, będą więc musiały stawić czoła partyzantom w nieustannych walkach podjazdowych. Zwycięża w nich ten, komu uda się zaskoczyć przeciwnika. Po raz kolejny dywizja działa na kilku odcinkach. Główne siły walczą na północ od Lwowa i na terenach Białorusi w sektorze północnym. Rozproszone oddziały, takie jak nasz, działają na froncie wewnętrznym, pomiędzy sektorem centralnym i południowym, by po kilku tygodniach połączyć się z siłami głównymi. Nasza strefa operacyjna obejmuje Besarabię, ciągnąc się aż do Rumunii. Tak jak poprzednio stanowimy jednostkę o znacznej zdolności manewrowej, mającą za zadanie błyskawicznie interweniować w różnych punktach.

Do szybkiego przemieszczania się służą nam pojazdy, o których już wspominałem, nie nadające się niestety do tego typu akcji. Będziemy je stopniowo porzucać na trasie, by

kontynuować podróż konno albo rowerami, z oponami często łątanymi trawą. Konie i różne pojazdy rekwirować będziemy pośród tysięcy uchodźców pochodzenia ukraińskiego czy cygańskiego, osadników polskich lub innej narodowości uciekających nieprzerwaną falą przed sowiecką nawałnicą. Czasem do tych tłumów przenikają partyzanci, udając prostych chłopów, również umykających przed bolszewickimi hordami. A potem, w odpowiedniej chwili strzelają nam w plecy, siejąc panikę wśród uciekinierów. Taktyka ta ma na celu wyprowadzenie nas z równowagi. Chodzi o to, abyśmy zaczęli represjonować uciekającą ludność, co w efekcie miałyby się obrócić przeciwko nam. Każda metoda jest dobra... Pod koniec maja udaje nam się okrążyć dość pokaźną partyzancką bandę, która schroniła się na terenie leśnym. Oddział liczy około czterystu ludzi. Pierścień wokół uzbrojonego po zęby przeciwnika tworzą trzy kompanie.

W leśnym powietrzu czuć tysiące różnorodnych zapachów. Nic nie zapowiada bliskiej już walki. Jest cudowny poranek. Wśród gałęzi buszują ptaki i inne leśne zwierzęta, uciekając na nasz widok.

Uzbrojony człowiek zawsze płoszy zwierzynę, zwłaszcza jej dzikie odmiany. W tym jednak wypadku myśliwi są na tropie innej, o wiele groźniejszej. Uciekające przed nami ptaki nawet sobie nie wyobrażają, że władcy świata, którym nic nie jest straszne, pozwolili, by na ich terenach narodził się godny ich, równie okrutny przeciwnik. Jakaż harmonia panuje w przyrodzie! Król zwierząt, czyli człowiek, sam sobie gotuje zagładę. To genialne! Selekcja naturalna, niewłaściwie jednak zorganizowana, co jakiś czas strąca nam koronę z głowy. Wszyscy czujemy napięcie. Mimo że od pewnego już czasu jesteśmy rozgoryczeni, chwila ta jednoczy tchórzliwych i bojaźliwych, wszystkich tych, co mają nadzieję przeżyć. Drgające liście, delikatnie muskające nas po osłoniętych stałą twarzach, przypominają nam, że warto żyć — szczególnie gdy jest tak pięknie jak dziś! Dla nas nie jest to już chrzest bojowy — to niemal rutyna, niebezpieczna rutyna, za co krzyże zasługi przyznawane są na ogół pośmiertnie. Często rozważaliśmy jej złe strony. Widzieliśmy już odznaczonych z wytrzeszczonymi straszliwie oczyma. W tej dziedzinie wiemy już prawie wszystko. Mamy nawet na ten temat osobliwą filozofię; na myśl

O niej wstrząsa nami wymuszony śmiech, nerwowy i urywany jak seria karabinowa. Niektórzy doszli do wniosku, że ponieważ nie jesteśmy wieczni

I wszystko ma swój kres, pora śmierci nie ma żadnego znaczenia. Ci właśnie są najodważniejsi i idą do ataku, myśląc o czym innym. Inni, mniej odważni, marzą, by odwlec ten moment, przewracając oczami ciemnymi jak otwór lufy ich broni. Pozostali, czyli większość, pocą się jak myszy, czując, że krople potu spływają im pod syntetycznymi bluzami, po łydkach i ramionach aż po dłonie.

Ci mają pietra. Cholernego pietra. Żadne przekonania nic tu nie pomogą, rutyna jest bezsilna. Odczuwają strach przed każdą akcją. Minuty wloką się w nieskończoność. Człowiek ma wrażenie, że zatrzymał się czas, stara się nie myśleć o niczym. Udaje mu się to w końcu, ale lęk towarzyszy mu jak światło dnia padające na liście, o których już zapomniał.

Kontakt z nieprzyjacielem kładzie kres temu wszystkiemu. Pierwsze wystrzały są jak unosząca się kurtyna ukazująca dramatyzm sytuacji, która pochłonie bez reszty myślące zwierzęta. Jaka szkoda, że żołnierze mają zdolność refleksji! Gdy padną pierwsi koledzy, napięcie zniknie, a oni obchodzić nas będą tyle, co suche gałęzie trzeszczące pod nogami. Idący na czele naszej grupy adiutant Sperlovski dostrzega pierwsze ślady. Liczne wydeptane miejsca zdradzają kryjówkę partyzantów. Uwaga na miny!

Musimy uważać, gdzie stąpamy. Spływający po skroniach pot przyciąga roje natrętnych much. Krzaki i nisko zwisające gałęzie stanowią doskonałe miejsce do zainstalowania przewodów od detonatorów. Każdy krok wymaga wyjątkowej koncentracji. Tuż nad ziemią przelatuje samolot. Słyszając warkot maszyny, drętwiejemy: przecież atak lotniczy może

spowodować serię wybuchów na całym terenie! Wreszcie słyszymy krótki sygnał. Padamy na ziemię. Na końcu ledwie widocznej ścieżki widać wbudowane głęboko w ziemię umocnienia wykonane z drewnianych bali. Z przeciwległej strony naszego okrążenia słychać już odgłosy walki.

Sperlovski wyznacza dwóch ludzi, którzy mają wrzucić do bunkra dwie wiązki granatów. Chodzi o Ballersa i Prinza. Prinz jest wraz z Lensenem w drużynie pancerfaustów, ale dzisiejsza akcja może obyć się bez łowców czołgów. Teraz jako żołnierz piechoty posuwa się, dysząc z emocji, ze swym śmiertelnym pakunkiem. Ballers, pólżywy ze strachu, czołga się drugą stroną ścieżki, dźwigając identyczny ładunek. Cała grupa śledzi ich marsz, drżąc z emocji.

Kim są Ballers i Prinz? Dwoma facetami, którzy mogą pochodzić obojętnie skąd. Czy są dobrzy? Wstrętni? Beznadziejni? Czy jest z nimi Bóg, czy może już ich sądzi...? To tylko dwóch facetów, którzy stali się kolegami dla żołnierzy służących w tej kompanii szaleńców; dwóch facetów, których nie poznalibyśmy, prowadząc spokojny, wygodny żywot, gdyby nie było wojny. Jednak tutaj, po każdym pokonanym przez nich metrze, biją nam żywiej serca, zrównując się z rytmem ich serc. To jedni z nas! Nasze myśli są już tylko z tymi bezimiennymi żołnierzami; oni nagle stają się dla nas ważniejsi niż najbliższy członek rodziny. Ta egoistyczna przemiana wynika pewnie z tego, że wyobrażamy sobie, iż moglibyśmy znajdować się na ich miejscu. Boże drogi! Oby tylko przeżyli! Są już daleko, daleko w przedzie, może blisko śmierci. Wielu chłopakom zasłaniają ich już liście. Ale ja ich widzę! Prinz podrywa się z ziemi, rzuca swoją wiązkę w kierunku drewnianego bunkra, po czym pada ponownie.

Huk eksplozji rozlega się po całym lesie, roznosząc się wśród gałęzi niekończącym się echem. Na tle widniejących między drzewami skrawków nieba dostrzegamy spłoszone, mknące jak strzała ptaki. Granaty Prinza nie upadły zbyt daleko. Wyrwały głęboki krater zawalony posiekanymi gałęziami jakieś siedem-osiem metrów od kryjówki partyzantów. — Scheise! — warczy nasz podoficer. — Nie podeszli dość blisko.

— W środku nie ma nikogo — szepcze ktoś.

Potem zobaczyłem w akcji Ballersa. Widząc, jak podbiegł w kierunku bunkra, zdawało mi się, że umieram za niego. Również on rzucił swoją wiązkę granatów. Gdy padł na ziemię, sąsiednie drzewa pochyliły się od eksplozji. Cały las jęknął głucho od wybuchu. Nie widzieliśmy już uciekających ptaków — widać było tylko nasze czarodziejские mundury upodabniające nas do otoczenia. Ballers podniósł się z ziemi, podobnie jak Prinz, który znajdował się trochę bardziej w przedzie. Ich sylwetki odcinały się wyraźnie na tle zdewastowanego otoczenia. Znikły fragmenty umocnień widoczne poprzednio za nimi. — Tędy, koledzy! — wydierał się Ballers, dumny ze swego wyczynu. — Nikogo tam nie ma!

Podnieśliśmy się z ziemi, by ruszyć w jego kierunku. Facet śmiał się nerwowo. Nagle wśród liści rozległ się głuchy huk, a następnie dwa kolejne... Prinz zaczął biec w naszym kierunku. Ballers nie biegł. Szedł chwiejnym krokiem, wyciągając do nas rękę... Upadł.

Niecałą godzinę później czterystu partyzantów broniło się jak diabły. Wokół nich stopniowo zaciskał się nasz pierścień. Trzy niemal kompletne kompanie w sile ośmiuset lub dziewięciuset ludzi usiłowały unicestwić ten piekielny krąg dysponujący bronią rozmaitego kalibru o wielkiej sile ognia. Ponadto były tam silne umocnienia i każda próba podejścia równała się samobójstwu.

Podczas tej akcji dwóch ludzi z naszej grupy nieostrożnie stąpnęło na miny. Resztki ich rozerwanych ciał zwiślały wśród majowego listowia. Byliśmy pod ustawicznym ostrzałem poczwornie sprzężonego maxima, toteż przygotowanie stanowiska dla naszego kaemu było nieco ryzykowne. Usiłowaliśmy kopać doły, lecz łopatkę napotkały na opór korzeni. Zamiast więc atakować, coraz bardziej zaczynaliśmy bronić naszych pozycji. Trudno byłoby je

utrzymać, gdyby nieprzyjaciel postanowił się przebić.

Stanowiska rosyjskie próbowały ostrzeliwać tylko lekkie moździerze prowadzące niemal pionowy ogień, lecz nie czyniły, niestety, poważniejszych szkód przeciwnikowi zajmującemu silnie umocnione pozycje. Natomiast dwie albo trzy ciężkie haubice, prawdopodobnie zdobyte od Niemców, nękały nasz pierścień intensywnym ogniem, wyrывая drzewa z korzeniami.

Błyski wystrzałów z tych dział były dla nas niewidoczne, toteż zniszczenie nieprzyjacielskiej artylerii nie wchodziło raczej w rachubę. Grupy szturmowe dziesięciokrotnie podchodziły do ataku na partyzanckie pozycje, ale za każdym razem musiały się wycofywać, pozostawiając kolegów jęczących na leśnym poszyciu. Później dowiedzieliśmy się, że Wesreidau czynił, co w ludzkiej mocy, by uzyskać wsparcie piechoty i czołgów. W okolicy jednak nie było żadnego pojazdu pancernego (cała ich reszta miała dość roboty na słabnącym froncie). Trzeba więc było obejść się bez posiłków.

Po godzinie wyczekiwania i bezskutecznych ataków nasz dowódca, zdeprimowany, że nie może poradzić sobie z tym „wrzodem na naszych tyłach”, zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Ostrożnie przegrupował okrążające siły. Na miejscu pozostawił jedynie kilku strzelców, tak aby nieprzyjaciel myślał, że w dalszym ciągu jest okrążony. Tym sposobem Wesreidau zgrupował w jednym punkcie pięciuset żołnierzy. Wszystkie te siły pchnął na najsłabszy punkt oporu, czyli na trasę w kształcie litery V bronioną przez około czterdziestu ludzi uzbrojonych wyłącznie w karabiny, w tym tylko jeden maszynowy. Na jego komendę pięciuset żołnierzy niemal równocześnie wyskoczyło z ukrycia, atakując granatnikami stanowiska nieprzyjaciela, który pod nawałą ognia nie był w stanie prowadzić skutecznego ostrzału.

Ten brawurowy atak kosztował życie siedmiu, a może ośmiu naszych żołnierzy. Niemniej, akcja była przeprowadzona tak wzorowo, że w pierwszej chwili nikt nie zwrócił na nich uwagi. Ja atakowałem w drugim rzucie, za mną były jeszcze dwa kolejne. Dotarliśmy w rejon obrony, kiedy było już po wszystkim. Czterdziestka partyzantów stawiała jeszcze opór. Deszcz granatów rozwalił dwie trzecie tej grupy. Pozostałą garstkę przerażonych roznieśli na bagnetach grenadierzy pancerni, którzy wdarli się już na pozycje nieprzyjaciela. Ruszyliśmy ich śladem. Za nami podążali kolejni żołnierze, przeszukując teren. Po całym lesie roznosiły się przeraźliwe krzyki. Czuć było zapach prochu, spalenizny i krwi. Widziałem, jak przerażeni Ruscy opuszczali w popłochu drewniany bunkier, prowadząc z bliskiej odległości ogień do ogarniętych bitewnym szaleńcem kolegów. W tym ogólnym zamieszaniu strzelałem razem z innymi. Jakiś wysoki Rosjanin trzykrotnie wymierzył do mnie bezskutecznie, a ja nie robiłem nic, aby się bronić. Wreszcie ruszył w moim kierunku, wydając przeraźliwy ryk i unosząc karabin kolbą do góry. Dobiegło do mnie dwóch kolegów, mierząc do szaleńca. Rosjanin upadł, lecz próbował jeszcze załadować broń. Nie pozwoliliśmy mu na to. Ciężko ranny zainkasował dziesięć albo dwanaście uderzeń kolbami. Facet wyzionął już ducha, a my jeszcze okładaliśmy go kolbami.

U stóp bunkra trwała rozpaczliwa walka. Bijących się Niemców i Rosjan ogarnął jakiś nieludzki szal. Nagle w przeraźliwym zgiełku coś eksplodowało: trafieni odłamkami partyzanci i Niemcy zwalili się jeden na drugiego. Walczący koledzy rzucili się w sam środek tej dogorywającej sterty ciał. Przez głuchoe detonacje przebijały się okrzyki i przekleństwa. W pewnej chwili i my znaleźliśmy się w tym bijącym się tłumie. Jeden z towarzyszących mi chłopaków miał przedramię strzaskane rączką od wykrywacza min.

Wzdłuż drewnianej ściany bunkra trwała walka wręcz. Walczono nożami, łopatkami, kamieniami, dawano kopniaki. Jakiś obergefrajter zdzielił Rosjanina saperką w głowę. Straszliwa rana zdeformowała mu twarz. Facet padł na ziemię, zwijając się z bólu. Kellermann krótkimi seriami strzelał do Rosjan schowanych za dwiema haubicami, które dały

nam się tak bardzo we znaki. Chyba połowa Rosjan zdołała uciec. Ci, którym się to nie udało, tworzyli już męczeński stos; padały nań jeszcze ostatnie ofiary.

Zebrałiśmy zdobyczną broń, zniszczyliśmy haubice, których nie mogliśmy zabrać ze sobą, i zgarnęliśmy cały zapas żywności. Zanim jednak opuściliśmy teren walki, pogrzebaliśmy siedemdziesięciu naszych. Licznych rannych załadowaliśmy na wykonane z gałęzi nosze.

Jeszcze tego samego wieczoru dotarliśmy do jakiegoś kolchozu, gdzie piliśmy wszystko, co wpadło nam pod rękę, by zapomnieć o tym strasliwym dniu.

Mamy pełnię wiosny na Ukrainie. Niekończące się dni trwają praktycznie przez całą dobę.

Około jedenastej wieczór zapada jasna noc, ustępując miejsca różowej jutrzence już o trzeciej rano. Jest idealna pogoda; wieje ożywczy wiaterek, nim nadejdą niezdolne letnie upały.

Niestety, kiedy wszystko wokół kojarzy się z beztróskim czasem pokoju, wojenne monstrum, nie atakowane już przez siarczyste mrozy, uwolniło się z błotnistych okopów i prze naprzód ze zdwojoną siłą. Na jasnyniebieskim niebie niepodzielnie panuje sowieckie lotnictwo, które otrzymało znaczne wzmocnienia. Nieszczęsna Luftwaffe, na domiar złego mocno już uszczuplona, gdyż część samolotów wycofano do obrony niemieckich miast i na front zachodni, gdzie sytuacja uległa zdecydowanemu pogorszeniu, dokonuje samobójczych lotów, atakując całe masy nieprzyjacielskich wojsk powietrznych i lądowych. Rzadkie zwycięstwa są już tylko owocem bezprzykładnego bohaterstwa niemieckich lotników. Na niebie panuje nieprzyjaciel, na froncie panuje nieprzyjaciel, tylko na tyłach, gdzie działamy my i partyzanci, utrzymuje się jeszcze równowaga. Nieustannie patrolujemy teren. Niemal każde przemieszczenie się naszych oddziałów kończy się potyczką. Każdy pagórek, każda rudera, każdy las oznacza miny albo zasadzkę. Nie mamy już prawie pojazdów, brakuje benzyny i części zamiennych. Są też braki w zaopatrzeniu. Nieliczne wysyłane jeszcze transporty, bezustannie atakowane przez rosyjskie lotnictwo, nie są przeznaczone dla nas. Kierowane są na zdeorganizowany i słabnący front. Gdy przybywają na miejsce, odbiorców znajdują już tylko przypadkiem. Zaopatrzenie rozechwytywane jest najczęściej przez wygłodzonych żołnierzy wycofujących się pod gradem nieprzyjacielskich pocisków.

Trzy nasze kompanie bardzo nieregularnie otrzymują dziesiątą część niezbędnego zaopatrzenia. Musimy zdobywać prowiant u miejscowej ludności, również cierpiącej niedostatek i odnoszącej się do nas co najmniej z rezerwą. Sytuacja żywnościowa jest katastrofalna. Wiosna to jedynie pora pierwszych owoców. Polowanie jest bardziej niebezpieczne dla nas, niż dla zwierzyny.

Resztki trzech naszych kompanii stacjonują w jakiejś zapadłej wiosce. Między jedną akcją a drugą ludzie śpią niemal nago w pokrywającej równinę bujnej trawie. Jak mówi francuskie przysłowie: „sen zastępuje kolację"! W naszej sytuacji staje się ono rzeczywistością.

Gdy krążą rosyjskie samoloty, wszyscy starają się ukryć. Czekamy, aż sępy odlecą, po czym znów wystawiamy wychudzone ciała na słońce, które przyspiesza gojenie pozostałych jeszcze od zimy ukąszeń wszy. Pograżeni niemal w drzemce, z przymkniętymi oczyma kontemplujemy nieskończoną przestrzeń; zdajemy się nie myśleć o niczym. Bo i po co? Można by odnieść wrażenie, że całkowicie zerwaliśmy z przeszłością. Wspomnienia sprzed wojny jawią się jak nikłe fragmenty książek, które ponoć przeczytało się kiedyś i których się prawie nie pamięta.

Wojna nauczyła nas cieszyć się z byle czego. Dziś słońce zastępuje gulasz, kiełbasę, proso i nie przychodzącą już pocztę. Leżymy na pozornie cichej i spokojnej ukraińskiej ziemi.

Może jutro przywiozą prowiant. Może też dostaniemy benzynę i części, które pozwolą nam naprawić ledwo zipiące pojazdy. A może nawet będzie poczta — może list od Pauli... Jutro może po prostu będziemy jeszcze my, ziemia, niebo i słońce... Po co więc myśleć...?

Któregoś południa nasza radiostacja odbiera sygnał SOS wysyłany przez posterunek obrony terytorialnej na granicy rumuńskiej. Wzywa nas na pomoc, byśmy zlikwidowali partyzanckie okrążenie.

Teoretycznie stanowimy pododdział jednostki zmotoryzowanej będący w stanie gotowości. Musimy więc być w nieustannym ruchu, przeprowadzając błyskawiczne akcje w promieniu około dwustu — dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Łatwo powiedzieć. Wzywający pomocy posterunek znajduje się mniej więcej w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów. Zgłosił się do nas, ponieważ powiadomiliśmy kolegów, że w razie potrzeby mogą liczyć na natychmiastową pomoc. Dysponujemy czterema ciężarówkami w nie najlepszym stanie technicznym, cywilną półciężarówką, motocyklem z przyczepą i steinerem dowódcy. Wesreidau klnie jak szewc, wrywając sobie włosy z głowy.

Nasze samochody z najwyższym trudem mogą zabrać co najwyżej stu trzydziestu pięciu ludzi, a posterunek żąda pięciuset. Dla wszystkich pojazdów benzyny nie starczy nawet w jedną stronę, toteż Wesreidau postanawia wziąć tylko trzy ciężarówki, swego steinera i motocykl łącznikowy. Również ja wezmę udział w akcji.

Na apel SOS setka kolegów pośpiesznie wsiada do samochodów. Zabieramy jak najwięcej broni automatycznej, by zrekompensować niedobory w stanie osobowym. W każdej kabinie ciężarówki instalujemy dwa kaemy. Najbardziej obawiamy się lotnictwa. Po kiepskich rosyjskich drogach pędzimy

W oryginale francuskim: Qui dort dine (przyp. tłum.).

tak szybko, jak tylko się da, wznecając gęste tumany kurzu. Przejeżdżamy jak burza przez oddaloną pięćdziesiąt kilometrów od bazy wioskę jak z prehistorii. Ludzie uciekają w popłochu przed pędzącą kolumną. Wyglądamy na pewno groźnie, gdyż jesteśmy objuczeni bronią, a twarze całkowicie pokrywa brunatny kurz. Po wyjeździe ze wsi rozpraszamy grupę przerażonych mieszkańców. Steiner przejeżdża bez szwanku, ale pierwsza w szyku ciężarówka rozjeżdża psa, a druga potrąca czarną świnię. Wyleciała nie wiadomo skąd i rzuciła się pod koła.

Widzą to pasażerowie trzeciej telepiącej się ciężarówki, którą jadę. Pokusa jest zbyt silna. Zgrzytają hamulce, słychać krzyki uciekających w popłochu mieszkańców i przeraźliwy kwik rannego zwierzęcia wijącego się na skraju drogi. Pięciu czy sześciu żołnierzy wyskakuje przez klapy i biegnie w kierunku świni. Usiłują ją ogłuszyć. Zwierzak wyje rozpaczliwie. Przerażająca scena. W końcu dobijają go kilkoma ciosami bagnetu. Będąca w agonii świnią wydiera się, aż uszy puchną. Nawet gdy żołnierze krępują jej łapy, co najmniej dwudziestoma różnymi sznurami i pasami, a potem przywiązują ją do tylnej klapy, rusza się jeszcze w konwulsjach, ochlapując krwią swych oprawców. Mniej więcej osiemdziesiąt kilo żywej wagi...

Dalej, naprzód! Trzeba dogonić kolumnę. Ruszamy z przerażającym wyciem silnika. Wkrótce również świnię pokrywa warstwa kurzu zmieszanego z krwią. Nie warto już tego rozpamiętywać. Ci, którzy przeżyją, będą jedli wieczorem wieprzowinę. Sieg Heil!

Przejeżdżamy teraz przez osobliwą okolicę, pokrytą czarnymi, gładkimi wzniesieniami przypominającymi ogromne, wygładzone kamyki. Ów zadziwiający teren porastają karłowate drzewa. Czarne są również odkryte warstwy ziemi, wydające się twarde jak kamień. Żałuję, że nie jestem geologiem, bo mógłbym określić rodzaj skał w tym terenie ciągnącym się przez około dwadzieścia kilometrów.

Tuż po opuszczeniu tej okolicy jeden z naszych obserwatorów melduje, że między wierzchołkami drzew, nieco po lewej stronie, dostrzegł grupę samolotów. Ciężarówki chowają się pod listowiem. Wesreidau omiata niebo lornetką, lecz nic nie zauważa. Lepiej jednak odczekać kilka minut. Korzystają z tego chłopaki z trzeciej ciężarówki, w błyskawicznym tempie rozpruwając świniaka i wywalając na drogę wnętrzności. Jeszcze całkowicie nie skończyli pracy, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę. Nasi dzielni rzeźnicy kontynuują robotę w ciężarówce.

Gdy po pokonaniu kilku kilometrów jedziemy przez dziki teren, na niewielkiej wysokości pojawiają się nagle dwa samoloty. Zaalarmowani naszymi okrzykami kierowcy naciskają na

pedały hamulców. W okolicy nie ma ani jednego dostatecznie rozłożystego drzewa. Kiedy maszyny z wielkim hukiem przelatują nad nami, kurczymy się z przerażenia. Niektórzy ze strachu sikają w portki. Unosimy głowy i widzimy dwa oddalające się Messer-schmitty 109E zapewne resztki jakiejś eskadry. Nikt nie krzyczy: „Niech żyje Luftwaffe"! Jesteśmy zbyt spanikowani.

Około czwartej zbliżamy się do rejonu operacyjnego. Nasze ciężarówki pokonują teraz krętą drogę w terenie górskim. Posuwamy się powoli. Mogą tu być zasadzki. Na czele jedzie steiner kapitana Wesreidau. Dwójka siedzących na masce obserwatorów wpatruje się w tumany kurzu i pobliskie wzniesienia. Odczuwamy niepokój.

Wkrótce wjeżdżamy na drogę nad doskonale widoczną doliną. Kolumna zatrzymuje się. Gasną silniki. Po chwili słyszemy daleki odgłos karabinu maszynowego. Nie ulega wątpliwości: jesteśmy na miejscu. W oddali, poprzez letnią mgiełkę, dostrzegamy chyba jakąś wioskę. Odległość między dwiema ciężarówkami wynosi sto metrów. Ruszamy powoli w drogę. Żołnierze z największą ostrożnością posuwają się za pojazdami. Znowu czujemy ten cholerny ucisk w żołądku.

Boże drogi! Kiedy staniemy się ponownie ludźmi?

Przeciwnik ma oczywiście swoich obserwatorów. Dostrzeżono nas. Jadący pierwszą ciężarówką żołnierze widzą, jak steiner dowódcy wypryskuje nagle zza zakrętu, jadąc na wstecznym biegu. Gdy pojazd toczy się po spadzistej drodze, dziesięć metrów od niego rozlega się głuchy wybuch.

Wszyscy padają na ziemię. Ciężarówki szukają schronienia, gdzie tylko się da. Na drogę pada kolejny pocisk, wrywając w niej lej i wzniesając tuman kurzawy.

Jasna cholera! Grzeją do nas z trzydziestki siódemki! Seria z kaemu trafia w kabinę pierwszej ciężarówki, zamieniając ją w sito. Na szczęście nie ma już nikogo w środku. Kierowca oblał się chyba zimnym potem ze strachu.

Nieprzyjaciel kryje się w nierównościach terenu i trudno go zlokalizować. Załoga steinera wie jednak, jak dobrać się do kiepsko ukrytego za drzewami działa strzelającego z prawej strony zakrętu. Tuż za wirażem leży w poprzek drogi zwalone przez partyzantów drzewo. To cud, że nie otworzyli ognia, gdy steiner pojawił się za zakrętem.

Dwa zainstalowane w pośpiechu lekkie moździerze zaczynają intensywnie ostrzeliwać nieprzyjacielskie stanowisko ogniowe i wkrótce zmuszają je do milczenia.

— Amatorszczyzna — myśli Wesreidau.

Dwanaście kaemów zajmuje pozycje, utrudniając życie kryjącym się w górze partyzantom.

Nasza grupa przemyka między krzakami i zaczyna wspinać się po blokach skalnych.

Moździerze wypływają grad pocisków, nękając bardziej odstrasającym niż niszczyielskim ogniem przypuszczalne punkty oporu. Lokalizujemy partyzanckie stanowisko obronne. To rzeczywiście kompletne żółtodzioby: myślą, że łatwo wykurzą Szkopów i w ten sposób przysłużą się ojczyźnie.

— Co za durnie! — mruczą znajdujący się koło mnie Prinz i Smellens. — Przyleźli tu robić sobie dla przyjemności „paf-paf"! Już ja ich pogonię!

Grupa atakuje stanowisko granatnikami. W zwałowiskach skalnych rozlegają się potężne wybuchy. Po chwili jakiś spandau — rozpoznaję go po szybkich seriach — obramowuje intensywnym ogniem partyzancką kryjówkę.

Jeszcze dwa eksplodujące granaty i strzeleccy nowicjusze, którzy nie zdążyli nawet zareagować, krzyczą z przerażenia. Z kryjówki wyskakuje jakaś postać, rzucając się do rozpaczliwej ucieczki. Ponieważ nie ma innej możliwości, dosięga ją seria co najmniej dwunastu pocisków z kaemu.

— Co za frajer! — krzyczy Prinz. — Trzeba być kompletnym durniem! Aż żal rozwałać tych facetów! Nie mogli, kurwa, siedzieć w domu, aż wojna się skończy?! Na ich miejscu nie dałbym się prosić; co, Sajer?

W domu...! W głowie krążą myśli niczym opary alkoholu. W domu... aż wojna się skończy...
— O tak! — odezwałem się wreszcie.

— No właśnie — ciągnie Prinz. — A my musimy do nich krozić. To straszne.

Z nieprzyjacielskich umocnień dochodziły okrzyki trwogi. Zainstalowane po lewej stronie granatniki i kaemy zakłócały piękny wiosenny dzień. Nagle któryś z owych młodzieniaszków, ogarnięty bitewnym szalem, uniósł się aż do pasa nad ziemnym nasypem, posyłając wściekłą serię w naszym kierunku. Jego niezbyt celny ogień dosięgnął jednak dwóch naszych żołnierzy. Jednego kula zraniła w prawą rękę, drugiego w łydękę ugodził chyba rykoszet. Seria ze spandaua sieknęła szaleńca w pierś. Nasz ranny związał się z bólu w ocienionym zakątku.

— Do kurwy nędzy! — rzucił ktoś. — Czy ta cholerna strzelanina wreszcie się skończy?!

Ostrożnie wychyliły się dwie postacie, rzucając się do ucieczki. Trafione serią z kaemu padły na ziemię.

— Słuchaj no! — mruknął Smellens do strzelca. — Chyba jakąś dziewczuchę wysłałeś do Świętego Piotra.

— Dziewuchę? — odrzekł zapytany. — Jesteś pewien? — Jeżeli kobitki zajmują się wojaczką, to już szczyt wszystkiego.

Po kilku minutach naliczyliśmy sześć martwych ciał znajdujących się w pobliżu partyzanckiej kryjówki. Byli to młodzi ludzie w naszym wieku, w tym dwie dość ładne dziewczyny, leżące w kałuży krwi i otoczone rojem niebiesko-zielonych much.

Zerknęliśmy z obrzydzeniem na leżące ofiary. Że też te nieszczęsne dziewczyny musiały pojawić się na naszej drodze...! Prymitywna zasadzka na trasie szybko została zlikwidowana. Oczyszcziliśmy drogę, ruszając dalej w tempie piechura. Pojazdy posuwały się powoli z tyłu. Czyżby nieprzyjaciel miał złe informacje? Czy myślał, że będzie nas więcej? Bał się? W każdym razie zrezygnował ze zdobywania na w pół już okrążonego posterunku, a wyruszył na spotkanie z nami.

Słońce silnie oświetlało wąską, piaszczystą drogę, którą posuwaliśmy się dalej. Czoło grupy nawiązało kontakt z nieprzyjacielem. Schronił się on na wiejskim cmentarzu, typowo rosyjskim, gdzie dominowały błękitne, białe i żółte barwy i nie odczuwało się żadnego smutku. Była cudowna czerwcową pogodą. Wiosna zbliżała się ku końcowi. Człowiekowi mogłoby się

wydawać, że bije się dla zabawy. Każdy obłoczek dymu ze strzelającej broni był natychmiast unoszony przez lekki wietrzyk. Zadowolilibyśmy się niezbyt intensywną wymianą ognia, gdyby dowódca nie podjął innej decyzji. Nie wolno było dopuścić, aby nieprzyjaciel pomyślał, że nie jesteśmy w stanie atakować, toteż granatniki i lekkie moździerze załazy spowity błękitem cmentarz gradem pocisków. Dwie grupy szturmowe oczyściły go z partyzantów, zajmując cmentarne ogródki. Rosjanie schronili się w dużym drewnianym budynku służącym do przechowywania zbiorów. Ot, taki miniaturowy kołchoz. Na bramie wróg wypisał słynne hasło komunistyczne: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”! Litera namalowano w pośpiechu, gdyż widać było ślady po ciekącej farbie, dające smętne skojarzenia z marksistowską ideologią.

Aby szybciej uporać się z tym naprędce zorganizowanym i nieco prymitywnym bastionem obronnym, spandau zaopatrzone został w specjalny zasobnik z pociskami rozpryskowymi i zapalającymi.

Już pierwsze pociski spowodowały pożar strzechy. Nieprzyjaciel prowadził intensywny ogień z broni maszynowej.

Salwa pocisków moździerzowych zawałiła płonący dach. W takich warunkach partyzanci musieli w pośpiechu opuścić budynek; nie mogli już się tam utrzymać. Przemierzając się skokami, obie grupy szturmowe opanowały kołchoz, prowadząc ogień do uciekających.

Opierając się plecami

o stos kamieni, jakiś stary, całkowicie zarośnięty na twarzy Rosjanin złorzeczył pod naszym

adresem. Prawą rękę położył na głowie leżącego przy nim martwego towarzysza broni. Stary był ranny. Miał ubranie w wielu miejscach podarte i popalone. Przechodziliśmy trzy metry obok Rosjanina, celując do niego z broni. Nie padł ani jeden strzał. Starzec miotał przekleństwa, wygrażając nam pięścią. Widziała go cała grupa na tle dymów

I dopalającego się magazynu. Nikomu nie przyszło do głowy, aby go wykończyć. Obrzucał nas wyzwiskami aż do chwili, gdy płonący budynek zawalił się, grzebiąc go żywcem. W błękitne niebo wystrzelił snop iskier. Czoło kolumny posuwało się już uliczkami wioski. Żołnierze strzelali do wszystkiego, co się ruszało.

Ostatni partyzanci uciekali w kierunku głównej drogi i gór. W pewnej chwili znaleźli się pod naszym bezpośrednim ostrzałem. Intensywny ogień powalił z dwudziestu uciekinierów na piaszczystą drogę i krzewy jałowca.

Straszliwe spustoszenie wśród uciekających siał nasz spandau strzelający specjalnymi pociskami. Wreszcie przerwano ogień. Załoga opuszczała niemiecki posterunek, dołączając do nas. Wielu strażników odniosło rany. Było też z dwunastu zabitych. Gdy rannym niesiono pomoc, wyganialiśmy ludność z ich ruder. Pożar zaczął się rozprzestrzeniać i należało temu zapobiec.

Kobiety, mężczyźni i dzieci, złorzecząc, dołączali do nas niechętnie. Godzinę trwało gaszenie ognia, po czym wszyscy zawlekliśmy martwe ciała w jedno miejsce. Kobiety krzychały i szlochały, rozpoznając wśród ofiar

twarze swych mężów, synów i znajomych. Większość osób, zmuszonych przez nas do ucieczki, to mieszkańcy wioski.

Wkrótce płacze i jęki przeszły w złorzeczenia i groźby. Własnych rannych i poległych znosiliśmy, jak zawsze, w milczeniu. Była tak piękna pogoda, że właściwie nic nie wydawało nam się naprawdę tragiczne. Spoglądaliśmy smętnym wzrokiem na całe to zamieszanie, nie dostrzegając tragizmu sytuacji.

Halls kontemplował widoczne na horyzoncie majestatyczne szczyty górskie, przenosząc równocześnie kolegę, którego bluza pokryta była rudawymi plamami. Śpiewające radośnie ptaki znów latały po błękitnym niebie, tylko z lekka zasnutym kłębam dymu z dopalających się zabudowań. Jeśli chodzi o nas, żołnierzy z frontu wschodniego, owa łaskawość przyrody usprawiedliwiała naszą postawę. Po tym, jak żyliśmy w błocie i mrozie, zachowywaliśmy się teraz niby dzikie zwierzęta, ciesząc się wiosennym słońcem i nie przejmując się, gdzie spędzimy noc.

Było nam przykro z powodu incydentu, który zakłócił ten sielski spokój.

Rosyjscy wieśniacy w dalszym ciągu dawali upust swej rozpacz. Ciskane przez nich obelgi, których domyślaliśmy się tylko po tonie głosu, psuły nam pogodny nastrój. Ktoś rzucił kamieniem i ugodził jednego z naszych rannych w twarz. Dwóch oburzonych chłopaków odwróciło się w tamtym kierunku, chwytając za pistolety automatyczne.

— Wy świnię! Spieprzać mi albo zrobimy z was sito!

Niewiele to pomogło. Szczególnie kobiety, wykrzywiając z wściekłości twarze, pluły i bluzgały przekleństwa. Unoszono groźnie pięści. Wtem, na cudownym niebie, pojawiło się sześć samolotów lecących w ciasnym szyku. To sowieckie myśliwce poszukiwały nieprzyjacielskiej kolumny transportowej. Widząc obecność swoich, Rosjanie zaczęli wykrzykiwać w kierunku nieba: „hurra Stalin!” i wskazywać nas palcami. Lotnicy nie mogli oczywiście tego dostrzec i kontynuowali lot.

Twarze wszystkich Rosjan wyrażały tak wielką nienawiść, że chociaż był piękny wiosenny dzień, poczuliśmy przebiegające przez ciało dreszcze. Powróciły wspomnienia kolegów mordowanych, kaleczonych, torturowanych przez ludzi, którzy wojaczką nie powinni się zajmować; wspomnienia tragicznej śmierci strażników z posterunków obrony terytorialnej, które mijaliśmy tej zimy, wycofując się z frontu. Przypomnieliśmy sobie twarze roztrzaskiwane siekierami w celu zdobycia złotych zębów; straszną agonię związanych rannych, z

głowami zanurzonymi w otwartych brzuchach martwych towarzyszy; odcinane narządy rozrodcze; odnaleziony pluton Ellersa, którego ludzie związani linami tkwili nago na trzydziestopięciostopniowym mrozie, z nogami zanurzonymi w wodopoju stanowiącym lodowy blok; twarze torturowanych pod szarym zimowym niebem...

Mieliśmy sucho w ustach, słuchaliśmy coraz gwałtowniejszych złorzeczeń całych rodzin, płacących teraz za to, czego zawsze powinny unikać. Czekaliśmy tylko na komendę, by otworzyć ogień na ten nędzny motłoch.

Widziałem, jak najbliżej stojący kolega brudnymi, trzęsącymi się rękami ściska nerwowo broń. Inny nie mógł powstrzymać nerwowego drgania twarzy. Zakończyliśmy robotę i teraz wzbierała w nas wściekłość.

Nagle jakiś wysoki, szczupły mężczyzna zbliżył się spieszonym krokiem, przedzielając obie grupy.

Był to Wesreidau.

Oficer był błądzący z oburzenia. Zatrzymał się pięć metrów od Rosjan, po czym spojrzął na nich tak straszliwym wzrokiem, że nastąpiła cisza.

Podczas długiej kampanii Wesreidau miał okazję nauczyć się rosyjskiego. Zasugerował Rosjanom, by pochowali swoich z takim samym szacunkiem, jakiego wymagał od swoich podwładnych. Uspokoił ich, mówiąc, że dla nich wojna niedługo się skończy. Równocześnie poprosił, by zachowali cierpliwość i trzymali się z dala od tego wszystkiego. — Nigdy się nie spodziewał — przyznał — że wojna zmusi go do strzelania do uzbrojonej ludności cywilnej otumanionej przez propagandę. Przeprószył za to, co musiał zrobić. Wreszcie już śmiertelnie poważnym tonem oświadczył, że nie zniesie kolejnych obelg i ma nadzieję bezpiecznie przeprowadzić swoich pozostałych ludzi. W przeciwnym wypadku cała wieś zostanie pociągnięta do odpowiedzialności.

Słowa kapitana podziały jak balsam. Nieoczekiwanie zapanował spokój. Martwi zostali pogrzebani, zawożenia ucichły.

Uzupelniliśmy benzynę na powrót, korzystając z zapasów znajdujących się na posterunku. Przy okazji strażnicy dali nam kilka butelek, jakie od kilku miesięcy trzymali w rezerwie. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Na posterunku zostało ośmiu naszych rannych kolegów. Nazajutrz miała tam nadejść pomoc. Na zbiórce brakowało sześciu żołnierzy: na zawsze pozostaną w ukraińskiej ziemi.

— Jest teraz luźniej niż poprzednio — wyrwało się jakiemuś koledze.

Skinęliśmy w milczeniu głowami. Patrzyliśmy na wioskę znikającą w tumanach kurzu. Mieliśmy czarne od pyłu, przysłonięte hełmami twarze. Dookoła rozkwitała wiosna, nikt jednak nie zwracał na nią uwagi. Pograżyliśmy się w ponurych myślach. Nic konkretnego, nic kojącego nie było w stanie na dłużej zająć ani naszego wzroku, ani umysłu. Wybawienie wydawało się tak daleko...

Rozkwitająca wiosna zniknęła w obłokach kurzawy. Istniały tylko te ciężarówki wiozące nieszczęsnych ludzi, z trzęsącym się groteskowo trupem świniaka pokrytego krwią i muchami.

Pojazdy podskakiwały na wąskiej górskiej drodze. Ten nędzny szlak chyba przechodził na końcu w ścieżkę wytyczoną przez kozicę. Co rusz, napotykaliliśmy na przeróżne przeszkody. Czasem wspinaliśmy się kamienistym poboczem albo jechaliśmy wzdłuż zacienionej skarpy. Czasem pokonywaliśmy niewielki stawek albo pojawiającą się nieoczekiwanie rzeczka. Innym znów razem wjeżdżaliśmy na piaszczyste tereny, gdzie zdawała się panować wieczna susza. Ciężarówki ostrożnie posuwały się tym szlakiem, a ich trzęsące się klapy więziły otumanionych żołnierzy.

Koledzy ustawicznie błądzili wzrokiem po zmieniającym się horyzoncie, nie mogąc zatrzymać się dłużej na jednym punkcie; patrzyli na bujną, wszechobecną wiosnę, nie pozwalającą zapomnieć o sobie nawet podczas wojny. Patrzyliśmy niemymi oczyma na

rozkwitający świat, tak jak biedak spogląda na bożonarodzeniową wystawę. My również pragnęliśmy, by wojna się skończyła! Marzyliśmy o tym jak ciężko chory człowiek, którego upaja i pobudza do życia widok pierwszych rozkwitających pąków. Ale rzadkie chwile spokoju to tylko pozór: wojna trwa nadal. Zawsze znajdzie się ktoś, kto pod byle pretekstem na nowo roznieci zarzewie konfliktu; ktoś, kto ma ku temu wyraźne powody, i to może w obu walczących obozach. Dziś znalazł się na drodze, akurat gdy podjeżdżaliśmy tym długim zboczeni. Zauważył nas i zaczął spieszenie działać. Miał tylko dziesięć minut, by ukryć zdradziecką pułapkę w jednym z licznych lejów na trasie, a potem zniknął. Może nawet schował się gdzieś w pobliżu i obserwował, co będzie dalej. Może też zauważył jadący na czele samochód eksplodujący na tle żółtych błysków. Rozległ się przeraźliwy huk, do którego nasze uszy już przywykły. A potem zobaczyliśmy tuman kurzu, ogień i dym. Mnóstwo dymu. Niemal czarne kłęby unosiły się w rozpaczliwie pogodne niebo, a w ich cieniu powoli umierało sześciu zbryzganych krwią żołnierzy. Sfeiner stracił cały przód, a pozostała część pojazdu wywróciła się na bok. Gdy zajmowaliśmy pozycje obronne, kilku kolegów wyciągało umierających z płomieni. Kapitana Wesreidaua i pięciu pozostałych pasażerów steinera oparliśmy o czerwoną skarpe przydrożną. Dwóch żołnierzy już nie żyło. Kolejny miał nogę poszatkowaną ranami od powyginanej blachy. Jego udo przypominało francuskie ciasto. Wesreidau cały był posiekany odłamkami. Liczne złamania zdawały się rozrywać mu ciało. Zrobiliśmy wszystko, co było w ludzkiej mocy. Z jego przyjaciół można by utworzyć co najmniej jedną kompanię. Wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się na pomoc. Udało nam się doprowadzić go do przytomności. W odróżnieniu od wszystkich umierających żołnierzy, jakich aż do tej chwili widzieliśmy, twarzy naszego dowódcy nie wykrzywił ani ból, ani lęk przed śmiercią. Na jego opuchniętym obliczu błędził blady uśmiech. Sądzieliśmy już, że udało nam się go uratować. Słabnym głosem mówił o naszej wspólnej sprawie. Żądał, byśmy zachowali jedność w czasie wielkiej próby. Wreszcie wskazał na jedną ze swych kieszeni. Adiutant Sperlovski wyciągnął z niej kopertę przeznaczoną zapewne dla rodziny. A potem nastąpiło pięćdziesiąt sekund, podczas których widzieliśmy, jak nasz dowódca powoli kona. Przyzwyczajeni do takich widoków nie zmienialiśmy wyrazu twarzy. Panowała tylko niesamowita cisza. Dwóch ludzi udało się jednak uratować. Zanieśliśmy ich ostrożnie na ostatnie pojazdy. Porucznik Wollers uniósł martwe ciało oficera, by z należyтым szacunkiem pochować uwielbianego dowódcę. Przed grobem przechodzili kolejno żołnierze, oddając mu hołd. Straciliśmy człowieka, od którego zależał los kompanii. Poczuliśmy się przeraźliwie samotni. Nocą dotarliśmy do naszej zagubionej wioski, gdzie koledzy czekali na nas z niepokojem. Wiadomość o śmierci dowódcy wprawiła ich w osłupienie. Co prawda zawsze groziło nam niebezpieczeństwo, lecz śmierć Wesreidaua była dla nas czymś niemożliwym, tak jak dzieciom wydaje się, że niemożliwością jest życie bez rodziców. Śmierci innych żołnierzy — jeżeli mogę się tak wyrazić — mogliśmy się spodziewać, ale nikt z nas nie mógł sobie wyobrazić nieobecności naszego dowódcy. Tej nocy wartownicy byli bardziej niespokojni niż zazwyczaj. Wszystkie trzy kompanie czuły się zagrożone, jak nigdy dotąd. Zdawało się, że w duchu wzywamy rozpaczliwie pomocy. Od kogo będzie teraz zależał los oddziału? Jakiego dostaniemy dowódcę? O świcie, kiedy nasza radiostacja połączyła się z kwaterą główną, nad naszą kolumną pojawił się Do 217 i rzucił meldunek dymny. Trzy kompanie zmotoryzowane miały pośpieszenie dotrzeć do sektora północnego na kluczowy odcinek frontu. Zaczęła się ogólna krzątanina, padały rozkazy zniszczenia kwater i znacznej części wioski. Nie mogło pozostać nic, z czego nieprzyjaciół miałby jakkolwiek pożytek czy ochronę. Z braku materiałów zapalających, musieliśmy po prostu podpalać strzechy wiejskich chat. Wreszcie kompanie zmotoryzowane ruszyły pieszo w drogę. Cały sprzęt załadowali na

cztery zdezelowane ciężarówki. Na czele jechała kamio-netka z radiostacją i motocykl z przyczepą. Co piętnaście — dwadzieścia kilometrów pojazdy zatrzymywały się, by na nas zaczekać. Albo dotrzemy razem na miejsce, albo wcale. Rozkazy z kwatery głównej są nielogiczne. Dowództwo nie zdaje sobie sprawy, jaka jest sytuacja tak zwanych jednostek o wysokiej manewrowości, gotowych do natychmiastowych interwencji. Nie jesteśmy w stanie posuwać się szybciej.

Naszym najpoważniejszym problemem jest zaopatrzenie w żywność. Już od dawna nie otrzymujemy żadnych dostaw. Przygotowanie posiłku graniczy z cudem. Żołnierze stali się traperami, kłusownikami, rabusiami ptasich gniazd. Próbuje eksperymentów kulinarnych, zrywając rośliny przypominające sałatę. Czasem w wyniku długich poszukiwań udaje im się schwytać opuszczonego konia. Ale ośmiuset ludzi wymaga okazałych ilości żywności i codziennie mamy ten sam problem. Każdego dnia wysyłany jest apel przez radiostację i każdego dnia nadchodzi ta sama odpowiedź: „zaopatrzenie w drodze, powinno już nadejść”. Po poczcie polowej nie ma już ani śladu — nie ma ani listów, ani paczek — niczego. Choć mamy lato i piękne słońce, które jednak daje się trochę we znaki, sytuacja staje się dramatyczna.

Wczorajszy świniak został upieczony, a może ugotowany, i pochłonięty w nocy wraz ze stu pięćdziesięcioma litrami ciepłej wody ochrzczonej rosołem z wieprza.

Dziś wyruszamy na front. Nasze oczy połyskują złowrogo jak u wygłodniałych wilków. Żołądki są puste. Menażki są puste. Pusty horyzont nie zwiastuje jakichkolwiek nadziei. Żrenice błyszczą z głodu, a w głowie krążą złowieszcze myśli o ludożerstwie. Głód jest osobliwym uczuciem. Z człowiekiem dzieje się wtedy coś dziwnego. Nie sposób wyobrazić sobie, że można umrzeć z głodu. Od dawna już potrafimy się obywać minimalną ilością byle czego. Nasze niecierpliwe żołądki trawiły już substancje, od których mieszczuch zmarłby po miesiącu. U nikogo nie widać ani grania tłuszczu, ani opasłego brzucha, ani podwójnego podbródka. Pod skórą rysują się wszystkie kości. Wraz z głodem zaostrzają nam się zmysły. Przypominamy żyjące na pustyni wygłodzone zwierzęta łapiące ślepiami na wszystkie strony. Po wielu dniach marszu piaszczystymi drogami oczy staną się mniej żywe. Jednak na razie, mimo głodu skreślającego kiszki, wszystko jest jeszcze możliwe. Pokonamy każdą trasę, byle tylko zdobyć jakąś żywność. Przecież Rosja nie jest jakąś wyjałowioną pustynią! Mijamy wielkie i żyzne, jak się wydaje, łąki. Na pewno dotrzemy do jakiejś wioski, którą można będzie splądrować.

Sperlovski i Lensen studiuje mapę; zaznaczono na niej wiele miejscowości. A więc nie jest aż tak źle. Jedyne problem w tym, że ten kawałek papieru odpowiada jednej czwartej powierzchni Francji, a dwie wioski dzielą setki kilometrów, gdzie niczego nie ma.

Najmniejszy zygzak na mapie sygnalizujący zboczenie z trasy do najbliższej miejscowości to kilka dni dodatkowego marszu.

— Spokojnie, chłopaki! — krzyczy Lensen, pewny swego. — Są przecież wioski zagubione w stepie, nie zaznaczone na mapie. A poza tym są też kolchozy.

Padają rozkazy marszu prosto na północ. Nie ma mowy, by tracić czas. W każdym razie tu nie znajdziemy nic do żarcia. Długa kolumna rusza w drogę. Kompanie, marsch! marsch!

Przed naszymi oczyma defilują dzikie łąki w beznadziejnie wolnym tempie czterech — pięciu kilometrów na godzinę.

— Można by tu zbić forszę na rolnictwie — marzy głośno jakiś wieśniak z okolic Hanoweru. Zboże rośnie tylko w okolicy wiosek, natomiast wielkie jak departament obszary pokrywa dzika trawa i szary albo czerwony pył. W wielu miejscach rosną gęste, chyba dziewicze lasy. Zdażyliśmy się już przyzwyczaić do tych niezmiernych obszarów, stanowiących dla nas ewentualne pola walki. Reakcja nastąpi dopiero później. Ten, komu uda się powrócić do rodzinnego kraju, dusić się będzie w ograniczonej przestrzeni, gdzie horyzont jest na wyciągnięcie ręki, a krajobraz przeładowany budowlami użyteczności publicznej,

strzelającymi w niebo kamiennymi konstrukcjami o wątpliwej wartości estetycznej. Reakcja nastąpi wtedy, gdy ludzie ci, dotychczas przyrównujący ziemię do niezmiernego nieboskłonu, nie będą wiedzieli, gdzie złożyć swój tyłek na trawie należącej zawsze do kogoś. Na razie jednak widzimy tylko nieskończoną przestrzeń, gdzie żołnierskie buty wnoszą wielobarwne tumany kurzu osadzające się na wszystkim, co śmie ją poruszyć. Bardziej my należymy do tej ziemi, niż ona należy do nas. Chociaż trwa wojna, upajamy się tą ziemią bezgranicznie, odczuwając jakąś pełnię. Okrutnie nam jej będzie brakowało. Gdyby tylko znalazło się jeszcze coś do jedzenia...

Po tradycyjnej przerwie przypadającej na godzinę jedenastą ruszyliśmy w dalszą drogę. Przełknęliśmy, jak środek oczyszczający, przygotowywaną od dwóch dni sałatkę z pędów zbożowych. Proso gotowane w samej wodzie to nasza ostatnia deska ratunku. Jest duszna, upalna pogoda. Na szczęście nasz bardziej niż skromny posiłek nie zachęca do sjeisty. Z pewną obawą pijemy wodę, która ogrzała się nieco w naczyniach. Rzeki czy strumyki są stosunkowo rzadkie, a woda z kałuży to ryzyko malarii, duru brzuszego, zatrucie, a nawet cholery. Dla lepszego samopoczucia chłopaki intonują piosenkę żołnierską „Ein Heller und ein Batsen”. Unoszone przez lekki wietrzyk melodia i słowa ulatują w daleką przestrzeń. Piosenka nie wywiera już żadnego wrażenia na kolegach, którzy słyszeli ją na przystrojonych flagami ulicach miast:

Der Heller ward zu Wasser Der Batsen ward zu Wein

Mniejsza z tym. Dokonałiśmy już wyboru. Wina nie ma, a wodę należy pić ostrożnie.

Heidi, Heido, Heida! — Heidi, Heido, Heida! — Heidi — Heido — Heida J A, a, a, a.'

Kompanie, marsch, marsch, marsch! Jeżeli nie śpiewasz dla siebie, to już na pewno nie śpiewasz dla nikogo. A poza tym te słowa już znasz.

Nadchodzi wieczór. O tej porze roku zaczyna się bardzo późno. Zapada nad obozowiskiem i równiną wiecznie — jak mogłoby się wydawać — skąpaną w słońcu; zapada nad pokrytymi pyłem twarzami, zbolałymi mięśniami. Zmordowani żołnierze już śpią. Nastaje niesamowita cisza, zdająca się pochodzić jakby z krańca świata.

Nazajutrz ruszamy w dalszą drogę. Widoczny od kilku godzin falisty horyzont sprawia wrażenie, jakby znajdował się ciągle w tej samej odległości. Posuwamy się kamienistą równiną, gdzie najwyższe wzniesienie nie przekracza wysokości człowieka. Ten niemal pustynny teren porastają

niewielkie zagajniki, jakie widziałem na fotografiach z Afryki. To dziwne: wydawać by się mogło, że te przysadziste drzewa są raczej charakterystyczne dla krajobrazu górskiego. Ciągłe unoszą się tumany czerwonej kurzawy. Wyglądają jak mgławica roztartych w pył cegieł. Już od dawna nie posuwamy się szykiem trójkowym, obowiązującym podczas marszu.

Przejęliśmy zwyczaj partyzantów. Nasza kolumna, czy może raczej stado, rozpadła się na grupy o różnej wielkości. Idących na czele zmęczonych żołnierzy dochodzą koledzy z tyłu, wcale nie zwiększając tempa, gdyż posuwamy się coraz wolniej.

Skończyły się rzadkie rozmowy. Lepiej zachować równy oddech i siły, by nie zostać z tyłu. Ile tysięcy kroków trzeba będzie jeszcze zrobić? Buty o barwie brunatnej pustyni stąpają po kamienistej równinie zdającej się prowadzić donikąd. Lekki wiatr nawiewa czerwony pył w obfite, niesforne czupryny. Wpatrujemy się w wiecznie nieruchomy horyzont. Marsz, towarzyszące nam dźwięki, wiatr — wszystko staje się monotonne. Co jakiś czas z głębokiej jamy, jaką mamy na wysokości żołądka, dochodzi charakterystyczne burczenie.

Po tradycyjnej przerwie o godzinie jedenastej, kiedy naruszyliśmy ostatnie rezerwy prosa, marsz zostaje zakłócony przez nieoczekiwany incydent. Na niebie barwy roboczego kombinezonu widzimy dwa samoloty dwusilnikowe; na szczęście zdołaliśmy je w porę dostrzec. Horyzont jest doskonale widoczny; wszystko dostrzegalne jest już pięć minut wcześniej, zanim pojawi się nad nami. Jak zawsze w takich sytuacjach rozproszenie, obrona przeciwlotnicza... Kilku z nas zginie... Są to bez wątpienia bolszewickie lekkie bombowce

albo samoloty rozpoznawcze.

Maszyny przelatują na wysokości około dwustu metrów. Ryk silników dociera do nas z lekkim wiatrem, dochodząc chyba aż do naszych wygłodzonych żołądków. Samoloty, będące celem naszych kaemów, nic nam jednak nie zrzucają na łby. Opisują tylko wielkie koło, co śledzimy przerażonym wzrokiem. Drugi przelot będzie już na pewno skuteczny...

Tymczasem samoloty przelatując po raz drugi, zostawiają za sobą jakby chmurę białych motyli wirujących i połykających na tle błękitnego nieba.

Maszyny oddalają się. Pierwsi żołnierze zaczynają podnosić z ziemi ulotki. Któryś z nich wymachuje tuzinem tych papierów, krzycząc:

— Iwan nie wie, że kibel nam niepotrzebny! Przysyła nam papier do srania!

Zaznajamiamy się z komunistyczną prozą:

Niemieccy żołnierze! Zdradzono was... Poddajcie się naszym oddziałom, które umożliwią wam rehabilitację... Dla was wojna jest już przegrana.

Pod tym tekstem, by podnieść nas na duchu, widnieją bardzo kiepskiej jakości zdjęcia jakichś anonimowych ruin, mające przedstawiać zbombardowane niemieckie miasta. Są też fotografie uśmiechniętych niemieckich jeńców. Pod każdą z nich umieszczono krótki tekst:

Koledzy! Nasza tymczasowa niewola nie ma nic wspólnego z kłamstwami na temat komunistycznego świata, jakie nam opowiadano. Byliśmy mile zaskoczeni uprzejmością komendantów naszego obozu. Gdy myślimy o was, nieszczęsnych kolegach taplających się w błotnistych okopach, by bronić kapitalistycznego porządku, możemy wam tylko poradzić, byście złożyli broń.

I tak dalej, i tak dalej...

Jakiś facet, który zdołał uciec z obozu w Tomwosie, udając zmarłego, wydziera się wściekłe:

— A to gnoje! Jak pomyślę, że może tylko ja nie znalazłem się w tamtej dziurze...!

Wzburzony, wyrzuca w powietrze podarty na strzępy papier.

Ruszamy w dalszą drogę. Ulotki krążą jeszcze wśród żołnierzy. Uporczywie powracają złowrogie słowa: „wojna przegrana”, „zdrada”, „miasta zrównane z ziemią”.

Tak, oczywiście, to komunistyczna propaganda. Wystarczy spojrzeć na uciekiniera z Tomwosu, by dojść do wniosku, że Ruscy kłamią. Ale niemieckie miasta widzieli też wszyscy urlopowani żołnierze. A poza tym trwa nieustanny odwrót w koszmarnych warunkach. Brakuje pojazdów, paliwa, żywności, poczty — wszystkiego. Czyżby wojna była przegrana? Nie, nie, przecież to niemożliwe!

Czujemy pod butami rosyjską równinę. Ciągłe stąpamy po rosyjskiej ziemi. A więc... a więc... Czy ciągle jeszcze należy do nas? Czy też jest może świadkiem naszej powolnej agonii?

Nie, to niemożliwe! Odejdźcie, ponure myśli, odejdźcie! To tylko jeszcze jedna przeszkoda do pokonania!

Jutro nadejdzie zaopatrzenie. Jutro zapanuje wreszcie porządek. Jutro... Jutro??

No, żołnierzu, do góry głowa! Odrzuć czarne myśli! Słońce świeci! No!!

Chłopaki donośnym głosem intonują żołnierską piosenkę:

Aufder Heide bluh ein kleines Bltimelein Und das heisst Erika

Heiss von hunderttausend kleines Bienlein Wird umschwdrmi Erika.

Halls budzi mnie już po raz drugi. To irytujące, takie wrywanie człowieka ze snu, kiedy śpi jak zabity po ciężkim dniu.

— Mówię ci, że słyhać strzelaninę! — odzywa się z naciskiem. Słucham... I nic. Jest tylko gwiazdzista, jasna noc.

— Odczep się, Halls! Nie budź mnie, kurwa, bez potrzeby! Jutro znów trzeba będzie zapierdalać. Jestem skonany.

— Odczep się, Halls! Nie budź mnie, kurwa, bez potrzeby! Jutro znów trzeba będzie zapierdalać. Jestem skonany.

— Mówię ci, że co jakiś czas słyhać strzelaninę. Zobacz, inni też się podnieśli!

Wyteżam słuch... I znowu nic. Słyszać tylko lekki wietrzyk.

— Możliwe. No i co z tego?! Pierwszy raz słyszysz strzelaninę?! Kimnij się lepiej!

— Nie mogę spać o pustym żołądku! Mam już tego dość! Muszę zdobyć coś do żarcia.

— To dlatego nie dajesz innym spać?!

Nagle ktoś do nas podchodzi: to Schlessler, który jest na warcie.

— Słyszeliście, chłopaki? To strzelanina!

— Cały czas tłumaczę to temu tumanowi! — wrzeszczy Halls, wskazując na mnie.

Choć ciągle półprzytomny, muszę słowom kolegów poświęcić nieco uwagi.

— Jeszcze by tego brakowało, żeby Iwan zaskoczył nas w tym miejscu — niepokoi się Schlessler.

— To byłby koniec z nami — dodaje Halls stłumionym głosem.

— Ale przecież możemy się bronić! — zauważa jakiś chłopak, który podszedł do nas.

— Bronić się?! — protestuje Halls przerażająco rzeczowym tonem. — Czym?! Kilka setek wycieńczonych z głodu chłopaków ma tylko lekką broń! Żartujesz chyba! Mówię wam, to byłby koniec z nami. Nie mamy nawet siły uciekać.

Kolejny przybyły nie żartował. Był to Kellermann, dwudziestoletni chłopak o umyśle dojrzałego mężczyzny, oceniający trzeźwo sytuację. Jego poważna, mimo młodego wieku, twarz zdradzała wyraźny niepokój.

I rzeczywiście: wiatr przynosił ledwie słyszalne, bardzo dalekie odgłosy kanonady.

Popatrzyliśmy na siebie. Odgłosy to milkły, to odzywały się na nowo.

— To salwy artyleryjskie — stwierdził Schlessler. Zapadła cisza.

Ja również, podobnie jak koledzy, słyszałem kanonadę, ale powalające mnie z nóg zmęczenie sprawiało, że cierpiałem niemal na rozdwojenie jaźni. Nie wiedziałem już, co jest snem, a co jawą. Wydawało mi się, że w głębokim śnie słyszę jakby zagubione w czasie salwy artyleryjskie. Koledzy zaczęli rozmawiać. Słuchałem ich bezwiednie. Wydawało mi się, że słyszę rozważania feldfebla Sperlovskiego, który również podszedł do nas:

— To daleko — mówił. — Bardzo daleko. Ale to jednak front. Na pewno. Dotrzemy tam za dzień, może za półtora.

— Czyli godzinę, dwie jazdy samochodem? — odezwał się Halls. Sperlovski spojrzał na niego:

— Tak ci tam spieszo? Pewnie martwisz się, że nie jesteśmy już tak zwanym oddziałem zmotoryzowanym.

— Nie o to mi chodzi! — oburzył się Halls. — Miałem na myśli Ruskich. Oni na pewno mają paliwo iczołgi. Jak ruszą, to w tym właśnie czasie możemy mieć ich na karku.

Sperlovski oddalił się bez jednego słowa. Czy on, podoficer z dywizji „Gross Deutschland”, mógł sobie pozwolić na chwilę zwątpienia?

— Idźmy spać! — rzucił Kellermann. — Nie mamy nic innego do roboty.

— Zachęcająca perspektywa! — odezwałem się, nie mogąc powstrzymać się od tej kąśliwej uwagi. — Przypominamy zwierzęta w rzeźni, co tylko czekają na świt i rzeźników.

— Mamy zdechnąć z pustym brzuchem?! — odezwał się wściekłym tonem Halls.

Mimo strachu i niewygody spaliśmy aż do rana, co dla zorganizowanych cywili oznacza środek nocy.

Tutaj nie słyszeliśmy ani dzwonek, ani trąbki sygnałowej, ani nawet gwizdków.

Wystarczyła cicha krzątanina dowódców drużyn, by zerwać nas z głębokiego, lecz jednocześnie czujnego snu. Oddziały frontowe zbliżające się do rejonu operacyjnego powinny przemieszczać się nocą albo w ciągu pochmurnego dnia, aby nie zlokalizował ich nieprzyjaciel. Znajdująca się w stanie agonalnym, lecz zdyscyplinowana niemiecka armia, nawet na skraju przepaści nie straciła żołnierskiego ducha: chłopaki wstawali o regulaminowej porze, karnie podążając ku polu chwały.

Regulamin nie precyzuje jednak, czy dotyczy to także żołnierzy pozbawionych żywności. W

każdym razie nadmieniam, że wszystko, co tylko da się zrobić, należy wykonać, i to jak najlepiej. Zegar z jednakową prędkością odmierza czas zarówno dla biedaków, jak i dla miliarderów. To samo dotyczy niedożywionych.

W bladym świetle wstającego dnia pojawiają się chłopaki w szarych, zniszczonych mundurach. Znajome postacie, które widuję już prawie od dwóch lat, maszerują wraz ze mną wspólnym rytmem przywodzącym na myśl owe pamiętne, wzniosłe chwile, jakie na zawsze pozostaną w mej pamięci. Wystarczy tylko, bym powrócił myślami do tamtych czasów, a z jakąż wyrazistością widzę nieistotne przecież szczegóły. W niewyraźnym świetle poranka rysują się profile kolegów, ich nieco za obszerne spodnie z nogawkami byle jak wsuniętymi w buty, pasy zdeformowane od przeciążenia, hełmy zwisające gdzieś między ekwipunkiem, nieustannie stukające o inny metalowy przedmiot. Ten matowy, głuchy odgłos przypomina dźwięk ukrytego dzwonu. Czuję zapachy; widzę żołnierskie plecy, tysiące pleców o najrozmaitszych kształtach. Wszystkie one mają coś niepowtarzalnego. Robią się na nich zmarszczki w różnych miejscach. Anonimowy niemiecki żołnierz jest dla nas kimś konkretnym, indywidualnym. Każdy z nich jest inny. Na żaden inny mundur nie patrzy się tak wnikliwie jak na mundur niemiecki: jest on ucieleśnieniem żołnierza, absolutnego wojownika, a nie

odzianego w wojskowy strój cywila. Reszta świata widzi tylko Szkopów w mundurach, niczym się nie różniących. Dla nas słowo „kolega”, oznaczające żołnierza takiego samego jak każdy inny, jest już nieaktualne. Mundur i nazwa pozostają, ale za nimi kryją się najróżniejsze charaktery.

Tamte plecy, o tej samej barwie co kilka milionów innych, to plecy nie byle kogo. To plecy Schlessera. A te bardziej z przodu, na prawo, to plecy Sólmy. Blżej jest Lensen, a także jego hełm. To j e g o hełm; nie da się go porównać ze stu czy nawet dwustu tysiącami innych, wyprodukowanych w ramach tej samej serii. Jest też Prinz i Halls, jest Lindberg, Kellermann, Frósch... Fróscha można rozpoznać wśród miliona innych. Ta bezimienna masa kryje osobowość każdego z nas. Podobnie było chyba na początku świata, kiedy rodzaj ludzki składał się z nagich, jednolitych osobników.

Wszystkie hełmy mają jednakową, matową barwę. Jest to szaro-zielono--błękitny odcień. Jednak żaden z nich nie utrzymuje się w danej chwili w takiej samej pozycji, pod takim samym kątem co inny. Każdy z nich różni się czymś od pozostałych. Jedyne, co nie da się precyzyjnie określić, to lęk, który udziela się każdemu. Lęk pozbawionych wszystkiego żołnierzy, z każdym krokiem zbliżających się ku nieodgadnionemu niebezpieczeństwu; to także nasze przygnębienie, to wreszcie stłumione gdzieś, ale rozpaczliwe pragnienie życia. Poza tymi trzema rzeczami wszystko inne ma swe indywidualne cechy osobowe. Te jednak są widoczne tylko dla nas. Dla innych jesteśmy takimi samymi Szkopami jak miliony naszych żołnierzy.

Dostrzegliśmy ich pół kilometra przed nami. Całe ich mrowie kłębiło się wokół trzech czy czterech naszych pojazdów, które w oczekiwaniu na nas zatrzymały się. Było ich co najmniej dziesięć tysięcy. Dziesięć tysięcy ludzi — cóż to jest na nie kończącej się ukraińskiej równinie? Jest to jednak znacząca liczba. Tak — było tam dziesięć, a może i dwanaście tysięcy niemieckich żołnierzy w opłakanym stanie. Osaczyli nasze nędzne ciężarówki, myszkując w nich, zaglądnijac w każdy kąt w poszukiwaniu jakichkolwiek leków czy żywności. Rzucili się jak hieny na nasze pojazdy, jak gdyby chcąc powetować sobie chwilę niedoli. Gdy jednak zobaczyli, że są puste, popadli w otępienie bliskie samobójstwu. Nieszczęśni żołnierze, wywodzący się z różnych pułków piechoty, już od wielu dni wycofywali się, walcząc z bezlitosnym przeciwnikiem. Ten bawił się z nimi w kotka i myszkę, masakrując ich, kiedy tylko nachodziła go ochota. Chłopaki o trupiobladych twarzach tak wiele już wycierpieli, a teraz szli pieszo, w łachmanach, wlokąc cuchnących rannych na plecionkach z gałęzi, jak czynili to Siuksowie.

Żołnierze ci, uświęceni niemal bezmiarem goryczy, nie walczyli już dla żadnych ziemskich idei. Walczyli, kierując się tylko zwierzęcym instynktem, niczym oszalałe z głodu wilki. Przeciwwstawienie się ich jedynej już i ostatniej racji życia oznaczało wystawienie na szwank własnego. Ludzie ci, dla których nie istniał już ani nie-przyjaciel, ani przyjaciel, gotowi byli zabijać nawet dla jednej czwartej porcji obiadowej. Udowodnili to, niestety, kilka dni później, w tym tragicznym etapie wojny podjazdowej. Męczennicy głodu dokonali masakry mieszkańców dwóch wiosek, by zdobyć coś do jedzenia. Mimo to, na skutek skrajnego wyczerpania, umarło około trzydziestu żołnierzy niedaleko granicy rumuńskiej.

Nasze rozgoryczenie, spowodowane widokiem żołnierzy frontowych w takim stanie, było tak wielkie jak ich rozczarowanie, kiedy stwierdzili naszą nędzę.

— Dokąd idziecie? — spytał kpiącym tonem wysoki, wychudły porucznik w powiewających dziwnych łachmanach, mających już niewiele wspólnego z mundurem wojskowym. Oficer zwrócił się do porucznika z naszego plutonu, dowodzącego po śmierci kapitana Wesreidaua naszą grupą. Dowódca zaczął szczegółowo opisywać wyznaczoną nam pozycję, podając jakieś nazwy, numery, współrzędne geograficzne... Tamten słuchał go, chwiejąc się, wyprostowany, jak martwe drzewo na wietrze.

— O czym wy mówicie? Jaki sektor? Jaka współrzędna? Śnicie, czy co?! Nie ma już nic! Rozumiecie?! Nie! Są tylko nędzne mogiły, rozwalone przez wichury...

Mówiący te słowa wysoki brunet, na popalonej i niesamowicie poplamionej bluzie nosił jeszcze pamiątkową odznakę narodowosocjalistyczną z 1935 roku. U jego pasa zwiisała okazała wiązka granatów.

— Ależ kolego, nie mówicie poważnie! — zaoponował nasz porucznik. — Przeżywacie ciężkie chwile i straciliście głowę. Cierpicie głód. Nam też udaje się to wszystko tylko jakimś cudem przeżyć.

Tamten podszedł bliżej. Oczy błyszczały mu tak niepokojąco i złowrogo, że człowiek chętnie by go zabił jak niebezpieczne zwierzę.

— Tak! Jestem głodny! — ryknął. — Czuję taki głód, jakiego Ewangelia nie byłaby w stanie opisać. Jestem głodny, wszystko mnie boli, boję się, ale tym bardziej chcę żyć, aby zemścić się na wszystkich ludziach. Mam ochotę pożreć was, poruczniku. I tak będzie. Pod Stalingradem były wypadki ludo-żerstwa. To samo wkrótce stanie się tutaj.

— Oszaleliście! W najgorszym razie można wcinać trawę. A poza tym na zajętych jeszcze przez nas terenach są zapasy dla wojska! Na Boga! Odwagi! Wycofujcie się! Oślonimy was. Rozmówca parsknął śmiechem przypominającym raczej czkawkę. — Oślonicie nas! Możemy iść spokojnie! Powiedzcie to tym ludziom! Mają już pięć miesięcy wojaczki na karku, stracili cztery piąte swych kolegów, czekali na posiłki, amunicję, witaminy, żywność, leki i Bóg wie co jeszcze! Czekali już tysiąc razy i udało im się przeżyć też tysiąc razy. Już żadne słowa do nich nie dotrą. Spróbujcie, poruczniku...

Musieliśmy wziąć na plecy część sprzętu ze zdezelowanych pojazdów, nędznych resztek naszych trzech kompanii zmotoryzowanych. Zajęli w nich miejsca wycofujący się w rozsypce ciężko ranni żołnierze piechoty. Odjeżdżające ciężarówki minęły pozostałych żołnierzy, stojących nieruchomo na ukraińskim stepie. Spoglądali na oddalające się samochody, zazdroszcząc w duchu rannym kolegom, którym może uda się uciec przed unicestwiającą wszystko po drodze rosyjską nawałnicą.

Różnorodne wojsko, tworzące mieszaninę rozmaitych oddziałów, kontynuowało odwrót. Był to bezsensowny marsz do nikąd. Zdawało nam się, że drepczemy po znikającym pod stopami ogromnym ruchomym chodniku, znajdując się ciągle w tym samym miejscu. Ile minęło godzin, dni, nocy? Straciłem już rachubę. Maszerująca kolumna rozciągnęła się w szereg grup. Niektórzy żołnierze pozostawali daleko z tyłu — spali. Nie reagowali ani na rozkazy, ani na groźby. Inne niewielkie gromadki — można powiedzieć twardzieli albo może tych, co

mieli jeszcze coś do jedzenia, a więc mogli wytrzymać trudy marszu — ciągnęły szybko do przodu. Były też wypadki samobójstwa, mnóstwo samobójstw. Ograbiono dwie wioski ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia. Ludzi masakrowano. Zabijano, by zdobyć litr koziego mleka, kilka ziemniaków, funt prosa. Wygłodniałe, osaczone wilki nie mają czasu na długie dyskusje.

Jednak nawet wśród wilków zdarzali się jeszcze ludzie. Ludzie w niemieckich mundurach ginęli, usiłując nie dopuścić do tego, by w ręce rozszalałych żołnierzy wpadła puszka zsiadłego mleka — żelazna rezerwa przeznaczona dla dwojga niemowląt. Innych zabili towarzysze-broni za to, że buntowali się przeciw całemu temu okrucieństwu zrodzonemu przez głód. Jeszcze inni zostali pobici na śmierć, gdyż koledzy podejrzewali ich o ukrywanie żywności w plecakach, lecz kiedy je otworzyli, przekonali się, że są puste. Wyjątkiem okazał się plecak jakiegoś Austriaka, który zmarł od kopniaka w głowę. Na jego dnie znaleziono dwie garście okruszyn po sucharach witaminizowanych. Była to chyba zdobycz ze splądrowanych toreb zaopatrzeniowych w jakiejś nie działającej już od tygodni intendenturze. Wystarczyła błahy powód, by zabito człowieka, i to bez różnicy, czy przeżyło się dzionek o suchym pysku, czy też nie. Kiedy wszystko już zostało zjedzone, włącznie z ostatnimi kiełkami pochodzącymi z nędznych ogrodów, dwanaście tysięcy żołnierzy zauważyło, że są sami w wiosce opuszczonej przez przerażonych mieszkańców.

Tu i ówdzie snuły się żywe trupy, będąc świadkiem tragicznego końca własnej egzystencji. Dwanaście tysięcy żołnierzy spoglądało na kompletną nędzę, usiłując wyjaśnić sobie przeszłość, by lepiej zrozumieć przyszłość. Tkwili tak aż do zmierzchu, kiedy to do wioski przyjechały trzy, a może cztery pojazdy z przednich straży sowieckiej armii. Rusczy częstowali kulami tych, co nie mieli siły uciekać.

Pojazdy zawróciły, a oszalałe ze strachu wilki rozproszyły się po stepie.

Uciekali wszyscy. Zdesperowani żołnierze udawali się na zachód. Zachód przyciągał ich tak jak północ przyciąga igłę kompasu. Przepadali bez śladu, pochłonięci przez step. Pozostały tylko niewielkie grupy idące uparcie ku tak bliskiej przecież, a ciągle nieosiągalnej, granicy rumuńskiej. Szedłem w dziewięcioosobowej gromadce. Był tam Halls i ja, nieodłączni towarzysze — Sperlovski, Frósch, Prinz, jeden dość już stary facet, nazwiskiem Siemenleis, (przed wojną musiał być chyba nieprzekupnym urzędnikiem), wreszcie trzech służących w Wehrmachcie Węgrów, z którymi wszelka dyskusja była niemożliwa. Czy byli to ochotnicy, czy też wcieleni do armii na tych samych zasadach co ja? Tego nie wiedział nikt. W każdym razie patrzyli na nas wzrokiem pełnym gorczy i wyrzutów, jakby chcieli nam dać do zrozumienia, że to właśnie my ponosimy odpowiedzialność za awanturniczą politykę III Rzeszy, do której zostali wciągnięci. Uczepili się nas jak ostatniej deski ratunku, mając nadzieję, że dotrą w końcu do dalekiego rodzinnego domu, by tłumaczyć się ze swych czynów.

Mijaliśmy jakieś zagajniki, a może żywopłoty; widziałem wszystko jak w pijackim śnie. Potem była wielka, bardzo wielka łąka. Mieliśmy zamiar tamtędy przejść. Na wzniesieniu dostrzegliśmy jakieś budynki. Postanowiliśmy zobaczyć, czy znajdzie się tam coś do jedzenia.

Gdy byliśmy w połowie drogi, usłyszeliśmy warkot samolotów. Zadarliśmy nosy do góry. Były to dwa Jabo, krążące w poszukiwaniu jakiejś zdobyczy.

Siedmiu z nas znieruchomiało na tym olbrzymim trawniku, wtapiając się w otoczenie. Dwóch zaczęło biec: Frósch i ja.

Tak jak osaczone zwierzęta, koledzy myśleli tylko o sobie, nie ostrzegając nas, że jesteśmy lekkomyślni.

Nasza bezładna bieganina nie uszła uwagi sowieckich pilotów; skierowali swe maszyny ku dwóm zielonym pasikonikom. Choć została z nas już tylko skóra i kości, dla Rosjan stanowiliśmy oczywiście niejaki zagrożenie, które należało wyeliminować.

Gdy warkot samolotów potężniał coraz bardziej, rzuciliśmy się instynktownie w bujną trawę. Seria pocisków przeleciała nad głowami, spadając daleko przed nami. Gdy wynurzyliśmy twarze z trawy, zobaczyliśmy tych dwóch skurwieli, jak wykonują piękną arabeskę na czarno-błękitnym, burzowym letnim niebie. Sapiąc ciężko, rzuciliśmy się znowu do rozpaczliwego sprintu. Biegliśmy, dopóki atakujące sępy po raz drugi nie zbliżyły się z ogłuszającym wyciem. Jeszcze dwukrotnie rozrywały ziemię dwadzieścia--trzydzieści metrów od nas. Gieroję dla zabawy po raz czwarty rzucili się na przerażone i złane potem pasikoniki. Cudem dobiegliśmy do jakiegoś zbawczego rowu.

Wyraźnie słyszeliśmy, choć nie mogliśmy tego widzieć, jak bolszewicy wystrzelują pociski rakietowe. W pobliżu rowu wytrysnęły w górę dwie zbite ściany ziemi. Koledzy myśleli, że już po nas. Ruscy zawrócili jeszcze raz, po czym odlecieli, przekonani, że położyli kres naszym wędrówkom. Kiedy wynurzyliśmy się z kłębow kurzu, chłopaki wznieśli okrzyki radości i zdziwienia.

W gospodarstwie, opuszczonym przez miejscowych kwadrans przed naszym przybyciem, znaleźliśmy wiadro pełne dymiących bulw. Naumyślnie je tam zostawili. Ruszyliśmy dalej, zażerając się tym smakołykiem. Jeszcze dwukrotnie domagaliśmy się od Rosjan kartofli, przykładając im do brzucha broń. Dwa dni później spotkaliśmy niekończącą się kolumnę wojska wycofującego się do Rumunii. Z miejsca dołączyliśmy do tych oddziałów.

A później poznaliśmy Rumunię i jej, zaskoczonych biegiem wydarzeń, mieszkańców. Przerażeni ludzie patrzyli na powracającą w nieładzie rumuńską armię i nędzne resztki potężnego niegdyś Wehrmachtu.

Ludność cywilna wpadła w panikę. Działali partyzanci rumuńscy i inni, trwały codzienne naloty lotnicze, przemieszczały się grupy dostawcze. Wycofujących się żołnierzy oblegały gromady rumuńskich kurew. Można by sądzić, że większość mieszkańców to dziwki. Dziennie pokonywaliśmy pieszo trzydzieści, czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt kilometrów. Ile wylało się potu, jak wielka była nasza gorycz... Kiedy bolały nogi, zdejmowaliśmy buty i szliśmy boso w kurzawie wąskich, krętych dróg. Następnie znów zakładaliśmy obuwie, a potem jeszcze raz obnażaliśmy krwawiące stopy... Puste żołądki burczały. Były rabunki, reorganizacje jednostek... Istny burdel na kółkach. Żandarmeria wojskowa jak zawsze miotała się wściekle, by zaprowadzić regulaminowy porządek, stwarzając pozory nieistniejącej już w jej szeregach dyscypliny. Ileż drobiazgów widzę dziś tylko jak za mgłą, ileż szczegółów zostało zapomnianych... Był to wyczerpujący, niekończący się marsz donikąd. Mam jeszcze przed oczyma jakieś okrężne trasy, nieokreślone miejsca nie mające zresztą większego znaczenia w opisie tej wojennej historii, nazwy jakichś krajów, wiosek, nazwiska i imiona kobiet i mężczyzn. Wszystko to kojarzyło się z naszą rozpaczliwą, beznadziejną ucieczką. Ludzie zamienieni w wilki przemierzają niespokojny kraj. A wygłodniałe zwierzęta walczą tylko o byt.

W tych dramatycznych dniach miał miejsce zabawny incydent. Właściwie ukazuje on cały tragizm tamtych wydarzeń. Jeszcze dziś jest on dla mnie symbolem szaleńczej ludzkiej zachłanności.

Zdarzyło się to w terenie górzystym, nieopodal miejscowości Reghin, przez którą niedawno przeszliśmy, a która wtedy nazywała się Arlau albo Erlau. Ciągnęliśmy pieszo, złani potem i niemiłosiernie umorusani od kurzu. Cudem uniknęliśmy kilkakrotnych przegrupowań prowizorycznych oddziałów. Nasza nędzna, niekończąca się kolumna podążała krętymi serpentykami w zdającym się nie mieć końca rejonie górskim. Zdążyła się rozczłonkować na szereg mniejszych lub większych grup. Idące w łachmanach wojsko pchało i ciągnęło najprzeróżniejsze wozy i wózki załadowane naj-niezbędniejszym sprzętem.

Znajdowały się tam najbardziej nieprawdopodobne pojazdy. Szczęściarze, którym udało się znaleźć jakiś rower, choćby i bez opon, wyróżniali się w całym tym kuśtykającym tłumie.

Wysforowali się dumnie do przodu,

zgarbiając przed nami wszystko, co mogło nadawać się do jedzenia. Nieprzyjacielskie lotnictwo zostawiło nas w spokoju, gdyż szczyty i przepaście uniemożliwiały powietrzne manewry. Za to partyzanci mogli na tych terenach poszaleć, ile wlezie. Co jakiś czas atakowali bez litości karne niegdyś oddziały, które teraz miały przynajmniej większą niezależność, bo były się tylko o własną skórę.

Wśród niezliczonych grup wyróżniała się jedna gromadka żołnierzy w dziwacznych strojach: chłopaki zdążali ku ukochanej Ojczyźnie. W głębi ich wielkich, ciemnych oczodołów widać było ponure błyski; tylko jedna myśl pozwalała im przeżyć ten obłądny marsz.

Mieli nadzieję, że jeśli uda im się wyjść cało z tych niezliczonych niebezpieczeństw, Ojczyzna-Matka przyjmie ich na swe łono, pocieszy i sprawi, że zniknie wreszcie cały ten niewyobrażalny koszmar. Mieli także nadzieję, że kiedy powrócą do domów, wojna już się skończy, a skutkiem jej będzie w najgorszym wypadku taki układ granic, który nie zagrozi niemieckiej jedności i którego nikt nie ośmieli się naruszyć.

Żyli tą nierealną, jak się w końcu okazało, nadzieją, ale przecież trzeba było rozpaczliwie w coś wierzyć, aby widzieć sens owej drogi krzyżowej, aby nie myśleć, jak niektórzy, o samobójstwie.

Tej właśnie nadziei uczepili się jeszcze wczorajsi żołnierze walczący w elitarnych jednostkach, bohaterscy grenadierzy pancerni tysiące razy ocierający się o śmierć, by w końcu żyć już tylko iluzjami. Trzeba było żyć, aby mieć nadzieję i mieć niezłomną nadzieję, by egzystować w takich warunkach. Aby przeżyć, trzeba było codziennie bić się z partyzantami przygotowującymi nieoczekiwane zasadzki i iść, iść naprzód za wszelką cenę, żeby uciec czerwonoarmiejcom, których oddech czuliśmy na plecach. Trzeba też było zdobywać cokolwiek do jedzenia, a nie było to łatwe!

Grupka, o której wspominałem, liczyła dwanaście osób o swojsko brzmiących nazwiskach. Znow widzę tam Schlessera, Fróscha, porucznika idącego kilka metrów przede mną... Halls szedł często z przodu, dzięki czemu byłem dość spokojny. Miałem przecież przed sobą tego potężnego mężczyznę, dziś już niestety mocno zgrzybiałego. Halls maszerował obnażony do pasa. Przez tułów przewiesił skórzany pas, a na piersi zwisała mu taśma z nabojami do kaemu. Na ramieniu nosił skórzaną torbę ze skromnym dobytkiem i trzema albo czterema granatami obronnymi. Przez torbę przerzucił bolszewicką bluzę na wypadek chłodnych w tym rejonie wieczorów. Ciężki stalowy hełm tak mocno nacisnął na głowę, że chyba zmiażdżył ciężarem metalu harcujące w brudnych włosach wszy.

Wielu wyrzuciło już wcześniej te ciężkie nakrycia głowy, Halls jednak uważał, że hełm jest ostatnią rzeczą identyfikującą go z niemiecką armią i że na przekór wszystkiemu trzeba w tych ciężkich chwilach być raczej żołnierzem niż łachudrą. Solidaryzując się z nim, również niosłem swój hełm, przypięty do pasa.

Nagle ktoś idący na czele krzyknął, byśmy szybko podeszli do przodu. Dwanaście głów zaczęło wpatrywać się w zarośnięty wąwóz, gdzie leżał pokryty maskującymi barwami pojazd z napisem WH. Lensen ześlizgnął się na dół, by obejrzeć to z bliska.

— To może być pułapka! — ktoś krzyknął.

Do Lensena dołączył porucznik Wollers. Cofnęliśmy się, sądząc, że ten wywrócony samochód zaminowali partyzanci i za chwilę zobaczymy, jak obaj koledzy, wylatują w powietrze. Nagle z głębin parowu doleciały do nas uspokajające słowa:

— Ale gratka! Mein Gott! Cała intendentura się tu wypierdoliła!

Nie musieli nic dodawać, by wszyscy rzucili się do opatrnościowego wąwozu.

— Popatrzcie na to! Czekolada, papierosy... i kiełbasa!

— Wielki Boże! Tu są trzy butelczyny...

— Stulcie pyski! — krzyknął Schlessler. — Za chwilę do tej dziury zwali się cała armia! To cud, że ci z przodu nic nie zauważyli.

— O la la! Same dobre rzeczy! — rozczulał się Frósch. — Zabieramy wszystko i dzielimy po

drodze! Ruszać się tam!

Frósch i jeszcze jakiś facet zabrali, ile tylko mogli, po czym wygramolili się z dołu, by stać na czatach. Za nami szły jeszcze tysiące ludzi, a przecież trzeba było wszystko zabrać.

Kończyliśmy już się obławiać, gdy nagle nasi dwaj wartownicy krzyknęli: Achtung!

Daliśmy nura w pobliskie zarośla. Usłyszeliśmy daleki warkot jadącego motocykla. Warkot przycichł. Zdawało nam się, że pojazd zawrócił w miejscu. Zaczęliśmy zmykać osypiskiem skalnym pokrytym ciernistymi krzewami, trzymając gorączkowo bezcenną zdobycz. Byliśmy przyzwyczajeni do szybkiego wycofywania się i doskonale potrafiliśmy ukrywać się w terenie. Mimo to jakieś niedyskretne oczy zainteresowały się naszym niepewnym losem. Usłyszeliśmy krzyki podoficerów, a to oznaczało, że obu kolegów dopadł patrol wojskowy. Może nawet była to żandarmeria polowa.

— Ci frajerzy dali się złapać z butelkami pod pachą! — mruknął Wollers.

— Spierdalamy! — zasugerował Lindberg, który też się tu znalazł.

— Jakiś facet schodzi do dziury! — syknął Lensen. — To żandarm. Widziałem błyszczącą tabliczkę.

— Jasna cholera! Dalej! Wiejemy!

Rzuciliśmy się do ucieczki w myśl zasady: ratuj się, kto może. Rozbiegliśmy się w sprzyjającym nam na szczęście terenie, zapieprzając tak, jakby atakujący Iwan był tuż tuż. Zeszliśmy się dopiero pięćset albo i sześćset metrów dalej, schowani za skalną ścianą.

— Nie mam zamiaru dalej wylewać potu przez tych gnojów! — krzyknął Halls. — Jak nas tu złapią, biorę to na siebie.

— Nie bądź idiotą! — rzekł niespokojnie Lindberg. — Nie bądź idiotą! Co oni mogą nam zrobić?

— Stul pysk! — warknął mój wielgachny kumpel. — W każdym razie ty prędzej zdechniesz, niż zobaczysz swoją wioszczyne! Już Iwan cię dopadnie. Pomyśl raczej o Fróschu i tym drugim, co wpadli.

— Wpieprzajcie, jak jesteście głodni — zaproponował Wollers. — Mam dość dowodzenia, pocenia się i srania w pory ze strachu. Wpierdalajcie! Jeżeli już mamy zdechnąć, lepiej od razu wszystko to zeżreć.

Jak osaczone zwierzęta rozerwaliśmy puszki konserw. Wcinaliśmy też inne smakołyki, mlaskając głośno.

— Wszystko trzeba wpierdolić — odezwał się Lensen. — Jak nas przyłapią z żarciem w plecaku, co nie pochodzi z przydziału, ani chybi pójdziemy pod sąd.

— Jasne. Trzeba wszystko wpierdolić. Przecież nie rozprują nam brzucha, by sprawdzić, cośmy żarli. Ale te kurewskie gliny mogą grzebać w naszym gównie, żeby sprawdzić jego skład.

I tak przez całą godzinę opychaliśmy się tym wszystkim, aż w końcu zaczęliśmy rzygać.

Kiedy zapadła noc, odważyliśmy się powrócić na trasę okrężną drogą. Najpierw zgrzytnęły na piaszczystym szlaku buty Lensena.

— Chodźcie! Droga wolna.

Pokonaliśmy ze trzysta czy czterysta metrów, po czym minęliśmy parów, gdzie przed kilkoma godzinami znaleźliśmy to wszystko, z czego zrobiliśmy sobie wyżerkę, w wyniku której nasze wygłodzone żołądki zostały całkowicie zapchane. Wokół nie było żywego ducha. Przeszliśmy jeszcze ze dwa, trzy kilometry; w końcu usiedliśmy ciężko na poboczu drogi.

— O Jezu! Ja już nie mogę! — mruknął Schlessler. — Odzwyczailiśmy się od normalnego jedzenia. Widzicie, co się dzieje.

— Spędzimy tu noc — zaproponował jakiś chłopak. — To ułatwi trawienie.

O drugiej w nocy obudziła nas przechodząca w pobliżu spora gromada wycofujących się żołnierzy.

— W drogę! Maruderzy! — wrzasnął jakiś stary feldfel. — W drogę, bo inaczej Iwan

będzie w Berlinie przed nami!

Szliśmy dalej. Chłopaki zdobyli dużo wozów z końmi, toteż przez jakiś czas mogliśmy korzystać z tego prymitywnego środka lokomocji. O świcie podeszliśmy pod wioskę znajdującą się na zboczu góry. Jacyś mężczyźni myli się energicznie w czymś w rodzaju zbiornika z lodowatą wodą. Inni drzemali pod murami albo u stóp pagórków. Idący na przedzie żołnierze podjęli dalszy marsz, niezmordowanie zdążając ku zbawiennemu zachodowi, ku Matce-Ojczyźnie, która czekała na nich nie wiadomo jak bardzo już wyczerpana. A potem było drzewo. Drzewo rosnące majestatycznie na tych zagubionych terenach. Drzewo, którego potężne konary zdawały się podtrzymywać niebo. Na jego gałęziach zawieszono były dwa worki, jakby dwa puste strachy na wróble. Umocowane na dwóch krótkich linach obracały się powoli. Przechodziliśmy pod kilkusetletnim liściastym sklepieniem rozpostartym nad drogą i pod dwoma przedmiotami poruszonymi przez lekki wiatr. Zauważyliśmy dwie zszarzałe i bezkrwiste twarze powieszonych żołnierzy. Rozpoznaliśmy nieszczęsnego Fróscha i jego towarzysza.

— Nie przejmuj się, Frósch! — mruknął Halls. — Wszystko zdążyliśmy wpierdolić.

Lindberg ukrył twarz w dłoniach. Płakał. Z trudnością przeczytałem zdanie nagryzmołone na tabliczce przymocowanej do zmaltretowanej szyi Fróscha:

Jestem rabusiem i zdrajcą Ojczyzny.

W oddali dostrzeżliśmy z dziesięciu żandarmów w regulaminowych ubiorach. Stali obok motocykla z przyczepą i volkswagena. Nasze spojrzenia skrzyżowały się...

CZEŚĆ PIĄTA

KONIEC

Jesień 1944 — wiosna 1945

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Z Polski do Prus Wschodnich Volkssturm Inwazja

Któregoś wrześniowego poranka znaleźliśmy się na dziedzińcu jakiegoś dużego gospodarstwa, gdzieś na południu Polski. Po przejściu niezliczonych męczarni patrzyliśmy nieprzytomnymi, obojętnymi oczami na panującą wokół nas krzątaninę. Do głuchych na wszystko uszu dochodziły jakieś słowa stojącego nieopodal oficera wygłaszającego mowę, a może omawiającego aktualną sytuację. Spoglądaliśmy w niebo, aby nie myśleć o ziemi — ojczyźnie rodzaju ludzkiego. Z tego letargu mogła nas wyrwać tylko jakaś eksplozja albo w ostateczności gwizdek feldfebla.

Ale zastaliśmy tu przynajmniej pozory jakiejś organizacji, co pomagało odzyskać choć trochę sił i podbudować morale.

Front Południowy przesunął się w tak szybkim tempie, że Rumunia była już chyba w rękach Sowietów. Niedługo przyjdzie się nam bić na Węgrzech, w rejonie Kecskemet, a później Budapesztu.

Przemawiający cały czas oficer pieprzył coś o kontrofensywie, przejęciu inicjatywy, przegrupowaniu wojsk, a nawet o zwycięstwie. To ostatnie słowo dla nikogo nie miało już najmniejszego sensu. Jeżeli nie mogliśmy sobie wyobrazić przyszłej klęski, tym bardziej nie mieliśmy nadziei na zwycięstwo. Wiedzieliśmy, że gdzieś jeszcze trzeba będzie zaciekle się bronić na wyznaczonych i przygotowanych pozycjach, ale nie łudziliśmy się, że zdołamy

powstrzymać nieprzyjaciela przed granicami Niemiec.

Pomimo katastrofalnej sytuacji, mimo desperacji i rozgoryczenia, wiedzieliśmy, że nie można całkowicie upaść na duchu. Tak naprawdę nie byliśmy w stanie wyobrazić sobie przyszłej klęski. Jeszcze dziś ci, co walczyli o Niemcy, z wielkim trudem akceptują obecny stan rzeczy. Chociaż nadzieja

towarzyszyła nam nieustannie, czasami czuliśmy się niezdolni do dalszej walki. Odpoczynek, urlopy, były dla wszystkich absolutną koniecznością. Czasem można było odnieść wrażenie, że po tych będących u kresu wytrzymałości, ledwo zipiących na wiejskim podwórzu, żołnierzach niczego już nie można się spodziewać.

— Generał Friessner utrzymał się na Froncie Południowym — wykrzykiwał oficer. — Oddziały zostaną przegrupowane i wzmocnione znacznymi posiłkami. Nieprzyjaciel nie może się dalej posunąć! Wy mu w tym przeszkodzicie!

I znów dzielono nas na drużyny, kompanie, pułki... Załadowano nas na ciężarówki, bo w rejonie tym było chyba jeszcze paliwo. Nas, czyli żołnierzy z dywizji „Gross Deutschland”, skierowano na północ. Byliśmy zresztą bardzo zdziwieni, że znajdujemy się na południowym odcinku, ponieważ nasza dywizja, czy raczej jej resztki, działały w ramach Grupy Armii „Środek”, a nawet Grupy Armii „Północ”, gdyż oba te zdziesiątkowane ugrupowania połączyły się w końcu.

Z ciężarówek przesiedliśmy się do pociągu, czekającego na nas na pojedynczych torach, w świerkowym lesie. Nie było tam żadnej stacji. Był to niekończący się skład złożony z najrozmaitszych wagonów. Wraz z kolegami znalazłem się na odkrytej platformie, podobnej do tej, jaka dawno temu wiozła nas z tej samej Polski do Rosji. Dziś, boję się, że nikt by tam nie chciał jechać. W kraju tym nie było już dla nas miejsca. Dzisiaj pociąg jedzie na północ. Jedzie powoli i ostrożnie. Tory mogą być zaminowane, a na niebie czyhają liczne niebezpieczeństwa. Dojechaliśmy aż do Łodzi, gdzie byłem świadkiem zadziwiających rzeczy.

Spędziliśmy tam około trzydziestu godzin. Ponieważ niedaleko był front, w Łodzi, podobnie jak w innych miastach leżących w rejonie operacyjnym, panował nieopisany rwetes i krzątanina. Tak jak na południu, prze-grupowywano i reorganizowano oddziały. Ze stanu osobowego skreślano trzydzieści, czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt nazwisk, kiedy przekonano się, jaka jest faktyczna liczebność zdziesiątkowanych oddziałów. Zdarzało się, że uznani za zaginionych, skreśleni już z listy, pojawiali się nagle, wskrzeszeni jakimś cudem. Również dywizja „Gross Deutschland” miała swój sztab przegrupowania. Mieścił się on w pomieszczeniach cukierni pozbawionej jakiegokolwiek towaru, w przyległej stróżówce i w przedłużeniu obszernego korytarza. Nad nienaruszonym wejściem, gdzie stało dwóch wartowników w regulaminowych mundurach, widniały wielkie, starannie wypisane czarną farbą na białym tle litery, a także stylizowany biały hełm.

— Gross Deutschland Division — mruknął Lensen. — To tu.

Już od półtorej godziny błądziliśmy po niemal całkowicie opuszczonym przez cywili mieście w poszukiwaniu sztabu przegrupowania. Dyżurującemu oficerowi porucznik Wollers przedstawił listę towarzyszących mu żoł-

nierzy wraz z numerami kompanii, pułków, a nawet drużyn. Było nas około dwustu.

— Oto lista moich ludzi, Hen Hauptmann.

— Chyba jakichś Ruskich mi przyprowadzacie, Hen Leutnant! — odezwał się kapitan, zerkając na ubranych w co popadło facetów.

Rzeczywiście — wielu z nas nosiło watowane rosyjskie kurtki.

— Bardzo przepraszam, Hen Hauptmann, ale cierpimy na niedostatek mundurów.

— Wielki niedostatek — rzekł oficer, uśmiechając się. — Cóż, wyślę was do magazynu.

Zobaczycie, może tam coś jeszcze zostało. Długo tu nie będziecie. Musicie się z tym szybko

uwinać.

Doszliśmy do znajdującego się na sąsiedniej ulicy wspomnianego magazynu. W sumie był o wiele lepiej zaopatrzony, niż magazyny dywizji mających oznakowanie liczbowe.

Należeliśmy przecież do elitarnej jednostki! Niektórzy z nas otrzymali jakieś nędzne resztki zaopatrzenia. Czekając na swoją kolej, zauważyliśmy wchodzącą na wielki fabryczny dziedziniec część nowo uformowanego batalionu Yolkssturmu. Ci młodzi żołnierze zostali niedawno powołani przez Fihrrera pod broń. Były to ostatnie niemieckie rezerwy bijące rekord oddziałów Marie-Louise I z końca I Cesarstwa. Musieliśmy dobrze wytrzeszczać oczy ze zdumienia, zanim w pełni sobie uświadomiliśmy, z jakich ludzi utworzono ten batalion. Niektórzy mężczyźni, zgarbieni, o pałkowatych nogach i pooranych zmarszczkami twarzach, mieli, prócz munduru i mauzera na ramieniu, sześćdziesiąt albo sześćdziesiąt pięć lat na karku. Ale jeszcze większym zaskoczeniem byli młodzi, bardzo młodzi żołnierze. Dla nas, osiemnasto-dziewiętnasto- dwudziestoletnich facetów, co przeszli już tysiące niebezpieczeństw, wyraz „młody” oznaczał dzieciństwo, a nie wiek młodzieńczy, ciągle jeszcze nas dotyczący, choć przeżyliśmy tak wiele złudzeń. W tym wypadku chodziło rzeczywiście o dzieci, które kroczyły u boku staruszków o twarzach pełnych cierpienia. Najstarsze spośród nich liczyło zaledwie szesnaście lat. Nie skłamię, jeśli powiem, że niektóre miały trzynaście lat. Pośpiesznie ubrano je w podniszczone żołnierskie mundury. Karabiny, które dostały[^] były czasem tak duże jak one. Był to zarazem komiczny i przerażający widok. W oczach tych dzieci dało się jedynie wyczytać niepokój; taki sam jak u pierwszaków na początku roku szkolnego. Żadne nie było w stanie sobie wyobrazić, co je czeka. Niektóre śmiały się i hałasowały, całkowicie zapominając o regulaminach wojskowych, zresztą nie do opanowania w tym wieku. Wbijano im je do głowy przez zaledwie trzy tygodnie. Wzruszające szczegóły zwiastowały pierwszy akt dramatu, jaki przyjdzie tym dzieciom przeżyć. Sporo chłopaczków w tornistrach opróżnionych z przyborów szkolnych niosło jakąś odzież czy inne zapasy wepchnięte do środka

W oryginale les Marie-Louise: poborowi w bardzo młodym wieku werbowani na mocy dekretu cesarzowej Francji, Marii Ludwiki (przyp. tłum.).

przez troskliwą matczyną rękę. Częstoowali się nawet cukierkami z sacharyny, które przysługiwały dzieciom do lat trzynastu. Idący między tymi młodymi pisklętami starcy spoglądali na to wszystko z dezaprobatą.

Co można zrobić z takim wojskiem? Na jakim odcinku można cokolwiek od niego oczekiwać? Jak ono będzie wojować? Na pytania te nie sposób było znaleźć odpowiedzi. A więc miało się wszystkich tych ludzi poświęcić, aby tylko zatrzymać Armię Czerwoną, chociaż wszelkie porównania z nią wydawały się przeraźliwie śmieszne? Czy wojna na śmierć i życie miała też pochłoniąć te dzieci? Czy to bohaterskie, czy obłąkane Niemcy? Czy ktoś kiedykolwiek będzie w stanie ocenić to absolutne poświęcenie? Przez długi czas zachowywaliśmy milczenie. Patrzyliśmy tylko na tych chłopaczków, słuchając ich szczebiotu. Były to ostatnie chwile ich dzieciństwa...

Kilka godzin później skierowano nas w nowy rejon koncentracji znajdujący się kilka kilometrów od Wisły, w wiosce Medau. Spotkaliśmy tam znaczną część naszej macierzystej dywizji, która już dawno temu opuściła nas na południu. Odnaleźliśmy nawet nasz pułk i naszych oficerów! Służby pomocnicze naszej samodzielnej jednostki dokonywały cudów, by w tych niewyobrażalnych warunkach utrzymać jaką taką organizację. Byliśmy bardzo zaskoczeni, widząc, że dywizja „Wielkie Niemcy” przedstawia jeszcze znaczną wartość bojową, co dodało nam nieco otuchy.

Zresztą bardzo potrzebowaliśmy jakiegokolwiek formy solidarności, żeby nie pogodzić się od razu z całą naszą tragedią, bezcelowością dalszej walki, niewolą albo wręcz śmiercią.

Zastaliśmy więc nad brzegiem tej samej Wisły, gdzie zaczęła się wojna, kompanie utworzone z dzieciaków, o których wspominałem, i dołączone do naszych oddziałów dla uzupełnienia

luk, jakie miała nasza elitarna dywizja w wyniku licznych walk. Odnaleźliśmy znane twarze, a w szczególności Wienera. Tak, Wienera, weterana. Przynajmniej tak samo jak my zdziwił się, że jeszcze żyjemy.

— Jesteśmy rzeczywiście nie do zdarcia! — wykrzyknął. — Kiedy rozstałem się z wami na drugim froncie naddnieprzańskim, wszystko wyglądało tak beznadziejnie, że nie miałem już nadziei was spotkać.

— Trochę już nas brakuje... — zauważył Wollers.

— I trochę nas jeszcze jest, mein Gott! Leutnant. Powiadomiliśmy Wienera o śmierci kapitana Wesreidaua, Fróscha... Ze

swjej strony weteran wymienił kilka nazwisk, o których także powinniśmy zapomnieć. Nasze zapadnięte twarze wyrażały tylko niewypowiedziany ból. Augusta Wienera zasypywaliśmy pytaniami na temat Niemiec, życia w tym kraju, ludności cywilnej. Mieliśmy mnóstwo powodów do niepokoju. Każdy z napięciem patrzył na usta opowiadającego kolegi. Staraliśmy się dopowiedzieć sobie wszystko to, czego nie potrafił wyrazić słowami.

— Leczone mnie w Polsce — opowiadał weteran — w szpitalu wojskowym w Kansei.

Straciłem wiele krwi i byłem tak osłabiony, że przez dwa dni prawie się mną nie zajmowali. Były to dwa okropne dni. Nigdy bym nie

uwierzył, że to kurewskie życie tak bardzo będzie się mnie trzymać. A mogło to się skończyć o wiele prościej, czyż nie? Ostatni oddech i hop! Do wapiennej dziury! Finito! No więc zrzędziłem jak diabli przez osiem czy dziesięć dni; szczególnie przez dwa pierwsze. Infekcja, transfuzja, dezynfekcja, znów infekcja, i oto znów jestem z wami w tym jesiennym gównie. Źle już znoszę noc, kiedy jest wilgoć. Fatalny jest dla mnie ten reumatyzm. Weterana jak zwykle trzymały się ponure żarty.

— Ale byłeś chyba rekonwalescentem. Puścili cię na urlop, co?

— Ależ oczywiście, Halls, że byłem w Niemczech. Byłem tam na „urlopie zdrowotnym”.

Che, che, che! We Frankfurcie, chłopaki! Tak, tak! Ale nie nad Menem, tylko nad Odrą!

Mógłbym jechać dalej, ale nie miało to najmniejszego sensu. Byliśmy w liceum dla dziewcząt. Niestety, dziewcząt nie było! Żarcie mieliśmy dość kiepskie, ale przynajmniej dali nam święty spokój. Widzicie zresztą — zaśmiał się — nie mam jednego ucha...

Była to prawda. Weteranowi brakowało prawego ucha. Skóra w tym miejscu była niemal błyszcząca, bladoróżowej barwy, jakby lada moment miała się rozerwać. Właściwie zauważyliśmy to już wcześniej, ale nie przyglądaliśmy się dokładniej. Wielu obecnym tu facetom czegoś brakowało, toteż nikt nie zwracał na takie rzeczy większej uwagi.

— To prawda — odezwał się Prinz. — Z tej strony wyglądasz, jakbyś już nie żył.

Weteran zaśmiał się:

— Wszędzie widzisz truposzy, bo za często z nimi przestajesz.

— Nie pierdol! — krzyknął Solma. — Gadaj lepiej o Niemczech.

— A, prawda...

Zaległa cisza, która wydała się wiecznością.

— Nie róbcie sobie, chłopaki, większych nadziei. Tam też nie bardzo jest gdzie się schować.

— A jak jest we Frankfurcie? — spytał adiutant Sperlovski, co wywołało ogólne poruszenie (Sperlovski pochodził z tego miasta; prawdopodobnie przebywała tam jeszcze jego rodzina).

Weteran nie spoglądał już na nas; zdawał się patrzeć w głąb siebie.

— Liceum było po drugiej stronie Odry, na wschodnim brzegu, na wzgórzu. Mieliśmy stamtąd widok prawie na całe miasto... Frankfurt był szary. Szary jak martwe drzewo. Sterczały tylko mury szerniałe od pożarów. I byli tam ludzie, co żyli jak żołnierze w okopach.

Sperlovski słuchał uważnie. Widziałem, jak drżą wszystkie mięśnie jego twarzy.

— Ale przecież myśliwce, obrona przeciwlotnicza... Nic nie jest w stanie powstrzymać tych łajdaków? — bąknął adiutant przerażonym głosem.

— Tak, oczywiście, ale dysproporcje są zbyt wielkie...

— Niech się pan za bardzo nie niepokoi, Sperlovski — odezwał się porucznik Wollers. — Pańską rodzinę na pewno ewakuowano na wieś.

— Ale skąd! — krzyknął zrozpaczony Sperlovski. — Żona pisała mi, że nie wolno jej opuścić miasta. Nikt nie ma prawa opuścić miejsca pracy.

Wiener zdawał sobie sprawę, do jakiej rozpacz doprowadził tych, co byli tu tylko po to, by usłyszeć pocieszające wieści. Ale Sperlovskiego chyba nic już nie mogło bardziej załamać.

— To wojna na wyniszczenie — ciągnął beznamiętnie weteran. — Nic nie zostanie nam oszczędzone. Niemiecki żołnierz musi ścierpieć wszystko.

Sperlovski oddalił się. Miał błędny wzrok, w głowie mu huczało. Szedł chwiejnym krokiem, jak pijany.

Niemiecki żołnierz musi wszystko ścierpieć na świecie, który sam stworzył. Narodził się tylko po to, by w tym świecie żyć. Do innego świata jest nieprzystosowany. Lensen, nieruchomy jak głaz, słuchał weterana. Na jego surowej twarzy rysowała się jakaś zaciekłość.

— Czy tak samo jest we wszystkich miastach? — zapytał tchórzliwy Lindberg.

Miał chyba na myśli rodzinne miasto i to swoje Jezioro Bodeńskie.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział weteran. — Ale to całkiem możliwe.

— Przynajmniej potrafisz dodać chłopakom otuchy — rzucił zirytowany Halls.

— Chcesz znać prawdę, czy wysłuchiwać jakichś bredni?!

Miałem uczucie, że znajduję się we mgle. Trochę więcej gruzów tu, trochę więcej szczątków tam... Nasze życie wytyczały ruiny. Nic już nie mogło mnie bardziej rozczarować. Zanim zacznę spoglądać współczującym okiem na cierpiący świat, ja sam muszę dojść do równowagi. Myślałem o Pauli. Już od tak dawna nie miałem od nikogo żadnej wiadomości, że zastanawiałem się, czy byłbym w stanie normalnie odczytać otrzymany niespodziewanie list. Złe wieści gromadziły się we mnie jak woda kapiąca z rynny do cebrzyka. W pewnym momencie naczynie się przeleje i nawet najpotężniejsze katarakty nie będą w stanie zwiększyć jego pojemności.

Załadowano nas do jednego z nielicznych już pociągów kursujących jeszcze w tym rejonie. Jechaliśmy do Prus Wschodnich. Widać było pierwszy szron trzeciej już wojennej zimy. Dla niektórych już piątej albo nawet szóstej. Jechaliśmy nocą z wygaszonymi światłami, ponieważ w dzień rosyjskie lotnictwo zajmujące nasze bazy w Polsce przejawiało szczególną aktywność. Pociąg zmierzał w kierunku Prus, Litwy, Łotwy i Frontu Kurlandzkiego, gdzie trzymały się jeszcze resztki niemieckich dywizji.

W ciemnościach i gęstej mgle widzieliśmy ogromne masy ludzi przemierzające się pieszo na pustych terenach północnej Polski. Najpierw myśleliśmy, że są to jednostki piechoty. Ale gdy kilkakrotnie dostrzegaliśmy te grupy z bliska, zobaczyliśmy, że jest to ludność cywilna. Tysiące cywili, wchłaniając gnilne wyziewy, uciekało nocą przed czerwonymi hordami, których obecność niemal się czuło. Nie mogliśmy przez dłuższy czas obserwować tego tragicznego pochodu, ale mogliśmy sobie doskonale wyobrazić, jak to wyglądało.

Wreszcie przejechaliśmy granicę Prus. Rzuciliśmy okiem, by się przekonać, jak wygląda kraj Lensena, a także Smellensa. Obaj czystej rasy Prusacy znaleźli się nagle na ojczystej ziemi. Lensen wstał z miejsca i przez drzwiczki wagonu bagażowego kontemplował znajomy krajobraz. Pozostałych niewiele to obchodziło. Dla nas widoki były podobne do tych w Polsce. Lasów było tyle samo, może tylko trochę więcej jezior.

— Trzeba to wszystko widzieć pokryte śniegiem! — wykrzyknął Lensen, na którego twarzy pojawił się wreszcie uśmiech. — To dopiero jest coś!

Ponieważ nadal milczeliśmy markotni, Lensen wrzasnął do nas:

— No, co jest?! Jesteście, kurwa, w Niemczech! Obudźcie się! Od dawna tego chcieliście!

— W Niemczech Wschodnich! — odezwał się Wiener — Na Wschodzie! Prawie na froncie! Nie wiem zresztą, czy zdajecie sobie sprawę, ale mam kompas i stwierdzam, że jedziemy na

północny wschód. A to niedobrze.

Lensen po raz drugi poczerwieniał ze złości:

— Parszywe z was psy! — ryknął wściekle. — Pesymiści odpowiedzialni za nasze zrezygnowanie! W waszych delikatnych główkach wojna jest już przegrana, ale musicie walczyć! Walczyć za wszelką cenę, czy tego chcecie czy nie!

— Zamknij się! — wrzasnęło pięciu czy sześciu kolegów. — Niech tylko zapewnią wojsku normalne warunki, a pogonimy Ruskich.

— Nie! Psy z was! Od kiedy was znam, nie przestajecie skomleć! Wojnę przegraliście już pod Woroneżem!

— Były ku temu powody — odezwał się Halls.

— Będziecie walczyć! Ja wam to mówię! Walczyć za wszelką cenę, bo nie macie innego wyjścia!

Weteran wstał z miejsca.

— Tak, Lensen. Będziemy walczyć, bo tak jak ty nie możemy znieść myśli o klęsce. Nie mamy, niestety, innego wyjścia. W każdym razie ja nie mam innego wyjścia. Jestem częścią maszinerii, co potrafi tylko maszerować; inaczej nie potrafię funkcjonować. Rozumiesz, już zbyt długo jestem jej częścią...

Patrzyliśmy na weterana nieco zbici z tropu. Wszyscy sądziliśmy, że Wiener jest zdolny przystosować się do każdego innego życia. A teraz on sam mówi, że może żyć tylko dla Sprawy, która go już tyle kosztowała.

Lensen zrzędził dalej, a my niespokojnie zaczęliśmy myśleć o przyszłości. Jej wizję weteran roztoczył przed nami. A przecież zawsze darzyliśmy go wielkim zaufaniem. Kiedy tak patrzyłem na ten pruski krajobraz, Francja nagle wydała mi się bez znaczenia. Sprawa, o której mówił Wiener, była także moją Sprawą i chociaż przez Nią zaznałem już tak wiele goryczy, czułem się z Nią ściśle związany. Wiedziałem, że nasza walka była coraz bardziej rozpaczliwa i że będziemy musieli się liczyć z przerażającymi skutkami. Solidaryzowałem się bez reszty ze swymi towarzyszami broni. Bardzo

wyraźnie widziałem w myślach swój koniec, nie drżałem jednak zbytnio z tego powodu. Był to jakby dobroczynny woal opadający powoli na moje ciało, łagodząc moje dawne, obecne i przyszłe lęki. Wydawało mi się, że głowę wypełnia mi gęsta, mlecznobiała, ponura mgła, ale dzięki niej wszystko nagle stało się łatwe, tak bardzo łatwe! Czy pozostali koledzy odczuwali to samo? Nie wiedziałem tego z całą pewnością, lecz nastrój rezygnacji udzielał się każdemu. Przez kilka godzin jechaliśmy z umiarkowaną prędkością. Wreszcie pociąg zatrzymał się w mgle szarego poranka. Wskoczyliśmy na komendę z wagonów. Dotarliśmy do obozu składającego się z drewnianych baraków. Widać tu jeszcze było w miarę solidną organizację, tak jak w wypadku ostatniego miejsca postoju. Dano nam godzinę na wypoczynek. Każdemu przysługiwał kubek ciepłej wody, w której pływało kilka ziarenek soi.

— I pomyśleć, że niektórzy zaciągają się do wojska dla menażki... — mruknął jakiś żołnierz.

— Teraz jest ich chyba niewielu — odezwał się ktoś. — Marne są dziś szanse na piękną karierę oficerską. Za mało czasu, by zostać obergefraj terem. Naszywkę można dostać co najwyżej pośmiertnie.

Mimo wszystko niektórych z nas trzymały się jeszcze żarty. Za chwilę jakiś major, prawdopodobnie komendant obozu, nakazał zbiórkę i odezwał się do nas tymi słowami:

— Nieustraszeni żołnierze dywizji „Gross Deutschland"! — takim oto obdarzył nas epitetem.

— Radujemy się wielce, że widzimy was w naszym sektorze. Znamy już wasze męstwo w walce, napawa nas ono wielką dumą. To samo co ja czują na pewno wasi koledzy z pułków piechoty, walczących w polskich lasach niedaleko naszej granicy. Wasze przybycie ogromnie podnosi nas na duchu, wspomagając w jakże niełatwej misji, jaką wypełniamy: bronimy wolności niemieckiej i europejskiej. Bronimy wolności, której bolszewicy chcą nas pozbawić, uciekając się do najokropniejszych metod. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek musimy być

silni i zjednoczeni w walce. Z waszą pomocą wzniesiemy ostatni bastion, który powstrzyma sowiecką lawinę. Niemieccy żołnierze! Pamiętajcie, że jesteście pionierami europejskiej rewolucji. Powinniście być dumni, że właśnie was wybrano do tej trudnej misji. Obyście okryli się wiekiustą chwałą! Przekazuję wam wyrazy uznania w imieniu Naczelnego Dowództwa i samego Fihrera. Specjalnie dla was przygotowano pojazdy i żywność, byście mogli z powodzeniem zakończyć waszą misję. Brawo, dzielni żołnierze! Powodzenia! Wiem, że dopóki czuwa choćby jeden niemiecki żołnierz, żaden bolszewik nie stanie na naszej ziemi. Heil Hitler!

Patrzyliśmy na przystojnego majora odzianego w paradny mundur, oszołomieni, ogłupiali, usiłując dostrzec, gdzie do cholery, widzi to nasze bohaterstwo.

— Heil Hitler! — wrzasnął jakiś feldfobel, widząc, że zgodnym chórem nie odwzajemniamy pozdrowienia.

— Heil Hitler! — wykrzyknęli bohaterowie. Po czym kazano nam się rozejść.

— Nic już z tego nie rozumiem — mruknął Kellermann. — Liczy na nas, że podniesiemy go na duchu.

— Stul się! — odezwał się Prinz. — Kolejna mowa. Tym razem zaczął przemawiać kapitan.

— Mam zaszczyt objąć pod swoim dowództwem dwie trzecie pułku, w którym służycie, by poprowadzić was do boju. (Mimo że wszyscy wiedzieli, co nas czeka, każdy z nas, słysząc to zdanie, przełknął ślinę). Terenem operacyjnym całej dywizji będzie sektor oddalony bardziej na północ. Dywizja zostanie podzielona na szereg oddziałów, aby na różnych odcinkach zadawać straty nieprzyjacielowi, potężnym klinem wdzierającemu się w te rejony — podkreślił. — Oczekuję od was bezprzykładnej odwagi, a nawet bohaterskich czynów. Jest to absolutną koniecznością! Musimy powstrzymać Rosjan w tym sektorze. Wszelkie uchybienia obowiązkom, czy jakiegokolwiek objawy paniki, będą natychmiast karane. Trzech oficerów może w każdej chwili utworzyć sąd polowy i ferować natychmiastowe wyroki...

(Frósch, mój biedny Frósch! Ilu było tych, co zadecydowali, abyś wisiał?).

— Albo zwyciężymy tutaj, albo okryjemy się hańbą. Nigdy, słyszycie? Nigdy żaden bolszewik nie stanie na niemieckiej ziemi! A teraz, koledzy, mam dla was dobre nowiny. Otrzymacie pocztę, a dla niektórych będą też pochwały i mianowania na wyższe stopnie. Zanim dacie upust waszej radości, musicie stawić się w magazynie, by pobrać żywność i amunicję. Rozejść się! Heil Hitler!

Odchodziliśmy, ale nie potrafiliśmy jasno ocenić sytuacji.

— Zapowiada się nieźle — odezwał się.

— Ten bydlak chce, byśmy wszyscy zdechli! — warknął Halls. Stanęliśmy w niekończącej się kolejce przed wielkim barakiem.

— I taki jełop ma nam zastąpić kapitana Wesreidaua. Coś mi się wydaje, Prinz, że spotkamy jeszcze matołów, jakich w życiu nie widzieliśmy.

— To niemożliwe. Widzieliśmy już wszystko.

— Toż to idiota — mruknął Halls.

— Nie. On ma rację — odezwał się ktoś za nami. Odwróciliśmy się, zaskoczeni.

— On ma rację — powtórzył weteran. — Albo teraz, albo nigdy. Nie potrafię wam tego wytłumaczyć, ale on ma rację.

Coraz bardziej zdumieni, patrzyliśmy w milczeniu na kolegę, nie rozumiejąc jego nieoczekiwanej postawy, jakże różniącej się od naszej.

— Jeszcze do tego powrócę — ciągnął weteran. — Jeszcze powrócę. Ale na razie jesteście zbyt durni, by to zrozumieć.

„Moja Paulo!

Czytam teraz Twój list, na który tak rozpaczliwie czekałem. Czytam i jeszcze raz czytam te zdania, zapominając o mroźnej ziemi i Wschodzie, skąd nadciągają złowrogie odgłosy.

List ten w moich rękach jest jak cudowny dar niebios.

Niczego już nie oczekuję od normalnego życia, z którym zerwaliśmy chyba wszystkie więzy. Czytam Twe zdania, tak jak nasz kolega Smellens recytuje swe modły, bo ma to szczęście, że wierzy w Boga.

Już nic, Paulo, nie pomoże. Modlitwy są jak wódka: tylko na chwilę oddalają chłód.

Jakże ulotne jest nasze szczęście. Pojawia się wraz ze wschodzącym dniem, bo nocą wierzymy już tylko w śmierć.

Zostałem mianowany na stopień obergefrajtera i chociaż naszywkę mam jeszcze w lewej kieszeni bluzy, czuję się silniejszy.

Myślę, że w tych ciężkich chwilach staliśmy się prawdziwymi mężczyznami.

Cały czas słyszę, Paulo, te odgłosy... A może to tylko wiatr?

Jakże chciałbym czytać jeszcze Tve zdania..."

Już od kilku dni wycofywali się. Ani jeden bolszewik nie miał nigdy stanąć na niemieckiej ziemi... A jednak trzy potężne armie sowieckie przedarły się na pięciu albo sześciu odcinkach pięćdziesiąt kilometrów w głąb naszej świętej ziemi. Te trzy ugrupowania przetoczyły się jak walec przez naszą bohaterską obronę. Pozostali przy życiu żołnierze wycofywali się w jesiennym krajobrazie, niosąc na ramionach resztki sprzętu, dzięki czemu byliśmy jeszcze wojskiem.

Nie mogę, i bardzo tego żałuję, szczegółowo opisać tych ciężkich chwil. Mogę jednak wymienić kolegów, którzy odeszli na zawsze, jak Prinz, Sper-lovski, Solma. Także Lensen, który wbrew pozorom był prawdziwym przyjacielem. Zresztą głównie jemu chcę złożyć hołd, opisując jego tragiczny koniec. Jeszcze dziś widzę tę śmierć, i to o wiele wyraźniej niż wielu innych. Opis jej pomoże zarazem zrozumieć, jak umierali inni koledzy. Niezależnie od tego, co w pewnych momentach Lensen o mnie myślał, jestem przekonany, że był on dla nas wszystkich i dla swojego kraju człowiekiem wielkiej odwagi; bez wahania poświęciłby swoje życie, by uratować najniebezpieczniejszego spośród nas. Zresztą jego śmierć jest tego wystarczającym dowodem. Może właśnie jemu zawdzięczam to, że z takim spokojem piszę teraz te słowa.

Na pewno Lensen nigdy by nie zaakceptował obecnego życia i tych wszystkich ustępstw, jakie muszą dziś znosić dawni bojownicy ze Wschodu. Był bezkompromisowy, podobnie jak nieodwołalne były rozkazy, którym był posłuszny. Ludzie o władnięci jakąś ideą mogą żyć tylko nią i dla niej. Poza tą ideą nie ma nic — pozostaje tylko wspomnienie po nich.

Nasza operacja mająca na celu wzmocnienie Frontu Kurlandzkiego zakończyła się niepowodzeniem. Lawina sowieckich wojsk dotarła na kilku odcinkach aż do Bałtyku. Jakie konkretnie były to jednostki, tego nie jestem w stanie określić. W każdym razie Front Północny został rozbity na dwie części. Jego bardziej wysunięta na północ część obejmowała rejon Zatoki Ryskiej na terenach Łotwy, przynajmniej aż do Lipawy. Drugi odcinek, tam gdzie byliśmy, rozciągał się na coraz węższej linii frontu, od Lipawy poprzez Litwę i Prusy aż po Wisłę, gdzie toczyły się zaciekle walki.

Nasza dywizja, podzielona na mnóstwo niewielkich grup uderzeniowych mających na celu osłabianie przeciwnika, atakowała go ze wszystkich stron. Jednak akcje ofensywne kończyły się na ogół niepowodzeniem i w końcu trzeba było przygotowywać się pośpiesznie do obrony. W zaistniałej sytuacji dywizja usiłowała dokonać szybkiego przegrupowania, aby utworzyć linię obrony sześćdziesiąt kilometrów dalej na północny zachód. Zły stan dróg, brak paliwa, błoto, niedogodności transportowe — wszystko to utrudniło manewr, który w normalnych warunkach wykonany byłby błyskawicznie. Poza tym trzeba było się liczyć z coraz aktywniejszym lotnictwem nieprzyjaciela: każde pojawienie się samolotów powiększało jeszcze panujący chaos w przetrzebionych już oddziałach. Nasi oficerowie sugerowali zresztą przeprowadzenie operacji z udziałem mniejszych ugrupowań. Odwrót winien odbywać się w rozproszeniu. Natomiast wytyczne z Kwatery Głównej nakazywały

koncentrację sił. Koncepcja oficerów sprawdzała się w wypadku masowych nalotów nieprzyjaciela, kiedy to stanowiliśmy mniejszy cel. Jeśli natomiast nieprzyjacielska grupa pancerna natknęła się na dwie albo trzy samodzielnie działające kompanie, oddziały te nie miały żadnych szans w walce z przeciwnikiem. W takich właśnie okolicznościach, w jakiejś wiosce o rozproszonej zabudowie, rozegrał się dramat, w wyniku którego o mały włos skreślono by naszą drużynę ze stanu dywizji.

— Już kiedyś byłem w tej okolicy! — zaklinał się Lensen, ogarnięty nostalgią. — Jestem o tym przekonany. Tak się tu wszystko zmieniło, że nie mogę rozpoznać szczegółów, ale wiem, że w tamtym kierunku są takie a takie wioski (tu wymienił ich nazwy). Słuchajcie, chłopaki — mówił z przejęciem — moja wieś jest mniej więcej sto albo sto dwadzieścia kilometrów stąd (wskazał na południowy zachód). W tamtym kierunku jest Królewiec. Byłem tam kilka razy, a raz zaliczyłem Cranz. Pogoda była pod psem, ale się kapaliśmy.

Lensen śmiał się, a myśmy go słuchali.

Mimo ciężkiego odwrotu i przenikliwego zimna, Lensen odżył na ojczystej ziemi. On jeden upajał się złowrogą ciszą w okolicach tamtej wioski opuszczonej dzień wcześniej przez mieszkańców. Trzystu facetów siedziało skurczonych w bezwładnych gromadach, wyczerpanych dwudziestokilo-metrowym marszem od świtu po rozmokłych terenach, czekając cierpliwie na tradycyjny, przypadający na godzinę jedenastą, lecz tym razem wielce wątpliwy posiłek. Tylko Lensen przechadzał się powoli w tę i we w tę, wzdłuż stajennego kamiennego muru, na którym każdy usadowił swój tyłek, chowając się pod okapem przed siąpiącym od czasu do czasu deszczem. Słuchaliśmy Lensena. Od południowego wschodu dochodziły w nieregularnych odstępach czasu głuchoe detonacje. Nie zwracaliśmy już na nie żadnej uwagi. Stanowiły dźwiękowe tło naszej egzystencji. Żołnierze nauczyli się nie reagować na to, co działo się w bezpiecznej odległości. Jeśli nie liczyć tych dochodzących od wschodu odgłosów, panował całkowity spokój. Przypominaliśmy trochę dzisiejszych mieszkańców, upajających się ciszą i spokojem przy włączonym adapterze. Ci ludzie potrzebują jego muzyki, aby móc się nimi rozkoszować. A może obawiają się prawdziwej ciszy? Jeżeli o nas chodzi, intensywność dźwiękowego tła nie zależała, niestety, od nas i właściwie moglibyśmy się bez tego całkowicie obejść.

A więc, jeśli nie liczyć ustawicznie perorującego Lensena, nic specjalnego się nie działo. Dwadzieścia pięć metrów od nas sześciu chłopaków zaczynało wydawać posiłek. Nieco dalej grupa żołnierzy załatwiała się bez żenady. Pozostali, jak już wspomniałem, odpoczywali, siedząc z przymkniętymi oczami albo rozpamiętując swe trudy. Melancholijna jesień przynosiła wilgotną, chłodną pogodę. Po tylu niewygodach docenialiśmy tamte warunki, które w dzisiejszych czasach spowodowałyby organizowanie akcji dobroczynnych. Wśród ludzi pogrążonych w ponurym odrętwieniu znajdowali się też cierpiący i płaczący. Rozlegały się jęki rannych, inni umierali. Nikomu to jednak nie przeszkadzało w spaniu, jeśli tylko była taka możliwość.

Rozpoczęto wydawanie posiłku. Na dwie osoby przypadała kielbasa w celofanie, oczywiście zimna. Był to właściwie kawał celofanu wypchany puree z soi. Chłopaki ze służb zaopatrzeniowych, przejęci rolą kuchcików, zbierali podczas odwrotu pomarszczone ziemniaki. Wypełnili nimi całą przyczepę motocyklową i teraz rozdawali je kolegom. Nagle zauważyliśmy czterech żołnierzy przeskakujących przez ogrodzenie. Wyglądali na potwornie zmęczonych. Kiedy dobiegli do budynków, gdzie drzemaliśmy, zaczęli gestykulować zawzięcie. Któryś z nich powiedział niezbyt głośnym tonem:

— Iwan!

W mgnieniu oka chmara osowiałych chłopaków zerwała się z miejsca. Zdawaliśmy sobie sprawę, że każda następna minuta przynieść może śmiertelne niebezpieczeństwo. Niczym osaczone zwierzęta wszyscy rozpierzchli się instynktownie. Każdy szukał jakiegokolwiek miejsca nadającego się na schronienie. Ci, którzy mieli szczęście dostać już swoją rację

żywnościową, pochłaniali ją czym prędzej. Schowaliśmy się w jakiejś zadaszonej dziurze. Po chwili dołączył do nas porucznik Wollers. Jego radiostacja polowa, z którą nigdy się nie rozstawał, ogłaszała alarm. Siedzieliśmy tam w ciszy z dziesięć minut. Nic się nie działo, ale Rosjanie byli chyba niedaleko. Obecność ich zasygnalizowali nasi piesi strzelcy pełniący funkcję wartowników. Czy był to pluton, jakaś większa grupa, pułk, dziesięć pułków? Nikt nie potrafił

odpowiedzieć na to pytanie. Wyznaczono pośpiesznie patrole. Musieliśmy wiedzieć, czy trzeba będzie stawić opór niewielkim siłom nieprzyjaciela, czy też jak najszybciej oderwać się od znacznie groźniejszego przeciwnika. W kierunku ogrodzenia, skąd nadbiegli wartownicy, wysłano sześciu facetów towarzyszących Wollersowi. Znalazłem się wśród nich.

Dwa inne patrole o tej samej liczebności udały się w innych kierunkach. Opisywanie mojego lęku byłoby czężą gadaniną nie na miejscu. To samo odczuwałem w Uczeni, pod Biełgorodem, w fabrycznej hali zajętej przez partyzantów i tak dalej.

Podobnie jak pozostali musiałem się z nim pogodzić. Lęk taki nieodłącznie towarzyszy trudnym chwilom w życiu. To tak jakby budzik wyrwał cię ze snu, a ty wstajesz w cholernym nastroju, wiedząc, że czeka cię dzisiaj jakiś przykry obowiązek. To mniej więcej tak, z tym że sto razy gorzej.

Przeszliśmy wzdłuż drugiej strony stajni, przy której odpoczywaliśmy, po czym udaliśmy się w nieznany teren, gdzie sterczały resztki starych dachów.

Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa. Tkwił w nas jakiś ponury niepokój, mimo to nie wyczuwaliśmy przyśpieszonego tętna. Wiedzieliśmy tylko, jak bardzo nienawidzimy śmierci, a jednocześnie spodziewaliśmy się jej lada chwila. Mauzer ciążył mi w rękach jak jakiś bezużyteczny przedmiot, na który nie mogę już liczyć.

Dawno temu, kiedy przechodziliśmy przez jakąś polską albo rosyjską wieś, jakież pokładałem w nim zaufanie! Czując ciężar jego stali i drewnianego łoża, ja sam czułem się niewyciężony.

Dziś nie byłem już pewny, czy może on stanowić skuteczną obronę. Ludzie są przede wszystkim tchórzami.

Po pokonaniu pustego terenu, doszliśmy do grupy budynków. Podzieliliśmy się na dwie trzyosobowe grupy, po czym zachowując ostrożność godną saperów, kontynuowaliśmy marsz. Obchodząc jeden z budynków, mogliśmy dostrzec większy fragment horyzontu. Na pierwszym planie rysował się rząd świerków niemal całkowicie pozbawionych gałęzi. Z tyłu ciągnęła się droga, a na niej wyraźnie widać było mnóstwo sylwetek. Z dalszej odległości zbliżały się chyba kolejne.

— Będzie ich trzysta albo czterysta — mruknął Wiener. — Popatrzmy tam!

Budynek, o którym wspomniałem, obeszliliśmy teraz z drugiej strony. Na jego końcu dostrześliśmy rząd beczek do smoły odcinających się czarną barwą na tle kredowej ziemi. Dalej stał jakiś domek. Nasze buty lekko zgrzytały na delikatnej żwirowej nawierzchni. Po cichu schroniliśmy się za beczkami. Po wykonaniu zaledwie czterech kroków znaleźliśmy się twarzą w twarz z czterema patrolującymi Rosjanami, którzy podobnie jak my przestrzegali tych samych zasad bezpieczeństwa. Poczuliśmy nagle pustkę w głowach.

Nie wykonaliśmy żadnego nerwowego gestu. Znajdujący się naprzeciwko i obserwujący nas Rosjanie zachowywali się podobnie, jakby jakaś nieziemski siła, tak jednym jak i drugim, nakazywała spokój. Nie padł żaden wystrzał. Rosjanie i Niemcy z największą ostrożnością wycofali się za budynek. Popatrzyliśmy na siebie wytrzeszczonymi oczyma.

— Dość ich już widzieliśmy — mruknął Wiener. — W tył zwrot! Zakończyliśmy patrolowanie. Weteran zdał meldunek. Wydawało nam się, że był to jakiś sen.

Kwadrans później przygotowaliśmy stanowiska obronne na północnym skraju wioski i w okolicy. Obserwatorzy donieśli, że mieliśmy do czynienia z pułkiem pieszych strzelców, czyli z oddziałem w sile dwóch — trzech tysięcy ludzi. Nas było trzystu, mimo to nie zarządzono

odwrotu.

W nerwowym oczekiwaniu upływały godziny. Wiedzieliśmy już, że Ruscy przygotowują się do natarcia bardzo długo, ale wiedzieliśmy też, z jaką zaciekłością potrafią atakować.

Pierwszy kontakt z nieprzyjacielem miał miejsce tuż przed nastaniem nocy. Pod osłoną ciemności pierwsze rosyjskie grupy szturmowe ostrożnie przemykały pomiędzy budynkami. Sowiecka piechota nie atakowała już tak jawnie i z takim animuszem, jak pod Biełgo-rodem czy nad Dnieprem. Wyjące watahy odzyskujące swoje tereny zostały tak przetrzebione, że dowództwo rosyjskie musiało zastosować taktykę nieco mniej bohaterską. Ponadto sowieccy żołnierze, chociaż jak najszybciej chcieli się znaleźć na niemieckiej ziemi, powodowani pragnieniem straszliwej zemsty, spodziewali się z naszej strony rozpaczliwej obrony. Dlatego bardziej teraz liczyli na skuteczność swych czołgów i lotnictwa, chcąc pokonać nasze nieliczne i pozbawione niemal wszystkiego oddziały.

Nie kończące się szeregi wydzierających się Ruskich należały już do rzadkości. Bolszewicy nauczyli się walczyć po europejsku, stosując metody, które im prawie dostarczyliśmy. Nie ułatwiło nam to bynajmniej zadania. Wręcz przeciwnie.

Zaczęliśmy ostrzeliwać sowiecki patrol posuwający się niewielkimi skokami w naszym kierunku. Niemieckie moździerze nie odzywały się jeszcze, bo i w tym wypadku oszczędzaliśmy amunicję.

Dla nas, przyzwyczajonych do spadającej lawiny stali, była to tylko niewinna potyczka. Tylko jakieś nieliczne kawałki żelastwa przelatowały w wieczornej mgle, druzgocząc jakieś ramię, przebijając jakąś pierś, zabierając czyjeś życie... W sumie nie było atmosfery prawdziwej walki. Dziś oczywiście, w wypadku podobnej wymiany ognia ewakuowano by całą dzielnicę Paryża i dawano wielkie nagłówki w prasie! Każda epoka ma swoje zwyczaje...

W ciemnej, mglistej nocy Rosjanie w dalszym ciągu podchodzili pod nasze pośpiesznie przygotowane pozycje. Jak tylko pomyśleliśmy, że rzucą się na nas lada chwila, robiło nam się niedobrze. Może właśnie dziś wieczór skończy już się dla nas to wszystko. W nocy zaleją nas Rosjanie i wreszcie nastanie kres tego obłąkańczego odwrotu trwającego właściwie niemal dwa

lata na tysiącach kilometrów znaczonych krwią i przerażeniem. Może właśnie tej nocy! Nie wiedzieliśmy już, czego bardziej pragnąć. Ale noc przeszła. Zimna i czujna noc, rozświetlana bladym blaskiem rakiet oświetlających. Właściwie nie działo się nic groźnego. Rosjanie, którym pewnie nie śpieszyło się, obserwowali nas, podobnie jak my ich. Była tylko ponura noc.

Udało mi się nawet zasnąć, mimo że dzień był pełen napięcia. W moje ślady poszło wielu kolegów. Tylko na skutek przenikliwego zimna nie pospaliśmy sobie, jak należy. Wreszcie nastał świt, a wraz z nim powrócił prawdziwy niepokój i rychło przerodził się w przerażenie, a wreszcie w panikę. Ogłuszający huk poruszył niebo i ziemię. Padającego deszczu, na ogół tłumiącego wszelkie odgłosy, tym razem nie było słyhać. Dochodził do nas głuchy zgrzyt gąsienic i przeraźliwy warkot licznych pojazdów wojskowych. Kolumna czołgów zbliżała się w kierunku wymarłej wioski, tam gdzie spokojnie i beztrąsco czekała rosyjska piechota, zwiastując rychłą już dla nas Walhallę!

Wiedzieliśmy, że jesteśmy zbyt słabi, by odeprzeć atak czołgów. Nie mieliśmy ani jednego działa przeciwpancernego, a te kilka pozostałych pan-cerfaustów absolutnie nie wystarczy, żeby powstrzymać czołgi. Musiało być ich sporo, sądząc po intensywnym huku, jaki do nas dochodził. Włos jeżył nam się ze strachu i zimna, gdy sposobiliśmy się pośpiesznie do odwrotu, do czego byliśmy już zresztą przyzwyczajeni. Wszyscy wycofywali się pieszo, z wyjątkiem żołnierzy jadących na dwóch motocyklach z przyczepami. Byli to łącznicy między grupą dowodzenia a nami. Do każdego pojazdu zaprzęgnięto się dziesięciu chłopaków i ciągnęli je bezszelestnie. Warkot silników mógłby wskazać Rosjanom kierunek naszego odwrotu.

Cała kompania, z wyjątkiem trzech grup przechwytyjących, wycofywała się, zachowując ci-

szę godną Indian z Dzikiego Zachodu. Każda z nich liczyła dziesięciu żołnierzy, dwóch strzelców pancerna i czterech grenadierów ochrony.

W mojej grupie był Smellens i jakiś całkiem młody facet, specjalnie przeszkolony w obsłudze pancerna. W zespole ochrony był Lindberg, dwóch innych żołnierzy i ja. To jedyny raz, kiedy dowodziłem w tej wojnie. Jedyny i tragiczny zarazem, kiedy pod moją komendą znajdowało się pięciu kolegów. W drugiej grupie była tylko jedna znana mi osoba, a mianowicie Lensen, obsługujący pancerna. W trzeciej nikogo nie znałem.

Każdy strzelec otrzymał trzy pancerna. Były ciężkie i nieporęczne. Teoretycznie odpowiadało to osiemnastu skutecznym strzałom. Przy dużym szczęściu mogliśmy więc unieszkodliwić osiemnaście stalowych potworów, pod warunkiem, że wszystkie pociski trafią precyzyjnie w cel. Osiemnaście czołgów, przy najbardziej optymistycznych wyliczeniach, wobec sześćdzieści-osiemdziesięciu, według naszych ocen.

Walhalla: w wierzeniach północnogermańskich raj poległych w boju wojowników (przyp. tłum.).

Myśl ta coraz natarczywiej krążyła w naszych skołatanych głowach. Byliśmy sparaliżowani ze strachu. Porucznik Wollers wspominał coś o załamaniu się nieprzyjacielskiego ataku i panice w szeregach wroga, jeśli tylko uda nam się unieszkodliwić pięć albo sześć czołgów, a także o dołączeniu do naszej kompanii za dwadzieścia cztery godziny. Niestety, nic nie mogło oderwać nas od tych piekielnych porównań matematycznych: nieubłagane liczby mówiły, że nie mamy najmniejszych szans. Jednak nawet największe udręki nie powstrzymają biegu wydarzeń. Doskonale o tym wiedzieliśmy i nie spodziewaliśmy się jakiegoś nagłego zwrotu sytuacji. Byliśmy już świadkami zbyt wielu dramatów, zbyt wielu tragicznych wydarzeń.

Dziś wreszcie nastał ten przeklęty dla nas dzień; właśnie dziś nadeszła nasza kolej.

Kompania prześlizgiwała się bezszelestnie, posuwając się wzdłuż grupy słuchającej ostatnich wskazówek naszego dowódcy. Warkot czołgów nie milkł. Zauważyłem, że Halls stanął u boku weterana. Podbiegłem do swego wielgachnego kumpla i wyciągnąłem do niego rękę.

Widząc to, Wollers przerwał swój monolog. Rzuciłem obu kolegom ze dwa — trzy głupie żarty, całkowicie nie na miejscu w tej dramatycznej sytuacji. Przez sekundę pomyślałem, że mógłbym Hallsowi dać jakiś przedmiot, aby powiadomił rodzinę o mojej śmierci. Niestety, nie znalazłem nic odpowiedniego. Usiłowałem chociaż się uśmiechnąć, ale na mojej twarzy pojawił się tylko rozpaczliwy grymas. Halls stał w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Po chwili Wiener pociągnął go za sobą.

Opuścił nas też Wollers. Wszystkie grupy rozdzieliły się. Zostałem sam ze swymi podkomendnymi, a zwłaszcza z tym niepewnym kolegą Lindbergiem, trupioblady z strachu. Ze też musiano wyznaczyć akurat mnie, nie-opierzonego młokosa, bym do tej straszliwej zabawy w żandarma i złodzieja poprowadził pięciu niepełnoletnich jeszcze kolegów! Zerknąłem na swych podwładnych. Nieruchomym wzrokiem spoglądali w kierunku południowym, skąd dochodził potężniejszy warkot. Nagle usłyszałem głos Lenseny. Wskazał na znajdującą się w pobliżu niewielką dolinę, gdzie wznosiło się kilka budynków. Było to prawdopodobnie gospodarstwo. Pobiegłem ze swymi ludźmi za grupą kolegi. Trzecia grupa szukała schronienia na drodze.

Gwałtowne podmuchy wiatru przynosiły pierwsze, drobne jeszcze płatki śniegu. Wtedy właśnie Rosjanie rozpoczęli ostrzał opuszczonych przez nas przed chwilą pozycji. Wokół oddalonych o kilometr wiejskich domów wytryskiwały czarne gejzery od eksplodujących pocisków z rosyjskich ciężkich moździerzy. Dwóm strzelcom wskazałem pośpiesznie stanowisko między wielkimi pniami wywróconych drzew. Skoczyli tam, po czym zaczęli pośpiesznie odgarniać wilgotną ziemię, by lepiej się zamaskować.

Ja, wraz z grenadierami ochrony, szukałem jakiegoś schronienia w sąsiedztwie. Schowałem się z jakimś młodym facetem, którego nazwiska już nie pamiętam. Na jego twarzy malował się zacięty upór. Lindberg i czwarty chłopak zaszyli się w budynku, za naszymi plecami. Sto

metrów na lewo, przed gospodarstwem, był chyba Lensen i jeszcze jeden kolega z drugiej grupy. Rosjanie ostrzeliwali wioskę, a więc mieliśmy rację, wynosząc się z niej.

Czołgi krążyły wśród dymiących ruin. Wyraźnie słyszeliśmy ich warkot. Minuty wlokły się długo, nim została uniesiona kurtyna i rozpoczął się straszliwy spektakl. Strasznie długo trwało to oczekiwanie. Staraliśmy się ze wszystkich sił odrzucić ponure myśli. Niestety. Uporczywie powracały diabelskie wspomnienia. Dobre i złe wspomnienia przelatywały tak szybko, że nikt nie zdążył ani się nad nimi rozczulać, ani choćby na chwilę znaleźć w nich ukojenie. Pojawiały się niewyraźne obrazy. Wszystko w nich było przemieszane: dzieciństwo, wojna, Paula, rzeczy, które mi pozostały do zrobienia i te, które powinienem był zrobić... Był to jakby dług, leżący człowiekowi na sercu, gdy jest już za późno, by go spłacić.

Każdy z nas chciał wzywać pomocy i płakać, uciekać i biec ku nadciągającemu niebezpieczeństwu, wierzyć, że wszystko to nie dzieje się na jawie albo zginąć jak najszybciej. Nigdy żaden bolszewik nie stanie na niemieckiej ziemi! Było ich tysiące, tysiące i rozorywali ją z wściekłością i z dzikim zadowoleniem. A nas było w sumie osiemnastu, by ostudzić ich zapał. Osiemnastu przeciwko tysiącom! Osiemnastu młodych ludzi, którzy wierząc chyba w cud, kurczowo uczepili się wymagowanej nadziei, by nazajutrz przeżywać te same męczarnie.

Wreszcie się pojawiły. Najpierw było ich dziesięć. Posuwały się drogą, na której schroniła się trzecia grupa.

Chłopaki z tej grupy patrzyli, jak zbliżają się wolno, rycząc niby bezlitosne potwory.

Chłopaki z tej grupy spełnili swój obowiązek. W ogromnym napięciu patrzyliśmy na ich dramat: ani jedna tysięczna część sekundy nie uszła naszej uwagi.

Pierwszy czołg zatrzymał się dwadzieścia metrów od dwóch pancerników w tej grupie.

Jeden z pocisków trafił w płytę czołową, rozrywając w strzępy pancernik i powodując śmierć stalowego potwora i jego załogi. Pozostałe czołgi manewrowały powoli i ociężale, kierując się ku wzniesieniu, by ominąć ogarnięty płomieniami pojazd.

— To za nas! — mruknąłem mściwie.

Ale czołgi, dokładnie trzy czołgi, ponownie ruszyły ku czyhającemu na niebezpieczeństwu. Rosjanie liczyli, że na sam widok tych pancernych kolosów nasi okażą się niezdolni do obrony. Zresztą zdarzało się to regularnie. Teraz jednak kolejne monstrum stanęło w płomieniach. Jadący za nim czołg, zderzając się z nim, utworzył sobie drogę. Był już na wysokości stanowiska kolegów, którym nerwy odmówiły posłuszeństwa. Chłopaki wyskoczyli z dziury, rzucając się do rozpaczliwej ucieczki. Usiłowali dobiec do lasu i zaczęli już wspinać się na wzniesienie. Goniący uciekinierów czołg podjechał do nich na bardzo małą odległość, zabijając ich ogniem broni

pokładowej. Grenadierów ochrony spotkał ten sam los i w przeciągu trzech — czterech minut trzecia grupa przestała istnieć.

Drogą posuwało się z przerażającym hukiem dziesięć czy dwanaście czołgów. Tą właśnie drogą godzinę temu zaczęła się pieszo wycofywać nasza kompania. Czołgi znajdowały się zbyt daleko, byśmy mogli razić je skutecznym ogniem. Pięć kolejnych sunęło wzdłuż doliny, kierując się prosto ku budynkom gospodarczym, przed którymi ukryła się grupa Lensen. Lensen i jego towarzysz równocześnie wystrzelili do swych celów znajdujących się w odległości dwudziestu metrów. Oba czołgi stanęły, a odgłos eksplozji rozniósł się niekończącym echem po całej dolinie. Trzeci czołg zaczął jechać w poprzek doliny. Cały rozemocjonowany czułem, że to będzie nasz cel. Grupa Lensen wystrzeliła trzeci pocisk, lecz nie doszedł do celu. Niewiele brakowało, a trafiłby w nas. Przez krótką chwilę słyszałem jego gwizd, po czym zobaczyłem wylatujący w powietrze budynek zaledwie pięć metrów ode mnie i kolegi. Zostaliśmy częściowo przysypani gruzami i przez chwilę nic nie słyszeliśmy.

Trzy czołgi krążyły w pobliżu, zasypując gospodarstwo deszczem pocisków. Ruscy czołgiści byli chyba krótkowidzami, sądząc, że obrona umocniła się w budynku. Na drodze pojawiły się kolejne dwa T-34. Zjechały z niej, a następnie skierowały się prosto na stanowisko Lensena. Mimo że znajdowały się ciągle zbyt daleko, moi strzelcy zaczęli prowadzić do nich ogień. Smellens wystrzelił do ruchomego celu odległego o sto pięćdziesiąt metrów. Pocisk zatoczył łuk, niemal trafiając ostatni czołg. Granat spadł na śnieg, odbił się, po czym zniknął w oddali, nie eksplodując. Zdradziliśmy tylko swoje stanowisko i po chwili jeden z czołgów ruszył na nas, plując z całej broni pokładowej.

Usłyszałem krzyki kolegów. Przerażeni strzelcy nie potrafili wycelować w czołg, który skręcił w kierunku rozwalonego domu. Krążył w miejscu, myśląc, że w ten sposób zmiażdży ąsienicami naszą obronę. Słyszałem dochodzący aż do mojej dziury ich chrzęst. Nie sposób zapomnieć tych odgłosów rozlegających się w bitewnym zgiełku.

Pancerny kolos przerwał nagle swą czynność i powrócił na drogę, udając się w poprzednim kierunku.

A w dole rozgrywała się walka Dawida z Goliatem. Grupę Lensena atakowały cztery stalowe monstra, prowadząc huraganowy ogień. Z lufy pan-cerfausta wyleciał ostatni pocisk.

Pierwszy w szyku czołg obrócił się wokół własnej osi, zderzając się z sąsiednim. W upiornym kłębowisku dymu i płomieni rozległy się przeraźliwe krzyki. T-34 wjechał na dziurę Lensena i jego towarzysza i zaczął krążyć w miejscu, miażdżąc wszystko pod swoim ciężarem.

Tak oto poległ Lensen, na pruskiej ziemi, na której pragnął umrzeć. Dla nas horror trwał nadal. Mimo że czołgi już odjechały, by kontynuować swój marsz, umieraliśmy ze strachu, spodziewając się piechoty. Niesamowicie przerażeni, zerkaliśmy na prawo i na lewo. Mówiąc „my”, mam na

myśli tylko kolegę, wraz ze mną zajmującego to samo schronienie, a także dwójkę strzelców, nieruchomych jak pnie drzew, za którymi się schowali.

Co stało się z Lindbergiem i szóstym chłopakiem z mojej grupy? Prawdopodobnie zostali przywaleni zmiażdżonymi przez czołg ruinami budynku. Na razie tylko to przyszło mi do głowy. Wiedziałem też, że nie istniała już grupa broniąca się na drodze i że ten biedny Lensen miał tak straszliwy koniec. Gdzie kryli się jego grenadierzy? Może również spoczywali pod ruinami gospodarstwa rozwalonego pociskami... Od natłoku myśli i różnych hipotez pękała mi głowa. Było raczej rzeczą ryzykowną próbować wtopić się w jasnoszarą ziemię, na której wszelkie ciemniejsze nierówności terenu były bardzo widoczne. Przez głowę przelatywały najrozmaitsze warianty ucieczki, ale szybko doszedłem do wniosku, że są one nierealne. Ucieczka do widocznego z lewej strony świerkowego lasu, to konieczność pokonania biegiem trzystu metrów w niemal całkowicie odkrytym terenie. Ruscy zauważyliby mnie, zanim pokonałbym połowę drogi. Były jeszcze dymy z palących się czołgów, ale wznosiły się pionowo w górę i nie maskowały terenu.

Nagle owładnęło mną jakieś egoistyczne uczucie, że jestem w pułapce bez wyjścia. Byłem pewien, że to już koniec ze mną. Tak pewien, że jak szalony szarpnąłem kolegę za ramię, rozkazując mu, by strzelił mi w łeb. Towarzysz, przeżywając te same katusze, odwrócił ku mnie przerażoną twarz.

— Nie — wymamrotał. — Nie. Nigdy tego nie zrobię. Ale jak chcesz, zabij mnie! No dalej! Zabij mnie!

Straszliwy dylemat i groteskowa sytuacja zarazem. Niełatwo to teraz opowiedzieć.

Patrzyliśmy na siebie nienawistnie i pogardliwie, pełni złości i urazy. Każdy zrzucał na drugiego winę, że ta cholerna chwila przedłużyła się w nieskończoność.

— Zdechniemy tutaj, ty podła kanalio! — warczałem. — Rozwal mnie!

Ja tu rozkazuję!

— Nie, nie, przestań! Ja nie mogę tego zrobić! — spazmował mój towarzysz.

— Bo boisz się, że zostaniesz sam!

— Tak. I ty też się boisz!

— Ale czy nie widzisz, że nie mamy innego wyjścia?! Usłyszeliśmy odgłosy toczącej się walki. Dochodziły z północy, czyli zza naszych pleców.

— Chyba dopadli już kompanię — pomyślałem. — Gnoje!

Hałas nie ustawał. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu, nie wykonując najmniejszego ruchu.

Nie mieliśmy już nic do powiedzenia. Już dawno wszystko zostało powiedziane.

Po chwili dołączyła do nas dwójka moich strzelców. Również Lindberg nie zginął. Wygrzebał się spod ruin, pociągając za sobą kolegę, który miał całą opuchniętą twarz. Wszyscy byliśmy teraz w jednej dziurze. W tej właśnie chwili ktoś z nas dostrzegł ludzi, jak wydostawali się ze zniszczonego

gospodarstwa i ostrożnie, skokami, przemieszczali się w kierunku lasu leżącego sto pięćdziesiąt metrów po lewej stronie.

— To chłopaki z ochrony Lensena — rzucił ktoś. — Uciekają do lasu.

— Trzeba też tam zmykać — odezwał się błagalnym głosem Lindberg. — Rosjanie zaraz nadejdą.

— Łatwo powiedzieć — stwierdziłem. — Popatrz tylko na ten odkryty teren do pokonania.

Ruscy zaraz nas zauważą.

Nikt mi się nie sprzeciwił. Chłopaki patrzyli to na mnie, to na znajdujący się na skraju wioski świerkowy las. Dlaczego w tej właśnie chwili, w tym szczególnym momencie, nie potrafiłem przekazać swoim ludziom, co w takiej sytuacji należy robić? Oby spadło na mnie

przekleństwo! Dlaczego nie miałem tego zdecydowania, tej silnej woli, co zdoła ludzi przekonać, że potrafię wziąć odpowiedzialność za los powierzonej mi grupy? Sterczałem

bezradnie, niezdolny do kierowania tymi, którzy oczekiwali ode mnie jakiegokolwiek inicjatywy. Ciężka na mnie klątwa Lensena: nieostrożnie powierzono mi dowództwo, a ja byłem do tego niezdolny.

Moja bezradność przejawiała się właśnie tutaj, sto metrów od grobu bohaterskiego Lensena.

Był to jakby symbol.

Tkwiałem tak zdruzgotany, przytłoczony ciężarem tysiąca czarnych myśli, wylewając w duchu gorzkie łzy rozpacz.

Czułem, że moi towarzysze sami podejmą decyzję, której nie potrafiłem narzucić im jako ich dowódca. Czyż więc nie byłem tchórzem? Czy właściwie nie byłem człowiekiem równie godnym pożałowania, jak Lindberg, którego notoryczny strach tak często budził w nas wstępną? Nie pragnąłem już śmierci, przeklinałem swoje istnienie, do którego wstyd się przyznać, istnienie będące jednym pasmem koszmarów.

Teraz, w tym decydującym momencie, waliło się w gruzy wszystko, czego oczekiwałem od ludzi i od siebie.

Poruszałem głową jak pijak w chwili, gdy jego wesołość przemienia się w rozpaczliwy smutek. Sterczałem w tej dziurze, świadom wreszcie wszystkiego; sterczałem tam nieruchomo, zwyciężony, przygwożdżony obłądnym, żalonym strachem. I nic na to nie mogłem poradzić. Nigdy nie wybaczę sobie tej postawy. Owa pamiętna chwila poruszyła mnie do głębi.

Upływały minuty, a ja nadal tkwiłem w tym letargu; upływały cenne minuty, kiedy należało działać szybko i rozważnie. Strach przygwożdżał mnie na miejscu, wśród pięciu zrozpaczonych ludzi, gotowych do najbardziej szaleńczych aktów. Nie rozglądałem się dookoła w poszukiwaniu zewnętrznego zagrożenia, jakie za chwilę nadejdzie; spoglądałem w głąb siebie i widziałem jedynie bezdenną rozpacz.

I znów słychać było warkot czołgów, chrzęst gaśienic, wycie silników. Wokół mnie zatrzęsło się wszystko, a ja ani drgnąłem, porażony strachem. Koledzy zbili się w gromadkę, wykrzywiając twarze, gotowi wyc z przerażenia.

Lindberg uniósł się z miejsca, pokonując strach. Chciał widzieć. Chciał widzieć, jak to się stanie. Porzucił karabin, nie myśląc o obronie. Jego skołowany umysł zaprzętała obsesyjna myśl: patrzeć... Padł na brzeg okopu, drżąc podobnie jak my w rytm tych piekielnych wstrząsów. Bredził i płakał równocześnie. Mój towarzysz walk zacisnął kurczowo dłonie na uchwytych dwóch granatów. Śmierć nadchodziła wielkimi krokami. Wstrząsany straszliwymi drgawkami, czułem wyraźnie jej obecność.

Artyleria grzała ze wszystkich stron. Pobliskie eksplozje odebrały nam jakąkolwiek zdolność myślenia. Nic już do nas nie docierało. Nagle zdawało nam się, że słyszemy odgłos zbliżającego się pojazdu. Cały czas rozlegał się grzmot lekkich dział. Patrzyliśmy niemym wzrokiem na skamieniałego ze strachu kolegę. Nie wierząc własnym uszom, usłyszeliśmy jakieś zdania wypowiedane po niemiecku, dochodzące zza zawalonego budynku, tam gdzie stał pracujący cicho samochód. I znów wycie jadących czołgów zagłuszyło terkot broni automatycznej. Siedzieliśmy w dziurze, sztywni, sparaliżowani ze strachu. Nagle jakiś człowiek pochylił się nad naszym okopem. Był to oficer. Niemiecki oficer. Dostrzeżliśmy go, nie patrząc na niego. Może uznał nas za poległych. Oficer poszedł dalej. Po dwóch minutach do dziury zeszło dwóch grenadierów pancernych. Poszliśmy potulnie za nimi. Niemieckie kontrataki przeprowadzano zgodnie z planem. Brały w nich udział dwa pułki pancerne SS, które zaszły Rosjan od flanki, zadając im ciężkie straty. Nawet odbito wioskę na kilka dni. A potem odwrót trwał nadal...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Memel

Posuwamy się na północ. Nie można już połączyć się z Frontem Kurlan-dzkim. Następuje powolna koncentracja resztek naszej dywizji. Oddział poniósł ogromne straty, usiłując przebić się na odcinek północno-wschodni. W tym czasie Rosjanie w wyniku zacieklej ofensywy dotarli do Bałtyku dalej na południe. Walki, których zaciętość przechodziła najśmielsze wyobrażenia, miały zresztą miejsce na różnych odcinkach. Na tych samych terenach trwał exodus przerażonej ludności, co jeszcze bardziej dezorganizowało niemiecką obronę.

Przed sowiecką nawałnicą cała ludność cywilna z terenu Prus ucieka w popłochu w kierunku wybrzeża. My mamy dwie możliwości: albo próbować dostać się na południe, przebijając się przez liczne wysunięte kolumny atakujących Rosjan, albo też wycofywać się na północ, w kierunku tworzącego się frontu w rejonie Memla. Dowództwo dywizji dokonuje błyskawicznej oceny: przedzieranie się na południe nie ma szans powodzenia. Południe to Królewiec, a może nawet Elbląg. Te dwa odcinki są również poważnie zagrożone, a bliższy z nich odległy jest o około sto pięćdziesiąt kilometrów. Oznacza to prowadzenie ustawicznych, rozpaczliwych walk na całym stu pięćdziesięciokilometrowym terenie, przy czym szansę powodzenia są znikome. Na tym odcinku, gdzie fala uchodźców jest największa, jakiegokolwiek zaopatrzenie naszych oddziałów nie wchodzi w rachubę.

Wybrano więc Memel. Przez ten niewielki, praktycznie już od jesieni będący w okrążeniu front, trzeba będzie utorować sobie drogę odwrotu. Drogę odwrotu dla armii i nieszczęsnych uchodźców, którzy ciągną rozpaczliwie za wojskiem, utrudniając marsz, paraliżując wszelkie nasze ruchy.

Widzę tragiczny, nie kończący się orszak uchodźców, brnących na ogół pieszo w srogim mrozie i błocie z pierwszych roztopionych śniegów; widzę niewyobrażalny chaos, jaki staramy się opanować, pomimo zakazu przełożonych pomagając ludziom i podtrzymując ich na duchu. Każdy wehikuł o sprawnym silniku, choćby nawet przez godzinę, wiezie prócz najniezbędniejszego sprzętu wojskowego chmarę wystraszonych dzieciaków, drżących z

zimna, głodu, ze strachu i Bóg wie z jakiego jeszcze powodu. Pełzające pojazdy otoczone są rodzinami. Wśród nich widać żołnierzy — ostatnią nadzieję uchodźców.

Mijamy wsie i miasteczka, których mieszkańcy jeszcze cztery — pięć dni temu, mimo że przeczuwali nadciągające niebezpieczeństwo, oddawali się codziennym zajęciom, niemal jak w czasach pokoju. Przez dwa dni starcy, kobiety, dzieci kopią z największym pośpiechem pozycje obronne, gdzie schronią się wycofujące się wojska; przygotowują stanowiska ogniowe dla artylerii, rowy przeciwczołgowe, na które mają się natknąć masy sowieckich czołgów. Cóż za heroiczna praca, coś za nadludzki wysiłek przed straszliwą klęską, po której dołączą do fali uciekającej w popłochu ludności. Pierwszym szokiem dla tych dzielnych cywili jest widok wycofującej się armii, wyczerpanej, przymierającej głodem, nie mającej chęci dalej walczyć i dalej żyć; armii, w której ludzkie pionki nikną nieubłaganie jak w przegranej już partii szachów.

Na każdej uformowanej pośpiesznie linii obrony ma miejsce próba oporu. Trzeba opóźnić marsz nieprzyjaciela, depreczającego nam po piętach. Nieprzyjaciela, co wznosząc okrzyki zwycięstwa, dokonuje przerażającej masakry wśród ludności cywilnej patrzącej w niemym przerażeniu na swój tragiczny koniec. Los żołnierzy broniących tych pozycji jest z góry przesądzony. Mimo to obrońcy mają kruchą nadzieję, że może uda im się ugasić proch, choć został już podpalony. Ich postawa bardzo się liczy. Znamy uczucia każdego z nich. Ich tragizm widzą i zapamiętają ci, co się z nimi żegnają. Żołnierze doszli do takiego stanu, że pokochają śmierć. Wojna trwa nadal, płomień pożogi nie gaśnie i nawet najbardziej ludzkie uczucia nie zdołają go stłumić. Ci, co przebijają się do Memla, prawdopodobnie tam zginą. Przyniesie im to ulgę. Lepiej zdechnąć tam niż w jakimś nieznanym miejscu, gdzie nigdy nie przeprowadzono żadnej operacji wojskowej.

Absolutne poświęcenie dochodzi do absurdu. A może absurd to tylko absolutne poświęcenie? Waleczna dywizja przebija się w końcu, to znaczy jedna trzecia jej stanu. Udaje jej się przebić i jest to wspaniałe. Dowództwo fortecy Memel wie, że odtąd dysponuje również dywizją zwaną ciągle „Gross Deutschland”. Udaje jej się przebić, a te tysiąc pięćset osób, poległych w tym czasie, to tylko kolejna liczba w bilansie heroizmu. Jeśli chodzi o naszą kompanię, trzeba było skreślić z jej stanu dwadzieścia nazwisk, w tym Siemenleisa i Wienkego.

Mogło nam się nie udać. Wydaje nam się nawet, że rosyjskie kleszcze zelzały nawet nieco, byśmy mogli przejść. Wzięliśmy z sobą tylu cywili, ilu tylko się dało. Wielu innych pozostało w tyle. Dla nich to już prawie koniec. Będą musieli uciekać przed goniącymi ich czołgami i pokonywać, jeśli się odważą, przeszkody złożone z haubic, poczwórnie sprzężonych karabinów

maszynowych i bagnatów Iwana. Wszystko to jest ogromnie uciążliwe dla matki z niemowlęciem na ramionach i dzieciakiem uczeptionym spódnicy. Ale czyż nie urodziliśmy się wszyscy, by umrzeć?

I oto znajdujemy się w Memlu, chwilowo uratowani. Podążaliśmy tam ciężarówkami ciągniętymi przez ludzkie ramiona, czołgami, które — o dziwo — tak jak lokomotywy potrafiły wlec za sobą cały sznur pojazdów. Był to absolutny szczyt naszych możliwości. Każdy pojazd, każdy organizm ludzki, zdający się jeszcze funkcjonować, pomimo awarii, pomimo ran, posuwa się do przodu, błogosławiąc niebiosą, że raczyły odroczyć klęskę. Bombardowania przykuwają na miejscu tylko tych, co nieodwołalnie odchodzą na tamten świat. Umarli ze strachu idą dalej z błyszczącymi oczyma, mijając tych, co padają i znaczą ślad odwrotu.

Ogarnięty płomieniami, będący oceanem ruin Memel żyje jeszcze pod sklepieniem utkanym z gęstych dymów. Memel żyje, żyje w ciągłym strachu, zasypywany wirującym śniegiem, słuchając wycia rosyjskich myśliwców bombardujących i huku ciężkiej artylerii.

Po raz kolejny słowa nie są w stanie wyrazić tego wszystkiego, co widziały moje oczy.

Właściwie wydaje mi się, że opisuję jedynie rzeczy błahe. Nie istnieją słowa zdolne opisać

koniec wojny w Prusach. Widziałem, jak ludzie uciekali we Francji przed armią niemiecką, do której mnie później wcielono; widziałem matki błagające o mleko w opuszczonych gospodarstwach, widziałem przewracane wozy, raz nawet strzelano do mnie w okolicach Montargis. Ale wszystko to kojarzy mi się tylko z niewielkim lękiem, nawet nieco ekscytującym; z jakąś podróżą, podczas której coś się działo. A poza tym była wtedy piękna pogoda. Tutaj jest mróz, pada śnieg i wszystko wokół jest zniszczone. Uciekinierzy umierają tysiącami i nikt nie jest w stanie im pomóc. Rosjanie, kiedy nie walczą z naszymi oddziałami, pędzą przed sobą tłum cywili. Strzelają z dział i gnają czołgami pośród tej przerażonej i rozszalałej masy. Każdy, kto ma trochę wyobraźni, może namalować obraz przedstawiający to, co usiłuję opisać. Nigdy jeszcze okrucieństwo nie osiągnęło takiego natężenia, nigdy wyraz „potworność” nie będzie oznaczał tego co tu.

Tak, Memel to dla nas ślepa uliczka. Zajmujemy półkole o promieniu około dwudziestu kilometrów, przyparci do Bałtyku, którego szare, lodowate fale pędzą w nieprzeniknionej mgle. Półkole to coraz bardziej się zacieśnia i nie wiem, jakim cudem zdoła się utrzymać przez znaczną część zimy. Półkole ustawicznie druzgotane rosyjskimi bombardowaniami i kruszejące pod naporem nieprzerwanych ataków coraz liczniejszych rosyjskich wojsk. A wśród nas są tysiące, tysiące uchodźców; ich rozpacz nie zdoła wyrazić żaden komentarz; tysiące czekających na ewakuację drogą morską, nim w połowie grudnia zaczną się ewakuować wojsko.

Zniszczony Memel nie jest w stanie ani pomieścić, ani zapewnić schronienia znacznej części ludności pruskiej, jaka schroniła się w jego murach. Ludność ta może liczyć tylko na symboliczną pomoc z naszej strony, lecz paraliżuje ruchy wojska, osłabiając i tak już prowizoryczne linie obrony. W tym osaczonym przez nieprzyjaciela półkolu, wibrującym od huku eksplozji zagłuszających wszelkie krzyki, żołnierze z dawnej elitarniej jednostki, oddziały Yolksturmu, inwalidzi i ranni pomagający w obronie, kobiety, dzieci, niemowlęta i chorzy przygwożdżeni są do lodowatej ziemi, pod sklepieniem z mgły rozświetlanej łunami pożarów, w zamieci śnieżnej pieszczotliwie muskającej lodowatym dotykiem przedostatni akt wojennej pożogi. Racje żywnościowe są tak niewielkie, że wydawana okazjonalnie dzienna porcja jedzenia dla pięciu osób nie wystarczyłaby dziś na przekąskę dla ucznia. W ukrywającej częściowo ten dramat mgle nieustannie rozlegają się apele o zachowanie porządku i spokoju. W dzień i w nocy odpływają z Memla najprzeróżniejsze jednostki załadowane po brzegi uchodźcami. Nocą, a szczególnie w czasie dnia, atakuje je sowieckie lotnictwo. Niekończące się kolumny uciekinierów, których nasze służby bezskutecznie usiłują policzyć, przesuwają się w kierunku nabrzeża, stanowiąc doskonały cel dla rosyjskich pilotów. Rosyjskie pociski i bomby sieją straszliwe spustoszenie w wyjąłym z przerażenia tłumie, kurczącym się i ginącym pod ciosami wroga, ale pozostającym na miejscu w złudnej nadziei, że wkrótce będzie można odpłynąć. Padają apele o zachowanie spokoju, po raz kolejny przypomina się o konieczności nadzwyczajnych ograniczeń. W praktyce oznacza to głód dla tych udręczonych, czekających na wybawienie ludzi. Dramat jest tak wielki, że bohaterstwo staje się czymś banalnym. Starcy popełniają samobójstwo, podobnie kobiety. Matki oddają dzieci innym kobietom, błagając je, by swoje ewentualne racje żywnościowe dały ich pociechom. Przydaje się każda znaleziona przy martwym żołnierzu broń. Memel to bohaterstwo i rozpacz. Ludzi pociesza się, mówiąc im o przyszłości, ale tu właściwie wszystko traci jakiejkolwiek znaczenie.

Ci męczennicy są często świadkami samobójstw swych bliźnich, nie próbując nawet im w tym przeszkodzić. Niektórzy w przyływie obłędu — który nie wiem, jakie osiągnął już stadium — odbierają sobie życie na stosach poległych, ułożonych gdzieś przez cywilne grupy ratunkowe. Może chcą w ten sposób ułatwić im zadanie. Kapitulacja, wszystko jedno na jakich warunkach, położyłaby kres tej potwornej panice. Ale Rosjanie wzbudzili tak wielką nienawiść, taką nieopisaną wściekłość, że nikt nawet o tym nie myśli. Trzeba trzymać

się, trzymać się za wszelką cenę, ponieważ w końcu ewakuujemy się drogą morską. Trzeba trzymać się albo zginąć. Może naczelne dowództwo ma inną koncepcję, może planuje utrzymać Memel, by przekształcić miasto w przyczółek, skąd wyruszy kontrofensywa mająca powstrzymać rosyjskie natarcie.

Utopia! Nikt spośród ludzi dźwigających ten męczeński krzyż w to nie wierzy. Ciągłe jeszcze nasze wojska przybywają do miasta, z którego ewakuują się cywile. Naszym zdaniem oddziały te nadają się tylko do wzmocnienia obrony. Koncepcja kontrataku wydaje się absolutnie nieprawdopodobna.

Naczelne dowództwo z najwyższym uznaniem wyraża się o bohaterskiej obronie Memla, mając nadzieję, że pozostanie choć jedna szalupa, żeby nas uratować, po tym jak już ostatni cywil opuści port. A więc trzeba się trzymać, nawet jeśli w tej rozpaczliwej walce zatraciliśmy wszelkie związki z normalną egzystencją. Tutaj bije się nawet najzwyczajniejszy, nawet najbardziej bojaźliwy człowiek. Jest to najzupełniej normalne. Tutaj miejsce jest tylko dla tych, co walczą. Dzieci, młodziutkie dziewczyny, ocierają łzy i biegną na pomoc rannym, rozdają racje żywnościowe, walcząc z pokusą sięgnięcia po nie. Te dzieci pokonały własne uczucia i jakże zrozumiały w tym wypadku strach. Biegną robić to, co każą im nie mający ani chwili wytchnienia starsi; nie dyskutują, nie skarżą się. Trzeba zginąć albo żyć. Żadne półśrodki nie wchodzi w rachubę. Trzeba zginąć albo żyć — rozumieją to wszystkie dzieci. Nie trzeba im o tym mówić ani im tego tłumaczyć. Te, którym uda się wyjść cało z tej potwornej szkoły życia, nigdy nie będą traktować poważnie trudności życia codziennego. Niemiecki naród zaznał już wszelkich możliwych cierpień. Nie znajduję słów, by wyrazić swój najgłębszy podziw i szacunek.

Na wysuniętych posterunkach obronnych spotkać można również cywili, którzy często biorą udział w walkach. Uczestniczą w nich także kobiety. Dzięki bezprzykładowemu poświęceniu front utrzymuje się. Jeżeli mówię: „utrzymuje się”, chcę po prostu powiedzieć, że nie został przerwany. W rzeczywistości Unia frontu w wielu miejscach przesuwają się do tyłu i nieustannie się zwęża. Nie kończące się rowy przeciwczołgowe, wykopane odpowiednio wcześniej, poważnie wzmocniły naszą obronę. Rosjanie chcą wykończyć nas przede wszystkim przy użyciu lotnictwa i ciężkiej artylerii. Siły te wzmacniają nieustannie. Jednak ataki te drogo ich kosztują, bardzo drogo. Zacieśniający się front umożliwia nam koncentrację sił. W okolicach Memla widać niezliczone wraki rosyjskich czołgów. Nasi strzelcy przeciwpancerni są tak liczni jak żołnierze piechoty. Cywilni ochotnicy przenoszą miny na przedpola naszej obrony, gdzie piechota układa je, przeprowadzając w tym celu błyskawiczne kontrataki. W zasadzie tylko nieprzyjacielskiemu lotnictwu nie jesteśmy zdolni przeciwstawić się. Rosyjskie myśliwce bombardujące przeprowadzają nieustanne ataki. Znajdujące się na północny zachód od naszych pozycji resztki zniszczonych wagonów w przeciągu dwóch dni były ośmiokrotnie bombardowane. To co zostało z obrony przeciwlotniczej, zgrupowano wokół nabrzeży, tam gdzie czyha największe niebezpieczeństwo. Znacznie utrudnia to zadanie rosyjskim pilotom, którzy wolą już nasze szczątkowe linie obrony; tam mogą latać niemal bez przeszkód.

I tak pomimo całego tego piekła, pomimo skreślanych codziennie ze stanu osobowego nazwisk, pomimo mrozów i braku wszystkiego Memel, ten niesamowity Memel, trzyma się jeszcze!

Któregoś szarego popołudnia następuje koncentracja kilku oddziałów naszej słynnej dywizji. Każdy z nas otrzymuje amunicję ofensywną i dwie puszki konserwowe. Mniejsza z tym, co w nich się znajduje. W niektórych będzie kilo marmolady z jabłek, w innych kilogram margaryny. Nie ma to żadnego znaczenia. W tych pamiętnych dniach, na przedpolach zrujnowanego miasta noszącego jeszcze nazwę Memel, unosi się nadal duch niemieckiej organizacji wojskowej. Zaopatrzenie, racjonowane jak tylko się da, przeznaczone jest dla oddziałów mających ruszyć do natarcia. Tak! Mimo że może się

to wydawać absolutnie nieprawdopodobne, obecne tu resztki niemieckiej armii ruszą do kontrofensywy w kierunku południowym, by połączyć się z frontem w rejonie Cranzu i Królewca. Zniechęceni wczorajsi wojacy słuchają wytycznych oficerów przygotowujących ten manewr.

Halls i ja budzimy się z letargu, w jakim tkwiliśmy od kilku dni. Już od dawna z niedowierzaniem przyjmowaliśmy najbardziej nieoczekiwane rozkazy, teraz jednak rozkaz przeprowadzenia ataku siłami i środkami, jakimi dysponujemy, wprawia nas w takie osłupienie, że nie jesteśmy w stanie się kontrolować. Nie pamiętam już, niestety, jaki kryptonim nosiła ta operacja. Atak nasz ma uzyskać wsparcie kilku nieuszkodzonych jeszcze czołgów. Zgromadzono sprzęt pochodzący od uchodźców z Kurlandii, a nawet z Niemiec. Mamy opanować wioskę oddaloną piętnaście kilometrów w kierunku południowym, na trasie okalającej dużą zatokę. Dowództwo chce przeprowadzić operację podczas paskudnej pogody. Pada deszcz ze śniegiem. Warunki atmosferyczne są tak beznadziejne, że nawet rosyjska artyleria niemal całkowicie wstrzymała ogień nękający. Na to właśnie liczą dowódcy tej szaleńczej, ostatniej już operacji.

Dwanaście brudnoszarych czołgów rusza naprzeciw nieuchronnemu losowi. Na ich bokach, mających barwy naszej nędzy, czarne krzyże są prawie niewidoczne. We wnętrzu pojazdów nastawione na krótkie fale radiostacje pracują w rytm pędzących Walkirii. Tego właśnie potrzeba, by się zdobyć na absolutne poświęcenie. Tuż za czołgami posuwają się zdezelowane ciężarówki z zamontowanymi działami i cekaemami, zastępując świętej pamięci pojazdy gąsienicowe transportujące w dawnych dobrych czasach grenadierów pancernych. Wokół sprzętu zmotoryzowanego biegają gromady piechoty zmieszane z resztkami formacji lotniczych i morskich. Nasza grupa, w której z ogromną radością rozpoznałem twarze Hallsa i Wienera, czepia się kurczowo gołego podwozia autobusowego.

Szpica nacierającej kolumny kompletnie zaskakuje rosyjski park czołgów. Pojazdy ustawione są równo w śniegu jak na paradzie. Iwan, całkowicie zaskoczony tym atakiem, w popłochu opuszcza zajmowany teren. Niemieckie oddziały znanym tylko sobie sposobem wywołują pożary w parku czołgowym. Zdobywcze paliwo pozwala mieć nadzieję na kontynuowanie ofensywy. Natarcie trwa nadal, chociaż diabelska zawierucha śnieżna smaga policzki i dłonie żołnierzy. Rozbijamy kilka zaskoczonych oddziałów nieprzyjaciela. Niestety! Otaczające Memel rosyjskie wojska zgrupowane są na znacznej głębokości.

Rosjanie rozpoczynają kontratak, prawie natychmiast powstrzymując nasze szaleńcze natarcie. Niebawem zwali się na nas straszliwa nawałnica nieprzyjaciela. Na spotkanie z nami pędzą już zapewne czołgi wysłane z najbliższych baz.

Gdy nasza operacja osiąga punkt krytyczny, z morza dochodzą salwy artyleryjskie. Kiepska pogoda nie pozwala nam dostrzec krążących w pobliżu okrętów, lecz zbawienny ostrzał z ich dział kierowany jest na zbliżającą się rosyjską nawałnicę. Są to dwa albo trzy niszczyciele, a może też torpedowce, specjalnie wysłane nam na odsiecz. Pomimo zerowej widoczności, współrzędne przesyłane na okręty przez pancerną szpicę naszej kolumny pozwalają prowadzić skuteczniejszy ogień. Dzięki tej synchronizacji rosyjskie uderzenie zostało częściowo powstrzymane. Możliwe też, że operujący w głębszych rzutach Rosjanie nieprecyzyjnie określają cele i ostrzeliwują własne oddziały, sądząc, że dysponujemy ciężką artylerią polową. Zresztą nic to już nie pomoże. Ruscy rzucą przeciw nam jeszcze większe siły. Pod koniec dnia nasze szczupłe oddziały zaatakowane zostały z flanki na szerokości dziesięciu kilometrów. Takiej nawałnicy nie możemy już się oprzeć. Wkrótce połowa naszych czołgów staje w płomieniach na skutek huraganowego ognia prowadzonego z „Organów Stalina”. Operacja kończy się niepowodzeniem, jak można się było spodziewać. Padają rozkazy odwrotu do Memla. Oznacza to przedzieranie się na tej samej trasie przez dziesięć kilometrów, lecz w o wiele cięższych warunkach niż poprzednio.

Opuściliśmy szosę, wzdłuż której rozwijało się ostatnie natarcie. Tą drogą przewożony jest

teraz tylko sprzęt, gdyż gdzie indziej nie ma odpowiednich warunków terenowych. Został wydany na pastwę rosyjskiej artylerii. W nocnych ciemnościach rozświetlanych tysiącami wystrzałów zziębnięci żołnierze biegną wzdłuż wydm, pokonując skokami przestrzeń między jednym okopem a drugim. Każdy krok w kierunku Memla jest na wagę złota. Na domiar złego niedobitki kolumny muszą przebyć dwukilometrowy odcinek w odkrytym terenie, gdzie jeszcze dziś rano sami zaminowaliśmy rowy.

Dwa kilometry drogi iluminowanej rakietami oświetlającymi, znaczonej eksplozjami. Szosa jest stosunkowo wąska, ale na szczęście jeszcze niezbyt zniszczona. Trzeba tylko objeżdżać nieliczne leje.

Na ten piekielny szlak z pełną prędkością wjeżdżają pierwsze pojazdy. Iwan nie zdążył jeszcze precyzyjnie wyznaczyć współrzędnych artyleryjskich. Pociski padają daleko od celu. Ale następną gupę pojazdów spotyka już godniejsze powitanie. Dwa samochody inkasują bezpośrednie trafienie, które rozrywa je na strzępy. Dwa kolejne, posiekane odłamkami, docierają na mniej niebezpieczny teren. Szczątki pojazdów zawały drogę. Otrzymujemy zadanie oczyszczenia jej. Iwan zdążył już się zbliżyć i pruje teraz z granatników i broni maszynowej. Mimo szalonego strachu staramy się nie pozostawać dłużni. Czołgamy się po wirującym żwirze. Rowy, które mogłyby nam służyć za schronienie, są zaminowane. Wpadamy we własną pułapkę. Pada jeszcze kilku naszych żołnierzy, krzyżując ramiona i patrząc po raz

ostatni w ciemne, rozszalałe niebo. Czy trzeba będzie apelować po wojnie do Czerwonego Krzyża, by poznać nazwiska ostatnich żołnierzy poległych w trakcie tej karkołomnej operacji? Pozostało nas już niewiele i ta garstka robi co w ludzkiej mocy, byle tylko przeżyć. Dotarliśmy do pierwszych zniszczonych pojazdów zawałających drogę. Dookoła słychać wybuchy sowieckich granatów rozświetlających nocne ciemności. Poczwoźnie sprzężony kaem rozwała skraj rowu znajdujący się na szczęście nieco wyżej niż szosa.

Pociski z tego kaemu trafiają przy okazji w pozostałości dwóch rozwalonych pojazdów. Resztki ich drżą i podskakują na jezdni przy każdej serii. Obok tych poskręcanych blach dwóch facetów, podobnie jak my wierzących w jakiejś wyjście z tej sytuacji, leży bezwładnie w zeszmączonych mundurach, zaznając wreszcie wiekuistego spokoju.

Trzeba wywalić poza drogę całe to tamujące przejazd żelastwo, ale jeśli uniesiemy się z miejsca, mamy stuprocentową pewność pozostania tam na zawsze. Po raz nie wiem już który, ze sparaliżowanej strachem grupy wyskakuje weteran i w pozycji klęcznej, pod ogniem kaemów rzuca granat na pierwszy stos złomu. Wspaniale, Wiener! Trzeba było tak zrobić! Nie licząc kilku rozsianych resztek, pierwszy wóz wyrzuciło z szosy. Taki sam los spotkał kolejny pojazd. Trzeci to trzyipółtonowa ciężarówka, do której trzeba aż czterech granatów. Za jednym zamachem wykończyliśmy chyba znajdujących się w pojazdach rannych. Cóż, to ciągle wojna! Heil Wiener! Znów wydostałeś nas z tarapatów!

Około północy, podczas szalejącej burzy śnieżnej, dwie trzecie oddziałów dociera w końcu do Memla. obrońcy miasta zostali uprzedzeni i osłaniają nas ogniem. Przemarznięci, ślaniający się ze zmęczenia, dostajemy się na tyły umocnionego obozu. Bilansu brakujących dokonuje się za obozem, w ruinach kąpieliska. W zgiełku walk, znajdując się cały czas na linii frontu, staramy się w końcu zapaść w sen wojownika, choć mamy na to niewielkie szanse. Samo to, że ośmieliliśmy się zaryzykować, uznaliśmy za akt heroizmu.

Kiedy nazajutrz około 11 zjedliśmy swoje racje przeznaczone na czas ofensywy, ponownie wysłano nas na stanowiska obronne. W tak dramatycznej sytuacji dłuższy odpoczynek jest niemożliwy. Mimo ogromnego ryzyka ludność cywilna w dalszym ciągu wchodzi na statki. Na skutek wysokiej fali wszystkie jednostki pokryte są szronem. Podobnie wyglądają ludzie opuszczający już nabrzeże. Bryzgi fal smagają zsiniałe twarze umęczonych uchodźców nie wydających ani słowa skargi. Ucieczka z tego "piekła" jest tak wielkim pragnieniem, że nikt nawet nie myśli, by się nad sobą rozczulać.

Żołnierze w dalszym ciągu starają się uniemożliwić Rosjanom dostęp do miasta i jego najbliższych okolic. Możliwość ewakuacji drogą morską to ostatnia deska ratunku, dlatego dokonujemy cudów, żeby się utrzymać. Dostajemy amunicję, żywność i leki. Są dni, kiedy rosyjski ostrzał jest mniej intensywny. Pomimo coraz większego mrozu życie w mieście wydaje nam

się znośniejsze. Nie wiemy jeszcze, że Rosjanie skoncentrowali swe wysiłki bardziej na południu. Coraz bardziej zagrożony jest Królewiec, Heiligen-beil, Elbląg, a w niedługim czasie Gdynia.

Los uchodźców na tych terenach, jak dowiem się później, będzie wielokrotnie gorszy. Rosjanie na pewien czas odstępują więc od Memla, by pociągnąć w głąb Prus, gdzie resztki niemieckich wojsk stawiają im rozpaczliwy opór. Wszelkie wysiłki są jednak daremne. Trzy potężne armie sowieckie, które pojawiły się na niemieckiej ziemi, dysponują daleko większymi siłami i środkami niż to, co nam jeszcze pozostało. A poza tym Iwana gna do przodu jakiś dziki pęd. Na ruskich sztandarach widnieją napisy: „rewanż” i „zemsta”. Ludność męczeńskich Prus po wiek wieków będzie pamiętać, co te słowa w praktyce oznaczały.

Wśród tych nieszczęśliwców są też Litwini, Rosjanie — antybolszewicy, Polacy, a nawet jeńcy angielscy i kanadyjscy, którzy dzielą nasz los tu w Memlu. Sowiecki terror okazał się silniejszy niż różnice narodowościowe czy ideologiczne. To terror w swej najprymitywniejszej, niezrozumiałej wręcz postaci. Wszyscy uciekają, kiedy już nie ma żadnych innych możliwości. Nawet jeńcy angielscy i kanadyjscy mają niewielkie szansę, by zidentyfikowały ich nacierające watahy sowieckie. Kobiety, i to niezależnie od wieku, narażone są na innego rodzaju niebezpieczeństwa... Drogą morską zdołano ewakuować chyba kilka milionów ludzi.

W ruinach domu, nie przekraczających wysokości metra, weteran z największą ostrożnością odłożył swój kaem. Poszarzała od odmrożeń wewnętrzną stroną dłoni co jakiś czas zmiata płatki śniegu gromadzące się na metalowym zamku. Odniosłem wrażenie, że od czasu ostatniego ataku na południe od Memla weteran odzyskał spokój ducha. Towarzyszące nam ciągle podniecenie nerwowe jemu zdaje się nie udzielać. Nasz przyjaciel stał się milczący i prawie nie uczestniczy w rozmowach zrezygnowanych kolegów, tak jakby nasze nieszczęścia przestały go obchodzić. Wojna, mróz, paraliżujące nas niebezpieczeństwo — wszystko to nie wywiera na nim większego wrażenia. Jakoś dziwnie się zachowuje. O czym myśli weteran? A jednak tego samego ranka jego kaem znów uratował nam życie. Mam na myśli rosyjski patrol, który szczególnie zainteresował się naszą grupą. Dwadzieścia sztywnych ciał czerwonoarmiejców leży koło ciężarówki oddziałów Yolkssturmu; jechała z jednym tylnym kołem. Brakujące zastąpił wcisnięty w podwozie pniak drzewa, co okazało się skuteczne. Kolejny cud w oblężonym Memlu. Potem Ruscy poczęstowali ją pięćdziesięciomilimetrym pociskiem pod maskę. Siedzących w kabinie dwóch starsuszków w żołnierskich mundurach wyzionęło ducha, no i jeszcze teraz ten cholerny samochód zasłania nam widok. Ruscy chcieli posłużyć się nim jak tarczą, próbując rozwalić nas pociskami z granatnika. Wiener podziurawił ich

Dziś Mamonovo na terenie Rosji (przyp. tłum.).

ochronę pociskami rozpryskowymi i smugowymi, no i Iwan gryzie teraz piach. Był to wyścig na czas. Weteran okazał się szybszy i to wszystko. Jest teraz wśród nas: w dalszym ciągu milczy, wycierając swoją zabawkę jak najcenniejszy przedmiot. Halls, Lindberg, ja i jeszcze dwóch innych chłopaków siedzimy niespokojnie przy naszej zimnej, poszarzałej broni, zdając sobie sprawę, że niewiele już nam ona pomoże.

Mam do dyspozycji trzy pociski do pancernika i jeden z nowych pistoletów maszynowych Yolkssturmu, jakie nam ostatnio przydzielono. Jest to bardzo skuteczna broń, będąca czymś pośrednim między pistoletem a karabinem automatycznym. Mam też niewielką minę

magnetyczną, przez co czuję jeszcze większego pietra. Dysponujemy w Memlu wystarczającą ilością broni, by rozwalić się na miejscu. W każdym razie przy takiej ilości sprzętu szybki odwrót jest niemożliwy.

Przez dwa tygodnie utrzymywać się będziemy na tych pozycjach, odpierając dość niemrawe ataki przeprowadzane co najmniej raz na czterdzieści osiem godzin. Nasze zaplecze nie jest zbyt oddalone, toteż możemy kolejno tam odpoczywać w dość znośnych warunkach. W pobliżu, przy resztkach prowadzącej do Memla szosy, stoi kamień drogowy wskazujący, że jest jeszcze siedem kilometrów do morza. Siedem ostatnich kilometrów odwrotu znad Donu! Czy to możliwe? Niesamowita wędrówka na dystansie przekraczającym dwa tysiące kilometrów, pokonanym częściowo pieszo. Weteran mawiał mi czasem w żartach:

— Twój pradziadek, chłopcze, szedł już tą drogą u boku Napoleona. To także twoja sprawa. Pomyśl czasem o tym. Może cię to pocieszy.

Któregoś wieczoru, powracając do zimnej, wilgotnej piwnicy, służącej nam za noclegownię podczas odpoczynku, stwierdzamy, że miasto jest już niemal całkowicie opuszczone przez cywili. Ostatnia fala uchodźców zaokrętowała się chyba w ciągu dwóch ostatnich dni naszej warty.

W ciemnościach zapadających nad miastem przypominającym opuszczony cmentarz dochodzimy do naszej nory, uśmiechając się gorzko.

Koledzy, siedząc w kucki na nędznych wyrkach, jakie nam przydzielono, przegryzają w milczeniu to, co mógł im jeszcze dać Grandsk, nasz kucharz. Wcinają byle co, nie zwracając na to większej uwagi. Co ich, kurwa, to może obchodzić... Ich uwaga skupiona jest na czym innym. Moi wojacy zatapiają się w marzeniach. Marzą w ciszy, jaka już od dłuższego czasu panuje w izbie. Marzą, a ich błyszczące ze zmęczenia oczy patrzą w jakiś punkt szarobrudnego sklepienia piwnicy. Marzą o wolności, która powinna być już blisko, a także o upragnionej łajbie. Wsiądziemy na kołyszacy się na wzburzonych falach statek i oddalimy się od brzegu, będącego od wielu dni naszym oparciem. Moi koledzy marzą; rozumiemy się bez słowa. Z głębi wielkich, szarych oczodołów patrzą obłąkanym, ostrym wzrokiem. Ich oczy, przyzwyczajone tylko do oglądania wojny, nieśmiało, lecz zarazem tak intensywnie, że czuję to nawet ja, spoglądają na rysującą się szansę.

Moi koledzy marzą, i oby nie przyłapała ich na tym wojna; robią to tak, że tego nie widać. Nie patrzą na nikogo. Mają ważniejsze rzeczy do oglądania. Nadzieję? Jakaż ona może przybrać formę?

Tylko ja ich obserwuję. Tylko ja, bo nie ma już nic innego, na co mógłbym spoglądać. Za często już marzyłem. Za często już marzyłem i nie potrafię więcej. Cóż za nieszczęście! Może dlatego, że moje marzenia były koszmarami. Nawet gdybym jeszcze potrafił marzyć, nie ośmieliłbym się na to. Człowiek odczuwa zbyt wielki ból, kiedy marzenia nigdy się nie spełniają.

Ja już nie marzę. Zerkam na innych. Staram się spijać ich nadzieję i chwilami usiłuję naiwnie ją sobie wyobrazić. Widzę stos brudnych, zniszczonych butów, rzuconych na zabłocony pokład statku, wyrzgujących spłowieiałe i puste mundury... Dość tego! Nadzieja przybrała koszmarny kształt. Jaka jest nadzieja pozostałych? Nie potrafię już marzyć...

Mimo wszystko ciągle tkwi we mnie ta sama niecierpliwość, jaką koledzy skrywają i pieszcząc niczym największy skarb, jeszcze nie ofiarowany im przez życie. Ukrywam ją w sobie. Czuję ją i słyszę, jak z głębi mego jestestwa rozlega się jej krzyk. Tak. Słyszę jej przeraźliwy krzyk, sprawiający, że pochłania mnie ona całego jak grzmot eksplozji. Słyszę, jak krzyczy wniebogłosy, a moje życie nie wytrzymuje już tego. Nie liczę na jakąkolwiek nadzieję, na jakąkolwiek obietnicę. Boję się na tym padole żądać zbyt wiele. Boję się, że nawet najmniejsze, nawet najbardziej nieśmiałe pragnienie odebrane zostanie jak jakiś wymóg. Mam jeszcze życie i boję się, że to dostrzegą. Boję się zwłaszcza, że będą je chcieli mi zabrać. Wszystko już dałem — moje uczucia, mój niepokój, mój ból, mój strach;

zapomniałem też o Pauli i żeby nie czuć się zbyt bogaty, zapomniałem również, że jestem tak bardzo młody. Nie czuję się najlepiej, a wszystko tutaj jest takie trudne. Są ludzie z dziurą w brzuchu wielką jak pięść. Mówi się im, aby się jeszcze trzymali. Są ludzie, których krew rozlewa się na śniegu i którzy strzelają, aż oczy ich zajdą mgłą. Ja jestem szczęściarzem. Mam co prawda napady kaszlu i oddaję krwawe plwociny, ale tkwi jeszcze we mnie cząstka życia. Nie należy nikogo o cokolwiek błagać. Nawet gdyby Bóg nas usłyszał, w Memlu nic by to nie dało.

Spoglądam więc na swoich towarzyszy oddających się marzeniom, choć wiedzą, na jakie to ich wystawia niebezpieczeństwo. Memel potrzebuje wszystkiego, nadziei i marzeń. Ci, co mają jakąś nadzieję, biją się lepiej niż inni. A wszyscy jesteśmy już tak znużeni walką. Czasem niektórzy z nich, jakby pogrążeni w letargu, krzyczą. Jest to niezależne od woli tego, kto wrzeszczy. To nie on się wydziera, to jego zmęczenie, to jego wyniszczone narządy wydają ten ryk. Niektórzy wrzeszczą, śmiejąc się. Ci, co się modlą, mają nadzieję, ale często nadzieja ta jest martwa. A więc wykrzykują swoje modły. W każdym razie jest już za późno. Nawet gdyby te modlitwy zostały usłyszane, Bóg nie ośmieliłby się pojawić. Był głuchy, kiedy Smellens błagał, by się nad nim zlitował. Smellens umarł dziś rano. Chciał już umrzeć, ale przedtem pragnął otrzymać chociaż jakieś

wiadomości od młodszego brata, którego widział tylko dwa razy. Nasze pozbawione łez, nieczułe oczy patrzyły na zawaaloną gruzami ścieżkę, na której miał się pojawić podoficer poczty polowej. Nie nadchodziła żadna wiadomość, a Smellens starał się jak najdłużej utrzymać swój słabnący oddech. W Memlu jest za późno na interwencję Wszchemogącego... W najbliższych dniach rozpocznie się ewakuacja wojska. Najpierw oczywiście ewakuowano jednostki, które najbardziej ucierpiały w walkach, a także poważnie rannych. Najciężej ranni pozostali na miejscu. Jaka różnica, czy umrą w mieście czy na statku... Teraz przyszła kolej na lżej rannych. Niecierpliwa i cicha radość nie pozwala im myśleć o jęczących się na mrozie ranach. Żołnierze zapomnieli o atakującej ich ciała gangrenie; nie przejmują się czekającą ich amputacją. Na Memel spłynął jakby woal wiary. Gdyby jeszcze te kurewskie samoloty zostawiły nas w spokoju, życie stałoby się na powrót życiem. Rozwalone przez bomby statki tarasują dostęp do pontonów. Na wodzie, wśród gmatwaniny pływających przedmiotów, unoszą się poharatane ciała zabitych. Marynarka niemiecka dokonuje cudów. Gdyby nie ona, byłoby już po nas. W wypełnioną po brzegi barkę trafił za pierwszym razem w sam środek dobrze wyszkolony pilot.

Odgarniamy te przerażające resztki. Nie będę bawił się w szczegóły, bo czuję mdłości, kiedy to wszystko opisuję. Nasze buty są czerwone od krwi. Ludzkie strzępy, które odrzucamy na dziób na wpół zatopionej jednostki, zwabiają mnóstwo ryb. Odór ze świeżo otwartych ran jest przerażający, mimo że zalewająca tę krwawą masę woda łagodzi go nieco.

Oddajemy się tej czynności po kilkugodzinnym wypoczynku. Brodzimy w wodzie; w porównaniu z temperaturą powietrza wydaje nam się ciepła. Ale im dłużej w niej jesteśmy, tym bardziej lodowacieją nam kończyny. Ruchy stają się wolne i niepewne. Czujemy klucia w okolicach serca, oczy zachodzą mgłą. Trzeba wytrzymać. Widok żołnierzy ładujących się na dwa statki dodaje nam otuchy. Niedługo nadejdzie nasza kolej.

Przed południem niebo się roz pogodziło. Niepokoi nas to blade słońce oświetlające ponure sceny. Również słońce dla nas umarło. Jest ono niechybnym zwiastunem rosyjskich samolotów.

Nie zdążyliśmy jeszcze skończyć tej paskudnej roboty, a już pojawiają się sowieckie myśliwce bombardujące. Nikt nie jest zaskoczony: przy takiej pogodzie było to do przewidzenia. Ponieważ piekielnie bolą nas stopy, kulejemy, uciekając w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Są tu prawdziwe betonowe bunkry; służą jako tymczasowe szpitale albo zajęte są przez rannych. Pozostają ruiny lub leje po bombach. Małymi grupkami ciśniemy się tam, starając się tylko myśleć o bliskiej już ewakuacji.

Dookoła rozlega się huk artylerii przeciwlotniczej. Może uda im się obronić strefę portową przed... Nie. Już są. Lecą na niskiej wysokości, wprawiając w drgania fale mroźnego powietrza. Spoglądamy na samoloty, rozcierając zgrabiące palce. Przelatują nad zniszczonym miastem, nad stojącymi w szeregach żołnierzami, którzy pochylają się jak zginane wiatrem trawy.

Przelatują nad dwoma kabotażowcami luzującymi cumy; będą teraz stanowić trudniejszy cel. Piątka lecących tuż nad nabrzeżem samolotów zrzuca równocześnie pięć bomb. Dwie wybuchają w wodzie, raniąc odłamkami ludzi uczepionych pontonu. Trzecia rozpieprza walające się na plaży resztki. Dwie ostatnie wyrywają krater przed stojącymi w szeregu żołnierzami, czekającymi na zaokrętowanie. W powietrze wylatują ciała. Inne osuwają się na ziemię, lecz ci, co mają jeszcze nadzieję, podtrzymują je. Nie słychać prawie krzyków; tylko kilku rannych wydziera się mimo woli.

Nad nami krąży teraz ze czterdzieści samolotów. Czujemy się jak ryby w sieci. Od północy, zza stromego wybrzeża, wyskakują kolejne. Jeden z nich eksplodował w powietrzu. Czyżby został trafiony? W każdym razie nie rozlegają się, tak jak kiedyś, donośne okrzyki: „hura”! Teraz słychać tylko krzyk wojny. Ludzie zachowują milczenie.

Kabotażowce odplynęły nieco od brzegu. Gotujący się na śmierć dalej stoją na nabrzeżach. Nie wolno przecież wypaść z kolejki! Samoloty cały czas krążą. Zapewne piloci wybierają najskuteczniejsze cele.

Drżąc z zimna, a jeszcze bardziej z niecierpliwości, spoglądamy tam, gdzie za chwilę rozpocznie się straszliwa hekatomba. Nikt nie wyobraża sobie, aby wszyscy czekający w tej nawałnicy żołnierze stali jak szaleńcy, nie myśląc o ukryciu się. Nie. Wiemy również, że jutro uczepimy się ich miejsca. Nadzieja warta jest fortuny i mimo wszelkich przeciwności nie można igrać z uśmiechem losu. Ci nieszczęśliwcy zainwestowali to, czego oszczędziły im wszystkie męki podczas tej tragicznej wyprawy krzyżowej.

Samoloty znów nadlatują. Zasłoniłem sobie oczy, aby na to nie patrzeć. Zbyt szybko rozgrywa się ten straszliwy dramat. Ostatecznie jestem tylko człowiekiem. Nie nazywam się Bogiem. Przecież ja nie umarłem na krzyżu... Nie mam prawa na to wszystko spoglądać. Upiływają dni. Memel istnieje już tylko na mapach wojskowych. Linia frontu się zawężyła. Mimo to wielu żołnierzy udało się ewakuować. Ale są ich jeszcze tysiące. Tysiące, co błądzą w milczeniu w nocnej mgle. Krążą ponuro pomiędzy pozycjami, które muszą jeszcze utrzymać, a grobową dziurą wypełnioną ciężkim oddechem ich niespokojnego snu. Ciągłe tam jeszcze są i ciągle ich obserwuję wielkimi, otepiałymi oczami. Błądzą w tragicznym krajobrazie, w ciszy zdolnej zagłuszyć wszystkie odgłosy ziemi. Błądzą wyzuci z wszystkiego co ludzkie. A ja patrzę na nich, sam, rozpaczliwie Sam, roniąc ciężkie jak rtęć łzy, płynące bez końca w głąb mnie.

Jak długo już tu jesteśmy? Ile pozostało tu dusz? Nikt już tego nie wie i ludzie już się tego nigdy nie dowiedzą. Wydaje mi się, że urodziłem się tylko po to, by przeżyć ten czas próby. Memel stał się jakby kulminacyjnym punktem w moim życiu, szczytem, nad którym powiewa woal nieskończoności. Po tym, co tu przeżyliśmy, nic z nas już nie pozostanie. Moje przyszłe życie będzie już tylko parą kuł, które daje się inwalidzie. Memel to grób, na którym składam swoje życie, to absolut. Otaczająca nas cisza ma w sobie coś niezemskiego. Wszystkim tym „martwym istotom” krzątającym się wokół mnie pozwala przeczuć, co się wydarzy po ich śmierci. Może wydawać się to głupie, ale kiedyś cieszyliśmy się na myśl, że wspomni się o naszym dramacie, choćby po naszej śmierci. Dzisiaj ta ostatnia nadzieja już uleciała. Na temat naszych nieszczęść wypowiedano by zresztą rozmaite, jakże ułomne sądy. Tragedią Memla nie zajmie się nawet Sąd Ostateczny. Ginie ona gdzieś i zanika bez świadków niczym monumentalny spektakl nieskończoności. A my nadal tkwimy w sowieckim okrążeniu, w ciszy, co owładnęła nami całkowicie.

Opuściliśmy piwnicę. Jesteśmy teraz w wieżycy umocnień obrony przeciwlotniczej; ich

pomieszczenia zostały zniszczone. W niewielkim zakątku, gdzie mieścił się kiedyś kibel, rzuciłem swoje łachy. Halls instynktownie poszedł moim śladem, podobnie Schlessler i jeszcze jeden facet, którego nazwisko jest bez znaczenia. Pozostali koledzy, Wiener, Lindberg, Pferham i siedmiu albo ośmiu innych, zajmują resztki właściwej wieżyczki. Nasze nowe lokum jest mniej wilgotne niż piwnica, w której przebywaliśmy poprzednio. Jednak nie dlatego opuściliśmy tamto pomieszczenie. Wciśnięto nas w ten betonowy blok, ponieważ jest on bliżej naszych pozycji i w każdej chwili możemy się na nich znaleźć. Linia frontu jeszcze bardziej się skurczyła, bo Rosjanie po raz kolejny zajęli się nami na serio. Niemieccy żołnierze, tworzący zacieśniający się ciągle pierścień obronny Memla, muszą się liczyć z groźbą decydujących ataków. Do naszych pozycji musimy się zbliżać z maksymalną ostrożnością. Zrozpaczeni żołnierze kilkakrotnie musieli się poddać Rosjanom. A wtedy Iwan przebierał się w ich łachmany i czekał, aż przyjdą tam ich zmiennicy.

W taką pułapkę nasi nieszczęśliwi koledzy zdążyli już wpaść kilkakrotnie. A jeszcze częściej zmordowani żołnierze zbyt późno zauważali Rosjan, którzy podczołgiwali się aż do nich. Koledzy ginęli, a Rosjanie ich zastępowali. Niewiele brakowało, a w ten sposób wpadłby Wiener i jeszcze dwóch facetów. Weteran wyczuł podstęp i chyba od tego czasu jest niesamowicie wściekły, co widzimy na co dzień.

— To on nas uratował — bąkali dwaj pozostali żołnierze, wskazując nam weterana. — Zwalił im na łby całą wiązkę granatów.

Obaj faceci opowiadają urywanymi zdaniami. Są wielkim kłębkim nerwów, bo wiedzą, że w gruncie rzeczy są przegrani.

Wiener nie mówi nic. Znów pogрузzył się w milczeniu. Wyczerpany, opiera się o ścianę bunkra błyszczącą miejscami od pokrywającego ją szronu. Spoglądamy na weterana.

Przyzwyczailiśmy się już, że to on jest naszym wybawcą.

Wieczorem któryś z kolegów chciał zakurzyć znalezione przy ruskim trupie papierosa. Zapalił go i wyszedł za potrzebą. Iwan jednak ma dobre oczy. Zauważył ogień papierosa. W betonową ścianę uderzył pięćdziesięcio-milimetrowy pocisk. Na plecy kolegi spadł deszcz odłamków. Nie zdążył nawet krzyknąć.

— Ruscy są coraz bliżej — mruczy Pferham.

Nazajutrz, w utrzymującym się ciągle mrozie, docieramy do ostatniej wysuniętej pozycji, która już od dawna powinna być w rękach Rosjan. Po drodze minęliśmy ostatni sprawny jeszcze czołg, przynajmniej w tym sektorze. Ciekawa jest jego historia. Jest to stary M-2. Raz już płonął. Jeszcze teraz nosi liczne ślady na bokach. Jego broń pokładowa została zniszczona i zastąpiona innym, mniej odpowiednim rodzajem uzbrojenia. Codziennie podjeżdża do transzei, a właściwie do ruin zbombardowanej uliczki, i stamtąd powstrzymuje Rosjan, za każdym razem, gdy przyjdzie im do głowy przedzierać się w tym miejscu.

Kilkakrotnie piechota w ostatniej chwili ratowała go z opałów. Przebrane za żołnierzy, szczury kryjące się w sąsiednich ruinach, spoglądają z szacunkiem i w milczeniu na ten stary wehikuł oddający nam nadal nieocenione usługi.

Dziś jego silnik jest uszkodzony. Naprawiająca go grupa nędzarzy uwija się przy martwym mechanizmie. Przykucnęliśmy obok, obserwując przez chwilę wysiłki kolegów. Któryś z mechaników złamał jakieś narzędzie. Odrzuca je z wściekłością. Słyszymy skargi chłopaków. Naprawa jest niemożliwa. Żołnierze chodzą dookoła stalowego kolosa, który stał się jakoś bardziej swojski.

Znad sąsiednich ruin wylatują dwa samoloty. Czołgiści przywarli do unieruchomionego pojazdu, śledząc je gorączkowo. I nagle osłupienie! Są to dwa niemieckie samoloty zwiadowcze! Skąd nadleciały? Widząc pozbawiony wszelkich znaków czołg, robią zakręt na skrzydle. Przeżywamy chwilę strasznej niepewności. Czy te dwie ocalałe maszyny nie wezmą nas za Rosjan? Wszystko to trwa zaledwie kilka sekund. Wyskakujemy z ukrycia i zaczynamy gestykulować zawzięcie. Samoloty przelatują bardzo nisko z prawej strony.

Dostrzegamy pilotów, a nawet gesty jednego z nich. Serca biją nam jak szalone. Prawdopodobnie nadlecieli z jakiejś niemieckiej bazy. Z Niemiec! Stamtąd, gdzie może wszystko jeszcze jest możliwe!...

Nasze szare gęby gapiły się na samoloty, aż całkiem znikły, a nawet dłużej, gdyż wyostrzony wzrok ciągle starał się je dojrzeć.

Jednak kłopoty z czołgiem się nie skończyły. Niemieckie samoloty zachęciły nas do wzmózonych wysiłków. Wszyscy gromadzimy się teraz wokół czołgu. Któryś z kolegów proponuje, by go pchnąć. Pomysł jest szalony, mimo to wszyscy dotykają zimnego, chropowatego metalu. Chrapliwymi głosami staramy się wykrzykiwać tempo. Jest nas trzydziestka i staramy się zsynchronizować wysiłki. Buty skrzypią i ślizgają się na oblodzonej ziemi. Czołg ani drgnie. Nasze wychudłe ciała nie mają siły. Trójka czołgistów szarpie się wściekle. Nic z tego. Tony żelastwa ani drgną. Zaczynają się dyskusje i dwóch żołnierzy odbiega od czołgu. Mieliśmy już zrezygnować, gdy nagle słyszymy warkot pojazdu. W Memlu pozostała jeszcze ciężarówka! Nie wiedziałem o tym. I oto nadjeżdża. Telepie się powoli z przeraźliwym odgłosem wydalanych spalin. Jeszcze nie zdążyła się zatrzymać, a już chłopaki

mocują kawałki drewna, by ochronić chłodnicę. Ciężarówka napiera na czołg. Robi to kilkakrotnie. Wydaje nam się, że ją też szlag trafi. Z miejsca wspomagamy ją ramionami. W końcu, po wielokrotnych próbach, udaje nam się poruszyć bezwładną masę, która wydobywa się z dołu, by jeszcze kilka razy znów się tam stoczyć.

Wreszcie coś ruszyło. Spoglądam na jedno z kół nośnych czołgu. Obraca się wolno, opaćkane błotem, ale gąsienica ani drgnie. Koło się obraca — oto kolejny cud w Memlu. Ciężarówka wyje przeraźliwie, nasze buty zderzają się i ryją ziemię, jakby chciały jej powiedzieć, by usunęła się spod cennego pojazdu. Czołg drga, rusza z miejsca, a my drepczemy wokół, nie przestając go popychać. Kręci mi się w głowie. Dzięki naszej woli znów coś się dzieje. Cóż to jest radość? Jak się ją odczuwa? Może jest to jedynie to. Ciężkie, pełne nitów koło obraca się, a ja pożeram je wzrokiem. Przemierzało pewnie niezmierzone stopy, gdzie odliczałem godziny życia. Obraca się, tak jak ja oddycham. Tak, to właśnie jest radość... — jakie to proste! Trochę dalej skończy może swój żywot, tak jak ja albo Halls, ale teraz obraca się głośno pod zrytą stromizną. Zdaję się jednoczyć z tą masą stali. W Memlu, cokolwiek się jeszcze rusza, oznacza życie. Ja jeszcze żyję...

Jeszcze dwukrotnie będziemy zajmować nasze pozycje, nie napotykając większych przeszkód. Pójdziemy tam już jutro, ale najpierw trzeba będzie przeżyć noc. Tym razem Iwan naprawdę się przebudził. Przez całą noc nad ruinami Memla przetaczało się istne piekło. Czuliśmy nieustanne drgania ziemi; nad naszymi głowami widzieliśmy konstelację rakiet oświetlających. Było jasno jak w dzień, przez co błyski eksplozji nie wydawały się tak jas-krawe. Na skutek wybuchów nasz bunkier popękał w wielu miejscach. Nie oddychając niemal zupełnie, czekaliśmy na śmierć. Nasz dowódca Wollers chciał popełnić samobójstwo. Wybiegliśmy za nim na ten wirujący wokół świat i z miejsca otoczyliśmy go, by z powrotem sprowadzić do naszego grobowca. W czasie tej akcji zamiast porucznika zginął jeden z chłopaków. Nie pamiętam już, kto to był. Rosyjskie czołgi dotarły na brzeg morza, na południe od naszego niewielkiego umocnionego obozu. Ci, co znaleźli się na ich drodze, zanim polegli, spełnili swój ostatni obowiązek...

A potem na stojące dumnie na wydmach sowieckie czołgi spadł deszcz ciężkich pocisków. Ostrzeliwano je z morza. Horyzont od strony południowej pokryły łuny wielu palących się czołgów. W pewnej chwili Rosjanie zaczęli się nawet wycofywać. Nadal trwał ciężki ostrzał znad morza. W samym środku nocy widzieliśmy we mgle potężne błyski pochodzące z dział wielkiego kalibru. Rano, pomimo dymów utrudniających widoczność, dowiedzieliśmy się, co to było. Na naszej wysokości krążą dwa ciężkie okręty wojenne. Widzimy niewyraźne zarysy ich sylwetek. Skąd nadchodzi ta odsiecz? Ani przez chwilę nie pomyśleliśmy o pomocy z

niebios. Wydaje się, że jest to „Prinz Eugen”¹ i jeszcze jeden okręt tej samej wielkości. Dla tych,

Ciężki krążownik niemiecki (przyp. tłum.).

co ciągle jeszcze trzymają się w Memlu, jest to nieoczekiwana pomoc. Ciężkie okręty dysponujące potężną artylerią trzymają czołgi w szachu.

Rankiem musieliśmy udać się na nasze pozycje, o których już wspomniałem. Podobnie jak kolegom, w nocy udało mi się tylko kilkakrotnie zdrzemnąć. Padałem ze zmęczenia. Zresztą spaliśmy jakoś dziwnie. Człowiek śpi i zarazem czuwa, z otwartymi oczyma, co kojarzą się z wygasłymi reflektorami. Nie ma już wielkiej różnicy między naszymi gębami a twarzami tych, co wyzionęli ducha. Gdy obudziłem się, wydawało mi się, że nie mogę się ruszać. Moje ciało jest jak martwe drewno. Mam takie chude ramiona, że nie mogę na nie patrzeć.

Odczuwam dotkliwy ból w klatce piersiowej. Nie wiem, co jest tego przyczyną. Czuję się, jakbym wewnątrz miał drugi Memel. Trzeba jednak ocknąć się z odretwienia. Inni też wyglądają nieszczęśliwie. I znów patrzę na kolegów, wtykając w swoje zrujnowane uzębienie kawałeczki materiału, wyskubane z brzegów postrzępionego płaszcza. Chłopaki mają dziwnie poszarzałe twarze. Wyglądają jak martwi albo jakby nie istniała tu namacalna rzeczywistość. Bardzo możliwe.

Udajemy się na stanowiska. Ruscy strzelają teraz dla zabawy. Pocisk tu, pocisk tam. Po ostatnim nocnym trzęsieniu ziemi to nic poważnego. Zbliżamy się. Na pierwszych liniach panuje nieopisany chaos. Musimy pokonywać wielkie leje albo pięcio- czy sześciometrowe nierówności terenu. Boże święty, w głowie mi się kręci. Jestem tak słaby jak mały chłopczyk! Dymy unoszą się także nad rosyjskimi pozycjami. Wydaje mi się, że Kriegsmarine cholernie dobrze strzelała tej nocy. Minęliśmy jakichś facetów; leżeli jak zamarznęci za swoimi giwerami. Spojrzeli na nas takim wzrokiem, jakbyśmy to my byli wszystkiemu winni. Przechodzimy, nie odzywając się ani słowem. Grzeczność nie warta jest tutaj ani feniga. Wszystko wokół jest martwe. Jeszcze tylko liczy się odwaga, i to nie byle jaka.

Już widzimy ten kurewski okop. Jeszcze tylko sto pięćdziesiąt metrów. Widzę umocnienia ziemne i puste skrzynie po amunicji zawalające częściowo zdewastowaną transeję. Trzeba tu jeszcze będzie marznąć przez wiele godzin. A może i zdechnąć. Cóż za różnica? W naszym bunkrze bez dachu jest taki sam ziąb. Gwiżdżę na to wszystko! Przecież jeszcze żyję!

Co temu durnemu Wienerowi strzeliło do łba!? Coś go zatrzymało w miejscu. Dlaczego nie idzie dalej? Nie ma czasu na rozważania. Właściwie mnie to urządza, jestem taki zmęczony... Ale dlaczego on teraz strzela!? Wiener położył na żwirze swoją zabawkę, nie rozstawiając nawet dwójnogu. Wali teraz w nasyp ziemny naszego okopu ostrymi, krótkimi seriami. Nie namyślając się dłużej, każdy skoczył na swoje stanowisko. Halls jest obok mnie. Nie jestem w stanie na niego patrzeć: zbyt szybko się postarzał. Wygląda jakby miał pięćdziesiąt lat.

— Zaraz się przekonamy — cedzi przez swoje zepsute zęby.

Weteran rzucił granat, który upadł niedaleko okopu. Cóż to za facet! Jeżeli tam są nasi, powinni już się wydierać.

Ruscy, którzy zajęli naszą pozycję, zachowują ciszę. Jak będą chcieli nas wprowadzić w błąd, podnosząc głos, od razu ich rozpoznamy. Mamy przecież Wienera...! Ale zaczynają do nas kropić — oto cała ich odpowiedź.

— Schweinhund! — wrzeszczy Wiener. — Banda bydlaków!

Cóż z niego za facet! Powinien być generałem. Powinien być nawet Fiihrerem. To weteran ratuje nas za każdym razem, a nie Hitler!

Niełatwo będzie odzyskać utraconą pozycję. Wiener tu decyduje. On jest naszym Fiihrerem, tylko jemu ufamy. Niech żyje nasz Fiihrer!

Te cholerne wieśniaki nawet nieźle grzeją. Nie sposób ruszyć się z miejsca. Co gorsza, z niedalekiej odległości dochodzi do nas warkot silnika. Ruscy mają jeden albo dwa czołgi za nasypem. Zaraz skierują na nas ogień.

Wiener myśli zapewne o tym samym. Prześlizguje się ostrożnie do tyłu, ciągnąc za sobą broń. Oberwał kolega z mojej lewej strony.

— Wycofywać się chłopaki! — wrzeszczy Halls.

Jest to równie niebezpieczne jak posuwanie się do przodu. O kim mógłbym pomyśleć, aby dodać sobie odwagi? O matce? Czy ja aby mam matkę? Kto mnie wydał na świat, abym to wszystko oglądał? O Pauli? Do czego podobna jest nasza tak zwana miłość w całym tym moim świecie...? O swojej skórze? Do czego ona jest podobna? Przypomina skórę Hallsa, na którego nie mogę już patrzeć. Jakież to idiotyczne, gdy ma się odwagę, do niczego nieprzydatną... Ale przecież jest Wiener! Weteran, Wiener, nasz Fiihrer! Dla niego warto zginąć!

Zostawiliśmy Hansa. Jego biodro było wielką krwawą masą. Pod nieprzyjacielskim ogniem nic nie dało się zrobić. Pożegnaliśmy się. Ponieważ potrafił żyć w Memlu, potrafi umrzeć. Nie martwimy się o niego.

Dotarliśmy do leja po bombie, gdzie zainstalowane były nasze dwa kae-my. Jak mogliśmy się tego spodziewać, Rosjanie ostrzeliwiają to miejsce i okolice działami czołgów, których obecności się domyślaliśmy. Walki wzmagają się na północy i południu. Rosjanie wpadają już do okopu. Jest to straszny widok. Trzeba przeżyć to co my, aby nie umrzeć z przerażenia. Wiener nie strzela: patrzy na nas, a my spoglądamy na niego, oczekując jego poleceń jak modlitwy. Patrzy na nas; na jego strasznej twarzy rysuje się obraz klęski.

— Spieprzajcie stąd! — krzyczy nagle, a jego głos ma siłę huraganu. — Spieprzajcie, szybko!

Chwytny nasze manele i staczamy się do dziury. Spoglądamy chwilę na Wienera.

— Chodź! — krzyczy Pferham.

— Zamknij się, księżulku! Spieprzaj razem z innymi! Pferham ma jednak do spełnienia swoją misję na ziemi. Nalega.

— No, spieprzajcie już, kurwa! Nie martwcie się o mnie! Dość już mam wycofywania się!

— Wiener!

— Po wojnie nie będzie już dla mnie miejsca na tym świecie! Rozumiecie?!

Weteran otworzył ogień. Strzela jak szalenciec do Ruskich, wpadających do okopów. Pferham ciągle go woła, ale odgłosy strzelaniny zagłuszają jego słowa. Opuszczamy teren, który drży i wibruje pod naszymi butami. Tej cholernej, wysuniętej pozycji nie dało się dłużej bronić. Na Boga! Dlaczego Wiener nie chciał iść z nami?

Po pięciu minutach dotarliśmy na stanowiska moździerzy i obrony przeciwpancernej. Pięćset metrów w kierunku wschodnim, tam gdzie przed chwilą byliśmy, unosi się gęsta chmura pełzającego dymu. Wojenna pożoga trwa nadal. Już za umocnieniem, drżącym jak barierka statku będącego w oku cyklonu, ściskamy trzęsącymi się rękami naszą najświętszą broń.

Ogień z dział okrętowych podtrzymuje nas na duchu. Gdyby nie Kriegsmarine, nasze ostatnie bastiony obrony byłyby już zdobyte. Niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że nikt nie może opuścić swojego posterunku. Słysząc beładną strzelaninę, a równocześnie jęki rannych brzmiące jak nie kończąca się skarga. Tragedia przechodzi tu ludzkie wyobrażenie. Każdy jest sam, ogołocony z wszelkich uczuć, niezdolny do jakiegokolwiek myślenia. Może nawet, nim zгинiemy, nie zdołamy odpocząć choćby przez kilka godzin. Ludzie, którzy czekali na nabrzeżach, zostali wysłani na pozycje obronne. To jeszcze nie wszystko. Dano im do zrozumienia, że jeżeli front się załamie, nikt nie będzie mógł odpłynąć. A więc wykrzesali resztki sił i z nieludzką wściekłością rzucili się na Ruskich, nie pozwalając im zniszczyć swej Golgoty.

Memel trzyma się jeszcze. Memel jest już tylko wysepką odwagi zrodzonej z bezdennej rozpacz. Memel trzyma się jeszcze, wskrzeszając swych zmarłych, aby jeszcze mógł istnieć choć przez chwilę. Statki już nie przypluwają. Czyżby nas porzucono na pastwę losu? Czyżby ta ostatnia nadzieja nieodwołalnie znikła? Czy wreszcie jest to ostateczny cios łaski?

Nie. Następnej nocy do brzegu zbliżył się, niczym widmo, jakiś statek. Tłum ledwo żywych żołnierzy rzuca się w kierunku morza. Zaczynają się bić między sobą, aby tylko znaleźć się bliżej wody. Żaden rozkaz nie może ich powstrzymać. Zresztą oficerowie są w tym samym stanie. Tutaj nie idzie się już do walki w rytm gwizdka. Tutaj ludzie się biją, bo nic innego nie jest możliwe. Ale statek nie przyplłynął po wojsko, przyplłynął po zaopatrzenie! Tak. Zdaje się, że mamy zapasy pozwalające utrzymać się jeszcze przez trzy miesiące. Ponieważ mamy zostać „niezwłocznie” ewakuowani, zaopatrzenie to mogłoby ulec zniszczeniu. Dalej na południu są setki tysięcy uchodźców umierających z głodu i pragnienia. „Dajcie nam waszą mąkę!” Posępne tłumy zgromadzone na brzegu słuchają tych słów oficera marynarki przemawiającego przez tubę. Ludzie nie od razu rozumieją, o co chodzi. Słuchają słów człowieka zdającego się przybywać nie z tego świata; człowieka, który dzięki możliwości żeglugi jest w stanie odróżnić zło od jeszcze większego

zła. W końcu dociera do nich, że mimo swej nędzy mogą pomóc komuś na południu. W skołowanych głowach dźwięczy tylko jedno słowo niczym fantastyczna karuzela: niezwłocznie! niezwłocznie! niezwłocznie! Nasze nadwyżki lądują na statku, który zabiera ponadto kilku rannych. — Niezwłocznie... niezwłocznie... niezwłocznie... Tłum stoi nieruchomo. Spowija go cisza ogromna jak noc.

Naszą dziesiątkowaną grupę wysłano na północny skraj obrony, a właściwie na plażę przy stromym, dość wysokim brzegu morza. Brzegi te utrzymują jeszcze nasi, siedząc w rozwalonych schronach przeznaczonych do obrony przed atakiem od strony morza, a nie lądu. Jednak w kilku miejscach Rosjanie dotarli już do tych wzniesień. Co prawda nie zdążyli tam jeszcze wprowadzić znacznych sił, ale rozstawili swoich groźnych strzelców. Ostrzeliwiają oni kamienistą plażę, po której się czołgamy.

Rozmieszczone nad plażą posterunki niemieckie, te małe, okrężone fortyfikacje, również trzymają się jeszcze, nie wiedzieć jakim cudem. Nie ma tu już ani dywizji „Gross Deutschland”, ani innych specjalistycznych jednostek. Jak już wspomniałem, wszystko to co jeszcze w Memlu się rusza — żyje, a wszystko to co żyje, musi być wykorzystane.

Przechodzący w pobliżu jakiś oficer w łachmanach pociągnął nas za sobą na jeden z punktów narażonych na bezpośredni atak od strony lądu. Mimo że jest to bardzo niebezpieczna pozycja, bezpieczniej tu niż na samym froncie. Czołgi nie mogą się tu dostać, chyba że dojadą aż do zwisających nad nami skał, gdzie są jeszcze resztki obrońców, o których wspomniałem. Chronimy się w zagłębieniach wykonanych przez cywili, którzy czekali tu na wolność.

Kontakt z nieprzyjacielem jest niemal ustawiczny. Ruscy schodzą na plażę, a także ostrzeliwiają nas z góry. Czasem do akcji wprowadzają moździerze, a wtedy piaszczysta ziemia rozorywana jest jak pługiem i musimy wydobywać z niej żywych i martwych kolegów. Jednak na rozmiękłym terenie wybuchy są mniej groźne. Iwan strzela sobie dla zabawy, ale nie pozostawia nam ani chwili wytchnienia. Gdybyśmy nie mieli pustki w głowach, pękłyby one z desperacji.

Dokuczają nam też ziąb, ale za to przyroda przysłała nam sprzymierzeńca w postaci gęstej mgły, dniem i nocą utrzymującej się nad naszym czyścem. Rozbawiony Iwan zapuszcza się dość daleko w głąb naszych linii. Czasem nawet Ruscy atakowani są od tyłu, a wtedy i oni mają pietra. Liczą głównie na artylerię i czołgi, że raz na zawsze zrównają z ziemią to cmentarzysko Memla, gdzie nawet martwi zdają się stawiać im opór. Ruscy przedzierają się ostrożnie; są już w zasięgu głosu i wyszczekują obelgi pod naszym adresem. Halls i ja słuchamy ich, na wpół śpiąc. Wykrzykują, że używają sobie bez wytchnienia na naszych żonach i matkach. Wrzeszczą, że odetną nam kutasy. Czasem też śpiewają.

Wraz z Hallsem trzymam palec na spuście, ponieważ bardzo często zachowują się tak, by odwrócić naszą uwagę. Wrzeszczą ironicznie:

Aj moju drugu giermańskij, kok sobaczij sziolet! Ja tiebie skażu, spasibo job twoju mać!
A potem liczą.

— Uwaga, niemiecki żołnierz! Zaraz zginiesz! Uwaga! Odin, dwa, m... I prują serią z kaemu. Przyjmujemy to wszystko w milczeniu, jak anteny mające odbierać wszystkie obelgi świata. Nocą przypłynęły dwa statki. Narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, wataha złachmanionych żołnierzy rzuciła się w ich kierunku. Byliśmy za daleko, by się tam dostać. Staliśmy tak, ze ściśniętymi gardłami, bezsilni, jeszcze bardziej załamani, przeżywając to nasze coraz większe osamotnienie. Nieboracy, którym udało się ewakuować, jeszcze bardziej osłabili nasze linie obrony. Teraz już nic nie powstrzyma Ruskich. Kiedy rzuca się do ataku, rozpocznie się straszliwe polowanie na szczury. Te koszmarnie myśli kołatają nieustannie w naszych głowach. Nie jesteśmy w stanie powstrzymać nerwowych drgawek.

Halls skierował swoją broń ku głowie. Popatrzyłem na niego chyba z tak wielkim bólem, że nie odważył się na ten gest. Położył się na brzuchu i zarył twarzą w ziemi.

Nazajutrz zbawienna mgła utrzymuje się nadal. Na froncie panuje cisza. Może oznacza to rosyjskie przygotowania?

Halls i Schlessler doczołgali się do znajdującego się przy samej wodzie uszkodzonego pojazdu, który smagały od czasu do czasu fale drobnego deszczu. Z jak największą ostrożnością dołączyłem do nich. Halls odezwał się półgłosem:

— Pomóż nam, Sajer! Musimy zabrać te dętki — mruczy. — Trzy są jeszcze dobre.

— Na koła ratunkowe?

— Albo na tratwę. Uważaj! Nie mamy żadnego narzędzia. Weź swój bagnet i rób to co my! Ale uważaj!

Oświeciło to mój skołatany umysł. Tak, tratwa! Chyba długo na tym nie będzie można płynąć, ale może... Tak. Może jest to nasza ostatnia szansa. Nie mamy żadnych narzędzi. Trzeba zdjąć opony, nie demontując kół. Drżąc z niepokoju, przystępujemy do niebezpiecznej pracy. Musimy mieć wypełnione powietrzem dętki. Inaczej wszystko na nic. Również Pferham do nas dołączył.

— Oszalesiście! — odzywa się. — Nawet jak uda wam się wyciągnąć dętki, one pękają. Przecież ciśnienie w nich utrzymują opony!

To prawda. Już dawno temu straciliśmy głowę. Ale przecież nie można zrezygnować z próby ucieczki. Łypimy na niego złowrogo. Cóż za obiektywna ocena!

— No to bierzemy koła! — odzywa się Halls charczącym głosem. — Całe koła!

— Mizerne szansę, aby utrzymały się na wodzie — zauważa Pferham.

— Stul pysk! — ryczy Halls. — Spieprzaj do swojego Pana Boga! Bardziej już wierzę w te koła!

Pferham zamilkł. Podobnie jak my usiłuje końcem bagnetu wyjąć śruby. Praca ta zajęła nam przynajmniej dwie godziny. Aby dostać się do śrub prawego przedniego koła, trzeba było usuwać spod niego ziemię, ponieważ samochód leżał na boku.

Na domiar złego nad Memlem znów rozgorzała nawałnica. Do dzieła zniszczenia przyłączyły się też chyba ciężkie moździerze. Drgania ziemi dochodzą aż do nas. Możliwe, że Rosjanie zajęli już znaczną część zdevastowanego miasta. Nie śmiemy nawet myśleć, co tam się dzieje. Całą uwagę koncentrujemy na tej idiotycznej robocie. Dwukrotnie zresztą musimy ją przerwać, by schronić się przed ostrzałem. Rosjanie przedostają się niemal wszędzie, czołgając się we mgle. W naszej dziurze Halls i ja przywarliśmy całkowicie do siebie. Chyba z osiem czy dziewięć razy z najbliższej odległości strzelaliśmy do atakujących Azjatów. Gdy nasze pukawki z Yolkssturmu drżą od wystrzałów, wyjemy z przerażenia.

Wieczorem już całe miasto przypomina wulkan. Cały czas zawodzą „Organy Stalina”, powodując straszliwe tornado. Rozstrojone nerwy odmawiają nam posłuszeństwa. Wokół tylko błyski i nawałnica. Jest nas teraz siedmiu albo ośmiu. Pasami mocujemy deski na trzech kołach, które prawdopodobnie nigdy nie popłyną. Tych siedmiu czy ośmiu facetów za chwilę pozabija się wzajemnie, ponieważ jest więcej niż pewne, że wszyscy na tratwie się nie zmieszczą.

Koniec pracy. Schlesser i Pferham wypychają ją na wodę. Podążamy za nimi jak wilki, którym umyka część łupu.

— Zaczekajcie! Ja wypróbuję! — odzywa się Pferham. Zrobiliśmy jeszcze krok do przodu. Pferham patrzy na nas. Wie, że jeśli odpłynie zbyt daleko, zabijemy go. Nasze chwiejące się sylwetki znieruchomiały na tle szalejących nad Memlem błysków. Siedzimy złowrogim, nie dającym się opisać wzrokiem kołyszącą się na wodzie, niemal całkowicie zanurzoną tratwę, zlewającą się z mgłą i ciemnościami nocy.

Pferham czyni cuda, by utrzymać się na powierzchni wbrew wszelkim prawom fizyki. Na pewno gdzieś w głębi duszy błaga o pomoc swego Boga spoglądającego sadystycznie, jak zanurza się coraz bardziej. Woda sięga już pastorowi do pasa. Patrzymy rozpaczliwie na oddalającą się bezpowrotnie szansę. A Pferham myśli chyba, że skoro niegdyś zdarzały się cuda, może w tej dramatycznej chwili nastąpi kolejny. Cuda istnieją tylko w Ewangeliach, które oby zginęły wraz z nami! Okalający nas firmament ognia obwieszcza swoje zwycięstwo...

Pferham sam wrócił na męczeński łódź, gdzie czekaliśmy na niego. Trząśnięty i zataczał pod ciężarem wody spływającej jak lzy po niemiłosiernie pofałdowanym płaszczu. Gdy dowlóknął się do nas, osunął się na ziemię. Zaciągnęliśmy go do naszych nor.

Noc upływa powoli, ustawicznie zakłócana błyskami potężnego ognia; chłoną go nasze rozszerzone źrenice. Plaża, na której tkwimy w jakimś upiornym obłędzie, mieni się różowymi albo pomarańczowymi blaskami w zależności od intensywności tego piekła. Jakiś młodzieńcy chłopak z oddziałów Yolkssturmu wyzionął ducha z rozpacz. Jego ciało leży pośrodku naszej stłoczonej grupki, nie odróżniamy go już od żyjących. Inny chłopak wstał z miejsca i jak zahipnotyzowany zaczął iść w kierunku rozbłyskującego na południu ognia. Idzie wolno w stronę miasta, a nie funkcjonująca już chyba podświadomość sprawia, że jego chód jest dziwnie lekki. Patrzymy, jak się oddala i znika, rozplywając się w niezemskim światłocieniu.

Ruscy mogliby nas zaskoczyć bez trudu; nikt z nas nie starałby się nawet ich dostrzec. Przerażone i zafascynowane twarze ostatnich bojowników na Wschodzie zwrócone są w kierunku dogorywającego Memla. A później wstaje dzień. Jasnożółte, niemal białe płomienie spowijają ruiny miasta. Nie otrzymujemy żadnych rozkazów, żadnych poleceń. Nieświadomi, tkwimy nieruchomo, zagubieni w najpotworniejszej z samotności.

Około południa Wollers, nasz dowódca, powiedział, że wraca do Memla. Bezwiednie wstaliśmy z miejsca i poszliśmy za nim. W połowie drogi padliśmy ze zmęczenia. Straciliśmy całkowicie siły i po pokonaniu jednego kilometra zważyło nas z nóg.

Walki toczą się jeszcze, niezbyt daleko od nas, na wschodzie. Jak to możliwe, że nie wybito dotąd wszystkich obrońców? Nad całym horyzontem unosi się nieruchoma, gęsta, czarna chmura, czerwieniejąca u podstawy. Również na południu, od strony portu, widać ogień. Czy ktokolwiek tam jeszcze jest? Kompletnie załamani, milczący, patrzymy nieruchomymi oczami na ten przerażający dramat. Mijają godziny, upływa czas, nasze siły się wyczerpują, a oczy zastygają w osobliwym bezruchu. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, by otworzyć tych kilka nędznych puszek, jakie nam pozostały. Nie myślimy o jedzeniu. Ma ono smak Memla, jest zbyt gorzkie.

Naszą skamieniałą gromadkę zaskakuje kolejna noc; gromadkę błędzącą rozpaczliwie, gromadkę mającą barwę piachu — piachu zdającego się zamykać cykl naszej reinkarnacji. Mgła roztacza się wolno jak całun, strzepi się na tle łuny nad Memlem i unosi nad morzem. Dziesięć metrów od nas przechodzi jakaś grupka. Ludzie idą pochyleni, wolno, niczym jakiegoś zjawy. To ocalałe istoty błędzące po tym skrawku nicości ofiarowanym nam jeszcze przez nieubłagane i skąpe miłosierdzie. A może to Rosjanie? Może sen?

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tam byliśmy. Ile godzin. Może minął kolejny dzień? Może minęła kolejna noc? Agonii Memla nie sposób mierzyć ludzką miarą. Nikt nigdy nie potrafił

określić, ile czasu trwał ten koszmar.

Nie miałyby to zresztą większego znaczenia. Istnieją zjawiska wymykające się zwyczajowym ocenom. Dla mnie czymś takim pozostaje Memel. Jeszcze dziś niezbędne mi jest świadectwo innych, bym uwierzył, że wszystko

to nie jest wytworem jakiejś strasznej choroby, która nazywa się obłąkanie. Aby to wszystko ujawnić, musiałem otworzyć przekłete wrota przeszłości. Jej potworne wspomnienie dziś jeszcze przyprawia mnie o drżenie. Musiałem szperać w ciemnościach tamtego grobu, aby przelać to wszystko na papier. Musiałem ponownie cierpieć, gdyż bolesne są nawet wspomnienia. Musiałem to zrobić. Cmentarzysko Memla, gdzie nikt nie powrócił, by zaznać tam chwili skupienia, przyjmie mą relację jak skromny bukiet polnych kwiatów.

Nie apeluję do ludzkości ani też nie kieruję się pragnieniem zemsty. Już na to wszystko za późno. Jeśli nie liczyć tych oto zdań, zachowuję milczenie, bo straciłem już zdolność osądu. W swej samotności nauczyłem się także, że najbardziej niezmienną siłą jest siła przebaczenia. Nagle w tej strasznej chwili usłyszeliśmy jakieś odgłosy dochodzące z nad morza. Wszystko to, co stamtąd dochodziło, budziło w nas pragnienie życia. Wstaliśmy z miejsca i wsłuchiwalismy się jakby całą swą duszą. Był to głuchy, cichy odgłos, jak warkot silnika pracującego na zwolnionych obrotach. Ledwie go słyszeliśmy. A potem usłyszeliśmy wołania. Jakieś niewyraźne wołania, których nie mogliśmy zrozumieć. Weszliśmy do wody, nawet jej nie czując. Słyszeliśmy jakieś głosy rozlegające się w gęstej mgle. Między dwiema eksplozjami rozróżniliśmy pojedyncze słowa:

— Hier Windau! Hier Windau!

Chodziło o Windawę, leżące bardziej na północy miasto. Jakiś statek płynący z wygaszonymi światłami szukał w ciemnościach drogi. Głosy rozlegały się nadal. Prawdopodobnie wołano za pomocą tuby. Trzęśliśmy się jak w gorączce. „Windawa”. Resztkami sił zaczęliśmy ryczeć, ryczeć, ryczeć jak opętani:

— Hilfe!!!Hilfe!H

Jak opętani furią szaleńcy rzuciliśmy się bez zastanowienia do morza. Na skutek kontaktu z zimną wodą otrzeźwiliśmy na moment. Wydzieraliśmy się cały czas. Woda sięgała nam już do piersi. Traciliśmy równowagę w wodzie, rycząc nieludzkim głosem. Niektórzy niemal tonęli, po czym znów pojawiali się na powierzchni, drąc się bez ustanku. Woda sięgała nam już do brody. Pomyśleliśmy, żeby zrzucić odzienie, bo łatwiej będzie płynąć. We mgle pojawiła się niewyraźna sylwetka statku. Wydzieraliśmy się wniebogłosy. Statek zahaczył o dno i wydawał się stać w miejscu.

Tonąc niemal, nadal zdążaliśmy ku zbawieniu, które w końcu się pojawiło. Płynąc, skacząc, tonąc i zmartwychwstając, dotarliśmy wreszcie do statku. Zatraciłem poczucie czasu.

Zauważyłem mężczyzn wychylających się za burtę, marynarzy rzucających liny i sieci.

Wołali do nas i zadawali nam pytania, ale nikt z nas nie odpowiadał na nie. Rozszalali koledzy czepiali się wszystkiego, co do nich wyciągano; wszystkiego, czego można było się uchwycić. Dyszeli z wysiłku i wrzeszczeli błagalnym głosem. Zahaczyłem dłońmi o jakiś otwór otoczony nitami. Martwe z zimna palce, jak pazury uczepliły się kurczowo jego brzegów. Musiano by mi chyba zmiażdżyć

dłoń, żebym rozluźnił uścisk. Szaleni koledzy tręcali się i popychali wzajemnie, byle tylko złapać koniec liny albo sieci. Panował nieopisany harmider.

Znajdując się w lodowatej wodzie, traciłem powoli świadomość. Zesztywniały ze zmęczenia, trzymałem się kurczowo zbawiennego uchwytu, starając się nie zemdleć. Z kieszeni wypadło mi pudełko po papierosach; unosiło się na wodzie pół metra ode mnie. Spoglądałem na nie, aby zająć czymś swoją uwagę, która z każdą chwilą słabła. Pudełko dwoiło mi się przed oczyma.

Wszystko stawało się bezbolesne. Ledwie poczułem dotyk ramion wciągających mnie na statek. Położono mnie na pokładzie obok moich leżących bez życia towarzyszy. Tworzyliśmy

bezszaftną, ociekającą wodą masę, jak jakaś wielka nie wyżęta ścierka. Niemal w stanie śpiączki, widzieliśmy krążące kubki z gorącą herbatą, którą momentalnie wypiliśmy z narażeniem przewodu pokarmowego. Skierowałem oczy na ogarnięte płomieniami pruskie wybrzeże, patrząc na nie błędnym wzrokiem.

Nie pamiętam już dokładnie, co działo się potem. Jak to się stało, że nie umarliśmy z zimna na pokładzie tego niewielkiego kabotażowca? Może marynarze rozcierali nam ciała? Nie wiem... Tylko jedno doskonale pamiętam: dochodzący od strony łądu huk wojennej pożogi, zagłuszający odgłosy statku i fal.

Kabotażowiec dopłyne w końcu do Pilawy, gdzie wysiadziemy na łąd. Pośród fali uchodźców docieramy na chwiejących się nogach do punktu medycznego, gdzie nasz stan wzbudza pewne obawy. Pobliskie baraki o ścianach jak sito pełne są siedzących i leżących rannych. W niewielkim porcie panuje gorączkowy ruch. Pomoc jest natychmiastowa. Wojna jeszcze tu nie dotarła, ale czuć jej obecność. Od północnego wschodu dochodzą odgłosy kanonady.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Droga krzyżowa

Pilawa, Kahlberg1, Gdańsk, Gdynia Ostatnia walka

Pozostajemy w Pilawie przez kilka dni. Może nawet z dwadzieścia. Uznano nas za niezdolnych do walki. Wszyscy odnieśliśmy cięższe lub lżejsze rany i nadawaliśmy się do leczenia sanatoryjnego.

Nasze osłabione umysły nie kojarzą zbyt dobrze, co się z nami dzieje, czy też raczej, czego się od nas wymaga. Co prawda jesteśmy zbyt słabi, by znaleźć się na linii ognia, ale nie znaczy to, że zwolniono nas ze służby wojskowej. Przerazający widok nie kończącej się fali uchodźców, którzy zalali Pi-ławę, nie pozwala temu, kto ma jeszcze wszystkie kończyny, pozostawać bezczynnie.

Od razu — zresztą z rannymi bardziej nawet od nas — porywa nas znakomicie działająca służba pomocnicza robiąca wszystko, co w ludzkiej mocy, by nieść pomoc ludności cywilnej znajdującej się w tej pułapce. Wszyscy ci ludzie przeżyli najpotworniejszy z odwrotów. Jeszcze teraz wyczytać można na ich wychudłych twarzach, jaki to był dla nich koszmar. Jest też mnóstwo rannych żołnierzy spod Królewca i Cranzu. Leżą dookoła, często na zewnątrz, na mrozie. Początek stycznia 1945 roku jest szczególnie dokuczliwy: skraca to czasem ich cierpienia. Do Pilawy przyplływają kolejne statki. Zabierają stamtąd cywili, a prócz tego rannych, którzy stanowią jedną czwartą wszystkich pasażerów. W jęczącym tłumie, chwytającym się kurczowo tej ostatniej deski ratunku, dokonuje się nieubłagana selekcja. Ciężko ranni, których stan jest zagrożony, a także ci, którym grozi trwałe kalectwo, nie mają żadnych szans. Nie ma dla nich miejsca na statku. Ci, co rokoją nadzieję na w miarę normalne życie, dostają się wreszcie na wymarzony statek. Przy odrobinie szczęścia znajdą się na Zachodzie, na łądzie, przez nasze naiwne umysły kojarzonym jeszcze ze względny spokojem. Krynica Morska (przyp. tłum.).

Tysiąc osób odpływa, a na ich miejsce pojawia się trzy tysiące uchodźców ze Wschodu, powiększając jęczącą masę ludzką oczekującą naszej pomocy. Jeśli na te tereny zawita wojna, powtórzy się piekło Memla, może nawet wielokrotnie tragiczniejsze. Jest tu o wiele więcej ludzi, a liczba ich nieustannie rośnie. Nadchodzą też uchodźcy z południa. Pokonali Frische Haff1 na wszystkim, co mogło utrzymać się na wodzie. Jest tu ludność z Heiligenbeil, Pomehrendorfu2, Elbląga, a nawet z Preussich Holland3. Powiedziano im, że w Pilawie mogą dostać się na statek.

Zadajemy pytania niektórym z tych nieboraków; niemal każdy z nich stracił jednego lub

dwóch członków rodziny. Drżącym głosem opowiadają nam o rzeczach przypominających to, co przeżyliśmy w Memlu. Dowiadujemy się także, że droga do Gdańska została odcięta. Rosjanie kontrolują już znaczną część Zatoki. Wnioskujemy z tego, że tragedia Memla rozgrywa się też w wielu innych miejscach, a nasz dramat, który — jak sądziliśmy — był jedyny, dotyczy również prawie wszystkich miast na wybrzeżu pruskim.

Starając się utrzymać równowagę, na uginających się nogach, spoglądamy smętnym wzrokiem na falujące tłumy umęczonych ludzi zdążających powoli ku obiecanej pomocy. Jest rzeczą oczywistą, że pomimo nadludzkich wysiłków, trudno będzie zrealizować nawet dziesiątą część tego, czego ci nieboracy oczekują. Gdyby modlitwy miały swoje audytorium, możliwe że rozwarłyby się niebiosa, by zmniejszyć ten bezmiar nieszczęścia. Nic jednak się nie wydarza, jedynie nieopisany ból zanika na chwilę, tak jak na zroszonej łzami twarzy tego dziecka pogrążonego w krótkim śnie.

Nadchodzi prawdziwa zima. Termometr nieubłaganie wskazuje prawie dwadzieścia stopni poniżej zera. Jak wynika z mojej powyższej relacji, spadek temperatury jeszcze bardziej pogarsza sytuację wygłodzonych tłumów, czekających cierpliwie na mrozie. Ludzie padają jak muchy.

Jak okiem sięgnąć, tłum ludzi drepcze niecierpliwie przed wielkim, wypełnionym ponad miarę budynkiem, skąd wydobywa się zapach zupy przygotowywanej w pośpiechu w dwunastu wielkich kotłach do gotowania bielizny. Ściśnięci ludzie tworzą wielką, zwartą masę, stukając rytmicznie stopami, by nie zamarznąć. Odgłos ten przypomina głuchy warkot bębna. Najbardziej opłakany widok przedstawiają dzieci. Wiele z nich zagubiło się w tłumie i zmęczone przywoływaniem swych matek, zalewają się rzewnymi łzami. Nic nie jest w stanie je pocieszyć. Mam oczywiście na myśli najmniejsze dzieci nie reagujące na żadne, nawet najbardziej błahe wyjaśnienia. Ich twarze zamazane łzami, które z miejsca zamarzają na mrozie, to dla mnie najbardziej przejmujący obraz tej tragedii. Usiłujemy zabierać dzieciaki do środka i gromadzić je w pobliżu kotłów, aby miały trochę ciepła. Staramy się od nich dowiedzieć, jak się nazywają, by nadawać komunikaty przez głośniki. Jedyłą odpowiedzią są przeraźliwe krzyki i potok łez.

1 Zalew Wiślany i Królewiecki (przyp. tłum).

2 Pomorska Wieś (przyp. tłum.).

3 Pasłek (przyp. tłum.).

Na pobliskim małym pagórku wznosi się wielki, pokryty szronem metalowy krzyż, lśniący jak ostrze miecza zanurzone w sam środek tego dramatu. Wokół tego symbolu faluje następna ludzka masa, słuchając modłów kapłana i wypowiedzianych przez niego słów otuchy. Mróz jest tak silny, że Frische Haff pokryty jest lodem. Mimo tej kolejnej przeszkody statki cały czas dopływają do Pilawy.

Frische Haff pokryty jest lodem. Choć mróz popełnia wobec nas liczne zbrodnie, tym razem przynosi ratunek. Na lodowej pokrywie Zalewu odbędzie się najbardziej nieprawdopodobny przemarsz. Setki tysięcy ludzi osiągną wąski pas Frische Nehrung', by dojść do Kahlberga i wreszcie do Gdańska. Ludzie podążać będą nawet z Heiligenbeil leżącego w wyłomie linii obrony. Nie dość, że cierpieć będą różnorakie niedostatki, to jeszcze zagrażać im będą sowieckie myśliwce bombardujące, usiłujące odciąć drogę zbawienia. Zrzucają specjalne bomby rozrywające lód. Ataki te w wielu wypadkach zakończone będą powodzeniem. Mnóstwo wozów i innych różnego rodzaju pojazdów zniknie w szczelinach, które zdążyła pokryć cienka warstwa lodu, maskując w ten sposób pułapki przed oczami nieszczęsnych wędrowców.

Nic jednak nie powstrzyma uciekinierów, gotowych stawić czoła nawet największym niebezpieczeństwom. Wielu uchodźców zdoła opuścić Piławę, udając się w zbawienną podróż morską. Zresztą jest już najwyższy czas, bo Rosjanie znów wzmagają aktywność na tym odcinku. Lotnictwo bombarduje codziennie miasto, a obrona Królewca, jak się wydaje,

załamała się.

Ponieważ praca w Piławie nie jest już tak intensywna, planuje się ewakuację mniej niezbędnych rzeczy. Z Królewca do Pilawy jest niewiele ponad dwadzieścia kilometrów. Załamał się również front w rejonie Cranzu. Niebawem na pewno zostaniemy wysłani do walki. Stanowimy część skromnych rezerw, które mimo wszystko mogą okazać się przydatne. Rezerwy te tworzą przede wszystkim ocalali żołnierze z rozproszonych albo wybitych oddziałów. Nikt nie wie, gdzie znajdują się niedobitki dywizji „Gross Deutschland”. Jesteśmy tu tylko my, z przyszytymi, ciągle widocznymi naszywkami na rękawach zniszczonych i poplamionych bluz. Jest jeszcze ze mną kilku starych towarzyszy walk. Przede wszystkim porucznik Wollers, mający brudny opatrunek na prawej ręce pozbawionej dwóch palców. Jest też Pferham, nasz pastor pozbawiony wszelkich złudzeń, Schles-ser, Lindberg, który pokonał swój strach, nasz kucharz Grandsk, co już dawno temu porzucił swoje gary na rzecz karabinu. Jest też mój przyjaciel Halls, który nigdy nie zapomni tych wydarzeń, no i ja, co poświęcę resztę życia, by dać świadectwo prawdzie. Jest też siedmiu czy ośmiu kolegów, o nieznanym mi nazwiskach. Wraz z nami stanowią w tym rejonie resztki dywizji „Wielkie Niemcy”. Czy nasz oddział został już ostatecznie wykreślony z ewidencji wojskowej? Nie. Wzywa nas 1 Mierzeja Wiślana (przyp. tłum).

jakiś oficer. Każe nam nawet utworzyć nędzny szereg i przyjąć postawę zasadniczą. Nasze oczy, które już tak wiele widziały, spoglądają z niedowierzaniem na kapitana. Poszarzała twarz faceta zdradza przywiązanie do dyscyplinarnych cnót.

Dyscyplina często smagała nas dawniej jak biczem, a teraz jest prawdziwym balsamem. Dodaje nam otuchy. Są to jakby słowa pod adresem żyjących, pod adresem tych, co najwyraźniej zasługują, by żyć. Nie rozważamy jednak długo tej kwestii. Dla nas, przyzwyczajonych żyć chwilą obecną, jest to forma troski. Kapitan mówi do nas stanowczym, regulaminowym tonem; czujemy ogromną odpowiedzialność ciężącą na nas wszystkich: oficerach, żołnierzach, mężczyznach, kobietach i dzieciach. Czas fanfaronady, czas koszarowych szykan nieodwołalnie minął. Nie ma mowy o jakichkolwiek postawach nie licujących z powagą chwili. Tutaj człowiek mówi do człowieka; nikt nie ma prawa wykręcać się od ciężącego na nim obowiązku.

Kapitan ten, noszący resztki munduru oficerskiego, próbuje na przekór wszystkiemu cokolwiek jeszcze zorganizować, gdy wojenny kataklizm zmiotł już z powierzchni ziemi tak wielu ludzi, gdy trwa jeden z najstraszliwszych na ziemi odwrotów. Kapitan ów, choć wie, że wszystko stracone, próbuje choćby przez chwilę ocalić ducha armii. Mówi nam, że musimy się wycofywać, że również mamy przejść przez lody Zalewu, że mamy dotrzeć do Gdańska, gdzie są jeszcze znaczne siły naszej dywizji. Próbuje przekonać nas, że naszym obowiązkiem jest dostosować się do resztek dyscypliny, którą stara się wprowadzić. Rozkazy wydaje nam nie dlatego, byśmy uniknęli najgorszego. Niebezpieczeństwo bowiem czai się wszędzie i prawdę mówiąc, nie ma żadnego wyjścia z tej sytuacji. Kapitan podszedł już do kolejnych ludzi i oddajemy mu z opóźnieniem honory.

A więc nasza niewielka grupa rusza w drogę. Na pokrytym lodem Zalewie, szerokim na kilka kilometrów, gwałtowny wiatr zmiata z powierzchni śnieg. Z dali dochodzi cichy pomruk falującego morza. Z tyłu słychać wyraźne odgłosy walk.

Wieczorem dochodzimy do Frische Nehrung i pierwszego bunkra przeciwlotniczego, ledwo widocznego pośród wysokich, pokrytych śniegiem traw. Na domiar złego w jakiś idiotyczny sposób tracę równowagę, co przyplącam bólem stopy. Mierzeja ma sześćdziesiąt kilometrów długości. Pokonam ją! Cóż... Wiem nie od dziś, że Niebiosia mi nie sprzyjają.

Złamana miotła posłuży mi za kulę inwalidzką. Już tylu ludzi cierpiało i zmarło na tej trasie, że moja lekka dolegliwość wydaje mi się wręcz niestosowna. Możemy iść tylko w wolnym tempie. Kilka godzin wypoczywamy w jakiejś uszkodzonej łodzi. Nie jesteśmy tam zresztą sami. Schronili się w niej również drżący z zimna cywile. Pojąkują, usiłując zasnąć. Wcis-

nąłem głowę pod ramię Hallsa i pomimo niewygód staram się o niczym nie myśleć. Do Kahlberga dotrzemy dopiero nazajutrz przed południem. W miasteczku roi się od cierpiących z głodu uchodźców. Na twarzach ludzi rysuje się jakiś obłęd; pozerają samą mąkę, jaką wydano im za całe pożywienie. Puszki skondensowanego mleka przydzielane są tylko dzieciom. Aby nie paść z wyczerpania, my również musimy stać w nie kończącej się kolejce po dwie garści mąki i kubek ciepłej wody, w której widać śladowe ilości herbaty.

Kontynuujemy morderczy marsz, idąc teraz pośród tłumów nieszczęsnych uchodźców, utyskujących na ciężkie warunki. Dwukrotnie ten orszak miłosierdzia zaatakują rosyjskie samoloty, zrzucając na idących ludzi bomby przeznaczone do niszczenia czołgów. Każda spadająca w ludzką masę bomba rozsiewa dookoła krwawe bryzgi, a ciepły odór poszarpanych ciał unosi się przez jakiś czas na wietrze. Boję się szczególnie o dzieci. To co się dzieje, jest dla nich niepojęte. Nie odróżniają nieprzyjacielskich ataków, nie rozumieją głodu czy pragnienia. Wszystko jest dla nich cierpieniem, każdy krok oznacza pułapkę. Cierpienie może nadejść z nieba, cierpienie jest na ziemi, domy to jakieś ciemne i zimne wzniesienia, które zawalają się. Bolać je ręce, nogi dokuczają tak bardzo, że przy każdym kroku dzieci przygryzają wargi, a więc są już stracone. Zatracają się w ustawicznym lęku w tym upiornym świecie, gdzie nic ani na chwilę nie jest w stanie ukryć ich bezbronnej słabości. Spoglądają dokoła niewidzącym wzrokiem. Patrzą beznamiętnie błyszczącymi oczyma na swe nabrzmiałe ręczęta, których chętnie by się pozbyły. Na otaczających je ludzi, którzy nie powinni już żyć, na drgającą w wietrze zamarznąłą trawę, która nigdy już nie będzie towarzyszką ich zabaw.

Boję się o te dzieci odbywające pokutę, nim jeszcze zdążyły zgrzeszyć. Używać one będą słowa „istnienie” jako synonimu zemsty. Niestety, mogę być tylko biernym uczestnikiem tej potwornej drogi krzyżowej. Widząc ów bezmiar nieszczęścia, czuję się kompletnie bezradny; nawet moje życie nic by tym dzieciakom nie dało. Nie jestem Chrystusem Odkupicielem, choć widzę już zasadniczy powód, dla którego powinienem umrzeć.

Trzy dni po przejściu przez lody Zalewu docieramy wreszcie do Gdańska. Jeśli nie liczyć obecności setek tysięcy uchodźców, co jest już wystarczająco tragicznym widokiem, w mieście panuje spokój. Wojna oszczędza nam swych złowrogich odgłosów; walki toczą się bardziej na południu. Zresztą niezbyt daleko stąd. Trzeba jednak znosić częste ataki lotnicze. Zatłoczone do granic możliwości miasto stanowi dla pilotów doskonały cel. Gdańsk jest końcowym etapem ucieczki ludności cywilnej z terenu Prus. Co prawda nadal nieprzebrane tłumy czekają dniem i nocą na zewnątrz, ale zorganizowana na szeroką skalę pomoc zasklepia powoli ogromną ranę. Można ciągle jeszcze ewakuować się na Zachód koleją. Przede wszystkim jednak ludność okrętowana jest na liczne statki stojące w gdańskim porcie. Tam właśnie czekamy na swoją kolej, siedząc na ziemi pośród tłumy nędzarzy.

Wollers już od dwóch godzin czeka przy zdevastowanej przeszklonej ścianie sztabu przegrupowania, gdzie mamy uzyskać informacje odnośnie naszego przydziału. Twarde fałdy buta boleśnie uwierają moją opuchniętą kostkę, toteż nie uśmiecha mi się ruszać z miejsca.

Do portu wpłynął duży statek. Tłum oczekujących rzucił się na nabrzeże. Statek nie zdążył jeszcze tam dobić. Ludzie będą musieli czekać kilka godzin, zanim zacumuje. W Gdańsku nie widać już gorączkowego pośpiechu. Do celu zdąża się tu z uporem, choć wymaga to wiele cierpliwości, wytrwałości, cierpień.

Widzę też dzieci, ze strachu wykrzywiające twarzyczki. Nadal spoglądają pełnym nienawiści wzrokiem, niczego nie rozumiejąc, nie żądając żadnych wyjaśnień. Niekiedy morzy je sen. Śpią tam, gdzie się znajdują, nie pozbywając się bynajmniej trawiącego je niepokoju. Siedzę nieruchomo, zmordowany i osamotniony, spoglądając na krążące nad portem morskie ptaki, zdające się należeć do innego świata.

Mijają dwa dni, a my ciągle czekamy na informacje. Zmieniamy się pod oszklonymi drzwiami. Powiew mroźnego powietrza pokrywający wszystko szronem, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, wstrząsa metalową konstrukcją, z której wypadają kawałki szkła.

Aby nie zamarznąć na miejscu, trzeba spacerować dookoła, gestykulować, w każdym razie nie siedzieć nieruchomo. Ponieważ mam wielkie trudności z poruszaniem się, to właśnie zadanie wyznaczali mi koledzy, a sami patrolują zagracony port. Wreszcie otrzymujemy wiadomość, zresztą niepomyślną. W Gdańsku nie ma dywizji „Gross Deutschland”. Może stacjonuje w Gdyni! Gdynia leży kilka kilometrów na północ, nad Zatoką. To żadna odległość, gdyby moja stopa pozwalała mi na jakikolwiek ruch.

Za pomocą Hallsa i fragmentu miotły robiącej za kulę inwalidzką udało mi się jednak pokonać część Gdańska. Po drodze ujawniła swe istnienie Opatrzność. Widząc utykających żołnierzy, mieszkańcy jakiegoś domu wyszli nam na spotkanie. Budynek był ogrzany. Wydawało mi się, że Niebiosa otworzyły nam wreszcie swe bramy. W domu było zresztą pełno ludzi. Byli to uchodźcy ze Wschodu, głównie dzieci; siedziały ściśnięte w milczeniu na ławie pod ścianą, traktując ten mebel jak jakąś cudowną zabawkę.

Ponieważ w domu była woda, gospodarze zaproponowali nam, byśmy się umyli. Wollers wiedział, że żołnierze nie mogą być rozpieszczani przywilejami przysługującymi uchodźcom cywilnym. Ale jego opatrunek był jedną, wielką, cuchnącą substancją, a jego ciało tak osłabione, że nie potrafił odmówić. Mogłem nawet zanurzyć opuchniętą kostkę w naczyniu z ciepłą wodą. Dobrodzieje nalegali, byśmy zostali jeszcze do następnego dnia dla nabrania sił. Wieczorem solidny posiłek wpadł do naszych menażek niczym manna z nieba.

Noc spędziliśmy w ciepłej piwnicy. Nie przyzwyczajeni do tego rodzaju wygód, nie potrafiliśmy niestety w pełni docenić tych warunków. Momentami podrywaliśmy się instynktownie z miejsca, jakbyśmy mieli zainstalowany w głowach system alarmowy. W tych nieoczekiwanych okolicznościach odezwało się zmęczenie, bo poprzednio nie mieliśmy nawet czasu, by

je odczuwać. Lindberg przez długie chwile drżał na całym ciele. Halls myślałby, że już po nim, gdyby przyszło mu spać na leżąco, toteż całą noc spędził oparty o ścianę, jęcząc od czasu do czasu. Czułem, jakby całe moje ciało przenikał dreszcz niepokoju, pulsujący w rytm mego oddechu.

Czy nie mogliśmy już żyć normalnie? Bardzo możliwe. Jedna rzecz ogromnie mi jednak pomogła. Trzy ciepłe kąpiele chorej stopy w rekordowym czasie zdołały uśmierzyć ból. Czyżby pozbawione wszystkiego nasze ciała reagowały z miejsca na najprostsze zabiegi? Tutaj kubek wódki i słowa otuchy utrzymywały nawet ciężko rannych przy życiu... A dziś w pełni sprawnego człowieka grypa może rozłożyć na kilka dni! Kim byliśmy, że potrafiliśmy żyć w takich warunkach? Nie myślę tu bynajmniej o jakichś nadludziach, absolutnie nie! Byliśmy tylko najzwyklejszymi ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu. A ci, którzy oceniają nas dzisiaj, żyjąc w cieplarnianych warunkach, nie mają prawa nawet nimi się mienić! Nie mają! Wiem, co mówię. Dziś, w okresie pokoju, widzę wokół siebie zbyt wiele nudy i lenistwa, bym nawet przez sekundę w to wątpił. Jeżeli wojna jest dla ludzi koniecznością, by mogli cenić pokój, jaki jest dziś cel wychowania, któremu zbyt wiele spraw się poświęca? Boję się, że stracę swoją ostatnią nadzieję, którą z takim uporem staram się podtrzymać. Rano sposobimy się do pożegnania z naszymi dobroczyńcami. Sami zresztą powiedzieli nam, że już wyczerpały im się ostatnie zapasy i myślą o opuszczeniu Gdańska, by póki jeszcze jest to możliwe, uciekać na Zachód.

W promieniach późno wschodzącego słońca nad port nadlatują przygotowujące się do ataku pierwsze myśliwce bombardujące. Zegnamy się z gospodarzami w huku bomb i dział przeciwlotniczych. Idziemy w kierunku Gdyni. Tą trasą podąża również nieprzerwana kolumna cywili. Gdańsk nie jest zdolny przyjąć ich wszystkich. Inni pójdą jeszcze bardziej na północ. Obejdą Zatokę Gdańską, by dotrzeć aż do Helu, kolejnego miasta portowego,

leżącego naprzeciw Gdyni, której port jest niemal tak duży jak w Gdańsku. Jesteśmy w Gdyni, niespełna miesiąc przed jej zniszczeniem. Docierający do miasta uchodźcy kierowani są często do mniejszych miejscowości leżących w głębi lądu. Inni przechodzą przez miasto, kontynuując cały czas piechotą swą drogę krzyżową. Następnym etapem będzie oddalony o pięćdziesiąt kilometrów Hel.

Usiłujemy uzyskać jakieś informacje od mijanych po drodze grupek żołnierzy. Nikt nic nie wie. Nikt też nie widział naszej jednostki. Poradzono nam, byśmy skontaktowali się ze sztabem przegrupowania. Udajemy się tam, ale widząc miotających się urzędników, których sytuacja zdaje się przerastać, boimy się zapytać o cokolwiek. Wśród tłumu uciekinierów krąży złowroga wiadomość. Chodzi o udający się na Zachód duży statek, który kilka dni temu zatonął. Na jego pokładzie znajdowało się tysiące cywili, szczęśliwych, że wreszcie udają się w spokojniejsze miejsce. Prawdopodobnie został storpedowany przez okręt podwodny. Możemy bez trudu wyobrazić sobie straszliwy dramat w ciemnej, mroźnej nocy.

Wiadomość o tej katastrofie, mimo że nie pojawia się w oficjalnych komunikatach, przekazywana jest z ust do ust. Ludzie, dla których ucieczka drogą morską miała być ostatnią deską ratunku, są teraz przerażeni. Nowina, choć chciano zachować ją w sekrecie, rozszerza się nieubłaganie. Sądzę, że tym dużym statkiem był „Wilhelm Gustloff”.

W dalszym ciągu nie mamy żadnej wiadomości o dywizji. W końcu przydzielono nas do batalionu fortecznego, utrzymującego przy pomocy cywili linię obrony na zachód od Sopotu. Posuwamy się teraz w głąb lądu na odległość dobrych trzydziestu kilometrów. Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się nieprzyjaciel, ale wydaje mi się, że jest za nami. Przygotowane przez nas stanowiska artylerii przeciwpancernej i przeciwlotniczej zwrócone są w kierunku południowego zachodu, a nawet zachodu, czyli w jedynym możliwym kierunku odwrotu. Nic z tego nie rozumiem, nie ma to jednak żadnego znaczenia. Nie po raz pierwszy inni zapewne myślą za nas.

Wszystko jest tu mniej uciążliwe, jeśli nie liczyć tłumów jęczących, przerażonych cywili, poupychanych nawet w najmniejszych gospodarstwach. Pruscy rolnicy, choć posłuszni cywilnej dyscyplinie, jakiej od nich wymagano, marszczą czoła z niepokojem. Przyszłość jest niepewna, a cud, jaki jeszcze wczoraj miał ich uratować, staje się coraz mniej realny. A więc, pomimo zaleceń, by nie popadali w rozpacz i nie ulegali panice, pomimo rozpaczliwych prób w miarę normalnego życia pośród tłumu uchodźców, powoli, potajemnie likwidują gospodarstwa, zanim je stracą. Pod nóż idzie wiele sztuk bydła, by zapobiec katastrofalnej sytuacji żywnościowej. Decyzja okazuje się słuszna, gdyż wkrótce potem setki sztuk bydła padnie na zamrożonej ziemi.

Tak więc, pomimo wyczerpującej pracy, pomimo nieustannych wart i patroli, odzyskujemy trochę sił, a to dzięki żywności, której się nam nie żałuje. Szczególnie cenne jest mięso. Zmizerowani żołnierze pochłaniają je z wielką łapczywością. Zresztą na wojnie wszystko wykonywane jest z determinacją.

Nawet Grandsk odzyskał swoje zajęcie. Wraz z cywilnymi ochotnikami uwija się w ogromnej kuchni zajmującej całą szopę o ścianach pełnych szpar. Między naszymi pozycjami a Sopotem, Gdynią i Gdańskiem utrzymują łączność dwa samochody. W ten sposób w małych ilościach wysyłana jest amunicja na organizowaną tutaj linię frontu. Jeśli nie liczyć kilku ataków lotniczych, na naszych pozycjach panuje zadziwiający spokój, zważywszy, że jest to końcowa faza wojny — początek 45 roku. Nawet mróz zelżał; niebo jest dla nas tak nieprzyzwoicie łaskawe, że nie śmiemy wręcz na

Niemiecki statek pasażerski storpedowany 30 stycznia 1945 r. przez rosyjski okręt podwodny S-13. Katastrofa pochłonęła ponad 5000 ofiar (przyp. tłum.).

nie spoglądać. Długie godziny spędzamy na czynnościach, jakie dziś wzbudziłyby oczywiście protest związków zawodowych, nam jednak wydają się fraszką.

Któregoś dnia, może pod koniec lutego, dywizja, którą uważaliśmy już za nieistniejącą, wzywa nas do Gdyni. Nasz oddział „Gross Deutschland” zdołał zebrać kilka grup; wysłane będą drogą morską na Zachód. Sytuacja zdecydowanie się poprawia. Opuszczamy batalion, gdzie okazaliśmy się bardzo przydatni, żegnając się z nowo poznanymi kolegami. Grandsk z żalem rozstaje się ze swoją kuchnią, którą tak świetnie zorganizował. Pożegnanie to zresztą oszczędzi nam strasznych chwil. Nieszczęsny batalion zostanie niemal całkowicie rozbity. Niewdzięczny jestem, oskarżając tak często niebiosa! Po raz kolejny ratuje nas Opatrzność. Od strony zachodniej pojawiły się rosyjskie czołgi. Na pozycje, które na szczęście zdołaliśmy należycie umocnić, zwała się niesamowita lawina ognia. Nasi wytrzymali pierwsze uderzenie, ale prędzej czy później ulegną. Ponoć Rosjanie ponieśli ogromne straty. Wiadomo jednak, że nie wywiera to na nich większego wrażenia.

Do Gdyni, gdzie znaleźliśmy się w oczekiwaniu na rozkazy, dochodzą odgłosy toczących się walk. Rosjanie są już dziesięć, dwanaście kilometrów od miasta. Wycofujące się niemieckie oddziały walczą zaciekle. Chroniący się uprzednio we wsiach cywile uciekają w popłochu do miasta pośród masakrujących ich pocisków. Krążące na morzu ciężkie okręty Kriegsmarine zasypują ogniem swych potężnych dział wysunięte oddziały sowieckie. Ziemia drży na całej szerokości. Dookoła wypadają z brzękiem szyby.

Organizujemy teraz ewakuację przerażonych cywili. Mają odpłynąć do Helu. Wycofujące się oddziały przybywają do Gdyni, co oznacza, że na naszą linię obrony nie można już liczyć. W mieście ponownie wybucha nieprawdopodobna panika. Uciekający w kierunku portu cywile zakłócają porządek, który i tak trudno było utrzymać. Mimo że mamy w kieszeni stosowne papiery, upoważniające nas do ewakuacji, zostajemy wysłani w okolice Sopotu, by wzmocnić słaby odcinek frontu.

Opuszczamy więc na pewien czas Gdynię; panuje tu nieopisany chaos. Wściekli, z wyschniętymi gardłami, wsiadamy do cywilnych samochodów, pędzących na złamanie karku ku naszej kolejnej Gulgocie. Przez zamknięte z powodu trzaskającego mrozu okna musimy obserwować niebo, na którym stada myśliwców bombardujących krążą jak rozszalałe osy. W Bróssel1 w ostatniej chwili zeskakujemy z samochodów, aby skryć się w otaczających nas ruinach. Cała wioska drży w posadach. Cały świat wylatuje w powietrze. Sowietci bombami i pociskami raketowymi ostrzeli-wują wszystko, co tylko się rusza. Samoloty przelatują tak nisko, że niemal widzimy szydercze gesty pilotów. W wirujących tumanach kurzawy wskakujemy do samochodów i odjeżdżamy jak najszybciej. Jezdnia zawalona

1 Prawdopodobnie chodzi o Brósen, czyli Brzeźno (przyp. tłum.).

jest gruzami i wielokrotnie musimy je usuwać. Trzeba także omijać leje po bombach i pociskach; nasze pojazdy dosłownie by w nich pozniakały. Po tej wariackiej jeździe zostajemy sami z naszymi ciężkimi pancerfaustami w okolicach jakiejś wioszczyny. Nawałnica szaleje o dziesięć minut drogi na południe. To tu!

Biegniemy truchtem w kierunku pozbawionego liści żywopłotu; dostrzegamy tam motocykl z przyczepą. Chcemy zasięgnąć jakichś informacji. Za późno. Obaj żołnierze już nie żyją. Motocyklista leży na kierownicy; jego plecy są jedną krwawo-błotnistą masą. Drugi martwy żołnierz wydaje się spać. Wybuchy są coraz bliżej. Nie sądziliśmy, że Rosjanie mogą być już tak blisko. Gdzie są nasi?

Oto i są. Przebiegamy przez ścieżkę ogrodową i dostajemy się na stosunkowo płaski teren ograniczony wzniesieniami ciągnącymi się dwieście metrów dalej. Liczne smugi dymu oznaczają zarówno wystrzały, jak i wybuchy pocisków. Szare niebo rozświetlają białe błyski. Musimy za wszelką cenę posuwać się w tamtym kierunku, mając w kieszeniach dokumenty wyjazdowe. Widząc zacięte twarze kolegów, domyślam się, jak muszą kłać na cały świat. Zafascynowani widokiem toczących się walk, kończymy nasz marsz efektywnymi nurami, jakich nie sposób się nauczyć na żadnej lekcji gimnastyki.

Trzy niemieckie półgąsienicowe transportery opancerzone, które nie wiadomo, jakim cudem

się tu pojawiły, obróciły lufy swoich dział przeciwlotniczych w kierunku dwudziestu sowieckich czołgów stojących nieruchomo w brunatno-białym krajobrazie. Zabłoceni żołnierze przylgnęli w niewielkich, w pośpiechu wykonanych okopach, kierując różnego rodzaju broń przeciwpancerną ku widocznym w oddali stalowym kolosom. Ledwie zdążyliśmy dobiec do stanowisk, gdy rozlega się kolejna salwa. Nasze pozycje, skąd dochodzą okrzyki przerażenia, ogarnia ogień, a w chwilę później wznosi się ogromna chmura dymu i kurzu. Ukrywające się bardziej z tyłu transportery otwierają ogień i teraz nie da się już usłyszeć żadnych głosów.

Stojące nieruchomo rosyjskie czołgi strzelają ponownie. Niektóre z nich są zresztą unieruchomione na dobre. Wydobywający się z ich wnętrza dym miesza się z unoszącymi się nad naszymi umocnieniami kłębam, które łaskawy wiatr przegania w kierunku przeciwnika. Pada nieludzki rozkaz: — naprzód! Ponieważ czołgi nie zbliżają się do naszych pancerfaustów, my musimy iść im naprzeciw.

Cudem udaje nam się skokami pokonać kilka metrów. Serie z broni maszynowej roznoszą na strzępy kilku moich dzielnych kolegów.

Strach osiąga swoje apogeum. Sikamy w spodnie, bo napięcie jest tak wielkie, że nie jesteśmy w stanie się kontrolować. Zbliżamy się jeszcze bardziej. Po każdym skoku rozdrapujemy swe twarze drgającymi konwulsyjnie rękami. Czołgi nie mają wsparcia piechoty i ich ogień jest niecelny. Jeden z nich eksploduje sześćdziesiąt metrów od okopu, który zajmują z pięcioma kolegami. Inne zmieniają położenie. Patrzę wytrzeszczonymi oczyma na jakże bliską już śmierć, z którą człowiek nieustannie igra. Trzy czołgi posuwają się do przodu. Jeśli aotrą do pagórka, gdzie się schowaliśmy, za minutę wojna się dla nas skończy.

Spoglądam na te trzy monstra. Widzę tylko je! Widzę także metalową tablicę na szczycie wzniesienia, widzę też pierwszy pocisk mojego pancer-fausta i swoją zeszytniałą ze zdenerwowania rękę trzymającą kurczowo urządzenie uderzeniowo-spustowe. Czołgi jadą w naszym kierunku. Moje ciało drga jak ziemia pode mną. Nerwy mam napięte do ostatnich granic. Uszy wypełnia przeraźliwy świst. Po raz kolejny zdaję sobie sprawę, że w kilka sekund można stracić życie. Widzę żółte płomienie na złowrogich pancerzach czołowych, a później wszystko znika w przeraźliwym błysku mojego wystrzału, od którego piecze mnie twarz.

Mój mózg tężeje; zdaje się być taką samą substancją jak mój hełm. Pojawiające się obok kolejne błyski poraziły mnie w oczy, które cały czas wytrzeszczam. Nic jednak nie da się zobaczyć. Wszystko jest świetlną, rozmazaną plamą. Po chwili zauważam w pewnej odległości niewyraźny płomień. To nasze trzy pociski trafiły w czołg. Ściskamy jeszcze gorączkowo lufy pancerfaustów, gdy nagle na lewo od płonącego czołgu pojawia się kolejne monstrum. Słyszymy też warkot trzeciego pojazdu, przejeżdżającego przez pagórek z drugiej strony. Czołg przyspiesza. Gdy jest już tylko trzydzieści metrów od nas, chwytam ostatni pocisk. Kolega zdążył już wystrzelić. Jego wystrzał ogłuszył mnie. Wyteżając wzrok, dostrzegam szereg pokrytych błotem kół defilujących z głuchym łoskotem pięć lub sześć metrów ode mnie. Z naszych gardeł bezwiednie wydobywają się nieludzkie krzyki.

Stalowy kolos mija nas, oddalając się w bitewnym zgiełku. Wreszcie znika w potwornym wulkanie podrywającym go z ziemi; spowija go gęsty dym. Nieprzytomnym wzrokiem usiłujemy jeszcze cokolwiek dostrzec, ale dokoła widzimy tylko morze ognia. Czołgi już się nie pojawiają. Wyskakujemy z okopów, pchani jakąś nadludzką siłą. Zbliżamy się do szalejącego ognia, który poraża nasze źrenice. Warkot czołgów słabnie. Rosjanie ugięli się przed naszym zaciekłym oporem. Chyba sam diabeł nas wspomógł. Nieprzytomni ze zmęczenia padamy na zmarzniętą ziemię, wcale nie czując jej chłodu.

Trzy czołgi, które rzuciły się do ataku, zostały zniszczone. Dwa inne również pozostały na polu walki. Zabieramy dwóch rannych Rosjan. T-34 uznały za stosowne nie przeciwstawić się już naszej rozpaczliwej obronie. Pojawią się w większej liczbie, wsparte na pewno

artylerią i lotnictwem, i nasza szaleńcza obrona okaże się daremna.

Walczyliśmy jeszcze, i chociaż dysproporcja sił nie pozostawia najmniejszych złudzeń, nasze poświęcenie nie poszło na marne, ponieważ dzięki temu mnóstwo cywili zdołało uniknąć niewoli.

Nocą dołączyły do nas kolejne grupy żołnierzy. Bez żadnego odpoczynku umocniliśmy nasze pozycje i postawiliśmy miny, które nadeszły do Gdańska wraz z transportem amunicji.

Bardzo wzmocniły naszą obronę. Niestety, mogą być użyte tylko raz. Rosjanie połamią sobie jeszcze na nich zęby, chyba że intensywnymi bombardowaniami obrócą w pył cały teren.

Od trzech dni Iwan przeprowadził ponad dwadzieścia ataków w kierunku Zatoki, by odciąć Gdańsk od Gdyni. Pferham został ciężko ranny. Musieliśmy jeszcze bardziej cofnąć naszą linię obrony. Tym razem otrzymaliśmy niezwykle skuteczne wsparcie artylerii okrętowej. Gdyby Rosjanie nie dysponowali tak znacznymi siłami i niewyczerpaną ilością sprzętu, prawdopodobnie przegraliby te walki.

Resztki naszych sił zajmują niewielką już przestrzeń. Rosjanie wysyłają do walki lotnictwo i przede wszystkim ono przełamie naszą obronę. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, nawet najędźniejsza chatynka została zrównana z ziemią. Tereny te, gdzie jeszcze pół roku temu życie toczyło się w miarę spokojnie, przypominają teraz apokaliptyczny krajobraz. Nie sposób już przemieszczać się za dnia. Na niebie niepodzielnie panuje sowieckie lotnictwo. Mimo intensywnego ostrzału naszej artylerii przeciwlotniczej, liczba samolotów się nie zmniejsza. Nasza rozpaczliwa obrona słabnie. Rozpoczyna się odwrót.

Do Gdyni docieramy jako jedni z pierwszych. W podmiejskich dzielnicach trwają już zażarte walki. W przeciągu kilku dni miasto zmieniło się nie do poznania. Wszędzie widać ruiny; w powietrzu roznosi się silny zapach gazu i spalenizny. Główna ulica prowadząca prosto do portu jest całkowicie zniszczona. Gruzy zawałonych domów sięgają aż po środek jezdni, tarasując przejazd.

Wraz z tysiącami innych odgruzowujemy ulice, aby wypełnione cywilami ciężarówki mogły jak najszybciej dostać się do portu. Mimo pojawiających się co pięć — dziesięć minut samolotów, praktycznie nie opuszczamy ulicy. Spadają na nią bomby i trawią ją pożary dwadzieścia — trzydzieści razy dziennie. Trzeba było przeżyć Biełgorod i Memel, aby teraz nie strzelić sobie w łeb. Zabitych i rannych nie sposób już zliczyć. Sztuką jest spotkać kogoś całkiem zdrowego.

Rozjuszony, wierzgające konie, oszczędzone zapewne przez służby zaopatrzeniowe, ciągną szereg przedstawiających opłakany widok sani wypełnionych trupami owiniętymi w brezent, a nawet w papier. Trzeba oczyścić ulicę z ciał i pochować je pośpiesznie przy nieustannym ostrzale prowadzonym przez Iły-2.

Wycieńczeni ludzie stoją nieruchomo, jak nieprzytomni, na zwałach ruin, stanowiąc doskonały cel dla sowieckich lotników. Mało tego — nawet horyzont od zachodu i południowego zachodu ma czarno-czerwoną barwę. Na przedmieściach trwają już walki o każdą ulicę i każdy dom. Tysiące, tysiące cywili ciągle czekają w porcie i okolicach, mimo że ciężkie pociski artyleryjskie eksplodują czasem nawet na nabrzeżach.

W tym nieopisanym chaosie docierają do nas prawdziwe i fałszywe wieści: Rosjanie zostali odepchnięci w kierunku zachodnim; za sowieckimi pozycjami zbliża się idąca nam na odsiecz niemiecka dywizja; Rosjanie dotarli już do morza między Gdynią a Gdańskiem... Jesteśmy raczej skłonni uwierzyć w tę ostatnią. Jeśli punkt oporu został rozbity na dwie części, klęska jest tylko kwestią czasu.

Szukamy chwili wytchnienia w piwnicy, gdzie lekarz przystępuje do odebrania porodu.

Pomieszczenie jest zadaszone i częściowo oświetlone przez jakieś przypadkowo zdobyte lampy. Narodziny dziecka są na ogół radosnym wydarzeniem. W tym jednak wypadku jeszcze bardziej uwypuklają dramatyzm tamtych dni. Jakże dziwnie kontrastują jęki matki z wszechobecnym, nieludzkim wyciem. Kwilący noworodek żałuje już chyba, że przyszedł na

świat. I znów obecna jest krew, tak jak na ulicach, tak jak na ziemi, będącej świadkiem tyłu naszych cierpień. Moja ocena życia ludzkiego zdaje się zlatywać w przepaść, której dno jest ledwo widoczne. Kurewskie życie! Wszędzie tylko krew, jęki, cierpienia...

Po niedługim czasie powracamy do tego piekła. Po raz ostatni spojrzeliśmy na noworodka; jego cichutkie krzyki dźwięczały jak delikatny kryształ pośród wstrząsających piwnicą eksplozji. Niech umrze czym prędzej, nim osiągnie dwadzieścia lat! Dwadzieścia lat to niewdzięczny wiek. Jakże ciężko odejść z tego świata, gdy człowiek ma przed sobą pełnię życia.

Nieśliśmy pomoc osobom w podeszłym wieku. Młodszy zostawili je So-wietom na pastwę losu. Nocą rozświetlaną błyskami wystrzałów wypełnialiśmy swe zadanie. Pomogliśmy tym ludziom dostać się do portu, gdzie czekał na nich statek. Niestety, nadleciały samoloty i kierując się szalejącymi ciągle wzdłuż ulicy pożarami, zesłały na nasz miłosierny orszak śmierć.

Zginęło około piętnastu ludzi. Usiłowaliśmy nakłonić te starsze osoby, by tak jak my próbowały padać na ziemię, szukając schronienia, ale na niewiele to się zdało. To nic. I tak sporo ich zdołaliśmy uratować. Wraz z kolegami dosłownie wnosiliśmy je na trawler. Umieściliśmy je jakoś w nieprzebranym tłumie; w tym czasie statek zlizował cumy, by uniknąć ataku lotniczego. Trawler odpływa. Jesteśmy na pokładzie. Wollers pobiegł na rufę, żeby zobaczyć, czy wciągnięto już trap. Po chwili powrócił do naszej grupki, depcząc pasażerów zalegających pokład. Popatrzył na nas i chciał coś powiedzieć. Spojrzeliśmy na ogarniętą płomieniami Gdynię.

— Macie przy sobie dokumenty podróży? — spytał nagle niespokojnym głosem.

Wyjęliśmy z kieszeni brudne i wymiętoszone papiery.

— Już prędzej stracilibyśmy głowy niż to — mruknął Grandsk.

Woda chlupocze łagodnie niecały metr poniżej krawędzi burty. Niewłaściwe rozmieszczenie pasażerów grozi zatonięciem. Nikt nie porusza nawet palcem. Nikt nie wierzy w to, co się dzieje. I znów udało nam się uciec przed fanatycznymi Rosjanami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zachód Hel, Dania, Kilonia Anglicy Niewola

Przed świtem docieramy bez przeszkód do Helu. Po drodze mijaliśmy liczne statki płynące, niczym widma, z wygaszonymi światłami. Udawały się albo do Helu, albo do Gdyni lub Gdańska, gdzie wielu jeszcze cywili czekało na ratunek. Myślałem, że Hel jest dużym miastem, a tymczasem jest to niewielkie miasteczko z portem o drugorzędnym znaczeniu. Mnóstwo statków stoi głównie na redzie. Wszelkiego rodzaju łodzie i motorówki nieustannie dowożą tam ludzi mających popłynąć na Zachód. W nocnych ciemnościach i przy utrzymującym się mrozie, w porcie helskim, będącym ostatnią deską ratunku, panuje gorączkowy ruch.

Jak tylko zeszliliśmy na ląd, działająca jeszcze żandarmeria polowa ustawiła nas z boku. Wybałuszamy oczy ze zdziwienia. Czyżby szansa, co przywiodła nas aż tutaj, miała zniknąć jak topniejący w słońcu śnieg? Czy aby nie odeśle nas się z powrotem do Gdańska lub Gdyni? Żandarmi nie interesują się nami; kierują ruchem trupiobladych pasażerów. Papiery mamy w porządku, ale czy wsiedliśmy na właściwy statek? Poza tym rozkazy mogą być w każdej chwili odwołane. Przez najbliższe minuty czekamy w napięciu, niepewni swego losu. Wstaje dzień. Utrzymujące się od miesięcy zmęczenie wywołuje drżenie ramion.

Dostrzegamy liczne, szare sylwetki statków zakotwiczonych wokół Półwyspu. Jest też sporo okrętów wojennych. Nie skończyliśmy jeszcze obserwacji, gdy rozlegają się sygnały alarmowe. Przez gęsty tłum przelatuje pełen grozy pomruk. Oczy raz jeszcze ośmielają się spojrzeć w niebo.

— Bez paniki! — wrzeszczą żandarmi. — Nasza obrona przeciwlotnicza je powstrzyma! My jednak wiemy, co to oznacza. Schrony są pełne rannych, toteż każdy musi kryć się, gdzie popadnie. Jeśli spadną tu bomby, nastanie prawdziwa rzeź.

Rzucamy się w kierunku jakiegoś starego, odśnieżonego pontonu; jego belki pomazane smolą mogą stanowić niejaką ochronę. Nie zdążyliśmy jeszcze do niego dobiec, gdy rozpoczyna się huraganowy ostrzał obrony przeciwlotniczej, jakiej jeszcze nie miałem okazji widzieć. Ogień prowadzą baterie nabrzeżne, a zwłaszcza artyleria okrętów, które zdołaliśmy dostrzec o świcie. Spadające odłamki mogą spowodować sporo szkód.

Niebo od wschodu pokrywa mnóstwo czarnych punkcików. Kanonada jest tak donośna, że nie słyszymy nadlatujących samolotów. Dostrzegamy trzy lecące na małej wysokości maszyny, równoległe do portu. Gonią je czarne punkciki, czyli wybuchające pociski przeciwlotnicze. Nad morzem, w kierunku południowym, słychać potężny wybuch. Chyba jeden z samolotów został trafiony. Żandarmi nie przesadzali, mówiąc, że ani jeden Ruski nie zdoła przelecieć nad Helem. Nabieramy otuchy. Wreszcie Rosjanie ponieśli porażkę.

Po nalocie żandarmi sprawdzają nam papiery.

— Stawcie się w tym samym miejscu w dniu.....marca — oświadcza podoficer. — Wtedy dostaniecie się na statek. Tymczasem czeka na was robota na północ od miasta.

Spieprzamy, nie zadając żadnych pytań.

— Którego dziś mamy? — bełkocze Halls.

— Czekajcie! — wykrzykuje Wollers. — Mam kalendarzyk w notatniku. Nie znajduje jednak rzeczony przedmiotu.

— W każdym razie nie przyśpieszyłoby to naszego wyjazdu.

— Ale przecież musimy wiedzieć! — nalega Halls. — Chciałbym, byśmy wiedzieli, jak długo mamy jeszcze czekać.

Dowiedzieliśmy się w końcu, że była to niedziela, 28 albo 29 marca, i że mieliśmy czekać chyba z dwa dni. Dwa ostatnie dni kampanii rosyjskiej, która zniweczyła nam życie.

Dni te spędziliśmy pośród niespokojnych tłumów koczujących pod gołym niebem na wąskim pasie Półwyspu Helskiego.

Jeszcze dwukrotnie Rosjanie „uraczyli” nas zakończonymi niepowodzeniem atakami lotniczymi. Ostatnią ofiarą, jaką widziałem, był brudny, biały koń.

Jeden rosyjski samolot został przepołowiony. Eksplozja nastąpiła akurat nad nami. Przednia część maszyny zaczęła pikować w dół z przeciągłym wyciem silnika. Śledziliśmy wzrokiem jej upadek. Potężny huk zaniepokoił zwierzę, które uniosło łeb. Koń zarżał i zrobił trzy kroki galopem w kierunku miejsca, gdzie za chwilę miała runąć kupa złomu. Widziałem, jak całe to żelastwo zwała się na zwierzę; jego ciało wyrzuciło na piętnaście metrów.

Wieczorem, pierwszego kwietnia, kiedy była parszywa pogoda, weszliśmy na pokład dużego, białego statku. Kiedyś odbywali nim chyba wyciecz-

ki morskie bardzo bogaci ludzie. Mimo ustawicznego niepokoju, mimo nieprzebranych, pchających się tam tłumów, mimo widoku noszy z jęczącymi rannymi, z zachwytem spoglądam na wspaniałe, choć nieco już podniszczone wyposażenie tej pięknej jednostki.

Wydaje mi się, że patrzę na wystawy sklepowe, do których prowadził mnie ojciec w Wigilię Bożego Narodzenia. Staram się nie okazywać radości, bo wiem, że to się zawsze źle kończy.

Nasza arka zbawienia płynie przez szare odmęty, zanurzając się w ciemnościach nocy. Nieco wcześniej usłyszeliśmy odgłosy walk i zauważyliśmy jarzące się niebo po drugiej stronie Zatoki. To walczą nasi koledzy tkwiący ciągle w tym piekle. Nie możemy uwierzyć

własnemu szczęściu. Czujemy się głupio. Rejs trwa ponad dwa dni. Płyniemy na Zachód. To niesamowite! Na Zachód, gdzie tak bardzo chcieliśmy się znaleźć, gdzie nie wyobrażam sobie, by była wojna. Dowiadujemy się, że naszym statkiem jest „Pretoria”. Mimo że jesteśmy ściśnięci na niewielkim skrawku pokładu w zacinającym deszczu i dmącym wietrze, z radości zapominamy o jedzeniu i picciu.

Oczywiście, wystarczyłaby jedna torpeda, by posłać nas na dno. Nikt o tym jednak nie myśli. Eskortuje nas zresztą okręt wojenny. Wszystko przebiega w najlepszym porządku. Przyptywamy do Danii, gdzie widzimy zapomniany już świat, przede wszystkim sklepy pełne pieczywa i słodczy. Pożeramy je wzrokiem, nie zważając na nasze brudne, wymizerowane gęby. Prawie nie widzimy, jak sklepikarze rzucają w naszym kierunku pogardliwe spojrzenia, patrząc, co to za ludzie. Nie mamy pieniędzy, a tego co tam widzimy, nie dostaje się za darmo. Przez chwilę pomyśleliśmy o naszych pistoletach maszynowych...

Halls nie wytrzymał. Wyciągnął swoje wielkie, przypominające martwe drewno dłonie, prosząc o litość. Sprzedawca udał, że go nie widzi, ale Halls nalegał dalej. Wreszcie wcisnął w budzącą obrzydzenie rękę kolegi jakieś czerstwe ciastko. Halls przełamał je na cztery części, po czym zaczęliśmy się rozkoszować nieznanym nam smakiem. Chcieliśmy podziękować facetowi, starając się uśmiechnąć. Rozdziawiliśmy umorusane pyski, ukazując zepsute zęby — wyglądało to jak grymas. Sklepikarz pomyślał na pewno, że drwimy sobie z niego. Odwrócił się do nas plecami i zniknął na zapleczu. Nie wiedział, że od bardzo dawna nie mieliśmy okazji do śmiechu i że musi upłynąć trochę czasu, nim znów się tego nauczymy. Zaokrętowano nas na mniej już wytworny statek, którym dopłynęliśmy do Kilonii. Tu poczuliśmy się bardziej swojsko. Nie ma ani cukierni, ani okazji do uśmiechu, są tylko ruiny i atmosfera gorączkowego niepokoju. Z miejsca przydzielono nas do sformowanego naprędce batalionu. Halls zasięgał informacji, czy jest szansa na urlop, by mógł udać się do rodzinnego domu w Dortmundzie. Żołnierz w wieku około pięćdziesięciu lat położył mu rękę na ramieniu, mówiąc, że przy odrobinie szczęścia i odwagi, jeśli uda mu się prześliznąć przez linie amerykańskie i angielskie, może zdoła tam dotrzeć.

Na twarzy mego nieszczęsnego przyjaciela pojawiło się zdumienie i smutek.

Linie amerykańskie i angielskie!

I to właśnie na Zachodzie czeka na nas ta najbardziej przerażająca wiadomość, raniąc nam okrutnie serca. Na Zachodzie, o którym tak bardzo marzyliśmy i dokąd w końcu udało nam się przybyć. Jesteśmy kompletnie załamani. Zachód, ten raj, za którym tęskniliśmy nieśmiało, tkwiąc w lodowatych okopach Memla, nad Dnieprem i Donem. Zachód, ów wymaginowany raj, miał ukoić nasze cierpienia; Zachód był dla nas jedyną racją życia; Zachód ten jest teraz niewielką wioską zawałoną gruzami; wioską, gdzie ciszę przerywa warkot samolotów, gdzie przerażeni ludzie czołgają się i uciekają. To także trzy brudnoszare ciężarówki przewożące w największym pośpiechu skromny batalion niemieckich żołnierzy na spotkanie ze śmiercią. To wreszcie miejsce, gdzie rozwiewają się moje ostatnie złudzenia, pozostawiając mnie w nieludzkim przerażeniu.

Zachód okazuje się drugim ramieniem kleszczy zaciskających się na nas. To nieprzyjacielskie armie rzucające się w nasze mdlejące ramiona. Nieprzyjacielskie armie, z których jedna jest armią francuską. Nie sposób opisać mojej rozpacz. Francja, ta Francja, której nigdy nie porzuciłem w myślach, ta słodka, przenaślodsza Francja naigrawała się z mojej naiwności! Francja, która — jak sądziłem — jest ze mną, z nami. Francja, którą — siedząc w okopach na niezmiernym stepie — kochałem tak bardzo jak ludzie rozprawiający o rewolucji w zaciszu paryskich kafejek.

Francja, dla której w znacznej części poświęciłem swój trud. Francja, którą dzięki mnie poznali i pokochali moi towarzysze walk. Cóż więc takiego się stało, o czym nie wiedzieliśmy?

Francja odwraca się ode mnie; odwraca się właśnie wtedy, gdy oczekiwałem od niej pomocy.

Może będę musiał strzelać do swych francuskich braci? Wiem, że jest to niemożliwe; tak samo niemożliwe, jak strzelanie do Hallsa czy nawet do Lindberga.

Cóż takiego się stało? Co przed nami ukrywano? Nic już nie wiem! Nic już nie rozumiem! Jest to dla mnie niepojęte. Umiera nadzieja, którą Zachód wzbudził w nas wszystkich.

Trzeba będzie jeszcze walczyć. Przeciw komu? Przeciw czemu? Wiemy, że nie mamy już sił, że nic już nie wskrzesi w nas wiary w cokolwiek. Amerykanie i Anglicy niepotrzebnie chełpić się będą zwycięstwem. Machina wojenna, nadaremnie stworzona przez nich, nie spotyka już nikogo na swej drodze. Nie ma zwycięstwa nad martwymi.

Młodym żołnierzom, chłopcom niemal, uda się jeszcze pokonać silne oddziały koalicjantów, ale absolutnie nie może to uzasadniać przygniatającej przewagi sprzymierzonych armii.

Niezliczone fale samolotów, mających brać udział w najbardziej epickiej z wojen, za wszelką cenę poszukiwać będą przeciwnika, by zrobić użytek ze swej supernowoczesnej techniki.

Niszczyc będą szosy, obracać w pył istniejące już ruiny, gonić przerażone bydło i nadaremnie szukać rozbitego nieprzyjaciela. Od czasu do czasu stawiają im opór nieliczni młodzi żołnierze odbywający swój chrzest bojowy. Za późno już na prawdziwe zwycięstwa. Ostatnie sukcesy trudno takimi nazwać.

Dotarliśmy nad brzegi Łaby. Położyliśmy się w trawie wzdłuż niewielkiej szosy prowadzącej do Lauenburga. W pobliżu są oddziały angielskie i trzeba będzie podjąć jakąś decyzję.

Jakiś stary facet wsuwa to, co istniejąca jeszcze intendentura włożyła nam do menażek. Halls jest nieco dalej ode mnie, pogrążony w nierozwiązywalnych dylematach. Stary nie wygląda na zbyt załamane. Mruczy do mnie prawie niezrozumiale:

— Za kilka dni, przy odrobinie szczęścia, wojna będzie dla nas skończona.

Co on chce przez to powiedzieć? Wiem, że koniec wojny dla pokonanego żołnierza oznacza na ogół niewielki, brunatny otwór w głowie albo piersi.

— Ależ skąd! — odzywa się stary. — Pójdziemy do niewoli, zobaczysz. Nie jest to zbyt wesołe, ale lepsze to niż bomby i głód. Zobaczysz; to nie są Ruscy, oni nie są źli, zobaczysz.

Zapada noc, jest nawet dość ciepło. Leżymy w wilgotnej trawie, na skarpie ciągnącej się wzdłuż szosy. Z rozgwieżdżonego nieba dochodzi warkot niewidocznych samolotów.

Amerykanie i Anglicy wykorzystują swe nadwyżki paliwa i lecą atakować nieistniejące armie i opuszczone miasta. Nic nam nie przeszkadza w zapadnięciu w czujny sen, nauczyliśmy się tego w przeciągu długich lat spędzonych na froncie.

Około trzeciej nad ranem usłyszeliśmy dochodzącą od północy kanonadę. Przez krótką chwilę niebo zajaśniało od wystrzałów. Wszystko to trwało trzy kwadransy i nie przeszkodziło nam w dalszej drzemce.

Bardzo wcześnie wstał dzień. Blade, wiosenne słońce ukazało się na horyzoncie. Na szosie pojawił się niewielki samochód. Jechał ostrożnie, telepiąc się na częściowo zniszczonej nawierzchni. W pojeździe o barwie ziemi jechało trzech facetów w obcych mundurach. Z przodu samochodu zamocowane było coś w rodzaju wielkiego, pionowego haka zakończonego pazurem.

Pod stosunkowo obszernymi hełmami zauważyliśmy trzy twarze cegła-stej barwy, wydające się być nawet zadowolone z tej porannej przejażdżki.

Byli to trzej pierwsi Anglicy, jakich spotkałem. Zbrodnią byłoby rzucić naszą grupkę Yolkssturmu do walki przeciwko tym jadącym wesołkom. Niestety, jakiś idiota strzelił dwukrotnie tuż nad głowami Angoli. Jeep wpadł w kontrolowany zakręt, po czym tak wolno zaczął zawracać, że moglibyśmy ich rozwalić.

Stary zaczął ochrzaniać nadgorliwca, mówiąc, że ten nierozważny gest sprowadzi nam na kark jednostki zmotoryzowane, którym nie będziemy w stanie się przeciwstawić. Zbity z tropu kapitan chciał już interweniować, ale doszedł do wniosku, że to nie ma sensu, i wrócił na stanowisko do strzelca kaemu.

Godzinę później usłyszeliśmy dochodzący od północy warkot licznych pojazdów. Sprawdziły

się przewidywania starego żołnierza. Nad nami pojawił się rekonesans lotniczy i zaczął ostrzeliwać szosę pod naszą skarpgą. Niczym gąsienice czołgu zaczęliśmy pośpiesznie czołgać się do pobliskiego rowu. Inaczej pięćdziesiątka moździerzowych pocisków spowodowałaby ciężkie straty wśród nas.

Anglicy doszli prawdopodobnie do wniosku, że mają do czynienia z pojedynczymi strzelcami. Wysłali przeciwko nam cztery półgąsienicowe transportery opancerzone. Z pewnym niepokojem obserwowaliśmy wspinające się na skarpgę pojazdy. Dwóch niemieckich żołnierzy zerwało się z miejsca, wznosząc ręce ku niebu. Czegoś podobnego nie widzieliśmy podczas całej kampanii rosyjskiej i zaniepokojeni czekaliśmy na dalszy rozwój wydarzeń. Czy angielskie kaemy rozwałą naszych kolegów? Czy nasz dowódca osobiście ich nie rozwalił za niesubordynację? Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Dłoń leżącego cały czas koło mnie starego zacisnęła się na moim przedramieniu, a jego wargi wyszeptały te oto słowa: —
Idziemy, chłopcze!

Razem z nim podniosłem się z ziemi. Inni poszli w nasze ślady. Podszedł do mnie Halls, nie unosząc nawet rąk. Tak oto ruszyliśmy ku naszym zwycięzcom. Serca biły nam jak szalone, zaschło nam w ustach. Był to mój jedyny rzeczywisty strach, jaki odczułem przed aliancami. Sami zresztą byliśmy temu winni.

Anglicy spoglądali na nas ze złością. Pohukując na nas i poszturchując nas bezceremonialnie, pogrupowali nas odpowiednio. Zresztą o wiele ciekawsze obrazki widzieliśmy w naszej armii, a zwłaszcza w obozie kapitana Finka. Traktowanie przez Anglików nie wywarło na nas najmniejszego wrażenia. Odebraliśmy to nawet jako pewną uprzejmość z ich strony.

Oddałem broń i naszywki swojej drugiej Ojczyzny. W ten oto sposób skończyła się wojna dla mnie i moich towarzyszy.

Jechaliśmy na stojąco wielkimi ciężarówkami, co było dla nas szczytem upokorzenia. Nasza zabiedzona grupa stanowiła dla Anglików symbol zwycięstwa. Ich milczące, rumiane twarze wyrażały zdumienie: nie pojmowali oni, jak takie wygłodzone gęby mogły jeszcze beztrudno dyskutować. Halls zainkasował siarczysty policzek od podoficera angielskiego, nawet nie wiedząc kiedy. A przecież porównywał tylko nasze forsowne marsze na terenie Rosji z obecnym transportem jeńców.

Spotkaliśmy później innych Anglików. Byli to potężnie zbudowani faceci o różowych, pucołowatych twarzach i wyglądzie włóczęgów, jednak włóczęgów bardzo dobrze wychowanych. Zachowywali się nonszalancko, poruszali zamasyżycie ramionami i biodrami. Nosili miękkie mundury kojarzące się raczej ze strojami do golfa. Cały czas pracowali szczękami niczym przeżuwacze. Nie wyglądali ani na smutnych, ani na wesołych, z obojętnością przyjmując zwycięstwo. Działali ni to z własnej woli, ni z musu i widać było, że okupacja ich zbytnio nie podnieca.

Zabłoceni, pokryci świerzbem koledzy spoglądali na nich z ciekawością. Nasza grupa potępieńców zachowywała się radośniej niż te rozpieszczone dzieciuchy, dla których raj stanowi rzecz bez wartości. Nie cierpieli na niedostatek niczego, może tylko na niedostatek radości. Patrząc na ich pocziwe i godne zaufania gęby, czuliśmy, że jesteśmy bliżej normalnego świata.

Również Amerykanie nie szczędzili nam upokorzeń. Było to normalne. Umieszczono nas w wielkim obozie, w którym znajdowało się kilka ogromnych namiotów mogących pomieścić zaledwie jedną dziesiątą jeńców. Żołnierze Wehrmachtu, nawet jako więźniowie, utrzymywali porządek. W namiotach umieszczono najslabszych i chorych, tak jak w Charkowie, tak jak nad Dnieprem, tak jak w Memlu czy w Pilawie, tak jak na rosyjskim stepie, gdzie trzeba było znosić mroźne zimowe noce.

Pośrodku obozu Amerykanie otworzyli wielkie skrzynie wypełnione puszkami konserw. Rozpieprzyli to wszystko kopniakami, po czym oddalili się z pogardliwymi minami, zostawiając nam łup do podziału. Każdy otrzymał swoją część. Jedzenie było znakomite.

Nawet nie zwracaliśmy uwagi na ulewny deszcz zamieniający ziemię w gąbkę. Szczytem luksusu były saszetki zawierające lemoniadę i oranżadę w proszku. Bawiliśmy się wspaniale, kiedy przyrządziliśmy wyśmienity napój, rozpuszczając proszek w gromadzonej w fałdach płaszczy deszczówce. Znajdujący się w pobliżu Amerykanie obserwowali nasze poczynania, wymieniając uwagi. Najprawdopodobniej śmiali się z nas, że z zachłannością rzucamy się na takie proste rzeczy. Może byliśmy tchórzami, przyjmując bez słowa protestu takie warunki zakwaterowania i aprowizacji w strugach deszczu. Ale czy nasz status więźnia nie wystarczał, aby ci pyszałkowaci żołnierze z marsowymi minami kazali nam potulnie maszerować? W niczym nie przypominaliśmy niemieckich żołnierzy z filmów dokumentalnych, jakie ci szarmanccy strażnicy mieli chyba okazję oglądać, zanim jako mściciele wylądowali na niemieckiej ziemi. Tutaj nie ma aroganckiego i porywcze-go Szkopa, tutaj nie ma na kim się wyżywać. Są tylko wygłodzeni ludzie, którzy na stojąco, w strugach deszczu, wpięprzą każdą konserwę; są tylko konający, którzy drzemią, oparci, w swoim kącie, z jakimś osobliwym spokojem wypisanym na twarzach; są tylko chorzy i ranni nie domagający się nawet opieki, szczęśliwi, że przez długie godziny mogą tylko spać. Wszystko to jest oczywiście deprymujące dla tych zwycięskich wojaków, którzy widzą u pokonanych wyraz pokory.

Potem wysyłają nas dalej. W Mannheim dostajemy się do wielkiego obozu, gdzie dokonuje się selekcji jeńców.

Halls jest ciągle przy mnie. Są również Grandsk i Lindberg, nierozłączni, podobnie jak w najcięższych chwilach. Ostatecznie dociera do nas, że wojna jest już dla nas nieodwołalnie skończona. Nie myślimy jeszcze o jej następstwach. Wszystko jest jeszcze zbyt nowe, wszystko działa się tak szybko. Zdając sobie sprawę, że najgorsze jest za nimi, byli żołnierze niemieccy organizują się, ułatwiając pracę aliantom, którzy miotają się, by całe te tłumy więźniów zliczyć, spisać, zagnać do jakiejś pracy. Pomagający w tym niemieccy więźniowie, często jeszcze w łachmanach, krążą wśród wystrojonych zwycięzców zajętych tą samą niewdzięczną robotą. Wtykają Niemcom papierosy w usta, a ci nie mogą się niczym odwdziżyć. Niektórzy mają nawet gumę do żucia. Miętola ją w gębie ze śmiechem, a potem połykają, przy czym wcale nie robią tego naumyślnie.

Padają komendy wydawane po niemiecku przez Niemców. Formują i deformują się kolumny. Czy pójdziemy do walki? Nie. Panuje dobra atmosfera. To niemożliwe! Nie do wiary...! Jakiś durny podoficer wrzeszczy rozbawionym głosem do swej grupy więźniów:

— Greift zum Gewehr! Wszyscy ryczą ze śmiechu.

Amerykanie się irytują. Wychodzą z baraków i opieprzają nas. Robi się jeszcze śmieszniej. Musimy jednak się kontrolować. Nieostrożny podoficer pojmuje nagle, jak niestosowny był jego mimowolny żart, i preży się w postawie zasadniczej, oczekując nagany. Trzech amerykańskich oficerów protestuje w ojczystym języku, w końcu wyladowuje swój gniew na winnym, co pogrąża go w jeszcze większej depresji.

Nieco później jeńcy stoją w długich kolejkach przed budynkiem sanitarnym. Niektórzy są hospitalizowani. Pozostali wzywani do rozlicznych biur, gdzie odpowiednie służby kierują ich do odgruzowywania zniszczonego kraju. Komisje kontrolne i weryfikacyjne badają i analizują każdy przypadek. W ich skład wchodzi na ogół przedstawiciele wojsk amerykańskich, kanadyjskich, angielskich, francuskich i belgijskich. Moje postrzępione papiery przegląda jakiś francuski oficer. Facet zerknął już na mnie dwukrotnie. Teraz po raz trzeci podniósł na mnie wzrok, zadając mi najpierw pytanie po niemiecku:

— To jest data i miejsce waszego urodzenia?

->

— No więc...?

— Tak — odezwałem się teraz po francusku. — Jestem Francuzem ze strony ojca. Teraz mówię po francusku tak samo źle, jak po niemiecku mówiłem w Chemnitz.

Oficer spogląda na mnie podejrzliwie. Po chwili ciszy odzywa się do mnie po francusku:

— No więc w końcu jesteście Francuzem?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Niemcy przez trzy lata uświadamiali mnie, że jestem Niemcem.

— Sądzę, że tak, Hen Major.

— Jak to „sądzę”?

Zmieszany, nie wiem co odpowiedzieć.

— Co wy robicie w całym tym burdelu?

! Do broni!

Nie znajduję odpowiedzi.

— Nie wiem, Hen Major.

— Nie mówcie do mnie Hen Major! Nie jestem Hen Major! Zwracajcie się do mnie „panie kapitanie” i chodźcie ze mną.

Kapitan wstał z miejsca. Wyszedłem za nim. W szarobrudnozielonym rzędzie niemieckich jeńców dostrzegam wysoką, wychudłą sylwetkę Hallsa. Kolega śledzi mnie wzrokiem.

Kiwam do niego porozumiewawczo, szepcząc:

— Bleib hier, Haik, ich komme wieder.

— Co to za wielkolud, z którym rozmawiacie? — spytał zirytowany kapitan.

— Das ist mein Kamerad, Hen Kapitan.

— Przestańcie mówić po niemiecku! Teraz macie sobie przypomnieć francuski. No dalej, tędy!

Szedłem za francuskim oficerem labiryntem korytarzy. Nagle ogarnął mnie strach, że już nie zobaczę się z Hallsem. W końcu wszedłem do biura, gdzie zastałem śmiejących się czterech francuskich wojskowych, żartujących z jakąś młodą kobietą, która mówiła chyba po angielsku.

Kapitan oświadczył, że przyprowadził ze sobą „szczególny przypadek”, po czym zarzucono mnie pytaniami; nie odpowiadałem chyba na nie przekonywająco. Byłem bardzo zdenerwowany i moje odpowiedzi nie wydawały się szczere.

Któryś z wojskowych, również oficer, oskarżył mnie o zdradę, obrzucając wszystkimi możliwymi epitetami. Ponieważ cały czas byłem apatyczny i jakby nieobecny, zmęczeni się mną w końcu i wysłali do niewielkiej izby piętro niżej. Zostawili tam mnie na całą dobę. W izbie tej spędziłem smutne godziny, rozmyślając o towarzyszach niedoli, a szczególnie o Hallsie, który pewnie na mnie czekał. Coś mi mówiło, że już go nie zobaczę. To złowrogie przeczucie nie pozwalało mi usnąć.

Nazajutrz rano przyszedł po mnie jakiś porucznik, będący w doskonałym nastroju.

Zaprowadził mnie do tego samego biura, gdzie byłem poprzedniego dnia. Poproszono mnie, abym usiadł, co przyjąłem z pewnym zażenowaniem. Miałem wrażenie, że zdanie to usłyszałem po raz pierwszy w życiu.

Młody porucznik przewertował moje papiery i zwrócił się do mnie:

— Byliśmy wczoraj trochę zaskoczeni tym, co was spotkało. Wiedzieliśmy dotąd, że faktycznie Niemcy wcielali siłą do wojska młodych ludzi, którzy mieli ojca narodowości niemieckiej. Gdyby tak było w waszym wypadku, musielibyśmy przez pewien czas zatrzymać was jako jeńca. Ale tu chodzi o waszą matkę. Jest to przypadek nietypowy i nie mamy prawa was zatrzymywać. Jestem bardzo rad z tego powodu — dorzucił uprzejmie. — Jesteście więc wolni, co poświadczają papiery, które wam wręczę. Możecie jechać do domu i powrócić do dawnego życia.

— Do domu?! — odezwałem się, jakby opowiadał mi o Marsie.

— Tak, do domu.

Porucznik zamilkł, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie potrafiłem uwierzyć w to, co się stało, a przede wszystkim dobrać odpowiednich słów.

— Niemniej jednak radziłbym wam rozważyć możliwość wstąpienia na jakiś czas do armii

francuskiej. To pomoże wam zapomnieć o przeszłości i zaaklimatyzować się jakoś. Moja twarz nie wyrażała niczego. Myślałem przede wszystkim o Hallsie i tylko częściowo docierały do mnie propozycje uprzejmego oficera.

— Zgodzilibyście się na to?

— Tak, panie poruczniku — odpowiedziałem bezwiednie.

— Cieszę się z tej decyzji. Proszę tutaj podpisać.

Podpisałem się z francuska, bardziej zaintrygowany formą wyrazu, która wydawała mi się nowa, niż tym, na co się zgadzałem.

— Dostaniecie powołanie — odezwał się oficer, składając swoje papiery. — Wracajcie szybko do domu i starajcie się zapomnieć o epizodzie, który przeżyliście.

Ciągle nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Porucznik zaczął już tracić dobry humor. Niemniej odprowadził mnie do drzwi, odzywając się:

— Czy wasi rodzice wiedzą, gdzie jesteście?

— Nie sądzę, panie poruczniku.

— Nie pisywaliście do nich?

— Pisywałem, panie poruczniku.

— No więc! Musieliście od nich dostawać wiadomości. Przecież u Szkopów chyba była poczta?

— Tak, panie poruczniku. Pisali do mnie, ale prawie od roku nie mam od nich żadnych wiadomości.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

— A to świnie! — odezwał się. — Nie dostarczali wam poczty. No, stary, wracaj do siebie i zapomnij o tym wszystkim.

EPILOG

Powrót

— Zapomnij o tym wszystkim...!

Pociąg jedzie przez skapaną w słońcu francuską prowincję. Moja głowa uderza o drewniane siedzenie przedziału. Widzę śmiejących się pasażerów, jakby nie z tego świata. Ja tego nie potrafię, nie mogę zapomnieć...

Cały czas myślę o Hallsie, którego wszędzie bezskutecznie szukałem. Jeżeli po policzkach nie spływają mi łzy, to tylko dlatego, że już od bardzo dawna potrafię ukrywać swoje troski i zmartwienia. Halls, kojarzący się ze strasznym wspomnieniem wojny, dźwięczącej jeszcze w moich uszach... Halls, mój jedyny przyjaciel na tym nędznym świecie... Jakże często Halls wyręczał mnie w obowiązkach, kiedy byłem zbyt słaby... Nie potrafię o nim zapomnieć, jak również o wszystkich tych, z którymi dzieliłem swój nieszczęsny los, o wszystkich tych, z których okrutnym życiem splotło się moje własne.

Pociąg jechał, z każdą sekundą oddalając mnie od owej przeszłości. Mógłby tak pędzić całymi dniami i zawieźć mnie na kraniec świata, a wspomnienie byłoby ciągle żywe.

A potem była ta stacja... Moje zniszczone buty, które stąpały po rosyjskiej ziemi, zazgrzytały na cementowym peronie. Zawiedzionym wzrokiem spojrzałem na bezimienne otoczenie, które tak dobrze znałem. Nic się nie zmieniło. Wydawało się jakby pogrążone we śnie.

Miałem wrażenie, że moje nieoczekiwane przybycie je obudzi. Wszystko było takie, jak kiedyś; tak naprawdę tylko ja się zmieniłem. Aż nadto wiedziałem, że nie potrafię się z nim zasymilować.

Idąc powoli i niepewnie, rozglądałem się dookoła. Wszystko wydawało mi się takie małe.

Przy wyjściu zauważyłem nagle spoglądających na mnie dwóch funkcjonariuszy kolejowych; czekali, aż opuszczę dworzec, by mieć wreszcie wolne. Byłem ostatnim pasażerem schodzącym z peronu, który szybko się wyludnił.

— No, pospieszmy się! — odezwał się jeden z nich. Wyciągnąłem szybko dokumenty służące mi za bilet.

— To trzeba okazać zawiadowcy stacji — rzucił. — Proszę za mną.

Zawiadowca przeglądał znużonym wzrokiem moje papierzyska, a ponieważ prawdopodobnie nic z tego nie rozumiał, naprzybijał wszędzie pieczętek.

— Mannheim... — odezwał się. — To u Szkopów, co?

— Nie, proszę pana — odpowiedziałem niewinnym głosem. — To u Niemców.

Zauważył mój straszny akcent i tytnął na mnie okiem.

— Dla mnie to jedno i to samo — podsumował.

Do domu pozostało mi dziewięć kilometrów. Już tylko dziewięć kilometrów do zakończenia mojej wędrówki, do dotarcia do punktu zerowego. Była piękna pogoda i powinienem radośnie biec ku nieprawdopodobnej rzeczywistości, do której z każdym krokiem się zbliżałem. A jednak niepokój ścisnął mi gardło i tamował dech. Owładnęło mną jakieś nieokreślone uczucie. Chłonałem otaczającą mnie rzeczywistość: mogłem ją widzieć, dotykać, napawać się nią. Widziałem w myślach niewielką stację, na której wysiadłem; rodzinną wioskę, która za chwilę pojawi się w tej zielonej, wilgotnej kotlinie; moich rodziców. Rodziców już tak dawno nie widzianych. Moich rodziców! Byłem tak oszołomiony, że nawet nie potrafiłem ich sobie wyobrazić.

Rzeczywistość nagle mnie poraziła. Zacząłem odczuwać lęk. Przed oczyma pojawiła się obrośnięta winoroślą fasada domu, opuszczonego przed trzema laty, a w otwartych drzwiach stali mężczyzna i kobieta. Widziałem w myślach te postacie, a z tego niewyraźnego obrazu wyłaniał się ojciec i matka. Po chwili obraz zaczął się rozmywać niczym coś zakazanego. Widziałem także swojego młodszego brata. Nie wyobrażałem sobie, aby mógł urosnąć.

Nagle na wychudłym ciele poczułem zimny pot. Rozpacz, tkwiąca we mnie od czasu wojny na Wschodzie, zniknęła, zastąpiona teraz przez rzeczywistość, o której już zdążyłem zapomnieć, lecz która miała nadejść, tak jakby nic się nie wydarzyło. Przejście to było zbyt gwałtowne, zbyt brutalne. Potrzebowałbym czegoś w rodzaju filtra. Widzę Hallsa i pozostałych kolegów, wojnę; wszystko to, dla czego musiałem żyć. Widzę wszystkich ludzi, u boku których rozwartymi z przerażenia oczyma spoglądałem na zbliżającą się śmierć.

Widzę śmierć, którą potrafiliśmy pokonać; imiona tych, którzy okazali mi w tym ogromną pomoc. Twarze, bez których nie miałbym może teraz okazji snuć tych rozważań. Wszystko to było tak bardzo odległe w porównaniu do tego, co mnie dzisiaj spotyka. Nie mogłem ani o tym zapomnieć, ani tego się wyrzec — nie potrafiłem odzyskać równowagi.

Moje chore myśli błąkały się jak łódź pozbawiona steru. Bardzo, bardzo powoli podążałem ku temu, czego ogromnie pragnąłem i czego nagle zaczą-

łem się obawiać. Wtem, nad słoneczną wsią, pojawił się samolot. Instynktownie dałem nura do znajdującego się przy drodze dołu. Warkot maszyny rozbrzmiewał przez chwilę w wiejskiej ciszy, po czym samolot zniknął, tak jak się pojawił. Chwyając się pnia jabłoni, podniosłem się z ziemi, niezbyt kojarząc, co mi się właściwie przydarzyło. Byłem zdruzgotany. Błędnym wzrokiem patrzyłem na podnoszącą się powoli trawę, gdzie przed chwilą leżałem. Przypominała mi ona zmierzwione włosy. Była jeszcze żółta po zimie; może i ona walczyła, by przetrwać. Przypominała trawy stepowe, chociaż nie była tak wysoka. Wydawała mi się jakaś znajoma. I znów w niej się zanurzyłem. Przez źdźbła przebijał się niedyskretny blask dnia, oślepiając mnie i zmuszając do zamknięcia oczu. Leżąc na ziemi, odbierającej w ciszy moje emocje, czułem się spokojny. Zdołałem opanować zdenerwowanie i zasnąłem.

Tylko śmierć jest ostateczna — to czego Memel nie zdołał zniszczyć, tego także nie zdoła dokonać czas pokoju. Zbudziłem się i wyruszyłem w dalszą drogę, rozpamiętując ponownie swój los. Spałem chyba kilka godzin, bo za wzgórzem zniknęło już słońce. Przybędę o zmroku. Tak zresztą będzie lepiej. Bałem się pojawić niespodziewanie w rodzinnym domu, lecz jeszcze bardziej obawiałem się spotkać znajomych, którzy może mnie nie zapomnieli.

Dotarłem więc pod koniec dnia, tak jak sobie tego życzyłem. Skręciłem w ulicę, jak gdybym

wczoraj był na niej ostatni raz. Staralem się iść lekkim krokiem, ale każde dotknięcie ziemi przypominało mi krok defiladowy w Chemnitz. Minałem dwóch młodzieńców, którzy nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Kiedy tam, na rogu skracę w lewo, ujrę swój dom. Czułem, jak serce rozrywa mi pierś.

Zza rogu wyłoniła się jakaś postać. Była to niska, starsza kobieta. Ramiona miała okryte spłowiałą peleryną. Rozpoznałem nawet tę pelerynę. Matka niosła także małą bańkę na mleko. Szła w stronę sąsiedniego, dobrze mi znanego gospodarstwa, zbliżając się jednocześnie w moim kierunku. Myślałem, że zemdleję. Podążała środkiem pograżającej się już w mroku ulicy, dwa metry od porośniętego trawą chodnika, na którym walczyłem z własną słabością.

Zamglonymi z emocji oczyma rozpoznałem jej twarz.

Poczułem straszny ucisk serca; myślałem, że będę krzyczał.

Matka szła dalej. Oparłem się o mur, aby nie upaść. W ustach poczułem mdły smak, jakby wypełnione były krwią. Wiedziałem, że za kilka minut matka wróci tą samą drogą. Miałem ochotę uciekać. Byłem jak sparaliżowany. Czas upływał, a ja nie mogłem zdobyć się na wykonanie jakiegokolwiek gestu. Pojawiła się ponownie, tak jak przypuszczałem. Wydawała się jeszcze bardziej szara w zapadającym mroku.

Była coraz bliżej, coraz bliżej...

Nie śmiałem się poruszyć, aby się nie przelekła. Nie mogłem tego już dłużej wytrzymać i ośmieliłem się odezwać:

— Mamo!

Matka nieznacznie odwróciła głowę i szła dalej.

— Mamo!

Wreszcie zatrzymała się, a ja zrobiłem kilka kroków w jej kierunku. Patrzyła, jak podchodzę, i pomimo ciemności rozpoznała chyba moje rysy. Zauważyłem, jak otworzyła lekko usta. Nic nie mówiła.

Nie śmiałem zbliżyć się jeszcze bardziej. Nagle dostrzegłem, że się zachwiała. Bańka potoczyła się na ziemię, a ja chwyciłem matkę w drżące ramiona. Z jej ust wydobywał się nieprzerwany jęk, a ja bałem się, że nadbiegną ludzie.

Prowadząc ją, niemal nieprzytomną, pospieszyłem w kierunku drzwi, w których pojawił się jakiś młodzieniec. Młodzieniec ten był moim bratem. Krzyknął przestraszony:

— Tato! Jakiś pan prowadzi mamę! Jest chora.

Minęły godziny. Siedzę w milczeniu nieruchomo naprzeciw rodziny, która wpatruje się we mnie, zapominając o bożym świecie. Na skromnym kominku dostrzegłem swoje zdjęcie, kiedy byłem młodszy. Obok fotografii, w niewielkiej szklance było kilka niepozornych, zwiędłych kwiatów.

Upływają minuty, mija czas, trwa nieprawdopodobna cisza, kończy się pewna historia. Aby pogodzić się z oczywistym faktem, ci co czekali, muszą mieć tyle czasu co ten, który miał nadzieję.

Rozumiem również, że mój powrót spowoduje pewne zamieszanie i że trzeba było odwagi, aby się go już nie spodziewać. Sąsiedzi nie od razu dowiedzą się, że wróciłem. Będziemy w cichości cieszyć się naszym szczęściem. Pokój siostry, która zdążyła już wyjść za mąż, będzie na kilka dni moim schronieniem. Tam też będę leżał wyczerpany, jak w letargu.

A potem znajdę się w wojsku. Słodka, zwycięska francuska armia przyjmie pod swoje skrzydła pokonanego. Będzie to dla mnie nieoczekiwany okres przejściowy, ów filtr, jakiego pragnąłem. Będę tam oczywiście przeklętym Szkopem, któremu wyświadcza się wielką przysługę. Poznam tam to, co inni nazywają nudą, i nawet w niej zasmakuję. Dzięki dawnej dyscyplinie zaliczać się będę, wbrew sobie, do najlepszych żołnierzy. Będę wręcz musiał się pilnować, aby nie drażnić tym innych. Poznam tam ludzi zawistnych, ale także wyrozumiałych, co całkowicie zaakceptują moje wojenne przejścia i postawią mi szklanę

piwa, abym o wszystkim zapomniał.

Rodzice nakażą mi absolutne milczenie. Nigdy nie będzie rozmów, choć mogłyby mi przynieść ulgę.

Z wielką uwagą wysłuchiwać będę opowieści o bohaterach z przeciwnego obozu, o bohaterach, do których nie miałem szczęścia się zaliczać.

Ludzie zawistni nie zapomną niestety o mnie, interpretując moją przeszłość jako przejaw zachłanności i niewybaczalny błąd. Inni kiedyś może zrozumieją, że obie strony konfliktu mogą cenić te same wartości i że ból jest ponadnarodowy.

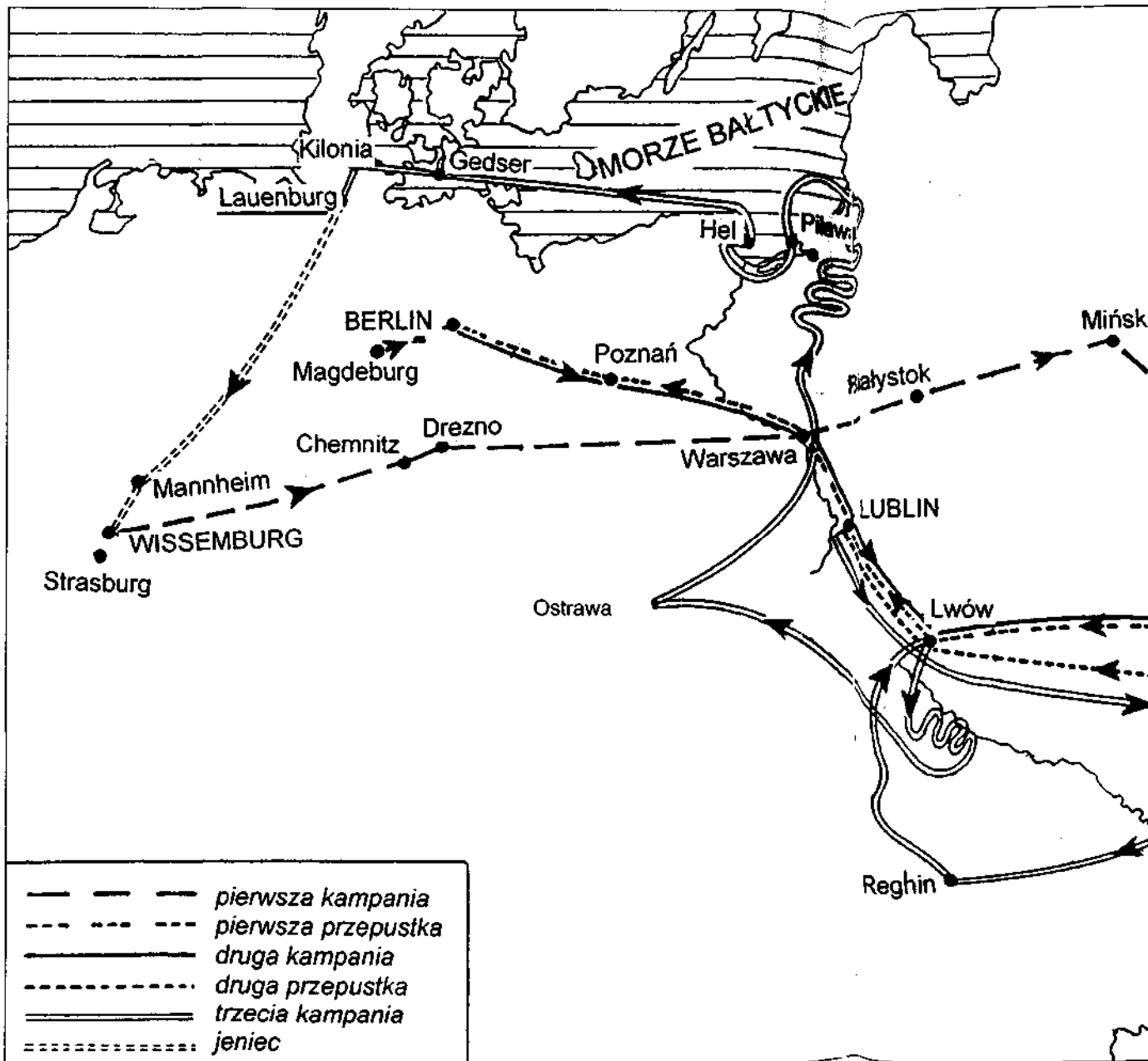
Armia francuska, w której miałem służyć trzy lata, zatrzymała mnie ostatecznie tylko na dziesięć miesięcy. Mimo znośnych warunków zapadłem tam na ciężką chorobę, toteż odesłano mnie do domu.

Nim jednak to nastąpiło, brałem udział w wielkiej paradzie w Paryżu w roku 1946. Pamięć poległych uczczono długą chwilą milczenia. A mnie przypomniały się te oto osoby:

Ernst Neubach, Lensen, Wiener, Wesreidau, Prinz, Solma, Hoth, Olensheim, Sperlovski, Smellens, Dunde, Kellermann, Freivitch, Ballers, Frósch, Woortenbeck, Siemenleis...

Nie śmiem dorzucić imienia Pauli... Nigdy nie zapomnę Hallsa ani Lindberga, Pferhama czy Wollersa... Pamięć o nich tkwi we mnie niczym żarliwa modlitwa.

Jest jeszcze jeden człowiek, o którym muszę zapomnieć. Nazywał się Sajer i myślę, że uzyskał on moje wybaczenie.



SZLAK BOJOWY G. SAJERA